



**MARTÍN
SOLARES**

NIE

PRZYSYŁAJCIE

KWIATÓW

MARTÍN
SOLARES

NIE PRZYSYŁAJCIE KWIATÓW

przełożył Tomasz Pindel

Tytuł oryginału: *No manden flores*
Copyright © 2015 by Martín Solares
c/o Schavelzon Graham Agencia Literaria
schavelzongraham.com

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXVII
Copyright © for the Polish translation by Tomasz Pindel, MMXVII

Wydanie I
Warszawa MMXVII

Spis treści

Część pierwsza. Tajemnice La Eternidad

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

X

XI

XII

XIII

XIV

XV

XVI

XVII

XVIII

XIX

XX

XXI

Część druga. Komendant Margarito i rozmowa w ciemności

I

II

Rozmowa w ciemności

III

IV

V

Rozmowa w ciemności

VI

VII

VIII

Rozmowa w ciemności

IX

X

XI. Nowi

Najniebezpieczniejsza

Trzy litery

XII

Ostatnia rozmowa w ciemności

Epilog

Ostatnie słowo

Część pierwsza
Tajemnice La Eternidad

I

Powiedział im, że tylko jeden człowiek będzie potrafił odnaleźć dziewczynę. Były policjant.

Powiedział, że jeśli po starciu, które miał ze swoimi niegdysiejszymi kolegami, ten gość jeszcze żyje, to będzie do tej roboty idealny, bo ładnych parę razy udało mu się wyjść cało z podobnych sytuacji. A ich zlecenie było właśnie z rodzaju tych przeznaczonych raczej dla samobójcy niż dla detektywa. Powiedział, że jeśli on jeszcze żyje, co przecież było niewykluczone, być może uda im się go znaleźć w którymś z sąsiednich stanów, w Veracruz albo San Luis Potosí, bo od czasu do czasu któryś z informatorów zgłaszał, że widział go na szosie prowadzącej do La Eternidad. Ci informatorzy – mówił im – twierdzili, że wciąż jeździ tym samym białym samochodem i zagląda co pewien czas do jednej z restauracji nad rzeką, tam, gdzie są wały. Rozsiada się na parę godzin, gada z właścicielami, załatwia swoje interesy i wraca, skąd przyjechał. Nikt za bardzo nie wie, gdzie się podziewa. Niektórzy twierdzą, że to oczywiste: raz się pojawia, raz znika, pewnie zajmuje się przemysłem. Choć to akurat nie wydaje mi się prawdopodobne, stwierdził konsul. On zawsze trzymał się z dala od ciemnych interesów. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby już kiedyś pracował dla pana de Leóna. W tym momencie spojrzął na biznesmena. Jeśli facet jeszcze żyje, jak zapewniał konsul Don Williams, będzie najlepszym kandydatem do tej roboty.

Pan de León zapytał, jak się nazywa ten człowiek. Jankes odpowiedział:

– Carlos Treviño.

– Nie znam – odparł biznesmen. Chętnie się tym, że zna każdego swojego pracownika, więc człowiek nie mógł być u niego zatrudniony. – Nie znam ani nie kojarzę nazwiska. Nie będę ryzykował, a nuż pracuje dla tamtych.

– Treviño w życiu nie trzymałby z przestępcami – upierał się konsul – w każdym razie nie świadomie. Wie pan, w przeciwieństwie do większości mieszkańców tego miasta.

Dobiegły ich krótkie, podobne do trzasków hałasy.

– Co to było? – zapytał cudzoziemiec, a ochroniarze wyprostowali karki jak psy wyczuwające niebezpieczeństwo. – To gdzieś niedaleko – nie odpuszczał konsul. Ale ani kobieta, ani mężczyźni siedzący przed nim za stołem nie ruszyli się z miejsca. Odgłosy strzelaniny, eksplozji, pojedynczych strzałów czy długich serii o zachodzie słońca stały się w tym portowym mieście czymś powszednim, tak powszednim jak słowo „okup” lub słowo „porwanie”. Widząc niepokój na twarzy konsula, Valentín Bustamante alias Bus, szef ochrony pana de Leóna, wyszedł na taras, żeby rozejrzeć się przez lunetę szefa. Ruszył te swoje metr dziewięćdziesiąt – wyjątkowo masywna sylwetka i cienki wąsik – ze zwinnością niemal niewyobrażalną u kogoś tak potężnego, jakby siła grawitacji go nie obowiązywała, i wycelował przyrząd w pobliskie osiedle. Kiedy tak się pochylał, z tą swoją drobną i krągłą twarzą o dziecięcych rysach, uwypuklonych jeszcze śmiesznym wąsikiem, miało się wrażenie, że to człowiek, który nie skrzywdziłby nawet muchy, co było prawdą, pod warunkiem że taka mucha nie stanowiła zagrożenia dla pana de Leóna. W tej samej chwili gdy Bus wyszedł na taras, Rodolfo Guadalupe Moreno, drugi ochroniarz w hierarchii, człowiek śmiertelnie poważny, z gęstymi brwiami i hiszpańską bródką, w kowbojskich butach i czarnej skórzanej kurtce, zajął miejsce przy drzwiach, które opuścił jego kolega, i stanął, krzyżując ręce na piersi.

Przez kilka sekund słyhać było tylko szelest liści w koronach palm. Nadciągał jeden z tych północnych wiatrów, które nieustannie krążą po zatoce i mogą trwać do dziesięciu lub dwunastu godzin, przewracając domy i starsze albo uszkodzone drzewa. Powiew wiatru wpadł do pomieszczenia i zaczął szarpać swoją niewidzialną dłońią stosik serwetek przy ekspresie do kawy, które jakby nabrały życia i chciały przekazać jakąś wiadomość. Przebywali w rezydencji pana de Leóna, bez wątplenia największej posiadłości portowej w dzielnicy milionerów, która rozciągała się po tej stronie rzeki, nieopodal wąwozu zamieszkanego przez biedotę. Była to posesja w kalifornijskim stylu kolonialnym. Dom miał trzy piętra, potężne okna i tarasy zdobione rzeźbionym marmurem oraz balustradami z kutego żelaza. Budynek stał pośrodku ogrodu z kilkoma dołkami golfowymi, basenem i oczkiem wodnym. Do środka można się było dostać tylko za przyzwoleniem ochrony, przez centralny szlaban i ścieżkę prowadzącą przez odpowiednio gęste zarośla. Z okien widać było lagunę La Eternidad, bez wątplenia najpiękniejszy zakątek

portu. No ale nie spotkali się przecież, żeby rozmawiać o urokach lokalnego krajobrazu.

– Dlaczego zgrywamy idiotów? – Żona pana de Leóna była wysoką i energiczną blondynką, przyzwyczajoną do narzucania wszystkim swojej woli. Zawsze do przodu i w bardzo dobrej formie przy jej czterdziestu pięciu latach. Zawdzięczała to chyba swemu notorycznie złemu humorowi. – Pogadajcie z szefami wszystkich trzech grup, zaoferujcie im pieniądze i skończmy z tym.

– To by naraziło twoją córkę na wielkie ryzyko – upomniał ją konsul. – Jeśli nie wiedzą, że zniknęła, lepiej, żeby tak zostało. Trzeba spróbować inaczej.

– Jak możecie być tak spokojni! – zaprotestowała. – Nawet nie chcę myśleć, przez co przechodzi teraz Cristina, porwana i poniewierana przez tych bydlaków.

Konsul zerknął na zegarek. Rzeczywiście, upłynęło ponad trzydzieści sześć godzin od zniknięcia dziewczyny i z każdą minutą szanse odnalezienia jej żywej malały.

Z jednej z pobliskich alei dobiegł zgrzyt hamulców wielkiej ciężarówki. Konsul obrócił się w stronę pana de Leóna.

– Nie możemy tracić więcej czasu. Zamiast czekać na kontakt z ich strony, pošlij na poszukiwania specjalistę. Kogoś, kto nie będzie budził podejrzeń. Detektyw, którego ci proponuję, jest dyskretny i śmiały. Mógłby prowadzić śledztwo i koordynować działania. Zna rejon, ma swoich ludzi albo do niedawna jeszcze ich miał. To bystry facet, nie da się zapędzić w kozi róg, nawet z brzucha wieloryba by się wykaraskał, gdyby trzeba było.

Twarz pana de Leóna spochmurniała, jakby zaraz miał wybuchnąć.

– Dlaczego miałbym wynajmować tego człowieka, skoro mam do dyspozycji całą armię ochroniarzy? – Wskazał na najmocniej zbudowanego członka swojej eskorty, tego z hiszpańską bródką. – Moreno jest ekspertem w technikach szturmowych, szkolił się w niemieckiej armii. Dlaczego miałbym korzystać z pomocy faceta znikąd?

Konsul, świadom, że biznesmen jest w tej chwili kłębkim nerwów, i to ważącym dziewięćdziesiąt kilo, dodał najbardziej dyplomatycznie, jak potrafił:

– Rafaelu, obawiam się, że twoi ochroniarze nie dadzą rady przeniknąć niezauważeni w tamte kręgi, zwłaszcza ci zaufani. Ten, kto umiał podejść

na tyle blisko, by porwać twoją córkę, musiał dobrze poznać twój system bezpieczeństwa. To musiało trwać parę miesięcy. A co do policji i wojska w La Eternidad, nie polecałbym korzystania z ich pomocy. Policja sprzedaje duszę diabłu, o ile tylko ten lepiej zapłaci, z kolei wojsko zależy od aktualnie rządzących polityków, a sam wiesz, dla kogo oni pracują. Facet, którego ci polecam, był do niedawna najlepszym detektywem w mieście. To on aresztował mordercę z piłą.

Żona biznesmena zmarszczyła brwi w pełnym nieufności grymasie.

– Mordercę z piłą? Tego, który zabijał te dziewczyny? – Miała na myśli szaleńca, który uprowadzał i torturował młode kobiety w różnych częściach miasta. – To żaden wyczyn – dodała. – Wszyscy wiedzą, że ten aresztowany to tylko kozioł ofiarny.

– W rzeczy samej – przytaknął konsul. – Mężczyzna oskarżony o te zbrodnie jest niewinny, ale policjant, o którym mówię, zatrzymał prawdziwego sprawcę i dlatego ma kłopoty z byłymi kolegami.

Słyszając to, pan de León uniósł brwi z pewnym zainteresowaniem. Sprawa odbiła się szerokim echem nad Zatoką Meksykańską ze względu na niesamowite okrucieństwo sprawcy, trudności ze zidentyfikowaniem go i przede wszystkim z uwagi na skandal, który wybuchł, kiedy wyszło na jaw, że szaleniec pozostaje na wolności, a wyrok odsiaduje jakiś niewinny człowiek.

– To niedawne wydarzenia – burknął biznesmen. – Skoro jest tak dobry, jak mówisz, czemu nikt o nim nie słyszał? Nie powinien być bardziej znany?

– Dobry detektyw nigdy nie jest znany – stwierdził konsul, a przedsiębiorca dodał:

– Ręczysz za niego?

Konsul odchrząknął.

– Nie wydaje mi się, żeby był nieskazitelnym aniołkiem. Pewnie tak jak wszyscy jego koledzy z komendy brał jakieś łapówki. Ale podczas śledztwa w sprawie mordercy z piłą elektryczną był chyba jedynym funkcjonariuszem, który naprawdę próbował dopaść sprawcę, choć jego wrogowie twierdzą, że chodziło mu tylko o nagrodę. Sam wiesz, jak tu wszystko wygląda. Jednakże póki był na służbie, zawsze współpracował ze mną i z konsulatem, oczywiście na ile pozwalało mu meksykańskie prawo, i nigdy nie zachował się niewłaściwie. Dlatego utrzymał się na stanowisku raptem cztery lata. Treviño jest jednym z nielicznych

uczciwych ludzi, których poznałem w tym mieście. – Jego deklaracja spotkała się z głębokim milczeniem, więc dodał: – To uczciwy człowiek, godny zatrudnienia w twojej firmie.

Pan de León i jego żona przytaknęli. Widać było, że przyjęli ostatnie słowa z aprobatą. Konsul zapamiętał sobie, że musi tej dwójce okazywać więcej szacunku.

Drzwi prowadzące na taras otworzyły się i grubas z wąsikami wrócił do pokoju, kończąc rozmowę przez krótkofalówkę. Ustawił się obok pana de Leóna i nie odezwał nawet słowem. Konsul zapytał:

– Co tam się dzieje?

– Wzmożony ruch samochodów i ludzi w dzielnicy Pescadores. Mamy weekend, zapewne wrócili ci z Czterdziestki, muszą być niezłe naćpani. Dostałem też informację, że chłopak się jeszcze nie ocknął. Trzymamy rękę na pulsie.

Chodziło mu o przebywającego w szpitalu narzeczonego porwanej. Pan de León poczerwieniał na twarzy z wściekłości.

– Kazałem zostawić go w spokoju!

– To był mój pomysł. Nie chciałem ryzykować, czuwamy tak na wszelki wypadek – wtrącił się konsul.

Choć szanse, by kiedykolwiek odzyskał mowę, były nikłe, konsul bardzo na niego liczył. Chłopak był bowiem jedynym świadkiem, który mógł coś wiedzieć. Ten stary i niemal łysy brzuchacz, ubrany w koszulę w kwadraty, robocze buty i kurtkę z barankowym kołnierzem, wyglądał tak, że nikt nie dałby za niego złamanego peso. Jednakże od ponad dziesięciu lat pełnił funkcję konsula Stanów Zjednoczonych w La Eternidad i był jedną z najlepiej poinformowanych osób w kwestii przestępczości zorganizowanej w regionie. Dla przyjaciół był Donem Williamsem. A dla komisarza Margarita i spółki, jeśli mieli dobry humor, był „naszym konsulem” albo „tym dupkiem Williamsem”, jeżeli uważali, że przekracza uprawnienia związane z jego stanowiskiem w La Eternidad. Pan de León nie miał wątpliwości, że jeśli w mieście jest jeszcze jakiś ekspert od spraw bezpieczeństwa, to właśnie ten gringo. Kiedy tylko dowiedział się, że znaleziono samochód Cristiny i jej ciężko rannego chłopaka, walczącego o życie, przekonał Amerykanina, żeby zajął się śledztwem i negocjacjami.

– Jeśli go pilnujecie, to dyskretnie. Pamiętajcie, że jego ojciec jest moim wspólnikiem – odezwał się biznesmen. – Słuchaj no, panie konsulu,

nie ma co tracić czasu, to byli Nowi.

Choć nic nie potwierdzało tych podejrzeń, konsula martwiła ta możliwość; jeśli się potwierdzi, że to Nowi, odnalezienie zmasakrowanego ciała dziewczyny jest tylko kwestią czasu. Nikt nie dzwonił, domagając się okupu, nie było też żadnych tropów.

– Kaczor, pogadaj z Margaritem... – poprosiła kobieta, zwracając się do konsula tak, jak nazywali go tylko jego najbliżsi znajomi z La Eternidad.

Jako że nie dało się uniknąć zaangażowania lokalnej policji, ponieważ to jej funkcjonariusze znaleźli samochód, de León i Don Williams spotkali się z komendantem Margaritem w jego domu już poprzedniego wieczoru. Spotkanie przebiegło we wrogiej atmosferze, zamienili z szefem miejskiej policji zaledwie kilka słów. Wysłuchali jego zapewnień („Znajdziemy dziewczynę, niech się panowie nie martwią”) i pożegnali się szybko. Dla konsula komendant był pierwszym na liście podejrzanych. Znali złą sławę komendanta i nie mogli wykluczyć, że jest powiązany z uprowadzeniem albo zamierza się w nie... zaangażować. Komendant był zdolny do odbicia dziewczyny porywaczom i ukrycia jej, żeby zażądać trzy razy większego okupu. Dlatego nie zamierzali mówić mu za wiele, dali tylko jedno z nowszych zdjęć Cristiny.

Niestety nie można też było liczyć na wsparcie lokalnych deputowanych ani urzędującego burmistrza. To były wierne psy władzy, wytresowane, by wciąż przyklaskiwać gubernatorowi stanu, mimo że pan de León niejednemu z nich zasponsorował kampanię wyborczą i miał wśród nich krewnych oraz przyjaciół. O gubernatorze powtarzano pewne plotki. Według pesymistycznej wersji przyzwalał na falę przemocy, gdyż on sam stworzył Nowych, najstraszliwszą organizację przestępczą działającą na wybrzeżu zatoki, bardzo liczną i wyspecjalizowaną w zastraszaniu lokalnych społeczności: bo z wprawą torturowali i ćwiartowali swoich przeciwników. Natomiast wersja optymistyczna głosiła, że gubernator nie jest częścią struktur tej organizacji, ignoruje jedynie ich działalność w zamian za comiesięczną hojną wypłatę.

Kiedy poziom przestępczości w stanie osiągnął skandaliczny poziom, grupa miejscowych przedsiębiorców udała się na spotkanie z gubernatorem, by poskarżyć się, jak często dochodzi do porwań, kradzieży, prób wymuszenia haraczu, oraz na cynizm, z jakim Nowi pojawiają się co miesiąc w Izbie Handlowej po milionowe wynagrodzenie, rzekomo za ochronę, która miała być warunkiem, żeby

biznes mógł spokojnie działać. Jednakże podczas gdy przedsiębiorcy opowiadali o tym wszystkim i pokazywali mu teczkę ze zdjęciami dokumentującymi wymuszenia, gubernator nie przestawał bawić się swoim telefonem BlackBerry, gapił się w niego, wciąż uśmiechnięty, jakby grał w jakąś grę albo wysyłał komuś dowcipy. W końcu jeden z mężczyzn zasłonił dłonią jego telefon i zapytał, co mają w tej sytuacji robić, na co ten odparł: „Po prostu im płąćcie, a co?”.

Konsulowi opowiedział o tym jeden z uczestników zebrania, żaląc się przy butelce whisky. Tak wyglądały sprawy w regionie. Kaczor znał stany Chihuahua i Durango, Nuevo León i Coahuila, Baja California i Sonora. I doszedł do wniosku, że choć na tym polu naprawdę ciężko podnosić poprzeczkę, od ponad trzech lat nie istniała równie krwawa i bezlitosna organizacja jak Nowi w Zatoce Meksykańskiej: państwo w państwie, sterowane przez psychopatów działających całkowicie bezkarnie.

Konsul upił łyk evian z butelki, a kiedy już przepłukał gardło, powtórzył:

– Musimy poprowadzić śledztwo na własną rękę, zanim tropy zostaną zatarte. Zamiast zlecać to twoim ludziom – ruchem głowy wskazał Busa i Morena – radziłbym skorzystać z pomocy kogoś, kto potrafi przebić się przez wszystkie zabezpieczenia wokół obozów Kartelu Portowego, Nowych albo Czterdziestki i sprawdzić, czy któraś z tych grup odpowiada za porwanie. Jeśli tak, możemy zaplanować akcję ratunkową w zależności od tego, na co pozwolą warunki.

Poprzedniej nocy, w drodze do domu pana de Leóna, konsul przekonał się, że w mieście panuje wyjątkowe napięcie. Czujki różnych grup przestępczych bezczelnie paradowały z krótkofalówkami, gotowe raportować przełożonym o każdym podejrzanym ruchu. Po ulicach krążyły pikapy z uzbrojonymi ludźmi na pace, a jankes doliczył się na głównej alei trzech fałszywych punktów kontrolnych, zainstalowanych przy wjazdach na ulice, przy których mieszkali główni miejscowi bossowie.

Konsul wiedział, że w samym La Eternidad pan de León zatrudniał trzydziestu ochroniarzy przy swoich przedsiębiorstwach, wszyscy działali w parach, przeszli stosowne przeszkolenie i w każdej chwili byli gotowi do akcji. Wiedział, że biznesmen wypłaca komendantowi Margarito comiesięczną dołę, tak jak wszyscy inni przedsiębiorcy w mieście, i tak samo postępuje z generałem Rovirocą i admirałem Ortigosą, z wojsk

lądowych i marynarki. Nie brał jednak pod uwagę możliwości zwrócenia się o pomoc do któregoś z nich. Wolał nie wtykać kija w mrowisko, bo już w samym La Eternidad Nowi trzymali z setkę dobrze wytrenowanych ludzi, a ciągle napływali nowi z obozów szkoleniowych położonych gdzieś na północy stanu.

– Zamiast alarmować porywaczy – upierał się gringo – zatrudnij Treviña. Nie każdy gotów jest przyjąć takie zlecenie. My tu gadamy, a czas leci i nasze szanse maleją...

Pan de León zacisnął szczęki i powiedział:

– Rób co trzeba, moja córka musi się odnaleźć.

– Zgoda.

Kaczor westchnął ciężko, wstał i wyszedł na taras, żeby zadzwonić. Podmuchy wiatru uderzały coraz gwałtowniej, a on przeglądał swój notes, zapisywał coś, notował od czasu do czasu kolejny numer, wybierał go, a zaraz potem się rozłączał albo zasłaniał jedno ucho i krzyczał coś do telefonu. Czasami wiatr szarpał koronami drzew z taką furją, że wydawało się, że zaraz zdmuchnie konsula z drugiego piętra.

– Lepiej, żeby się schował do środka, bo mu tam urwie łeb – skomentowała pani de León.

Zanim jednak zdążyli po niego wyjść, konsul sam pchnął przeszkłone drzwi, ponownie usiadł przed nimi i podniósł dłoń z telefonem.

– Namierzyłem go. Ale nie będzie łatwo go przekonać.

– Niech ci dwaj po niego jadą. – Biznesmen kiwnął na Busa i Moreno.

– Lepiej ja sam to zrobię – odpowiedział konsul. Jednak pan de León nie zamierzał dyskutować.

– Ty masz tu zostać. Przecież mogą w międzyczasie zadzwonić. Kto będzie wtedy gadał z porywaczami?

Kaczor wzruszył ramionami.

– Dobrze, ale macie go traktować z szacunkiem. Może reagować wybuchowo.

– Niczym się nie przejmuj – odparł kpiącym tonem pan de León. – Ci dwaj to prawdziwi mistrzowie dyplomacji. – I odezwał się do ochroniarzy: – Przyrowadźcie go. I nie przyjmujcie żadnego „nie”. Zrozumiano? – Potem, nie patrząc na konsula, dodał: – Jeśli ten gość nawali, Don Williams za to odpowie.

– Gdzie go znajdziemy? – zapytał Bus.

– Mieszka przy Wielorybiej Plaży. – Konsul naszkicował plan na karteczce. – Stan Veracruz, na wysokości wyspy del Toro. Pytajcie o hotel Wieloryb. Człowiek, którego szukacie, jest tam kierownikiem.

– To jakieś cztery godziny jazdy – stwierdził Bus.

– Trzy i pół, jeśli pojedziecie bez postojów – uściślił konsul.

Bus i Moreno wyszli z pomieszczenia zaskoczeni i zeszedli efektownymi kręconymi schodami. Widząc, że schodzą do ogrodu, trzech typów w czarnych kurtkach podeszło do nich po instrukcje.

– Jedziemy ze zleceniem, wrócimy wcześniej rano. Rafita przejmuje dowodzenie – powiedział Moreno, po czym wsiedli do jednego z czarnych fordów albo zaparkowanych przed bramą.

– Carlos Treviño alias detektyw. – Bus wytarł pot z czoła.

– Srał go pies – sapnął Moreno i włączył silnik. – Jechać mostem Panúco?

– Nie, jedź przez nowy. Lepiej unikać punktów kontrolnych.

Bus odsunął fotel do tyłu, a Moreno zawahał się, jakby nie był pewien, czy dobrze usłyszał. Nowy most? Czy to nie tam zamordowano poprzedniego kierowcę pana de Leóna, jego poprzednika? Ale że Bus go popędzał, „No jedźże wreszcie!”, Moreno ruszył energicznie, zostawiając za sobą obłok kurzu, i przejechał przez bramę szeroko otwartą na straszne wydarzenia, które miały nastąpić w ciągu najbliższych dni.

II

Nigdzie się nie wybieram – oznajmił Treviño. – Mowy nie ma. Musiałbym kompletnie oszaleć.

Konsul bębnił nerwowo palcami o blat, przyglądając się przybyszowi. Detektyw był bardziej opalony niż dawniej, z pewnością nie tak szczupły, jak w czasie służby w policji, lecz bez wątpienia nie stracił pewności siebie, która przysporzyła mu tak wielu kłopotów. Po drodze musiało dojść do jakiejś sprzeczki, bo Bus spoglądał na niego z wyraźną niechęcią.

Znaleźli go na hotelowym tarasie. Zaczynało zmierzchać, smak soli wypełniał usta. Natychmiast zwrócił na nich uwagę. Ludzie, którzy przychodzą na plażę dla przyjemności, gapią się tylko na fale, a ci dwaj w ogóle nie zauważali morza.

Widział, jak parkują na końcu drogi: tam, gdzie zaczyna się piasek, a potem idą wzdłuż gęstego rzędu sosen. Jego trzy czarne psy jako pierwsze wyczuły niebezpieczeństwo i popędziły w stronę roślinnego szpaleru. Ich coraz gwałtowniejsze szczekanie było kolejnym ostrzeżeniem i zrozumiał, że został znaleziony.

Zatrzymali się przy jednym z wędrownych sprzedawców, spacerującym tam i z powrotem po plaży i wciskającym ludziom kokosowe słodycze. Mężczyźni zatrzymali go gestem i sprzedawca stanął jak wryty. Treviño widział, jak wyższy z tej dwójki pochyła się nad handlarzem, a ten wskazuje palcem na hotel. Zachowując całkowity spokój, obcy przyjrzeni się staremu drewnianemu budynkowi. Miał wrażenie, że go dostrzegli. Siedział na tarasie owinięty w koc. Lecz przez dłuższą chwilę w ogóle się nie ruszyli: stali w zachodzącym słońcu, zastanawiając się, jak do niego podejść. Nie wyglądali na wojskowych ani na bandytów, może byli najemnymi zabójcami, przysłanymi osobiście przez komendanta. Psy tymczasem były o włos od szaleństwa: „Mamy tu dwóch zbirów, czy ktoś zamierza coś z tym zrobić?”.

Widział, jak wreszcie ruszają w jego stronę, i przeklął pod nosem. Niech to szlag, pomyślał. Ucieszył się, że pod tymi wszystkimi plażowymi daszkami z trzciny nie ma zbyt wielu osób: raptem cztery Amerykanki grające w sporej odległości w siatkówkę oraz para starszych Kanadyjczyków popijających koktajle owocowe. Widział, jak potężna fala

formuje się i opada na brzeg z ogłuszającym hukiem. Pomyślał, że oto nadszedł dzień i wybiła godzina, kiedy jego spokojne życie dobiegło końca. Wstał, złożył koc z podobizną tygrysa bengalskiego i ruszył do budynku po broń.

Wchodząc do drewnianego wnętrza, natknął się na spojrzenie miodowych oczu żony, która natychmiast zapytała go, co się dzieje.

– Nie wychodź, idą tu dwa podejrzane typy – polecił jej.

Dostrzegł strach na jej twarzy. Ruszył korytarzem, minął cztery pokoje dla gości, pokonał kilka stopni w górę i otworzył drzwi z numerem pięć, by wejść do domowego wnętrza. Stół, łóżko, kołyska, zlew zastawiony butelkami ze smoczkami, drewniana szafa i miliard plastikowych zabawek porozrzucanych na podłodze. Wyjrzał przez okno wychodzące na drogę. Zbliżali się. Nie było czasu do stracenia.

Otworzył szafę i wyjął pudełko po butach spoczywające w najciemniejszym kącie. Choć obiecał to żonie, nie umiał się rozstać ze swoim taurusem PT-99, który ważył te swoje niecałe kilo, nawet mimo świadomości, że mogą go, jako cywila, aresztować za posiadanie broni na dziewięćmilimetrowe naboje. Jego rewolwer był szesnastostrzałowy, szybkostrzelny i sprawiał solidne wrażenie. Nigdy nie czuł się komfortowo, używając ciężkich sześciostrzałowców. No nic, pomyślał, nie jest łatwo uciec przed przeszłością. Detektyw Carlos Treviño, od dwóch lat posługujący się fałszywym nazwiskiem, wsunął taurusa za pasek, zasłonił rękojeść koszulą i poszedł na taras. Na nic więcej nie miał czasu. Oni już tam byli.

Wydawało mu się, że nieproszeni goście wymieniają się spojrzeniami, jakby chcąc ustalić, co dalej. Ustawił się więc za jedną z dwóch kolumn przed drzwiami. Wyższy, a zarazem szerszy facet z małą okrągłą główką i bródką à la Pedro Infante, zrobił krok w stronę schodów, lecz ruch ręki Treviño, mówiący „ani kroku dalej, kolego”, zniechęcił go do dalszych prób. Facet ze śmiesznym wąsikiem, niewzruszony tym gestem, zatrzymał się przed pierwszym stopniem i zapytał o kierownika hotelu. Musiał krzyczeć, żeby przebić się przez nieustające ujadanie psów, wściekleszych niż zazwyczaj, i uderzenia fal o plażę. Treviño przyglądał się masywnemu mężczyźnie i nie odpowiedział, dopóki ten z wąsikiem nie ponowił pytania:

– Szukamy Carlosa Treviño. – A ponieważ posiadacz taurusa nawet nie mrugnął, dodał: – Tego, co kiedyś robił w policji.

Treviño przyjrzał mu się uważnie i zapytał:

– Czego pan sobie życzy?

Gruby popatrzył na niego i powiedział:

– Szuka pana don Rafael de León.

Zabrzmiało to jak żart. Rafael de León, jeden z najbogatszych ludzi znad Zatoki Meksykańskiej? Powracająca uporczywie plotka łączyła go z incydentem, w którym dwóch najemników pobiło Juana de Dios Gómeza, jedyne szanowanego dziennikarza ze stanowej stolicy, tak, że skończył na wózku inwalidzkim.

– Pan de León chce zlecić panu pewne zadanie – dodał gruby. – Za bardzo godziwe wynagrodzenie.

Grupa Amerykanek w oddali wybuchła śmiechem. Detektyw wahał się przez chwilę i pokręcił głową.

– To nie mnie szukacie.

Drugi z przybyłych, dużo mniej cierpliwy, huknął, nie ruszając się z miejsca:

– Pan pracował w policji, nie? I dla komendanta Margarita?

Treviño spojrzał na niego z narastającą irytacją.

– Źle cię poinformowano, nie mam z takimi sprawami nic wspólnego.

Wtedy obaj mężczyźni zbliżyli dłonie do pasków swoich spodni.

– W takim razie bardzo nam przykro, ale panu de Leónowi ogromnie zależy na tym spotkaniu.

Treviño pomyślał: no to mam przesrane.

Niecałe cztery godziny później wchodził do bardzo przestronnego salonu na piątym piętrze, którego tylna ściana była cała ze szkła. Widać było przez nią wielu pracowników krzątających się w budynkach należących do Grupy de León: jedni nosili metalowe pręty, inni worki.

Spotkanie zaczęło się nie najlepiej. Na widok mediatora Treviño z trudem powstrzymał się przed rzuceniem pod jego adresem kilku dosadnych słów. Ten zdradziecki gringo, z czym on teraz wyskoczy? Kiedy ostatni raz pracowali razem, skończyło się to kiepsko. Burmistrz zaoferował nagrodę za schwytanie zabójcy atakującego kobiety w mieście. Kiedy już Treviño przeszedł więcej prób niż sam Odyseusz, walczył z korupcją i brakiem zainteresowania sprawą ze strony swoich kolegów, zdołał ustalić tożsamość i schwytać złoczyńcę: chorego psychicznie, który okazał się synem miejscowego bogacza. Jednakże ten prymityw, komendant Margarito, z miejsca wypuścił zabójcę, sfabrykował

falszywego winowajcę, zainkasował nagrodę, oskarżył Treviña o handel narkotykami, kazał go torturować i był bliski upozorowania śmiertelnego postrzału podczas próby ucieczki. A tymczasem pan konsul, bardzo z siebie zadowolony, wszystko w porządku, elegancko siedział sobie w konsulacie. Palcem nie kiwnął, żeby mu pomóc.

Detektyw oparł rękę na biodrze i konsul zdał sobie sprawę, że ochroniarze nie zdołali przekonać Treviña, by zostawił broń przy wejściu. Dlatego byli tacy niespokojni i nie odstępowali go nawet na krok.

– Witam – powiedział pan de León i wskazał mu fotel. Widząc, że Treviño nie zamierza odpowiadać na powitanie, przedsiębiorca cofnął wyciągniętą rękę, chowając ją z całą elegancją, na jaką było go stać. – Może kawy?

Treviño odmówił ruchem głowy i przyjrzał się biznesmenowi. Sporo słyszał o panu Rafaelu de Leónie, lecz nie sądził, że jest tak młody. Mężczyzna za biurkiem miał jasne włosy i był bardzo wysoki, na oko metr osiemdziesiąt, mógł mieć może czterdzieści pięć lat, ale był energiczny jak dwudziestolatek. Od pierwszej chwili nie przypadli sobie do gustu, ale starali się tego nie okazać. Z pewnością będzie próbował mnie orznać, pomyślał de León. Własną matkę by sprzedał, jeszcze po promocyjnej cenie, stwierdził w duchu Treviño.

I nie brakowało w tym racji. Od lat trzydziestych rodzina de Leónów zdołała zgromadzić jedną z największych fortun w stanie. Pierwsi de Leónowie pochodzili z Hawany, lecz skuszeni meksykańskim boorem naftowym, postanowili spróbować szczęścia w La Eternidad. Dzięki intensywnym staraniom w mniej niż dziesięć lat owi niestrudzeni handlowcy stali się właścicielami każdego sklepu samochodowego nad Zatoką Meksykańską. Chwalili się, że co roku otwierają nowe centrum dystrybucyjne. Pod koniec lat czterdziestych zainwestowali w przemysł hutniczy, z identycznymi efektami, a na początku lat osiemdziesiątych otworzyli sieć aptek El Tucán i udało im się zmienić ją w największą firmę farmaceutyczną w północno-wschodniej części kraju, głównie dzięki współpracy z dziesiątką najważniejszych klientów, między innymi naftowymi związkami zawodowymi i Ministerstwem Edukacji Publicznej oraz kolejnymi rządami stanowymi. Tyle że cała ta sława jest zasługą dziadka i ojca pana Rafaela de Leóna, pomyślał Treviño, a ten tu cieszy się sławą hulaki. O siedzącym przed nim biznesmenie, jak przypomniał sobie detektyw, opowiadano tyle korupcyjnych anegdot, że można by

wypełnić nimi całą encyklopedię. Uważany był za czarną owcę, a kiedy w 1980 roku zmarł jego ojciec, spadkobierca musiał porzucić swoje dotychczasowe życie – jeden wielki ciąg zagranicznych imprez – i zająć się rodzinnymi interesami. Ku zaskoczeniu wszystkich, zamiast roztrwonić fortunę przodków na swoje zachcianki, Rafael rozwiął wątpliwości wspólników, które pojawiły się po śmierci założyciela firmy. W niecałe trzy lata sprawił, że interesy rodziny zaczęły przynosić coraz bardziej imponujące zyski. Choć z początku akcjonariusze w dramatycznym zrywie rozważali, czy nie domagać się jego rezygnacji, młody wówczas biznesmen szybko uzyskał tak wysokie wyniki sprzedaży i otworzył tyle nowych sklepów, że jego wspólnicy mogli się tylko uśmiechać.

Don Williams, konsul Stanów Zjednoczonych w La Eternidad i w wolnych chwilach najwyraźniej doradca do spraw bezpieczeństwa na usługach milionerów w kłopotach, obrzucił czujnym spojrzeniem białą koszulę Treviña i odchrząknął.

– Pan de León potrzebuje twojej pomocy.

Trzeba jankesowi przyznać dwie rzeczy, pomyślał Treviño. Po pierwsze, ma odwagę, by siedzieć tu dalej, choć nienawidzi go tylu ludzi. Po drugie, trzeba mieć jaja, żeby na jego miejscu znów zwracać się o pomoc.

– Przedwczoraj w nocy porwano moją córkę. – Biznesmen wziął do ręki mały portret w srebrnej ramce. – Zwinęli ją, kiedy wyjeżdżała z Cheopsa.

Chodziło mu o modną dyskotekę w kształcie piramidy, do której wszyscy młodzi z okolicy chodzili potańczyć i pić się.

– Niech się pan zwróci do organów ścigania – odparł detektyw.

– Nie chcemy, żeby policja grzebała w sprawie. Nie chcemy też żadnych związków z komendantem Margaritem. Chcę, żeby to pan odnalazł moją córkę.

Biznesmen obrócił portret i pokazał mu podobiznę zielonookiej blondynki o oszałamiającej urodzie, która mogłaby spokojnie uchodzić za europejską aktorkę. Choć pierwszym, co zwracało uwagę, były jej jasne oczy o nieprzeniknionym wyrazie, emanujące niesamowitą złośliwością, wzrok oglądającego szybko przesunął się na pukle jej włosów, wiszące nad czołem niczym kurtyna, a potem na doskonały owal jej twarzy. Nos przypominał rzeźbę wysokiej klasy i miało się ochotę na dokładne oględziny jej wydatnych i zmysłowych warg. Ta dziewczyna urodziła się,

by schrupać cały świat. Podobnie jak wszyscy, którzy pierwszy raz widzieli Cristinę, Treviño był pod ogromnym wrażeniem jej urody.

– Ma szesnaście lat – odezwał się jej ojciec.

– Niedługo skończy siedemnaście – uściśliła matka.

Detektyw przyjrzał się jeszcze raz jej twarzy, temu wspaniałemu i lekko szelmowskiemu uśmiechowi, po czym spojrzał na panią de León.

– Pokłócili się z nią państwo ostatnio?

Pani Cecilia de León przytaknęła, choć raczej bagatelizując sprawę.

– Jak w każdy weekend. Nic poważnego. Nie jest łatwo być matką nastolatki, i to jeszcze jedynaczki. – Ów podszyty pretensją komentarz skierowany był do męża.

– Sprawdzili już państwo domy przyjaciółek i chłopaka? Państwa córka ma motyw i środki, mogłaby się ukrywać w mieszkaniu zaufanej osoby. W tym wieku to dość częste.

– Nie jest u żadnej z nich – odpowiedziała kobieta. – Jej koleżanki to poważne i odpowiedzialne dziewczyny, a ich rodzice przysięgają, że u nich jej nie ma. Nigdy by nie skłamali.

– Ma komórkę?

– Dzwonimy co pięć minut, ale nie odbiera.

– Wiem, że uwielbia imprezy – pan de León odezwał się bardzo poważnym tonem. – Młoda jest, a wychowałem ją tak, żeby decydowała sama o sobie. No ale teraz to nie są żarty.

Rozłożył na biurku kilka zdjęć o wymiarach osiem na piętnaście. Na pierwszym widać było różowy kabriolet z otwartymi drzwiami, porzucony na jakimś parkingu. Na drugim plamę ciemnej cieczy na chodniku, nie trzeba było specjalnego wysiłku, żeby się domyślić, że to krew. Ostatnie zdjęcie pokazywało młodego chłopaka podłączonego do respiratora w pomieszczeniu wyglądającym na pokój w drogiej prywatnej klinice.

– To jej chłopak. Załatwili go tak, że jest w śpiączce.

Sądząc po liczbie kabelków przypiętych do jego ciała, szanse, by chłopak kiedyś wstał z łóżka, były wyjątkowo marne.

– Wyszli razem z dyskoteki. Jego znaleźiono... A moja córka...

Pan de León sprawiał wrażenie człowieka na skraju wyczerpania. Szkliste oczy, obwisłe usta. Ten facet już nie daje rady, pomyślał detektyw. Nieprzespana noc i adrenalina właśnie dawały o sobie znać. Jego żona wskazała zdjęcie chłopaka w szpitalu.

– Jeśli tak urządzili jego, to nawet nie chcemy myśleć, jak potraktowali Cristinę.

Treviño zastanowił się chwilę i powiedział:

– Domyślam się, że sprawdzili państwo starannie szpitale i kostnice...

Pan de León przytaknął:

– Nigdzie jej nie ma. Ani w prywatnych szpitalach, ani w Czerwonym Krzyżu. Nawet wysłaliśmy dentystę, żeby sprawdził niezidentyfikowane ciała... Nikt też nie dzwonił z żądaniem okupu. Zupełnie jakby zapadła się pod ziemię.

Treviño przyjrzał się aparatowi telefonicznemu stojącemu na środku biurka w bazie z głośnikami. Obok znajdował się laptop i specjalne urządzenie elektroniczne z mapą miasta, gotowe na ewentualny telefon od porywaczy. Jak pamiętał, techniki lokalizacji stanowiły specjalność obecnego tu Dona Williamsa, znanego także jako Kaczor Donald albo „ten cholerny gringo”.

Detektyw westchnął: najwyraźniej wszystko sprzysięgło się przeciw tej dziewczynie. Jeśli jej rodzice zdecydują się zwrócić o pomoc do przypominającego labirynt wymiaru sprawiedliwości, jego kolegom w policji co najmniej tydzień zajmie uzyskanie jakichkolwiek efektów. Gdyby policji z La Eternidad można było zaufać, należałoby złożyć doniesienie w tej sprawie do Prokuratury Krajowej, która z kolei zwróciłaby się do organów ścigania, a te otworzyłyby sprawę i jeśli udałoby im się zidentyfikować sprawców albo nawet schwytać ich na gorącym uczynku, wówczas prokuratura podjęłaby stosowne działania związane z wymierzeniem kary. Skierowałyby sprawę do sądu, który musiałby zbadać sprawę i wydać nakaz aresztowania domniemanych sprawców, uruchomiono by stosowną procedurę i w wypadku zatrzymania sformułowano by akt oskarżenia, a następnie aresztowani trafiliby najpierw przed oblicze prokuratury, a potem przed sąd. Procedura powolna i kręta, w innych krajach przebiega ona przeważnie szybciej i z lepszymi efektami. Mowa jednak o La Eternidad w stanie Tamaulipas, gdzie prawo jest zwykłym biznesem i górą jest ten, kto więcej zapłaci, a policjanci mają w zwyczaju uzupełniać swoje pensje premiami od przestępców.

– Potrzebujemy twojej pomocy, Treviño. Znasz to miasto jak mało kto. Był z ciebie niezły policjant – powiedział konsul.

A ponieważ dokładnie tym samym zdaniem Amerykanin przekonał go do działania parę lat temu, detektyw z trudem pohamował pokusę, by go uderzyć.

– Jak to pięknie pokazuje, że kłamcy mają słabą pamięć! – wybuchł. – Wyślij swojego przyjaciela, komendanta Margarita.

Twarz jankesa spochmurniała i wszyscy, łącznie z panem de Leónem, domyślili się, że odpowiedź byłego policjanta jest dla Dona Williamsa wyjątkowo obraźliwa. Widząc, że zaraz może się rozpętać burza, Moreno i Bus dyskretnie przysunęli się do Treviña, ale biznesmen powstrzymał ich gestem i zmienił kierunek rozmowy.

– O Margaricie nie chcę nawet słyszeć – oświadczył. – Natomiast pan Don Williams twierdzi, że nikt nie zna komendanta tak dobrze, jak pan, więc jest pan z naszego punktu widzenia idealnym człowiekiem, by podjąć się ratowania mojej córki. Podobno dzięki doświadczeniu z policji wie pan też, do kogo się kierować, jeśli chodzi o ludzi zajmujących się „interesami”, nie wchodząc im niepotrzebnie w drogę. I że niejednen z nich winien jest panu przysługę. Ja proszę pana o to, by w czasie kiedy czekamy na ich telefon, sprawdził pan, czy moją córkę mają Nowi albo ci z Kartelu.

Treviño pokręcił głową.

– Nie mam żadnych kontaktów z tymi ludźmi.

– Nawet z grupą Czterdzieści? – wcięła się pani de León.

– Z żadną – powtórzył Treviño. – Miałem z nimi styczność jedynie zawodową, konieczne minimum z czasów, kiedy pracowałem w policji.

Kaczor przerwał mu:

– No ale śledztwa wcale nie trzeba zaczynać akurat od tego. Jest za wcześnie, by rozstrzygać, czy ludzie zajmujący się „interesami” mają związek ze zniknięciem Cristiny.

– To byli Nowi – upierał się biznesmen.

Dwie strużki łez pociekły po policzkach jego żony. Płakała po cichu, wycierając twarz chusteczką. Treviño spojrział na de Leóna nieufnie.

– Dlaczego pan podejrzewa właśnie ich?

Biznesmen wbił spojrzenie w okno i dopiero po chwili odpowiedział:

– W ciągu ostatniego roku... w ciągu ostatnich dwóch lat pewni ludzie, którzy podawali się za członków tych grup, przychodzili do mnie, domagając się haraczu. Nie raz, przynajmniej kilka. – De León starannie ważył słowa. – Moi ludzie poczuli się w obowiązku odpowiedzieć

stanowczo. Możliwe, choć to by był najgorszy wariant, że porwanie mojej córki jest zemstą za to, jak zostali przez nas potraktowani.

Ciałem jego żony wstrząsnęły spazmy. Przedsiębiorca podszedł, żeby ją pocieszyć. Detektyw tymczasem przyglądał się Busowi i Morenowi. Grubas ze śmiesznym wąsikiem oraz ten typek z hiszpańską bródką doskonale nadawali się do tego, by bez żadnych skrępowań rozprawiać się z bandziorami. Spotkania, rozmowy i pacyfikowanie przedstawicieli wszystkich grup przestępczych, którzy zjawiali się u pana de Leóna, domagając się haraczu, to nie mogła być łatwa praca.

– Kto próbował tych wymuszeń? – zapytał detektyw.

– Sprawdzaliśmy, to mogli być wszyscy – Kaczor uprzedził biznesmena.

A ten dodał:

– Niektórzy podawali się za Nowych, pieprzone dupki i pijawki, kręcili się tu i straszili mi sekretarki. Inni twierdzili, że należą do Starych, do Kartelu, do grupy pana Obregóna, ci byli poważniejsi i nawet niemal grzeczni, zdeterminowani, żeby dostać, czego chcieli. Nie brakowało też nieszczęśników, którzy podawali się za najemników którejś z tych grup, to podrzędni kryminaliści, członkowie gangów próbujący szantażu na własną rękę. Od kiedy w tym mieście zapanował chaos, byle chłystek łapie za broń i paraduje z nią po mieście, domagając się haraczy.

– Były jakieś ofiary? – Były policjant spojrzął na ochroniarzy.

– Nie jestem w stanie tego stwierdzić – odpowiedział pan de León. – No ale nie płacę im za to, żeby stali z założonymi rękami.

Treviño pomyślał, ile z tych ciał z dziurą po kuli w głowie, znalezionych w ciągu ostatnich miesięcy w mieście, mogło być robotą obecnych tu pracowników ochrony i ile musiał płacić pan de León policji i lokalnej prasie, żeby te znaleziska nie wzbudzały zainteresowania mediów.

– Przykro mi. – Oparł obie dłonie na kolanach, jakby zamierzał wstać. – Mam nadzieję, że znajdziecie państwo córkę, całą i zdrową. Chętnie bym pomógł, ale nie chcę sprowadzić na siebie kłopotów.

– Nie zdążyliśmy nawet podać kwoty. Chodzi o działania tylko do czasu, kiedy zadzwonią – nalegał pan de León.

– Źle panu doradzono. – Detektyw spojrzął na jankesa. – Ja już się tym nie zajmuję. Węszenie wokół jakiegokolwiek sprawy oznacza duże ryzyko, a kręcenie się przy tych, którzy zajmują się „interesami”, to już czyste samobójstwo.

– Przecież musi być jakiś sposób...

– Dlaczego pan nie pośle kogoś ze swoich?

– Moi ludzie potrzebni są mi tutaj, mają pilnować biznesu.

– Niech pan ściągnie kogoś ze stolicy. – Treviño wzruszył ramionami. – Albo detektywa z jakiejś innej firmy, z FBI. Ten gringo panu pomoże.

– Nie przeżyłby tu pięciu minut – stwierdził biznesmen.

– Proszę to zrobić dla mojej córki. – Pani de León wyrwała się z objęć męża i złapała detektywa za rękę. – Niech pan pomyśli o naszej dziewczynce. Mój mąż będzie umiał się odwdzięczyć.

– Przykro mi. – Treviño uciekł wzrokiem w bok. – Już nie zajmuję się takimi rzeczami. Bardzo wyraźnie powiedziałem to pańskim ludziom, jednak oni się uparli, że mnie tu ściągną.

– Treviño. – Jasne oczy kobiety błyszczały bardziej niż kiedykolwiek. – Proszę... Dopóki nie zadzwonią.

Odsunął powoli dłonie pani de León, a potem poczuł się w obowiązku wyjaśnić:

– Proszę zrozumieć, jeśli przyjmę tę robotę, musiałbym zaczynać wszystko od nowa w jakimś zupełnie innym miejscu. Po czymś takim nie mógłbym zostać w okolicy, a to mi nie odpowiada. Choć nie było łatwo, jakoś poukładałem sobie życie i podoba mi się to, co mam. Nie mówiąc już o tym, że jeśli przyjmę to zlecenie, najpierw będzie próbowała mnie zabić własna żona. Obiecałem jej, że nigdy nie wrócę do takich rzeczy. Pani jako żona pewnie mnie zrozumie.

– Posłuchaj. – Pan de León zapisał na karteczce jakąś kwotę i pokazał ją gościowi. – Za tę sumę ty i twoja rodzina będziecie mogli zacząć od nowa, gdzie wam się żywnie spodoba. I to na naprawdę dobrym poziomie.

– O ile wyjdę z tego cało. – Detektyw uśmiechnął się, ale tylko zdrową połową twarzy.

– Jako ojciec rozumiem twój punkt widzenia – stwierdził biznesmen. – I proszę, żebyś spróbował zrozumieć mój. Gdyby spotkało cię coś złego, zajmę się twoimi bliskimi. Niczego im nie zabraknie.

Treviño z wahaniem spojrzął w oczy przedsiębiorcy. Zastanowił się jeszcze raz i powiedział:

– Nie, dziękuję.

Widząc, że wszystko stracone, Kaczor westchnął ciężko, wstał i podszedł do okna, tak że Moreno znalazł się między nimi, i powiedział:

– Mógłbyś też pomóc swojemu bratu. Wiemy, że wjechał nielegalnie do Stanów, uciekając przed Nowymi. Biedak, był przecież bardzo kompetentnym księgowym, a teraz musi zarabiać na życie jako parkingowy gdzieś pod San Antonio i utrzymuje się z napiwków oraz tego, co znajdzie na śmietniku. Wyobraź to sobie: człowiek z jego wykształceniem i na jego poziomie musi się martwić, żeby nie iść spać z pustym brzuchem. Od miesiący znajduje się w bardzo ciężkiej sytuacji i w każdej chwili może zostać deportowany. Pomyśl, co by było, gdyby Nowi jednak zdołali go dopaść... Twój brat potrzebuje zielonej karty, a ja jestem w stanie mu ją załatwić. W przeciwnym razie – konsul odchrząknął – szybko może tu wrócić, a to nie byłoby dla niego korzystne.

Treviño zacisnął pięści i posłał jankesowi wymowne spojrzenie. Ani Bus, ani Moreno nie spuszczała z niego oczu; choć ważył najwyżej połowę tego, co każdy z nich, był zdolny narobić im kłopotów, czego dowiódł, gdy po niego pojechali.

Za oknem przemknęła betoniarka i budynek zatrzęsł się nagle. W tym czasie pani de León dostrzegła liczbę wypisaną przez jej męża na karteczce, przewróciła oczami i odezwała się półgłosem:

– Nie bądź sknerą, powiększ tę kwotę, proponujesz mi żałosne pieniądze.

Pan de León westchnął.

– Potrajam ofertę. – Detektyw parsknął i pokręcił niechętnie głową.

Kiedy budynek przestał drzeć, odwrócił się i spojrzał na biznesmena.

– Pięć dni. Jeśli w tym czasie niczego nie znajdę, umowa ulega rozwiązaniu. Warunkiem jest zielona karta dla mojego brata.

Biznesmen i jego małżonka odetchnęli. Pięć dni to zawsze coś.

– Umowa stoi – potwierdził jankes.

– Zapłacę w jednej transzy, kiedy tylko znajdziesz moją córkę – wtrącił się biznesmen. – I z nawiązką, jeśli znajdziesz ją żywą. Czego potrzebujesz na start?

– Wystarczy samochód. I jakieś pieniądze dla informatorów.

– Samochód dostaniesz od razu, jak wyjdiesz przed dom. Weź sobie ten, który ci pasuje. Jeden z nich będzie ci towarzyszył. – Wskazał na Busa i Morena.

– Towarzyszył? – zdziwił się detektyw.

– Tak. Nierozsądnie jest poruszać się samemu. Zwłaszcza po tym mieście.

Treviño przyjrzał się obu gorylom i pokręcił głową.

– Nie masz pojęcia, jak tu teraz jest – nalegał Kaczor. – Poza tym może ci się to bardzo przydać, jeśli natkniesz się na Margarita.

Treviño ponownie zlustrował ochroniarzy, wyraźnie rozważając tę propozycję. Nadal sprawiał wrażenie nieprzekonanego.

– Ile ci potrzeba na start? – Jako że detektyw nie odpowiadał, de León wysunął górną szufladę biurka, wziął plik banknotów, wpakował je do koperty i przesunął na krawędź stołu. – Tu masz dwieście tysięcy pesos.

Detektyw spojrział na biznesmena nieufnie.

– Zdaje pan sobie sprawę, że zapomnieliśmy o jednym?

– A o czym niby?

– Jeśli nie podpiszemy umowy na usługi ochroniarskie, moje działania będą nielegalne. Jak mnie capnie Margarito albo wojsko, będę musiał wyjaśnić, dlaczego mam broń.

De León posłał mu swój specjalny uśmiech, używany wobec kontrahentów po pomyślnym załatwieniu interesów.

– Umowę mamy gotową od paru godzin, brakuje tylko twojego podpisu.

Kiwnął na Morena, który wyszedł z pokoju. Niech to cholera, pomyślał detektyw, w co ja się wpakowałem.

W tej chwili odezwała się komórka Treviña. Detektyw spojrział na ekran, a potem przeprosił i oddalił się do jednego z kątów, żeby odebrać. Konsul nie uрониł ani słowa z rozmowy.

– Tak... Jestem na spotkaniu u pana Rafaela de Leóna... Tak, tego od aptek. Nie ja go szukałem, on mnie znalazł... Nie, nie musisz się martwić, oferują mi posadę w firmie. Już zaraz będę wracał... Zadzwoń za chwilę i wszystko ci opowiem. Nie, nie myśl o tym, długo tu nie zabawię. Nic złego się nie stanie. Dobrze. Zadzwoń, na razie.

Detektyw podrapał się po karku i rzucił:

– Moja żona. – Po czym zwrócił się do konsula, pierwszy raz od początku spotkania. – Rozumiem, że pańscy ludzie obstawili wyjazdy z miasta.

– Tak jest. Pięć osób, które wiedzą, jak wygląda dziewczyna, czuwa przy wylotówkach – wyjaśnił Williams. – Jeden na lotnisku. Inny na

moście do Veracruz. Jeszcze jeden na molo i dwóch przy szosach na północ i zachód. Nie ma szans, żeby ją wywieźli niezauważoną.

– Chyba że wsadzą ją nieprzytomną do bagażnika. – Treviño spojrział na panią de León. – I możliwe też, że nie zamierzają wyjeżdżać żadną z tych dróg. Są inne metody na wjazd i wyjazd z miasta.

– Na przykład?

Detektyw pokiwał głową.

– Łodzią z pustej części plaży. Awionetką, nielegalną trasą. Ciężarówką, mogą ją schować za jakimiś pakunkami czy w owocach albo kukurydzy.

– Jeśli pozwolisz... – wymamrotał konsul.

– Jeśli pan pozwoli... – przerwał mu Treviño. – Od kiedy się znamy, mam same kłopoty. I jedna rzecz: jeśli mój brat nie dostanie zielonej karty, będzie niewesoło.

– Umowę będziemy mieli za sekundkę – uspokoił go biznesmen.

Stojąc przy oknie, detektyw skrzyżował ręce na piersi i przyglądał się robotnikom wchodzącym i wychodzącym z fabryki, dźwigającym metalowe materiały budowlane. W końcu wrócił Moreno i położył spięte dokumenty przed swoim szefem. Detektyw usiadł za biurkiem, wziął do ręki pióro i przeczytał tekst umowy. Podpisując ją, powiedział:

– Postawmy sprawę jasno. W ciągu ostatnich lat próbowali wyciągnąć od pana haracz, i to parę razy. Pańska córka znika, ale nikt nie domaga się okupu. Czas mija i nikt się nie zgłasza. Jak dla mnie to wszystko sprowadza się do jednej kwestii: kim są pańscy wrogowie, panie de León? Czy jest ktoś, kto nienawidzi pana bardziej niż wszyscy pozostali?

Biznesmen zamarł z otwartymi ustami i odpowiedział dopiero po chwili:

– Nie mam wrogów. W każdym razie nic o tym nie wiem.

Detektyw przyjrzał mu się uważnie i zrozumiał, że przedsiębiorca hamuje się, być może ze względu na obecność żony, więc znów uśmiechnął się połową twarzy.

– Niech pan to dobrze przemyśli i zrobi mi listę.

– Od czego zamierzasz zacząć? – zapytał Kaczor.

– Od miejsca zdarzenia.

– To niezbyt rozsądne – przerwał mu konsul. – Parę godzin temu była tam już policja.

– Ale od tego trzeba zacząć.

– W takim razie lepiej, żebym podrzucił cię moim samochodem na dyplomatycznych numerach.

Detektyw sapnął poirytowany.

– A może zdobyłby pan nagrania z kamer ochrony z okolic dyskoteki? Kiedyś komenda miała dwadzieścia kamer zainstalowanych na światłach drogowych na głównych skrzyżowaniach miasta. Jeśli chce się pan okazać pomocny, proszę zdobyć nagrania z ostatnich godzin z alei Costera, Golfo i Héroes de la Independencia. Skoro tak się przyjaźnicie z Margaritem, nie powinno być z tym trudności.

– Między komendantem a mną nie ma żadnej przyjaźni – odparował Williams.

– Jak zwał, tak zwał, nagrania proszę zdobyć. A jeśli nie chce pan gadać z samym komendantem, to pewnie i innych kontaktów w policji ma pan sporo. I jeszcze jedno – popatrz na panią de León – muszę pogadać z najbliższą przyjaciółką córki. Proszę ją uprzedzić, że wpadnę, albo sprowadzić ją tu, żeby się nie przestraszyła.

– Nie wiem, czy się zgodzi – odpowiedziała kobieta. – Wątpię, żeby rodzice ją puścili, jeśli się dowiedzą, że ma rozmawiać z byłym policjantem. Wszyscy się bardzo boją.

– Jeśli z nią nie pogadam, szanse odnalezienia córki spadają o jakieś pięćdziesiąt procent.

– No to do roboty. – Pan de León spojrział na żonę. – Sprowadzimy ją. Musimy tylko dopisać jedną rzecz do umowy: jak się nazywa twoja żona? Musimy ją wpisać jako stronę.

Treviño obrzucił nieufnym spojrzeniem obu ochroniarzy i uznał, że woli zapisać imię i nazwisko na kartce.

– Tu pan to ma.

Nie umknęło jego uwadze, jak patrzyli na jego żonę, kiedy pojawili się na plaży. Przede wszystkim ten grubas ze śmiesznym wąsikiem. Mimo jego nalegań żona wyszła zobaczyć, co się dzieje. Treviño zdał sobie sprawę, że się pojawiła, gdy grubas i jego kolega nagle wyraźnie się rozluźnili i przybrali łagodne miny. Treviño dostrzegł kątem oka, że żona przygląda się przybyszom. Wyglądała oszałamiająco w swojej kwiecistej sukience, którą wiatr tarmosił z upodobaniem. Grubas wręcz oblizywał sobie wargi.

– To ktoś z rodziny?

Treviño nie odpowiedział. Grubas z wyraźną lubieżnością studiował krzywizny ciała dziewczyny: jej wąską talię i krągłe piersi. Kilka kroków dalej Kanadyjczycy sączyli różowe drinki i przyglądali się tej cichej, choć dramatycznej scenie z typową dla turystów ciekawością. Wreszcie Bus się odezwał:

– Niech pan jedzie z nami, to nie potrwa długo.

Detektyw zrozumiał, że nie ma wyjścia, i zatrzymał ich gestem ręki.

– Poczekajcie tam.

Spokojnie wszedł po schodach i pociągnął żonę do środka. Ona, domyślając się, co się dzieje, odwróciła się poirytowana. Detektyw złapał ją za ramiona, a ona pokręciła głową raz i drugi. Goście widzieli, jak kobieta rzuciła się na męża z wściekłością i płaczem, lecz Treviño zdołał ją uspokoić i objął mocno. Potem odwrócił się, szybko zszedł na dół i popędził ochroniarzy:

– No, idziemy.

Ten masywniejszy poszedł natychmiast, lecz ten ze śmiesznym wąsikiem ruszył dopiero po chwili, wciąż zapatrzony w kształty kobiety.

No, mała, pomyślał, pożegnaj się z mężulkiem.

Dopiero wtedy obrócił się i podążył za tamtymi w stronę szosy. Kilka godzin później w gabinecie pana de Leóna Moreno skomentował:

– Ma facet fuksa. Zgarnie za to niezłą kasę... O ile wróci.

– Treviño elegancik – odpowiedział Bus, przyglądając się, jak detektyw podpisuje umowę.

III

Zanim jeszcze detektyw wyszedł z biura, pan de León zapytał:

– Mamy kopię policyjnego raportu, nie chce go pan przeczytać?

Treviño uśmiechnął się tą swoją połową twarzy. Inaczej nie umiał od czasu lania, które urządzili mu koledzy z komendy.

– Kto go sporządził?

– Niejaki Bracamontes – rzucił Kaczor.

– Braca? Szkoda czasu. To nie jest warte nawet papieru, na którym go spisano.

– Słuchaj – zirytował się biznesmen. – Nie było łatwo zdobyć ten dokument. Wiesz, ile musiałem zapłacić oficerowi, żeby mi to udostępnił?

– Domyślam się, że tekst był gotowy od ręki?

– Tak jest.

– No cóż. Bzdury szybko się pisze.

Biznesmen nie odpuszczał:

– Niczego nie warto z góry odrzucać. Kto panu powiedział, że tam nie ma żadnej cennej wskazówki?

Treviño skończył liczyć banknoty, podpisał potwierdzenie odbioru i przesunął papierek w stronę rozmówcy.

– Jeśli nie był zbyt pijany albo naćpany, Braca zaczął od opisu miejsca. Napisał, że znaleziono samochód z uszkodzeniami sugerującymi użycie siły, ale żadnych szczegółów nie podaje. Potem opisał otoczenie i mnożył nieprecyzyjne informacje. Pisze, że auto skierowane było na północ, gdy tak naprawdę zwrócone było na południe, dodaje, że nie znaleziono odcisków linii papilarnych, choć nikt tego nie sprawdził, i nie podaje nazwiska ani jednego świadka, choć o tej porze zawsze jest ich pełno. W drugim akapicie przemyca fałszywy trop, wspomina o obecności osób, których tak naprawdę nigdy nie było, a jeśli starczy mu czasu, w ciągu najbliższych dni zobaczymy, jak aresztuje kogoś niewinnego albo jakiegoś pomniejszego przestępcę, żeby spróbować go zrobić. W wypadku dziewczyny doda, że inni świadkowie zapewnniają, że widzieli grupę podejrzanych osób w nieokreślonym wieku w ciemnym samochodzie bez tablic rejestracyjnych. W takim, powiedzmy, vanie.

– „Czarny van bez tablic rejestracyjnych” – przeczytał pan de León z raportu.

– Takiej formuły używa się w wypadku podobnych uprowadzeń. – Detektyw podniósł się. – Tak najłatwiej załatwić problem: wymyślić fikcyjnego podejrzanego.

Biznesmen rzucił kartki na blat. Treviño schował swój egzemplarz umowy do kieszeni spodni.

– Ja też pracowałem na tej komendzie.

A ponieważ gringo i biznesmen nie przestawali się na niego gapić, dodał:

– Chodźmy dokonać oględzin. Gdzie jest samochód pańskiej córki?

Bus zaprowadził go do garażu, w którym stały dwa mercedesy i potężny pikap z podwójną kabiną, biały, sądząc po uginających się oponach, wszystko dodatkowo opancerzone. Nowiutki żółty jaguar, a w głębi różowy kabriolet.

– To ten – stwierdził Bus.

Były policjant podszedł od strony pasażera i na widok ciemnych plamek na drzwiach, które kiedyś były krwią, pokręcił głową.

– Dzikusy.

Potem przykucnął i uważnie obejrzał drzwi oraz część podwozia. Następnie przeszedł na stronę kierowcy.

– Ile takie coś kosztuje?

Bus oszacował w pamięci.

– Jakieś sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Treviño uniósł brwi.

– Czyli dwa miliony pesos?

– Jakoś tak.

– No ale auta nie zabrali.

– Chodziło im o dziewczynę.

– Nie spieszą się z okupem – stwierdził Treviño. – Nie zadzwonili tutaj ani do biura de Leóna. Dziwne... Jak bardzo zdeptane jest miejsce zbrodni?

– Zostało ogrodzone, ale wcześniej kręciła się tam kupa ludzi. Najpierw z obsługi parkingu, policja, pogotowie, gapie i jeden kolega, który odprowadził auto do domu.

Treviño skinął głową i skończywszy oglądać drzwi, rzucił:

– Nie wydaje mi się, żeby moi czy twoi koledzy zadali sobie choćby najmniejszy trud i zdjęli odciski palców. Powiedziałbym nawet, że ktoś wytarł klamkę szmatką. Z tej strony nie ma żadnych zadrapań na lakierze, ale po stronie pasażera widać plamy krwi i sporo rys... Dlaczego twój szef, skoro groziły mu cholera wie jakie bandziory, puszczał swoją córkę bez eskorty?

– Nie puszczał. – Bus zaczerwienił się. – Ale ona robiła, co chciała, i uciekała mu.

– Domyślam się, że pan de León jest ogromnie zadowolony z waszej pracy. – Detektyw uśmiechnął się połową twarzy.

– Nie twoja sprawa, kolego. Każdemu może się zdarzyć.

– No tak, tak.

Treviño uważnie przyjrzał się Busowi. Ściągnięte brwi, pot na czole. Niezmiennie śmieszny wąsik.

– Które auto bierzemy?

– Na zewnątrz stoją dwa fordys lobo – odrzekł Bus. – Szef powiedział, żebyśmy brali, który chcemy.

– Nie takiego auta potrzebujemy. Do kogo należy tamten rzęch?

Pokazał starego mavericka, białego, czterodrzwiowego, który stał w kącie garażu.

– A, tym jeżdżą pracownicy ze służby domowej. Kucharka i ogrodnik biorą go na targ, na zakupy.

– Ten się nada.

– No bez jaj... Pan de León powiedział, żeby brać, które auto chcemy, tam stoją dwa nowiutki lobo, a ty wybierasz tego gruchota? Jest stary jak cholera! Jeśli coś nam będzie grozić, to każdy z tych fordów jest opancerzony na maksa. Wytrzymają strzały z broni długiej, karabinów dziewięć milimetrów, trzydziestkęósemkę, kule wybuchowe i dum-dum. Na cholere nam tamten złom?

– Jeździ?

– No pewnie, że jeździ.

– Długo stał nieużywany?

– Nie, ciągle jest w ruchu. Ale ma ze trzydzieści lat.

– Bierzemy go. Takim modelem jeżdżą wszyscy taksówkarze w mieście, a ja nie chcę zwracać na siebie uwagi.

– Dyskretny z ciebie gość, Treviño, tylko że tak nas załatwią w try miga.

Wsiedli do białego mavericka, lata temu był to modny model, i ruszyli w stronę głównej bramy, wywołując zaskoczenie u ochroniarzy, odpoczywających w opancerzonych pikapach lobo i naśmiewających się z Busa, zmuszonego do prowadzenia takiego wraku.

Czekając na otwarcie bramy, kierowca zapytał detektywa:

– Słuchaj, a tak między nami, jakie mamy szanse na znalezienie panienki?

Treviño rzucił mu spojrzenie z ukosa i odpowiedział dopiero po chwili. Kiedy pracował w komendzie w La Eternidad, przynajmniej dziewięćdziesięciu procent porwań nie zgłaszano władzom miasta, w znacznej mierze dlatego, że porywacze okazywali się członkami tej czy innej formacji mundurowej albo byli przestępcami współpracującymi z policją i odpalali jej funkcjonariuszom stosowną dołę. Czysty biznes dla wszystkich, prócz rodzin uprowadzonych.

Była na przykład sprawa rodziny de Alba. Grupa uzbrojonych mężczyzn porwała ojca i starszego brata, w trzy miesiące ogołocili całą rodzinę ze wszystkich oszczędności zgromadzonych dzięki uczciwej pracy od świtu do zachodu słońca przez trzy pokolenia.

Albo przypadek rodziny Gonzaga. Porwano zięcia bardzo lubianego w rejonie hodowcy bydła, zażądano ogromnego okupu, który został wypłacony, ale by to zrobić, Gonzagowie musieli sprzedać swój majątek. Porywacze stwierdzili jednak, że pieniędzy nie otrzymali, i zerwali kontakt. Minęły dwa lata i nadal brak było wieści o nieszczęsnej ofierze.

Pracując dla komendanta Margarita, Treviño z obrzydzeniem musiał patrzeć, jak niektóre sprawy tak po prostu się zamyka i bez litości archiwizuje. Wiedział, którzy jego koledzy odpowiadają za zaginięcia dokumentów i biorą za to pieniądze. I nie było trudno się domyślić, że szef też miał swój udział w procederze. Jednak z tego, co wiedział Treviño, jego koledzy z policji nigdy nie zabijali ofiar. Ten zwyczaj przyszedł później, wraz z Nowymi.

Z drugiej strony, jeśli porywaczem był jakiś psychopata, a nie zawodowy kryminalista, zwykle zwlekał trzy dni, żeby zabić, a wcześniej okrutnie torturował ofiarę. Minęło już sporo czasu bez żadnych wieści o dziewczynie. Treviño miał to na względzie i wiedział, że czas się kończy.

– Nie mam pojęcia – odpowiedział.

– Nie ma wątpliwości, że to był ktoś, kto się zna na robocie – stwierdził Bus. – Stawiam na Nowych. Pojedziesz do nich?

Treviño nie odpowiadał, więc ochroniarz nie odpuszczał:

– Państwo de León nie chcą o tym nawet wspominać, ale obawiają się, że porwano ją nie po to, żeby zabić, tylko żeby sprzedać ją jakiejś grupie zajmującej się prostytutką. – Ochroniarz wyczekiwał reakcji detektywa, ale ten nawet nie mrugnął.

– Możliwe – stwierdził Treviño. – Nawet gdyby nie była taka ładna, miałyby to sens.

– Miałeś wcześniej taką sprawę... takie uprowadzenie dziewczyny? – Bus wpatrywał się w rozmówcę z nieposkromioną ciekawością.

Treviño znów zwlekał. A kiedy już odpowiedział, nie podniósł wzroku ani nie spojrzał na kierowcę. Tak jakby coś bardzo smutnego działo się na jego kolanach.

– Kiedy byłem policjantem, zajmowałem się porwaniami. Ale zawsze od razu domagano się okupu. Słyszałem też o innych sprawach, takich, o jakich mówisz, ale to się działo raczej na wybrzeżu Pacyfiku. W Oaxace. Guerrero. Michoacán. Jalisco. Tam porywają dziewczyny i wysyłają je jako prostytutki do Azji. Śniade wzbudzają tam duże zainteresowanie. Kiedy pracowałem w policji, w La Eternidad, nie mieliśmy takich zgłoszeń. Jeśli porywacz nie dzwonił, mogłeś przyjąć, że ofiara nie żyje, że jakiś były narzeczony albo psychol postanowił ją wykorzystać i przeholował albo że dziewczyna po prostu uciekła z domu. Choć to ostatnie raczej rzadko.

Odpowiedź detektywa wyraźnie rozczarowała Busa, który po chwili dorzucił:

– Myślisz, że ona jeszcze żyje?

Były policjant tym razem spojrzał na Busa twardo.

– Wolę nie spekulować.

Przejechali przez coś, co wyglądało jak miasteczko widmo: na większości ulic było pusto, choć wybiła raptem druga po południu. Ruch był niewielki i ślamazarny. Dwa czy trzy samochody zjeżdżały na bok, kiedy w pobliżu pojawiał się masywny pikap. Ci ludzie są śmiertelnie przerażeni, pomyślał. Na dziesiątkach budynków wisiały napisy: „Wynajmę”, „Sprzedam”, „Do przekazania”; przed bankami i sklepami, które sprawiały wrażenie opustoszałych, stali uzbrojeni strażnicy. Dalej: centrum handlowe z powybijanymi witrynami i domy z pozabijanymi

deskami oknami. Na fasadzie budynku należącego do jedynej działającej tu gazety można było się doliczyć jakichś dwudziestu dziur po kulach dużego kalibru. Mijając bar Inglaterra, zobaczyli, że główne wejście zostało zakryte deskami, natomiast okna i neonowy szyld były roztrzaskane, jakby ktoś do nich strzelał.

– A szlag by to. To była moja ulubiona knajpa! Dawno ją zamknęli?

– Będą ze dwa lata – burknął Bus.

– Jest tu jeszcze jakieś sensowne miejsce, gdzie można wpaść na jednego?

Kierowca pokręcił głową.

– No tak fajnego jak Inglaterra na pewno nie ma. W porcie są jakieś speluny, ale często snują się tam goście z bronią. Teraz ludzie piją w domach.

– A ty, Bus? Ty pijesz?

Bus dumnie uniósł głowę.

– Tylko czerwone wino i tylko w wolne dni.

– A, prawdziwy *bon vivant*. A desery jadasz?

– No tak, po obiedzie. A co?

– „Słodocze i winko przystoją dziewczynkom”. – Detektyw uśmiechnął się krzywo, nie przestając patrzeć przed siebie. Bus rzucił mu za to spojrzenie z ukosa: „Cholerny mądrała się znalazł”.

Kiedy maverick, zużyty, ale w dobrym stanie, mocny i gotowy na przygodę, zatrzymał się na pierwszych światłach, podeszła do nich kobieta z jakimś afiszem na piersiach. Było na nim zdjęcie uśmiechniętego chłopaka i napis: „Porwany 2 marca. Pomóżcie go odnaleźć”.

– Dzień dobry panom. – Zanim zdążyli zareagować, wręczyła im ulotkę z podobizną chłopaka i numerem telefonu. – Nie proszę o pieniądze, szukam syna. Wyciągnęli go siłą z jednego baru. Był tam z kolegami. Jeśliby go panowie zobaczyli, proszę do mnie zadzwonić na ten numer.

Treviño próbował wsunąć jej banknot, ale odmówiła:

– Jeśli chce mi pan pomóc, to niech pan nastawia oczu i uszu. Jestem jego matką i obiecałam, że zawsze będę o niego dbać. Będę go szukać, póki żyję.

Kiedy kobieta cofnęła się o krok, Bus docisnął pedał gazu i ruszył główną aleją.

Z drugiej strony ulotki napisano na maszynie: „Mojego syna zabrali źli ludzie. Chciał zostać poetą. To ostatnie, co napisał”. Detektyw zaczął czytać wiersz, ale Bus wyrwał mu druczek z ręki, zmiął i wyrzucił za okno.

– Nie ma co tracić czasu na takie bzdety – stwierdził. – Takich kobiet jak ta pełno na każdym rogu w tym cholernym mieście.

IV

Bus przyspieszył. Biały maverick, bez klimatyzacji i nieopancerzony, gnał jak oszalały, aż ujrzeni parking pod dyskoteką Cheops, na którym stanęli, hałaśliwie klekocząc silnikiem.

– Jasna cholera – Bus nie maskował swojej irytacji – pieprzony rzęch, zdechniemy z gorąca!

– No dobra – przerwał mu ekspolicjant. – Gdzie to się wydarzyło?

– Właśnie tu. – Bus wskazał zakątek parkingu otoczony taśmą z oznakowaniem policji.

– Daj mi chwilę. – Wyjął jedną z kartek, które dostał od konsula: listę przedmiotów znalezionych w kieszeniach młodego Alberta Perkinsa, kolegi Cristiny z uczelni oraz syna wspólnika pana de Leóna. Nie było tam nic, co u chłopaka w jego wieku wydałoby się zaskakujące: biała pachnąca chusteczka z jego inicjałami, paczka miętowych pastylek, prawo jazdy, portfel zawierający dwa tysiące pesos w banknotach po sto, kartę kredytową ojca oraz kilka wizytówek, które, choć liczył sobie tak niewiele lat, określały go jako „doradcę podatkowego” w kilku restauracjach z La Eternidad.

– Nie mów mi, że jego tatuś jest właścicielem hamburgerowni El Vaquero...

– Mhm.

– Hamburgery mają tam niezłe – stwierdził detektyw. – Jak się nadarzy okazja, warto tam podjechać.

– Dużo lepsze są kukurydziane gorditas w dzielnicy Guadalupe. – Busa zirytował tamten komentarz. – A co? Pewnie nie lubisz gorditas?

– Smaczne są, ale wolę hamburgery. Potąd mam kukurydzy. – Detektyw przesunął palcami na wysokości oczu.

– Tak czy inaczej, dzisiaj nie zjemy ani tego, ani tego, bo obie knajpy są już zamknięte.

Treviño spojrzął na zegarek.

– A o której tu zamykają?

– Od pół roku wszystkie lokale zamykają się przed zmrokiem.

– Dlaczego?

– Od kiedy jest tyle strzelanin na ulicach, ciężko spotkać kogoś na mieście po piątej czy szóstej. No a jeśli chodzi o restauracje, ludzie chadzają tam tylko na śniadania.

– Ale jak są w stanie się utrzymać, skoro zarabia się głównie na kolacjach i lunchach? Kto pije cały ten alkohol?

Bus sprawiał wrażenie poirytowanego.

– Większość knajp sprzedaje tylko na wynos. Zwolnili kelnerów i zatrudnili dostarczycieli na motorach. Teoretycznie alkoholu z dostawą do domu nie oferują, bo to jest zakazane, ale jak dasz w łapę dostarczycielowi, przywiezie ci, co sobie zażyczysz. Tak to od pewnego czasu wygląda.

Treviño rozejrzał się. Ulica była pusta, witryny pobliskich lokali pozamykane albo nawet zamurowane, zupełnie jakby północny wiatr, który dzień wcześniej chłostał wybrzeże, wywiał gdzieś wszystkich mieszkańców. – Nie wyobrażam sobie ludzi z La Eternidad siedzących w domach. Kiedy tu mieszkałem, od piątku do niedzielnego popołudnia wszyscy grillowali. Takie imprezy trwały i po dwanaście godzin.

Bus uniósł ramiona w geście zdradzającym zniecierpliwienie.

– Doczytałeś do końca?

– Nie poganiaj mnie, facet, bo będę musiał zaczynać od nowa.

Niemal na końcu listy Treviño doczytał, że wśród przedmiotów znajdowały się jeszcze trzy klucze, paczuszka z trzema prezerwatywami z kończącą się datą ważności oraz instrukcją obsługi. Nie mógł powstrzymać półuśmiechu wykwitającego mu na ustach.

– Co za chłopak. Mówisz, że się nie obudził? W jak ciężkim jest stanie?

– No w dość przejebanym. – Bus spojrzął na zegarek. – Wciąż jest podłączony do respiratora... Wiesz co, jeśli chciałeś czytać papiery, to trzeba było zostać w domu. Zdechnę tu z gorąca.

– To idziemy. – Detektyw założył słomkowy kapelusz i ciemne okulary.

Podeszli do miejsca, w którym znaleziono samochód dziewczyny, obok rzędu palm.

– Wszystko wygląda tak jak wtedy, kiedy znaleźliśmy auto – odezwał się Bus.

Oprócz plamy krwi na chodniku Treviño dostrzegł odłamki szkła.

– Popatrz. – Detektyw wyjął chusteczkę z plastikowego woreczka, pochylił się i podniósł coś, co pokazał Busowi. Biały guzik. – Sprawdź, czy w koszulce chłopaka nie brakuje jakiegoś guzika.

Goryl wyciągnął dłoń po znalezisko, ale detektyw uśmiechnął się i schował dowód rzeczowy do kieszeni koszuli.

– Ja to przechowam.

Ponownie nachylił się. Uklęknął i wpatrywał się uważnie w ziemię.

– Nie znalazłeś wczoraj niczego, co by należało do dziewczyny?

– Czyli czego na przykład?

– Kolczyki, zegarek. Kawałki łańcuszka...

– Nic a nic. – Kierowca podwinął rękawy koszuli. Na torsie wykwitła mu już wielka plama potu.

Detektyw wstał i podszedł do policyjnej taśmy. Nie minęły nawet dwie minuty, a i on był zlany potem. Mimo gorąca badał teren bardzo powoli, jakby analizował ślady intensywnego promieniowania słonecznego na terenie parkingu.

– W raporcie jest napisane – odezwał się Treviño – że chłopak ma poważne uszkodzenia czaszki, zadrapania na lewym ramieniu, które musiały powstać w wyniku upadku, koszulkę zachlapaną krwią, dwa złamane palce i całą serię urazów na obu przedramionach. To rodzaj ran, jakie odnosi człowiek, który próbuje zasłonić się przed uderzeniami zadawanymi tęym narzędziem... Poziom alkoholu we krwi miał bardzo niski: za mało, by uznać go za pijanego. Nie wiemy, kto go zaatakował... No wreszcie, stary! Mamy ślad opony.

– A, cholera... – Bus, zakłopotany, spłonął rumieńcem.

Treviño wskazał czubkiem buta ślad na ziemi.

– Zamazany, ale się nada. Dziwne, widzisz tę krawędź? Zupełnie jakby ktoś próbował to zatrzeć. To mocny trop. Masz czym zrobić zdjęcie?

Bus wyjął komórkę i sfotografował ślad.

– Cholera, było ciemno, jak tu przyjechałem. Nie zauważyłem.

– Mhm. Zrób jeszcze jedno, upewnij się, czy ostrość jest dobra. Nie możemy niczego pominąć. Zwróć uwagę na to miejsce – powiedział Treviño. – Tu ślad jest bardzo wyraźny, musieli ruszyć z piskiem opon. Kojarzysz kogoś, kto się na tym zna?

– Popytam – odpowiedział Bus. – Mógłbym z tym podejść do jednego warsztatu wulkanizacyjnego.

– Dobrze. Szkoda, że nie mają tu kamer. – Detektyw spojrział na górną część hali dyskoteki. – Takie to niby wszystko ekskluzywne, ale bezpieczeństwo klientów kompletnie im zwisa.

– Tu handluje się narkotykami – stwierdził Bus. – Parkują tu dilerzy, ludzie wychodzą po dragi. Ciemność to interes.

A potem, przypatrując się przez chwilę ruchowi ulicznemu, Bus dodał:

– Wie pan co, niezbyt rozsądnie jest tu przesiadywać.

– Po co ten pośpiech, Bus? Przecież nie chcemy się wygłupić, nie?

– Ale nie ma co przeginać. Pańscy koledzy mogą wrócić na miejsce przestępstwa, a ja nie chcę problemów z komendantem Margaritem... Czegoś jeszcze szukamy czy co?

Były policjant szedł, rozglądając się uważnie.

– Musimy znaleźć niewidzialnego świadka. Takiego, który nie został odnotowany w policyjnym raporcie. Którego nikt nie szukał, bo nikt nie chciał go znaleźć.

A ponieważ Bus patrzył na niego zdziwiony, dodał:

– Tragedia tego kraju polega na tym, że wszystkie tropy są zawsze na widoku, tylko nikt nie próbuje ich znaleźć. O, jest. Może pojedź do tej wulkanizacji i zapytaj o oponę. Wróć po mnie za pół godziny, ja pogadam z niewidzialnym człowiekiem.

– Pan tu zostanie sam?

– Nie, z aniołem stróżem. – I poklepał taurusa, którego trzymał za paskiem.

Bus odpowiedział:

– Wolna wola, nie moja sprawa. – Oddalił się.

Detektyw odczekał, aż samochód zniknie mu z oczu. Dopiero wtedy przeszedł na drugą stronę ulicy i ruszył w stronę baru z tacos, jedyne w szeregu budynków. Na oko siedemdziesięcioletni staruszek uwijał się z mopem we wnętrzu lokalu.

– Zamknięte – powiedział.

– Nie przyszedłem jeść – odpowiedział detektyw.

V

Carlos Treviño, co za historia! – wykrzyknął staruszek. – Wybacz, że cię nie poznałem, ale z tą fryzurą i włosami w ogóle nie przypominasz wnuczka pani Rosity. Jak twoja babcia? Wspaniała z niej kobieta, przekaż pozdrowienia jej i mężowi. Nie widziałem cię tutaj, od kiedy rozdzieliłeś tych dwóch chłopaków, którzy się tutaj bili, bardzo ci byłem wdzięczny... Jak to dobrze, że wrócił tu jakiś prawdziwy policjant. Wejdz. Nie dziw się, że zamykam drzwi na klucz, chodzi o bezpieczeństwo. Mam jedną prośbę: jak będziesz robił raport, nie dawaj tam mojego nazwiska. Oficjalnie niczego nie widziałem i nie mam zamiaru niczego zgłaszać. Jeśli mi to obiecasz, wszystko ci powiem. Po tym, co się wczoraj stało, nie miałem najmniejszego zamiaru przychodzić dziś do lokalu, ale ktoś musiał przyjąć dostawców.

Były policjant przytaknął i przez kilka minut słuchał opowieści staruszka na nieistotne tematy, aż ten sam z siebie zamilkł. Wtedy Treviño zapytał:

– O której wydarzyła się ta historia z dziewczyną?

Stary zawahał się na chwilę, rozejrzał na boki, jakby szukając wyjścia awaryjnego, a kiedy już się przekonał, że nikt go nie wyratuje, odpowiedział szybko:

– To było wpół do dziewiątej, cholera.

– Na pewno? Tak dobrze pamiętasz?

Stary przytaknął.

– Od jakiegoś czasu mam nawyk sprawdzania zegarka, kiedy widzę coś dziwnego. Zapisuję sobie godzinę i potem staram się ustalić, czy piszą o tym w gazetach. Taki zwyczaj, bo od kiedy jest ten nowy rząd, chodzi mi o gubernatora stanu, widzę, że żadne gwałtowne zajście nie trafia do gazet ani do radia, a różne rzeczy się dzieją, przecież niejednego trupa tu na ulicy widziałem, a w mediach nic. Ten program z lokalnymi wiadomościami, co się go słuchało każdego wieczoru, zlikwidowali już jakiś czas temu. Zamiast niego puszczają sponsorowane przez rząd federalny kawałki z operetek. No wyobraź to sobie!

– Operetki. – Ten komentarz wymusił półuśmiešek na twarzy Treviña.

– Matka pana gubernatora była chyba tancerką.

Staruszek wskazał kasę:

– Siedziałem tu i podliczałem. Musiałem sam zająć się obsługą, bo mój pracownik się rozchorował, no a kucharz nie może robić tacos i obsługiwać klientów jednocześnie, to wbrew zasadom higieny. Stałem za ladą i myślałem sobie, że chyba już nie wytrzymam tego cholernego upału, że może rozpęta się wreszcie jakaś burza, cyklon czy przynajmniej zacznie wiać: niechże, na miłość boską, pojawi się jakiś wiatr i zmieni pogoda, bo przez cały tydzień nie było nawet jednego świeżego powiewu. Było po dziewiątej, a gorąco jak w południe, głowa bolała, w ustach pył i posmak benzyny. Wydawało mi się, że gorzej być nie może, a tu proszę: zjawiają się te bydlaki i Boże uchojaj... – Stary przerwał i zaciągnął się papierosem. – Przez ostatnie pięć lat miasto opustoszało. Najpierw zniknęli bogaci, właściciele miejscowych firm z rodzinami, potem większość moich klientów. Zagląda tu coraz mniej ludzi i czasami, jak wczoraj wieczorem, zastanawiam się, po co jeszcze prowadzę ten bar i czy naprawdę wierzę, że kiedyś będzie lepiej. Nie dam rady otwierać wcześniej. Inne restauracje dostarczają jedzenie do domów, ale ja jestem skazany na taki tryb pracy, bo moi klienci zjawiają się w nocy. Większość to ci, co wyszli z pracy albo z dyskoteki, albo z tych spelun z okolicy, i jak są zmęczeni albo wstawieni, uważają, że wpadną na parę tacos i zaraz staną na nogi. Mój bar słynie z pikantnych sosów. Najszybsza droga do zapalenia żołądka, jak mawia moja żona. To dobrze, bo ludziom się wydaje, że takie jest najlepsze lekarstwo na wszystkie dolegliwości. Jeśli jesteś pijany, zmęczony, głodny albo cierpisz na bezsenność, idź do baru tacos El Venado. Gdyby nie ten sos, który szykuję co tydzień: pomidory, kolendra, zielona papryczka i soczysta, chrupiąca cebula posiekana w kosteczkę, mój lokal już by nie istniał. Sos to klucz do sukcesu. Dlaczego, twoim zdaniem, hamburgery pana Perkinsa mają takie wzięcie?

– Może nie są złe. Ale zamykają tam jakoś o szóstej.

– Raczej koło piątej – poprawił go stary.

– Niech to szlag. – Detektyw zerknął na zegarek. – No to opowiedz mi o wszystkim. Co widziałeś?

– Żeby było jasne: robię to tylko dlatego, że cię znam, bo gdyby zapytał mnie ktokolwiek inny, pary bym z gęby nie puścił.

– Co widziałeś?

– No więc stałem sobie tutaj za ladą, podawałem sos i podliczałem rachunki, kiedy nagle usłyszałem krzyki. Jakaś dziewczyna krzyknęła: „Kłamiesz!”, a chłopak jej odpowiedział: „Zapytaj swojego ojca!”. Wtedy rozległ się bardzo głośny pisk opon. Pierwsze, co zobaczyłem, to to, że tam, przed nami, na tym parkingu po drugiej stronie, dwa duże samochody, czerwony i czarny, blokują wyjazd jakiemuś kabrioletowi, w którym siedzi dziewczyna i chłopak, no i ten chłopak wdaje się z ludźmi z tych samochodów w dyskusję. Kiedyś takie utarczki zdarzały się tylko między pijanymi kierowcami. Leciało parę obelg i po sprawie: teraz byle chłystek łapie za pistolet... No i stąd, zza lady, widzę, że z czerwonego vana wysiada dwóch typów, a dwóch innych z czarnego. Szybko otaczają kabriolet, w którym siedziała ta para. Jeden z facetów, co wyszli z czerwonego, to był właśnie ten, z którym przed chwilą kłóciła się ta dziewczyna, wygolony na łyso i fest zbudowany chłopak, nie z tych, co to pakują na siłowni, tylko taki, co rzeczywiście ciągle nosi ciężary, powiedziałbym, że jakiś farmer czy murarz. Ten chłopak stał od strony kierowcy, skrzyżował ręce na piersiach i patrzył na dziewczynę. Coś jej powiedział, ale nie dosłyszałem co. Wtedy ona otwiera drzwi i rzuca się na niego, wściekła, jakby szału dostała, bije go raz czy dwa, a facet tylko się śmieje. Dziewczyna ładna, blondynka, z włosami do połowy pleców. Nie mam pojęcia, co ta panienka, wyraźnie z dobrego domu, mogła mieć wspólnego z tymi typami. Ubrani byli jak członkowie gangu, czapki z daszkami do tyłu, luźne i podwinięte spodnie, jaskrawe adidas.

– Mieli tatuaże?

– Nie zauważyłem. Ale spodnie i bejsbolówki widziałem dobrze, bo miały ostre kolory.

– A koszule? Jakie mieli koszule?

– Ten, co go widziałem, jak się kłócił z dziewczyną, a tylko on był koło mnie rzeczywiście blisko, nie nosił koszuli, tylko taką sportową koszulkę, czerwoną, jak koszykarz.

– Miał jakieś łańcuchy, srebrne ozdoby?

– Słuchaj, ja nie mam w oczach lornetki...

Detektyw uśmiechnął się półgębkiem.

– I co dalej?

– Ten chłopak, który siedział obok dziewczyny, wysiadł za nią, ale dwaj inni złapali go pod ręce... Wołał do niej: „Cristina, wracaj do auta, Cristina!”. Dobrze to pamiętam. Wtedy usłyszałem, jak jeden mój klient

rzucił: „No to już po gościu”, i widzę, że ci dwaj, co przytrzymywali chłopaka, wyciągają spod koszulek krótką broń. Zamarliśmy wszyscy albo prawie wszyscy. Ponieważ moi siostrzeńcy akurat jedli na chodniku, zdjąłem fartuch, podleciałem do nich i wołałem: „Szybko do środka!”. Problem w tym, że zareagowali dość wolno. Siedzieli na linii ognia, ale nie zdawali sobie sprawy z niebezpieczeństwa, w jakim się znaleźli. Musiałem ich poganiać, żeby weszli, jednego nawet walnąłem, żeby zareagował. Od trzech stolików odgoniłem ludzi, ale znaleźli się jacyś smarkacze, którzy odmówili i woleli zostać na zewnątrz, żeby patrzeć, co się będzie działo, nie przestając popijać piwa. Kiedy już schroniliśmy się w środku, jeden z tych gnojków rzucił: „Ej, chyba ją zabierają”, i wtedy się odwróciłem. Zobaczyłem, jak najwyższy z tych facetów łapie dziewczynę za ramię i wciąga do dużego czerwonego samochodu.

Detektyw zatrzymał go ruchem ręki.

– Chwila: wsiadła sama czy zaciągnęli ją siłą?

– Zaciągnęli. No jak w każdym porwaniu. Tamten nie puszczał jej ręki ani na moment.

– Opierała się?

Stary zamyślił się na chwilę.

– No nie jakoś bardzo. Skarżyła się tylko, że za mocno ją trzyma.

– Jesteś pewien?

– A po co miałbym kłamać? Ten wysoki otworzył i zamknął za nią drzwi, a kiedy ona znalazła się w środku, usiadł na miejscu pasażera. Ruszyli od razu i wyjechali główną bramą. Wtedy usłyszałem krzyki, odwróciłem się i zobaczyłem, że ci goście z czarnego vana biją raz, drugi, trzeci tego chłopaka, co był z dziewczyną, ale ponieważ dobrze się bronił, jeden z tych rąbnął go, tak łup, łup, łup, kolbą rewolweru. Chłopak jakby zastygł na chwilę, a potem nogi się pod nim ugięły. Uczepił się kolan tego, co go okładał, a ten bydlak znowu uderzył go dwa razy w kark. Wyglądało to tak, jakby mu rozwalił czaszkę, a chłopak powolutku, powolutku osunął się na plecy. Tamci wsiedli do auta i odjechali z piskiem. Ludzie wychodzili z dyskoteki, paru parkingowych też to widziało, ale nikt się nie wtrącał, nie zadzwonili nawet po policję. Stali tam wszyscy, przerażeni, i zareagowali dopiero, kiedy oba vany przejechały na czerwonym świetle i popędziły aleją de las Palmas. Jak zawsze w takich wypadkach moi klienci zwiali, nie płacąc. Przynajmniej dwa tysiące pesos tak straciłem, nawet koszty mi się tego dnia nie

zwróciły, bo po tym zajściu nikt więcej nie zjawił się. Kiedy klienci zniknęli i zostaliśmy tylko z moimi siostrzeńcami, podszedł kucharz, wręczył mi fartuch i powiedział: „Rezygnuję. Tego w czerwonej koszulce nazywają Rekin. Podobno siedzi w biznesie, wolę, żeby mnie tu nie było, kiedy wróci”. To samo powinienem zrobić i ja, ale kto by przyjął dostawców?

Treviño nie dowierzał.

– Rekin?

– Tak powiedział.

– A ten twój kucharz wie, gdzie go znaleźć?

– Najpierw trzeba by znaleźć kucharza. Zadzwoiłem dziś do niego do domu, ale powiedziano mi, że wyjechał z miasta.

Detektyw zerknął w swoje notatki sporządzone nerwowym pismem.

– Jesteś pewien, że jej nie bili?

– Tylko chłopaka. Ale na tym się nie skończyło, bo rozeszła się plotka, że podejrzone typy porywają ludzi na parkingu. Parę razy słyszałem, jak ludzie wychodzący z dyskoteki wołali do nadjeżdżających: „Nie wchodźcie! Porywają ludzi!”. Tak że w ciągu następnej półgodziny dyskoteka opustoszała i przepłoszyli mi wszystkich klientów. Nikt nie chciał zostać uprowadzony. Kiedy już wszyscy wynieśli się z lokalu i każdy, jeśli mógł, wyjechał swoim autem z parkingu, ustawiając się w kolejce do bramy, zobaczyłem wysokiego faceta w teksańskim kapeluszu, ubranego na czarno, który zmierzał w stronę mojego baru. Nie widziałem, skąd wyszedł, zauważyłem go dopiero, gdy znalazł się tuż przy mnie. Typ w czarnym kapeluszu zapytał mnie: „Stałeś tu chwilę temu w drzwiach?”. Na co ja powiedziałem, że owszem. „Wszystko widziałeś?”. Ja nic nie odpowiedziałem, a on zakpił: „Tacy jesteśmy dyskretni?”. Wtedy rozchylił poły kurtki, pokazując mi, że jest uzbrojony. Postukał parę razy palcami w kolbę swojego rewolweru, tak żeby zwrócić uwagę, i ponowił pytanie: „Co widziałeś?”. Pomyślałem o tym chłopaku w czerwonej koszulce, wysokim i szerokim w barach, na którego wołają Rekin. Pomyślałem o tych osiłkach, którzy mu towarzyszyli, i odpowiedziałem: „Niczego nie widziałem, proszę pana, stary już jestem”. Ten w kowbojskim kapeluszu uśmiechnął się i powiedział: „Gratuluje, to najlepsza możliwa odpowiedź. Jeśli ktoś cię o to zapyta, nic nie zaszło, rozumiemy się?”. Odpowiedziałem: „Jak pan sobie życzy”, a on dodał: „Nic nie zaszło”. A potem oddalił się w ciemność. Po minucie

poczułem, jak spada mi poziom cukru, i przysiadłem sobie tu, gdzie teraz stoimy. Więc jeśli ci o tym opowiadam, Carlos, to zupełnie nieoficjalnie. I przez wzgląd na twoją babcię i dziadka. – Stary uśmiechnął się jak święty albo natchniony. Ale uśmiech po chwili zniknął mu z twarzy i pokręcił głową z powagą. – Sam nie wiem, dlaczego się śmieję... Wybacz, ale jeszcze nie wymyśliliśmy takiej miny, która mogłaby wyrazić ten koszmar, w którym przyszło nam żyć. Porwania, egzekucje, odcięte głowy, ludzie rozstrzeliwani z karabinu maszynowego, ekspresowe uprowadzenia... To wszystko jest dla nas nowe, my chcielibyśmy się stąd wynieść, ale nie mamy jak, widzimy to wszystko z bliska, trwamy tu z uporem, pracujemy i tu żyjemy.

Komendant Margarito?

– Przy telefonie.

– Niejaki Carlos Treviño wypytuje o dziewczynę.

– Treviño? Na oko trzydzieści lat, śniady, z blizną po lewej stronie czoła?

– Ten sam. Nosi białą koszulę i słomkowy kapelusz.

– Dobrze by było aresztować gościa, ma parę niezakończonych spraw z wymiarem sprawiedliwości. Gdzie on teraz jest?

– Chwilowo pracuje dla pana Rafaela de Leóna, ale nie wydaje się, żeby zamierzał zostać w mieście na długo.

– Posłał po niego pan de León czy on sam zaproponował mu swoje usługi?

– Sam nie przyjechał, przywieźli go. Ale w tym wypadku na jedno wychodzi.

– Nie przejmuj się, zajmę się tym. Tylko daj znać, jak się nadarzy okazja.

– Tak jest, panie komendancie.

Margarito, z trzema sygnetami na palcach prawej dłoni i do tego jeszcze z nieobciętymi paznokciami, spojrzął na swoich podwładnych.

– Carlos Treviño... I kto by to pomyślał?

VI

Dwadzieścia minut później Bus zatrąbił, dając znać o swojej obecności. Detektyw przeszedł na drugą stronę ulicy, przeciął parking pod dyskoteką i wsiadł do białego mavericka.

– I co tam?

– Miałeś rację, w koszuli młodego Perkinsa brakuje guzika, białego.

Treviño nie ucieszył się z tej wiadomości i uważnie przyjrzał się Busowi.

– A druga sprawa?

Bus spojrział na zapiski, które sporządził sobie na serwetce.

– Ten ślad na jezdni pochodzi z najdroższej z dostępnych opon. Marka nazywa się Conqueror, są importowane i używa się ich głównie poza miastem, do samochodów terenowych, ale dają radę też na piasku albo szutrowych drogach. Mówią, że wzór jest nie do pomylenia, bardzo agresywny, byle kto na czymś takim nie jeździ. To bardzo droga opona do ciężkich i luksusowych aut.

– Na pewno? Nie nabujali ci?

Kierowca schował swoje zapiski.

– Tak mi powiedział ten ekspert. Pracuje w jednym z warsztatów pana de Leóna.

– Czyli opona przemytnika. Niedobrze. – Detektyw popatrzył na ochroniarza. – Potrzebne nam wtyki w komendzie.

– Aj! Treviño, co to za pomysły! – Bus nie wytrzymał. – Pan za wszelką cenę chcesz nas wpakować w jakieś szambo!

Bus prowadził, jechali główną aleją, a detektyw zadzwonił do konsula. Odebrał po pierwszym sygnale.

– I co, Treviño, jakieś nowości?

– To był gość, którego nazywają Rekin. Możliwe, że pracuje dla którejś z grup przestępczych, i możliwe też, że mieszka poza miastem. Nie można wykluczyć, że zajmuje się pracami polowymi. Albo kiedyś się zajmował, a teraz pracuje dla gangu. Może mieć jakieś dwadzieścia, dwadzieścia pięć lat.

Bus słuchał tego z otwartymi ustami. Kaczor odpowiedział dopiero po chwili.

- Twoje źródło jest wiarygodne?
- Stuprocentowo.
- Może nas z nim skontaktować?
- Nie, to tylko świadek, nigdzie nas nie zaprowadzi. Będę szukał innej drogi. Nie dzwoniłi jeszcze w sprawie okupu?
- Wciąż nic. Co jeszcze wiesz o tym... Rekinie?
- Pracuję nad tym. Potem wszystko opowiem.
- W porządku.
- To my wracamy, ale potrzebuję jednej rzeczy.
- Mów.
- Trzeba się włamać na częstotliwość komendy.
- Hm... Treviño, to jest przestępstwo...
- Ale jeśli mamy znaleźć tę dziewczynę, to trzeba to zrobić. I trzeba też wyciągnąć raport od telefonistek.
- Co takiego?
- Raport telefonistek. Na komendzie pracują trzy dziewczyny, które odbierają telefony, każda ma ośmiogodzinną zmianę i przed wyjściem podpisuje każdorazowo sprawozdanie ze wszystkimi informacjami przekazanymi przez agentów i petentów. One odbierają zgłoszenia i przekazują je sierżantowi, który zawiadamia pierwszego dostępnego człowieka, żeby się tym zajął. Ten dokument wypełnia się ręcznie, i to specjalnymi skrótami.
- A po co nam to?
- Musimy wiedzieć, jakie zdarzenia z użyciem przemocy zostały zgłoszone w ciągu ostatnich dni.
- Słuchaj, Treviño, ja nigdy nie zrobię niczego poza prawem. Tym bardziej że mnie o to prosisz przez komórkę... Ale ludzie często do mnie przychodzą i dają mi rzeczy, o które wcale nie prosiłem... Może znam kogoś, kto nam pomoże w tych dwóch sprawach.
- Nie dziwi mnie to. Niedługo u was będę, ale wcześniej muszę się jeszcze z kimś zobaczyć.
- Zgoda. Naprawdę świetnie, że z nami współpracujesz.
- Odwal się pan. To samo mi pan mówił, kiedy szukałem tego typu od piły.
- I rozłączył się, wiedząc, że Williams nie ma jak na to odpowiedzieć.
- Widząc, że detektyw jest najwyraźniej w kiepskim humorze, Bus skorzystał z okazji i rzucił komentarz:

– Ale wiesz co, Treviño, żonę to masz naprawdę śliczną.

Detektyw rzucił mu kose spojrzenie, ale nie odpowiedział. Po minucie, może półtorej, Bus dodał:

– Ona nie jest stąd, prawda? Nie wiem dlaczego, ale skojarzyła mi się z tymi nielegalnymi emigrantkami, bardzo ładnymi, co do nas zjeżdżają z Ameryki Środkowej czy Kolumbii, trafiają tu w drodze do Stanów, ale kiepsko im idzie i postanawiają zostać...

Detektyw powoli obrócił się i wbił spojrzenie w Busa. Kierowca poczuł ciężki wzrok towarzysza na prawej skroni, ale zanim zdążył zareagować, Treviño odezwał się:

– Ty też nie jesteś stąd, co?

– Ależ nie, tutejszy jestem.

– Nie. Nie jesteś.

Bus rzucił mu pogardliwe spojrzenie. Detektyw nie odpuszczał.

– Nie, ty musisz być ze stanu Nuevo León albo Coahuila. Jeśli miałbym obstawiać, to z Coahuila. Nazwisko masz raczej dziwaczne jak na te tereny.

– Pochodzę z Piedras Negras.

– Aha – ciągnął detektyw. – A kiedy tu przyjechałeś?

– W lutym będą trzy lata.

Treviño podliczył.

– Tyle mniej więcej czasu ja mieszkam poza miastem. Dobrze znałeś tę dziewczynę?

Bus spojrzał na byłego policjanta nieufnie.

– No jak wszyscy, którzy pracujemy dla pana de Leóna.

– Jaka ona właściwie jest?

– Ale co masz na myśli?

– Jakie miała przyzwyczajenia?

Kierowca chwilę się zastanawiał, skupiony na prowadzeniu samochodu.

– Uwielbia sport. Kiedy tu mieszkała, bo wcześniej pół roku siedziała w Szwajcarii, codziennie chodziła na siłownię i aerobik, uczyła się tańca jazzowego, francuskiego i włoskiego.

– Kto ją woził?

– Ja. Jej ojciec kazał mi się nią zajmować.

– Gdzie chodziła na ten jazz?

– Do klubu swojego taty.

– A języków uczyła się w szkole u zakonnic. Domyślam się, że musiałeś parkować gdzieś z boku, żeby nie przepłoszyć panienek. Potem wszystko zaczęło się chrzanić, w mieście zrobiło się niespokojnie, więc wysłali ją do Szwajcarii. A nie zrobili tego, żeby odciąć ją od jakichś złych znajomości?

Bus odwrócił się w stronę detektywa, zaciekawiony.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Bierze narkotyki? Zna się z jakimś dilerem? Ma przyjaciół z powiązaniem w biznesie? Nie powiesz mi, że nie ma żadnych grzeszków.

Bus wziął ostry zakręt, odbił w prawo i dopiero odpowiedział:

– No czasami... czasami podpijała potajemnie wino albo kieliszek baileysa czy midori, ale zawsze po obiedzie i tylko w domu. Nigdy nie widziałem, żeby coś piła na mieście.

– Dostawała jakieś pogróżki?

– Nie.

Treviño zadumał się na chwilę, po czym się uśmiechnął.

– Jej chłopak jest w śpiączce. To bardzo wygodne dla porywaczy. Co mi o nim powiesz?

– A co chcesz wiedzieć?

– Jak im się układało? Prócz tej dyskoteki, która jest znana jako punkt sprzedaży narkotyków, gdzie jeszcze ją zabierał? Wiesz, czy on brał jakieś tabletki albo kokę?

Bus przetarł czoło chusteczką.

– To chłopak z dobrej rodziny, raczej spokojny. Nigdy nie podnosił na nas głosu, w odróżnieniu od wielu koleżanek panienki, które bywały nieznośne. Chłopak dużo czytał, wysyłał pisane ręcznie listy. To był poeta.

Detektyw obejrzał zdjęcia przedmiotów osobistych chłopaka i zatrzymał się przy koszulce z krótkim rękawem marki Lacoste.

– Często ubierał się na różowo?

– Lubił jasne kolory. Tę koszulkę ona przywiozła mu ze Szwajcarii.

– Widziałeś kiedyś, żeby się do niej źle odnosił?

Kierowca, trochę skrępowany, pokręcił głową.

– Sypiali ze sobą?

– Niemożliwe.

A ponieważ detektyw nie reagował, dorzucił:

– Nie puszczają jej nigdzie bez koleżanek.

Detektyw pokiwał głową i wrócił do zdjęcia z różową koszulką.

– Poeta w krainie macho. To jest coś. Ona była dziewicą?

– Słuchaj, facet, my wszyscy okazujemy szacunek panience, na tym polega nasza praca. Nie jesteśmy jak ci wcześniejsi kierowcy, do których ona mówiła per wujku, ale jak tylko zaczęło się robić groźniej, zaraz dali nogę. My będziemy jej bronić do ostatniej kropli krwi.

– Widziałeś ją kiedyś na golasa?

Bus spojrzął na detektywa z wykrzywionymi ustami, ale nic nie odpowiedział.

– Byłeś kiedyś karany?

– O co ci, kurwa, chodzi?

– Spędziłeś jakiś czas za kratkami. Co zrobiłeś?

Bus nie odpowiadał. Jechali szeroką ulicą.

– Pijaństwo i włóczęgostwo? Kradzież? Napad? Handel narkotykami?

Kierowca gwałtownie zahamował, obrócił się i złapał Treviña za koszulę.

– Słuchaj, do cholery, nie będziesz sobie ze mną tak pogrywał. I więcej tego powtarzać nie będę.

Treviño pokiwał głową i rzucił:

– Awantury na drodze publicznej.

Twarz Busa robiła się coraz czerwiejsza, jakby w środku coś się gotowało i zaraz miało wykipieć. Wtedy dał się słyszeć klik i Bus zdał sobie sprawę, że taurus PT-99 Treviña wymierzony był przez cały ten czas w jego brzuch. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, a silnik mruczał i pracował miarowo. Wtedy kierowca puścił detektywa i głęboko odetchnął. Treviño powoli schował taurusa za pasek i poprawił sobie koszulę.

– Nie jesteś jedynym w tym cholernym mieście, którego przymknięto za wszczynanie awantur. A jeśli pan de León cię zatrudnił, mimo że byłeś notowany, to znaczy, że musiałeś mieć bardzo dobre rekomendacje. Kto cię polecił na to stanowisko?

Bus nie odpowiedział od razu.

– Deputowany Campillo.

– Znam go – stwierdził Treviño. – To ten, który ma sieć barów z tortillami. Porządny gość. W którym pudle siedziałeś?

Bus znów zwlekał z odpowiedzią.

– W Laredo. Tylko czterdzieści osiem.

Treviño pokiwał głową i nie odzywali się do następnych światła. Wtedy Bus zapytał:

– Po jaką cholere pytasz pan o to wszystko?

– Bo zazwyczaj porywacz tego typu kobiet to ktoś bliski, mający jakiś kontakt z ofiarą i spore możliwości, by ją porwać. Profile są dwa: psychopata, który chce zaspokoić swoje niskie instynkty, oraz biznesmen, któremu chodzi o pieniądze.

Bus patrzył przed siebie bez słowa. Wtedy detektyw zadał jeszcze jedno pytanie:

– A tobie się ona podoba?

Jechali białym maverickiem, porysowanym i z przerdzewiałymi dziurami na boku, wzdłuż alei obsadzonej palmami, w kierunku restauracji El Visir. Przecinając centrum miasta, widzieli w pewnej odległości biura komendanta Margarita i Treviño stwierdził:

– To tam. Cudem uszedłem z życiem.

Bus kątem oka spojrzął na bliźnę widoczną po prawej stronie czoła Treviña i dyskretnie docisnął gaz.

Gdy czekali, aż grupa ciężarówek pozwoli im przeciąć szosę, detektyw zadzwonił do konsula.

– Odezwali się?

– Nie, nadal nic. Musisz mieć świadomość, że czas ucieka. Jeśli została porwana, z każdą minutą rośnie ryzyko, że będą chcieli się jej pozbyć...

– Nie musi mi pan o tym przypominać. Ma pan to, o co prosiłem?

– Raport mamy spisany, ale nie rozumiemy niektórych skrótów, będziesz musiał sam na to spojrzeć.

– A nagrania?

– Nie udało nam się zdobyć żadnych nagrań z okolic dyskoteki, bo wszystkie kamery są wycelowane na aleję Hidalgo. Ale mamy już film, na którym widać, jak Cristina zmierza w stronę dyskoteki ze swoim chłopakiem, dokładnie o ósmej piętnaście. I to wszystko.

– Zrozumiałem. Proszę zapamiętać: niech pan sprawdzi, czy od dziewiątej wieczorem, może bliżej wpół do dziesiątej, pojawiają się na nagraniach z okolicy dwa duże nowe samochody, jadące ze znaczną prędkością, zmieniają gwałtownie pasy ruchu i migają światłami innym kierowcom albo wykonują podejrzane ruchy. Jeden czerwony, a drugi

czarny. Wszystko wskazuje na to, że porwano ją dużym autem koloru czerwonego. Proszę sprawdzić, czy jesteśmy w stanie ustalić numer rejestracyjny.

– To jest już konkretna informacja. Zaraz to sprawdzimy – rzucił Kaczor i się rozłączył.

Przejechali wreszcie aleję i Treviño kazał kierowcy skręcić w lewo, w małą dróżkę, wzdłuż której rosły drzewa.

– Tędy? – upewnił się Bus, a Treviño przytaknęła.

Chwilę później Bus zaparkował pod coraz bardziej podupadającym centrum handlowym.

– Wchodzenie tam nie jest zbyt rozsądne – ostrzegł go Bus. – Tam spotykają się policjanci.

– Nie przejmuj się, to będzie spokojna i prywatna rozmowa. Poczekaj tu, żebyś nie spłoszył mojego kontaktu.

Treviño wysiadł i z trzaskiem zamknął drzwi.

Bus przez dobrą chwilę rzucał bluzgami, lecz w końcu wysiadł i podbiegł do Treviña. Detektyw zatrzymał go.

– To będzie prywatna rozmowa, kolego. Poczekaj tu na mnie. – Treviño stanowczym gestem kazał mu się oddalić.

Ponieważ detektyw nie żartował, Bus przysiadł na jednej z dwóch ławek stojących przed lodziarnią. Oszacował, na której z nich zmieszczą się jego potężne pośladki, wziął resztki gazety spoczywające na ławce i opadł na nią raptownie.

W oddali zobaczył mężczyznę z baczkami i wąsem w znoszonej kurtce moro, który przeglądał albo udawał, że przegląda jakiś magazyn przy kiosku z gazetami. Dostrzegł Treviña, dyskretnie skinął głową, zapłacił za czasopismo i wszedł do restauracji.

Treviño przeciął korytarz, podszedł do wejścia do lokalu i upewniwszy się, że w środku nie kręci się żaden z jego byłych kolegów, skierował się do stolika, przy którym siedział jego kontakt.

VII

Twierdzi, że podejrzany zadzwonił do niego pod koniec dnia. Twierdzi, że kazał mu się zjawić w restauracji w centrum, do której chadzali przed laty. Kiedy usłyszał jego głos, od razu go poznał, ale nie mógł uwierzyć, że zdecydował się wrócić. Zupełnie jakby zapomniał, że od kiedy zostawił firmę, nie przestali go szukać. Próbował go odwieść od spotkania, ale Treviño upierał się, że koniecznie muszą porozmawiać. Mówi, że dobrze się nad tym zastanowił, ale ostatecznie się zgodził. To była świetna wymówka, żeby zażyć kolejną dawkę pastylek. Zdążył już wziąć dwie. I że przysięga na wszystko, co najświętsze, że to nie on szukał Treviña ani do niego nie dzwonił. Jedyne, czego chciał, to zejść na ziemię, znów stać się tym, kto mieszka w jego ciele, a nie pastylkami, i znów zapanować nad rzeczywistością.

Ostatni raz widzieli się na parkingu pod komendą. Koledzy spuszczaali mu bezlitosne lanie, a przecież dotąd był gwiazdą w zespole komendanta Margarita. Choć napastników było z sześciu, on się nie poddawał i od czasu do czasu udawało mu się uderzyć z główki albo kopnąć w brzuch któregoś z przeciwników. Cornelio mówi, że wszyscy skorzystali z okazji, żeby odegrać się na Treviñiu, jedni bardziej, inni mniej, głównie z zazdrości, ale jego, agenta Cornelio, który dopiero co zaparkował, ta bijatyka kompletnie zaskoczyła, nie rozpoznał swoich kolegów i dlatego dobył broni. Ale kiedy Treviño doczołgał się do niego, Cornelio nie tylko nie próbował do niego strzelać, choć mógłby, tylko wycelował w kolegów i zapytał, co się tu, do cholery, dzieje. To dlatego, twierdzi stanowczo Cornelio, dzięki tym dziesięciu zyskanym sekundom, Treviño zdołał wstać, wsiąść do samochodu, białego mavericka, i odjechać. Jeden z policjantów rzucił za nim butelkę po piwie, która roztrzaskała się o tylną szybę, jej samej nie uszkadzając. I Cornelio krzyknął: „Co wy wyprawiacie, tchórze, tyłu na jednego?!”. I zdał sobie sprawę, że wpakował się w problemy, kiedy mu odpowiedzieli: „Ty, Cornelio, i co się tu nam wtryniasz, skoro takie mieliśmy polecenia od szefa? Teraz to się nieźle wkurzy”. I rzeczywiście: od tego czasu jego kariera biegła coraz gorzej. Przez to, że bronił Treviña, popadł w niełaskę u szefa, zniknął jak kamień rzucony do studni.

Kelnerka kiwnęła mu na znak, żeby siadał, gdzie chce, w końcu czego jak czego, ale wolnych stolików im nie brakuje, któż, u diabła, chciałby w tym mieście wychodzić z domu w sobotę wieczorem, narażając się, że dostanie serię z karabinu maszynowego? Potem dała do zrozumienia, żeby chwilę poczekał i zaraz go obsłuży. Mówi, że domyślał się, że to się wszystko marnie skończy, kiedy puścili z głośników *Beach Samba* w wersji Waltera Wanderleya, takie kawałki Carlos Treviño zawsze lubił. Tyle że w tej wersji jakiś nieudany klawiszowiec psuł wszystko to, co w tej piosence dobre. I mówi Cornelio, że wybrał najdalszy stolik, za kolumną, nie chciał ryzykować, i usiadł dopiero po tym, jak uważnie i dyskretnie przyjrzał się innym klientom. Było tam paru zagubionych turystów, urzędnicy niższej kategorii, przynajmniej dwa stoliki obsadzone emerytami grającymi w domino, kilka ponadsześćdziesięcioletnich dam wymalowanych jak kurtyzany, które starały się zwrócić na siebie uwagę urzędników, znacznie od nich młodszych. I to dlatego nie zauważył nawet, kiedy Treviño wsunął się na krzesło przed nim.

– Jak leci, stary?

Mówi, że się zdenerwował, jakby zapomniał, że ma tu spotkanie, i wybuchnął:

– Co ty tu, do cholery, robisz?!

Wtedy jednak zjawiała się kelnerka, postawiła przed nimi dwie filiżanki i naląła bardzo czarnej kawy, choć wcale nie zamawiali. I jak mówi Cornelio, miał od lat takie wrażenie, od kiedy wstawił się za Treviñem, że zawsze kiedy zjawia się w jakiejś restauracji, leją mu bardzo mocną kawę, choć on sam nigdy jej nie zamawia, jakby miał na czole napisane, że potrzebuje czegoś bardzo ciemnego, bo bardzo proszę, oto ten, który gasi światła. Kelnerka, kobieta na oko pięćdziesięcioletnia, która ewidentnie starała się zrobić na nich dobre wrażenie, jakby była lampką płonąca w środku nocy, nie dała im czasu na reakcję i zapytała:

– Przynieść panom menu? Dziś mamy wołowinę à la tampiqueña, rybę zapiekaną w cieście i enchiladas w zielonym sosie. – A potem wymieniła długą listę przystawek, których nie zamierzali zamawiać, aż zakończyła swoją przemowę: – Na deser ciasto śmietanowe.

– Nie, wielkie dzięki – odpowiedział Treviño.

A Cornelio zapewnia, że nagle jakby usłyszał samego siebie, jak otwiera usta i mówi coś, czego nie powinien. Tak jak w tych koszmarach,

w których człowiek mówi albo robi rzeczy, przez które pakuje się w kłopoty.

– Ten pan się trochę spieszy – oświadczył. – Jest poszukiwany przez policję.

Zupełnie jakby to był żart. I przysięga, że ledwie to wypowiedział, od razu pożałował. Od czasu do czasu nachodziło go wrażenie, że te pastylki, które bierze, żeby się rozluźnić, niespecjalnie pomagają w myśleniu, czasami za niego działają, ale za dużego doświadczenia życiowego to one, cholery jedne, nie mają, ani też zbyt wielkiego poczucia humoru, tak że w efekcie życie jawiło mu się jak coś, co wcale tak naprawdę się nie dzieje albo dzieje się komuś innemu, albo nie ma żadnego znaczenia, jak w horrorach, które się ogląda w telewizji po północy, ni to śpiąc, ni to czuwając, nie przejmując się ani trochę losem bohaterów, ostatecznie i tak przecież wiadomo, że na końcu wszyscy zginą. Albo jeszcze inaczej: jak w grach wideo, w których prowadzisz samochód wyścigowy i musisz prowokować złowrogich przeciwników, zawsze od ciebie szybszych, którzy bez litości spychają cię z drogi i nie dają najmniejszej szansy, byś ich wyprzedził, i z każdą następną sekundą coraz bardziej tracisz kontrolę i wiesz, że nie dasz rady się zatrzymać; taki wyścig kompletnie rozstrajający ci nerwy, który zawsze kończy się wypadnięciem twojego samochodu za barierkę w przepaść.

I mówi, że kelnerka podniosła powoli, bardzo powoli, wzrok i zlustrowała kątem oka Treviña, jakby był poszukiwanym kryminalistą, a ona właśnie go rozpoznała, ale mimo to, mimo że się przestraszyła, pozbierała się na tyle, żeby zostawić im na środku blatu cukierniczkę i dzbanuszek z mlekiem, a potem posłała im lekki uśmiech i wręczyła każdemu po dwie białe chusteczki, ale tak malutkie, że równie dobrze mogła ich nie dawać. Kiedy biedaczka zrobiła krok wstecz, Cornelio rzucił jeszcze:

– Jak cię złapią, to cię zabiją.

Treviño zaśmiał się, jakby usłyszał kawał.

– Ty i te twoje ciężkie dowcipy, stary.

A kelnerka oddalała się coraz bledsza i coraz bardziej wystraszona. Cornelio utrzymuje, że po prawdzie w ogóle go to nie obeszło, bo wszystko przydarzyło się przecież komuś bardzo do niego podobnemu, komuś, kto tego wieczoru przy tym stoliku zajął jego miejsce. I dlatego właśnie dodał:

– Tylko żeby było jasne, ja cię ostrzegalem. Komendant jest na ciebie ciety, no ale ty się uparłeś i dlatego tu jesteśmy. Nie wiem, co ci tam w głowie buzuje, Carlos. Nie wiem, co ty tam sobie roisz.

I zobaczył, że Treviño pochyła się nad stolikiem, jakby chciał się przyjrzeć stojakowi na serwetki.

– Mów ciszej, Cornelio, nie trzeba tak zwracać na siebie uwagi.

I twierdzi, że dobrą chwilę zajęło mu zrozumienie, że jego rozmówca ma rację i że on głupio się zachowuje, że się strasznie wydziera, choć nie był tego świadom, więc ze wstydu zamilkł, wpatrując się w malutkie serwetki, aż detektyw zagadnął go, jak się miewa i jak tam sprawy na komendzie. I twierdzi, że musiał niesamowicie się skupić, żeby udzielić odpowiedzi jak normalny człowiek, jakby nie był pod wpływem tabletek.

– Nie masz czegoś, co by mi pomogło? Czegoś, żebym się pozbierał? – Na co Treviño pokręcił głową, jakby czuł do niego coś jeszcze gorszego niż współczucie.

Pamięta, że wyższe tony tej piosenki, której słuchali, tej nieudanej wersji *Beach Samba*, wibrowały nad ich głowami. Wtedy zdjął ciemne okulary i przetarł oczy, sprawdzając, czy da radę znaleźć się z powrotem na ziemi i przestać unosić się nad rzeczywistością, a Treviño kolejne pytanie zadał po dłuższej chwili, bo wcześniej przyglądał się bliznom, jakie Cornelio miał dookoła oczu. I dopiero wtedy udało mu się skupić na tyle, żeby zadać koledze pytanie:

– O co chodzi, Treviño?

Detektyw pochylił się znów nad stołem i zapytał półgłosem:

– Słyszałeś kiedyś o gościu, na którego wołają Rekin?

– Javier García Osorio alias Rekin. A co? – Cornelio zachowywał się już prawie normalnie.

– Wisi mi kasę... – wyjaśnił detektyw i Cornelio mówi, że nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

– Oj, stary, to możesz o niej zapomnieć.

– Bo co? Co o nim wiesz?

Więc wyjaśnił, że facet jest już notowany i że to bardzo niebezpieczny typ.

– Nie jest stąd, tylko z jakiegoś rancza w środkowej części stanu. Jak każdy szczył w jego wieku, pierwszy do bitki, ale do roboty nie bardzo. O uczciwą i legalną robotę mi chodzi.

A ponieważ Treviño się nie odzywał, dodał:

– Mówią, że podobno kiedyś bawił się bronią, ta mu wystrzeliła i zabił swojego ojca. Tylko że inni twierdzą, że wcale się nie bawił, ale że był nieletni, a rodzina zapłaciła, żeby go puścili, uznano to za wypadek, sam wiesz, taki numer jak zawsze. Mówią, że matka i siostra boją się go i wyjechały do Stanów, żeby się z nim nie zadawać. Potem ranczo splajtowało albo przegrał je w jakimś zakładzie i wtedy sprowadził się tutaj, nad wybrzeże, do miasta. Przypisują mu też dwa zabójstwa, ale niczego mu nie udowodniono.

– Jakie to były zabójstwa?

– Parę miesięcy temu, kiedy już wyjechał z rancza, zniknęła dziewczyna, z którą się spotykał. Zatłuczono ją na śmierć. On udowodnił, że był wtedy z jakimiś kolegami, i wydaje się, że go puścili, bo miał wysoko sięgające koneksje z kimś z branży.

– A gdzie to się stało?

– Na tym ranczu należącym do jego rodziny, na północy stanu. El Zacate... Nie: El Zacatal się nazywało.

Pamięta (a w każdym razie tak twierdzi), że Treviño powtórzył parę razy nazwę rancza, El Zacatal, i zapytał:

– Skąd tak dobrze to pamiętasz?

– Jakiś czas temu musiałem mu udzielić napomnienia – powiedział Cornelio. – Zrobił rozróbę w barze i pobił dwie osoby. Chłopak wypuszcza się na miasto co weekend, zaprawia się i rozrabia. Przy takiej posturze nikt mu nie podskoczy. Kiedyś wszedł robić burdę do restauracji brazylijskiej, właściciele na niego donieśli, no i musiałem po niego jechać i zawieźć na komendę. No ale Rekin dał komendantowi w łapę, ten przy nim mnie zbeształ i facet z miejsca wyszedł na wolność.

Mówi, że Treviño westchnął wtedy ciężko, a potem dalej drążył temat.

– Podobno trzyma z jednym z gangów. Czy to Czterdziestka?

– Nie. – Cornelio pamięta, że kręcił głową mocniej niż to było potrzebne, że aż paru emerytów odwróciło się, żeby mu się przyjrzeć, ale nie umiał nad tym zapanować. – Nie prowadzi się z Cztery-Zero. A znam każdego jednego typka z tej bandy. Jeśli siedzi w tym biznesie, to pracuje dla innych.

– Ale raczej dla Nowych czy Trzech Liter? – Treviño wymienił dwie grupy przestępcze, który mocno wrosły w miasto.

I twierdzi Cornelio, że odpowiedział, bardzo już dumny z tego, że zaczyna panować nie tylko nad rozmową, ale też nad rzeczywistością:

– Z jednymi albo drugimi. – I w jego umyśle rozbłysła prawda, mimo tych tabletek, i zapytał: – Słuchaj no, Treviño, stary łajdaku, a za co Rekin wisi ci tę kasę i o jakich tu mówimy kwotach? Jeśli pomogę ci go znaleźć, domagam się prowizji.

I uśmiechnął się szeroko, miał nawet zacząć rechotać, ale udało mu się powstrzymać, nie chciał znów zwracać na siebie uwagi. Może mu się tam jakiś chichot wyrwał, ale wcale nie za głośny i nie taki znów dziwaczny, choć jednak klienci i zestresowana kelnerka, obserwująca go ostrożnie, obejrzeni się w jego stronę. I widział, że Treviño przygląda mu się z politowaniem, no ale ciężko było się zebrać, wrócić na ziemię i powstrzymać działanie tabletek, lecz w końcu udało mu się zdławić śmiech i wrócić do rozmowy.

– Kurde, Treviño, gadaj, o co biega, w coś ty się wpakował? Niezależnie od tego, co ty tam planujesz, na mnie nie licz. Jeśli ci pomogę, to mnie w komendzie całkowicie zgnoją.

Treviño zapytał:

– A dlaczego?

– No stary, jak ty nawiałeś, odbili sobie na mnie. Tak to wygląda. Żebyś wiedział.

Potem, po przerwie tak długiej, że połowa stołowników zdążyła dyskretnie poprosić o rachunek, a część staruszków zostawiła należność za posiłek na stołach i wycofała się, nie spoglądając nawet w ich stronę, Cornelio, jak mówi, stwierdził, patrząc beczelnie na wymalowane kobiety regulujące swój rachunek przy kasie, nie przestając dygotać:

– Nie masz pojęcia, nie masz bladego pojęcia, jak źle wyglądają sprawy w mieście, Treviño. To już nawet nie jest miasto. To jakiś western. – I poczuł się w obowiązku uściślić: – Wszyscy funkcjonariusze pracują dla jakiejś grubej ryby z okolicy. Każdy nosi dwie albo i trzy komórki: jedną, służbową, drugą, żeby być w kontakcie z grupą, która go opłaca, a jeszcze inną, żeby móc się skontaktować z konkurencją, żeby przypadkiem nie uznali cię za wroga. To dziwny widok, te wszystkie telefony na biurkach w robocie albo za paskami kolegów.

I potem Cornelio, jak twierdzi, dodał:

– Pamiętasz Roquego? Już z nimi trzyma. Jest ich kierowcą, posłańcem, ochroniarzem, stawiają go na czujce, a nawet, w wolnych chwilach, rozprowadza towar. Ima się po trochu wszystkiego. Nie idzie mu źle, ale twierdzi, że to tylko kwestia czasu, kiedy go wsadzą do pudła

albo wywałą. Nie można aż tak się do nich zbliżyć ani pokazywać przy tych ludziach na widoku.

Treviño drążył dalej:

– A nasza ekipa?

– Nie no, co ty. Wszystkich już zdążyli rozgonić.

I twierdzi, że potem nie za dobrze pamięta, bo ogarnęła go taka jakby czarna chmura, która spłynęła tam na nich, na stolik, ale wydaje mu się, że rozmowa toczyła się z grubsza tak:

– Pytam, kto z moich znajomych wciąż pracuje. I nie oglądaj się tam, straszysz kelnerkę.

– No paru ich jest, paru jest na komendzie, ale nikomu nie można zaufać. Kręci się tam Oscar Fayad. Odebrali mu radiowóz i blachy, ale pracuje dla Quelitego. Wszystko, co zarabia, przepuszcza na kokę, wpadł w to po uszy.

– A Ramiro?

– Ten, co uczył karate? On już rzucił robotę. Jakoś tydzień po tym, jak cię złali. Po prostu przestał się zjawiać i mówią, że pracuje w burdelu Golden Girls, w Ciudad Miel. Chyba jako wykidajło, ale pewien nie jestem. Podobno jest na usługach Nowych.

– A moja dziewczyna?

Cornelio uśmiechnął się.

– No trzyma się, tak jak przedtem. Dlaczego ona ma taką słabość do nieboszczyków? Nieboszczyków i luzerów. Nowości są takie, że otworzyła sklepik, w którym sprzedaje doniczki i rośliny, niedaleko komendy, jakoś musi dorobić do pensji. Nie mów, że wciąż za nią tęsknisz? Ciężko wybić sobie z głowy niektóre kobiety, co?

– Pytam z zawodowej ciekawości.

– No tak, jasne. Ty i ta twoja zawodowa ciekawość.

– Przestań tak wymachiwać rękami, to jest porządny lokal... A Trzej Szaleńcy?

Po raz pierwszy w ciągu tej rozmowy Corneliowi zaświeciły się oczy.

– A, to do tego zmierzałeś, Treviño, cwaniaku jeden. Będziesz się na nich odgrywał?

– Pewnie, że nie. Nie szukam kłopotów.

– No oni o tobie nie zapomnieli. Podobno Bracamontes wciąż kręci się po plażach w nadziei, że cię wypatrzy. Nie był zachwycony, że mu wybiłeś przednie zęby.

– A wybiłem?

– Nie pamiętasz, jak posunąłeś mu wtedy z główki?

Piosenka dobiegająca z głośników stawała się nieznośna. Cornelio pochylił się nad blatem i powiedział wściekłym tonem, jakby to wszystko było winą Treviña:

– Nie jesteś na bieżąco, Carlos. Od kiedy stąd zwiąłeś, wszystko dzieje się jeszcze bardziej na chama. Jeśli komendant przedtem jakoś tam ukrywał swoje układy z bossami, to nie tak dawno temu posunął się do tego, że umówił się z nimi w samej komendzie. Możesz sobie wyobrazić: kiedy te typy zjawiają się u nas, to jakby jakieś święto było, przychodzą z walizkami i prezentami dla tych, którzy widnieją na ich liście. Cała komenda pełna jest whisky, koki i pornosów, i jeszcze wejściówki na *table dances*. Jeśli po mieście kręcą się oddziały lądowe albo piechota morska, bossowie wolą uprawiać rozdawnictwo na parkingu centrum handlowego albo w parku, ale swoim zawsze płacą.

– A co z tymi, którzy nie współpracują?

– Pytają cię, czy już się zdecydowałeś, a jeśli zmienisz temat albo udajesz zaniki pamięci, wzruszają ramionami i idą dalej. Potem zauważasz, że nagle zaczynają ci przydzielać najniebezpieczniejsze zadania albo najgorsze, takie, że nie masz szansy zarobić złamanego grosza. I naciskają, żebyś zmiękł, bo albo jesteś z nimi na sto procent, albo masz zrezygnować.

– A ty, Cornelio, z kim trzymasz?

– Mnie nikt nie chce. Ale można powiedzieć, że trzymam ze starą gwardią.

Chodziło mu o starą grupę przestępczą, teraz nazywaną Kartelem Portowym, tych, którzy zaczęli ten cały interes. Cornelio i Treviño wiedzieli, że przez ostatnie trzydzieści lat przemysł alkoholu, broni, sprzętu elektronicznego, lekarstw i narkotyków kontrolowany był przez tych samych ludzi. I że pod wpływem gróźb rywali pochodzących z innych stanów biznesmeni musieli pod koniec lat dziewięćdziesiątych zatrudniać coraz więcej ochroniarzy. Z początku byli to uzbrojeni funkcjonariusze policji federalnej albo prokuratury, ale w miarę jak walki o terytorium zyskiwały na impecie i konieczne stało się zaangażowanie ludzi w pełnym wymiarze, trzeba było zacząć przekupywać członków elity wojskowej, żeby zwalniali się z armii i szli do gangu. Układ ten

trwał z dziesięć lat, aż w końcu wojskowi uznali, że czas przejąć interesy swoich szefów, i założyli kartel Nowi. Cornelio mówi, że to miał na myśli.

– Wszyscy chcą tego terenu. Każdy chwyt jest dobry. I trzeba mieć oczy dookoła głowy.

– Kiedy ja stąd wyjechałem – przerwał mu Treviño – taksówkarze pracowali jako szpicle dla bossów. W zamian za kasę uprzedzali ich o podejrzanych ruchach żołnierzy lądowych i marynarki. To trwa nadal?

– Nie, już się skończyło. Przedtem taksówkarze dostawali forszę od starych w zamian za informacje. Teraz pracują dla nowych za darmo, bo jak się ktoś postawi, to kulka w łeb.

Zamilkli, bo zauważyli właśnie, że nie widać nigdzie ani kelnerki, ani kierownika sali. Nikt nie docenia policyjnego poczucia humoru. Treviño spojrzął na zegarek i zapytał, jak dojechać do El Zacatal.

– Naprawdę będziesz do niego jechał po tę forszę? – Cornelio znów się krzywo uśmiechnął. – Czy ty też siedzisz w biznesie i zajmujesz się przerzutem? – A ponieważ Treviño nie od razu odpowiedział, dodał: – Ech, nie pomyślałbym, że ty też w to wejdiesz... Czyli wozisz towar w te i we wte, co, Treviño? Teraz to rzeczywiście świat się kończy. Nigdy bym nie pomyślał, że w to wejdiesz.

– Nie zajmuję się tym, Cornelio. – Treviño całkowicie spoważniał. – To nie moja bajka i nigdy nie będzie, czego by Margarito o mnie nie opowiadał, ale ty możesz wierzyć, w co chcesz. Gość wisi mi kasę, chcę ją odzyskać i spokojnie ją przywieźć.

Treviño przyjrzał się uważnie dawnemu koledze. Wreszcie zapytał:

– A ty ile wisisz komendantowi?

– A po co chcesz to wiedzieć? – Cornelio mocno się obruszył.

Treviño podał mu niewielką kremową kopertę.

– Kiedy ja się stąd zbierałem, należałeś do tych, którzy kupują co miesiąc gram u współników szefa. Podejrzewam, że dalej w tym siedzisz, inaczej byś się nie utrzymał na komendzie. Ostatecznie, i mówię to z należytym szacunkiem, nie chciałbym mieć wobec ciebie dalszych zobowiązań. Może to ci pomoże wykaraskać się z długu.

Cornelio uchylił kopertę koniuszkami palców i zobaczył banknoty. Było ich sporo, nowe i ładnie ułożone. Przełknął ślinę i spojrzął na kolegę.

– Dzięki, Treviño.

– Tobie dzięki. Uratowałeś mi życie.

Cornelio przesunął paznokciem po brzegach banknotów.

– No tak, ale twoje życie nie było warte aż tyle. Teraz to ja mam dług u ciebie.

Treviño uśmiechnął się.

– Jak znajdę to ranczo?

Policjant zmierzył Treviña wzrokiem.

– Posłuchaj mojej rady, Carlos. Nawet nie próbuj. Zapomnij o długu Rekina, to niemożliwe.

– Bo?

– Tak na początek, ze względu na punkty kontrolne, stary. Co pięćdziesiąt, sto kilometrów jest posterunek, raz to są Starzy, raz Nowi. Nikt już sam nie jeździ po nocy ani nawet pod wieczór, bo jeśli im się spodoba, to cię zatrzymają i zabiorą auto. Ludzie wolą jeździć autobusami i nigdy po trzeciej po południu. Podobno od jakiegoś miejsca nawet autobusem się nie ujedzie. Nowi każą wysiadać pasażerom, wszystkich okradają, napastują kobiety i od czasu do czasu zabierają młodszych facetów, po których słuch ginie na zawsze. Pewnie zabierają ich jako siłę roboczą albo mięso armatnie do swoich utarczek, ale wcześniej zawożą do wielkiego obozu szkoleniowego, ukrytego gdzieś w górach. Więc nawet nie próbuj.

I mówi, że Treviño znów sprawdził godzinę na zegarku i powiedział:

– Potrzebuję przysługi.

– Mów.

– Chciałbym, żebyś sprawdził dyskretnie na komendzie, czy któraś z tych osób była wcześniej notowana. – A potem wypowiedział, nie podnosząc głosu, trzy nazwiska: – Valentín Bustamante alias Bus, Rodolfo Moreno Valle i Rafael Garza Elizondo alias Rafita.

I mówi Cornelio, że żadne z tych nazwisk z niczym mu się nie kojarzyło, więc zapisał je sobie na tej małej serwetce. Na coś się ona przynajmniej przyda, cholera.

Tym się właśnie zajmował, kiedy nagle światło policyjnego koguta na ulicy zwróciło jego uwagę. Cornelio podniósł wzrok i przyjrzał się parkującemu przed lokalem radiowozowi.

– No to masz przesrane, Carlos... Lepiej spadaj, teraz będę musiał zgłosić, że cię widziałem. Powiem, że mierzyłeś do mnie przez całą rozmowę. Sorry, stary, ale tu chodzi o moje albo twoje życie.

Treviño wstał.

– Ale najpierw zapłać rachunek i zostaw kelnerce solidny napiwek, żeby wróciła do siebie po takim strachu. I nie żałuj, sknero jeden.

I mówi Cornelio, że więcej czasu zajęło mu znalezienie kobiety w różowym fartuszkach i poproszenie jej o rachunek niż Treviñowi zniknięcie z lokalu. Kiedy się odwrócił, kolegi już nie było. Natomiast powoli zbliżał się już jeden z Trzech Szaleńców. Ten, którego nazywają Braca, a naprawdę nazywa się Bracamontes. Ten ze złotymi zębami.

I mówi Cornelio López, alias Kamień Staczający się w Przepaść, alias Samochód Prowadzony przez Tabletki, że zrozumiał wtedy, że zaraz wróci na ziemię całym swoim ciałem i znów będzie sobą. Jedną była do tego droga i była to droga bólu.

Chwilę potem wszedł Bracamontes. W tym swoim nieskazitelnym mundurze, butach z wysokimi obcasami, jedną dłoń na kaburze przy pasku. Nieliczni stołownicy, którzy jeszcze ostali się w lokalu, szybko poprosili o rachunek, bo nie jest dobrym pomysłem jedzenie w miejscu, w którym kręci się tylu brzydkich i budzących niepokój ludzi. A Bracamontes zlustrował każdy zakątek, lecz nie znalazł tego, czego szukał. Podszedł do Cornelia i stanął przy nim.

– Ten, co tu był, to Treviño?

– No. – Cornelio błogosławił bogów, że w porę kazali mu schować kopertę głęboko w spodnie.

– Dlaczego za nim nie poszedłeś?

– Zaskoczył mnie. Ma broń i groził mi.

– Szef wie?

– Właśnie miałem dzwonić – powiedział Cornelio. – Właśnie miałem, ale jego komórka ciągle jest zajęta.

– To może pogadasz z nim z radiowożu?

– Tak, już idę.

Bracamontes wyjął swój telefon i podał go Corneliowi, a ten wykręcił numer szefa. Zupełnie jakby czekał na ten telefon, bo faktycznie czekał od lat, komendant Margarito odebrał natychmiast.

– Halo?

– Mam wiadomość. Taką, że Treviño wrócił do miasta. Natknąłem się na niego w El Visir, a potem nawiał.

– Jesteś pewien, że to on?

– Tak, panie komendancie. Nawet się do mnie przysiadł.

Cornelio musiał czekać, czekać i czekać, aż w końcu jego przełożony zareaguje. Kiedy ciemność całkowicie ogarnęła jego głowę, szef wydał polecenie:

– Już drugi raz go puszczasz, Cornelio. I jest mi z tego powodu bardzo przykro, bardzo. Najpierw dzwonią do nas i mówią, że siedzi u nich jakiś funkcjonariusz, który jest kompletnie naćpany i wywrzaskuje jakieś bezsensowne rzeczy. Teraz się dowiaduję, że puściłeś tego gościa. Będę musiał dzwonić do wszystkich, którzy są dyspozycyjni, żeby się migiem rzucili w pościg. I jeszcze jedno, Cornelio.

– Tak, szefie? – Agentowi łamał się głos.

– Przyjedź do mnie do biura, dobrze? Musisz mi wszystko, słowo w słowo, opowiedzieć, o co cię pytał nasz Carlos. Na pewno wszystko doskonale pamiętasz. Niech Bracamontes cię podrzuci. Żebyś mi się nie zgubił.

I co myślicie? – Godzinę później Margarito zwrócił się do Trzech Szaleńców. Wcześniej nalał whisky do czterech szklanek. – Jaką wiadomość zostawił nam Treviño? – powtórzył.

– Jaka by była, długo się nią nie nacieszy – stwierdził Block.

– Jadę po niego – rzucił Gori.

– Ja z tobą – nalegał Bracamontes. – Przecież samego cię nie puszczę.

VIII

Duży ruch jest na drodze. – Bus rzucił okiem na detektywa. – I to same radiowozy. Jakby się zjeżdżały na wezwanie.

– To pewnie Trzej Szaleńcy – stwierdził Treviño.

– Ci, co... Ci, co wyłamali bark zatrzymanemu?

– Właśnie ci. Jeden z nich wszedł do restauracji wtedy, kiedy ja z niej wychodziłem. Skoro teraz są zajęci czymś innym, jedziemy na hamburgery do Perkinsa. Pora na kolację.

– Ech, to się nazywa ryzykanctwo... Jedziemy prościutko do domu.

Wchodząc do salonu w domu biznesmena, Treviño i Bus zastali konsula i technika pochylonych nad jakimiś ekranami. Na widok detektywa konsul wykrzyknął:

– Są nowości!

– Zadzwonili?

– Jeszcze nie. Ale znaleźliśmy te dwa samochody.

Od poprzedniego telefonu Treviña konsul i jego kierowca uważnie przejrzeni nagrania. Wykorzystali dojścia Kaczora na komendzie, a przede wszystkim zawodowe relacje między panem de Leónem a innymi przedsiębiorcami, i zdobyli sześć nagrań, w większości zrobionych przez prywatne kamery zainstalowane przez firmy usytuowane w okolicy dyskoteki. Na jednym z filmów widać było dwa pojazdy przejeżdżające z bardzo dużą prędkością główną aleją w pobliżu miejsca porwania. Treviño i Bus obejrzeni najwyraźniejsze fragmenty nagrań. Numery rejestracyjne były nie do odczytania. Mimo usilnych prób nie znaleźli żadnego ujęcia, na którym byłyby widoczne.

– Na tym filmie nie da się tego wypatrzyć, bo nie pomaga nam ani kąt ustawienia kamery, ani słaba jakość obrazu. To beznadziejne kamery, najstarsze dostępne modele, wiemy już, że policja kupuje tylko trefny sprzęt. Poza tym samochody, kiedy tędy przejeżdżały, zmieniły pas i jechały cały czas w szeregu za tym autobusem. Widzi pan? Sprawdzaliśmy to parę razy. Jadą tak blisko siebie, że nie da się dojrzeć ich tablic, a potem mijają kamerę i wyjeżdżają z jej pola widzenia.

Detektyw przyjrzał się uważnie jednemu z chłopaków, jadącemu na tylnym fotelu czerwonego pikapa. Przesuwał się przed kamerą z twarzą skierowaną w stronę bagażnika.

– A następna kamera?

– Właśnie nad tym siedzę. Udało nam się zdobyć nagrania z kamery kilometr dalej, na następnych światłach, ale tych samochodów już tam nie ma.

– Na pewno?

– Sto procent. Nie widać ich. Zobacz.

Na następnym filmie pojawił się ten sam autobus i niektóre z aut widocznych na poprzednim nagraniu. Ale tych samochodów już tam nie było.

– Wjechali w osiedle Colonia Dorada! – Konsul aż klasnął. – Muszą tam mieszkać. Mamy ich.

Treviño wstał i podszedł do stolika, na którym stał talerz z kanapkami i dzbanek z ciepłą kawą. Przyjrzał się jej, jakby to była mapa okolicy.

– Jeśli skręcili przed następnymi światłami, mogli pojechać nie tylko do Colonia Dorada, ale równie dobrze do Colonia Pescadores. Jest tam uliczka, która zaczyna się za ogrodzeniem Colonia Dorada i łączy z brzegiem rzeki. Takimi samochodami spokojnie mogli się tam zmieścić.

– Kurwa – zaklął konsul.

Colonia Pescadores stanowiła matecznik gangu Czterdziestka. Nie będzie łatwo tam węszyć.

Treviño rozejrzał się po salonie.

– A pan de León?

– Poszedł spać. Nie dawał już rady.

– Mamy te transkrypcje, o które prosiłem? – Detektyw nalał sobie bardzo czarnej kawy.

– Są tutaj.

– Mam nadzieję, że nie kupiliście ich od Bracamontesa...

– Znam też innych na komendzie, nie przejmuj się.

– A właśnie, ile samochodów za bramą ma pan de León?

Williams odwrócił się w stronę ochroniarzy, którzy szybko podliczyli

– W tej chwili dwa lobo.

– A tak, widzę. Oprócz nich stoi tam jeszcze czarny grand marquis przy bramie. Jak będziecie mieli chwilę, zajrzyjcie tam, wydaje mi się, że rozpoznaję jednego z moich dawnych kolegów.

– Czarny samochód? – Bus zaraz złapał za nadajnik. – Zaraz ich przegonimy.

– Zostaw ich, to Carcas i Chińczyk, goście raczej mało lotni i spokojni. Ale zapamiętajcie, że od tej chwili Margarito ma na nas oko. Chce wiedzieć, kto stąd wychodzi i kto wchodzi.

– Myślisz, że cię widzieli? – zapytał konsul.

– Nie wiem. Ale od tej chwili konieczna jest jak największa dyskrecja. Mogę się poczęstować papierosem? – Detektyw dał znak konsulowi, żeby dołączył do niego na tarasie.

Gringo, zaskoczony, wyszedł za nim. Treviño oddalił się od drzwi najbardziej jak to możliwe, zapalił papierosa, którego podał mu konsul, i odezwał się, wypuściwszy najpierw wielką chmurę dymu:

– Kiedy sprawdzaliście ochroniarzy Cristiny, zajrzeliście do ich domów?

Jankes przytaknął.

– Domy Morena, Rafity i Busa. Czy są obserwowane?

– Są pod obserwacją, od kiedy tylko wszystko się zaczęło. Mój szofer sprawdził każdy z nich i nie znalazł tam niczego nietypowego.

Treviño wypuścił kolejną chmurę dymu.

– Co mi pan powie o Moreno?

– On mieszka tutaj. Pan de León użycza mu jeden z domków, które stoją przy bramie. Tam trzyma swoje rzeczy.

– A Rafita?

– Tak samo jak Bus mieszka na osiedlu w centrum miasta, obok placu targowego. Niemożliwe, żeby zabrał do siebie dziewczynę. Są tam setki ludzi i nikt nie widział niczego podejrzanego. I żebyś miał jasność: wszystkich, którzy tu pracują, włącznie z ogrodnikiem i pomocami kuchennymi, przebadałem wykrywaczem kłamstw. Przy nikim nie wyszedł wynik pozytywny.

Kierowca konsula zajrzał na taras, dając znak, że jest telefon, więc Williams wrócił do biblioteki. Detektyw zaciągnął się jeszcze parę razy i też wrócił, usiadł za stołem, wziął do ręki marker fluorescencyjny i podkreślił trzy, cztery zdania w raporcie telefonicznym. Nagle zatrzymał się przy jednej ze stron i pochylił nad tekstem, jakby nie wierzył w to, co widzi.

– Ma pan dzisiejsze gazety?

– A czego szukasz?

– Domyślam się – stwierdził detektyw – że nie pojawiła się nigdzie informacja o trzech zabitych członkach gangu znalezionych na opuszczonym terenie w dzielnicy Pescadores, prawda?

A ponieważ konsul nie odpowiadał, dodał:

– Jak my byśmy sobie poradzili bez cenzury rządu federalnego? – I pochylił się nad papierami.

Kaczor przysiadł się do Treviña i przyjrzał się transkrypcji, podczas gdy detektyw mówił dalej:

– Proszę popatrzeć: trzy ciała. – Wskazał miejsce na kartce. – Tutaj operatorka dzwoni do patrolu, żeby sprawdzili strzelaninę. Potem – pokazał następną stronę – agent Bolívar Arzate, alias Block, jeden z Trzech Szaleńców, zgłasza, że znalazł porzucony samochód ze śladami po kulach oraz trzy ciała: chłopaków na oko dwudziestoletnich, ubranych jak członkowie gangu, wszyscy zabici wieloma strzałami w splot słoneczny, każdy dodatkowo dobity strzałem w głowę. To się wydarzyło dwie noce temu, tego dnia, kiedy porwano dziewczynę, i zaraz... godzinę po tym, jak wyszła z dyskoteki.

– Cholera.

– Musimy pogadać ze strażnikami z Colonia Dorada i wypytać, czy przypominają sobie dwie duże bryki, które wjechały na ich teren w sobotę. I musimy tam pojechać. – Postukał palcem w kartkę.

Wtedy znów usłyszeli w oddali charakterystyczny terkot automatycznej broni palnej. Tak jak wczoraj wieczorem. Detektyw i konsul podnieśli wzrok znad dokumentu, a Bus wyjął chusteczkę i przetarł sobie czoło.

– Za długo jak na egzekucję albo walkę – stwierdził Treviño. Po minucie znów dobiegły do nich odgłosy serii wystrzałów. – Słyszał pan?

– Wczoraj było słyhać to samo – powiedział konsul. – Mniej więcej o tej samej porze.

– Prawdę mówiąc, słyhać dość regularnie – odezwał się Bus. – To goście z Czterdziestki, zaznaczają swój teren.

– „Zaznaczają”? Te gnojki są czymś poirytowane – powiedział detektyw.

Pan de León, który właśnie wchodził do pomieszczenia, zdążył zobaczyć, że twarz Kaczora przybiera kolor popiołu, a on sam pochyła się nad kartkami.

– Co się dzieje, Treviño? – zapytał biznesmen.

– To właśnie próbujemy ustalić – odpowiedział detektyw i odstawił filiżankę po kawie na stół.

Godzinę później Treviño dyskretnie wręczył kopertę z pieniędzmi strażnikom pilnującym wjazdu do Colonia Dorada i wrócił do opancerzonej furgonetki. Żeby wymknąć się typom pilnującym domu przedsiębiorcy oraz swoim byłym kolegom, musiał zrezygnować z białego mavericka, zdecydowanie zbyt wątej konstrukcji jak na tego rodzaju akcję, i skorzystał z jednego z pancernych samochodów pana de Leóna. Widząc go, Bus opuścił szybę.

– I co?

– Tędy nie przejeżdżali. Nie mieszka tu nikt pasujący do opisu, takich aut też nie wiedzieli. Musimy jechać do Pescadores.

– Ja sam się tam nie wybieram. Poprosimy Rafitę i Moreno o wsparcie. Detektyw zamyślił się na chwilę i przytaknął.

– No to jedziemy na skraj wąwozu i tam na nich poczekamy.

Bus odpalił silnik, ciągle coś mamrocząc pod nosem, a Treviño wsiadł do auta.

Rafita i Moreno najpierw zatoczyli koło, żeby zgubić ewentualny ogon, a potem spotkali się z nimi nad wąwozem. Treviño wyjaśnił, na czym polega ich misja: że trzeba będzie wjechać i wyjechać jak najszybciej, wykazać się skutecznością i taktem, ale zarazem, jeśli okaże się to potrzebne, zademonstrować siłę. Wtedy właśnie zadzwoniła jego komórka i detektyw odsunął się na bok, żeby lepiej słyszeć rozmówcę.

– Tak, wciąż jestem w La Eternidad. Nie, nie aresztowali mnie. Gdybym był w pudle, nie mógłbym gadać przez telefon... Ci, co po mnie przyjechali, to nie policja, tylko ochroniarze. Pracują dla pana de Leóna. Szukali mnie, bo pan de León potrzebował wsparcia i chciał ze mną pogadać, dlatego wciąż tu jestem. No już niedługo będę wracał... Nie, nie każ mi tego mówić na głos... Okej, ja też cię kocham... Dobrze. Pa.

Rozłączył się i odezwał do Busa:

– Dobra, teraz możemy jechać.

I zjechali wąską drogą w kierunku rzeki.

Była to pusta parcela, jakieś osiemdziesiąt metrów długości na trzydzieści szerokości, wytyczona ledwie kilkoma palami, na które nawinięto parę

warstw drutu kolczastego. Gdzieniegdzie trawa, krzaki i chwasty wyrosły na ponad metr.

Jeden opancerzony samochód mógł tędy przejechać, nie zwracając na siebie uwagi, ale już dwa w Pescadores zawsze wydawały się podejrzane i mogły oznaczać tylko dwie rzeczy: ludzi mających dużo pieniędzy, których można okraść, oraz brudne pieniądze, czyli konkurencję w interesie, której trzeba się przyjrzeć.

– Daj gaz do dechy – odezwał się Treviño i zauważył przy okazji, że Bus się poci, choć mieli włączoną klimatyzację.

Widzieli niejedną grupkę trzech, czterech osób popijających coś chłodnego na tarasach swoich posesji, skupionych przed telewizorami na baterie: tu mężczyźni zwykle siedzą za plastikowym stolikiem, każdy z piwem w ręku, a kobiety z niemowlakami na rękach doglądają starszych dzieci. Wszyscy milkną i tylko odprowadzają samochody wzrokiem. Uwagę Treviña przykuło to, że nie widział tam ani jednego staruszka i że ani mężczyźni, ani kobiety nie mieli więcej niż czterdzieści lat. Czy w tej dzielnicy więcej się nie dożywa? I do tego psy, które nie przestają szczekać, dopóki samochody nie znikną z pola widzenia. Dwa razy spotkali się z nieufnymi spojrzeniami grupek młodych chłopaków palących trawkę wokół beczek, w których płonął ogień, albo siedzących na pace spalonego, pozbawionego kół samochodu. Treviño przyglądał im się zza przyciemnianych szyb i przypominało mu się dzieciństwo, które spędził nie tak znowu daleko stąd.

– Cholera by to wszystko. – Bus niemal dygotał z nerwów. – Co nas podkusiło...

– Jak na szefa ochrony to niezły z ciebie cykor, stary. Co ty, jaj nie masz czy jak?

– No mam, ale wolę, żeby zostały na swoim miejscu. Po co się tak nadstawiać?

Choć Bus nosił tylko colta kalibru 45, w który to model pan de León zaopatrywał swoich ochroniarzy (wersja z drewnianą obudową kolby i posrebrzaną, błyszczącą lufą; broń ostentacyjna, jak na milionera przystało), wiedział, że Rafita i Moreno mają ze sobą karabinek Colta kaliber 12 i nowoczesny karabin maszynowy Steyr TMP jako pamiątkę ze szkolenia w Europie. Z kolei Treviño trzymał swojego taurusa gdzieś w spodniach, a w rękach miał tylko latarkę.

– To tu.

Zaparkowali oba samochody na drodze gruntowej i detektyw wysiadł pierwszy.

Teren zagrodzony był taśmą ostrzegawczą. Kiedy ochroniarze do niego dołączyli, Treviño uniósł taśmę i wszedł na parcelę, a zaraz za nim Moreno i Bus. Rafita został na zewnątrz w charakterze ochrony.

– Szybcy są ci miejscowi.

Ciemny samochód miał powybijane szyby i sporo dziur po kulach po lewej stronie. Bagażnik był otwarty, a miejsce po silniku i akumulatorze puste. Opony też zniknęły, więc auto spoczywało na osiach.

– Gnojki. Założę się, że auto miało być odholowane, ale nie wpuścili tu lawety. – Treviño chętnie porównałby wzór opony znalezionej przed dyskoteką z kołami pojazdu, ale nie było to ani możliwe, ani konieczne. Choć śledczy pozbierali wszystkie plastikowe znaczniki, służące do porządkowania miejsca zbrodni, Moreno przypadkiem kopnął jeden z ponumerowanych stożków, jakie stawia się przy dowodach rzeczowych. Miał numer 66, leżał w pobliżu samochodu, na wysokości okna kierowcy.

– No i co, panie detektywie?

Treviño zauważył, że trawa w pobliżu jest pognieciona i że wokół znacznika kręci się sporo mrówek.

– Tutaj leżały ciała.

Podniósł gałąź, żeby wyciągnąć spod auta zachlapanego krwią adidasa, na którym roiło się od mrówek.

– Jeśli oni tak badają miejsce zbrodni, nawet nie chcę sobie wyobrazić, co się dzieje w tym mieście.

Detektyw uważnie obejrzał but i znacznik, potem podniósł wzrok i stwierdził:

– Postrzelono ich tutaj. Stali przed samochodem i zaatakował ich jeden lub dwóch napastników.

Moreno przytaknął i zrobił trzy długie kroki wstecz. Treviño oświetlił latarką trawę aż pod nogi ochroniarza, a potem razem przeczesali wysokie chaszczki i w końcu Moreno znalazł łuski ewidentnie pochodzące z broni agresora; schowały się między źdźbłami trawy i zaroślami. Ochroniarz podniósł jedną z nich. Podłużny cylinder złotego koloru, z nacięciem z jednej strony. Moreno obejrzał ją i rzucił do Treviña.

– Siedem sześć dwa.

– Tak. Siedem sześć dwa. Kałach.

Treviño schował łuskę do kieszonki na piersi, podrapał się po brodzie i nie odzywał, dopóki nie podszedł do niego Bus.

– Co jest?

– Czekaj chwilę. To bardzo dziwne.

– Kurde, ubili ich i po sprawie. Co w tym dziwnego?

Treviño wstał i znów podrapał się po brodzie.

– Ludzie siedzący w tym biznesie zwykle rozprawiają się ze zdrajcami i wrogami, strzelając im w skroń. Kiedyś zakopywali trupy na opuszczonych ranczach gdzieś w górach, gdzie nikt nie mógł ich odnaleźć. Od kiedy wypowiedzieli wojnę Bogu i reszcie świata, podrzucają zwłoki pod siedziby swoich wrogów i do tego dokładają jeszcze napisy objaśniające, za co zostali zabici. Czasami, jak się chcą wykazać, zostawiają kwiat albo owoc na jakimś cieple, żeby wskazać, z jakiej miejscowości pochodzą albo do której grupy należały ofiary.

Nowi ćwiartują ciała i lubią odcinać głowę. Podrzucają zwłoki w miejscach publicznych i żeby się upewnić, że żadne z ich trofeów nie umknie opinii publicznej, zwykle oddają strzał albo serię strzałów, kiedy je podrzucają, żeby zwrócić uwagę mieszkających w pobliżu ludzi. I żeby nie zostać anonimowi, często zostawiają kartkę lub różne kartki z informacjami adresowanymi do wrogów albo władz. Ci z Czterdziestki nie zostawiają żadnych kartek, wiadomości czy innych dupereli. Od kiedy posługują się bronią maszynową, wystarcza im, że skoszą serią ofiarę czy całą grupę ofiar. Nigdy nie zadają sobie zbędnego trudu.

No a tutaj nie było żadnych ceregieli, kwiatów, owoców, nie ma śladów walki, kaliber broni nie pasuje do żadnej ze znanych nam grup i wydaje się, że zabici znali zabójców i im ufali, bo ten bydlak czy bydlaki, które ich wystrzelały, zaskoczyły ich, stojąc twarzą w twarz bezpośrednio przed nimi, sądząc po wysokości dziur po kulach na samochodzie. O to mi chodziło, kiedy mówiłem, że to dziwne. Pachnie mi to zdradą.

Bus przełknął ślinę.

– Nie powinniśmy tu siedzieć za długo...

– Cholera, Bus, na scenie zbrodni nie wolno się spieszyć. Któż to wie, a nuż rozwiążemy sprawę dzięki uważnej analizie któregoś miejsca zdarzeń? Przez takich lewusów jak ty kryminalistyką w tym kraju ciągle raczkuje.

Treviño podszedł do pikapa i z maniakalną precyzją oświetlił jego wnętrze, analizując je centymetr po centymetrze. Wyciągnięto już z niego głośniki, przednie fotele i najwyraźniej ktoś próbował wyrwać też tylne, bo były częściowo oddzielone od podłogi. Jakby się dobrze przyjrzeć, prawe drzwi też sprawiały wrażenie dość poluzowanych, jak gdyby ktoś próbował je wyłamać.

Hałas w zaroślach sprawił, że natychmiast wyjęli broń.

– Stać! – zawołał detektyw. – Wyłazić albo pośle wam kulkę.

Odpowiedzi nie było, więc Rafita przeładował. Słyszac szcęk broni palnej, z zarośli wyłoniło się dwóch chudych i wytyłanych chłopaków z rękami w górze. Byli bosy, a spodnie mieli dokumentnie poszarpane.

– Niech pan nie strzela, szefie.

Treviño oświetlił obu, jeden miał obdarte dzinsy, a za paskiem trzy różne śrubokręty. Zaświecił im prosto w twarz.

– No, chłopaki, z jakiego jesteście gangu?

– Z żadnego.

– Jasne. A ten tatuaż to niby co?

Szczył zasłonił sobie ramię, jakby się w nie drapał.

– Jakbyś nie należał do Czterdziestki, nie byłoby cię tutaj, i możesz się tak nie zasłaniać. Czeka, a ty nie jesteś synem doñi Rosy? Przecież to ty jej pomagałeś sprzedawać placki z rybą...

Obaj chłopcy parsknęli śmiechem. Nie wiedzieli, w którą stronę patrzeć. Rzeczywiście był taki czas, kiedy Carlos Treviño jako policjant patrolował te okolice. W swoim czasie miał całkiem niezłe stosunki z miejscowymi, którzy zabijali czas, paląc trawkę i odganiając komary. Wtedy właśnie zaprzyjaźnił się z jednym rybakiem, pożyczył mu nawet pieniądze na przenośny kramik, ale rybak zmarł. Od tego czasu handel przejęła jego żona.

– Rozumiem, że placki to już zbyt marny interes. Nie masz przypadkiem na imię Huicho?

Odpowiedzią znów były śmiechy.

– Lucho, proszę pana.

– Twoja matka się trzyma?

– Trzyma.

– No to nie rób jej przykrości. Powiedz, to zostanie między nami. Kto jest twoim szefem? Dalej Carnitas?

– Nie. – Drugi chłopak pogwizdywał na boku. – Jego już nie ma. Od jakichś dwóch lat.

– Dostał kulkę w oczodół – uściślił jego kolega.

– A Toribio?

Ten od śrubokręta przytaknął.

– Toribio Villareal. Tego też nie ma. Przepadł jak kamień w wodę. Miał słabość do koki.

– O rany, ale młyn. No to kto tu rządzi, co?

Oba chłopaki uśmiechnęły się, ale żaden nie odważył się odezwać.

Wtedy podszedł do nich Rafita.

– Widzę, że kawałek stąd zbiera się kilka samochodów z zapalonymi światłami. Spadajmy stąd.

Treviño spojrział we wskazaną stronę i przekonał się, że rzeczywiście w oddali pojawiło się kilka par reflektorów. Mimo to dał znak ochroniarzowi, żeby nie przeszkadzał.

– Za minutę. No to jak tam, chłopaki?

Ponieważ ci dwaj dalej się uśmiechali, detektyw dodał:

– Nieźle was wytresowali. Mamy dwie opcje, koledzy, albo was aresztuję za kradzież, albo powiecie mi trzy rzeczy. To jak?

– Niech będzie – odezwał się wytatuowany.

– Dwa dni temu zabito tu dwóch gości.

– Dwiema seriami – potwierdził jeden ze szczyli. – Słysząc było w całej okolicy.

– To było w czasie meczu – dodał tatuowany. – W drugiej połowie.

Moreno szybko obliczył coś w pamięci i rzucił:

– Jakoś o wpół do jedenastej?

– Tak z grubsza.

– A kto to był? Czterdziestka?

– Nie – odpowiedział ten pierwszy. – Jacyś z zewnątrz, jak wy.

– Widziałeś ich?

– Nie. Nikt nie widział. Wszyscy siedzieli w domach, gapili się na mecz.

– Znaliście tych zabitych? To tutejsi?

Na to woleli nie odpowiadać. Ograniczyli się do nieufnych uśmiechów.

– Słuchaj, Treviño, te samochody już tu jadą...

– Daj mi minutkę. – Znów zwrócił się do chłopaków: – No i co? Co mi powiecie? Kto to był?

Ten ze śrubokrętem zawahał się i w końcu odpowiedział:

– Tamtej nocy, kiedy załatwili tych gości, widziano jeszcze jeden ciemny samochód, przejeżdżał przez dzielnicę. Ludzie widzieli.

– Patrol?

– Nie. Patrol to nie był.

– Van?

– No, van. Podobno czerwony, taki bardzo wysoki, takimi jeżdżą goście z branży. W sumie taki jak wasz. Ludzie widzieli, jak przejeżdżał tędy, przed budką z piwem i barem z bilardem. Podobno podjechał tą zwirową drogą, a potem skręcił w szosę, która prowadzi na miasto. Sporo ludzi widziało.

Z oddali dobiegł ich terkot broni. Miejscowi ewidentnie nie przepadali za odwiedzinami. Treviño zgasił latarkę i odprawił chłopaków.

– Dobra. Trzymajcie tam dla mnie jakieś placki.

Potem odezwał się do Morena:

– Mówiłem ci, że te nasze bryki będą się rzucały w oczy. Spadamy, i to gazem.

Oba silniki zaryczały i auta pomknęły drogą między domami, a potem raptownym podjazdem na szczyt wąwozu. Zaczynało się ściemniać. Nie to, że nie woleliby zostać i pogadać.

Kiedy dojeżdżali do alei de las Palmas, do detektywa zadzwonił pan Williams. Samochód Rafity jechał przodem, a za nim w fordzie lobo Moreno, Treviño i Bus. Konsul sprawiał wrażenie zdenerwowanego.

– Jakież nowości?

– Prawie nic, znaleźliśmy samochód porywaczy.

– Co? – Konsul nie dowierzał w to, co słyszał. – Poczekaj, wyłączę tryb głośnomówiący. No, teraz mów.

– Znaleźliśmy jeden z tych samochodów, podziurawiony kulami. Czarny grand cherokee, czterodrzwiowy. Niezbyt nowy model.

Detektyw zaczął podsumowywać dotychczasowe ustalenia.

– Po tym, jak uprowadzili Cristinę spod dyskoteki, porywacze zjechali z głównej szosy i wąwozem podjechali nad rzekę, do Colonia Pescadores. Zatrzymali się na pustym terenie i tam zostali zastrzeleni z broni o kalibrze 762, czyli musiały to być automaty. Nie wiemy, kto ich zaatakował ani kto został zabity, ani czy Cristina tam z nimi była. I jeszcze coś: widziano duże czerwone auto wyjeżdżające z dzielnicy drogą prowadzącą na główną szosę.

– Ech... to fatalna wiadomość. Wziąłeś odciski palców?

– Nie miałem potrzebnego sprzętu, ale też nie miałoby to sensu – stwierdził detektyw. – Zanim się tam zjawiliśmy, pół dzielnicy zdążyło rozebrać auto na części. Poza tym musieliśmy wiać.

– Była strzelanina?

– Byliśmy już daleko. Ale tak, strzelali.

Konsul przez chwilę milczał.

– Myślisz, że to atak gangu? Że Cristina jest w Pescadores?

– Wydaje mi się to niezbyt prawdopodobne, ale też nie wykluczam.

– Jeśli używali automatów...

– Taką broń teraz mają wszyscy: Starzy, Nowi... Dziś możesz ją kupić na każdym rogu za dwieście dolarów. Ale raczej bym się zdziwił, gdyby jakaś grupa zabiła parę osób ledwie kilka przecznic od swojej bazy. To niepotrzebne zwracanie na siebie uwagi. Dlaczego tutaj, a nie nad rzeką albo przy szosie? Teraz, przy tym, co się dzieje w mieście, możliwości jest sporo.

– Czyli to Nowi?

– Nie wiem. Na razie wiemy na pewno tyle, że atak był nagły i trwał raptem parę sekund. Okoliczni mieszkańcy słyszeli dwie serie. Jedna, żeby zranić, druga, żeby dobić. Goście zostali zaskoczeni, kiedy stali z jednej strony samochodu. Po co wysiadali, skoro byli w trakcie porwania? Poza tym co najmniej dwóch z nich miało broń, a samochód miał przynajmniej pięćdziesiąt dziur po kulach z jednej strony, nie licząc łusek znalezionych na ziemi. Gdyby czuli się zagrożeni, na pewno by się bronili i mogłoby im się udać.

– Musimy znów objechać szpitale.

– Tak, zróbcie rundkę i pytajcie o ludzi z ranami postrzałowymi, którzy zgłosili się w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin. Lepiej nie zabierajcie pani de León. Możliwe, że tam będzie ich córka.

– Racja – przyznał konsul. – A ty co zamierzasz teraz robić?

– Ja pojedę do kostnicy.

– Dokąd?! – wykrzyknął Kaczor.

Bus prawie zahamował z wrażenia.

– Ale co ty wygadujesz?

Detektyw nakazał Busowi gestem, żeby się nie odzywał, a sam kontynuował rozmowę przez telefon.

– Albo zabito wszystkich, łącznie z Cristiną, albo goście posprzecziali się i pozabijali między sobą. Jeśli tak się sprawy mają, możliwe, że dziewczyna jest ranna. Albo i nie żyje. Albo gorzej...

– O czym ty mówisz?! Co może być gorsze?! – krzyczał Kaczor.

– Rozmawiamy o luksusowych autach z bardzo drogimi oponami i gościach noszących ekstrawaganckie ubrania, kręcących się po mieście z rewolwerami za paskiem i automatami. Jeśli zbierzemy to wszystko do kupy, rzuca się w oczy, że to ludzie z branży. Najpierw jednak musimy się upewnić, czy Cristiny nie ma wśród ofiar strzelaniny w Pescadores.

– Rozumiem – odezwał się Kaczor. – Ale słuchaj, przecież kostnica jest bardzo blisko komendy i twoich byłych kolegów.

– Przecież wiem. Jest przecznicę dalej.

– Nie wydaje ci się, że niepotrzebnie nadstawiasz karku? Pytam, bo jest coś, o czym musisz wiedzieć: Margarito jakieś dziesięć minut temu zadzwonił do konsulatu i powiedział, że musimy się spotkać. Twierdził, że chodzi o jakiegoś mojego współpracownika... Mam wrażenie, że mówił o tobie.

– Możliwe.

– O czym może chcieć ze mną gadać?

– Zapewne opowie panu trochę kłamstw na mój temat i poprosi, żeby wydał mnie pan władzom. Już pan sam będzie wiedział, czy mu wierzyć. Niech pan skorzysta z okazji i popyta o dziewczynę.

Konsul odchrząknął.

– Wydaje mi się, że nie ma nic konkretnego w tej sprawie i że chodzi o coś innego. Jeśli ja poruszę temat, zażąda pieniędzy za informacje, które nam nic nie dadzą.

– Ma to w zwyczaju, racja.

– W tym przypadku musimy być absolutnie ostrożni. Nie chcemy, żeby cię aresztowali, zanim znajdziesz Cristinę.

– Niech pan nie zapesza – skwitował detektyw i się rozłączył.

– Wiesz co – odezwał się Bus – jeśli masz się pchać do kostnicy, to nie jest to najlepszy pomysł. Przecież cała kupa wkurzonych typów szuka cię po mieście. A do tego, jak coś ci się stanie, pan de León urwie nam jaja. Jak cię aresztują, nie będziemy mieli jak interweniować. Nie wiem, co o tym myśli Moreno, ale ja tam wolę z komendantem Margaritem nie zadzierać.

Treviño przytaknął. Było jasne, że jeśli pokaże się w kostnicy, ledwie parę metrów od komendy, będzie miał marne szanse, żeby wyjść z tego cało.

– Tutaj niedaleko jest park. Wysadźcie mnie tam i czekajcie, aż zadzwonię.

– Mam z tobą wysiąść? – zapytał Moreno.

– Nie ma takiej potrzeby. Zostawcie mnie tu i zaparkujcie gdzieś w centrum. Zadzwonię, żebyście po mnie przyjechali. A teraz cicho, będę dzwonił po pogotowie.

– Pogotowie? – Moreno uważnie przyjrzał się detektywowi.

– Teraz to już mu kompletnie odbiło, cholerny Treviño – burknął Bus pod nosem.

IX

Mamy tu następnego – powiedział pielęgniarz.

– W bardzo kiepskim stanie?

– Fatalnym – uśmiechnął się pielęgniarz. – Wygląda strasznie. Pozbieraliśmy go w parku. Widzimy się jutro.

– Chwileczkę! – zawołała doktor Elizondo. – Nie podpisałam papierów.

– Tego nie musi pani kwitować. To prezent. – Pielęgniarz uśmiechnął się i wyszedł.

Kiedy została sama, pani doktor Silvia Elizondo, znana lepiej wśród rzesz swoich wielbicieli jako Pasztet, machnęła swoją bardzo długą jedwabistą grzywką i podeszła do noszy. Od ciała dzieliły ją już tylko dwa kroki, gdy nagle spod prześcieradła dobiegł ją jęk, w zamierzeniu przerażający.

– Bardzo śmieszne – stwierdziła doktor. – Tyle że taki kawał robiono mi już ze sto razy.

I odsłoniła leżącego. Na widok Treviña uśmiech zgasł na jej twarzy.

– Co ty tu robisz? Nie wiesz, że Margarito cię szuka?

– Potrzebuję twojej pomocy.

Pani doktor spojrzała na zegarek.

– Zważywszy na porę, jaką wybierasz, to nie może być nic uczciwego. Złaź.

Elizondo, odpowiedzialna za miejski zakład medycyny sądowej, przekreśliła klucz w drzwiach i odwróciła się. Treviño jednym susem zeskoczył z noszy.

– Niezbyt to elegancko wyszło. Kiedyś byłeś bardziej kreatywny.

– Powiedzmy, że potrzebuję pilnej konsultacji.

Doktor roztargnionym ruchem zebrała włosy i przyjrzała się przybyłemu. Mierzyli się wzrokiem bez słowa, aż w końcu kobieta dodała:

– Czy nie miałeś być martwy?

– Oficjalnie tak.

– No to najwyraźniej szybciotko się pozbierałeś. Kawy?

– Z rozkoszą bym się napił, ale nie mam czasu. Pozwolisz mi zobaczyć najnowsze ciała?

– Prosto do rzeczy, jak zawsze. A reszta może poczekać. Kogo szukasz? Kobiety czy mężczyźni?

– I kobiety, i mężczyźni.

– Czuj się jak u siebie. – Wskazała ścianę w głębi pomieszczenia, pod którą w metalowych trumnach spoczywały zwłoki.

– Dzięki, pani doktor.

Detektyw otworzył pierwszą i pokiwał głową.

– Biedna kobieta.

– A która?

– Ta z raną wylotową na czole. Jakiś rykoszet?

– Tak jest.

– Biedaczka. Ale ja szukam młodszych.

– No to popatrz tu, tu są najnowsi. Dalej prowadzisz ryzykanckie życie? Bo do policji chyba nie wróciłeś.

– Nie, pewnie, że nie. Czasami najmuje się jako detektyw, jeśli sprawa jest ciekawa. I otworzyłem hotelik. Taki malutki, na plaży w Veracruz. Może wpadniesz?

– Jasne.

– Słuchaj, a pamiętasz tego białego mavericka, którym jeździłem? Zabieraliśmy się nim nad rzekę, na spacer...

– Ten, o którym mówiłeś, że to zwierciadło twojej duszy? Przynosi same złe wspomnienia. A co?

– Teraz poruszam się takim samym.

– Ciekawe, czy tak samo przyniesie ci pecha. Pamiętaj, jak poszło z tamtym...

Treviño uśmiechnął się.

– To nie jest zbyt dobry pomysł, żebyś się tu kręcił na widoku – upierała się dziewczyna. – Margarito nie zapomina i nie odpuszcza. Dzisiaj po południu puścił w obieg ostrzeżenie. Wszyscy mają mieć oczy dookoła głowy. Twierdzi, że siedzisz w dragach.

– Chciałby. I żeby było jasne: jeśli ktoś tu się tym zajmuje...

– Wiem, wiem... Ale powiedz mi coś o twojej żonie.

– Wszystko gra, zadowolona jest. A nasza córeczka ma już dwa lata, ładnie chodzi.

– Masz córkę?

Twarz dziewczyny najpierw szybko się rozjaśniła, a potem pociemniała. Pokręciła głową z goryczą, jakby skosztowała bardzo

niedobrej tequili. Treviño poczuł się jak skończony kretyn.

– Bardzo się cieszę. No, sprawdzaj te ciała, powinieneś się pospieszyć. – Otworzyła archiwum w swoim telefonie i podała aparat detektywowi.

Na ekranie widać było ułożone w rzędzie twarze dorosłych mężczyzn i kobiet, czasami zdarzało się dziecko. Treviño przyglądał im się badawczo, aż dostrzegł jednego młodego chłopaka, a potem drugiego i trzeciego, mieli tatuaże na szyi. Mogli liczyć jakieś dwadzieścia lat i miało się wrażenie, że przed sfotografowaniem porządnie ich umyło. Dwaj mieli czerwoną plamę na jednej ze skroni, ale w przypadku trzeciego ciężko było rozpoznać rysy twarzy: musiał się pochylić i dostał serię w głowę.

– Kiedy przywieziono tych trzech... tych wytatuowanych?

– Dwa dyżury temu... przedwczoraj. Przywieziono ich razem, trzech przyjaciele. – Nie licząc kilku kosmyków, które uparczywie trzymały się grzywki, włosy dziewczyny splecione były w warkocz. – Przedwczoraj mi ich przywieźli, a oględzin dokonałam wczoraj. Tylu ludzi przychodzi pytać o swoich krewnych... Sam wiesz, że na komendzie wszystkie informacje gdzieś przepadają, więc nabrałam zwyczaju fotografowania moich delikwentów. Są tacy, co cykają fotki daniom, które zamawiają w restauracjach, albo fotografują kraje, które odwiedzają, ale ja się skupiam tylko na pracy.

Detektyw wysłuchał jej z uwagą, a kiedy zamilkła, zapytał:

– Nie przywieziono żadnej dziewczyny?

Pani doktor westchnęła:

– Nie, żadnej dziewczyny, tylko kobiety między pięćdziesiątką i sześćdziesiątką.

– I żadnej nastolatki, blondynki, zielone oczy, jakieś szesnaście lat?

– Nie. A co, dziewczyny sobie szukasz?

Treviño oddał telefon i rozejrzał się wokoło.

– Widzę, że magazyn na ciała się rozrósł. Tak źle się sprawy mają?

– To miasto nie ma wiele wspólnego z tym, które znałeś, Carlos. Wszyscy się zmienili.

– Daj jakiś przykład.

Treviño patrzył, jak kobieta ze zręcznością gimnastyczki siada na jedynym krześle i łapie się oburącz za kolana. Szczupła i zmęczona życiem, z długim warkoczem po pas i w bardzo kobiecych kowbojkach na wysokim obcasie.

– Rok temu, kiedy jeszcze uczyłam w podstawówce, przyjechał do nas wysłannik z sekretariatu edukacji publicznej, jakoby po to, żeby nas przeszkolić w temacie bezpieczeństwa.

Od kiedy ją znał, Pasztet pracowała rankami jako nauczycielka przyrody w prywatnej szkole w La Eternidad, a popołudniami zamykała się w kostnicy. Dzięki temu utrzymywała równowagę psychiczną i finansową.

– Facet z wyglądu i zachowania od razu kojarzył się z ochroniarzem. Jeśli miał upoważnienie do prowadzenia zajęć w szkole, to raczej dlatego, że je kupił. A ci, co go nam przysłali, moim zdaniem też raczej nawet podstawówki nie skończyli. W ciągu ostatnich miesięcy niejedno tu widzieliśmy: samozwańcze posterunki przy wjeździe do miasta, zwęglone wraki samochodów na ulicach, sklepy i inne lokale spalone albo ostrzelane, łuski po kulach walające się wszędzie po ziemi i cóż, wiadomo było, że takie rzeczy się zdarzają, ale nie na widoku. A nie da się przecież zatykać dziury w tamie palcem i ostatecznie to my musieliśmy się schować. Pewnego dnia dostaliśmy pismo od dyrektorki szkoły, w którym poprosiła, żebyśmy zostali po lekcjach, by przejść bardzo pilne szkolenie. Żeby nie przedłużać, powiem tylko, że przedstawiła tego typu, a on oświadczył nam radośnie, że przestępczość w okolicy jest bardzo wysoka i będzie gorzej. I wierzyć się nie chce, co zrobił. To było po prostu nieludzkie. Dokładne zaprzeczenie troski o dobro ucznia.

Powiedział nam, że jeśli doszłoby do strzelaniny w szkole, mamy sprawić, żeby uczniowie natychmiast padli na podłogę i pod żadnym pozorem nie podnosili głów. – Kiedy wypowiadała te słowa, jej głos stał się cienki jak tafla lodu tuż przed pęknięciem. – I że jeśli zjawi się uzbrojona grupa i będzie chciała „zabrać” jakiegoś ucznia, mamy im wskazać poszukiwanego. Ja wstałam i zapytałam: „Kto panu pozwolił zjawić się tu i wygadywać takie rzeczy? Kto opracował to szkolenie? Pański przełożony w gubernatorstwie czy ktoś z krajowego związku zawodowego nauczycieli? Nie macie prawa! Jak można kazać nam robić coś takiego, przecież my mamy opiekować się tymi dziećmi!”. Tak powiedziałam i krzyczałam na niego. Jak sądzisz, co mi odpowiedział? „No tak się sprawy mają, proszę pani”. Kiedy to mówił, wszystkie popłakałyśmy się, z wściekłości i żalu. Tej całej dyrektorki nawet tam nie było, pewnie nie chciała stawać w naszej obronie, interesuje ją tylko kasa, a miss Charito, jedna nauczycielka, która nigdy nie siedzi cicho, jedyna

z porządnym wykształceniem, powiedziała mu: „Jak możecie mówić coś takiego? Ten, kto wydał takie polecenie, nie ma bladego pojęcia, jakiego rodzaju więź łączy nauczyciela z uczniem. Czegoś takiego nie można zrobić. To nieludzkie i nie można prosić nauczycieli o coś podobnego”. Ochroniarz przerwał jej i oświadczył, że on nie prosi, tylko przekazuje polecenia, a komu nie podoba się, może sobie szukać innej pracy. Posypały się obelgi. Miss Charito poprosiła, żebyśmy się uspokoiły, i powiedziała mu: „Być może prezydent, gubernator czy szefowa związku mogą wydać takie polecenie, ale kto byłby w stanie wyobrazić sobie nauczyciela gotowego wysłać na śmierć swojego podopiecznego? Każdego dnia wstajesz wcześniej niż wszyscy, prowadzisz własne dzieci do szkoły i idziesz uczyć cudze. Starasz się, żeby zdobywały wiedzę, traktujesz je tak, jak gdybyś chciał, żeby traktowano twoje. Jak możecie zakładać, że ktokolwiek posłucha takiego polecenia? Czy ktoś, kto zrobiłby coś takiego, mógłby dalej nazywać się nauczycielem?”. Tak powiedziała, a my wszystkie wykrzykiwałyśmy różne rzeczy.

Facet był poirytowany, ale musiał jakoś przełknąć swoją dumę, chyba nie nawykł do tego, że grupa nauczycielek traktuje go jak pętaka, a tym bardziej że jeździ po nim jak po burej suce, tak że bardzo się hamując, odezwał się już bardziej ugodowym tonem, że chociaż może się wydawać, że ta instrukcja jest zła, bez sensu, to jednak zdarza się, że kiedy zjawia się w szkole uzbrojona grupa i pyta o jakieś konkretne dziecko, wszyscy uczniowie milczą przez solidarność z poszukiwanym. I to może okazać się bardzo niebezpieczne, bo tacy ludzie mogą ranić, a nawet zabić sporo dzieci, zanim znajdą to właściwe, stąd konieczność udzielania agresorom takich wskazówek, żeby zminimalizować liczbę potencjalnych ofiar, stąd potrzeba współpracy ze strony nauczycieli. La Maru odpowiedziała mu: „A nie ma innych rozwiązań, może by zadbać o większy spokój w kraju albo zwiększyć ochronę szkół?”. Facet wstał i oświadczył, że bardzo mu przykro, że on już swoje zrobił i że informacje, które nam przekazał, to nie sugestia, tylko polecenie służbowe, i albo się dostosujemy, albo zwalniamy się z pracy. Wymieniłyśmy się spojrzeniami i odpowiedziałyśmy mu: „Bardzo nam przykro, proszę pana, ale nie zamierzamy się do tego stosować. Zastanowimy się nad tym, ale to, czego pan oczekuje, jest niemożliwe. Jesteśmy tu po to, żeby uczyć, a nie stawać się współniczkami przestępców i tych idiotów, którzy jakoby nami rządzą”. Na co on: „Wasza decyzja”. I spojrział na tę głupią dyrektorę,

która zajrzała na chwilę przez drzwi i bawiła się krzyżykiem wiszącym jej na piersi. I jak myślisz, co się działo potem? Miesiąc zajęło tej cholercze pozwalnianie tych, które zaprotestowały. I wiesz co? Za każdym razem kiedy widzę w telewizji ludzi ze związku nauczycielskiego albo tę naszą całą dyrektorkę, która teraz pełni jakąś ważną funkcję w stanowym sekretariacie edukacji, mam stuprocentową pewność, że to patentowana suka.

Dziewczyna puściła włosy i znów wprawnym ruchem zawinęła sobie warkocz wokół dłoni, jakby chciała odgonić to, o czym właśnie opowiedziała. Treviño wiedział, że jeśli zapyta wprost, dlaczego taka dziewczyna jak ona zajmuje się sekcjami zwłok i dlaczego wciąż pracuje w takim mieście jak to, nigdy nie dostanie szczerej odpowiedzi. Trzeba ją było znać od miesięcy, może od lat, żeby sama poruszyła ten temat i zechciała opowiedzieć. „Trzy dni mój ojciec leżał na wzgórzu, zanim go zabrali. Nikt, w obawie przed represjami ze strony morderców, nie odważył się donieść, że tam leży jego ciało. To ja musiałam iść i go zidentyfikować”.

Detektyw spojrzał na dziewczynę świadom, jak cierpi, i poczuł się jak ostatni kretyn, bo stać go było tylko na suche:

– Bardzo mi przykro.

– Nieważne. Mnie skutecznie przepędzono i już tam nie pracuję.

Po chwili Treviño odważył się zapytać:

– Słuchaj, a czy uczyłaś może Cristinę de León, córkę tego biznesmena?

– Córkę pana Rafaela de Leóna? Tak, była moją uczennicą, zanim wysłali ją do Szwajcarii. Bardzo bystra. Straszna szelma, daleko zajdzie...

– Wielu chłopaków miewała?

Nauczycielka pobladła.

– Dlaczego mówisz o niej w czasie przeszłym? Co się stało?

– Ukradli jej samochód. – Detektyw odchrząknął. – Wynajęto mnie, żebym go znalazł. Podobno to jeden z jej byłych. Jak myślisz?

– Byłych? To bez sensu. Od kiedy pamiętam, chodziła tylko z jednym: synem pana Perkinsa, bardzo spokojny i przystojny chłopak. Gra, albo grał, w drużynie siatkówki. Był z niego dobry czytelnik; przez ten rok, kiedy się u mnie uczyli, połknął *Małe kobiety* i wszystkie inne powieści Louisy May Alcott. Ale ten chłopak nie byłby w stanie niczego ukraść, nie musiał. Ma zamożnych rodziców.

– A inni narzeczeni?

– Cóż, kandydatów miała zawsze pełno. Ale chodziła tylko z tym.

– Słuchaj, jeszcze jedna ważna rzecz: znasz może takiego chłopaka, jakieś dwadzieścia lat, którego nazywają Rekin?

– Tego, o którym w zeszłym tygodniu pisali w dziale kryminalnym, w związku z jakąś awanturą w barze?

– Tego właśnie.

– Jak dotąd nie miałam okazji. Ale nie zdziwiłabym się, jakby tu do mnie trafił na zasłużony spoczynek. Podobno handluje pigułkami.

Treviñowi przemknął przez myśl jego kolega, Staczający się Kamień.

– Coś jeszcze o nim wiesz?

– On nie jest stąd, tylko spoza miasta, z rancza, gdzieś w środku stanu, tak mi się zdaje. Tutaj zjawia się tylko po to, żeby się zabawić. Ma bardzo złą sławę, ale rodziców miał porządnych.

Pani doktor znów skupiła się na splataniu warkocza.

– A może po prostu przemawiają przeze mnie lęki. W tym mieście dzieje się jeszcze coś i można to podsumować w trzech hasłach. – Wymieniając, wyciągała po kolei palce. – Milczeć. Uważać. Trzymać się z daleka. Jeśli dochodzi do jakiegoś drastycznego zajścia, nikt nie będzie gadał z policją, bo i po co, ty i ja dobrze wiemy, że to nie ma sensu. Ale jeśli będziesz pisał w sieciach społecznościowych o zabójstwach i przestępstwach, że już o dilerce nie wspomnę, to wszyscy będą przekonani, że przyjdą źli i cię zabiją, tak jak się stało z tymi twitterowcami z Nuevo Laredo. A jeśli źli po ciebie nie przyjdą, to rząd oskarży cię o terroryzm. Burmistrzowie i gubernatorzy z okolicy dogadali się i uznali, że terrorysta to ten, kto „sieje panikę” wśród społeczeństwa.

– Bydlaki.

– I co teraz? A jeśli porwą albo wymuszą haracz, albo zabiją twojego najbliższego przyjaciela, twojego sąsiada, który był nim od zawsze, twojego ulubionego nauczyciela, lekarza, który cię leczył, matkę Teresę z Kalkuty albo samego papieża, to musisz jak najszybciej się od tego odciąć. Bo najprawdopodobniej, tak rozumują dzisiaj ludzie, nawet jeśli nie ma na to żadnego dowodu i osoby te poniosły śmierć z czystego przypadku, ludzie zaraz zaczynają podejrzewać, że ofiara musiała pracować dla grup przestępczych. I co ty na to, Carlos? Przyznasz chyba, że jeszcze nigdy nie byliśmy tak nieufni.

Dziewczyna bawiła się końcem warkocza.

– Żyliśmy w najspokojniejszym zakątku świata. Od kiedy pamiętam, za każdym razem jak ktoś nas tu odwiedzał, na odjeźdźnym powtarzał: „Ależ porządni ludzie mieszkają w La Eternidad”. Mówiono o nas, że w interesach jesteśmy poważni, skorzy do zabawy i solidarni w razie kłopotów. I jeszcze: gotowi pracować z energią maszyny, przewycięzać upały i zły klimat. Ale od jakiegoś czasu jedyne, co się na nasz temat słyszy, to skargi: „Nie jedź na wybrzeże, tam są sami złodzieje i mordercy”. Jakbyśmy wszyscy zostali bandytami.

Treviño usiadł przed dziewczyną i patrzył, jak bawi się włosami. Kiedy po raz kolejny splotła warkocz, zapytała:

– Nie żebym cię wyganiała, ale widzisz, ile na ulicy stoi radiowozów? Jak zamierzasz stąd wyjść?

– Dalej parkujesz w podziemiach budynku?

– Żeby cię cholera... – zakląła pani doktor. – Chyba nie chcesz mnie wmieszać...

– Ryzykuję. Zaraz się tu zjawia.

Treviño sprawdził SMS-y w telefonie.

– Gorzej. Już tu są.

Ktoś trzykrotnie zadzwonił do drzwi i Treviño ruszył w tamtą stronę.

– Ej, nie otwieraj... – Pani doktor chciała go powstrzymać.

– Nie przejmuj się. Jeśli znów mnie tu wwiozą na noszach, upewnij się dwa razy, zanim mnie wybebeszysz.

Dziewczyna spojrzała na Treviña, ale nic nie odpowiedziała. Detektyw uchylił drzwi i pojawili się w nich Don Williams i jego kierowca.

– Nie mamy za wiele czasu, Treviño.

– Pan pozwoli, że przedstawię. Pani doktor, czy zna pani amerykańskiego konsula?

X

Treviño ledwie rzucił okiem na ulicę i bez trudu dostrzegł samochód dyplomaty, a w nim Busa, który rozglądał się nerwowo z siedzenia pasażera. Zaparkowali przed głównym wejściem pięć minut temu, ale wyglądało to tak, jakby dla Busa upłynęło raczej pięć tysiącleci.

Choć w pobliżu stało kilka policyjnych samochodów i dwóch mundurowych pałaszowało tacos przy budce na rogu, detektyw wyszedł szybko, a parę kroków za nim konsul i jego szofer, zapukał w szybę Busa, a ten, kiedy tylko się ocknął ze swojego stróżowania, odblokował tylne drzwi auta.

Detektyw zajął miejsce, a zaraz potem przysiadł się do niego jankes. Zamknęli drzwi, kierowca obszedł samochód, wsiadł do środka i zapalił. Konsul poklepał go po plecach.

– Dzięki, Larry. Teraz na wzgórze.

Kierowca konsula Stanów Zjednoczonych w południowym Tamaulipas ruszył szybko i wjechał na aleję Héroes de la Constitución. Pilnował, żeby nie przekroczyć prędkości i nie wykonywać gwałtownych manewrów, by nie zwracać na siebie uwagi. Zanim jednak dojechali do najbliższych świateł, dogonił ich radiowóz na sygnale i policjant kazał zjechać na bok.

– Cholera – zaklął Bus.

– To musi być jakaś pomyłka – stwierdził kierowca. Policjant jednak nakazywał im gwałtownymi ruchami, że mają zjechać.

– Komendant Margarito chce nas przywitać – stwierdził detektyw. – Mogę się założyć.

Skonsternowany kierowca rzucił okiem na swojego szefa, a potem zaparkował przy najbliższym skrzyżowaniu, tak jak nakazują zasady bezpieczeństwa. Zawstydzony tym zatrzymaniem kierowca próbował tłumaczyć się przed szefem.

– Nie wiem, dlaczego nas zatrzymał. Jechałem z dozwoloną prędkością.

– Grunt to spokój – stwierdził gringo. – Samochód jest opancerzony, więc zamknij okno i zapytaj, czego chce.

Chodziło mu o szybę oddzielającą kierowcę od pasażerów na tylnym siedzeniu, tak żeby Treviño i konsul nie byli widoczni. Kierowca

natychmiast wykonał polecenie i został z przodu sam z Busem. Konsul tymczasem uchylił oparcie fotela prowadzące do bagażnika.

– Treviño, wskakuj do tyłu.

– Mowy nie ma.

– Tylko tam cię nie zobaczą.

– I tam najwygodniej mnie zastrzelić, jeśli niespodziewanie otworzą bagażnik. Więc ja tu zostaję, na terenie konsularnym.

Policjant, osobnik o wyglądzie jaskiniowca, w wieku między trzydzieści a czterdzieści lat, nie spieszył się wcale z opuszczeniem radiowozu i powoli przemieścił swoje masywne cielsko w stronę samochodu konsula. Potem pochylił się w stronę drzwi kierowcy i ten opuścił szybę.

– Dzień dobry – przywitał się funkcjonariusz, nie ściągając okularów.

Potem długą chwilę wpatrywał się we wnętrze auta, opierając prawą rękę na wyglądającej na srebrną odznace, jakby kogoś szukał, aż w końcu poirytowany kierowca zapytał:

– W czym rzecz, panie oficerze? Ten samochód należy do rządu Stanów Zjednoczonych.

– To rutynowa kontrola, dla waszego bezpieczeństwa. Proszę poczekać

– powiedział policjant i wrócił do radiowozu. Kiedy już się w nim znalazł, zobaczyli, że rozmawia przez walkie-talkie.

Radiowóz zaparkował przy sklepie samoobsługowym z typowymi towarami dla podróżnych: śmieciowe jedzenie, lekarstwa z kończącą się datą ważności, mapy z błędami albo przestarzałe gazety wydawane w La Eternidad, równie wiarygodne, co reklamy. Za sklepem znajdował się postój taksówek, stał na nim tylko jeden samochód, a kawałek dalej potężne kasyno, zamknięte i oklejone napisami wiszącymi tam pewnie od wieków i mającymi jeszcze pewnie sporo powiszieć. Za kasą w sklepie samoobsługowym jakaś znudzona dziewczyna malowała paznokcie.

– Ciekaw jestem, z kim ten facet gada... – mruknął Treviño.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zaciekawił się konsul.

– To, że zważywszy, jak się rzeczy mają w mieście, może teraz dzwonić do którejkolwiek grupy przestępczej – stwierdził detektyw.

– Ale co ty opowiadasz! – Konsul nerwowo kręcił się na siedzeniu.

– Policjant zarabia sto dolarów miesięcznie. Z tego musi odpalić swojemu szefowi ustaloną działkę za prawo pozostawiania na służbie i osobno za radiowóz. Funkcjonariusz musi płacić za wszystko: mundur, paliwo, utrzymanie samochodu. Już sam rewolwer, kaliber 38, który nosi

przy pasku, wart jest między pięćset a tysiąc dolarów i zapewniam pana, że to nie był prezent od rządu federalnego. – A widząc zdumienie na twarzy konsula, Treviño dorzucił: – Myślałem, że jest pan lepiej poinformowany...

Na poboczu, pod mizernym cieniem, jaki rzucał przyciemniony plastikowy daszek, staruszka i młoda dziewczyna prezentowały poukładane na czterech drewnianych skrzyniach worki z mango. Dziewczyna wzięła dwa z nich i podeszła, oferując im towar: olśniewająca żółć owoców błyszczała w słonecznym świetle, a kilka zwabionych pszczoł pobzykiwało nad jej głową. Kierowca odpędził ją gestem ręki i dziewczyna, nie gubiąc uśmiechu, wróciła na miejsce.

– Biedni ludzie. – Konsul przyglądał się kobietom. – Dam głowę, że ta staruszka ma raptem czterdziestkę. Jak szybko w tym mieście ludzie się rodzą i umierają.

– Mango znad rzeki mają niesamowity smak – stwierdził Treviño, który przyglądał się całej tej scenie. – To jedna z najlepszych rzeczy, jakie oferuje to miasto.

Policjant wrzucił krótkofalówkę do wnętrza radiowozu i wrócił do samochodu dyplomaty, na nogach błyszczały mu czarne skórzane buty z wysokimi cholewami. Kiedy już przemaszerował dzielący ich odcinek, odezwał się:

– Proszę za mną.

Zanim się obrócił, szofer zapytał:

– Może nam pan powiedzieć, o co chodzi, panie władzo?

Funkcjonariusz zmierzył go wzrokiem.

– Wiecie pan konsula Stanów Zjednoczonych, tak? Komendant musi z nim pogadać.

I wrócił do samochodu. Siedzące na poboczu kobiety uważnie obserwowały scenę.

Konsul burknął pod nosem:

– No to mamy, że się tak wyrażę, przesrane. Spotkanie z Margarito to ostatnia rzecz, jakiej mi potrzeba. Treviño, to też jest ostatni moment, żebyś przeszedł do bagażnika.

– Mowy nie ma.

Gringo pomyślał, że przy odrobinie szczęścia nie powinni dostrzec detektywa przez przyciemniane szkła. A jeśli szczęście dopisze bardzo...

Jechali za radiowozem aleją Cuauhtémoc, a kiedy skręcili w Héroes de la Independencia, dostrzegli w oddali komendę w La Eternidad. Bus aż podskoczył na widok ciemnego gmachu. Radiowóz zatrzymał się przed głównym wejściem i tylnymi światłami dał znak, żeby zaparkowali przy nim.

Na podjeździe przed drzwiami człowiek w wielkich ciemnych okularach, liczący jakieś pięćdziesiąt lat i potężnie zbudowany, siedział rozparty w bujanym fotelu. Rozmawiał z dwoma policjantami uzbrojonymi w karabiny, którzy spojrzeli na właśnie podjeżdżające auta. Kawałek dalej młody chłopak i staruszek myli policyjny samochód, raz po raz maczając czerwoną szmatę w wiadrze z wodą.

– Ależ ten sukinsyn się roztył – skomentował Treviño.

Mężczyznę w bujanym fotelu był osławiony komendant Margarito, jedna z najpotężniejszych osób w całym stanie. Swoją karierę zaczął nie jako szeregowy funkcjonariusz, tylko jako członek gangu. Potem został chłopcem na posyłki jednego z najgroźniejszych polityków, jakich znał ten kraj, by w końcu wstąpić do policji z jego poręczenia, a także z poparciem założyciela Kartelu Portowego, znanego teraz jako Starzy. To dzięki tego rodzaju kontaktom rozwinęła się jego błyskotliwa kariera w wymiarze sprawiedliwości.

Kierowca kątem oka spojrzął na swojego szefa, a potem na komendanta Margarita, zastanawiając się, co też może się teraz wydarzyć.

– No dobrze – konsul zwrócił się do Treviña i Busa – chyba nie mam wyjścia. Ja wysiadam, a wy tu na mnie czekacie. Idziemy, Larry.

I otworzył drzwi. Szofer, zaskoczony poleceniem, zareagował dopiero po chwili.

Na widok jankesa facet w okularach wstał i podszedł się przywitać. Konsul wyjął paczkę papierosów i jednego zapalił, może po to, żeby nie musieć podawać komendantowi ręki.

– Panie konsulu, co za zaszczyt – odezwał się olbrzym. – Zapraszam do środka.

– Nie przyjechałem tu z wizytą, komendancie. Jako przedstawiciel Stanów Zjednoczonych w tym mieście nie mam obowiązku stawiać się na pańskie wezwanie. To z mojej strony wyraz szacunku dla miejscowych instytucji.

Larry widział, że mężczyzna w ciemnych okularach uśmiecha się z ostentacyjną kpina: jacyż ci ludzie niewdzięczni, ależ ten gringo

niegrzeczny. No ale na tym przecież polega jego praca: na pokorze, aresztowaniu złodziei, znajdowaniu winnych, pomaganiu porządnym i niewinnym ludziom, którzy pakują się w kłopoty. Jeśli życie czegoś go nauczyło, to tego, by nie oczekiwać niczego w zamian. No chyba że pieniędzy.

– Myślałem, że od kiedy złapaliśmy mordercę z piłą, jesteśmy dobrymi przyjaciółmi, pan i ja. Co takiego się stało?

Jeśli policjant liczył, że uda mu się sprowadzić rozmowę na przewidziany tor, grubo się mylił.

– Panie komendancie, po co kazał mnie pan tu sprowadzić?

Mężczyzna w ciemnych okularach pokręcił głową.

– Wiem, że pomaga pan de Leónowi w poszukiwaniach tej dziewczyny. Czuję się bardzo urażony, że nie zwrócił się pan o pomoc do nas, swoich prawdziwych przyjaciół, tylko do jakichś innych ludzi. Czy nie pomogliśmy ostatnim razem? Wiem, że zatrudnił pan w roli detektywa przestępcę, który ma nieuregulowane zaszłości z prawem. Pan nie musi prosić o wsparcie ludzi takiego pokroju ani zadawać się z przemytnikami i dilerami. Pan przecież wie, jacy oni są, po co ich pan szuka?

– Nie pracuję z przestępcami.

Słyszając to, pierwszy policjant w La Eternidad zmarszczył brwi i zdjął okulary, żeby przetrzeć szkła.

– Wiem, że wynajął pan niejakiego Carlosa Treviña... I że kontaktował się pan z nim w ciągu ostatnich godzin.

– Z tego co wiem – odparował konsul – ostatnimi, którzy w tym mieście widzieli go przy życiu, był pan i pańscy koledzy. Podobno pan przyczynił się do tego, że zniknął.

Komendant polerował soczewki bardzo skrupulatnie.

– Nie mam pojęcia, o czym pan do mnie mówi. Ten cały Carlos pewnego dnia po prostu wyszedł i nie wrócił. Było inaczej? – zwrócił się do stojącego obok funkcjonariusza i swoich ochroniarzy. – Nawet rzeczy nie zabrał. Kiedy je pozbieraliśmy, żeby wywalić na śmietnik, odkryłem, że ma tam heroinę, bez wątplenia na sprzedaż, na co nigdy nie pozwoliłbym żadnemu z moich ludzi. Pan świetnie zdaje sobie z tego sprawę. Posiadanie tego rodzaju substancji to przestępstwo, dlatego najpierw otworzyłem dochodzenie w tej sprawie, a potem wydałem nakaz aresztowania. Jeśli wie pan, gdzie można znaleźć tego człowieka, będę wdzięczny za informację, przysłuży się pan naszemu miastu. Nie możemy

pozwolić na to, żeby tacy przestępcy chodzili sobie na wolności. To dlatego to miasto jest, jakie jest.

Ochroniarze gapili się w sufit, dwa bezmózgie buldogi, czekając na sygnał, kogo mają zaatakować.

Komendant doczyścił swoje okulary i odezwał się półgłosem:

– Wiem, że rodzice dziewczyny odchodzą od zmysłów i że wynajęli tego typu, żeby prowadził śledztwo, ale to nie jest człowiek godny zaufania. I nie za dobrze panu zrobi, jak się zacznie pana z nim kojarzyć, no i konsulat Stanów Zjednoczonych nie powinien podsuwać kogoś takiego naszym przedsiębiorcom.

Konsul zmarszczył brwi.

– A kto opowiada panu takie rzeczy?

Komendant uśmiechnął się.

– Pan się nie gniewa, proszę pamiętać, że mam swoje dojścia. Taką mam pracę, a jeśli panu o tym mówię, to tylko żeby zaoszczędzić wszystkim kłopotów.

Obaj ochroniarze zarechotali z żartu szefa. Williamsa to jednak nie rozbawiło.

– Ma pan jakieś wieści o dziewczynie?

– O kim?

– O Cristinie de León.

– A tak, mam. Niedługo upłynie czterdzieści osiem godzin od jej zaginięcia. Wtedy, zgodnie z prawem, przystąpię do działania.

Policjanci znów wybuchnęli śmiechem, a konsul, poirytowany, cisnął papierosa na ziemię i dał do zrozumienia, że spotkanie jest skończone.

– Uspokaja mnie świadomość, że to pan czuwa nad sprawiedliwością w tym mieście.

– I nie odpuszczę, co by się nie działo.

Przyglądający się temu z boku Larry Pérez miał wrażenie, że konsula wręcz rozsadza wściekłość. Ten zachował jednak trzeźwość umysłu i odpowiedział:

– Rozumiem, że za trzy dni przyjeżdża nowy burmistrz.

– Tak jest, w rzeczy samej.

– Słyszałem pogłoski, że ktoś dostał propozycję zajęcia pańskiego stanowiska, komendancie. Domyślam się, że niebawem nie będziemy mieli okazji się tak często widywać.

– Tak mówią, no ale na razie jestem, gdzie jestem, prawda? Poza tym człowiekiem, który jest przymierzany na moje miejsce, jest jeszcze mój syn. – Komendant uśmiechnął się szeroko i podniósł twarz, tak że jego zęby i soczewki w okularach rozbłysły. – A właśnie, wie pan, ilu konsulów wyjechało stąd, od kiedy piastuję moje stanowisko?

– Na razie.

– Do zobaczenia, wasza ekscelencjo!

Podczas gdy Amerykanin wsiadał do samochodu, kierowca odwrócił się i dostrzegł, że komendant rzuca jakiś obraźliwy komentarz do swoich przybocznych, którzy zareagowali na ów żart śmiechem. Jeden z nich posłał mu nawet całusa, żeby go sprowokować, ale Larry Pérez zlekceważył tę zaczepkę i także wsiadł do auta.

– Sukinsyny. – Bus ocierał pot z czoła. – Mało brakowało.

XI

Kiedy zbliżali się do posesji pana de Leóna, detektyw zauważył, że przed główną bramą, obok schodków, stoi zaparkowany sportowy samochód: kabriolet Ferrari. Wysiedli i udali się w stronę ogrodu. Treviño dostrzegł panią de León rozmawiającą w salonie z dwiema kobietami, stojącymi plecami do okna. Zanim doszli pod drzwi, biznesmen wyszedł im na spotkanie.

– Jakież nowości? – Sądząc po jego minie, oczekiwał wieści o znalezieniu jej ciała, stąd Treviño wywnioskował, że porywacze wciąż nie zadzwonili. Streścił przedsiębiorcy postępy w śledztwie.

– Ani Rekina, ani Cristiny nie było wśród ofiar strzelaniny w Pescadores. Pańską córkę porwało czterech członków gangu. Trzej z nich już nie żyją. Możliwe, że zabił ich Rekin, ale nie możemy wykluczyć, że to był jeszcze ktoś inny. Na przykład ktoś z Czterdziestki, bo zatrzymali się na ich terenie. Od tego punktu błądzimy we mgle.

– Co to znaczy?

– Ci goście zginęli od serii z karabinów. Tutaj niemal każdy ma taką broń, poczynając od armii i policji miejskiej. Oczywiście Nowi i inni z branży też. Nie wydaje się jednak, żeby to byli oni. Natomiast nie daje mi spokoju niespójność tej całej sytuacji.

– Ale co tu jest niespójne?

– Dziwi mnie, że taki dwudziestoparolatek zabija swoich kumpli z bandy. Jaki mógł mieć motyw? Chcieli wykorzystać Cristinę i on się sprzeciwił? Zamierzali ją zgwałcić, a on ją chciał tylko dla siebie? Wolałbym nie spekulować...

– Cristina... – szepnął biznesmen.

– Z drugiej strony pańska córka nie leży w kostnicy, a konsul sprawdził, że w szpitalach też jej nie ma. Niedaleko miejsca zbrodni widziano jadące szosą duże czerwone auto, możliwe więc, że Cristina z Rekinem uciekli i nadal żyją.

Pan de León wbił spojrzenie swoich opuchniętych i zaczerwienionych oczu w Treviña. W końcu się odezwał:

– Proszę do środka. Jest u nas pani Ruth Collins z córką Barbarą. To najlepsza przyjaciółka mojej córki, tego dnia były razem w dyskotecce,

więc niech pan ją pyta o co trzeba, Treviño.

Trudno było rozstrzygnąć, która z trzech kobiet była bardziej zadbana. Pani de León miała na sobie czarną bawełnianą sukienkę, bardzo obcisłą. Usta wymalowała intensywną i wilgotną czerwień, jakby nie chciała wypaść blado na tle młodziutkiej dziewczyny. Miała skromną biżuterię, swoje blond włosy zaciesała tak, by opadały swobodnymi pasmami na jej ramiona, bardzo elegancko. Na widok wchodzącego detektywa siedzące na wielkiej kanapie dwie kobiety otaksowały go spojrzeniem i najwyraźniej uznały za służbę domową, dlatego zaraz spojrzały w inną stronę. Pani Ruth Collins była czterdziestolatką o rudych włosach i niebieskich oczach, jej energia i postawa zdradzały, że codziennie ćwiczy, a jej twarz emanowała równym zdecydowaniem, co pani de León. Obok niej siedziała nastolatka o bardzo bladej skórze, obsypana piegami, włosy kasztanoworudawe, niewielkie niebieskie oczy i krągłe, ładne usta, ledwie muśnięte szminką. Miała na sobie zwykłą bluzę i dżinsy, to jednak wystarczyło, by godnie zaprezentować spektakularne ciało: talia osy, wydatne piersi i bardzo krągłe biodra. Treviño nie przeoczył faktu, że goście ubrani byli zachowawczo, w ciemne kolory, jakby już nosili żałobę po Cristinie.

– Przedstawiam paniom Carlosa Treviña, naszego detektywa.

Treviño skinął głową i zajął jedyne wolne krzesło.

– Dobry wieczór. – Do pomieszczenia wszedł Kaczor, wywołując lekkie zamieszanie.

– Wujek Bill... – Dziewczyna podbiegła i przywitała się z konsulem, całując go w policzek, a detektyw pomyślał sobie, że talent jankesa do zawierania przyjaźni z najlepiej sytuowanymi rodzinami w mieście jest naprawdę zdumiewający. Matka dziewczyny natomiast nie ruszyła się z miejsca i tylko lekko wykrzywiła usta, jakby łączyła ją z konsulem bardzo długa znajomość, obejmująca także łóżko. Kiedy tylko dziewczyna z powrotem usiadła, pan de León dał znak, że mogą kontynuować. Detektyw pochylił się w stronę dziewczyny.

– Barbaro, masz nam coś do powiedzenia w sprawie zniknięcia Cristiny?

Widząc, że dziewczyna nie podnosi wzroku, detektyw ponowił pytanie:

– Czy to coś poważnego? – Dziewczyna wciąż unikała jego spojrzenia.

– Przyszliśmy tu, bo moja przyjaciółka mówiła mi, że chce pan porozmawiać z córką – wtrąciła się ruda. – My jednak nie mamy nic

specjalnego do powiedzenia prócz tego, że bardzo nam przykro z powodu tego, co spotkało moją chrześnicę, i że bardzo to przeżywamy. Wierzyć się nie chce, co się tu dzieje.

Treviño widział, że dziewczyna mocno zagryza wargi. Trudno jej zachować milczenie, pomyślał, to buntownicza, ale matka trzyma ją krótko. Wrócił więc do pytań.

– To, co nam powiesz, może uratować życie twojej przyjaciółce.

– Treviño, proszę. – Pani de León z trudem wymusiła uśmiech. – To córka przyjaciółki...

Widać było, że detektyw jest poirytowany. Przeszedł do rzeczy.

– Cristina ma innego chłopaka oprócz poety?

– No ależ skąd, jak pan może coś takiego insynuować – wtrąciła się matka. – Cristina czegoś takiego by nie zrobiła, w żadnym razie.

Detektyw z uśmiechem, ale i zdecydowanym gestem poprosił ją, żeby się nie wtrącała. Kobieta zamilkła na widok irytacji malującej się na jego twarzy. On pochylił się nad dziewczyną i kiedy ta wreszcie podniosła na niego oczy, spojrział na nią bardzo stanowczo.

– Kim był ten drugi?

– Nazywa się Romain. To Francuz, poznała go w Szwajcarii – z miejsca mu odpowiedziała

– Co takiego?! – wykrzyknęła pani de León.

– Przyjeżdża do niej za dwa dni. Posyłają sobie SMS-y co pięć minut.

Wyglądało to tak, jakby szczerka pani de León miała zaraz dramatycznie odpaść. Matka dziewczyny też krzyknęła, zasłaniając sobie zaraz usta.

– Córko!

– Cristina i jej chłopak przez to się kłócili?

Dziewczyna przytaknęła.

– Chciała zerwać z Bertem, ale on nie odpuszczał.

– Nie mogę uwierzyć, że moja córka... – zaczęła pani de León, ale detektyw znów wymusił na niej milczenie.

– Co za wstyd – odezwała się matka Barbary. – Co sobie pomyślą państwo de León!

Dziewczyna zaczerwieniła się i już miała zamilknąć, ale detektyw nadal naciskał.

– Kłócili się na dyskotece?

Dziewczyna przytaknęła.

– I co jeszcze?

Barbara złapała oddech.

– On się jej oświadczył, na co ona odpowiedziała, że jest z Romainem, więc ma dać jej spokój. On wtedy wykrzyczał jej bardzo złe rzeczy, na co ona wybiegła z dyskoteki, ale Beto ruszył za nią.

– Co za dziewczyna – zżymała się jej matka. – Beto to świetny chłopak, jak mogła mu zrobić coś takiego?

– I kiedy byłaś na dyskotecę, nie zauważyłaś niczego dziwnego? Ktoś tam się przy nich nie kręcił?

– Nie – odpowiedziała nastolatka.

– Dlaczego za nią nie wyszłaś?

– Tańczyłam z moim chłopakiem – odpowiedziała. – Poza tym Cristina i Beto ciągle się kłócili.

– No dobrze, starczy tego – matka Barbary zwróciła się do pani de León. – Idziemy stąd, kochanie.

– Ostatnie pytanie. – Treviño patrzył na dziewczynę. – Co sobie powiedzieli podczas kłótni?

Na twarzy Barbary pojawił się grymas świadczący o prawdziwej panice. Matka wpatrywała się w nią, modląc się, by córka nie powiedziała już nic więcej. Lecz najwyraźniej rudowłosej dziewczyny nic nie mogło powstrzymać.

– Powiedziała mu, że nie chce się już z nim spotykać, że ma nowego chłopaka, Francuza, na co on jej odpowiedział, że chyba poprzewracało jej się w głowie, przecież wszyscy wiedzą, czym zajmuje się jej ojciec.

– Kochanie, przestań.

Detektyw patrzył na bladość rozlewającą się po twarzy pani de León. I na kipiącego ze wściekłości biznesmena.

– Powiedział Cristinie, że jej ojciec ma kontakty z ludźmi z narkobiznesu. Że jeśli o tym nie wie, to powinna się dowiedzieć. Ona jednak wrzeszczała na niego, że to wszystko nieprawda, bardzo się zezłościła, wykrzyczała, że nie chce go więcej widzieć, i wybiegła z płaczem. Po chwili ludzie zaczęli wychodzić z lokalu, nie płacąc rachunków, i pomyśleliśmy, że może gdzieś się pali. Kiedy znaleźliśmy się na parkingu, zobaczyliśmy auto Cristiny z pootwieranymi drzwiami i Beta leżącego w błocie. – Detektywowi przeszło przez myśl, że to nie było błoto, ale kałuża krwi, lecz nie przerywał. – Po chwili przyjechało po niego pogotowie.

De León aż dygotał z gniewu. Detektyw przyglądał się jego reakcjom.

– Kochani, wybaczcie, dziewczyna kiepsko się czuje... Lepiej już pójdziemy.

– Tak będzie lepiej – przytaknęła żona biznesmena. – I bardzo dziękujemy za odwiedziny... – Widać było, że pani de León jest na granicy wytrzymałości.

– Kochana, proszę, nie przejmuj się tak, to wymysły tego chłopaka... Jeśli ktoś odnosi tutaj sukces, zaraz się mówi, że pierze pieniądze...

Pani de León zmrużyła oczy tak, że przypominały tylko wąskie szparki, jakby chciała ukryć ich wyraz, a potem pożegnała się ze słodkim uśmiechem:

– Mam nadzieję, że niedługo znów wpadniecie. Trzymajcie się.

Kiedy tylko obie kobiety wyszły, detektyw odwrócił się w stronę biznesmena. Jego uszy płonęły purpurą.

– Suki – warknęła jego żona. – Nie da się tu odnieść sukcesu, żeby cię zaraz nie zaczęli oczerniać, prawda, Rafaelu?

Przedsiębiorca jednak nie odpowiadał. Jego żona patrzyła, jak siada obok barku, i zrozumiała, że teraz już zamilknie na dłużej, odwróciła się więc na pięcie i weszła po wielkich kręconych schodach na górę, kołysząc czarną sukienką.

Odczekawszy rozsądnie chwilę, detektyw zwrócił się do konsula:

– Lepiej by było, gdybyście od początku mówili mi prawdę. Inaczej poprowadziłbym śledztwo. Lepiej by było to zostawić... – Detektyw wstał.

– To są oszczerstwa, kalumnie jakiegoś zawistnego smarkacza – tłumaczył konsul. – Prawda, Rafaelu?

– Niech pan siada – odezwał się biznesmen głosem, jakiego detektyw jeszcze u niego nie słyszał. Pan de León nalał sobie whisky. Twarz mu pociemniała, jakby miał trudności z oddychaniem. Opróżnił szklanekę jednym haustem i huknął: – Wszystko, co osiągnąłem w życiu, zawdzięczam pracy własnych rąk. Kiedy zmarł ojciec, zostawił mi same długi; zaczynając, miałem tylko wiatr w oczy. Jeśli pogrzebiecie trochę głębiej w tym mieście, przekonacie się, że trzech na dziesięciu przedsiębiorców ma konszachty z branżą. Nikt nie chce tego przyznać, lecz istnieją takie miasta jak nasze, gdzie małe firmy, w tym znaczące, zależą od pieniędzy tych ludzi. Centra handlowe, sklepy z odzieżą, luksusowe samochody, nieruchomości, restauracje, kluby sportowe, szkoły językowe, gorzelnie, fast foody, supermarkety i biura podróży. Nawet lotnisko polega na ich kapryсах. Wyciągasz rękę na oślep

i trafiasz na kogoś, kto żyje z tych brudnych pieniędzy, czasem naprawdę nieświadomie. Mam krewnego, nie powiem kto to, który całe życie się obijał. Za każdym razem jak popada w długi, zakłada nową firmę z nowymi współnikami, taki ma pomysł na życie. Plajtuje i znów coś otwiera, rozumiecie.

Potał oczy.

– Zawsze wiedzieliśmy, kim są. Spotykasz ich w kościele i na plaży, ich dzieci chodzą z naszymi do tej samej szkoły, wpadają czasem na obiad, nocują i zostają na weekend. Czasami razem gdzieś wyjeżdżamy.

– No ale ty nie czy jednak się myłę? – zapytał konsul ugodowym tonem.

Biznesmen nalał sobie i opróżnił drugą szklanę:

– Kiedy masz pod sobą tyle firm, nie zawsze jesteś w stanie nad wszystkim zapanować. To bardzo złożona struktura. – Przedsiębiorca wycelował palcem w Treviña: – Niczego się nie wstydzę i nie mam żadnych zatargów z prawem. – Biznesmen zapatrzył się w kostki lodu pływające w bursztynowym płynie i dodał: – Chciał się pan dowiedzieć, Treviño, kim są moi wrogowie, a prawda jest taka, że może nim być każdy. Sytuacja zmusza nas do robienia rzeczy, które w czasach mojego ojca byłyby nie do pomyślenia... Pewnego razu, jakieś cztery lata temu, dowiedziałem się, że kierownik mojego banku wyraża zgodę na zbyt wiele siedmiocyfrowych pożyczek, i to udzielanych ludziom, którzy nie posiadają żadnych gwarancji. Poszedłem z nim porozmawiać. I ni stąd, ni zowąd facet mówi mi, że co tydzień czy dwa zjawia się jakiś jego klient, śmiertelnie przerażony, i prosi go o wypłatę wszystkich swoich oszczędności, a do tego o największą pożyczkę, jaką się da. I mój kierownik udzielał tych pożyczek, o to w tym interesie w końcu chodzi. Ale przy trzeciej wizycie takiego podenerwowanego i zalewającego się potem klienta kierownik zabiera go do prywatnego gabinetu i pyta, co się dzieje. I gość wyznał, że Nowi grożą mu śmiercią i że do dzisiejszego wieczoru ma im przekazać ustaloną sumę. Tacy ludzie pojawiają się całkiem często: wypłacamy im wszystkie środki i jeszcze robią sobie długi. Żaden nie jest w stanie spłacić kredytu zgodnie z ustalonym harmonogramem. Ostatecznie tracą domy i swoje biznesy. Ale jak im odmówić? To ich pieniądze, mają do nich prawo, nie odmówisz. Poza tym bank stratny nie jest, ubezpieczenie pokrywa to i nie tylko to. Tak samo jest ze sprzedażą samochodów. Mam przedstawicielstwo Mercedesa,

Ferrari, Toyoty i Forda. Czasem nawet nie zdąży minąć tydzień, żeby moi ludzie nie skarżyli się, że znów zjawił się nikomu nieznany typ, który wpłacił pierwszą ratę za najdroższą brykę i przepadł bez śladu. Nigdy więcej o nim nie usłyszymy. No ale ubezpieczenie pokrywa nam straty. I wychodzimy na swoje. Wrogów mogłem sobie narobić przez to, że próbuję pomagać... Kiedyś przyszedł kolega z konkurencji z prośbą, żebym jeszcze tego samego dnia odkupił dziewięć filii jego firmy. Potrzebował kasy, żeby zapłacić ludziom, którzy porwali mu żonę i dzieci. Wyjaśnił, że w poprzednim miesiącu musiał opróżnić wszystkie swoje konta bankowe, by przekazać kolejną milionową transzę, żeby tylko nie zabili mu rodziny. „Nie możesz złożyć doniesienia?”, zapytałem, a on mi odpowiedział: „A do kogo? Po haracz przyjeżdżają co tydzień samochodem policyjnym”. I co miał zrobić? Kupiłem od niego te filie, pół życia na nie pracował. Sprzedał okazyjnie, jednak gdybym to nie był ja, dostałby jeszcze gorszą cenę. Jakies dwa lata temu przyszedł do mnie facet, nazwisko pominę, i zaproponował spółkę przy otwarciu kasyna. Miał znakomite rekomendacje, przedstawił mi go jeden senator. – Rzucił okiem na konsula, który wolał patrzeć w inną stronę. – Oferta wydawała mi się interesująca i wszedłem w to. Prognozy były bardzo dobre, a byłoby to pierwsze kasyno w okolicy. Podpisaliśmy nawet umowę, ale po dwóch miesiącach człowiek, który miał zostać jego kierownikiem, został porwany i zamordowany, potem to samo spotkało księgowego i wtedy zrozumiałem, kim jest ten facet. Zorganizowałem spotkanie prawników i oświadczyłem, że odstępuję od umowy.

Detektyw odczekał rozsądną chwilę, aż don Rafael naleje sobie trzecią szklanke, i zapytał:

– Jak się nazywa ten facet?

– Już nie żyje, zabili go.

– Dwadzieścia lat temu każdy mógłby złożyć na nich doniesienie. Teraz są wszędzie. Chcą domów? Wystarczy podejść i komuś zabrać. Kto niby odważy się postawić? Chcą broni? Mogą ją kupić w państwach Ameryki Środkowej albo wymienić za narkotyki u swoich wspólników jankesów. A jak im się bardzo spieszy, mogą ją dostać nawet w tym mieście. Chcą kobiet? Rosyjska mafia może im sprowadzić blondynki z całego świata, zza dawnej żelaznej kurtyny. Dają pieniądze Kościołowi, budują drogi i szpitale, skumali się z policją... Co jakiś czas rząd zamykał jednego z nich, żeby dobrze wypaść przed Amerykanami, ale to też się skończyło,

kiedy do interesu dołączyli politycy. I kto z tym pójdzie do mediów? Do jednej z gazet z La Eternidad ludzie z kartelu wsadzili swojego redaktora naczelnego, który zjawia się na zamknięcie numeru. Siada i czyta wszystkie informacje krajowe oraz lokalne, bardzo uważnie, a jak już skończy, każe szefom działów usunąć wszystkie teksty szkalujące dobre imię bandy, która go finansuje. Ewentualnie każe im unikać niektórych słów. Mają pisać „grupa” zamiast „organizacja przestępcza”, „interesy” zamiast „działalność przestępcza”, „zniknięcie” zamiast „porwanie”, „urazy” zamiast „rany”, „tragiczne zajście” zamiast „morderstwo”. Jakby do tych bydlaków należały nawet słowa. Niedługo nie będziemy nawet mogli nazywać ich po imieniu. – De León odwrócił się w jego stronę. Miał jeszcze bardziej zaczerwienione oczy. – Proszę, żeby działał pan dalej tak, jak to rano ustaliliśmy. Niech pan znajdzie moją córkę. Zapłacę ile trzeba, ale niech pan rusza.

– Niech mi pan powie tylko jedną rzecz. – Treviño sprawiał wrażenie zmęczonego i znużonego. – To naprawdę wszystko?

– Treviño, przecież pan de León właśnie ci wytłumaczył...

– Muszę to wiedzieć, jeśli mam ryzykować życie. Czy ma pan bezpośredni związek z którąś z grup z branży?

Biznesmen odpowiedział od razu:

– Nie pracuję ani dla nich, ani z nimi. Nie znam ich.

Detektyw, niezbyt przekonany, oddalił się.

– Wracam za pięć minut – rzucił i wyszedł do ogrodu.

Kiedy tylko został sam, wyjął telefon i wybrał numer żony, nie mógł się jednak dodzwonić. Dwa razy odebrał wiadomość, że telefon, na który dzwoni, jest wyłączony albo poza zasięgiem, więc schował aparat i rozejrzał się dookoła. Przy ścieżce prowadzącej do schodów musiało rosnąć ze czterdzieści palm, czterdzieści ogromnych i pięknych palm, równie pięknych, jak jego żona. Po bocznych ścianach domu pięły się rośliny, które robiły na nim niepokojące wrażenie, ich pędy rozciągały się na wiele metrów, wydawało się, że chcą opleść wszystko, co tylko napotkają na swojej drodze. Detektyw westchnął i zauważył, że w głębi ogrodu rośnie kępa sosen, posadzonych tu z pewnością znacznie wcześniej, niż została zamieszкана ta część miasta. Teraz znów mieszkanie w niej traciło sens. Przez chwilę cieszył oczy widokiem tego zagajnika. Lekki wiatr zakołysał gałęziami drzew, które widziane pod tym kątem przypominały stadko dziwnych bezkręgowców, drapiących

w przelocie powietrze. Carlos Treviño westchnął bardzo ciężko i wrócił do domu.

Na jego widok konsul i biznesmen przerwali rozmowę.

– Wszystko gra? – zapytał pan de León.

– Mamy jeszcze jeden trop – Treviño zwrócił się do konsula. – Proszę sprawdzić w księgach wieczystych ranczo o nazwie El Zacatal. Jeśli Rekin przeżył strzelaninę i zabrał ze sobą Cristinę, mogli się schronić właśnie tam. – W odpowiedzi na pytające spojrzenie de Leóna dodał: – Tylko to nam zostało.

Godzinę później, dzięki pomocy swoich kontaktów, jankes zlokalizował trzy rancza w rejonie Zatoki Meksykańskiej zarejestrowane pod nazwą El Zacatal. Pierwsze mieściło się w Veracruz i stanowiło własność magistra Ranulfa Higuery, znanego lidera związku zawodowego CTM. Drugie znajdowało się w samym centrum stanu Tamaulipas, było raczej niewielkie i należało do doktora Luisa Blanco. Trzecie umiejscowione było sto kilometrów na północny wschód od La Eternidad, z dala od głównych dróg i na wysokości miasta Ciudad Miel. Zarejestrowano je na nazwisko niejakiego Óscara Garcíi Osorio.

– To ten – stwierdził Treviño. – Ten García to ojciec Rekina.

Konsul odszukał ranczo na mapie.

– To najbardziej niespokojna część stanu, dokładnie tam, gdzie najmocniejsze grupy walczą o kontrolę nad szosą. Nie będzie łatwo się tam dostać.

– A kto chce się tam dostać? – zapytał Treviño.

– Błagam – odezwała się pani de León. – Niech pan jedzie jej szukać, Treviño.

– Cecilio – jankes nie wytrzymał – przecież nie wiemy, czy Cristina tam jest. Trzeba dopiero sprawdzić ten trop, na razie to tylko możliwość.

– Ja błagam...

– Poza tym nierozsądnie byłoby się tam pchać, nie przebadawszy wcześniej terenu – stwierdził detektyw.

– Treviño ma rację – powiedział Kaczor. – Zanim kogoś tam pošlemy, powinniśmy zrobić coś w rodzaju wywiadu. Sprawdzić, jak tam bezpiecznie pojechać, ilu ludzi pilnuje terenu, ilu ich jest na samym ranczu, czy mają ogrodzenia pod napięciem, kamery wideo, alarmy i tak dalej. Jak dojechać i wrócić, omijając posterunki.

– Otóż to – przytaknął detektyw.

– Mógłbym zdobyć zdjęcie satelitarne okolicy oraz cenne informacje na temat uzbrojonych grup kręcących się przy szosie – ciągnął Kaczor.

Treviña nigdy nie przestawało zaskakiwać, jak bardzo Williams, kiedy tylko chce, okazuje się obeznany z najróżniejszymi tajemnicami rejonu.

Później, o dziewiątej wieczorem, po tym, jak poczęstowano ich kanapkami i kawą, a był to dla Treviña pierwszy posiłek tego dnia, konsul pokazał im na ekranie swojego komputera coś, co wyglądało jak zielona chmura.

– W ciągu dnia jest tam bardzo duży ruch samochodowy i osobowy, a niczego nie uprawiają. Nie sądzę, żeby nawet jedna dusza zajmowała się tam pracami polowymi.

– O jakich liczbach ludzi mówimy? – zapytał detektyw.

– Z moich raportów wynika, że jakieś dwieście osób.

– No to już po mnie – mruknął Treviño.

– Wygląda na to, że ranczo otoczone jest trzema obwodami zasieków. – Konsul pokazywał palcem na obrazie satelitarnym. Trzeba było wyteńczyć wzrok, żeby dostrzec wymieniane przez niego elementy. – Tutaj mamy same góry: najbliższa rzeka jest pięćdziesiąt kilometrów dalej, a żeby się tam dostać, trzeba jechać drogami gruntowymi. Na samym terenie stoi może z sześć budynków, ale za to bardzo obszernych. Wjazd jest bardzo porządnie pilnowany, non stop jeżdżą tamtędy ciężkie samochody.

– Dotrzeć tam nie będzie łatwo – stwierdził Treviño. – Podejrzewam, że na szosie mają fałszywe punkty kontrolne co piętnaście minut.

Williams przejrzał notatki.

– Punkty kontrolne są na każdej szosie tego stanu, zwłaszcza po zmroku. Ale szczegóły się zmieniają w zależności od tego, jaka to część stanu. Na przykład broń. Starzy, którzy funkcjonują na zachód od Ciudad Miel, używają broni długiej, pistoletów maszynowych Spectre, przede wszystkim 9 milimetrów, i pocisków typu powietrze–ziemia. Takich samych używają meksykańskie jednostki specjalne, to sprzęt, jaki można znaleźć w każdym przyzwoicie zaopatrzonym sklepie z bronią w Arizonie. Nowi, czyli ci, którzy się trzymają na wschodzie stanu, używają karabinów M16, granatów typu M67 i kałasznikowów. Ich dostawcami są byli partyzanci z Kolumbii i Ameryki Środkowej. Gwatemalscy kaibile, którzy zajęli się szkoleniem najemników. To ludzie, którzy zeżarliby psa żywcem, i to bez mrugnięcia okiem...

Treviño zrozumiał ważną rzecz.

– Czyli masz wtyki u Nowych.

Kaczor zaczerwienił się, świadom, że wykazał się niedyskrecją.

– Dlaczego wcześniej tego nie powiedziałeś? Zaoszczędzilibyśmy sporo cennego czasu.

– Uszom nie wierzę – stwierdził pan de León.

– Tożsamość mojego informatora jest ściśle tajna – tłumaczył się konsul. – Nie mógłbym go narażać...

– A pytałeś tę swoją wtyczkę, czy porwali dziewczynę? Czy może wolisz, żebym ryzykował życie, a ty żebyś nie musiał go fatygować?

Na twarzy Williama wyraźnie odmalowywał się wstyd.

– Nie ja decyduję, czy mogę się z nim kontaktować. To on kontaktuje się ze mną, jeśli może. Ciągłe mają na niego oko.

– Nie wątpię.

– Nie mogę podać ci żadnych informacji na jego temat ani o żadnych innych informatorach, to by narażało ich życie.

– Treviño – odezwał się pan de León. – To już dwa dni, a oni nie dzwonią. Proszę, pojedź tam. Mogę zwiększyć kwotę, jeśli w tym rzecz. Proszę, żebyś tam pojechał i negocjował w moim imieniu. Jeśli ją zabili, też chcemy ją odzyskać – dodał. – Naprawdę bardzo proszę, niech pan jedzie. Konsul Williams pojedzie z panem.

– Hm... Obawiam się, że nie mogę. Nie mogę mieszać rządu Stanów Zjednoczonych w bezpośrednie kontakty z przestępcami.

– Wiedziałem, że można na pana liczyć. – Detektyw uśmiechnął się krzywo.

– Płacę dwa razy tyle. – Biznesmen stanął przed nim. – Ja też pojedę.

– Mowy nie ma – wtrącił się konsul. – To by oznaczało, że od razu porwą i ciebie. Nawet gdyby nie mieli twojej córki, sądzisz, że cię puszcza? Jechać musi twój przedstawiciel, ale nie członek rodziny ani bliski znajomy.

De León nie spuszczał wzroku z detektywa.

– Czujesz się na siłach, żeby poprowadzić takie negocjacje?

Treviño wstał i wyjrzał przez okno. Niebo było szare, całkowicie zakryte chmurami.

– A jak tam sprawa zielonej karty dla mojego brata?

– Idzie do przodu. Za trzy dni dostanie wezwanie, żeby uregulować swoją sytuację. – Konsul pokazał mu oficjalny papier w języku angielskim

z pieczęcią Stanów Zjednoczonych. Treviño przyjrzał się dokumentowi, a potem twarzy konsula.

– No to działamy – stwierdził.

Było już koło jedenastej, kiedy skończyli analizować wszystkie dostępne informacje.

– Polećcie moją awionetką do Ciudad Miel, tam wynajmijcie samochód, który zawiezie was na ranczo – mówił biznesmen. Plan polegał na tym, żeby Treviño przedostał się do obozu szkoleniowego prowadzonego przez Nowych, nawiązał kontakt z Rekinem i zaoferował mu okup za Cristinę. Jakąś trudną do odrzucenia kwotę.

– Nie możemy skorzystać z lotniska – ostrzegł ich jankes. – Od paru godzin wzmożono kontrole. Przed bramą stoi radiowóz, a na terenie kręci się trzech mundurowych. Jeden z nich to Block, dobrze zna Treviña. Nie przepuszczą go żywego.

Były policjant zaciągnął się mocno papierosem. Potem ze spokojem przestudiował mapę.

– Jeśli pojedę szosą, to trzy godziny na północ, a potem jeszcze z godzina, półtorej przez wertepy i polne drogi. Na ile aktualne są te informacje?

Konsul odpowiedział bez wahania:

– Z początku miesiąca. Najświeższe, jakie mamy.

Detektyw pokręcił głową i burknął:

– Dajcie mi chwilę.

Następnie odbył dwie rozmowy, które zbiły z tropu jego rozmówców. Najpierw zadzwonił na informację telefoniczną i poprosił o numer do baru Golden Girls w Ciudad Miel. Treviño starannie zapisał cyfry, sprawdził numer z osobą z informacji, a potem zaraz go wykręcił.

– Poproszę z panem Ramirem.

I nie zważając na pełną zdumienia minę konsula, kiedy tylko ktoś odezwał się w słuchawce, wypalił:

– Ramiro, tu twój padawan... No Treviño, kurde... To bezpieczne połączenie? No wiem, wiem, że nie możesz gadać, będę się streszczał. Pytałem o ciebie i powiedzieli mi, że rzuciłeś komendę. No wyobrażam sobie... Słuchaj, potrzebuję twojego wsparcia, chodzi o rekonesans na ranczu El Zacatal. Tak, wiem, jak to generalnie wygląda, dlatego proszę o to ciebie, a nie kogoś innego. Taka sprawa biznesowa. Dowiedz się

wszystkiego, czego się da, ale ostrożnie. Pasowałyby ci, powiedzmy, dwadzieścia tysięcy pesos? – Biznesmen gestem dał do zrozumienia, że bierze to na siebie. – Dobra. Umowa stoi. Liczę na twoją dyskrecję. Jak będę się zbliżał, zadzwonię na ten numer.

I rozłączył się.

– Jakiś kontakt?

– Jedyne, jaki mam w tamtej okolicy – wyjaśnił detektyw. – Powinienem od razu ruszać. Ale najpierw muszę zobaczyć pokój Cristiny.

Pan de León poprowadził go do krętych schodów, a kiedy znaleźli się na drugim piętrze, przeszli do pomieszczenia w głębi korytarza. Biznesmen otworzył drewniane drzwi. Kiedy zapalił światło, ktoś się poruszył na łóżku. Treviño pomyślał, że ma omamy, bo zobaczył kobietę z długimi blond włosami, unoszącą się znad poduszek. Nie była to jednak Cristina, tylko jej matka. Miała na sobie białą bawełnianą piżamę i tarła oczy.

– Ceci, przejdź do swojej sypialni – poprosił przedsiębiorca.

– Śniło mi się, że Cristinę porwały krokodyle. Jeden z nich stanął na tylnych łapach i powiedział mi, że już jej nie zobaczę.

– Weź pigułkę.

– Już wzięłam dwie. O co chodzi? – zwróciła się do detektywa.

– Chcę obejrzeć osobiste rzeczy Cristiny.

Kobieta wstała i przewiązała szlafrok paskiem.

– Nigdy nie prowadziła dziennika. Nasza córka nie napisze dwóch słów, chyba że podpisuje czek. A zdjęcia przyjaciółek i te z imprez trzyma w telefonie, z którym się nie rozstaje.

– Miała komputer?

– Zostawiła go w Szwajcarii, w internacie.

Książek było mało. Same podręczniki. Dwa regały zastawione były płytami z muzyką i filmami. Szafa z uchylonymi drzwiami była szeroka na cały pokój.

Treviño zrobił dwa kroki i przyjrzał się zdjęciom wiszącym na ścianie: Cristina i koleżanki ze szkoły, Cristina bawi w różnych krajach, jeździ na nartach na jakimś lodowcu, stoi pod wieżą Eiffła, pod Big Benem, tańczy w różnych dyskotekach i się opala, często na plaży w La Eternidad. Na połowie z tych zdjęć pojawiał się młody Perkins. Na drugiej połowie Cristinę otaczali przystojni i ekstrawaganccy wielbiciel, których pokazywała jak jakieś trofea. Za każdym razem na jej ustach malował się

szelmowski uśmieszek. Mimo młodego wieku była już kobietą świadomą tego, jak silnie przyciąga jej uroda. Na każdej fotografii odnoszono się do niej jak do królowej, która właśnie wkroczyła w kadr. Treviño patrzył, jak pozuje: zawsze z absolutną pewnością siebie, jej wyciągnięta i ponętna szyja przypominała jakiś klasyczny obraz.

Wtedy jeden szczegół przykuł jego uwagę: francuska flaga złożona na łożku. Treviño uśmiechnął się półgębkiem i wyszedł z pokoju.

Kiedy wrócił do biblioteki, która awansowała do roli centrum operacyjnego, konsul od razu go do siebie przywołał.

– Jeśli masz się tam zapuszczać, to jest parę twarzy, które powinieneś zapamiętać.

Konsul otworzył na swoim komputerze nowy katalog i przez kilka minut pokazywał mu portrety szóstki podejrzanych osobników. Wszyscy w przedziale dwadzieścia–czterdzieści lat, włosy przystrzyżone krótko, po wojskowemu, często broda albo wąsy. Treviño kazał mu się zatrzymać i pokazał zdjęcie łysego faceta. Głowa ogolona, gęsty wąs i czarny kapelusz.

– A ten to kto?

Kaczor wyjaśnił mu, że nazywają tego gościa Pułkownikiem Śmierć, choć nikt nie jest w stanie potwierdzić, czy rzeczywiście ma taki stopień wojskowy ani czy w ogóle należy bądź należał do jakichś oddziałów:

– To ważna figura. Strateg najwyższego szczebla.

– Miałem z nim kiedyś przejścia. Kiedy jeszcze robiłem w policji, facet raz rozrabiał na plaży w La Eternidad. Za dużo wypił i pozwalał sobie na zbyt wiele w stosunku do koleżanek, które były ze mną i jeszcze jednym znajomym, Corneliem. Trochę się poszarпалиśmy, ale że facet był słabszy, powaliłem go na ziemię. Jego koledzy chcieli się na mnie rzucić, ale on ich zatrzymał: „Wszystko gra, było czysto”. Ale kiedy już wstał, przyjrzał mi się i rzucił, że następnym razem to on mnie powali.

– Jesteś pewien? – zapytał jankes.

Treviño przytaknął.

– Ma taki chropawy głos, trudno zapomnieć. – I choć nie powiedział tego głośno, pomyślał sobie, że ktoś z takim głosem raczej nie brzmi, jakby miał wiele szacunku dla cudzego życia.

Konsul pokręcił głową.

– Teraz to jedna z głównych szych. Jest odpowiedzialny za sieć ludzi ściągających haracze od właścicieli sklepów i lokali. Sprawia, że jego

rywale znikają, albo wystawia ich ciała na widoku, najlepiej na środku ulicy. Nie mam pewności, czy tam jest, ale jeśli go zobaczysz, od razu uciekaj.

Ponieważ detektyw wciąż przyglądał się mu kpiąco, Kaczor szybko dodał:

– Daję ci najpełniejszą informację, jaką mam. I jeszcze coś: ze dwadzieścia kilometrów od Ciudad Miel w stronę granicy natkniesz się na posterunek Nowych. Mają mundury i sprzęt wojskowy, ale to wcale nie jest armia. Zatrzymują wszystkie przejeżdżające tam autobusy, zabierają młodych i solidnie zbudowanych mężczyzn zdolnych do pracy. Zgłaszano to rządowi stanu Tamaulipas, ale nikt nie chce tu przyjechać i przeprowadzić śledztwa. Twierdzą, że to wymysły i paranoja podróżnych. Więc raczej się tam nie kręć.

– A nie ma pan jakichś sensownych informacji o samym ranczu? Wtyczka nic panu nie powiedziała?

Konsul upił łyk kawy.

– Przy głównej bramie, prowadzącej w stronę Ciudad Miel, zawsze kręci się z dziesięciu strażników. To dobrze wyćwiczeni byli wojskowi.

Kiedy konsul dokończył, w salonie zapadła cisza. Treviño nalał sobie kawy i spojrzał na biznesmena.

– Proszę pamiętać, że podpisaliśmy umowę. Jeśli nie wrócę, zajmie się pan moją rodziną.

– Bez obaw.

To jednak nie pocieszyło Treviña.

– Nie mamy dużo czasu – stwierdził Williams. – Musisz ruszać jak najszybciej. Może jeśli damy policjantom jakąś kasę, pozwolą ci wsiąść do pierwszego samolotu...

– Jedziemy autem – powiedział detektyw. – Tak będzie najlepiej. Tutaj poluje na mnie Margarito, ale jak wyjedziemy za rogatki miasta, może mi nagwizdać. Bierzymy samochód.

– Jedźcie lobo.

– Wolę tego białego.

– Mavericka? – Pan de León był zszokowany wyborem.

– Oczywiście – przytaknął detektyw. – Jeśli na szosie jest tyle punktów kontrolnych, ryzykujemy, że na pikapa połączą się od razu. I Starzy, i Nowi przepadają za takimi samochodami. A rzech nikogo nie zainteresuje, więc bierzemy jego.

– To porządne autko. – Przedsiębiorca uśmiechnął się. – Nigdy mnie nie zawiodło. Niech ci dwaj jadą z tobą. – Wskazał na Morena i Busa.

– W żadnym razie – zaprotestował Kaczor. – Trzej uzbrojeni faceci na drodze będą zwracać uwagę.

– Niech jedzie ze mną Bus – detektyw wypalił bez wahania. – Wykazał się odwagą, a to mi będzie potrzebne.

Ochroniarzowi najwyraźniej pomysł nie przypadł do gustu, lecz tylko zamrugnął nerwowo oczami.

– Zważywszy na okoliczności i to, jak jesteśmy pilnowani, będziemy musieli czymś zająć miejscowych, żeby się stąd wydostać – detektyw zwrócił się do konsula. – Równocześnie z nami muszą wyjechać dwa inne samochody.

– No to jazda. – Pan de León dał znak Morenowi, który natychmiast wyszedł, żeby wszystko przygotować. Detektyw spojrzał na Busa.

– Ile potrzebujesz czasu, żeby się przygotować?

– Daj mi godzinę. Muszę skoczyć do domu po jakieś ubrania.

Treviño obrzucił go nieufnym spojrzeniem, ale przytaknął.

– Treviño... – Biznesmen kiwnął na niego palcem. – Proszę ze mną na chwilę na taras. Musimy zamienić parę słów.

Detektyw wstał, przeciągnął się i wyszedł za panem de Leónem. Kaczor i ochroniarz też wstali, żeby rozprostować kości.

Już na tarasie pan de León odezwał się przyciszonym głosem:

– Zapłacę ci milion, jeśli znajdziesz moją córkę żywą. Poza tym, jeśli wszystko pójdzie dobrze, chciałbym, żebyś po powrocie pracował dla mnie.

– Dzięki, ale dobrze mi tak, jak jest. – Treviño pomyślał o żonie.

– Zaproszenie pozostaje otwarte. I pozwól, że dam ci kilka sugestii co do negocjacji...

Niemal dwie godziny później Bus wkroczył do biblioteki z małym plecakiem, który w jego dłoniach wyglądał jak zabawka, oraz z torebką wypakowaną kukurydzianymi placuszkami i sądząc po ilości płynu zebranego na dnie, obficie zalanymi sosem tabasco. Detektyw spojrzał na zegarek. Trzecia trzydzieści nad ranem. Przedsiębiorca stanął przed Busem i powiedział:

– Masz nie odstępować Treviña na krok i słuchać wszystkich jego poleceń. On dowodzi, a ty o niego dbasz. Odpowiadasz za jego życie.

– Tak jest.

– Mam nadzieję, Treviño, że znajdzie pan moją córkę. Proszę dać znać, jak dotrzecie do Ciudad Miel.

Detektyw przytaknął i poszedł w stronę mavericka.

– Powodzenia! – zawołał konsul. – Jeśli ktoś ma szansę, to właśnie wy.

– Ech, ale przynudza – mruknął detektyw.

– Cholera, Treviño, ciekawe, jak to się wszystko skończy. – Bus odpalił silnik i ugryzł pierwszy placuszek.

XII

Maverick, rocznik siedemdziesiąt cztery, trochę przerdzewiała, ale gotowy do drogi, grzał już silnik, kiedy jedna z kucharek pracujących dla państwa de León podeszła do auta. Towarzyszył jej mężczyzna zatrudniony tu jako ogrodnik.

– Proszę pana – odezwał się. – Pomóżcie nam odnaleźć córkę. Mówią, że panowie jadą szukać Cristiny. Poszukajcie też naszej córki.

Detektyw przyjrzał się obojgu. Kobieta podała mu zdjęcie dziewczyny o indiańskich rysach, na oko dwanaście lat, ubrana w mundurek szkoły publicznej.

– Bawiła się z koleżankami na placu. Zabrali wszystkie. Wpakowali je do białego vana. Nazywa się María Pérez López. Niedługo miała obchodzić piętnaste urodziny. Przepadła dwa miesiące temu.

Ogrodnik dodał po chwili:

– Możemy zapłacić naszym autem. – Pokazał starego nissana zaparkowanego przed pomieszczeniami dla służby.

Treviño ze współczuciem popatrzył na rodziców zaginionej i wsadził jej zdjęcie do kieszonki na piersi.

– Będę miał oczy szeroko otwarte.

– Jedziemy! – Ci ludzie irytowali Busa.

Kiedy już mieli ruszyć, kucharka poprosiła o zwrot kasety z piętnastoma przebojami Juana Luisa Guerry, którą zostawiła w skrytce mavericka.

– Przecież nie wiem, czy panowie wrócą. Proszę wybaczyć...

I wróciła do kuchni.

– Szlag by ich – parsknął Bus.

Moreno i Rafita przyglądali im się oparci o maskę forda lobo z przyciemnionymi szybami. Poczekali, aż maverick ruszy, i wtedy otworzyli bramę.

Wyjeżdżali już z La Eternidad. Kiedy czekali na przejeździe kolejowym na wylocie z miasta, w oczy rzucił im się nagłówek jednej z popołudniówek: „Zaginęło pięćdziesięciu murarzy z południowego La Eternidad. Ich rzeczy osobiste znaleziono w pociągu jadącym do Matamoros”. Bus wybierał w kiosku napoje gazowane i zbierał z półki

dwanaście paczek śmieciowych zakąsek, a Treviño wyszedł zapalić pierwszego od wyjazdu papierosa. Stojąc tam, zobaczył, że na patio pobliskiego domu szykowana jest impreza urodzinowa jakiejś piętnastolatki. Wszystko było już gotowe, nawet tort. Obserwując te przygotowania, Treviño przypomniał sobie, jak parę miesięcy wcześniej grupa uzbrojonych mężczyzn zabiła siedemnastu młodych chłopaków podczas podobnej imprezy nieopodal La Eternidad. Zabójcy wysiedli z dwóch wielkich furgonetek, ze spokojem przesłuchali zabranych gości, po czym zaczęli do nich strzelać i uciekli. Okazało się potem, że mordercy wyszli z więzienia federalnego za specjalną zgodą jego dyrektora właśnie po to, żeby dokonać tej napaści.

Wyobraził sobie, jak ci najemnicy zabijają tę grupę szczyli (może i zajmowali się handlem narkotykami, ale byli to bezbroni i mało agresywni ludzie). Pomyślał: Boże, to się w głowie nie mieści, to była impreza taka jak ta tutaj. Te typy przyjechały pewnie ulicą taką jak ta, zaparkowali przed podobnym domem, zaatakowali grupę ludzi wiele nieróżniącą się od tej, tamci ludzie tańczyli sobie, rozmawiali i dobrze się bawili, a te bydlaki dopuściły się takiego świństwa. Kto mógł wydać im taki rozkaz? Najbardziej groteskowe jest to, myślał detektyw, że ci mordercy siedzieli w więzieniu i dostali pozwolenie na wyjście i zabijanie. Kiedy tylko było to potrzebne, brama więzienia otwierała się, żeby mogli sobie wyjść. I jak ich ścigać, skoro świadków nie ma, poszlaki brzmią absurdalnie, a za współnika ma się, ni mniej, ni więcej, samego dyrektora więzienia, żeby nie powiedzieć: cały rząd? I tak z dnia na dzień, na widoku wszystkich, to już nie prawo decyduje o ludzkim życiu. To oni, bandyci, rozstrzygają, kto będzie żył, a kto umrze. Oj Boże, Boże. Pstryknął niedopałkiem. W co ja się właściwie wpakowałem.

XIII

Podróżni wyjeżdżający z La Eternidad, kierujący się szosą na północ, po piętnastu minutach zauważają, że pejzaż zmienia się w skalisty. Kończy się tropikalna roślinność i zaczynają długie kilometry pożółkłych i spalonych słońcem chaszczki. Tuż przed Ciudad Miel okolica robi się pustynna. Nagle jedyne, co widać po obu stronach drogi, to gigantyczne kaktusy: rośliny o tak intensywnej zieleni, że ciężko to sobie wyobrazić, i o takich kształtach, że wydaje się, jakby to były jakieś obce formy życia, które przyleciały z innej planety. Takie widoki ciągną się przez dobre dziesięć kilometrów i robią niesamowite wrażenie. Kiedyś ludzie zatrzymywali się tutaj, jakby chcieli zaskoczyć te nieziemskie istoty w trakcie rozmowy, kiedy te właśnie dochodziły do ważnych wniosków dotyczących życia na Ziemi. Podróżni zatrzymywali się, otwierając szeroko oczy ze zdumienia na widok tych fosforyzujących roślin, a uśmiech nie schodził im z twarzy.

Ale to było kiedyś. Teraz ten, kto jedzie tą szosą na północ stanu, raczej nie zwraca uwagi na rośliny. Uwagę przyciągają raczej szczątki aut podziurawione kulami.

Tak to wygląda.

Tak to teraz wygląda.

XIV

Kiedy zamknął oczy, usłyszał głos powtarzający: „Zostaw to auto, na pewno już je namierzyli”, ale lekceważył go uparcie i owa rada wylądowała gdzieś na dnie jego świadomości, gdzie powędrowało już tyle rzeczy. Od czasu do czasu jakieś jego wspomnienie ośmielało się wynurzyć, ale zawsze kiedy docierało już pod powierzchnię, samo orientowało się, że to nie jest dobry moment, i znów się chowało jak przestraszony ptak. Kilka razy budził się na tylnym siedzeniu mavericka i przeciągał się. Wydawało mu się, że jego skóra momentami rozbłyska, ale zaraz potem ciemność znów farbuje ją na czarno ze skutecznością atramentu. Powtarzał sobie wtedy: „Moje ręce, noc”. I znów zasypiał.

Od kiedy zwolniono go z policji, zasypiał z trudem, jakby miało to oznaczać jego koniec, a kiedy już zasnął, sny zawsze prowadziły go w jakieś straszne zaułki, na przykład do pokoju tortur komendanta. Przez miesiące bezsenność dręczyła go do tego stopnia, że w końcu wstawał i zakładał buty. Jeśli spał w motelu, o takiej porze bezpieczniej było wyjść na korytarz. Kręciło się tam nie za wielu ludzi i byli zbyt zmęczeni lub pijani, żeby wdawać się w rozmowy. Dziwna rzecz: poranne ptaki ucinały swój śpiew właśnie w tej chwili, kiedy przypominał sobie, kim i gdzie jest. Jakby miały świadomość, że na świecie pojawiła się nowa osoba, i tym sposobem oznajmiały to wszystkim. Ptaki, sny, noc.

Wtedy zaczynał się upał i komary. No i znów tu są, gnojki jedne, myślał. Letni skwar przywracał go światu. Komary zawsze zjawiały się w pół myśli i często tracił jakiś istotny wątek, kiedy właśnie miał zrozumieć coś bardzo istotnego. Doszedł do wniosku, że w tym dziwnym porządku świata rolą komarów jest przeszkadzanie tym, którzy otworzyli oczy i doznali epifanii, kłują one ludzi znajdujących się o krok od prawdy o własnym życiu: tak zapobiegają temu, by zbyt wiele osób nie przeniknęło pewnych zagadek świata. Na przykład kierunku, w którym zmierza ich los.

Od kiedy musiał wyjechać z La Eternidad, starał się prowadzić spokojne i cierpliwe życie, lecz problemy z wymiarem sprawiedliwości zdawały się wszędzie mu towarzyszyć. Najpierw przez ponad rok najmował się do drobnych zleceń każdemu, kto mógł mu zapłacić, o ile

tylko nie oznaczałoby to powrotu do La Eternidad. Mógł pracować jako kierowca dla jakiegoś przemytnika albo szukać auta skradzionego uczciwemu inżynierowi. Obserwował niewierną żonę handlowca albo pracował w firmach balansujących na granicy przestępczości i nieco dyskusyjnej legalności.

Kiedyś, między jedną a drugą robotą, idąc nad rzekę, w której zamierzał zrobić szybką przepierkę, zobaczył ogromnego, masywnego kruka, obserwującego go ze złością ze środka drogi. Widok ten przypomniał mu osławionego komendanta Margarita. Treviño udawał, że zamierza go kopnąć, lecz ptak właściwie się nie poruszył. Rozłożył prowokacyjnie skrzydła i stanął dwa kroki od niego. Cholera, pomyślał wtedy, taki jestem cienias? Nigdy nie widział tak pewnego siebie ptaka. I pomyślał, że ów emisariusz jego wrogów należy do tego samego świata, co dręczące go koszmary i demony. Później, kiedy wracał znad rzeki, zastał swoje rzeczy porzucane na trawie. Jeśli nie był w pracy, raczej nie zabierał ze sobą broni; wierzył, że ten, kto ciągle nosi broń, w końcu się od niej uzależnia i prędzej czy później zostaje przez nią odmieniony. Obszedł samochód i natknął się na młodego człowieka, który grzebał w schowku. Miał strzelbę na plecach.

– Ej...

Chłopak z pewnym trudem podniósł strzelbę. Treviño miałby czas, żeby do niego dopaść i zadać cios, bo młodzian naprawdę się grzebał, lecz uznał, że nie warto: szczył zadziorny, ale niegroźny. Jak ten kruk. Przystanął, widząc, że chłopak w niego celuje.

– To teren prywatny – warknął.

Detektyw rozejrzał się na boki.

– Nie ma żadnych napisów ani ogrodzenia.

– Ale to teren prywatny – powtórzył chłopak.

Ekspolicjant odwrócił się plecami, jakby wcale nie widział wycelowanej w niego strzelby, pozbierał swoje rzeczy, wsadził do schowka, a potem usiadł za kierownicą, pogwizdując pierwszą melodię, jaka mu wpadła do głowy. I odjechał odprowadzany półdzikim wzrokiem kruka albo chłopaka czy kto to tam był.

Czasami jego sława wyprzedzała go z nieco lepszymi skutkami. Raz, w Pueblo Viejo, odpoczywał w jakimś nędznym barku przy szosie, kiedy zdał sobie sprawę, że zza sąsiedniego stolika przygląda mu się para podróżnych. Mężczyzna, możliwe, że człowiek wolnego zawodu, miał na

sobie koszulę z krótkim rękawem, krawat i okulary, cały czas przemawiał do swoich dzieci, nie przestając zerkać na Treviña. Po chwili detektyw nastawił uszu i zaczęły docierać do niego pojedyncze słowa, w których był w stanie rozpoznać wersję historii swojego życia, historię policjanta, który zatrzymał zabójcę kobiet z La Eternidad, typa, który zamordował piłą cztery dziewczyny i ciągle się wszystkim wymykał. Widząc, że Treviño na niego patrzy, mężczyzna podniósł szklanę z pomarańczowym gazowanym napojem i powiedział:

– Pańskie zdrowie, panie władzo!

Treviño spojrzał na swoją szklanę, zaparowaną od kostek lodu. Tak naprawdę czuł się bardzo niezręcznie, lecz skinął głową. Potem zastanawiał się, jakim cudem znana jest taka wersja wydarzeń, skrajnie odmienna od tej oficjalnej, rozgłaszanej celowo przez Margarita. Kto opublikował jego zdjęcie, przecież w innym razie ten człowiek nie mógłby go rozpoznać. A może w tym kraju prawda krąży innymi kanałami. Poczuł, że dzieje się w nim coś dziwnego, toteż odłożył sztućce na stół i skupił się na widoku za oknem. Kiedy chciał zapłacić rachunek, powiedziano mu, że został już opłacony przez doktora Solaresa, tego mężczyznę, który przed chwilą wyszedł.

Przy innej okazji poszedł na komendę w Las Manitas szukać jakiejś roboty, malutkie miasteczko, policja gnieździła się w ruderze przy szosie. Mieli starego pikapa towarowego do patroli, do dyspozycji dwóch uzbrojonych Indian, a komendant poruszał się na wózku, od kiedy po pijanemu wjechał we własne biuro. Czekał na tarasie, podczas gdy niepełnosprawny oficer rozmawiał przez telefon, i wtedy jeden z Indian zapytał go, czy to on aresztował zabójcę z piłą. Drugi w tym czasie przyglądał mu się z zaciekawieniem. Tyle razy zadawano mu to pytanie, że nauczył się rozróżniać niezdrową ciekawość od uprzejmości i w końcu przytaknął.

– I jak to było?

Treviño w dwóch zdaniach streścił całą historię i popatrzył w stronę szosy, którą truchtał gniady koń. Indianie zamyślili się nad jego słowami i wreszcie stwierdzili, że koniec jest całkiem pomyślny.

– W sumie nadal pan żyje i ma ciekawą historię do opowiedzenia.

Wtedy zjawił się komendant.

– Posiedzisz sobie parę dni w pudle, kolego. Twój szef wydał nakaz aresztowania. Bierzcie go. – Wydał rozkaz Indianom, ale ci nawet nie

drgnęli. Policjant powtórzył polecenie, ale ci dwaj dalej siedzieli z założonymi rękoma, nie ruszając się z krzeseł.

– Nie zatrzymacie go? Kurwa mać, co za kretyni! Nigdy nie będzie tu porządku, jak tak się będziecie zachowywać!

Jeden z Indian rzucił coś w swoim języku, na co komendant odparował:

– Nie waż się mnie obrażać w náhuatl, bo zaraz cię zwolnię, cholera.

Treviño wstał, a kiedy odjeżdżał, komendant wciąż jeszcze sprzeczał się ze swoimi podwładnymi.

Zawsze kiedy jego różnorakie fuchy zmuszały go do zapuszczania się w góry wokół La Eternidad, koszmary atakowały go jeszcze mocniej niż zwykle. Śniło mu się, że jego pierwsza żona, ta, która zmarła w pożarze, siedzi na łóżku, ma długie wilcze zęby i mówi mu: „Przez ciebie ja też jestem przeklęta”. Kiedy się budził, zadawał sobie pytanie, czy te udreki będą powracały z tym samym obrazem cierpiącej kobiety także w kolejnym życiu.

Pewnego wieczora jedna z jego wtyczek z miasta uprzedziła go, że Trzech Szaleńców wybiera się po niego do miasteczka, w którym się zatrzymał, toteż szybko zapakował się do starego grata, którym wtedy jeździł, oczywiście rozsypującego się mavericka, i jechał, póki mu starczyło paliwa. Rozpaczliwie potrzebował już noclegu i wtedy zauważył skromny hotelik między szosą a plażą. Szylde ze spróchniałej deski głosił, że to hotel Wieloryb.

Na widok samochodu siedzący na tarasie staruszek wstał i posłał mu uśmiech.

– Proszę, proszę. Jeśli pan sobie życzy, auto można wprowadzić do garażu.

Treviño podziękował i wjechał do drewnianej wiaty, chowając się przed niedyskretnymi spojrzzeniami, i z wdzięcznością patrzył, jak staruszek zamyka za nim drzwi.

– Ma pan wolne miejsca?

– Miejsca? W ten weekend jest pan naszym jedynym klientem. Jeśli pan sobie życzy, mamy do dyspozycji najlepszy pokój: z tarasem, na pierwszym piętrze, z widokiem na plażę.

Cena była śmieszna, więc zgodził się bez wahania. Tak zaczął nowy etap życia.

– Ta plaża jest inna niż wszystkie – odezwał się właściciel. – To wyjątkowe miejsce. Tego, który tu śpi, odwiedzają niezwykle sny.

Wciąż czujny, detektyw popatrzył na ryczące głośno morze i stwierdził, że o niczym tak nie marzy, jak tylko o pójściu spać. Staruszek uśmiechnął się i zaprowadził go do apartamentu.

Pokój od razu przypadł mu do gustu. Choć widać w nim było działanie czasu, podłoga, drewniane ściany i okno wychodzące na morze sprawiały, że było to miejsce, w którym chciałoby się zamieszkać na stałe. Przy łóżku znajdował się regał z książkami, same tytuły, które obijały mu się o uszy: *Don Kichot*, *Przygody Tomka Sawyera*, *Czarna strzała*, *Odyseja*, *Eneida*, *Iliada*. Wziął tę ostatnią i rozłożył się na łóżku. Wolał się nie rozbierać, a taurusa trzymał pod ręką. Po kilku minutach lektury rozdziału, w którym Odyseusz i Diomedes godzą się na szpiegowską wyprawę do obozu Trojan, zdał sobie sprawę, że kleją mu się oczy.

Wydawało mu się, że ubrany na czarno człowiek uchyla drzwi i przygląda się uważnie wnętrzu. Zerwał się na równe nogi i zrozumiał, że to był sen, a potem pomyślał sobie: co ma być, to będzie, i znów się położył, ale już bez lęków. Może to dzięki rzeźkości nocy albo łagodzącemu szumowi fal, w każdym razie nawet nie zauważył, kiedy zapadł w głęboki sen.

Śniło mu się, że patrzy na spokojny staw, na którym tylko gdzieś widać było fale, i zrozumiał, że to odbicie jego duszy. W porozrzucanych przedmiotach rozpoznał swoją historię: luźna koszula – takich używał w La Eternidad; niewyraźne zdjęcie ślicznej blondynki: Daniela, jego pierwsza żona; dzinsy i taurus; skórzana kurtka, maczeta i wysokie buty, takie, w jakich przedzierał się przez lasy... Potem zobaczył rowery swoich sióstr, kierownicę mavericka, wiernego mavericka; słomkowy kapelusz i wspomnienie ostatniej ważnej miłości; jakie to niesprawiedliwe, pomyślał, wszystko jest niesprawiedliwe; życie bym oddał, żeby ją uratować z tego pożaru, powtarzał sobie i dobiegł go bardzo niski głos: „Naprawdę byś oddał?”. Poczł, że serce mu się zaciska, i pomyślał, że każde słowo, także te dobrze przemyślane, wychodząc na ten świat, ma jakieś konsekwencje. Właścicielem tego głosu musi być ktoś naprawdę ważny, myślał, bo jego słowa niosły się jak fale po wodzie. „Odpowiedz”, nakazał głos i Treviño zrozumiał, że to poważne wezwanie. „No tak”, wydawało mu się, że odpowiada głośno, „oddałbym za moją żonę życie; gdyby to było możliwe, zamieniłbym mój

los na jej: nie chciałem, żeby umarła, to było niesprawiedliwe”, i mówiąc to, zdał sobie sprawę, że płacze.

Zapadła cisza, która zdawała się zwiastować burzę, a potem głos dodał: „Niech się stanie, jak chcesz”. Kiedy udało mu się rozpoznać krajobraz ze snu, zdał sobie sprawę, że znajduje się w gęstym i zasnutym mgłą lesie. Po chwili zrozumiał, że kawałek dalej stoi siwy koń, który spojrzał na niego, a następnie ruszył wąską i prostą dróżką w głąb lasu. Czy ja umarłem?, zastanowił się i możliwość ta wydała mu się całkiem realna. Przez ostatnie miesiące tak wiele stracił, że nie można wykluczyć także śmierci. Może mnie zabili, kiedy spałem, tak że nawet nie zdałem sobie z tego sprawy. Zapytał głośno: „Czy ja nie żyję?”, a koń przyspieszył swój trucht. „Poczekaj!”, zawołał Carlos, ale koń wyraźnie nie zamierzał uciekać. Jeśli z jakiegoś powodu Treviño trochę zostawał w tyle, koń parsknął i tupał nogą w ziemię, jakby popędzając: „Dlaczego się zatrzymujesz? Idziesz czy nie?”. I czekał na detektywa. Nagle koń skręcił w szerszą drogę, bez gałęzi utrudniających przejście, i zeszli w dół stoku. Znakomicie, pomyślał Treviño, od teraz wszystko będzie prostsze. Wtedy zwierzę odwróciło się i odezwało ludzkim głosem: „Zanim pójdziesz dalej, dobrze pomyśl. Dostaniesz ostatnią szansę i nie będzie już powrotu. Posłuchaj mistrza”. Popatrzył w odległy punkt za plecami detektywa i powiedział: „Tak naprawdę to on już tu jest”.

Był przekonany, że tam, w hotelowym pokoju, zjawił się jakiś cień. Może nawet otworzył oczy na krótką chwilę, ale potem znów je zamknął i zdał sobie sprawę, że we śnie widzi tylko potężne drzewo, więc czekał pod nim, ale mistrz się nie zjawiał. Dziwne, myślał, może jednak tu go nie ma. Powiedział to na głos, stojąc pod drzewem: „To wszystko jest bardzo dziwne, chyba już stąd pójdę”. A drzewo stało dalej w milczeniu. „Może powinienem wrócić do miasta i zaufać konsulowi”, jednak jakiś głos odpowiedział na to: „Jemu nie ufaj, unikaj pochlebców: kruki wyżerają oczy nieboszczykom, kiedy ci już ich nie potrzebują, natomiast pochlebcy pożerają duszę żywym”.

Treviño przestraszył się we śnie i zrozumiał, że tam rzeczywiście ktoś jest. „Rzadko myśli się o śmierci”, ciągnął głos, „tak naprawdę bardzo rzadko w ciągu całego życia; od młodości unikamy tego tematu, a potem nagle robi się za późno, by go pojąć”. Wtedy zorientował się, że ktoś siedzi przy pniu. Ubrany na biało mężczyzna, jakby spowity w cienie:

„Nazywają mnie Grekiem i wybrałem cię na ucznia. Szkoda, że musimy umrzeć”.

Treviño znów zadrżał na łóżku, gość jednak nie przerywał: „Przed wszystkim możemy się bronić, ale wobec śmierci wszyscy ludzie są jak miasto bez murów. Zejdiesz do piekieł”, mówił, „i będziesz próbował je przejść. Jeśli ci się uda, czekają cię jeszcze trudniejsze zadania”. Po czym głos dodał: „Każdego dnia, wychodząc z domu, będziesz spotykał przyjaciela, niespodziewanego sojusznika, kłamcę, wroga i przebranego zdrajcę. Jeśli zdołasz ich rozróżnić, wrócisz”.

Taki miał sen Treviño w hotelu przy plaży. I pięć lat później, drzemiąc na tylnym siedzeniu mavericka, zdał sobie sprawę, że znów śni mu się to samo. A mistrz mówi: „Wszedłem do obozu Trojan, w którym wszyscy życzyli mi śmierci. Miałem ze sobą tylko miecz, a zamiast zbroi skórzane odzienie. To my pierwsi weszliśmy do Ilionu”. A potem dodał: „Okryliśmy się chwałą, ale bogowie nie pozwolili mi wrócić do domu... Pokaż, że jesteś wojownikiem. I nie zapomnij: po co dano ci życie, jeśli boisz się śmierci?”. Wtedy mistrz podał mu rękę i dotknął jego czoła.

Kiedy otworzył oczy, wciąż była noc, ale humor miał lepszy.

Lata wcześniej, w hotelu Wieloryb, przyglądając się zniszczeniom, jakich morze dokonało poprzedniej nocy, i jak spokojne jest o tej porze, postanowił zapytać staruszka, czy nie sprzedałby mu tego lokalu. Stary spojrzał na niego zaskoczony. Krótco później Treviño został nowym właścicielem hotelu przy plaży. Tam poznał swoją drugą żonę i zrozumiał, że otwiera nowy etap życia.

We wtorek 9 listopada 2014 roku Treviño obudził się na tylnym siedzeniu białego mavericka, podobnego do pierwszego auta, jakie miał w życiu, i stwierdził: ten sen już raz mi się śnił, to życie już raz przeżyłem. Z fotela kierowcy Bus rzucił mu spojrzenie odbite w lusterku.

– Zbudziłeś się? I bardzo dobrze, bo twoja kolej za kierownicą.

Detektyw powoli się wyprostował. Ze snu zostało mu kilka słów i wrażeń: staw, koń, spotkanie z mistrzem.

XV

Po jakichś dwóch godzinach jazdy na drodze zapanowała dziwna aura. Widoczność nie przekraczała dziesięciu metrów, jakby ktoś zarzucił płaszcz mgły na okolicę; oddychali z prawdziwą trudnością.

– Palą trzcinę cukrową – stwierdził Bus.

Nad przyległymi polami powietrze zupełnie się nie ruszało, a Busowi pot zalewał oczy; miało się wrażenie, że słońce zeszło na ziemię i rozsiadło się na niej swym rozgrzanym cielskiem.

– Kurwa, Treviño – Bus wycierał pot z czoła rękawem – nie mogłeś wziąć samochodu z klimą?

Detektyw milczał, skupiony na kierownicy i drodze.

Chwilami kłęby dymu całkowicie zamazywały szosę przed nimi. Od kiedy wyjechali z La Eternidad, minęli już cztery rancza, na których trwały zbiory trzciny.

– Jasna cholera. Trzeba być naprawdę niespełna rozumu. Na najbliższej stacji musimy dolać płynu do chłodnicy, bo inaczej silnik nam się zagotuje.

Za jednym z zakrętów wydawało im się, że widzą trzech owiniętych w białe płachty Indian, bardzo zaawansowanych wiekiem, każdy z maczetą na ramieniu, rozglądających się na boki. Od początku stanu, nazywanego przez niektórych „wojną”, nieczęsto widywało się w okolicy młodych ludzi pracujących w polu.

– Ej, Treviño, jak znajdziesz dziewczynę de Leonów, on będzie chciał mieć cię na własność, bez dwóch zdań – odezwał się Bus. – Na pewno zaproponuje ci robotę. A może już to zrobił?

Detektyw nie odpowiedział.

– Treviño, nie udawaj głuchego, czeka nas kawał drogi. Powiedz mi jedno: taki detektyw dobrze zarabia? Ile za to dostaniesz, jeśli można spytać? – nalegał ochroniarz. – Może tkwiłem w błędzie i czas zmienić robotę. Może udzielisz mi korepetycji i pokażesz, jak pracuje taki detektyw?

Treviño nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– Widzisz, Bus, wystarczy mi to, że jankesi nie wywalą mojego brata z kraju. Tutaj, w Tamaulipas, szukają go i chcą zabić.

– Oż w mordę. A co ten aniołek przeskrobał?

– Natrafił widocznie na paru wrogów. – Nie zamierzał opowiadać ochroniarzowi, że jego brat rzucił robotę w jednej firmie z Matamoros, kiedy odkrył, że to przykrywka dla handlu narkotykami.

– Łatwo go przestraszyć. Jak znam życie, aż tak źle to nie wyglądało.

Brat detektywa nigdy nie wszedł w bezpośredni konflikt ze swoimi przełożonymi, nie doniósł na nich policji. Po prostu rzucił pracę, mówiąc, że chce wyjechać. Im jednak nie pasowało, żeby ktoś taki prysnął gdzieś wraz ze swoją wiedzą.

Jakby coś sobie przypominając, Treviño zapytał:

– Ty, a Moreno jak długo pracuje dla pana de Leóna?

– Zjawił się jakieś dwa lata temu. Krótco po mnie.

– Skąd go wzięliście?

– Robił w ochronie u pana Manuela Sainza, hodowcy bydła. Ale pan de León zaproponował mu przejście za większą kasę. Ma kupę kursów porobionych w Niemczech.

– A Rafita?

– Ten jest w domu od dziesięciu lat. To pierwszy ochroniarz pana de Leóna.

– Kto go zarekomendował?

– Pracował dla jakiejś rodziny szefa. Kiedy do nas dołączył, posłali go na jakieś kursy do Stanów.

– A ty? Jak się załapałeś na taką posadkę?

Bus odparł bez namysłu:

– Ja pracowałem w jednej z firm pana de Leóna i awansował mnie, w uznaniu zasług. Kiedy się pokapował, że w mieście robi się nieciekawie, wysłał mnie na szkolenie do tej samej szkoły wojskowej, co Rafitę. I awansowałem. Wiadomo, jak się ma predyspozycje...

– To twoja pierwsza robota?

Bus zamyślił się.

– Nie. Wcześniej to się obijałem trochę tu, trochę tam, niczego sensownego nie mogłem znaleźć. Nawet kiedyś pracowałem jako dostawca napojów. Dźwigałem skrzynki trzy na trzy po jednej w ręce. Dużo jednak nie zarabiałem, to było nudne i męczące. Dlatego ciągnęło mnie raczej w stronę ochrony. Sam wiesz...

– A kiedy tak się uzależniłeś od placuszków kukurydzianych?

– Za samymi to nie przepadam. Ale sos tabasco wszystko zmienia.

Choć przed nimi rozciągała się kolejna warstwa mgły, ochroniarz nie odpuszczał.

– Ty, Treviño, podobno Rekin zabił trzy czy cztery osoby, ale nie mogli go złapać. Zdajesz sobie sprawę, że jeśli capniemy Rekina, to będzie to drugi seryjny zabójca w twojej karierze? Sława gwarantowana, co nie, Treviño?

Detektyw cały czas patrzył przed siebie. Po chwili ochroniarz zapytał:

– Jedną rzecz chcę powiedzieć. Gdyby los sprawił, że coś poszłoby nie tak, chciałbym, żebyś wiedział, że osobiście dopilnuję, żeby twojej żonie niczego nie brakło... Słowo kumpla, tym się możesz nie martwić.

Detektyw rzucił na niego okiem, ale nic nie odpowiedział.

Na wysokości Ciudad de Maíz, kiedy już od dobrej chwili nie widzieli żadnego, nawet zardzewiałego czy przewróconego znaku drogowego ani innego punktu orientacyjnego, zatrzymali się przy przydrożnym stoisku z pomarańczami. „Idę się odlać”, oświadczył Bus i zniknął w oparach mgły. Treviño skorzystał z okazji, żeby rozprostować nogi. Kramik z owocami obsługiwał młody chłopak w szortach i klapkach, drzemał pod wielkim parasolem plażowym.

Po drugiej stronie drogi stało coś, co kiedyś mogło być budką z jedzeniem, ale dziś zostało z niej tylko kilka przerdzewiałych i osmalonych blach, porozrzucanych po krzakach. Podchodząc do stoiska z pomarańczami, Treviño dostrzegł za korzeniami obalonego drzewa starą Indiankę, kręcącą się nerwowo wokół własnej osi. Niczym bezdomny pies powstrzymywała odruch zbliżenia się do nieznanego, jakby kolejne pokolenia podróży konsekwentnie odstraszały ją kopniakami.

– To wariatka – rzucił młody sprzedawca, nie podnosząc głowy.

Detektyw podszedł i wskazał na chybił trafił stosik owoców.

– Poproszę kilogram.

Jednak zanim Treviño zdążył zareagować, staruszka capnęła go za ramię. Ręka nagle wynurzyła się z mgły, a ruch był tak gwałtowny, że detektyw prawie odskoczył do tyłu.

Na widok jego reakcji staruszka rzuciła się na ziemię, błagając o litość, i Treviño zrozumiał, że ona też śmiertelnie się wystraszyła. Uniósł obie ręce, żeby ją uspokoić, pochylił się, a potem wysunął w jej stronę i potoczył po ziemi jeden owoc.

Staruszka wzięła pomarańczę i posłała mu w odpowiedzi bezzębny uśmiech. Treviño zrobił jeszcze jedną rzecz. Wyjął pięćdziesięciopesowy banknot i położył go na brzegu szosy, przykładając małym kamyczkiem, żeby go nie zwiało. Gestem pokazał, że to dla niej, odwrócił się i nie czekał na reakcję kobiety.

Bus wyłonił się z mgły, dopinając sobie rozporek.

– Może pan przygarnie babulinę? Skoro już tu jesteśmy.

Detektyw zapłacił za worek pomarańczy i już miał wsiadać do auta, kiedy zauważył, że staruszka przywołuje go, machając ręką.

– Chodź, chodźże, no tak, ty.

Treviño podszedł do niej powoli. Kiedy znalazł się dostatecznie blisko, kobieta powiedziała:

– Tam są UFO. Tam.

– UFO? – Treviño rozejrzał się wokół.

Staruszka dodała półgłosem:

– Nie jedź pan. Lepiej wracaj.

I rzuciła jeszcze:

– Tam są te UFO, są tam. Dlatego autobusy już tu nie jeżdżą, przez te UFO, ciągle latają. Człowiek przejeżdża tędy swoim autem – pokazała na drogę ginącą we mgle – i po chwili tym samym samochodem wraca żołnierz. Niech pan tam nie jedzie.

Brodą wskazała na blachy porzucane na poboczu:

– Tu stała taka budka z jedzeniem, pan patrzy. – Wskazała na resztki. – Jednego dnia zabrali właściciela i już nie wrócił. Niech pan wraca do domu, nie jedzie dalej.

Treviño zauważył, że staruszka uśmiecha się z taką samą lękliwością, jak ten starszy facet, który sprzedawał tacos w La Eternidad: uśmiechem przerażenia. Uśmiechem, który mówi: „Zobacz, jak my żyjemy. Dlaczego nas tak zostawiacie?”

– Co tam? – Bus wrzucił luz i bezgłośnie podjechał samochodem bliżej.

– Ta pani mówi – Treviño wstał – że nie zgubiliśmy drogi. To tam.

Bus przełknął ślinę i spojrzał przed siebie. Detektyw wsiadł do samochodu i podał towarzyszowi worek z owocami. Bus wziął jedną pomarańczę, rozpołowił ją i natychmiast wgrzył się w miąższ. Sok pociekł mu po obu policzkach.

– Masz jakiś pomysł, choćby najbledszy, jak stąd, do cholery, wyjechać, drogi kolego? Nie przyszło ci do głowy, że zlecono ci rzecz

niewykonalną?

– Niewykonalna nie jest. Jakiś sposób istnieje. I owszem, nie wycofuję się, dałem przecież słowo. Ale jeśli chcesz wracać, zrozumieć.

Bus, człowiek, które swoje przeżył w tak zwanej szkole życia, wypluł pestki przez okno, burknął pod nosem coś jakby: „Nie znoszę typów, którzy mają się za niezniszczalnych”, i wcisnął pedał gazu.

XVI

Następny znak, że sprawy przybierają coraz gorszy obrót, czekał na nich godzinę drogi przed Ciudad Miel: naliczyli cztery auta z dziurami po kulach po jednej stronie szosy. Co parę kilometrów spektakl się powtarzał, tyle że zmieniała się liczba samochodów: zazwyczaj były to vany albo furgonetki, czasami zwykłe auta osobowe, zdarzały się nawet taksówki, po których została tylko kupa spalonej, zardzewiałej blachy.

Jechali z otwartymi oknami, a docierające do środka powietrze było wręcz rozżarzone. Treviño niemal całkowicie rozpiął koszulę, Bus wcześniej pozbył się marynarki, a teraz poluzował sobie krawat.

– Nie gorąco ci? Dlaczego nie podwiniesz sobie rękawów? – dziwił się detektyw.

– Słońce za bardzo mnie spala.

– Twoja rzecz. Ja mam wrażenie, jakby ktoś właśnie prasował na mnie koszulę. – Detektyw szarpnął za materiał zakrywający mu barki.

Bus przetarł chusteczką czoło, twarz i kark.

– Jedno proste pytanie, stary, tylko, kurde, jedno: jak zamierzasz tam wejść i wyjść?

Treviño spojrzał na niego z tym swoim półuśmiechem.

– Nie martw się, Bus. Daję słowo, że wjedziemy, a jeśli będziesz grzeczny, to cię wypuszczą za dobre sprawowanie. Znasz przecież zasady, siedziałeś w pierdłu.

A ponieważ kierowca milczał, dodał:

– Broń i pieniądze zostawimy w hotelu, będziemy negocjować, i to tak, żeby na pewno nas słyszano. Jeśli uda nam się doprowadzić do tego, że wypiszemy im czek na okaziciela i otworzą nam drzwi, to będzie luz. Na twoim miejscu bym się nie obawiał.

– Skąd ta twoja pewność?

– Bo najpewniej wpuszczą tylko jednego z nas i tym jednym będę ja.

Bus wyminął zdechłego osła leżącego na środku szosy i rzucił lekko pogardliwym tonem:

– No a ja nie znam nikogo, kto z takiego miejsca wróciłby cały. Nie spotkałem nikogo, kto by to przeżył i mógł opowiedzieć. Bo gdyby się znało choć jedną taką osobę, co to może opowiedzieć, co tam się

w środku dzieje, to człowiek mógłby się uspokoić i pomyśleć: Jak ten cwaniak dał radę, to i ja dam. Ale nikt taki nie istnieje. Nawet jedna osoba.

Detektyw poprawił się w fotelu i zsunął kapelusz na twarz.

Kiedy znów otworzył oczy, powitał go siedmiometrowy posąg przedstawiający lwa pomalowanego na pastelowe kolory, który wznosił do góry łapy: „Witamy w Ciudad Miel, siedzibie Lion’s Club”. Przypomniały mu się inne podobne figury stojące przed wejściami do budynków sądowych i pomyślał, że ten lew wygląda na ślepego ze względu na jasny kolor jego oczu.

Zaraz potem minęły ich dwa białe vany, z ubranymi na czarno mężczyznami, których karabiny maszynowe wystawały przez uchylone okna. Oni z kolei, od samego wyjazdu z La Eternidad, ukrywali swoją broń najlepiej, jak umieli, w różnych zakamarkach samochodu: smith & wessona 9 milimetrów Busa oraz taurusa PT-99 detektywa. Mieli nadzieję, że choć plan starannie naszkicowany dla nich przez Kaczora ma z pewnością spore luki, to przy odrobinie szczęścia może uda im się wyjechać ze stanu.

– Jasna cholera, co my tu w ogóle robimy? – nie wytrzymał Bus.

Była czwarta po południu, ale na ulicy nie było żywej duszy. Przy głównej alei dostrzegli budynek, na którego fasadzie widoczne były setki śladów po kulach. I to nie jeden: naliczyli takich trzy przy jednej ulicy.

Podjechali pod Hotel Turystyczny, bo napatoczył się jako pierwszy, na którym, ku radości Busa, nie było widać śladów strzelaniny.

– Ale to dobrze czy źle? – zapytał Treviño. – Jeśli nikt go nie atakuje, to albo jest pod ochroną, albo należy do kogoś z branży.

– Bardzo krzepiąca uwaga – stwierdził Bus.

– Widzimy się w recepcji za dwadzieścia minut.

– A po co ten pośpiech, co? – burknął kierowca. Treviño chwilę się zastanowił i dopiero potem skomentował:

– Muszę się spotkać z jednym gościem, który pracuje dla Nowych.

– Ożeż kurwa – zaklął Bus. – Jest godny zaufania?

– To jeden z nich, człowieku, jak może być godny zaufania?

Treviño znał go od dziecka, dlatego zdecydował się na nawiązanie kontaktu.

– Dobrze orientuje się w sytuacji, raz z nimi jest, raz nie, lojalny jest tylko wobec swoich szefów. Mnie toleruje, bo jesteśmy kumplami, a poza

tym mam dla niego przyzwoitą sumkę. Więc już o głupoty nie pytaj.

Kiedy tylko zamilkł, Treviño pożałował swojej reakcji. Ale koniec końców powodów do nerwowości mu nie brakowało. Od jakichś dwóch lat dwie uzbrojone grupy spierały się o kontrolę nad miastem. Jeśli na stanach przylegających do Tamaulipas i Nuevo León narysujemy literę T, Ciudad Miel znajdzie się dokładnie na przecięciu linii: Nowi kontrolują lewą stronę, a Starzy prawą, zaś szosa z południa przebiega środkiem: to droga federalna prowadząca do Stanów. Choć Ciudad Miel nie leży przy samej granicy, most znajduje się kilka kilometrów na północ, trzeba przejechać przez pustynię. Łatwo zrozumieć, dlaczego obu grupom tak na tym terenie zależy: kto kontroluje miasto, kontroluje przepływ nielegalnych towarów z całego regionu do Stanów. Możliwości handlowe są tu nieograniczone, dlatego grupy te walczyły ze sobą o miasto przez dobre dziewięć miesięcy. Kiedy czujki dają znak, że zbliża się przeciwnik, grupa wysyła dziesięciu czy dwudziestu ludzi na pikapach, ci rozstawiają się i zaczynają strzelać, dopóki im starczy amunicji. Tak by można podsumować tę jakże subtelną strategię. Gubernator stanu Tamaulipas zawsze reagował pierwszy: kiedy tylko dochodziło do starcia, oświadczał, że nic się nie wydarzyło, że to kolejny objaw zbiorowej psychozy, tyle że ta psychoza najwyraźniej używa dziewięćmilimetrowych kul. Władze krajowe, póki znajdowały się w rękach przedsiębiorców, reagowały nieco wolniej niż gubernator, ale wyobraźni też im nie brakowało. Osiem dni po takim starciu publikowano komunikat, że zaprowadzenie spokoju w regionie należy do obowiązków gubernatora, a nie prezydenta, bo ten ma ważniejsze sprawy na głowie albo nie wierzy w przesadzone historie docierające z północy. To wyjaśnia, dlaczego pięćset tysięcy z siedmiuset tysięcy mieszkańców Ciudad Miel wolało wyjechać z miasta. Pierwsi, jak łatwo zgadnąć, zwinęli się policjanci. Po ataku na komendę, dokonany przez grupę uzbrojonych mężczyzn, ci, którzy przeżyli, zwolnili się grupowo. Przez ponad pół roku w Ciudad Miel nie było ani jednego policjanta na służbie, nikt nie zamierzał się zgłaszać. Od 2010 roku Treviño oglądał smutny korowód mijający okolice jego domu: całe rodziny w wyładowanych po brzegi samochodach szukające spokojniejszego miejsca. I pomyśleć, że przed tymi walkami Ciudad Miel uznawane było przez Państwową Agencję Turystyczną za „miasto magiczne” ze względu na urodę domów, kościołów, fontann

i brukowanych ulic... Ci, którzy stamtąd uciekali, mówili Treviñowi: „Pewnie, że to magiczne miasto, ludzie znikają bez śladu”.

Któż by to przewidział jeszcze dwa lata temu? Bandy zabójców i złodziei dzielą się dzielnicami miasta: ty porywasz ludzi tu, ja wymuszam haracze tam. Tyle że zanim zdążyli się zorientować, wykończyli miasto. Najpierw wyjechali bogacze, potem średni przedsiębiorcy. Teraz, kiedy wyniosła się nawet klasa średnia, od kogo można wymuszać pieniądze? Komu sprzedawać narkotyki? Nawet pasożyty wiedzą, że nie mogą przesadzić, żeby nie doprowadzić do śmierci żywiciela.

Dostali pokoje na piętrze, z widokiem na parking. Kierownik hotelu powiedział, że jeśli im nie pasuje, może dać inne, bo są poza sezonem. By nie powiedzieć, że sezonu nie ma tu nigdy i nie ma też żadnych gości.

Zmierzając w stronę swojego pokoju, Treviño zauważył, że na parterze mieści się barek. Przez przeszkloną ścianę dostrzegł dwie kobiety, z wyglądu prostytutki, wmieszane w grupkę urzędników, a z głośników dobiegała skoczna muzyka.

Treviño wszedł do pokoju i położył swoją małą walizkę na łóżku. Bardziej niż do przenoszenia przedmiotów służyła mu jako alibi, bo w środku miał tylko ulotki reklamujące produkty rolnicze. Sprawdził, czy na parkingu nie ma żadnego ruchu, a potem rozłożył się na materacu. Po minucie przyśniło mu się, że dwóch mężczyzn rozwala drzwi wielką siekierą, a potem rzucają się na niego. Przypomniał sobie, gdzie jest, w gardle miał sucho i przyjrzał się przedmiotom rozrzuconym na łóżku: walizce, kapeluszowi i taurusowi. Kilka minut później włączył się alarm ustawiony w zegarku. Już pora.

Kwadrans po siódmej skierowali się do najbardziej rozżarzonej części miasta, po drugiej stronie głównej szosy, na wyższej części wzgórza. Bus miał ze sobą torebkę wypakowaną placuszkami, które kupił na ulicznym kramie, i zajadał je, maczając w sosie tabasco, nie przestając kierować. Połykał je jak pigułki z wyrazem ukontentowania na twarzy. Widząc zdziwioną minę detektywa, wyjaśnił:

– No bo nigdzie nie robią takich dobrych jak tu!

Ruch był minimalny. Parę kobiet zajętych pracami domowymi przed uchylonymi drzwiami, kilka samochodów wypełnionych studentami, którzy przyjechali się zabawić wbrew wszelkim ostrzeżeniom, i kilku

bardzo pijanych typków, ubranych jak urzędnicy, negocjujących pośród śmiechów stawkę z prostytutką.

Niektóre lokale były zamknięte albo wręcz zamurowane: Chicago, Manhattan, El Tubo, La Piragua, Las Sirenas. Natomiast El Capitán i Golden Girls nadal działały.

– To nawet nie jest cień tego, co tu było jeszcze cztery lata temu – powiedział detektyw. – Patrz, tam można zaparkować.

– Nie mieliśmy się spotkać z twoim informatorem?

– A co? Strach cię obleciał?

Zaparkowali przed Golden Girls. Na neonowym szyldzie kobieta o śmiałych kształtach kręciła biodrami i poprawiała sobie imponującą grzywkę. Strażnik i uzbrojony ochroniarz pilnowali wejścia. Na szczęście Treviño i Bus zostawili broń w hotelu. Wiedzieli, że chodzenie po mieście bez broni jest niebezpieczne, ale w tym mieście tak było lepiej, bo w razie natknięcia się na jedną z dwóch zwalczających się grup zawsze trzeba dowieść, że nie pracuje się dla tej drugiej.

Strażnik obszukał ich i zapukał do drzwi. Ubrany w tani smoking portier otworzył z uśmiechem.

– Dobry wieczór szanownym klientom. Panowie będą jeść czy podziwiać spektakl?

– Przyszliśmy na spektakl – stwierdził Treviño.

Portier przytaknął i zaprosił ich do obitego niebieskim pluszem korytarza. Otworzyły się przed nimi drzwi, za którymi czekało z sześć dziewcząt topless i w stringach, które tańczyły bardzo blisko siebie.

– Tędy, panowie.

Zaprowadzili ich do ustronnego stolika pod sceną. Kroczyła po niej właśnie czarnowłosa dziewczyna z bardzo długimi nogami i sztucznymi piersiami. Nie przeoczyli tego, że miała na sobie żółty dres w czarne paski i samurajski miecz. Portier musiał odchrząknąć, żeby Bus przestał się gapić, jak dziewczyna ściąga ubranie, i usiadł za stolikiem. Zajęło im to więcej czasu niż kelnerce postawienie na stole dwóch lodowatych piw. Niemal od razu podeszły do nich dwie tancerki, żeby się z nimi uściskać i pocierać wysmarowanymi oliwką piersiami o ich twarze.

– Witam serdecznie, mistrzu, jestem tutaj na twoje rozkazy, po prostu mów, czego sobie życzysz.

Ucałowały ich w usta i poszły.

Zanim Bus zdążył wstać, żeby zatrzymać jedną z nich, pochylił się nad nimi menedżer lokalu, gotów przyjąć zamówienie.

– Dzień dobry, czego sobie panowie życzą? Przysłać jakieś towarzystwo? Jakiś preferowany kolor włosów, skóry albo rozmiar?

Bus nie spuszczał oczu z tancerek.

– Przyszliśmy zobaczyć się z Cathy – odezwał się detektyw. A ponieważ kelner najwyraźniej nie wierzył własnym uszom, Treviño dodał: – Z Caterpillar.

– No, to są prawdziwi faceci – stwierdził kelner i zwrócił się do kelnerki. – Kochana, przynieś no butelkę tequili serrano Tres Cruces. Panowie są z tych, co to nie rozmieniają się na drobne.

– Zabrać te piwa? – zapytała.

– Bardzo proszę, nie chcę obrażać panów takimi trunkami. Proszę przynieść coś naprawdę dobrego. Coś dla prawdziwych facetów. Za kilka minut wracam.

I oddalił się.

Niemal natychmiast stojący dotąd przy barze mężczyzna bez nogi opuścił swoje miejsce i stanął przed nimi, opierając się na drewnianej lasce. Treviño potrzebował chwili, żeby go rozpoznać.

– Ramiro? Co ci się stało?

Mężczyzna popatrzył na niego pogardliwie.

– Takie życie, stary. A ten to kto?

– Jest ze mną.

– Nie taka była umowa, Carlos, cholera. O takich sprawach gada się w cztery oczy. Lepiej zostawmy temat, ja spadam.

– Nie, poczekaj, poczekaj. – I zwrócił się do kierowcy: – Bus, masz misję do wypełnienia. Widzisz tę kobietę, która wygląda jak traktor? – Skinął brodą w stronę kobiety stojącej po drugiej stronie sali.

Bus zobaczył, że stojący za plecami tancerek topless kelner szepce coś na ucho zwalistej postaci o lekko kobiecym wyglądzie, a postać podnosi wzrok w ich stronę.

Ja pierdziele, pomyślał ochroniarz, skąd oni wystrasnęli coś takiego? Cathy, jak w artystycznych kręgach nazywano tę kobietę, była potężna, miała ramiona jak kulturysta, a na twarzy nieustanny grymas irytacji. Prócz greckich sandałów zrobionych na miarę miała na sobie tylko tunikę z białego jedwabiu oraz diadem z fałszywymi brylantami na czarnej czuprynie, opadającej na ramiona.

– Na imię ma Constanza, ale wołają na nią Dama z Buszu albo Caterpillar. Jej specjalnością są zapasy. Jest cała do twojej dyspozycji – zakończył detektyw i poklepał Busa po plecach.

– Zaraz, zaraz, ale po jaką chol...

– To rozkaz.

– Ale ja mam dziewczynę.

– Nie pora na skrupuły. Pan de León nie kazał ci mnie słuchać?

– Tak, ale...

– Jeśli nie pójdziesz z nią, zwrócimy na siebie uwagę. No, do roboty. Widzimy się w hotelu.

– No dobra, co my tu mamy. – Caterpillar już przy nich była. – Kot nam coraz gorsze łupy przynosi.

– Już się zbieraliśmy – wypalił Bus. – Jutro musimy wcześniej wstać.

– Para pedałów – stwierdziła Caterpillar. – To mi się nawet podoba. No, nie mazgaić się, dajcie sobie buzi.

– Proszę pani – oświadczył Treviño – ależ padamy do nóżek.

– Nie piernicz mi tu – odparowała Cathy. – Nikt mnie na darmo z mojego kąta nie wyciąga. Przychodzisz dobrze się bawić albo przychodzisz pocierpieć. W pierwszym wypadku płacisz, w drugim tak samo. Wy dwaj, cieniasy, czego chcecie? Po coście przyszli?

– Ten tu młody człowiek chciałby spróbować swoich sił z panią.

– Z gorszego badziewia dawałam radę coś wycisnąć. Ale dziś nie mam za dużo cierpliwości, więc lepiej, żeby wiedział, jak się zachować wobec damy.

Detektyw odezwał się półgłosem:

– Dajesz, Bus, do roboty. Widzimy się, jak skończysz.

Valentín Bustamante alias Bus zrozumiał, że nie ma wyjścia, toteż wstał, gotów iść za Cathy. Treviño wziął go pod ramię i dodał szeptem:

– Jeśli się rozdzielimy, czekaj w hotelu i nie ruszaj się stamtąd. Rozumiesz? Pod żadnym pozorem się nie ruszaj.

– Tędy, proszę pana – popędził go kelner. – Niech pan nie każe damie czekać.

Widząc, że Bus w końcu się oddala, jednonogi oparł łaskę o kolumnę i przysiadł się do detektywa. Oczekali, aż Bus zniknie im z oczu, i Treviño zapytał:

– Co ci się stało z nogą?

Przybysz odsłonił górne kły. Detektywowi skojarzyło się to z psami, które czują się sprowokowane. Nie kryjąc goryczy, mężczyzna opowiedział, że po pięciu udanych starciach w okolicy został wysłany, żeby pogonić Nowych, grupę z Trzech Liter, na szosie i tym razem szczęście mu nie dopisało. Najgorsze jest, że taki kuternoga w tej okolicy wcale się nie rzuca w oczy. Ciudad Miel zmieniało się w miasto kalek. Widząc kiepski stan jego ubrań, przede wszystkim dziurę na piersi kurtki, Treviño zrozumiał, że przez to zajście szefostwo odsunęło Ramira na boczny tor. Informator podążył śladem spojrzenia detektywa aż do dziury w kurtce, wstydliwie ją zasłonił i zapytał:

– Zanim zaczniemy, wyjaśnij mi jedno: nie pracujesz przypadkiem dla prokuratury albo nie jesteś uchem Drug Enforcement Administration?

– Oczywiście, że nie, Ramiro. Przyjechałem tu z innego powodu. Płacą mi za odnalezienie zaginionej osoby. Daję słowo.

Miało się wrażenie, że informator wygrzebywał ze swojej pamięci najdawniejsze wspomnienie o Carlosie Treviño. Na szczęście detektyw nigdy nie złamał danego słowa, w każdym razie nie wobec tego człowieka.

– Masz kasę?

Detektyw wyjął z kurtki kopertę i dyskretnie podał rozmówcy. Mężczyzna przeliczył zawartość pod stołem i schował plik do górnej kieszeni kurtki.

– To ranczo, które cię interesuje, należało do rodziny García Osorio, zamożni i ustosunkowani ludzie, jedna z najstarszych rodzin w mieście. Ojciec zginął od kuli, zabił go jego najstarszy syn, ten, na którego wołają Rekin. Rodzina zapłaciła, żeby go wyciągnąć z pudła, ale chłopak zrobił się strasznie konfliktowy, więc krewni starali się go izolować. Wdowa i inni posprzedawali swój majątek, prócz samego rancza, bo ono przypadło chłopakowi, a potem przenieśli się do Stanów. Został tylko on, ten pieprzony ojcobójca, ten cały Rekin. Ciągłe imprezował, więc wpadł w potężne długi u handlarzy narkotyków. Pewnego dnia popełnił życiowy błąd i zaproponował im układ. W zamian za anulowanie długu i gwarancję miesięcznej działki białego proszku odda im ranczo. Pewnie myślał, że się wzbogaci, handlując prochami, które od nich dostanie, ale oni wybili mu to z głowy, mówiąc, że to jest na jego własny użytek i jeśli przyłapią go na handlu, urwą mu łeb. I co zrobił Rekin? Większą część wciąga sam. Sprzedaje troszeczkę i tylko znajomym w kilku dziurach, tyle

tylko, żeby przeżyć. Nie ma nigdy grosza przy duszy i chyba przestali już mu odpalać tę działkę albo odpalają mniej niż kiedyś i ledwie odbierze swoją porcję, zaraz wszystko wciąga. Podobno jest na krawędzi. Nowi zainstalowali się na jego ranczu i nawet sobie nie wyobrażasz, co tam wyprawiają. Majątkiem zarządza sam boss całego rejonu, mój dawny szef, Pułkownik Śmierć... Rekin nadal mieszka w jednej ze starych chat, ale długo to już nie potrwa, znudzili się nim. Teraz mi powiedz, dlaczego interesuje cię to miejsce.

– Muszę pogadać z Pułkownikiem.

Informator oparł się na krześle i spojrzał uważnie na detektywa. Treviño zrozumiał, że coś poszło nie tak, bo teraz Ramiro patrzył na niego ze śmiertelną nienawiścią. Górna warga uniosła się, znów odsłaniając kły.

– Rozniesie cię, jak się dowie, że go szukasz.

– Nie ma powodu. Chcę mu zaproponować interes.

Wtedy zauważył, że Ramiro, jego przyjaciel z dzieciństwa, mierzy do niego pod stołem z pistoletu.

– Schowaj to, Ramiro. To niepotrzebne. Schowaj.

Informator odezwał się ponownie:

– Przyszedłeś na przeszpiegi?

– Co?

– Jesteś szpiclem piechoty morskiej?

– O czym ty mówisz?

– Nie wiesz?

– O co, kurde, chodzi?

– Naprawdę nie wiesz?

– Noż kurwa mać, nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Wiemy, że wojsko szykuje jakiś grubszy numer na szefa. Wiemy, że będą chcieli go aresztować, używając jakiegoś wabia. Przyślą mu posłańca z tak dobrą ofertą, że nie będzie mógł jej odrzucić, a kiedy tylko Pułkownik się pokaże i zdradzi swoją kryjówkę, spadnie na niego cały oddział w śmigłowcach. Mów jasno albo kulka: czy to ty jesteś tym posłańcem?

– Cholera jasna – Treviño uniósł dyskretnie ręce – przecież mnie znasz! Nie mam żadnych związków z wojskiem ani policją, a już na pewno nie z piechotą morską. Poza tym wiesz, tak dobrze jak ja, że jeśli ktoś się na coś takiego poważy, już jest trupem.

Ramiro obserwował go przez kilka sekund, uniósł broń i schował w kurtce. Treviño zapytał ze spokojem:

– Ładnego masz gnata. Nie używasz już remingtona?

– Zabrali mi – rzucił Ramiro.

I przez chwilę jeszcze badał wzrokiem Treviña. Wreszcie nie wytrzymał.

– Wydaje mi się to wielkim zbiegiem okoliczności, że my tu się spodziewamy zdrajcy i nagle zjawiasz się ty z dużą kasą. O jakiej kwocie mówimy?

– Do cholery, nie jestem żadnym zdrajcą, Ramiro, i nie męcz mnie już. Mówimy o trzech milionach dolarów.

Informator w milczeniu przetrawił kwotę.

– No dobra, dawaj szczegóły.

– W sobotę koło dziesiątej wieczorem Rekin i trzech chłopaczków z Czterdziestki uprowadzili z dyskoteki jedną pannę. Zgarnęli ją, kiedy wychodziła z lokalu, wpakowali do czerwonej bryki i pojechali szosą w tę stronę.

– Możliwe. Ten typak niczym mnie nie zaskoczy. Mówisz, że był z ludźmi z Czterdziestki.

– Tak. Byli widziani podczas tej akcji z dziewczyną.

– To niemożliwe. Pułkownika nawet na wzmiankę o typach z Czterdziestki szlag trafia, a Rekin głupi nie jest. Nikt od nas nie zgadywałby się z nimi.

– Ale sam mówisz, że Rekin ma gorszy okres i nikt tutaj się nim nie przejmuje. No to może jednak dogadał się tymi kolesiami.

– Dużo by ryzykował. Kim jest ta lala?

– Jakies siedemnaście lat, blondyna, zielone oczy, metr siedemdziesiąt, zna języki. To córka Rafaela de Leóna. Trzy miliony, jeśli wróci cała i zdrowa.

– A ty co z tego właściwie masz?

– Najęto mnie, żebym przekazał ofertę.

– Brzmi nieźle – stwierdził Ramiro – ale gdybym cię nie znał, już bym cię wystawiał szefowi. Tak jak mówiłem, cały jego wywiad tylko wyczekuje, aż zjawi się jakiś typak z ofertą dużych pieniędzy, wszyscy są gotowi, żeby się na tego kogoś rzucić. Kiepski moment na twoją ofertę.

– Kurde, Ramiro, nie mogę wracać bez podjęcia próby załatwienia tego. Nie płacą mi za siedzenie z założonymi rękoma.

– Na mnie nie licz, stary. Jeśli przedstawię cię szefowi, obaj będziemy mieli grube kłopoty.

W tej chwili na estradzie zjawił się zespół muzyczny i z głośników popłynęła muzyka tropikalna. To był znak. Wszystkie kelnerki i sprzedawczynie papierosów zaczęły rozsypywać konfetti na gości, a w tym czasie jakaś dwudziestka dziewczyn topless zaczęła wyciągać siedzących do tańca. Dwie dziewczyny stanęły przed ich stolikiem i wyciągnęły ręce do Treviño, z szerokim uśmiechem, i do Ramira, z pewnym oporem. Jedna z nich odezwała się do detektywa:

– Chodź, potańczymy, kotku.

Treviño odparł, że innym razem bardzo chętnie, więc dziewczyny oddaliły się. Obie ewidentnie patrzyły na Ramira z dużą obawą, tak jak się patrzy na wściekłego psa.

Informator dopił swoją tequilę, a Treviño polał mu następną kolejkę. Po chwili zapytał:

– Jesteś w stanie sprawdzić dla mnie, czy ta dziewczyna tu jest?

– Nie wiem. Ale znając Rekina, nie zdziwiłbym się, gdyby już ją tu sponiewierał. On lubi bić kobiety. Tutaj na przykład już go nie wpuszczają, kiedyś zabrał jedną z tancerek na ranczo i przez całą noc się nad nią pastwił. Potem wyszło na jaw, że to nie pierwszy raz.

– Ten Rekin gdzie mieszka?

Informator uśmiechnął się.

– Zawsze się tu kręci, w centrum, ale mieszka na ranczu... Od paru dni go nie widziałem. Musiałbyś popytać o niego w El Zacatal, ale mówiłem ci już, nie da rady.

– Przy bramach są kamery?

Rozmówca spojrział na detektywa ze znużeniem.

– Ty to jesteś uparty jak osioł. Zabiją cię.

Treviño nalał kolejną tequilę i nie odezwał się.

Przyglądali się widowisku teraz polegającym na tym, że blondynka o bardzo jasnej skórze kroczyła wzdłuż całej sceny. Podchodziła do klaszczących mężczyzn, opierała stopę na ramieniu wybrańca i prosiła, żeby wsunął jej banknot za paseczek stringów. Wtedy delikatnie odpychała go obcasem. Owacje rozbrzmiewały, póki trwała piosenka. Informator oparł się o stół.

– Pamiętasz, o czym gadaliśmy podczas naszego ostatniego spotkania?

– Treviño obliczył w pamięci. Nie widzieli się od 2006 roku. – Mówiłem

ci, że w 2010 sytuacja w kraju zrobi się poważna, a ty mi nie wierzyłeś. I co, kto miał rację?

Treviño wiedział od informatora, że od jakiegoś czasu Nowi, rozochoceni sukcesami w starciach ze starymi poprzednikami, zaczęli określać się mianem Powstańców, tak jak mówi się o bohaterach walk o niepodległość kraju. Twierdzili, że w Meksyku co sto lat wybucha wojna, tak się stało w roku 1810 i w 1910, więc następna przypada na 2010 i to oni ją wygrają. Prawda jest jednak taka, że *pax mexicana* został złamany lata wcześniej: już w 2005 roku, za rządów Vicentego Palafoksa, bardzo często dochodziło do strzelanin w różnych miastach na północy kraju, między innymi w Ciudad Juárez. Treviño zawsze uważał, że jeśli Meksyk się rozpadnie, to wszystko zacznie się na południu: w Chiapas, tam, gdzie harczą zapatyści, albo w Guerrero opanowanym przez partyzantkę Ludowej Armii Rewolucyjnej, a potem zacznie wspinać się w górę mapy, jednak oba te ruchy straciły wigor. I kto by się spodziewał: chaos zaczął się na północy, właśnie tu, przy granicy ze Stanami Zjednoczonymi. To tu rozpoczął się rozlew krwi. I tak oto unosimy się na jej fali i najwyraźniej nikogo to nie obchodzi.

Przemoc nabrała mocy za rządów drugiego prezydenta kraju wywodzącego się z prawicy: bardzo nisko ocenianego Felipego Calderilli, który zapomniał o swoim elektoracie i stopniowo przenosił się do jakiegoś wyimaginowanego kraju, gdzie żył wraz ze swoją świtą, otoczony luksusami. Wielki wstyd dla głosujących na tę partię polegał na tym, że owi rządzący z prawicy zachowywali się jak przedsiębiorcy z bożej łaski. Wobec narastającej przemocy siedzieli z założonymi rękami. Korzystając z tego, że do walk dochodziło w stanach rządzonych przez ich rywala z innej partii, woleli się nie mieszać i pozwalali, by ludzie tonęli w morzu krwi. Tak naprawdę liczyli na to, że ich polityczni przeciwnicy nie poradzą sobie z sytuacją i przez to stracą poparcie wyborców. Tak jakby nie wiedzieli, że sami siedzą w tym problemie po uszy.

– Teraz to się dobierzemy do Starych na dobre – stwierdził Ramiro. – Odbierzemy ostatnie skrawki ich terenów. Oni mają kasę i broń, którą kupują od jankesów, ale to się szybko skończy. My szkolimy się jak trzeba, rząd czuje wobec nas respekt i nawet odnosi się do nas z sympatią. Pozwolą nam odwalić brudną robotę i kiedy skończymy ze Starymi, siądą z nami do negocjacji. W końcu to rząd nas stworzył.

Treviño wiedział też, bo Ramiro mówił mu o tym podczas tych dziesiątków wspólnych popijaw z czasów pracy w policji, że Nowi pojawili się dzięki wsparciu i przy współudziale jednego z gubernatorów stanu Tamaulipas, który potrafił narzucić i utrzymać kontrolę nad swoimi następcami.

– Nic mu nie zrobili, facet sobie spokojnie żyje. Wszyscy wiedzą kto to. Ale dość, za dużo ci już powiedziałem.

Czterech ostatnich gubernatorów tego stanu było ściganych nakazami aresztowania wydanymi przez DEA, a niektórych poszukiwał także Interpol. Ale ponieważ przekazali partii rządzącej część stanowych pieniędzy na kampanię, dzięki której partia obsadziła urząd prezydenta kraju, wciąż mogli cieszyć się bezkarnością. Jak dotąd nikt nie słyszał o tym, żeby złapano jakiegoś byłego gubernatora Tamaulipas, Coahuili czy Veracruz.

– Muszę dotrzeć do tego człowieka. – Detektyw nie odpuszczał.

– Zawieźć cię na to ranczo to tyle, co wydać na pewną śmierć. Lepiej to zostawmy.

– O mnie się nie martw. Powiedz mi tylko, gdzie to jest.

– Odbiło ci, Treviño, tego zrobić nie mogę. Jedyne sposoby, żeby się tam dostać, to jeśli sami cię tam zabiorą.

Treviño wyjął drugą kopertę, którą trzymał w kurtce, i podał rozmówcy pod stołem. Ten zajrzał do wnętrza, przeliczył banknoty, lecz nadal się nie odzywał. Najwyraźniej toczył wewnętrzną walkę, ale w końcu umoczył palec w tequili i naszkicował przybliżoną mapę na blacie.

– Ten teren to właściwie tylko pustynia. Przy wjeździe jest kawałek porośnięty sosnami, bezpośrednio przy gruntowej drodze prowadzącej do budynków. Ale poza tym nie znajdziesz już ani jednego drzewa, za którym można by się schować. Same pieprzone kaktusy i jakieś chaszczki, które nie dorastają do kolan. Nie ma trawy, nie ma szans, żebyś się przeczołgał do pierwszych zabudowań. To w cholerę kilometrów i dają głowę, że zaraz cię złapią. Mają psy i patrole. Nie ma jak wejść.

Treviño rozmasował sobie zeszywniały kark. Ranczo miało trzy koncentryczne ogrodzenia, wokół których kręcili się strażnicy patrolujący samochodami i konno. W pierwszym kręgu znajdowały się wszystkie pojazdy i pierwszy oddział obronny, w drugim szkolono większą część oddziałów, a trzeci przeznaczony był dla najwyższego dowództwa:

niegdysiejsza hacjenda El Zacatal stała się miejscem, gdzie się ukrywają i odpoczywają bossowie Nowych.

– Rekin mieszka w najmniejszej z chat, tej, która stoi w zagajniku. Ale to tylko kwestia czasu, kiedy go stamtąd wykurzą.

– Musi istnieć jakiś sposób... – stwierdził Treviño.

Rozmówca przyjrzał mu się z ciekawością.

– Kurde, Carlos, ludzie chcą stamtąd wyjść, a nie tam wejść. Wiesz, że uprowadzają w okolicy całe autobusy? Dwadzieścia kilometrów przed granicą, na głównej szosie, zatrzymują każdy autokar i zabierają wszystkich. Nie chcę ci mówić, co robią z dziewczynami ani jak kończą ci, którzy próbują temu przeszkodzić. Trzeba być niespełna rozumu, żeby jeździć tam nocą. Najgorszy jest Paso de Liebre. Jednymi, którzy korzystają jeszcze z linii Autobuses de Golfo, są przemytnicy ludzi i emigranci rozpaczliwie próbujący przedostać się przez granicę. – Informator wstał i oparł się na lasce. – Trzeba się zbierać, robi się późno. Ten twój kolega z wąsikami chyba już się nie pojawi.

– Jeśli o mnie chodzi, może sobie tam siedzieć. Wezmę taksówkę.

– Lepiej idź pieszo. Wiem, co mówię. Jeśli jeszcze nie zauważyłeś, to miasto jest jak paszcza lwa. Na ulicy roi się od czujek z komórkami czy krótkofalówkami, którzy natychmiast informują miejscowych szefów o pojawieniu się kogoś obcego.

– A może ty mnie podwiesziesz?

– Nie mam auta, a mieszkam tuż za rogiem.

Ramiro, rozochocony tequilą, przyjrzał się dwóm stojącym przy drzwiach dziewczynom polującym na klientów i dodał:

– Jeśli mogę służyć przyjacielską radą, wracaj na swoją plażę. Nie jest jeszcze za późno. Wszyscy tu szukają kogoś takiego jak ty i chcą roznieść go na strzępy.

– Dzięki za radę – odparł detektyw.

Jego rozmówca obrzucił dziewczyny ostatnim spojrzeniem i utykając, wyszedł z baru. Treviño zerknął na ekran telefonu, postawił kołnierz kurtki i też wyszedł z lokalu.

XVII

Taksówkę dla pana? – Treviño rzucił okiem na kierowcę i odrzucił propozycję. Choć temperatura znacząco spadła, jak to się dzieje we wszystkich miejscach na pustyni, wolałby strzelić sobie w łeb, niż wsiąść do jednego z tych samochodów. Zapalił papierosa i ruszył chodnikiem.

Z tego, co mówił Ramiro, wynikało, że nie ma szans na przedostanie się do obozu bez wywołania alarmu. Nie zapominał o ostrzeżeniach informatora: „To jest paszcza lwa. Teren otoczony trzema koncentrycznymi kręgami ogrodzeń”.

Patrząc, jak z papierosa unosi się dym, Treviño zdał sobie sprawę, że nad jego głową wisi cynobrowy księżyc. Wtedy nagle wydało mu się, że widzi ducha.

Musiał odwrócić głowę, by się przekonać, że nie tylko spadła temperatura, lecz także nocny wiatr miota śmieciami po okolicy i wyrzuca je w powietrze. Przy czym wcale nie wyglądało to jak działanie jednego wiatru. Miało się wrażenie, że uliczkę opanowało stado niewidzialnych szakali: tu i tam, w różnych miejscach, równoczesne powiewy porywały gazety i plastikowe woreczki i miotały nimi wściekle.

I może to przez księżyc, a może przez widok pustynnych duchów Treviño zrozumiał, że jest pewien sposób, by dostać się do środka. To prawda, że obarczony śmiertelnym ryzykiem. Ale w czasach swojej policyjnej służby nauczył się, że jeśli ktoś chce rozwiązać zagadkę, musi zmierzyć się z przerastającymi go wyzwaniem.

Zadał sobie parę razy pytanie, czy to nie tequila myśli za niego. Jeśli wprowadzi w życie ów plan, nie będzie mógł sobie pozwolić na żadne błędy. Będzie musiał się tam wdrzeć, znaleźć dziewczynę i zwiewać, jakby go sam diabeł gonił. Ograniczyć się do ustalenia, czy mają tam dziewczynę, czy nie, i jeśli tak, dać znak panu de Leónowi, żeby podjął negocjacje. A jeśli coś pójdzie nie tak? Bawił się swoją komórką. Jeżeli ma jeszcze jakieś nadzieje na pogodzenie się z żoną, to akurat tego rodzaju akcji obiecał się nie podejmować. Chmury przysłoniły księżyc i wtedy wybrał numer pana de Leóna.

Biznesmen został wyraźnie wyrwany ze snu.

– Treviño? Co jest grane?

- Dzwonię, żeby zapytać, czy „tamci” już się odezwali.
- Nikt nie dzwonił. – De León odkaslnął. – Połączyć cię z konsulem?

Czuwa w salonie.

- Nie ma takiej potrzeby.
- Jakież nowości?

Treviño westchnął głęboko.

– Musimy pilnie ustalić, czy Rekin przetrzymuje pańską córkę, a jeśli tak, musimy rozpocząć negocjacje. W przeciwnym razie długo nie pożyje. To nie pierwsza kobieta, którą porwał. Problem w tym, że jak udało się ustalić, gość siedzi na ranczu zajęтым przez Nowych.

- Niech pan robi co trzeba. Proszę.

Treviño zastanowił się przez chwilę i dodał:

– Znalazłem dyskretny sposób na przedostanie się do obozu. Co do wydostania się na zewnątrz nie mam już takiej jasności, ale coś wymyślę, będąc w środku. To mi pozwoli stwierdzić, czy pańska córka tam jest. Jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli, na parę godzin stracimy łączność i ten numer może już potem nie działać, więc musicie czekać, aż się odezwę.

- Możemy jakoś pomóc?

– Kiedy pan będzie rozmawiać z Busem, proszę mu powiedzieć, żeby czekał na mnie w hotelu. Ma tam siedzieć i nigdzie się nie ruszać. Niech trzyma samochód w gotowości i broń też. Na każdą okoliczność.

- A gdzie on jest? Co się dzieje?

– O niego może się pan nie martwić, zleciłem mu pewną misję. Jeszcze jedno: jeśli coś pójdzie nie tak, moja żona i córka będą zależne od pańskiej pomocy.

- Podpisaliśmy umowę. Proszę działać dalej. Może mi pan zaufać.

Wiatr znów porwał śmieci z ulicy. Detektyw spojrzał daleko, na główną aleję, i przytaknął:

- Zgoda. Odezwę się, jak będę mógł.

De León odetchnął z ulgą.

- Wynagrodzę to panu.

Detektyw rozłączył się i sprawdził godzinę na zegarku. Była trzecia nad ranem. Zapiął kurtkę pod samą szyję i ruszył przed siebie.

Dworzec autobusowy znajdował się trzy przecznice dalej. Podróżni i prostytutki zawsze trzymają razem. Na widok napisu na gmachu dworca

zatrzymał się i spojrział na jakąś wystawę jedynie po to, by w odbiciu przekonać się, czy nikt go nie śledzi.

Kiedy tylko przekroczył próg hali, zdał sobie sprawę, że o tej porze kursują jedynie autobusy drugiej kategorii. Podszedł do okienka linii Autobuses de Golfo i przywitał się z kasjerem.

– Jeden do Paso de Liebre, pierwszym kursem, jaki będzie.

– Będzie pan przekraczał granicę? – Facet obsługujący kasę szybkim spojrzeniem zlustrował jego ubranie.

– Tak jest. Muszę tam być jak najszybciej.

– Właśnie teraz jeden rusza, dojedzie pan na miejsce za jakieś czterdzieści minut.

– To mi pasuje.

Sprzedawca przyjął pieniądze, wręczył mu resztę i bilet i popędził go:

– Proszę biec na peron piąty, zaraz odjeżdża.

Detektyw ruszył w stronę tylnego wyjścia i wyszedł na plac manewrowy. Nie było trudno znaleźć jedyny pojazd z pracującym silnikiem.

– Wsiadać, wsiadać – pogonił go kierowca.

Pierwsze rzędy zajmowała grupka młodych mężczyzn ubranych jak koszykarze, którzy puszczała w obieg flaszkę z jakimś alkoholem, zamaskowaną w papierowej torebce. Kiedy ich mijał, odniósł wrażenie, że przyglądają mu się z zawodową ciekawością kieszonkowców, dostrzegł też, że wielu ma tatuaże na ramionach. Para oczu wbiła się w niego jak noże i zobaczył, że należą one do chudego i wątłego młodziana ubranego w szorty i koszulkę bez rękawów. Za tą grupką drzemała kobieta z dwiema małymi córeczkami, a obok dwóch staruszków. Ponieważ nikt nie chciał usiąść na miejscu numer trzystaście, zorientował się, że ma do dyspozycji dwa miejsca tylko dla siebie, więc rozsiadł się wygodnie.

– Paso de Liebre! – krzyknął kierowca. Pojazd zawibrował, wyminęli kilka przeszkód i wytoczyli się na główną szosę.

Autobus kołysał się, jakby płynął po morzu. Detektyw oparł się o szybę, podwinął nogi i pomyślał, że zdrzemnie się tylko na kilka minut. Pięć minetek, pomyślał, tylko pięć minetek.

Śniło mu się, że wiatr miota liśćmi młodej i wysokiej palmy, i nagle znalazł się na plaży razem z żoną. To był ten dzień, kiedy kochali się całymi godzinami, krótko po tym, jak wprowadziła się do hotelu. Świeciło

mocne, ale przyjemne słońce, nadające morzu błękitny kolor. Światło znikło, kiedy autobus znów zaczął dygotać i stanął.

– Ej, co się tam dzieje? – zaprotestował jeden ze staruszków. Mówił z akcentem ze stanu Campeche.

A po chwili dodał:

– O Boże!

Grupa ubranych na czarno ludzi, o nieco wojskowym wyglądzie, podchodziła do autokaru. Ten na przedzie niósł broń przytroczoną z przodu do paska.

– Proszę zachować spokój – uśmiechnął się kierowca. – Ci panowie pilnują szosy.

– O Jezu, o Jezu – pojękiwała kobieta z córkami.

Kierowca otworzył drzwi i dwóch weszło do środka.

– Dobry wieczór państwu – uśmiechnął się do nich szczupły i pogodny mężczyzna. Treviño od razu wiedział, że nie można mu ufać. – To punkt kontrolny, chodzi o państwa bezpieczeństwo.

Nie wyjaśnił jednak, czy reprezentuje armię, czy może piechotę morską. W prawej ręce trzymał broń wycelowaną w sufit, co jest niezgodne z wojskowym regulaminem rewizji. Stojący za nim wygolony mężczyzna celował do pasażerów z karabinu. Ten z cwany uśmieszkiem przeparał przejściem między rzędami i detektyw przekonał się, że jego broń to rewolwer, czyli zdecydowanie nieregulaminowa broń oficera armii.

Gość z pistoletem, zanim jeszcze doszedł do końca autobusu, zawrócił i stanął, wyraźnie zadowolony, obok kierowcy.

– Proszę zasunąć zasłonki – odezwał się do pasażerów. – Będziemy mijać bazę wojskową.

Autobus ruszył i ostrożnie wyminął szereg przeszkód na drodze. Pasażerowie zaczęli się denerwować.

– Co ten człowiek wyprawia? – pytał jeden ze staruszków. – Przecież to nie tędy.

Treviño, ocknąwszy się z drzemki, próbował wyglądać przez szczelinę między zasłonkami. Przez pięć czy sześć minut widział tylko rząd sosen spowitych nocną mgłą.

Autobus ponownie się zatrzymał i detektyw zobaczył, że dojechali do jakiegoś skrzyżowania. Bardzo gęsta mgła ledwie pozwalała dostrzec las

oraz coś, co wyglądało jak nieogrodzony cmentarz. Pomyślał, że to jednak fatalny pomysł wybierać się w tę drogę bez Busa.

Autobus znów stanął i ten z rewolwerem rozkazał:

– Mężczyźni wysiadają. Kobiety zostają w środku.

– Zaraz, co to ma znaczyć? – zapytała kobieta.

– Proszę wykonywać polecenia – uciszył ją ten uśmiechnięty. – Robimy to dla państwa bezpieczeństwa.

Treviño wysiadł za grupką młodych, którzy żartowali sobie z typową dla ich wieku niefrasobliwością. Natychmiast otoczyło ich sześciu uzbrojonych wojskowych. Jeden z nich rozkazał, by ustawili się w szeregu i trzymali w rękach dokumenty. Z mgły dobiegł ich krzyk:

– Ustawić ich czwórkami!

– Ustawić się czwórkami! – krzyknął ten uśmiechnięty i szereg się przegrupował.

Dwadzieścia kroków dalej zauważył mężczyzn siedzących za stołem, pod zaimprovizowanym obozowym zadaszeniem z pni i liści palmy. Podróżni podchodzili, podawali swoje dokumenty i ustawiali się za plecami kontrolujących. Kolejni uzbrojeni ludzie (nie sposób było się połączyć, ilu ich tam było) przyglądali się temu.

Kiedy przyszła ich kolej, żołnierz odeskortował ich do stołu, gdzie czekał już ten uśmiechnięty typ, który zjawił się na szosie i którego inni nazywali kapitanem. Towarzyszył mu jeszcze jeden potężny facet. Treviño przyzwyczał się do widoku wysokich osób na północy kraju, ale ten bił wszelkie rekordy. Miał czarne, krótko przystryżone włosy, a jedno ucho niewiarygodnie spuchnięte.

Kiedy dotarli do stolika, kapitan zażądał ich papierów. Nawet nie fatygował się z zaglądaniem w paszporty młodych chłopaków.

– Co to jest?

– Paszport, psze pana – odpowiedział ten z koszulce i szortach.

Oficer pokręcił głową.

– Meksykanin?

– Oczywiście, psze pana. – Chłopak mówił z mocnym środkowoamerykańskim akcentem.

– A skąd jesteście?

– Z Chiapas – odpowiadał wciąż ten sam.

– W której części stanu leży jezioro Pátzcuaro?

– Na północy – odparł chłopak po chwili wahania.

Żołnierze zaśmiali się, a oficer dodał:

– I to bardzo, bo aż w stanie Michoacán. No dobra, idziesz w tamtą stronę, kolego... Chiapas – powtórzył w stronę podkomendnych – mogli wymyślić coś lepszego.

Wziął papiery od Treviña i porównał twarz ze zdjęciem. Tymczasem detektyw dyskretnie rozejrzał się po okolicy. Było to coś w rodzaju rancza, na które składał się główny budynek, szopa i mała stajnia, w której widać było jednego konia.

– Nazwisko?

– Juan Rentería.

– Wiek.

– Trzydzieści pięć lat.

– Czym się pan zajmuje?

– Handlem.

– Co pan robi tak daleko od Veracruz? – Takie miejsce zamieszkania widniało w fałszywym dokumencie.

– Jadę na granicę, spotkanie biznesowe.

– To jest cel podróży?

– Tak jest.

– Proszę pokazać portfel.

Treviño wręczył mu portfel, w którym znajdowało się dwieście dolarów w banknotach o niskich nominałach oraz fałszywa wiza, wszystko dostarczone przez konsula, włącznie z dokumentem. Żołnierz zawahał się.

– A czym dokładnie pan handluje? Jaka branża?

– Materiały budowlane – odparł Treviño.

– No proszę – odezwał się ten uśmiechnięty i wrzucił portfel do worka, do którego trafiły już przedmioty należące do innych pasażerów.

Masywny facet sprawdził, czy detektyw nie ma broni, i kazał mu ustawić się w szeregu.

Kiedy skończyli rewizję wszystkich mężczyzn, wezwali kobiety i dzieci i ustawili je w drugim szeregu. Wybiła godzina prawdy.

Ten uśmiechnięty skupił na sobie uwagę zebranych.

– Dzień dobry państwu.

– Dzień dobry – odpowiedzieli pełni nadziei fałszywi przyjezdni z Chiapas.

– Jedzicie na północ i większość z was nie ma stosownych papierów. Wszyscy jedzicie tam do pracy.

Z przemowy, najwyraźniej powtarzanej już wiele razy, dowiedzieli się, że na granicy czekają na nich przemytnicy ludzi, którzy zażądają od dwóch do trzech tysięcy dolarów za przepuszczenie dalej. Potem porzucą ich na pustyni, żeby zdechli z głodu w upale. Niewykluczone też, że zastrzelą ich rangersi albo inni fanatycy polujący na nielegalnych emigrantów. I po co to wszystko? Żeby zarabiać te mizerne pięćdziesiąt dolarów tygodniówki, upokarzani przez gringos, harując jak zwierzęta?

– U nas zarobicie dwa tysiące dolarów miesięcznie. I nie musicie przekraczać granicy. Szukamy odważnych ludzi. Prawdziwych mężczyzn.

– Panie – odezwał się jeden z podróżnych z Campeche. – My jesteśmy tu tylko przejazdem. Jedziemy do McCallen, a potem wracamy do Champotón.

Gość w kapeluszu zlekceważył ten komentarz.

– Ostatnia szansa. Ci, którzy chcą dołączyć, wchodzą do autobusu. Ci, którzy nie, zostają tu.

Typek w szortach i fałszywi przybysze z Chiapas pierwsi wsiedli do środka. Treviño dyskretnie ulokował się między nimi. Tylko ci dwaj z Campeche, Kanadyjczycy i dwaj starszankowie zostali na miejscu.

– Dobrze, zostanieie z kobietami i dziećmi. Przyjedzie po was inny autobus.

– Daje pan słowo? – zapytała kobieta.

Mężczyzna uśmiechnął się.

– Ależ oczywiście.

Treviño z obawą spojrzął na kobietę z dziećmi.

– Te, gościu, nie blokuj przejścia. – Jeden z żołnierzy pchnął go do przodu.

Zanim zdążył tego naprawdę pożałować, już siedział na tyle autobusu, a ten ruszał wąską drogą.

Teraz już musiał pozwolić nieść się fali. Tylko czy da się potem zejść na brzeg?

Kiedy autobus nie był już w stanie jechać dalej, kazali im wysiąść. Stopy detektywa zanurzyły się w żółtej i sypkiej ziemi, trudno się po czymś takim chodzi. Niemal od razu dobiegł ich głuchy terkot serii z broni maszynowej, więc spojrzął na otaczających ich żołnierzy, ale ci nawet nie mrugnęli. Takie rzeczy to tam codzienność.

– Bez ociągania się, idź przed siebie.

Kazali im wspiąć się na niski pagórek i ślizgając się, doszli do ogrodzenia z drutu kolczastego, strzeżonego przez czterech uzbrojonych strażników. Wbrew informacjom konsula nie było tu żadnych kamer ani systemów alarmowych. Gdziekolwiek nawet widać było dziury w ogrodzeniu.

Nikt nie przygotował go na to, co następnie zobaczył. Za pierwszym ogrodzeniem kończyła się równina i zaczynało się coś w rodzaju płytkiego wąwozu, szerokiego jak stadion piłkarski. Znajdowały się w nim cztery grupy liczące na oko po pięćdziesiąt osób, podzielone na cztery niezależne obozy. Od miesięcy docierały do niego plotki o takich obozach i brał je wtedy za przesadne. Ale w miarę jak coraz wyraźniej czuł zapach prochu i swąd palonej gumy, pojął, jak bardzo się mylił. To nie było małe ranczo: miało rozmiar obozu na poligonie wojskowym.

Przez chwilę serce zabiło mu mocniej, bo wydawało mu się, że dostrzeżga w oddali rząd latarni ulicznych, co by oznaczało, że jest tam szosa, czyli istnieją jakieś szanse na ucieczkę, ale to, co wziął za latarnie, okazało się częścią jakiejś konstrukcji. Były to rozciągnięte między drzewami liny służące do ćwiczeń wspinaczkowych. Wewnętrzny głos doradził mu, by porzucił wszelką nadzieję. Mężczyzna na koniu z karabinem na plecach przejechał po drugiej stronie drutów.

– Dalej, ruchy!

Po zejściu dochodziło się do kolejnego ogrodzenia, a za nim kręciła się setka nędznie ubranych ludzi, w większości bez koszul; ustawiali się w kolejce i strzelali z broni różnego kalibru do ceglanego murku, do manekina albo po prostu w stronę zbocza. Z jednej strony buchał w dwóch miejscach ciemny dym: jeden z drzewa, a drugi z czegoś wyglądającego na stos starej odzieży. Dopiero po chwili rozpoznał na tym stosie całkowicie zwęglone ludzkie ciało.

Łysy mężczyzna w wojskowym mundurze stał przed dwudziestką obdartusów, którzy słuchali go uważnie. Najpierw pokazał im cel oraz jak się strzela z karabinu, a potem wręczył broń stojącemu najbliżej słuchaczowi, mocno obszarpanemu chłopakowi z kawałkiem materiału owiniętym wokół głowy. Wojskowy kazał mu celować w puszki po napojach, których ze dwadzieścia wisiało przez ruinami budynku. Chłopak wycelował i strzelił cztery razy. Wojskowy sprawdził efekty i przekazał broń następnemu. Im niżej schodził Treviño, tym bardziej

krwem odpływała mu z twarzy. Łysy to ten sam człowiek, z którym miał kiedyś utarczkę na plaży. Pułkownik we własnej osobie.

Nagle zrobiło się zamieszanie. W drugiej grupce grubas z uchem jak kalafior kopał mężczyznę leżącego na ziemi. Nikt nie ośmielił się mu przerwać, a grubas kopał, dopóki tamten nie stracił przytomności. Dopiero wtedy się uspokoił.

Żołnierze, który zapędzili ich wcześniej do autobusu, prowadzili ich teraz do centrum obozu, a następnie przedstawili człowiekowi, który miał być ich dzisiejszym instruktorem. Facet, liczący na oko pięćdziesiąt lat, już na nich czekał. Kawałek dalej jeszcze inny instruktor uczył kolejną grupkę obszarpańców, jak się robi koktajle Mołotowa. Detektyw zauważył, że korzystają z butelek po coca-coli.

Kiedy przyszła jego kolej, Treviño postarał się i oddał precyzyjny strzał, trafiając w trzy butelki ustawione w różnych miejscach na leżącym pniu.

– No dobra, jeszcze raz – powiedział instruktor.

Treviño powtórzył swój wyczyn, tak naprawdę nie taki trudny, bo broń była dobra, trzeba było tylko dobrze wycelować, i instruktor zapytał go, czy przechodził szkolenie wojskowe.

– Byłem w policji – przyznał.

Zgodnie z tym, co ustalili z konsulem, wyjaśnił, że służył w stanie Veracruz, bo Amerykanin miał tam swojego człowieka, który w razie czego mógł to potwierdzić.

– Dlaczego zrezygnowałeś?

– To mi nie wystarczało.

– Jak się nazywał twój przełożony.

– Antonio Segura.

Instruktor przytaknął i kazał mu stanąć z boku i czekać na koniec kolejki. Detektyw podszedł pod sosnowy zagajnik, gdzie siedział już typek w szortach i fałszywi przybysze z Chiapas. Wreszcie mógł odetchnąć z ulgą.

Palili bez słowa. Treviño od czasu do czasu rzucał okiem na towarzyszy.

Około drugiej po południu usłyszeli dźwięk wydawany przez syreny, coś w rodzaju alarmu, i wszyscy świeżo przybyli musieli ustawić się w szeregu. Treviño wpadł w lekki popłoch, bo Pułkownik podszedł, żeby do nich przemówić. Wydawało mu się, że na jego widok facet lekko się wzdrygnął, więc schował się za innymi.

– Macie trzy tygodnie, żeby wykazać się odwagą, a jej miarą będzie wasza gotowość do udziału w prawdziwych akcjach. Będziemy oceniać wasz spryt, chęć współpracy, posłuszeństwo i lojalność, to przede wszystkim. Nie wolno kwestionować żadnych rozkazów. Każde wykroczenie karane jest stosowną karą cielesną. Zdrada karana jest natychmiastową śmiercią. Na końcu wybierzemy najlepszych, którzy dołączą do naszej organizacji, ci, co się nie nadają, zostaną skierowani do prac usługowych. Dezercja jest całkowicie zakazana. Kto wszedł, zostanie tu na zawsze.

O trzeciej zaprowadzili ich do baraku, który kiedyś musiał być oborą. Wysoki i szeroki budynek, we wnętrzu znajdowało się co najmniej trzydzieści ławek ustawionych w równych rzędach. Na jednej z nich, za kolumną, kobieta o azjatyckich rysach i ciele pokrytym tatuażami dosiadała jednego z fałszywych mieszkańców Chiapas. Była naga, nie licząc sięgających do kolan kowbojskich butów ze skóry. Kiedy Treviño wszedł do środka, nie spuszczała z niego oczu.

Kiedy facet z Chiapas ewidentnie skończył, położył ręce na jej biodrach i powiedział coś, co najwyraźniej ją zezłościło. Strzeliła go w policzek, dla żartu, ale na tyle mocno, by dać mu do zrozumienia, że żarty mogłyby się skończyć inaczej, po czym wstała. Rozejrzała się, a potem ruszyła powoli, przenosząc cały ciężar swojego ciała to na jedną, to na drugą nogę, jakby to były amortyzatory jakiejś maszyny przemysłowej, i podeszła do przybyłych. Chwilę mu zajęło, zanim zrozumiał, że oferuje mu swoje usługi: „Pięć dolarów, kotku”, na co odparł, że nie.

Podano im kanapki z szynką i kawę. Treviño, skończywszy jeść, podszedł do dwóch stojących na straży żołnierzy i poczęstował ich papierosami. Przedstawił się fałszywym nazwiskiem i oświadczył, że jest na ich usługi. Pytał o kwestie praktyczne: „Gdzie będziemy spać?”, „Zakwaterują was pod wieczór w jednej z chat”; „O której wstajemy rano?”, „Codziennie zaczynamy o piątej”. Po chwili zapytał, czy to prawda, że przyjeżdża tu do nich ciężarówka z prostytutkami, bo ktoś obiecywał coś takiego; czy to prawda, że mają tu dziewczyny z zagranicy, czy zdarzają się jakieś blondyny i czy generalnie ładne są? Jeden z nich odpowiedział, żeby sobie nie robił smaka, dopiero co przyjechał, a już chce sobie wakacje robić, on jednak nie odpuszczał. Oczekuje się od nich nie byle czego, a on zaciągnął się dlatego, że słyszał, że ci, których przyjmą, są traktowani naprawdę dobrze, a lasek będzie pod dostatkiem.

– Na początku jest przejebane – odezwał się niższy z żołnierzy. – Ale nie przejmuj się, będzie gorzej.

Reszta z tych, co palili, zignorowała Treviña. Ten niski dodał jeszcze:

– Będziesz miał potąd lasek, alkoholu, pigułek, trawy i może też czegoś do niuchania, ale sporo jeszcze cię od tego dzieli. Trzeba się wykazać, kapujesz? Nie żebym ci chciał podkreślać apetyt, ale tak, dostarczają nam panienki. Tak raz na miesiąc, półtora.

– A na miejscu więcej nie ma?

Kurdupel dalej nabijał się z jego niecierpliwości i zapytał, czy nie podobała mu się ta Chinka. Po długim wstępie i krążeniu wokół tematu, podczas którego rozmawiali o tym, jak łatwo traci cierpliwość ten gruby z uchem jak kalafior, pełniący funkcję odpowiedzialnego za dyscyplinę, i co robi z tymi, którzy nie okażą mu należytego szacunku, niski żołnierz powiedział w końcu, że owszem, mają tu więcej kobiet kręcących się po terenie, ale one są zarezerwowane dla szefów.

– Czasami sprowadzają sobie nowe, trzymają je parę dni, a potem puszczają.

Treviño skomentował, że wydawało mu się, iż widział jedną blondynkę, jakieś piętnaście lat na oko, która zrobiła na nim wielkie wrażenie, na co oni odparli, że jasnowłosych rzeczywiście jest teraz kilka w obozie, ale żeby nie robił sobie nadziei. Poza teren szefów nie wyściubiają nosa, wychodzą tylko się poopalać, nad stawem za domem, a potem wracają do środka. Natomiast dostępne, normalnie mieszkające na terenie, są same Azjatki. Sprowadzili je tu z sześć miesięcy temu, ale za wiele to już ich nie zostało.

– No ale blondynki też są. – Drugi żołnierz wskazał w kierunku posesji.

– Widziałem wczoraj z daleka. Pływały sobie w stawie, trzech czy czterech gości pilnowało ich tam, niezłe laski. Te kobitki skakały sobie z trampoliny do wody, dopóki im się nie znudziło, potem rozłożyły się na kolorowych hamakach porozwieszanych między drzewami. Tam się opalały, a kelner nosił im napoje. Trzy tam widziałem.

Treviño dopytywał, czy to były cudzoziemki, czy Meksykanki, na co żołnierz odpowiedział:

– Bardziej mi na Rosjanki wyglądały. Takie już nie najmłodsze. Mocno operowane.

Powiedział, że porozumiewały się ze sobą jakimś szeleszczącym językiem, szczekliwym, jakby nie mówiły, tylko gryzły zębami kamienie,

a sądząc po tym, jak na siebie pokrzykiwały, chyba nie przepadały za sobą, ton kpiny i pogardy brzmi bardzo podobnie w różnych językach. Treviño stwierdził, że tak czy inaczej pooglądałby sobie te panienki. Kończył papierosa, kiedy zjawił się przy nich gruby z uszami.

– Do roboty, panowie.

Wyładowali stos cegieł z ciężarówki i ustawili je na świeżo wyczyszczonym terenie. Dalej stały chaty i to, co musiało być siedzibą dowództwa. Między jednymi a drugim ciągnęło się trzecie ogrodzenie z drutu kolczastego, przy którym czuwało dwóch strażników. Treviño pomyślał, że nie ma jak się tam dostać, a tym bardziej jak uzasadnić swoją obecność, jeśli go znajdą. W tej chwili zadzwonił telefon grubego, który zaraz zapytał:

– Ktoś tu się zna na hydraulice?

Treviño podniósł rękę.

– Umiesz montować jacuzzi?

Przytaknął z przekonaniem.

Kazał mu iść prosto do piętrowego budynku, zaniedbanego, ale widać było, że kiedyś był to domek mieszkalny. Ruszył w jego stronę, aż natknął się na pierwszego żołnierza, który wymierzył do niego z karabinu.

– Przyszłali mnie do jacuzzi – wyjaśnił.

– Kto cię przysłał? – Strażnik przyglądał mu się nieufnie.

– Ten szef, na którego wołają Chiquilín.

Strażnik popatrzył w tamtą stronę, przytaknął i kazał mu iść dalej bez zatrzymywania się.

– Obejdź dom z tej strony i zamelduj się u sierżanta Galarzy.

Treviño szedł do domu bardzo wolno, jakby podziwiał widoki. Budynek był dwupoziomowy, na górze miał cztery kwadratowe okna, a na dole dwa wielkie i prostokątne. Oszacował, że jeśli zbudowany jest tak jak te stare hacjendy, ma tylko cztery pokoje, wszystkie na górze. Podszedł od frontu i zatrzymał się. Przez okno na piętrze zobaczył, jak dziewczyna o azjatyckich rysach, mogła mieć jakieś dwadzieścia lub trzydzieści lat, wciąga kreskę koki. Miała na sobie sukienkę z potężnym dekoltem. Widział, jak kołyszą się jej piersi, podczas gdy ta urodziwa kobieta pochyla się nad kupką proszku. Tak wypoczywa szefostwo, pomyślał.

– Ruszaj się, nie stój jak ciele. – Strażnik rzucił kamieniem w jego stronę.

Poszedł dalej i strażnik gwizdnął na kolegę stojącego przy wejściu do domu. Ten odpowiedział także gwizdnięciem i kiedy detektyw znalazł się przy nim, przywitał go szczodrym kopniakiem w tyłek.

– Jak tak będziesz zapuszczając żurawia, dostaniesz kulkę. Tu się wykonuje rozkazy.

– Tak jest, szefie. Proszę wybaczyć.

– No już, zmiataj.

Zaprowadził go do tylnego wejścia do domu, gdzie trzech mocno zbudowanych facetów w kąpielówkach gadało z trzema kobietami w stringach i topless. Nie potrzebował wiele czasu, by ustalić, że wbrew temu, co mówił żołnierz, stała tam tylko jedna prawdziwa kobieta. Reszta to byli dwaj śniadzi transwestyci z włosami ufarbowanymi na blond. Jedyne wyjątkiem stanowiła bardzo wysoka brunetka, z długimi, bardzo kształtnymi nogami i potężnymi implantami w piersiach. Czyli to są prawdziwi mężczyźni, pomyślał Treviño i odwrócił wzrok. Na stojącym obok ruszcie jeden z żołnierzy doglądał mięsa.

– Jest ten człowiek, szefie.

Jeden z facetów o wyjątkowo nieprzyjaznej gębie wstał i podszedł do niego, nie wypuszczając piwa z dłoni.

– Jesteś hydraulikiem?

– Budowlańcem, na hydraulice też się znam. – Treviño dostrzegł potężne jacuzzi, wciąż jeszcze w oryginalnym opakowaniu, mogące pomieścić do ośmiu osób, a obok nowiutką termę do podgrzewania wody.

– Ile ci zajmie podłączenie tego?

Treviño przyjrzał się sprzętowi.

– Jakies trzy godziny, szefie.

– Ma być półtorej. I nie chciałbym być w twojej skórze, jeśli to popsujesz. Czego potrzebujesz?

– Cegieł, żeby to zamocować. Cementu. Zestawu narzędzi. I pomocy, żeby to dźwignąć.

– Jak coś uszkodzisz przy przenoszeniu, masz przesrane. Resztę zaraz dostaniesz. To do roboty, ten ci pomoże – Wskazał na żołnierza, który go kopnął.

Rozpakowywał termę, kiedy znów dobiegły go śmiechy i zobaczył dwie blondynki, obie pod czterdziestkę, obie z operowanym biustem. Parę kroków za nimi kroczył facet z węzowym uśmiechem, a za nim

Pułkownik Śmierć. Treviño schował się za sprzętem i zasłonił twarz kapeluszem, najdokładniej jak umiał.

– Idziemy po cegły – rzucił żołnierz. I już wstawali, kiedy ktoś wypowiedział jego prawdziwe nazwisko.

– Carlos Treviño. – Pułkownik stał za jego plecami. – Nie pamiętasz mnie już? Poznaliśmy się na plaży.

Złapali go za ramiona, wykręcając mu ręce do tyłu, a Pułkownik pofolgował sobie, waląc go kilkukrotnie w żebra i po twarzy. W końcu się znudził.

– Do kuchni z nim. Zaraz tam będę. – Na kłykciach miał krew.

Wtedy podeszło dwóch następnych i wrzucili go na pakę pikapa. „Teraz to masz przesrane”, powtarzali. „Doigrałeś się, facet”.

Miał wrażenie, że jego ciało unosi się na czymś w rodzaju nieustępliwej i wywołującej ból fali, która uniemożliwia mu racjonalne myślenie. Jedyne, czego chciał, to dosięgnąć do tej armatniej kuli, którą ktoś jakby wbił mu w połowie wysokości pleców i z której rozchodziły się czarne prądy.

Nie zabrali go jednak do kuchni, tylko jechali z nim dobry kwadrans przez wzniesienia i jary. Nagle dotarła do niego woń gotowanego kurczaka. Nie byłby w stanie określić, ile czasu upłynęło, zanim jeden z agresorów złapał go za rękę i rzucił na ziemię. Otwarcie oczu było tak trudne, jak podniesienie ciężarówki.

Pierwsze, co zobaczył, to trzech mężczyzn podgrzewających wodę w wysokim na niemal metr naczyniu. Kudłaty typek w poplamionej koszulce podniósł butelkę o fosforyzująco zielonej barwie i wlał jej zawartość do jednego z kontenerów, z którego wystawała ludzka ręka. Nagle zrozumiał, kto to był, co oni tu robią i jaki będzie kres jego życia.

– No, to jeszcze ci.

Dopiero wtedy się zorientował, że obok rzucono jeszcze dwa ciała.

– Co mamy z nimi zrobić?

– To samo, co z resztą. Ale tego tu – wskazał na Treviña – nie ruszaj. Pułkownik sam przyjedzie się pożegnać, tylko skończy kolację.

Kudłaty popatrzył na niego i przytaknął.

– Tego nie ruszać. Mamy czekać na łysego. – Jeden z jego pomocników, który zbliżał się z łopata w ręku, zatrzymał się. Trzeci rechotał i gapił się na byłego policjanta.

Treviño spojrział w drugą stronę i zobaczył grupę dwunastu drzew, które właśnie kwitły. Zaskoczyły go barwy krzewów bugenwilli i konarów złotokapu, z tymi ich wielkimi i gąbczastymi kwiatami w barwie kanarkowej żółci. Prawdziwe uśmiechy pośrodku chaosu. Kwiaty, które istnieją w innym wymiarze, nieświadome otaczającego ich koszmaru.

Kudłaty wysypał z butelki garść pigułek, połknął je i popił coca-colą z puszki. Potem podszedł do Treviña, pchnął go w stronę drzewa i związał mu ręce i nogi linką z tworzywa sztucznego. Następnie wrócił z jednym ze swoich pomocników, któremu podał maczetę.

– Ten do szarej beczki, a tamten do niebieskiej. Ale to za chwilę.

Potem głośno dodał, żeby obaj pomocnicy usłyszeli:

– Trzeba skoczyć po żarcie.

Człowiek czyszczący jedną z beczek wytarł ręce w ubranie i poszedł za tamtymi.

Treviño dostrzegł w pobliżu kawałek metalu, najprawdopodobniej denko od małej puszki. Przykrył je stopą, modląc się, by nikt nie zauważył. Kudłaty spojrział na Treviña, zmarszczył brwi i stanął przed nim. Przez chwilę myślał, że został przyłapany.

– Kto go przypilnuje? – zapytał pomocnik.

– Władcy pustyni – stwierdził kudłaty. – Im nikt się nie wywinie.

Nie gubiąc swojego niekompletnego uśmiechu, grabarz pochylił się nad detektywem i kilka razy trzepnął go w czoło, żeby zwrócić na siebie uwagę.

– Zaraz wracamy – burknął.

I zostawili Treviña przywiązanego do drzewa.

Kiedy tylko przekonał się, że grabarze praktycznie zniknęli z pola widzenia, detektyw wziął kawałek blachy i rozpaczliwie zaczął pocierać o linkę krępującą mu ręce i nogi. Po chwili poczuł, że robi się luźna, i szybko zrzucił ją jak wściekły kot. Chwilę to trwało, ale udało się.

Prąd bólu przeszył mu plecy, kiedy próbował wstać. Musiał przetoczyć się na bok, oprzeć się na łopacie i wziąć kilka głębokich oddechów, zanim wyprostował prawą nogę, a potem lewą.

Oparty o łopatę sprawdził, czy ktoś jest w zasięgu wzroku, i widząc, że nie, zaczął kuśtykać w kierunku przeciwnym niż ten, w którym oddalili się grabarze.

Dobrą wiadomością było to, że w promieniu wielu kilometrów nie było nikogo. Złą zaś, że w tej części pustkowia nie było także skał, drzew czy

jakichkolwiek rozpadlin, w których można by się było schować. Wystarczy, żeby ktoś wrócił na miejsce egzekucji i rozejrzał się wokoło, a już go będą mieli. Niemal tracąc dech z powodu bólu wywoływanego przez zwichnięte żebra, podszedł na szczyt następnego wzgórza.

Wieczne słońce barwiło kamienie na ciepły pomarańczowy kolor. Zrozumiał, że do zapadnięcia zmroku zostało już niewiele czasu i że Pułkownik zaraz ruszy jego tropem.

Wtedy doszedł do krawędzi wzniesienia i spojrzał w dół. Zobaczył tam spory zbiornik wody, zapewne przeznaczony do zarybienia, jakieś trzy metry przed nim.

Woda była jedną z tych rzeczy, których teraz najbardziej potrzebował, toteż zszedł ostrożnie. Doszedł na brzeg, ukląkł na żwirze i pił jak pies, aż do utraty tchu.

Przekonał się, że w pobliżu nie ma nikogo, więc pochylił się, żeby zmyć krew z twarzy. Obmył się i parę razy wypluł na ziemię czerwona ślinę. Potem zdjął z siebie poszarpaną i zakrwawioną szmatę, która kiedyś była jego koszulą, i został w samym podkoszulku bez rękawów. Język miał pokaleczony i był przekonany, że jeśli pociągnie za jeden z zębów, zostanie mu on w ręku.

Nagle wychwycił jakąś zmianę w otoczeniu, jakby wszystkie ptaki na świecie zamilkły, a jego ciało raptownie zeszywniało.

Poczuł dreszcz przemykający mu po karku. Obrócił się i dostrzegł słomkowy kapelusz nad krawędzią skarpy, a pod nim małego człowieczka o spiczastych wąsach i równie ostro zakończonych hiszpańskiej bródce.

Widok tego osobnika niemal przyprawił detektywa o zawał. Jezus Maria, przeleciało mu przez głowę. Człowieczek zaczął schodzić, a Treviño zastanawiał się, co go właściwie tak przeraziło. Jakiś głos w jego głowie podpowiedział mu: to zjawa. Złośliwy chochlik, *chaneque*. I przypomniały mu się bajki z dzieciństwa, w których zawsze przestrzegano, że jeśli znajdziesz się sam nad rzeką albo jakimś zbiornikiem wody, bardzo możliwe, że zjawi się tam jedno z tych niecznych stworzeń, czyhających na bezbronnych ludzi. I jeśli o coś zapyta, trzeba skłamać, w miarę możliwości próbować wywieść go w pole, bo one tylko czekają na okazję, żeby doprowadzić kogoś do zguby. Wystarczy wypowiedzieć przy nim na głos imię osoby, którą kochasz najbardziej na świecie, i ta zaraz ciężko zachoruje albo będzie

mieć śmiertelny wypadek. Pomyślał, że to przecież śmieszne, ale nie mógł opanować drżenia na widok zbliżającego się osobnika.

Inaczej niż u zwykłego karła twarz mężczyzny była szczupła, nie pucułowata, palce miał długie, a ciało harmonijnej budowy. Proporcjonalna sylwetka, tylko w mniejszej skali. Jediną niezwykłą rzeczą były jego ogromne oczy, żółte i podłużne jak u kojota. Reszta ubrań przypominała typowy strój Indian Huasteków: spodnie i koszula z białawego płótna, czerwona chustka przewiązana wokół szyi. Stopy zasłaniała mu trawa i detektyw nie widział, czy przybysz ma na nich pełne buty, czy sandały.

Treviño czuł, że w tym osobniku jest coś niebezpiecznego, ale nie umiał powiedzieć, co właściwie miałyby o tym świadczyć. Broni ewidentnie nie miał, sięgał mu najwyżej do pasa, ale tak czy inaczej, w miarę jak się do niego zbliżał, Treviño czuł, jak krew tężeje mu w żyłach. Czuł, że zaraz zemdleje, a karzełek podszedł do niego i się przywitał.

– Dobry wieczór – odezwał się. – No bo jest już wieczór.

Treviño skinął głową, a człowieczek lustrował go uważnie.

– Pan nie jest stąd... Mogę sobie upić kapkę wody?

Treviño miał od razu odpowiedzieć, że tak, niech pije, ile chce, ale wtedy dostrzegł, jak błyszczą oczy jego rozmówcy. Gdyby nie miał tych prawie czterdziestu lat na karku, gdyby nie był głębokim sceptykiem i człowiekiem doświadczonym przez przeciwności losu, Treviño powiedziałby, że zęby przybysza nagle się wyostrzyły, co wprawilo go w jeszcze większy niepokój. Miał wrażenie, jakby lodowaty wiatr wiał mu w kark, i musiał przełknąć ślinę, zanim zdołał z siebie wydusić:

– Proszę się nie krępować.

Człowieczek posłał mu uśmiech i przyklęknął nad wodą. Pił trzy razy, nabierając wody w złożone dłonie, a na końcu zanurzył kapelusz i oblał sobie głowę.

– Ach, święta woda... – westchnął z zadowoleniem. – I nie tracąc ani chwili, zwrócił się do policjanta: – Tutaj nawet wody mi nie dają. Nawet wody. Kiedyś było tu lepiej. Bo teraz jestem znany tu, na pustkowiu. Nawet niektórzy modlą się do mnie. – Uśmiechnął się.

Treviño bąknął, że rzeczywiście, że kiedyś wszystko wyglądało lepiej i że to bardzo nie w porządku, że nie dają mu wody. Człowieczek uśmiechnął się i przysunął do detektywa.

Strach Treviña wyraźnie sprawiał mu przyjemność.

– Nie, ty nie jesteś stąd. – Karzeł szukał jego spojrzenia. – To nie twoje klimaty. Poczęstowałeś mnie wodą, więc mam obowiązek ci pomóc, ale tylko raz. Przez chwilę. Potem już będę polował i będziesz wiedział, że wszystko, co złe, to moja sprawka. – Zaczepnął powietrza, jakby za czymś węszył, i dodał: – Brama, której szukasz, jest tam, za tym wzgórzem, za tymi drzewkami. Ale weź łopatę, przyda ci się...

Człowieczek pochylił się, chwycił garść ziemi, rozdrobnił ją w lewej dłoni i dmuchnął cztery razy w cztery strony świata, mówiąc:

– Czerwony bracie, czarny bracie i wy, bracia bez imienia, rozstąpcie się, żeby ten człowiek mógł przejść przez nikogo nieukaszony... Teraz – odezwał się do Treviña – idź, zanim zamkną bramę. – A ponieważ detektyw zawahał się, dodał: – Idź. Masz tylko chwilę.

Świadom, że jego życie zależy od rozmowy z tym człowieczkiem, detektyw pokazał mu otwartą dłoń i powiedział:

– Co mogę ci dać, żebyś mi nie szkodził? Wodę już dałem...

Z twarzą poczerwieniałą od hamowanych emocji, niemal drżąc z wysiłku, karzełek prychnął:

– Nie masz niczego, co by mnie interesowało. Jeśli będę chciał ci zaszkodzić, zrobię to... Idź, zanim się wkurzę!

Detektyw jednak nie odpuszczał.

– Co mogę ci dać, żebyś mi nie szkodził?

Purpurowy z wściekłości człowieczek warknął:

– Niczego nie możesz mi dać. Los każdego zależy od niego samego. Jedyne, co możesz, to podarować swój los komuś innemu. – I powiedziawszy to, karzeł szybko zamknął usta, jakby powiedział za dużo, i potrząsał rękoma. – Zmiataj stąd, zanim zamkną bramę.

Myślał, że się przewróci, ale zdołał dotrzeć do wzgórza z łopatą w ręku. Na widok rzędu ciężarówek, stojących przed ogrodzeniem, odzyskał względną lotność umysłu, na ile ją jeszcze miał, i zastanowił się, czy to nie był jakiś podstęp człowieczka. A jeśli czekają tu, żeby go zabić?

Jakichś dziesięciu mężczyzn wyładowywało łopatami żwir z ogromnej wywrotki, przerzucając go do mniejszej.

– Ej, ty! – zawołał do niego jakiś facet z krótkofalówką.

W miarę jak zbliżał się do tamtych, witali go coraz głośniejszym pogwizdywaniem i wyzwiskami. Bluzgali bez ceregieli.

– Te, cwaniak!

– Ale się spieszysz, koleś!

Ciało jakiegoś mężczyzny leżało w ciemnej i rojącej się od much kałuży, ale nikt się tym nie przejmował.

– Co się stało? Przewróciłeś się? – zapytał jedyny facet z pistoletem u boku. Treviño przypomniał sobie plamy krwi na koszuli i przytaknął.

– Ale z ciebie niezdara – zbeształ go tamten.

– Wsiadać! – krzyknął kierowca z szoferki. – Jesteśmy spóźnieni!

Robotnicy po kolei wskakiwali na pakę ciężarówki. Treviño pokuśtykał za nimi i przez chwilę miał pewność, że nigdy mu się to nie uda, ale za jego plecami ktoś pomógł mu popchnięciami. Przykucnął w kącie obok tamtych i patrzył w chmury: na ten niesamowity spektakl błękitu i czerwieni walczących na niebie. Ciężarówka zjechała ze wzniesienia, minęła nieduży sosnowy zagajnik i wyjechała przez drewnianą bramę otwartą przez strażników. A potem ruszyła szosą w stronę miasta.

XVIII

Przez pół godziny szczęście zdawało mu się dopisywać. Trzymał się na uboczu, twarz chował za ramieniem i udawał, że drzemie, podczas gdy ciężarówka podskakiwała na drodze do miasta, byle tylko nie wdawać się w rozmowę z pozostałymi robotnikami. Na ile mógł wywnioskować z wymienianych między nimi zdań, wszyscy pracowali na terenie obozu i znaleźli się w nim w podobny sposób jak on. Mieli teraz przywieźć nowy ładunek z Ciudad Miel i kilku z nich komentowało, że trzeba się będzie streszczać, żeby się załapać na kolację. Treviño usłyszał, dokąd jada, i dosłownie zwinął się w kłębek. Kilka minut po tym, jak wjechali do miasta, ciężarówka zaparkowała w przestronnym magazynie, do którego zmieściła się bez problemów, i nadzorca kazał im zsiadać. Mocno spłoszony typek, być może właściciel tego terenu, drżał na widok przyjezdnych.

– Gdzie jest zamówiony towar?! – krzyknął nadzorca. – To wszystko z listy?!

– Mamy wszystko, proszę pana. Tylko zwiali mi ludzie od załadunku, jak was zobaczyli.

– Nie rznij tu mądrali, tylko gadaj, gdzie to wszystko jest.

Korzystając z chwilowego zamieszania, kiedy kierowca i nadzorca szukali rzeczy, które zamierzali zarekwirować firmie, widząc, że robotnicy czekają na instrukcje przy samochodzie, Treviño wziął żółtą i zaplamioną olejem koszulę z logo firmy na plecach, porzuconą przez kogoś na jednej z magazynowych półek, narzucił ją sobie na ramiona i kuśtykając, wyszedł z pomieszczenia. Skręcił na końcu ulicy, najszybciej jak się dało, i ruszył do sklepu spożywczego. Dokładnie metr od wejścia znajdował się automat telefoniczny, na oko działający. Tam przystanął, żeby złapać oddech. Twarz mu tak napuchła, że lewym okiem ledwie widział. Bolały go żebra i prawe kolano. Po przejściu przez kontrolę w bramie nie miał nawet centava przy duszy. Zastanawiał się, jak zadzwonić do Busa, żeby po niego podjechał, kiedy nagle jakiś starszy człowiek zaparkował swojego przeżartego rdzą lincolna dokładnie przy budce.

Nie podobała mu się taka opcja, ale teraz chodziło o jego życie.

W czasie, jakiego potrzebował staruszek, żeby zaciągnąć ręczny, Treviño wszedł przez okno pasażera i usiadł obok kierowcy.

– Ej, co pan...?!

– Spokojnie i bez krzyków. Jeśli chce pan żyć...

– Ale, ale...

– Cisza. Ruszaj pan i jedziemy na wylotówkę z miasta.

– Nie mam pieniędzy, tylko tyle, żeby...

– Proszę mnie zawieźć do południowego wylotu z miasta. Wie pan, gdzie to?

– Tak, jesteśmy bardzo blisko. Proszę mi nie robić krzywdy... – Facet opowiedział mu, ile ma dzieci i wnuków i że musi je wszystkie wyżywić.

– Panie, nic panu nie będzie, ale teraz już gęba na kłódkę. Skręcamy na tę stację benzynową. – Treviño dostrzegł w oddali hotel.

Wysiadł z auta i powiedział do staruszka:

– Jedź dalej i nie zatrzymuj się.

Odczekał, aż ten ruszy i zniknie z pola widzenia. Wtedy przeszedł przez ulicę.

Kiedy doszedł na parking hotelu, zdał sobie sprawę, że nie pałą się światła. Upewniwszy się, że maverick stoi na miejscu, podszedł do recepcji, żeby poprosić o klucze do pokoju. Z baru wciąż dobiegała muzyka oraz śmiechy kobiet. Inne panienki, ten sam chichot, jakby to była jakaś rzeka, która nigdy nie wysycha. Nagle poczuł, że ktoś wpycha mu coś metalowego na wysokości prawej nerki.

– Nie ruszaj się.

Zastłonili mu twarz czymś w rodzaju kominiarki, ale bez otworów, założyli bardzo ciasne kajdanki i przeszukali, czy nie ma broni. Oszacował, że otoczyły go co najmniej trzy osoby, wyszkolone w bezszelestnym przemieszczaniu się. Wydawało mu się, że za jego plecami ktoś mówi:

– Dawać go.

Typ przytykający mu lufę do ciała musiał być zawodowcem, sądząc po szybkości i pewności, z jaką cofnął broń, a potem przytknął ją do jego prawej skroni.

– Pochyl się.

Wepchnął go do wnętrza przestronnego pojazdu, może jakiegoś starego albo luksusowego samochodu, takiego jak mercedes konsula. Kazali mu

się przesunąć na środek siedzenia, gdzie po lewej stronie ktoś już na niego czekał.

– Spokój albo dostaniesz kulkę...

Usłyszał odgłos uruchamianego silnika i poczuł, że jadą na wstecznym. Zrozumiał, że go nie zabiją, w każdym razie nie tu, i dał się nieść wydarzeniom.

Głos starszego mężczyzny siedzącego przy kierowcy rozkazał:

– Połóż ręce na siedzeniu przed tobą i nawet nie próbuj się wyrwać.

– Po co przyjechałeś i dla kogo pracujesz?

– Jestem handlowcem – powiedział Treviño. – Handluję materiałami budowlanymi.

– Chyba swoją starą. Pracujesz dla Juniora?

– Nie znam go.

– Pracujesz dla Juniora?

– Nie wiem, o kim mowa.

– Jesteś sam?

Ponieważ chwilę nie odpowiadał, ktoś rąbnął go łokciem w twarz.

– Gadaj: sam jesteś?

– Tak. – Podniósł twarz, żeby krew nie ciekła na podłogę, ale zaraz poczuł, że otwiera mu się jakaś świeża rana.

– Jak się nazywasz?

Bez wahania podał pseudonim wymyślony przez konsula:

– Juan Rentería.

Mężczyzna siedzący po jego prawej potwierdził:

– Tak, to ten.

Starszy głos dodał:

– Zmiataj stąd. Jeśli zobaczymy ciebie albo twój samochód w tej okolicy za godzinę, nie będziesz mógł o tym nikomu opowiedzieć. – I zwrócił się do pozostałych: – Wywalcie go stąd.

Walnęli go czymś metalowym w kark, pewnie kolbą rewolweru. W głowie mu rozbłysło i zamgliło się. Ciekawe, pomyślał, nie wiedziałem, że istnieje kolor ciemniejszy od czerni, a potem przestał myśleć.

Kiedy otworzył oczy, chłopak pracujący na recepcji podawał mu ręcznik, żeby wytarł krew. Leżał na plecach w swoim pokoju.

– Jak się pan czuje, szefie? Mamy wezwać lekarza?

Choć głowa bolała go jak nigdy w życiu, odpowiedział, że nie. Kiedy udało mu się usiąść i zapanować nad zawrotami głowy, rozpoznał Busa, który stał obok chłopaka i wpatrywał się w detektywa z taką ciekawością, jakby już uznał go za nieboszczyka. Kiedy chłopak poszedł po więcej lodu, zapytał:

– Co się stało, do cholery? Co jest grane?

Treviño widział jego postać zamazaną. Pewnie była to zasługa ostatniego ciosu.

– Widziałeś ich? – zapytał detektyw. Jego masywny towarzysz pokręcił głową.

– Usłyszałem hałasy w recepcji, wyjrzałem i zobaczyłem cię na podłodze – sapnął Bus. – Zbierajmy się, nie ma co tu sterczeć. To było ostrzeżenie. Tamci goście już wiedzą, że tu jesteśmy.

Tamci goście, pomyślał Treviño. Ale ze mnie kretyn, jak mogłem o tym nie pomyśleć.

– Bus, pożycz mi telefon.

– Co?

– Pożycz telefon. Muszę zadzwonić.

Bus podał mu aparat i detektyw wybrał numer, który znał już na pamięć. Pan de León odebrał po drugim sygnale.

– Treviño?

– Tak, to ja. Bus, dasz mi minutkę?

Busowi się to nie spodobało, ale wyszedł z pokoju.

– Co się stało?! – krzyczał pan de León. – Gdzie pan był przez cały ten czas?! Cały dzień bez wiadomości!

– Przedostałem się do obozu szkoleniowego Nowych.

– Co takiego?

– Pańskiej córki tam nie ma, ale wiem, jak ją znaleźć.

Biznesmen przestał krzyczeć.

– Gdzie jest Cristina?

– Jestem na głośnomówiącym?

– No tak. Jesteśmy tu z żoną i panem konsulem.

– Proszę wyłączyć głośnik.

– Co?

– Wyłączyć.

Biznesmen posłuchał i wtedy detektyw kontynuował:

– Możliwe, że pańskie telefony są na podsłuchu albo ma pan szpicla w najbliższym otoczeniu. Nie mogę podać więcej szczegółów.

– Jak to?

– Nikt nie wiedział, że jadę do Ciudad Miel, a jednak na mnie czekali. Parę minut temu zostałem zaatakowany przez grupę uzbrojonych ludzi i cudem się wywinąłem. To była ewidentna zasadzka, byli przygotowani.

– Czy ona żyje?

– Nie mam pewności. Ale za parę godzin będę wiedział. Na razie muszę iść do lekarza. Jeśli coś mi się stanie, proszę pamiętać o mojej żonie.

Miał się rozłączyć, ale zdał sobie sprawę, że biznesmen nie potwierdził.

– Zgoda?

– Zgoda – przytaknął pan de León. Nie brzmiał zbyt przekonująco.

Widząc, że Bus zagląda przez drzwi, detektyw powiedział:

– Zabierz mnie do szpitala.

Na pierwszy punkt kontrolny natknęli się kawałek dalej. Właśnie przy samym szlabanie zagrażającym wjazd do prywatnej kliniki stała grupka ranczerów przy dwóch furgonetkach i jednym samochodem sportowym z mocno pogniecionymi drzwiami od strony pasażera.

– Jasna cholera...

– Spokojnie – odezwał się Treviño. Ale serce waliło mu jak młot. Czy to na niego polują? – Masz broń?

Zamiast odpowiedzi Bus lewą ręką wyjął swojego gnata z kabury pod pachą i oparł o drzwi pod szybą.

Trzej faceci skrupulatnie przeszukali samochód przed nimi, taksówkę bez oznakowań. Machnęli kierowcy i puścili go dalej. Tymczasem coś zwróciło uwagę Treviña.

– Widzisz tamten czarny samochód? – Wskazał na sportową brykę. – Mam wrażenie, że stał przy naszym mavericku, kiedy wychodziliśmy z hotelu.

– Nie gadaj takich rzeczy, bo zaczynam mieć schizę – odburknął Bus.

Krzepki byczek z włosami krótko wygolonymi po wojskowemu dał im znak latarką, więc zjechali do zaimprovizowanego stanowiska kontroli. Jeden z ranczerów wsadził głowę przez okno pasażera, celując latarką i bronią w Treviña.

– Dokąd to?

– Do kliniki – odpowiedział Treviño. – Zostałem napadnięty. – Bus siedział cicho, tylko gładził się po włosach.

– Jesteście spoza miasta?

– Przyjechaliśmy z La Eternidad. Napadnięto na mnie przy wjeździe do miasta, muszę iść do lekarza.

Facet zażądał papierów i Bus podał mu swój paszport, natomiast Treviño wyjaśnił, że podczas napadu zabrano mu portfel. Fałszywy żołnierz przyjrzał mu się uważnie, przypatrzył się poplamionej olejem koszuli i rozkazał:

– Nie ruszajcie się stąd.

Pokazał paszport Busa koledze, coś tam powiedział półgłosem, a ten z latarką stwierdził:

– Należy się pięćset pesos. Od łebka.

Zapłacili, żołnierz oddał im dokument i dwa razy stuknął w dach samochodu.

Zaparkowali przed napisem „Izba przyjęć” i Bus wysiadł, żeby zadzwonić. Dwie nieufne pielęgniarki siedzące w recepcji wyjrzały przez drzwi, a za nimi kobieta w białym kitlu i ze stetoskopem na szyi. Chwilę trwało, zanim wpuszczono ich do środka. Bus pomógł Treviñowi usiąść na ławce.

– Zostałem napadnięty i uderzony w głowę – powiedział Treviño. – Nie czuję się dobrze.

– Gdzie to się stało?

– Przy wjeździe do miasta.

– Aha. – Wydało mu się, że lekarka i dwie pielęgniarki poblady. – Zaraz się panem zajmą.

Lekarka drżącymi rękami zdjęła kitel i stetoskop i położyła je na ławce przy wyjściu. Następnie pchnęła drzwi i wybiegła na parking.

– Ale... czy pani doktor o czymś zapomniała? – zdziwił się Bus.

Zamiast odpowiedzi obie pielęgniarki zrzuciły swoje kitle, cisnęły je szybko na podłogę i pobiegły za lekarką.

– Ej, siostry! Ej! – zawołał za nimi mężczyzna wyglądający na pielęgniarza.

Bus i Treviño patrzyli przez drzwi, jak wsiadają do samochodu pani doktor, zamykają drzwi niemal w tej samej chwili, w której auto ruszyło z piskiem opon.

– Przecież izba przyjęć jest tutaj – dziwił się Bus. – Gdzie one jadą?

– Ech, żeby to... – Pielęgniarski westchnął głęboko i spojrzał na detektywa. – Do jutra pan nie mógł poczekać?

– Jest ranny, musi go zobaczyć lekarz – parsknął Bus.

Pielęgniarski znów westchnął i poszedł zamknąć drzwi na klucz. Potem przesunął krzesło i wstawił je oparciem pod klamkę, żeby nie dało się otworzyć od zewnątrz. Bus nie spuszczał z niego oczu.

– Wczoraj przywieźli gościa z raną postrzałową do szpitala głównego i wpadło tam komando, żeby go dobić, w samym środku operacji. Zabili też chirurga i jego ekipę. Dlatego dziewczyny są takie nerwowe i uciekły.

Mimo że facet był dość bezceremonialny, Treviñowi to nie przeszkadzało. Po miesiącach życia w ciągłym strachu i niepewności nauczył się, że najmniejszy niepokojący znak jest wystarczającym powodem do nieufności i nie ma się co dziwić, że lekarze mają zszarpane nerwy i obawiają się ataków. Mieszkańcy północy, kiedyś najbardziej łagodni i pokojowi w kraju, stali się nieufni, nerwowi i bali się wdawać nawet w zwykłą rozmowę.

Pielęgniarski wiedział, że nie ma sensu pytać, czy zgłosili to na policję, jako że w mieście od miesięcy żadnej policji nie było.

– Macie kartę kredytową? Nie przyjmujemy tu gotówki. Zajmę się pańskim kolegą, ale niech pan niczego nie kombinuje.

– Proszę się nie obawiać, panie doktorze – uspokoił go Treviño.

Pielęgniarski przytaknął i zaoferował mu wózek.

– Proszę. Ale pański kolega tu poczeka – zagroził drogę Busowi. – Kwestia bezpieczeństwa, wie pan.

– Poczekaj tu – polecił mu Treviño.

Niezbyt przekonany Bus patrzył, jak detektyw odjeżdża na wózku i zamykają się za nim drzwi poczekalni. Prócz niego nie było tu nikogo.

Dwadzieścia minut później zobaczył dwóch lekarzy, którzy wyszli na parking na papierosa. Na jego widok przestali się uśmiechać i zaczęli mówić ciszej. Co chwilę słychać było łoskot przejeżdżających w pobliżu samochodów. Księżyc pokazał się dwa razy i dwa razy schował za chmurami.

Kiedy lekarze skończyli palić, Bus stwierdził: „Starczy już, cholernie tu gorąco”, i dołączył do lekarzy.

– Czego pan sobie życzy? – zapytał jeden z nich.

– Chcę poszukać kolegi. Zawieźli go tam do gabinetu.

– Przykro mi, nie może pan wejść. – Bus był już jednak w korytarzu.

– Proszę pana! – zaprotestował lekarz.

Za trojgiem drzwi znajdowała się mała salka przyjęć. Bus odsunął na bok lekarza i wkroczył do pierwszego pomieszczenia. Było puste.

– Hej, nie ma pan prawa...!

Lekarz próbował zagrozić mu drogę, ale Bus go wyminął.

– Nawet nie próbuj, człowieku.

W drugim pomieszczeniu mogąca mieć z sześćdziesiąt lat pielęgniarka oglądała telewizję. Na widok ochroniarza prawie dostała zawału.

– O Jezu!

A trzeci i ostatni pokój też okazał się pusty. Bus odwrócił się z bardzo nieprzyjazną miną i wpadł na pielęgniarkę, który zabrał Treviña, a teraz wypełniał jakieś formularze na komputerze.

– Gdzie jest mój kumpel?

Pielęgniarka otworzyła szeroko oczy.

– No był tu, w tym pomieszczeniu obok. Już się nim zajęli i powiedziano, że wychodzi.

Widząc, że nikogo tam nie ma, pielęgniarka rozłożyła ręce.

– Słowo daję...

Bus jednak nie czekał na jego wyjaśnienia, bo na ulicy ktoś zaczął krzyczeć. Wydobyl broń i pobiegł przez korytarz aż do drzwi.

Wybuch zmusił go do wycofania się. Odczekał konieczną chwilę, potem obszedł budynek i wrócił pod główne wejście.

Oprócz pielęgniarki i lekarzy, którzy zaczęli wyglądać na zewnątrz, na parkingu nie było żadnych podejrzanych osób ani pojazdów. Bus schował broń, widząc, że on sam wygląda na podejrzanego, i tak stał bez słowa, patrząc, jak płomienie buchają coraz mocniej.

– Dość tego! – krzyknął do niego pielęgniarka. – Nie rozumiesz, że mamy was wszystkich dość?!

Nieliczne przejeżdżające o tej późnej porze samochody zwalniały i przystawały na widok pożaru na parkingu, a potem ruszały dalej. Nie zjawiał się żaden radiowóz ani strażacy. Płomienie otaczały szkielet mavericka i coś, co tkwiło na fotelu pasażera.

XIX

Po niemal godzinnym marszu z miejsca wydarzeń do hotelu, a konkretnie pokoju na drugim piętrze, Bus zamknął za sobą drzwi i rzucił się na łóżko. Był wyczerpany i rozbity, jego krawat był poluzowany, marynarka przewieszona przez ramię, a koszula tak przepocona, że można by ją wyżyć.

Cholera, Treviño, wszystko tak niby wiedziałeś. Ale przecież nikt nie wie, jak skończy. Choć lekarze i pielęgniarze, w obawie, by ogień nie rozprzestrzenił się na klinikę, walczyli z płomieniami za pomocą gaśnic, nie odezwali się do niego nawet jednym uprzejmym słowem, przekonani, że z pewnością para się jakąś formą przestępczości albo że on czy też Treviño mieli jakieś zatargi z bandziorami.

Kiedy lekarze ugasili ogień, strażacy oczywiście w ogóle się nie zjawili, przekonał się na własne oczy, że w mavericku nie było żadnych ciał. Siedzenia, tapicerka i podwozie uległy całkowitemu zwęgleniu, ale w środku nie znajdowały się żadne ludzkie zwłoki. O ile w przypadku aut po wybuchu w ogóle można mówić o czymś takim jak środek.

Bus stał jak wryty przed tym spektaklem płomieni, widz w pierwszym rzędzie. Ten sam pielęgniarz, który nie chciał ich wpuścić, skończył polewać resztki samochodu pianą z kolejnej gaśnicy i teraz ochroniarz miał pewność, że użyto granatów. Wyobrażał sobie, że musiało ich być kilka, acz, rzecz jasna, wystarczy jeden granat zapalający, żeby wysadzić w powietrze takiego gruchota. Bezużyteczny samochód, bez opancerzonej karoserii czy klimatyzacji. Nawet nie chciał myśleć, jak zareaguje pan de León.

Cały Treviño, taki cwaniura, ale jakoś ci nie wyszło i sterczę tu teraz przez ciebie jak kołek. Prawda, facet jest niezły, ale dziewczyny od dwóch dni jakoś znaleźć nie może, no i ataku nawet nie przeczuł. Problem w tym, myślał sobie, że afera z tą panną spadnie mu teraz na głowę. Nie podobała mu się ta perspektywa, bo zapewne pierwsza jego misja będzie polegała na poszukiwaniu ciała detektywa. Nie żeby naprawdę żałował kolegi, tak naprawdę dopiero pod sam koniec zaczął jakoś go tolerować. Zdaniem Busa detektyw powinien był czmychnąć wcześniej. I co teraz, Treviño, cwaniaku? Było w porę brać nogi za pas. A kiedy już poużalał się

nad sobą i nad tą nieprzyjemną pracą, która go czekała, zaczął się zastanawiać, gdzie, do cholery, mogli zabrać detektywa. Jeszcze tego brakuje, żeby mnie posłali za nim między te dwie zwalczające się grupy, jakbym to ja był jakimś detektywem. Przez dłuższą chwilę, na ile potrafił wysilić swoje szare komórki, zastanawiał się, co też mogą teraz wyrabiać z tym nieszczęsnym Treviñem. Wyobraził go sobie leżącego przy południowej szosie, z raną postrzałową na plecach; ze związanymi rękoma i nogami w jakimś budynku na uboczu, zaraz po tym, jak naciągnięto mu na głowę plastikowy worek. A także wyobraził sobie piłę elektryczną zbliżającą się do jego ciała. No nic, sam się o to prosił. Kto mu kazał?

Ponieważ zaraz po wybuchu pan de León nie odbierał telefonu, zadzwonił do konsula, żeby przekazać mu informację o zajściu. Jankes nie chciał uwierzyć.

– Nie ruszaj się stamtąd. Czekać na instrukcje.

Nie zamierzał jednak sterczeć w nieskończoność na ulicy, tym bardziej że przecież napastnicy mogą się dowiedzieć, że Treviño nie działał sam, i zjawią się także po niego. Przez chwilę zastanawiał się nad różnymi możliwościami i ostatecznie wrócił do hotelu.

– Pomoże mi pan zamówić taksówkę? – zapytał pielęgniarza, a ten wywrócił oczami.

– Myśli pan, że po czymś takim ktoś tu podjedzie?

Bus zastanawiał się, co znaczą te słowa, a pielęgniarz naciskał, raz, drugi, trzeci, wajchę gaśnicy.

– Może pan iść pieszo, może też czekać do świtu i pojechać autobusem.

– A nie ma po drodze punktów kontrolnych?

– Nie sądzę, żeby po tym wybuchu ktoś został. Wiedzą, że zaraz zjawią się tu oddziały lądowe albo piechota morska. Pewnie nad ranem, żeby przypadkiem nie natknąć się na sprawców. – I wsadziwszy gaśnicę pod pachę, dodał: – Za pozwoleniem.

A następnie ruszył do szpitala.

Ponad półtorej godziny zajęła mu droga powrotna do hotelu, przemieszczał te swoje sto dwadzieścia pięć kilogramów po najlepiej oświetlonych ulicach miasta. Od czasu do czasu jakaś furgonetka z przyciemnianymi szybami mijała go bardzo blisko i potem przyspieszała, ale nikt nie zatrzymał się, żeby go przesłuchać. Za każdym razem Bus był pewien, że teraz go dopadną. Fakt, że w kaburze pod

pachą miał broń, czynił go z miejsca podejrzanym dla każdej z grup przestępczych. Jeśli ktokolwiek się zatrzyma i go zrewiduje, będzie miał raczej marne szanse, by go puścili. Dlatego wciąż szedł i kiedy ujrzał światła hotelu, odetchnął z ulgą, bo przynajmniej ta część jego odysei dobiegała końca.

Na jego widok recepcjoniście opadła szczęka.

– Co się stało?

Ochroniarz jednak nie odpowiedział.

– Klucz do pokoju – zażądał.

Chłopak podał mu klucz, nie spuszczając z niego oczu.

Bus ruszył do pokoju. Rzucił się na łóżko i znów przeklął detektywa i jego słabość do starych aut. Potem przypomniał sobie, że pan de León bardzo lubił akurat ten samochód, bo jeździł nim w młodości. Jakby za sprawą telepatii biznesmen zadzwonił po pięciu minutach.

– Czym się zajmowałeś, kiedy zwinęli Treviña? Co, do kurwy nędzy, robiłeś?

– Robiłem swoje, szefie...

– Twoje zadanie polegało na pilnowaniu go, bałwanie, bo jak on przypadnie, to wraz z nim szanse na odnalezienie mojej córki. Masz go odszukać. Kto was zaatakował?

– Podejrzewam, że Nowi, szefie.

– Nie wiem jak, ale zaraz masz mi go znaleźć, kurwa twoja mać. Jeśli przypadł na dobre, sam pojedziesz do tego cholernego obozu szukać mojej córki. Czy to jasne?

I rozłączył się, choć Bus wymamrotał jakieś przeprosiny. Stary cap, pomyślał ochroniarz.

To twoja wina, Treviño, zadrećzał się Bus, nie powinieneś był się godzić na tę wyprawę. Poza tym kto zostawiałby taką śliczną kobitkę na plaży, z takim uśmiechem i cynamonową skórą, i tymi jedwabistymi włosami. Kto by taką zostawił? To przez detektywa: on wszystko zaczął. Wszystko, co Bus musiał przez ostatnie dni robić i co zupełnie odciągnęło go od codziennych spraw. Na przykład numer z tą Caterpillar. Jak mogłem dać się tak wpuścić? Dlaczego nie kazałem mu spadać na drzewo? Przypomniał mu się epizod sprzed godzin w Golden Girls. Ta kobieta sunęła całą swoją masą przez korytarz tak, że mógł tylko iść za nią. Przed nimi kroczył kierownik sali z kluczem do pokoju. Kiedy mijali czerwoną lampę, kobieta skojarzyła mu się ze słynnym meksykańskim

bokserem, który zawsze miał złą minę, i poczuł, że chyba jednak nie starczy mu sił. Wie pani co, ja naprawdę bym wolał, żebyśmy pogadali i czegoś się napili, odezwał się do kobiety, jak przyjaciele, nie wolałaby pani? Butelka szampana może? Jednak Caterpillar patrzyła na niego bez litości.

Dopiero po chwili skojarzył, że jego drugi telefon, ten do spraw osobistych, od dobrej chwili wibruje mu w kieszeni. Dostał SMS-a:

PRAWIE NIEMA JUSZ JEDZENIA I WODY WOGULE. KIEDY WRACASZ.

Zdał sobie sprawę, że nie zameldował się od samego rana. Jego kobieta potrzebowała pomocy. Nie ma co się dziwić, że się niepokoiła. Odpisał:

NAPISZ DO SZEFA ŻEBY CI DOWIUZ JEDZENIE. JA WRACAM JUTRO PUŻNO.

Po czym dodał:

MAM NADZIEJE NA ROMANTYCZNYM NOC. BARDZO TĘSKNIE. NIE UWIERZYSZ CO TU SIĘ DZIAŁO.

Spojrzał na zegarek: trzecia trzydzieści nad ranem. Jeśli pan de León naprawdę będzie chciał, żeby przedostał się do obozu szkoleniowego, to chyba stracił rozum. Jego noga nie postanie nawet dziesięć kilometrów od tego miejsca. Jak miałyby przedrzeć się przez potrójne ogrodzenie i ochronę? Już sam wzrost i masa sprawiają, że jak zawsze od razu rzucałby się w oczy. A jemu coś takiego do niczego nie jest potrzebne.

Pomyślał, że nie można wykluczyć, że wobec tego szef wywali go z roboty. Niech spada w cholere, pomyślał. Żeby zgłosić to, co zaszło, jako że przecież w Ciudad Miel nie było już policji, musiałyby jechać – mimo całego ryzyka, jakie niesie taka podróż – do najbliższego miasta i tam złożyć doniesienie, ale najpierw trzeba poczekać, aż wstanie dzień. Na razie był tak wyczerpany, że nie mógł zrobić nawet kroku. Nie liczył na nic specjalnego ze strony policji. Co najwyżej dostanie od nich kopię zgłoszenia zaginięcia, żeby miał co pokazać szefowi. Przy odrobinie szczęścia, pomyślał, dadzą znać, kiedy trafią na ciało Treviña, i to

wszystko. Nie sędzę, żeby ktoś był zainteresowany utrzymaniem go przy życiu.

Nie zdejmując ubrania ani butów, przyciągnął poduszkę i zasłonił sobie nią twarz. Potem wyciągnął rękę i po omacku zgasił światło.

Ból w nogach i członku sprawił, że zbudził się niemal ze skowytem. Rząderek mrówek ucztował na jego ciele. Przypomniawszy sobie, że na łóżku zostały resztki placuszków.

Zrzucił ubranie i strzepał owady, a potem, z pewnym wysiłkiem, uspokoił się. Kiedy jednak znów się położył, stwierdził: „Rzeczywiście ta okolica ma w sobie coś niezwykłego”, i już nie zdołał zasnąć. Leżał tak aż do świtu, a wtedy zadzwonił jego służbowy telefon. To był szef.

– Tak, słucham?

– Wracaj. Porywacze nawiązali kontakt.

I rozłączył się.

Bus zrobił w pamięci obrachunki. Zajęło im to cztery dni, pomyślał, cztery cholerne dni. Najwyższa, kurwa, pora. Ileż można czekać.

Poleżał jeszcze chwilę i zaczął się zastanawiać. A jeśli to nie porywacze, tylko jacyś przebierańcy? Nie można wykluczyć, że po takim czasie wiadomość o porwaniu dziewczyny rozeszła się po ludziach i jakieś cwaniaczki wpadły na pomysł, żeby wykorzystać sytuację.

Wziął prysznic, a potem założył wczorajsze ubranie. W prawej kieszeni spodni wyczuł jakiś przedmiot, sięgnął i wyjął notes. Podczas podróży namawiał Treviña, żeby opowiedział o swoich doświadczeniach zawodowych, a potem w hotelu zrobił trochę notatek, zapisał parę zdań, które chciał zapamiętać. Co on powiedział o pracy detektywa po tym, jak tak na niego naciskał?

– Nie ma wiele do opowiadania. Nie wolno ufać żadnemu świadkowi i nigdy nie należy wychodzić bez broni.

Wszedł do pokoju Treviña, żeby pozbierać jego rzeczy osobiste, i znalazł umowę, którą detektyw podpisał z biznesmenem. Bus był pod wrażeniem ustalonej kwoty. Jasna cholera, źle wybrałem zawód. Jeśli tyle płacą detektywom, to co ja robię, zasuważąc jako kierowca?

Dłuższą chwilę myślał o detektywie i stwierdził, że wszystkie jego wysiłki poszły na marne. Co za gość: gdyby nie był tak dobry w tym, co robił, jeszcze by żył. No ale nic, uśmiechnął się, sam się o to prosił. Jak wrócę, fundnę sobie kilka hamburgerów na jego cześć.

Również o ósmej rano funkcjonariusze policji z El Torito, dziesięć kilometrów od miasta, oznajmili, że oczekują tysiąca pesos za zaświadczenie o zniszczeniu samochodu i zaginięciu kolegi. Bus, zaskoczony, zapytał:

– Tak bez wizji lokalnej?

– A po co? – zdziwił się ten, który wystukiwał raport. – Nie ma jak zdjąć odcisków palców. Masz pan papierek i powodzenia.

A kiedy wychodził, funkcjonariusz stojący przy drzwiach rzucił:

– Fajny ten wąsik, też się tak przytnę.

Cztery godziny później wysiadł z pierwszego autobusu, który jechał do La Eternidad, i zamówił taksówkę, która podwiozła go pod posesję szefa. Koledzy stojący przy bramie od razu zrozumieli, że nie jest dobrze, i otworzyli bez słowa.

– A samochód?

Bus odparował z irytacją:

– Spalony.

Szef, kiedy tylko zobaczył go na schodach, pokiwał z niezadowoleniem głową i przeczytał z grymasem wstrętu na twarzy kserokopię policyjnego zaświadczenia. Zmiał je, nie doczytawszy do końca, i cisnął na podłogę.

– Zawiodłeś mnie, Valentín.

Poczuł chęć odpyskowania szefowi, ale zabrakło mu energii. Był tak zmęczony i zły, że poprosił o dzień wolnego. Musiał iść do domu odpocząć.

– Dwanaście godzin – oświadczył biznesmen. – Jeśli jutro rano cię tu nie będzie, zacznę szukać twojego zastępcy.

– Oczywiście, proszę pana.

– Chwileczkę, jeszcze musimy pogadać. – Jakby nie miał już tego wszystkiego dość, konsul kazał mu usiąść i opowiedzieć o wszystkim ze szczegółami. Kiedy jankes zapytał, czy może go podłączyć do wykrywacza kłamstw, Bus był o krok od obrzucenia go wyzwiskami, ale ostatecznie się zgodził.

Trwało to dobrą godzinę i Bus co chwilę miał wrażenie, że już dłużej nie da rady i zaraz się przewróci. Wreszcie gringo puścił go i mruknął:

– Trzeba było posłać Morena.

Bus kolejny raz tego dnia przeklął w myślach i zapytał, w jaki sposób skontaktowali się z nimi porywacze. Jediną odpowiedzią było skiniecie konsula w stronę Morena, który pokazał mu żółtawą kartkę w plastikowej

koszulce. Trzeba było przyjrzeć się z bliska, żeby dostrzec, że tekst składa się z przyklejonych wycinków z prasy, tworzących cztery linijki:

MAMY CRISTINĘ
NA PLECACH MA ZNAMIE
PRZYGOTUJCIE TRZY MILIONY DOLARÓW
INSTRUKCJE NIEDŁUGO

Załączono tam też polaroidowe zdjęcie dziewczyny. Klęczała na nim w jakimś pomieszczeniu z betonu i próbowała zasłaniać sobie twarz, ale nie było wątpliwości, że to ona. Nikt na świecie nie ma takich oczu ani takiego kształtu twarzy. Zamiast różowej sukienki, którą miała na dyskotece, dali jej białe tenisówki i niebieski, dość luźno wiszący na niej dres.

– Znaleźliśmy ten list w plastikowym worku między gałęziami sosny na patio. Nie wiemy, jak długo tam wisiał – mówił Moreno. – Ten, kto go tu wrzucił, nie znał domu i nie przewidział, że nie zobaczymy tego worka, albo znał bardzo dobrze i wiedział, że to jedyne miejsce na posesji, gdzie nie ma kamer.

– Nie ma żadnych nagrań... niczego nietypowego? – zapytał Bus słabym głosem.

– Nie, nic. – Moreno odebrał mu dowód rzeczowy. – Idź, odpocznij, widzimy się jutro.

Bus zszedł niepewnie po schodach i doczłapał do parkingu, żeby pożyczyć lobo.

Kilka kilometrów od domu zatrzymał się przed wielkim hipermarketem. Przez ostatnie godziny nieustająco ryzykował życie, więc należy mu się godziwa uczta w towarzystwie jego kobiety, nawet jeśli miałby wyczyścić swoją kartę kredytową. Zasłużyłem na to, kurwa wasza mać. Od kiedy wsiadł do autobusu, wysłał swojej partnerce parę SMS-ów, ale ona nie odpowiadała, więc uznał, że pewnie skończyły jej się środki na karcie. I co z tego, stwierdził. Grunt, że żyję, trzeba to uczcić.

Wziął wózek i ruszył prosto w stronę działu spożywczego z takim zapałem, jakby od tego zależało jego życie. Złapał trzy bagietki, paczkę szynki parmeńskiej, kilka porcji sera i dwie butelki francuskiego wina. Dwa pieczone kurczaki, sześć puszek papryczek w occie, dwie paczki kukurydzianych tortilli, trzy paczki czipsów ziemniaczanych w rozmiarze

XXL, a do tego wielka, największa, jaka była, butla sosu tabasco. Już zmierzał do kasy, ale jeszcze zatrzymał się i zawrócił. Dorzucił dwa mrożone torty i trzy pudełka lodów, paczkę mrożonych truskawek i jeszcze jedną z lodami na patyku. Dorzucił buteleczkę Old Spice'a i dwie paczki prezerwatyw. Szkoda, że nie mają tu placuszków kukurydzianych, pomyślał. Jeśli wypatrzę jakiś kramik, kupię z pół kilo. Trzeba uczcić to, że żyję. Najlepsze przede mną.

Przez większą część życia Bus nie miał stałej partnerki. Jeśli odliczyć kobiety lekkich obyczajów, z których usług korzystał regularnie od wczesnej młodości, nie spotkał żadnej dziewczyny zainteresowanej jego ciałem. Dlatego uważał, że dopisało mu szczęście, że mimo różnicy wieku (była od niego starsza o piętnaście lat, ale mimo czterdziestki z hakiem na karku wyglądała na dwudziestkę i miała niesamowite ciało, stworzone do życiowych przyjemności) poznał Niemą. Jedyne problemy polegały na tym, rzecz jasna, że musiała porozumiewać się gestami, robiła specyficzne miny i nie była zbyt urodziwa z twarzy. Bus, który nie stanowił raczej wzoru lojalności, powtarzał sobie, że przy pierwszej okazji wymieni ją na lepszy model, na jakąś młodszą i przede wszystkim ładniejszą, ale na razie dobrze jest, jak jest; zamierzał się zabawić.

Po krótkiej jeździe, podczas której kilka razy oczy same zaczynały mu się zamykać, bo niedostatki snu i podróży dawały się jednak we znaki, zaparkował przed domem Niemej i wyładował zakupy. Miał wprowadzić swoje mieszkanie w centrum miasta, ale kiedy tylko się dało, nocował u swojej dziewczyny, która mieszkała w trypokojowym mieszkaniu w dość specyficznej dzielnicy. Bez wątplenia Bus nigdy wcześniej nie sypiał w tak spokojnym miejscu. Cisza ta miała proste wytłumaczenie. W okolicznych budynkach nikt inny nie mieszkał: wszyscy się wyprowadzili, bo mieli dość ciągłych strzelanin.

Niema będzie zachwycona taką wyzerką. Właśnie pierwszy raz przyniósł jej francuskie wino. Kupił nawet metalowy korkociąg, największy, jaki znalazł. Nie lubił tych składanych otwieraczy, przeznaczonych dla drobnych rączek. Jest co świętować. Moje życie zmieni się teraz na lepsze.

Kiedy otworzył drzwi, nie miał nawet sekundy na reakcję. Zobaczył Niemą mocno związaną za ręce i nogi, siedziała na podłodze. Usta zalepiono jej taśmą, choć nie było to potrzebne.

Chrapliwy, dobrze mu znany głos, zabrzmiał za jego plecami:

– Rączki do góry i na kolana.

Bus natychmiast usłuchał i upuścił siatki na podłogę. Agresor sprawnym ruchem wyrwał jego broń z kabury.

Kiedy tylko mógł, wykręcił szyję do tyłu i zobaczył, że przy drzwiach wejściowych stoi Carlos Treviño. I mierzy do niego z taurusa.

– Treviño... – Bus próbował się podnieść.

– Nie ruszaj się!

Detektyw wziął z pobliskiego stołu kartkę żółtawego papieru, na której ktoś pracowicie powyklejał słowa powycinane z gazety. Bus pobladł jak kreda.

– Jak się domyślasz, znalazłem dziewczynę. Przykro mi, Valentín, ale nie da się wytłumaczyć, dlaczego przebywała u ciebie w mieszkaniu.

Bus poczerwieniał z wściekłości.

– O czym ty gadasz? To dom mojej dziewczyny, nie mój.

Niema wydała z siebie serię mruknięć, ewidentnie bardzo rozgniewana.

– Nie strugaj wariata. Cristina była tu cały czas.

– Nie wiem, o czym mówisz. Nie mam z tym nic wspólnego! Od dwóch tygodni nie widziałem się z moją dziewczyną. Kurde, Renata, w co ty nas wpakowałaś?

Widząc, w jaką stronę to wszystko zmierza i że Treviño nie żartuje, Bus westchnął ciężko i oparł swój ciężar na prawej nodze.

– O co ci, do cholery, chodzi, Treviño? Co ty tu odstawiasz, co?

– Niczego nie próbuj, Bus. Spokojnie. Tylko spokojnie, mówię.

Ale Bus spróbował.

Kula trafiła go w prawe kolano. Detektyw przekonał się jednak, że trzeba więcej niż jednej kuli, nawet dziewięćmilimetrowej, żeby powstrzymać Valentína Bustamante. Dlatego trzy razy rąbnął go w pysk. Bus runął na swoje masywne pośladki, a po czole ciekły mu strużki krwi.

– Starczy już, słyszysz? – huknął detektyw.

XX

Od kiedy Moreno próbował mnie rozbroić na plaży, wiedziałem, że to facet wyćwiczony w zabijaniu, profesję ma wypisaną na gębie. To zawodowy zabójca, może eksplodować w każdej chwili, kiedy będzie to potrzebne. To morderca, ale panuje nad sobą.

Ale ty taki nie jesteś, Bus, choć próbujesz sprawiać takie wrażenie; ubierasz się, mówisz, trenujesz i nosisz broń tak jak twoi koledzy. Są ludzie stworzeni do zabijania oraz tacy, którzy robią to tylko w razie najwyższej konieczności. Moreno to zabójca, który nie zawaha się strzelić. Ty jesteś typem wyrachowanym i cierpliwym, który umie poczekać na odpowiedni moment. Jedyne, co ci dobrze wychodzi, to kłamstwa.

Od kiedy się zjawiłem, nie robisz nic innego, tylko komplikujesz mi śledztwo. Powiedziałeś, że ślady, które widzieliśmy pod dyskoteką, zostały po bardzo drogich oponach, a są to najzwyklejsze gумы, które kupuje każdy meksykański kierowca. Znam ten wzór bieżnika na pamięć, bo sam na takich jeżdżę, a że mieszkam na plaży, to codziennie je widzę na piasku. Powiedziałeś też, że chłopak zgubił guzik od koszuli, tyle że ten guzik należał do mnie. Nie chciałeś, żebym jechał pod dyskotekę ani do kostnicy, żebym nie znalazł dowodów. Nie chciałeś, żebyśmy jechali do Pescadores, żeby ustalić, kto tam zginął. Nie chciałeś też jechać do obozu, bo wiedziałeś, że to bezcelowe, przecież dziewczyny tam nie ma.

Dziewczynę przez cały ten czas miałeś ty, pilnowała jej Niema. Wiem, że nie zamierzałeś jej oddać, bo przecież Cristina by cię wydała. Nie wiem, jak zamierzałeś to przeprowadzić, ale ten wielki sekator na korytarzu i świeżo kupiona łopata w ogrodzie wyglądają niepokojąco. Nie wątpię, że skorzystałeś z nich, żeby pozbyć się zwłok Rekina, gotów jestem się o to założyć. Czekaając na ciebie, zajrzałem do ogródka i widzę świeżo przekopane miejsce. Stawiam dziesięć do jednego, że jeśli wkopiemy się na parę metrów, znajdziemy tam jego ciało.

Muszę przyznać, że zaplanowane to miałeś nieźle. Oczekałeś, aż dziewczyna zwieje z domu, i ruszyłeś za nią. Wszystko miałeś opracowane. Wiedziałeś, że pojedzie do domu narzeczonego, gdzie nie będzie jego rodziców, i wyciągnie go na dyskotekę. Śledziłeś ich w pewnej odległości i czekałeś, aż wejdą. Wtedy posłałeś po Rekina

i chłopaków z Czterdziestki. Wybrałeś Rekina, bo wiedziałeś, że rozpaczliwie potrzebuje kasy, skołowałeś tych trzech z gangu, żeby mu towarzyszyli, i trzymałeś ich w pogotowiu, dopóki Cristina nie przyjechała na parę tygodni do miasta. Kiedy ją porwali, pojechałeś się z nimi spotkać na tym pustym placu w Pescadores, przejąłeś dziewczynę, a ich wykończyłeś. Zabiłeś ich wszystkich, Rekina także, ale tego ostatniego pochowałeś tutaj. Pasowało ci, żeby wszystkie poszlaki prowadziły do niego, żeby oczyścić się z wszelkich podejrzeń. Chciałeś, żeby wszyscy myśleli, że to on wszystko zorganizował, byś mógł spokojnie zainkasować okup i wywinąć się bez żadnych konsekwencji. Tym z gangu naobiecowałeś kupę forsy, ale pewnie przemyślałeś to sobie i postanowiłeś ich zabić. Dlatego ci z Czterdziestki byli tacy wkurzeni. Od kiedy zabiłeś trzech z nich, każdej nocy wyjeżdżali i strzelali w powietrze. Przypominają ci, że masz u nich dług. Wiem to, bo kiedy jechaliśmy do Ciudad Miel, nie chciałeś podwinąć rękawów koszuli: na przedramieniu masz tatuaż. Mogę się założyć, że pochodzi z czasów, kiedy byłeś jednym z nich.

Z początku nie chciałem, żebyś mi towarzyszył, ale kiedy drugi raz upierałeś się, że to Nowi, uznałem, że lepiej mieć cię na oku. Liczyłem na to, że skontaktujesz się ze swoim współnikiem, ale umiałeś się powstrzymać. Problem w tym, że popełniłeś masę błędów. Ludzie Margarita nie mogli wiedzieć, że ukrywam się w kostnicy albo że jadę w samochodzie konsula. Ty im o tym powiedziałeś. Wydałeś mnie, bo czas leciał, ryzyko rosło, a ty nie miałeś jak zainkasować okupu. Musiałeś się mnie szybko pozbyć.

Ostatnim twoim błędem było lanie, które mi spuścili w Ciudad Miel. Kiedy mnie tam zaatakowali, wiedziałem, że to ty. Byłem bardzo ostrożny i nie było szans, żeby Nowi albo Starzy, „tamci goście”, jak ich nazwałeś, dowiedzieli się o mojej obecności. A gdyby się już dowiedzieli, nie puściliby mnie żywego. Tak, tacy jak oni nie postępują w ten sposób, po żadnej z trzech stron. Więc to musiałeś być ty. Siedziałeś w hotelu dostatecznie długo, żeby wszystko zorganizować. Zapłaciłeś swoim koleśiom z Ciudad Miel, żeby mnie nastraszyli.

W tej sytuacji musiałem cię przekonać, że nie żyję, żebyś mnie zaprowadził do dziewczyny, dlatego tu teraz jesteśmy. Zostało mi tylko ustalić, dla kogo pracujesz, ale dowiem się. Teraz załóż sobie te kajdanki. I niczego nie próbuj, będę strzelał, żeby zabić.

Bus uciskał kolano obiema dłońmi, podczas gdy Treviño mówił to wszystko, a potem przez chwilę milczał. Westchnął bardzo ciężko i nagle jego ciałem wstrząsnął szloch. Łzy prawdziwego bólu kogoś, kto miał już wszystko prawie w ręku: trzy miliony dolarów przepadły w jednej chwili. Wciąż ryczał, kiedy kątem oka dostrzegł zbliżające się do niego buty z metalowymi szpicami, należące do Treviña, i wtedy rzucił się na niego.

Pchnięcie wyrzuciło detektywa w powietrze i runął na ścianę przy drzwiach. Dopiero w tej chwili Treviño zrozumiał, ile siły ma jego przeciwnik. Zanim zdążył złapać taurusa, Bus posłał mu pierwszego kopniaka w żebra. Potem podniósł go nad głowę i cisnął rozpaczliwie machającego rękoma detektywa na stół w jadalni, który miał okrągły szklany blat. Upadając, runął na torby z zakupami i stłukł butelki z winem.

Detektyw próbował odzyskać jasność myślenia, kiedy kierowca złapał go za koszulę. Udało mu się posłać trzy ciosy w twarz Busa, ale bez efektów, natomiast ochroniarz przysunął go do ściany lewą ręką i powoli uniósł prawą. Pierwszym ciosem złamał mu nos. Mam cię, gnoju, pomyślał Bus. Po drugim ciosie detektyw nieporadnie mrugał oczami, jak ktoś, kto próbuje się zbudzić. Trzecim rozbił mu łuk brwiowy. Wtedy Bus złapał go oburącz za szyję i podniósł na wysokość oczu. Choć detektyw próbował się bronić, kopiąc, Bus przygniótł go całą masą swojego ciała, aż Treviño stracił jakąkolwiek możliwość ruchu. Bus zamierzał mu rzucić: „Teraz pocierpisz, skurwysynu”, i otworzył usta, ale zdał sobie sprawę, że coś mu w nich zawadza. Więcej nawet: to coś kłuło go w język i nie pozwalało zewrzeć szczęk. Popatrzył na detektywa, który był bliski utraty przytomności, i sięgnął do swoich ust.

Wtedy zrozumiał, że tym, co uniemożliwia mu ich zamknięcie, nie jest wściekłość, tylko korkociąg. Jakimś cudem wbił mu się przed podgardle. Przerażony jak nigdy w życiu, Bus wyrwał go szarpnięciem. Coś jednak poszło nie tak, bo zaraz strumień krwi trysnął na dywan.

Niema ryknęła z nieludzką siłą, widząc, że jej kochanek przegrywa. Próbowała się podnieść, ale została porządnie związana.

Valentín Bustamante, ochroniarz Cristiny de León González, rodem z Parras w stanie Coahuila. Młody mężczyzna aresztowany raz za burdy w miejscu publicznym, był członek gangu Czterdziestka i partner Renaty Hernández zwanej Niemą, puścił Treviña czy też to, co z niego zostało. Staął, oparł się plecami o ścianę, ale nagle nogi przestały go słuchać.

Treviño wstał powolutku i sięgnął dłonią do swojej skroni. Przekonał się wówczas, że plama krwi na podłodze pochodzi nie tylko z ciała ochroniarza. Musiał uderzyć o jakiś ostry przedmiot, może o metalowy kant stołu, zanim roztrzaskał szklany blat. Parę kropli skapnęło na podłogę z jego głowy, dotknął jej czubka w poszukiwaniu rany i poczuł, że krew płynie mu stamtąd obficie. Długo tak nie pociągnę. Kopnął parę razy Busa, przekonał się, ku wściekłości Niemej, że nie reaguje, i pochylił się nad nim. Bardzo ostrożnie, szacując każdy ruch, wsunął mu rękę za poję marynarki i wyjął komórkę. Ostrożnie przejrzał kontakty i wykręcił domowy numer de Leóna. Konsul odebrał po pierwszym sygnale.

– Halo?

– Tu Treviño. Znalazłem Cristinę. Przyślijcie szybko karetkę na ulicę Doctores 25, dzielnica Huasteca. To kwestia życia i śmierci.

Konsul nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał.

– Treviño? Ona żyje? Treviño?

– Pogotowie – popędził go detektyw. – Szybko.

– Jedziemy tam! Trzymaj się!

Niema piorunowała go nienawistnym spojrzeniem i nie przestawała warczeć. Gdyby jej oczy mogły mówić, powtarzałyby: sukinsynu, żebyś się wykrwawił na śmierć. Treviño oparł się o jedyny fotel, jaki stał jeszcze w pomieszczeniu, i przeczołgał się do drugiego pokoju. Jak już się wcześniej przekonał, Cristina leżała tam zamroczone środkami uspokajającymi, nie była w stanie się podnieść, ale mrugała oczami. Widząc go, wymamrotała tylko:

– Pomocy.

I rozplakała się.

Kwadrans później pomoc nadal się nie zjawiała i detektyw czuł, że zaraz zemdleje. Kurwa jego mać, co ten gringo wyprawia? Podał bardzo dokładny adres tej mety. Zmrok jednak zapadał, a konsula ani widu, ani słyhu.

Wreszcie dał się słyszeć pisk hamulców jakiejś furgonetki. Potem jeszcze jednej. Pół minuty później ktoś wyważył drzwi i Treviño zobaczył ni mniej, ni więcej, tylko samego Tuńczyka, podejrzanego typka, który czasami pracował dla policji, a czasami dla gangów. Ostatnim razem, kiedy się widzieli, obaj pracowali dla komisarza Margarita. Na jego widok Cristina zemdlą.

Tuńczyk rzucił okiem na ciało Busa przy wejściu do mieszkania i posłał detektywowi szeroki uśmiech.

– Mój stary kumpel Carlos Treviño. Co za miła niespodzianka, niech to cholera!

A kiedy detektyw ostatnimi resztkami sił próbował podnieść broń, został rozbrojony kopniakiem. Mimo swoich ogromnych rozmiarów Tuńczyk zawsze był od niego szybszy.

– Ach, kochaniutki, właśnie tak zawsze chciałem cię dopaść. *In flagranti* jako porywacza kobiet. – Przez chwilę cieszył się widokiem wykrwawiającego się ekskolegi, a potem znów się uśmiechnął i dodał: – Tym razem zadarłeś z silniejszymi, sprytniejszymi i mocniejszymi, więc teraz się nie wywiniesz. Chciałeś zabrać dziewczynę, ale telefon Busa jest na podsłuchu, szmaciarzu, my niczego nie zostawiamy przypadkowi, więc dowiedzieliśmy się, gdzie jesteś. Teraz dostaniesz za swoje, sukinsynu...

W chwili, w której zamykał oczy, Treviño ujrzał niewyraźnie postać swojej żony na plaży, ale ta wizja szybko się rozplynęła. Jeśli kiedyś jeszcze spotka się z konsulem, zapyta go z pretensją, dlaczego do diabła sądził, że jest w stanie rozwiązać zagadki La Eternidad.

XXI

W swoim ostatnim raporcie na temat stanu bezpieczeństwa w regionie nad Zatoką Meksykańską, podpisanym krótko przed tym, jak poproszono go o rezygnację w listopadzie 2014 roku, konsul Stanów Zjednoczonych w La Eternidad informuje, że udał się na poszukiwanie detektywa Carlosa Treviño do porzuconego domu w dzielnicy Huasteca przy wjeździe do miasta. Pomagał pewnemu małżeństwu, które uzyskało obywatelstwo amerykańskie, w poszukiwaniach córki, także narodowości amerykańskiej. Konsul zapewnia, że stawił się w rzeczonym budynku w towarzystwie kierowcy konsularnego oraz dwóch samochodów z ochroniarzami owego przedsiębiorcy, ale kiedy dotarli na miejsce, drzwi mieszkania zastali otwarte, a w środku liczne ślady zniszczeń. Szybko dostrzegli plamy krwi na podłodze, porozrzucane resztki jedzenia, jakby stoczono tam walkę, a dalej w dwóch pomieszczeniach znaleźli dowody na to, że co najmniej dwie kobiety przebywały w różnych pokojach, co poznać można było po ubraniach w różnych rozmiarach. Niczego więcej nie udało się znaleźć. Na miejscu nie przebywał nikt żywy. Zaskoczony tym, że nie ma tam ani Treviño, ani amerykańskiej obywatelki, konsul, jak raportuje, czekał kilka godzin, lecz nikt się nie zjawił. Konsul zapewnia, że polecił swoim towarzyszą, by przeparkowali samochody dalej i potem wrócili do mieszkania, niczego nie ruszając, żeby zostawili drzwi otwarte, tak jak je zastali na początku, bo zrozumiał, że wszystko przepadło.

Jak można wyczytać w raporcie, zostawił na miejscu ochroniarzy i kazał kierowcy zawieźć się do domu. Przejechali obok budynków uniwersytetu, od miesięcy świecących pustkami, potem rozejrzał po stacji benzynowej i okolicznych pustkowiach, a następnie, kiedy mijali miejski lunapark, konsul podskoczył na siedzeniu ze zdziwienia i kazał kierowcy się zatrzymać. Wysiadł z samochodu i podszedł do podupadłych metalowych instalacji. Obok karuzeli i zderzających się samochodzików para rodziców z trzema córkami wspinała się na zmalretowane diabelskie koło. Byli jedynymi klientami, ale obsługa lunaparku zgodziła się uruchomić maszynę. Konsul dobrą chwilę siedział przed kołem, patrząc na kręcące się tam i z powrotem kabiny i na rozbawione dzieci:

jedyne roześmiane i radosne osoby, jakie po raz pierwszy od dawna widział w La Eternidad. Przez cały ten czas dzwonił jego telefon, ale konsul spojrział tylko na ekran i nie odebrał.

Część druga
Komendant Margarito i rozmowa w ciemności

I

Nie obudziło go morze ciskające falami o brzeg ani przenikliwe żółte światło latarni, która rzekomo czyniła ulicę bezpieczniejszą. Impreza po drugiej stronie zatoki dogasała, a nad plażą unosiła się męcząca cisza. Obudził go niepokój, więc wstał i wyjrzał przez okno.

Przestało padać, to zapowiadało poranną mgłę. Zaskoczyło go, jak wyraźnie widać gwiazdy: konstelacja Strzelca znajdowała się bezpośrednio nad jego głową, a szkarłatny księżyc odcinał się wyraźnie na tle mrocznego nieba. Przez chwilę miał wrażenie, że to słońce weszło z niewłaściwej strony, ale zaraz załapał, że ta czerwona kula to księżyc, tego dnia krwisty. Poczuł, że włosy stają mu dęba.

Zastanowił się, kiedy ostatni raz widział taki księżyc. Ile lat temu? Dziesięć, dwanaście? Takich wizji się nie zapomina. Poprzednim razem towarzyszyła śmierci policjanta, od którego wszystkiego się nauczył, i ten omen go zaniepokoił. Pomyślał o problemach na komendzie, którą teraz dowodził. O człowieku, który przysiągł, że go zabije; stopniowo zdawał sobie sprawę, że jakiś dziwny lęk chwycił go w swoje kleszcze. Powiedział sobie: księżyc świeci, jestem komendantem, mam sześćdziesiąt lat, chcą mnie zabić.

Kiedy księżyc zniknął całkowicie, mężczyzna zaczął gapić się w gwiazdy, ale nie udawało mu się znaleźć ani Wielkiej Niedźwiedzicy, ani Gwiazdy Polarnej, które od wieków przynosiły ukojenie bezsennym. W ich miejscu tkwił tylko czuwający Strzelec, z uporem wskazujący jakiś punkt w La Eternidad.

Nie przyszedł jeszcze na ten świat żaden policjant, który umiałby czytać z gwiazd.

II

Jak każdy policjant w tym mieście, szybko nauczył się rozróżniać rodzaje pogróżek. Prawda, że przez jakiś czas uważał, że musi jeździć z kierowcami i eskortą, i nigdy nie rozstawał się z nieregulaminową bronią, którą nabył na własny rachunek, jak wszyscy funkcjonariusze z komendy, bo ratusz nigdy nie miał środków na takie wydatki. Potem jednak uznał, że takie rzeczy są kwestią przypadku, jak nieprzewidywalne huragany. Nigdy nie kazał opancerzyć swojego auta ani nie nosił kamizelki kuloodpornej. Kiedy trafił na komendę, dwadzieścia dziewięć lat temu, policjanci nosili się po cywilnemu, sami musieli zdobywać odzież i broń, przez co każdy funkcjonariusz na służbie wyglądał jak żebrak. Dlatego mianowanie go na stanowisko okazało się wyjątkowym zrządzeniem losu. Choć nikomu nie podobał się jego styl, to właśnie on, najbrutalniejszy ze wszystkich komendantów, skorumpowany sadysta, co własną matkę potrafił porzucić na łożu śmierci, zdołał ostatecznie zmodernizować swoją jednostkę, co oznaczało zakup mundurów, broni, mebli biurowych, a nawet samochodów, bo dotąd jedynym wozem patrolowym był stary jeep willys. Pewnie, że był to samochód jedyny w swoim rodzaju, komendant czuł się jak John Wayne, kiedy prowadził go po raz pierwszy, ale rozkraczał się co dwadzieścia kilometrów, więc całe szczęście, że miasto nie było duże, bo trudno było polegać na takim gruchocie. Inna sprawa, że nigdy wcześniej pościgi nie były potrzebne: złodzieje zajmowali się głównie bydłem, po udanym skoku chowali się na swoich ranczach i mogłeś mówić o szczęściu, jeśli zdążyłeś tam, zanim zjedli skradzioną krowę w całości. Czasami zdarzali się wypatrujący okazji włamywacze, czujne oczy w ciemności, zabłąkani włóczędzy z wielkich miast, gotowi zwinąć wszystko, co tylko da się zastawić w lombardzie. Sporadycznie naćpana i zrozpaczona prostytutka, siejąca zgorszenie w miejscach publicznych, acz w takich przypadkach nie tyle się taką aresztowało i zamykało, co raczej szukało jej alfonsa, żeby ją zabrał i zmusił do spokojniejszego zachowania. Częściej trafiali się złodzieje sklepowi, którzy kradli, ale bez stosowania przemocy, odwracając uwagę sprzedawców, oraz kieszonkowcy pochodzący z innych miast, którzy nawiedzali La Eternidad podczas karnawału i ferii

świętecznych; tak to wszystko wyglądało, kiedy zaczynał swoją karierę. Przemysłowcy i handlarze narkotykami? On ich tu nie ściągnął ani nie zaprosił, wbrew temu, co czasem zarzuca mu prasa. Ściągnęła tu ich prosperity miasta, przeżyli swój boom w latach siedemdziesiątych, a w osiemdziesiątych umocnili się, ale byli zawsze i nigdy nie znikną, to mógł powiedzieć na pewno, bo wielu takich ludzi poznał. Są jak od sztancy. Za każdym razem wszystko zaczynało się i kończyło w jakiejś uboższej dzielnicy, takiej jak Los Coquitos, w samym jej centrum albo na obrzeżach, gdzie do każdego przestępstwa łatwo znaleźć odpowiedniego winnego: nieważne, czy jego wina jest prawdziwa, czy nie, aktualna czy przedawniona. I miał na to dowody. Był przecież „El Imparcial de La Sierra”, dziennik, który przez trzy dekady na czterech stronach swojego działu kryminalnego opisywał wyczyny jego i kolegów. Napady na banki, dilerzy trawki, szaleni ćpuni, ten wariat, który kroił ludzi piłą elektryczną, wszyscy oni zjawili się później, w ciągu ostatnich sześciu, siedmiu lat. Dawniej nie było żadnych porwań, strzelanin, problemów jak teraz. Kto by sobie trzydzieści lat temu wyobrażał, że La Eternidad tak się zmieni?

Od kiedy pamięta, zawsze chciał być policjantem, i to życzenie się spełniło. Czego komendant Margarito nie mógł przewidzieć, to tego, że pracę policjanta w tym mieście będzie można porównać do samotnego wiosłowania prosto w oko huraganu. A czasami huragan sam do ciebie dzwoni i wydaje polecenia albo ostrzega: „Zaraz tam będę”; właśnie coś takiego spotkało go poprzedniego wieczora.

Dzień, w którym mieli go zwolnić, był jednym z tych szarych dni, kiedy niebo zlewa się z morzem, kiedy wiadomo, że gdzieś w oddali przewala się burza, bo zza mgły słychać grzmoty, kiedy wydaje się, że gdzieś bardzo daleko wybuchła jakaś bomba. To był dławiący dzień, nieznośny, jak w środku garnka ciśnieniowego: ledwie wyjdiesz spod prysznica, zalewasz się potem. Po bezlitosnym tygodniu, podczas którego ani jedna chmurka nie raczyła przemknąć przez niebo nad La Eternidad, a miejscowi oraz nieliczni rozkojarzeni turyści uznawali, że między dwunastą w południe a szóstą wieczorem lepiej nie wyściubiać nosa z cienia, taka burza jak ta wczorajsza stanowiła prawdziwe błogosławieństwo. Taki gniewny olbrzym o tysiącu ramion, który obalił trzy palmy przy głównej alei i nie przestał, dopóki nie zalał każdej dzielnicy robotniczej, każdej osady rybackiej, każdego prowizorycznego

osiedla. Przy słońcu tak przypiekającym jak tego lata miasto do końca dnia musiało niechybnie zmienić się w saunę. Jest różnica, pomyślał. Lata temu, w dniu, kiedy obejmował funkcję, świeciło jasne słońce, niebo było nieskazitelnie niebieskie, a od morza wiała bryza. Teraz intensywność mgły i upał potęgowały jego niepokój.

Kiedy skończył swoje zwyczajowe śniadanie (dwa czarne napoje: kawa i coca-cola), nadal zastanawiał się, kto dzwonił do niego wczoraj z pogrózkami: „Jak go dorwę, to go wykończę, tego cwela”. Bardzo niewiele osób znało jego numer, zarezerwowany był dla ludzi zaufanych, współników nielegalnych działań, paru kapusiów i jednego dowódcy wojskowego... Byłą żonę i syna miał w oficjalnym telefonie, przez który załatwiał wszystkie sprawy służbowe, choć jego eks dzwoniła tylko po to, żeby puścić mu wiązanekę, a syn nigdy nie odbierał.

Zapalił drugiego tego dnia papierosa i poczuł, że drżą mu ręce. Nie zdołał zasnąć. Jego umysł uczepił się tej telefonicznej groźby i niepokojów związanych z dymisją. Jak się ten ktoś wyraził? „Kule mają wypisane twoje nazwisko”.

Wychodził z biura, wydając ostatnie pilne dyspozycje i zegnając się z zaufanymi współpracownikami, którzy byli z nim od początku. Tylko Chudy, z własnej inicjatywy, postanowił asekurować go w drodze na plażę. Bardziej sympatyczny gest niż rzeczywista potrzeba.

Telefon zadzwonił w środku ulewy, kiedy był na szosie prowadzącej ku morzu. Wnętrze jego pikapa wyładowane było pudłami z osobistymi rzeczami, a zareagował dopiero po chwili, bo prowadził. Chudy jechał towarowym nissanem estaquitas parę metrów za nim. Kiedy dzwonek powtórzył się z sześć razy, komendant zauważył, że na ekranie wyświetla się „numer nieznany”, i wbrew zwyczajom wypracowanym przez trzy dekady roboty w branży odebrał.

– Słucham?

– Zginiesz.

Jak każdy na jego miejscu, zareagował dopiero po chwili. Nie codziennie grożą ci śmiercią. Nawet komuś takiemu jak on. Na palcach jednej ręki mógł zliczyć przypadki, kiedy ktoś odważył się otwarcie mu grozić. Kiedyś zrobił to ochroniarz pana Valentína, kiedy złapali go na handlu amfetaminą bez zgody miejscowych hurtowników. Margarito rzucił polecenie swoim podwładnym: „Puście go!”, i osobiście wybił mu zęby, sam, trzema prawymi prostymi i kilkoma dobrze wymierzonymi

kopniakami. Wtedy złapał go za koszulę: „Powtórz to jeszcze raz, kolego, a zakopię cię żywcem na plaży”. Może wieść się rozeszła, bo taka sytuacja już się nie powtórzyła. Ludzie, z którymi miał do czynienia, działali otwarcie i uczciwie, a jeśli coś im nie pasowało, mówili o tym wprost albo przystępowali do działań, wcale ich nie zapowiadając. Prawda, że od lat siedemdziesiątych, przede wszystkim przez wzrost konsumpcji marihuany, często zdarzały się na komendzie telefoniczne kawały, szczególnie pod koniec tygodnia, kiedy co mniej rozgarnięte szczyły z okolicy za dużo wypiły albo wypaliły. Ale to był prywatny numer Margarita, zarezerwowany dla ciemnych interesów, i bardzo niewielu go miało. Toteż zwolnił i zapytał:

– Z kim rozmawiam?

Wtedy głos dodał:

– Kule mają wypisane twoje nazwisko. Już lecą do ciebie.

Usłyszał dźwięk, jakby ktoś potarł słuchawką po piasku albo żwirze, i połączenie zostało zerwane.

Zwalniał stopniowo, aż całkiem zatrzymał samochód na poboczu pod palmami. Na szosie nie było widać żywej duszy.

Jego pierwsze myśli rozprysły się raptownie, kiedy Chudy Ibarra zastukał kilka razy kluczykami swojego samochodu w szybę auta Margarita. Komendant dopiero po chwili zrozumiał, że to jego ochroniarz, i opuścił szybę.

– Zgasł panu?

– Co?

– Zgasł panu silnik?

Chudy był kompletnie przemoczony przez lejący deszcz, choć próbował chować głowę pod plastikową rozciągniętą torebką służącą mu za kaptur.

– A nie. Musiałem odebrać telefon, daj mi chwilkę.

Ponieważ Chudy nadal sterczał w miejscu, dorzucił:

– Wracaj do samochodu.

Pieprzony Ibarra, akurat teraz musi odstawiać strasznie uczynnego.

Głos wydawał mu się znajomy, ale raczej nie należał do żadnego z jego kontaktów w grupach bezlitośnie walczących o władzę nad miastem. Choć bardzo wysiłał pamięć, nie mógł skojarzyć niczego, co mogłoby ich zirytować. Wszystko szło swoim rytmem już od miesiący. Dwie grupy uzbrojone po zęby, obie gotowe roznieść rywala na strzępy, a między nimi Czterdziestka, niekwestionowany właściciel dzielnicy Pescadores.

Jedyne, co się zmieniało, to liczba ofiar. On jednak miał jasne instrukcje, żeby się nie mieszać i ograniczać do zbierania ciał.

Czy popełniłem jakiś błąd? W ciągu ostatnich dni aresztował tylko trzech członków gangu, którzy uporczywie handlowali narkotykami na nadmorskim deptaku, wkraczając na jego teren, lecz ten głos nie pasował mu do sytuacji. Nie, dla nich to by było za wiele, pomyślał. To był głos kogoś za dobrze wykształconego jak na Cztery Zero. Przypominała mu się twarz tego szczyła, który przejął władzę nad najstarszą organizacją przestępczą w mieście, i Pułkownika Śmierć mieszkającego teraz w La Eternidad. Wkurzyłem któregoś z nich? Z tymi dwoma nigdy nie wiadomo, pakują w siebie tyle dragów, że trudno komuś takiemu zaufać. Nie byłoby nic dziwnego w tym, że Pułkownik może próbować pozbyć się takiego współpracownika jak on, bo za dużo wie. Tyle że on nie jest z tych, co uprzedzają o swoich planach. Poza tym Margarito wiedział, że nawet kiedy odejdzie ze stanowiska, nadal będzie użyteczny dla walczących grup. Nie bez przyczyny jego chrześniak zasugerował, że czeka na niego miejsce w ich szeregach, zgodnie z życzeniem założyciela tej grupy, jego starego kumpla Obregóna, który tak marnie skończył. Jak by nie było, myślał komendant, nie mogę zostawić tej groźby jak gdyby nigdy nic, muszę ustalić, kto dzwonił. Jak tylko odejdę ze służby, niejeden będzie się wyrывał, żeby wyrównać ze mną rachunki. Nowa administracja jasno postawiła sprawę, że nie ma co liczyć na ich pomoc. Każdy ma jakiegoś trupa w szafie, sęk w tym, że szafa Margarita była naprawdę obszerna. Przez tyle lat kariery wielu ludzi mogło mieć do niego pretensje i teraz wszyscy czekali na rewanż. No ale jak inaczej miał wykonywać swoją pracę? Policjant, który na dzień dobry nie rąbnie klienta w pysk, to żaden policjant.

Na samą myśl o tym, co go czeka, czuł przypływ zniechęcenia. Miał sześćdziesiąt lat, mieli go wysłać na emeryturę, przymusową, bo należał do komendantów o najgorszej sławie w całym kraju. Nawet w piekle nie dadzą mu drugiej szansy. Dlatego musiał porozmawiać z tym, który ma go zastąpić.

Jakby widmo zwolnienia i groźby śmierci to było za mało, krążyła też plotka, że to on sam, a nie żadni przestępcy, uprowadził w zeszłym tygodniu córkę pana de Leóna i zażądał okupu. Jak mawiał Elías, takie plotki mogą zaszkodzić nawet dżentelmenowi. Za każdym razem kiedy

podobne bzdury przychodziły mu do głowy, komendant powtarzał sobie: to już jest ta cholerna wisienka na torcie.

Pomyślał, że nie byłoby złym pomysłem wyjechać i na jakiś czas zamieszkać w zupełnie innym miejscu. Przy odrobinie szczęścia może uda mu się przekonać syna, żeby mu użyczył swojego mieszkania w Kanadzie, póki sprawy nie ucichną. Poza tym, o ile dobrze pamiętał, nie wymagano tam wiz ani nie istniały żadne umowy o ekstradycji z Meksykiem.

Teraz, kiedy jego kariera zmierzała ku końcowi, poważnie zastanawiał się, co ma dalej zrobić ze swoim życiem. Zostawało mu niewiele możliwości. Wyobrażał sobie, że ryzykuje swoje mocno uszczuplone oszczędności w uczciwych interesach, w których nietrudno o porażkę, bo zawsze był z niego kiepski administrator. Wyobrażał sobie, że wpada w kłopoty, bankrutuje, pracuje jako szofer dla swoich dawnych wspólników, jako ochroniarz dla jakichś szemranych typów. Wyobrażał sobie, że trafia za kratki, gdzie za długo by nie pociągnął. Wyobrażał sobie, jak go katują, dźgają nożami, tną na kawałki – robota tych, na których kiedyś polował. Wyobrażał sobie swoją nieodległą przyszłość i wcale mu się nie podobała. Dlatego tak ważny był ten as, który pozostał mu w rękawie. Interes ryzykowny, ale być może zbawczy. Najpierw jednak musiał zjednać sobie swojego następcę.

Odstawił kawę na stolik przy oknie i spojrzął na dwie paczki przewiązane waniliowymi wstążkami, ułożone obok regału. Przez lata powtarzał sobie, że te archiwa, przede wszystkim niektóre dokumenty z podpisami i nazwiskami wciąż aktywnych polityków, będą stanowić jego polisę na życie. Komendant osobiście przyniósł je ze swojego auta wczoraj wieczorem, myśląc zarazem, że niebawem podobne środki ostrożności nie będą już potrzebne. Znał swoich wrogów we władzach miejskich, więc spodziewał się, że będą chcieli go aresztować parę godzin po jego odejściu ze stanowiska. Tak samo, rozumował, bardzo możliwe jest, że ta porwana nagle się objawi i zwałą winę na mnie. Uroczystość, która miała się odbyć za parę godzin, stanie się pierwszą manifestacją przeciwko niemu, wstępem do linczu na nim.

Nowa seria kropel potu wykwitła na jego czole, przez co poznał, że znalazł się poza nawiewem klimatyzacji. Jeśli nie chce w minutę cały spłynąć potem, będzie musiał szybko wyskoczyć z jednego klimatyzowanego wnętrza do drugiego.

Podszedł do stolika przy drzwiach i sprawdził rzeczy, które zwykle nosił przy pasku: breloczek, ciemne okulary, oba telefony komórkowe, czarną kaburę i swój szczęśliwy nóż. Założył na głowę ulubiony słomkowy kapelusz i tuż przed wyjściem rzucił okiem na mokasyny, które lata temu podarowała mu była żona, a on z trudnego do określenia powodu trzymał je nadal w szafce. Odnosił wrażenie, że skromna elegancja mokasynów, stosowniejsza dla dentysty albo księgowego, gryzie się z jego koszulą i džinsami. On, który aż do pójścia do szkoły cały czas biegał boso, a w podstawówce ganiał w prowizorycznych sandałach, pierwsze prawdziwe buty dostał w wieku dwunastu lat i od tego czasu nigdy nie chodził w niczym innym. Takie mokasyny były dla niego przejawem hipokryzji, niemal oszustwem. Tyle że całe moje życie to jedno wielkie oszustwo, pomyślał i postanowił, że w nich właśnie wyjdzie, żeby je zużyć.

Nie pamiętał tak gęstej mgły, ledwie dało się dostrzec koniec ulicy. Kiedy już miał otworzyć drzwi swojego pikapa, usłyszał dziwny hałas dobiegający z za palm za jego plecami. Czarne ptaszysko, Bóg raczy wiedzieć jakiego gatunku, wyłoniło się z za zarośli, zamachało skrzydłami w powietrzu i po kilku machnięciach znów przepadło we mgle. Sowa, pomyślał. Choć widywał je od najdawniejszego dzieciństwa, kiedy mieszkali z matką na ranczu głęboko w górach, nigdy wcześniej widok tego ptaka nie wywołał w nim lęku. Cholerne bydlę, ale mnie nastraszyło. Szybciej niż błyskawica przeszła go myśl: ci, co mnie szukają, już mnie znaleźli, tutaj mnie zabijają. Ale był to tylko straszliwy krzyk sowy. Ta niezbyt obszerna część jego mózgu, która przetrwała zarywane noce, przejścia i stresy życia na stanowisku komendanta przez niemal trzydzieści lat, wydusiła z siebie jedyną tego ranka w miarę głęboką myśl i Margarito pojął, dlaczego owe ptaki od tylu wieków wzbudzały strach, dlaczego dźwięk ich głosów w ciemności paraliżuje lękiem. To tak, jakby ludzie przez tysiące czy miliony lat byli myszami i nie zdołali jeszcze przezwyciężyć strachu wywoływanego przez ptaki. Wtedy wsiadł do auta i pomyślał: to była sowa, mam rozstrojone nerwy, zwykła sowa, czas jechać.

Kilka sekund później pikap cheyenne z podwójną kabiną, kupiony za pieniądze dostarczone przez jedną z działających w mieście grup przestępczych, wyjechał z garażu i skierował się prosto w oko cyklonu.

W skład nielicznego majątku, który pozostał mu po tym, jak złupili go Nowi, wchodziły jego dwa mieszkania: to w starym budynku w centrum miasta i apartament przy plaży, który uważał za perłę w swej koronie, choć wciąż nie został ukończony i nieczęsto tam zaglądał. Na szczęście nie zarejestrował go na swoje nazwisko. Nigdy nie zapomni dnia, kiedy zjawili się u niego Nowi. Banda sukinsynów, myślał, tyle zasuwałem przez całe życie, a oni się zjawiają i zabierają wszystko. Margarito pojechał obejrzeć dwa bezgłowe ciała znalezione na obrzeżach miasta, które mocno go zaskoczyły: nikt tak nie załatwiał swoich porachunków. Zidentyfikowanie ich musiało wymagać czasu, ponieważ rejestr daktyloskopijny komendy był tak marny, że zakrawał wręcz na kpinę. Komendant przyglądał się scenie zbrodni, kiedy nagle jeden z rzeczoznawców zawołał: „Alarm, szefie, alarm, alarm!”, i zobaczyli karawanę składającą się z pięciu białych furgonetek pędzących uliczkami. W miarę jak się zbliżały, przekonywał się, że nie należą do gubernatora. Kiedy pierwsi faceci z długą bronią wysiedli z samochodów i z całą bezczelnością wzięli go na muszkę, jakby byli panami jego życia i śmierci, bardzo uważnie przyjrzał się ich ubiorowi i broni. Wtedy jeszcze strzelaniny nie zdarzały się tak często, toteż dopóki w niego nie wycelowali, nie zdawał sobie sprawy, co mu grozi. Pierwsze, co wtedy pomyślał, to to, że wybiła jego godzina i że to wojsko wysłane, żeby go aresztować za korupcję. Pewnie była jakaś zmiana priorytetów w polityce stanowej, jakiś mój wróg dorwał się do wyższego stanowiska, a ja się nie zorientowałem. Kiedy tak przyglądał się przybyszom, szybko zdał sobie sprawę, że żaden mundurowy w służbie meksykańskiej armii nie nosiłby wąsików jak tirowiec, baczków czy hiszpańskiej bródki.

– Kogo szukacie?

– Komendancie González, niech pan wsiada! – zawołał do niego głos z wnętrza jednego z aut. – Zrobimy sobie kółeczko.

Był tak zaskoczony, że nawet nie próbował stawiać oporu, kiedy odebrali mu broń.

Samochód, do którego go wsadzili, musiał być świeżym zakupem, o ile był to zakup. Skóra wciąż pachniała fabryczną nowością, fotele ustawione były naprzeciwko siebie, a pośrodku znajdował się minibarek. Na jednym z siedzeń rozwalił się łysawy gość z gęstym wąsem, ubrany w garnitur i z czarnym kowbojskim kapeluszem spoczywającym obok, który odezwał się:

– Pan siada, komendancie. Wie pan, kim jestem?

Margarito wskazał na ulicę.

– Tym, co mi zostawił te trupy?

– Otóż to. Jestem nowym szefem tego terenu – oświadczył ów osobnik.

– Musimy pogadać.

– Słucham.

– Sprawy mają się bardzo prosto, komendancie. Ty robisz interesy z synem pana Obregóna. Ja nie. Albo pracujesz z nami, albo jesteś przeciw nam. Zważywszy na twoje stanowisko, musisz się zdecydować. Albo w jedną, albo w drugą. Jeśli dotąd tolerowaliśmy twoją obecność, to dlatego, że nie sprawiała nam kłopotów w myśl zasady: żyj i pozwól żyć innym. Póki my siedzimy w cieniu, nie wadzisz nam. Ale to się już skończyło. Teraz idziemy po wszystko. Teraz my tu rządzymy.

Margarito przyjrzał mu się bardzo uważnie, ale twarz nie wydała mu się znajoma. Przemawiał jak wojskowy, a jego ruchy kojarzyły się z musztrą, ale miał na sobie bardzo drogie ubranie kupione na granicy, na jakie żaden żołnierz by sobie nie pozwolił.

– Pan Obregón i jego syn są już na wylocie. Albo będą negocjować, albo kula w łeb. My tymczasem będziemy odbierać długi od miejscowych przedsiębiorców, sam pan wie, kogo mam na myśli. Jeśli wydaje im się, że kasę, którą my wypracowaliśmy, a oni tylko jej pilnowali, zatrzymają sobie dzięki temu, że armia parę tygodni temu zabiła naszego głównodowodzącego, to rychło zmienią zdanie. I żeby było jasne, kto tu teraz rządzi, zaczniemy od pana.

– O czym pan mówi? – zapytał Margarito.

– Wiemy, że trzymacie z Obregónem sztamę. Dostajesz pan pięć tysięcy dolarów na miesiąc za współpracę z nimi.

Była to prawda. Kiedy jego kumpel poważnie zajął się interesem, wezwał go i powiedział: „Skoro płacę wszystkim celnikom i wszystkim federalnym, którzy kręcą się od granicy aż potąd, żeby ze mną współpracowali, dlaczego nie miałbym płacić i tobie, skoro tak wiele ci zawdzięczam?”.

Pułkownik pchnął stopą niebieską przenośną lodówkę.

– Otwórz.

Jeden z typów, który przysiadł obok komendanta, szturchnął go łufą pod żebra, więc Margarito pochylił się nad chłodziarką.

W jej wnętrzu znajdowały się dwie głowy jego znajomych: Antonia Gallego i Roquego Linaresa, którzy pracowali dla pana Obregóna jako dilerzy na dyskotekach.

– Nie chcieli z nami współpracować.

Pułkownik zamknął lodówkę jednym kopniakiem.

– Pięć tysięcy dolarów miesięcznie przez ostatnie piętnaście lat daje razem dziewięćset tysięcy dolarów. Jako że z połowę mogłeś wydać i wybudowałeś sobie mieszkanie w centrum, chcemy mieszkanie oraz czterysta tysięcy gotówką, za co darujemy życie tobie, twojej żonie i synowi. Jeśli powiesz „nie”, za pół godziny wasze głowy znajdą się w drugiej takiej lodóweczce. Twoja żona wykłada historię na uniwersytecie państwowym od piątej do dziewiątej. Biedaczka kończy bardzo późno, kiedy parking jest już pusty, a twój synalek studiuje na tym samym uniwersytecie w trybie dziennym, a potem idzie biegać do parku w Huasteca między ósmą a dziewiątą. Ma chłopak niezłą kondycję jak na cywila. Proszę tego nie brać zbyt osobiście. Chcemy tak wysłać wiadomość do tych, którzy mają z nami jakieś nieuregulowane sprawy. Skoro wzięliśmy się za komendanta, to inni tym bardziej nie mają żadnego ruchu. I powinieneś się pan cieszyć, że nie trafiłeś prosto do lodówki. A, jeszcze jedno – dodał Pułkownik. – Od dziś sporo będziesz takich spotykał. – I znów kopnął w chłodziarkę. – Masz wszcząć postępowanie jak należy, ale nie trać czasu na rozwiązywanie tych spraw. Teraz już wiesz, czyja to robota. Przez najbliższe sześć miesięcy znajdziesz w takim stanie swojego chrześniaka i jego kolegów, jeśli się nie pokajają. Jeśli chcesz żyć, od teraz masz się u mnie meldować. – I rzucił mu nowoczesny aparat telefoniczny. – Znam cię, Margarito, więc wiem, że się zgodzisz.

Jedyne, w czym się ów typ pomylił, to w tym, że upłynęło znacznie więcej niż sześć miesięcy, jego krewniak nadal żyje, a walka o teren wciąż daleka jest od zakończenia. Ileż stracił na tym objawieniu się Nowych! Nie tylko zabrali mu mieszkanie i oszczędności, ale jeszcze następnego dnia zmusili go do przekazania punktu sprzedaży kradzionych samochodów. Zachowując wszelkie możliwe środki ostrożności, pojechał pogadać ze swoim kumplem Obregónem, który doradził mu godzić się na wszystko.

– Te gnojki pilnowały dla nas granicy, ale teraz chcą się uniezależnić. Musimy zyskać na czasie, żeby przygotować uderzenie odwetowe, daj im

forse, której chcą, ja ci potem wyrównam.

Tyle że w tym samym tygodniu jego kumpel dostał wylewu i już nie wrócił do siebie. Tak jak i jego organizacja.

Dlatego tak to wszystko wygląda, stwierdził Margarito.

Tak jak zawsze kiedy jechał na plażę, wyminął dziury w asfalcie, wyglądające jak kratery, przejechał wzdłuż szpaleru sosen oddzielających morze od reszty świata i wyjechał na drogę federalną. Mgła w niektórych miejscach niespodziewanie ustępowała i odsłaniała przed nim wspaniałe widoki, jakby pejzaże wyłaniały się nagle zza odsuniętej kurtyny.

Więcej czasu zajęło mu minięcie tego rzędu sosen niż dostrzeżenie Chudego Ibarry, który śledził go dyskretnie swoim rozwalającym się vanem. Poprzedniego wieczoru kazał mu obserwować ten trudno dostępny odcinek plaży, no ale Chudemu daleko było do piechoty morskiej. Takiego ochroniarza to o kant dupy rozbić, nawet przed ślepym we mgle się nie schowa. Komendant Margarito włączył migacz i zaparkował kilka metrów dalej. Chudy, pełzający z prędkością pięciu kilometrów na godzinę, zatrzymał się za gigantycznym billboardem i zaczął studiować jego treść, jakby pierwszy raz widział go na oczy i nie wiedział, co było na nim napisane. Dlaczego się zatrzymuje? Co on sobie myśli? Komendant trzy razy rąbnął w klakson, a Chudy podjechał i zrównał się z jego samochodem. Kiedy stali bok w bok, komendant wyjrzał przez okno.

– Jesteś coraz głupszy.

– Ale my o pana dbamy, szefie. Żeby coś złego się nie stało. A właśnie, ma pan wyłączone radio?

Chodziło mu o krótkofalówkę służącą do łączności między policjantami. Komendant przytaknął. Wolał kontaktować się przez komórkę, bo pojawił się już nowy technik przysłany przez burmistrza i był pewien, że rozmowy przez radio to pierwsza rzecz, jaką zaczną kontrolować.

– Tak jest. – Chudy ani myślał zgłaszać uwag w tej sprawie, więc zapytał:

– Jedziemy na lotnisko?

Margarito zmarszczył brwi.

– No a jak. A co z tymi brakującymi skrzyniami?

Eskortujący go policjant skinął głową.

– Już je zabraliśmy z pańskiego biura. Naprawiliśmy też włącznik klimatyzacji, wysprzątailiśmy i wypucowaliśmy biuro, żeby nowy komendant zastał wszystko w stanie idealnym.

Zwykła aluzja do następcy poruszyła w komendancie wrażliwą strunę. Nigdy nie jest przyjemnie zostawiać miejsce, w którym pracowałeś przez ostatnie trzydzieści lat. Tym bardziej jeśli ci, którzy je przejmują, zamierzają wpakować cię do pudła.

– Widzimy się na lotnisku. – Trzeba było przyznać, że Chudy był jego najwierniejszym pomocnikiem, dlatego skinął do niego przyjaźnie. – Upewnij się, że wszyscy są na stanowiskach.

– Już to sprawdzam, szefie. Mogę jechać przodem?

– Pewnie, że nie.

Jeśli będą do mnie strzelać, pomyślał, niech ubiją i jego za to, że źle wykonał swoją pracę.

Zamknął szybę i puścił klimatyzację na maksa. Jeśli ci, którzy mu grozili, chcą go zaskoczyć, będą musieli poczekać, aż wjedzie do miasta. Dlatego chciał przenocować w mieszkaniu na plaży: żeby pojechać prosto na lotnisko, poruszać się tylko po głównych szosach i alejach i nie narażać się na korki w centrum La Eternidad. Nie zamierzał ryzykować jak żółtodziób. To byłaby jakaś ironia losu, gdyby jego następcą, człowiek, który przejmuje po nim stanowisko, i to we wrogiej atmosferze, dostał jako pierwszą sprawę śledztwo w sprawie zabójstwa swojego poprzednika. Pewnie chętnie by ją umorzył.

Kiedy mijali rafinerię, mgła opadła i całkiem wyraźnie widział zarys trzech spalarni gazów i trzy czarne, cylindryczne gmachy wysokości dwudziestu pięter, wokół których kręciło się całe życie pracowników związku zawodowego meksykańskiego przemysłu naftowego. Z tego co wiedział, w okolicy nie znaleziono żadnych prekolumbijskich piramid, jako że ludzie mieszkający tu nad morzem od ponad pięciuset lat używali do swoich budowli skorup ślimaków, kwiatów, muszli i tym podobnych ulotnych materiałów, lecz zdaniem komendanta Margarita te trzy czarne walce, potężne zbiorniki na paliwo, stanowiły współczesny odpowiednik piramid, miały związek ze wszystkimi ważnymi decyzjami dotyczącymi mieszkającej tu przez cały miniony wiek ludności. Teraz inna branża zdominowała życie w La Eternidad. Kto jak kto, ale on, przez lata czerpiący z niej zyski, dobrze o tym wiedział.

Nagle na odcinku jakichś trzydziestu, czterdziestu metrów mgła się rozproszyła i można było cieszyć się idealnym widokiem. Nie było tu żadnych samochodów ani chcących go zastrzelić ludzi, tylko pusta szosa i wydmy. Ale nie ma co kusić losu. Żeby oddalić się od mgły i niepokojów, przyspieszył. Przez kilka minut dociskał gaz i jego prędkościomierz wskazywał znacznie więcej niż sześćdziesiąt kilometrów na godzinę, na jakie zezwalał zardzewiały znak drogowy. Zerknął w lusterko wsteczne i dostrzegł żółtą plamę: tam, w rozsądnej odległości, podążała za nim mała furgonetka Chudego.

Minął odcinek z wydmami, gdzie nie było już dziur w asfalcie i rosnących tu i ówdzie palm. Widział coraz wyraźniej wysokie płomienie nad spalarniami gazu, spowite ostatnimi smugami mgły, a kiedy znalazł się na wysokości miejskiego wysypiska, zrobiło się całkiem widno. Wyłączył klimatyzację, żeby nawet najmniejszy swąd śmietnika nie przedarł się do wnętrza auta. To szczególnie dzień, cholera. I docisnął pedał gazu. Po minucie samochód dobił do stu dwudziestu, korzystając z niezłego stanu nawierzchni; komendant zawsze lubił prędkość. Widząc z daleka pierwsze czerwone światło, wyznaczające początek terenów miejskich, dotarł do niego pierwszy sygnał ostrzegawczy. Zdał sobie sprawę, że jak odda blachę, nie będzie już mógł tak zasuwać. A jeśli będzie im się spieszyło, to był to ostatni raz, bo wymiana na stanowisku mogła nastąpić jeszcze tego ranka. Już tylko przez to, choć widział pomarańczowego volkswagena caribe i dużą ciężarówkę zbliżające się do skrzyżowania bardzo spokojnie i zgodnie z przepisami, komendant przeleciał na czerwonym świetle, zmuszając tamtych kierowców do gwałtownego hamowania. Nie zdążyli jeszcze ochłonać, kiedy Chudy Ibarra zatrąbił dwa razy i przejechał im przed nosem, wlokąc się ledwie sześćdziesiąt na godzinę. Kierowca caribe, niejaki doktor Solares, popatrzył na nich i odezwał się głośno: „Dziwny rajd, dwóch dziadów bawi się w wyścigi, chyba przed śmiercią uciekają”. Jego siedzący obok syn usłyszał to i zapamiętał.

Margarito pojechał objazdem, żeby nie zostać zatrzymanym na wojskowym punkcie kontrolnym, były bowiem pewne tarcia między nim a generałem odpowiedzialnym za ten teren, ale przede wszystkim chodziło mu o to, żeby widzieć z daleka wszelkie możliwe niebezpieczeństwa, i zaraz znalazł się na początku alei prowadzącej na lotnisko, na końcu nadbrzeża. Od kiedy w rejonie rozszalała się przemoc,

można było trafić na trzy rodzaje punktów kontrolnych. Te prowadzone przez wojsko przy trasach wlotowych i wylotowych z miasta działały przez całą dobę i konfiskowano na nich broń, tylko kompletny kretyn pchał się w takie miejsce, bo żołnierze zabierali nawet cążki do paznokci. Następnie były punkty otwierane przez policję w pobliżu miejsc zbrodni, które działały, dopóki nie można było zamknąć sprawy i przestać się nią kłopotać. Wreszcie porzucane tu i ówdzie punkty obserwacyjne założone przez same grupy przestępcze, przede wszystkim na terenach niedawno przez te grupy przejętych oraz, rzecz jasna i przede wszystkim, w okolicy zamieszkaney przez jakiegoś lokalnego bossa. W tym ostatnim przypadku często spotykało się na strategicznych skrzyżowaniach ludzi pracujących dla pana Obregóna, poprzebieranych w mundury wojskowe. Jeśli stawali się dostatecznie pewni siebie i cyniczni, nawet się nie maskowali.

Za skrzyżowaniem niebo wyglądało jak ciemna góra opadająca na ziemię. Morze jak szare cielsko wieloryba.

Kilka metrów przed lotniskiem zobaczył dwa pikapy zaparkowane w poprzek ulicy. Choć były to radiowozy, a w każdym razie na nie wyglądały, nie chciał ryzykować, toteż zwolnił i włożył broń między kolana, odbezpieczywszy. Przez całe życie nauczył się wykonywać tę czynność jednym szybkim ruchem. Spojrzał w lusterko i ku swojemu zaskoczeniu nie zobaczył w nim Chudego. Kurwa jego mać, ale ochroniarz pierdolony mi się trafił. Poprzedniej nocy miał koszmar. Żaden z jego ludzi nie pokazał się na lotnisku, mimo jego poleceń, i musiał wysiąść z auta w ulewnym deszczu. W tym śnie, kiedy tylko wyskoczył z samochodu, zdał sobie sprawę, że woda sięga mu do kolan, a po następnym metrze do pasa. Jest ciężka jak błoto, jak piach, jak świeży beton. I budził się ze świadomością, że woda miała szkarłatny kolor. Może to kwestia wieku, może doświadczenia, ale na tym etapie nie potrzebował już nikogo, nawet Świętej, żeby objaśniała mu sens nocnych widziadeł. Ostrzeżenie jest bardzo proste, powiedział, klarowne i ewidentne.

Nacisnął klakson, nie zatrzymując się jednak całkowicie. Jeśli czekający na niego ludzie to najemnicy, miejsce jest idealne na oddanie strzału, bo zostawili bardzo wąski przejazd w samym środku drogi, między zderzakami obu pikapów. Wystarczy, że ruszą jednym z nich, i już

mnie mają. Ale rozpoznawszy samochód komendanta Margarita, z jednego z pikapów wyskoczył Tuńczyk i pomachał mu na powitanie.

Margarito zatrzymał się przy nim.

– Gdzie chevrolet suburban?

– Już w środku, szefie. Przyjechałem, żeby wszystkiego dopilnować... Melduję, że wszystko gra. Samochody ochrony są tylko dwa. W jednym siedzą ludzie, którzy przyjechali po notariusza Carrizo, a w drugim gość z rady miasta, osobista eskorta burmistrza. To ten w vanie, towarzyszy mu jakaś kobitka.

Kiepsko zaczyna pan burmistrz, pomyślał Margarito, skoro przysłał tylko dwóch cywili po tak ważnego gościa.

– Namierz mi Chudego. – Po tych wszystkich wspólnie przepracowanych latach nie musiał mówić, że mają z nim jechać z lotniska na komendę, jeden z przodu, drugi za nim.

– Oczywiście, panie komendancie. Jeszcze jedno: właśnie weszła doktor Antonelli.

Tylko jedna osoba w mieście mogła go zwyzywać, nakrzyczeć na niego i zrobić mu publicznie scenę, a on był wobec niej całkowicie bezbronny. I tą osobą była pani doktor Antonelli, jedna z najwyższej cenionych wykładowczyń na miejscowym uniwersytecie. Z tego co komendant wiedział, była jedyną znawczynią historii La Eternidad, i nie miał najmniejszych wątpliwości, że któregoś dnia dowie się o dużym raporcie jej autorstwa, w którym zostanie bezlitośnie zaatakowany. Wystarczy, że ujawni to, co usłyszała, kiedy mieszkali razem... To przypomniało mu jednak o innej sprawie.

– Jak stoimy z dziennikarzami?

– Jest telewizja i fotograf. Wpuściłem ich, żeby mogli się akredytować.

– Przenieś kontrolę dalej i potem idź na miejsce, nie chcę żadnych problemów ani prasy.

Za wszelką cenę musiał pogadać ze swoim następcą na osobności i dwudziestominutowy przejazd z lotniska do komendy to ostatnia szansa, zanim ten przejmie stanowisko i zacznie robić problemy. Toteż żadne zamieszanie nie było mu potrzebne.

Wyprzedził swoich kolegów, którzy jechali dwoma pikapami, i z miejsca rozpoznał starego dodge'a ramchargera doktor Antonelli stojącego na parkingu. Szlag by ją, akurat dzisiaj musiała się napatoczyć.

Nie będzie łatwo się z nią zmierzyć. No i nie dało się uniknąć spotkania. Poczekalnia jest tylko jedna.

Z wnętrza auta widział, jak samolot ląduje na pasie. Choć Chudego nigdzie nie było widać, wyglądało na to, że wszystko działa jak należy. Jakiś ochroniarz przegonił samochód, który chciał czekać na pasażerów przed samym wyjściem, więc komendant zaparkował za vanem władz miejskich. Typowy niziutki szofer z brzuszkiem, do niedawna pracujący prywatnie, a teraz dołączający do kadr miejskich, otworzył boczne drzwi. Para bardzo długich nóg poprzędziła modną minispódniczkę i talię godną piętnastolatki, potem drobne, ale bardzo zgrabne piersi. Rudowłosa dziewczyna z postrzępioną grzywką, mierząca dobry metr osiemdziesiąt, wysiadała, trzymając pod pachą grubą teczkę. Komendant patrzył na nią bardziej pogardliwie niż z pożądaniem. I jak zamierzasz obronić się przed kulami, laleczko? Widząc, że Tuńczyk jednym susem wysiada z karabinem w rękę, zrobił to samo. Porządny gość ten Tuńczyk. Kątem oka upewnił się, że Dorado idzie za nim i że wreszcie zjawił się zdyszany Chudy Ibarra.

– Gdzieś ty był, kurwa?

Jego odpowiedź przez chwilę wywołała w nim dreszcz.

– Wydawało mi się, że widzę jakiś podejrzany ruch...

– Co to było?

– Niebieskie auto z dwoma typkami, jechali w tę stronę. Ale dwie przecznice temu zawrócili i odjechali. Jak mówiłem, cały teren jest otoczony, szefie. A wie pan, że tu jest pańska żona?

Komendant spojrział w stronę stanowiska odprawy, przy którym doktor Antonelli sprawdzała, czy lot ze stolicy nie jest opóźniony. Miała elegancką sukienkę i wysokie obcasy, na ramionach mantylkę, wyjściowy makijaż. Nie odpowiadając podwładnemu nawet słowem, komendant ruszył przed siebie na paluszkach.

Rozsiedli się przed bramą przylotów krajowych, wywołując, i nie bez kozery, nerwowe poruszenie wśród postronnych. Jeśli widzi się kogoś o gabarytach komendanta Margarita, z jego twarzą i sposobem bycia, jak do kogoś podchodzi, to wiadomo już, że tu kończy się wszystko, także prawo. Przekonał się, że wśród zebranych pasażerów nie ma nikogo podejrzanego, panowała tu tylko wrzawa typowa dla ludzi czekających na przylot krewnych i przyjaciół. Ta młoda dziewczyna w miniówce, która ewidentnie studia, a może szkołę średnią skończyła jakieś piętnaście

minut temu, rozmawiała z dwoma fotografami i ekipą telewizyjną. Jak wszyscy pracujący dla nowego burmistrza, tryskała zapałem i dobrymi intencjami. Rozdając kopie życiorysu gościa, dziewczyna podkreślała zalety następcy komendanta: dwuletnie doświadczenie w miejscowej policji, zagraniczne stypendium pozwalające zapoznać się z nowoczesnymi technikami śledczymi i obronnymi, pobyt w Quebecu przez cztery lata, gdzie pracował w prywatnej kancelarii, absolutny szacunek dla praw człowieka i prawa jako takiego.

A ponieważ dziewczyna mówiła głośno, nie mógł udawać, że nie słyszy.

– ...człowiek, który dziś do nas przylatuje, jest uosobieniem uczciwości i zamierza naprawdę zmienić to miasto. Pan burmistrz pojechał spotkać się z nim do Kanady, długo rozmawiali i przekonał go, by się do niego przyłączył. Będą panowie na objęciu stanowiska? Odbędzie się o dziesiątej w ratuszu.

Jeden z reporterów odchrząknął, dyskretnym ruchem wąsatej twarzy wskazał na komendanta, a ponieważ dziewczyna zdawała się nie odczytywać jego aluzji, głośno przywitał się z komendantem.

– Dzień dobry, panie komendancie.

– Juan de Dios! Czołem! Pozwolicie, że na moment panią porwę?

Dziewczyna zauważalnie pobladła, ale dała się odprowadzić.

– Jest zmiana planów i to ja zawiozę naszego gościa.

Dziewczyna rozchyliła swoje okrągłe truskawkowe usta.

– Ale to mnie po niego przysłali! Muszę go wprowadzić w porządek dnia...

– Potem to zrobisz, dziewczyno. Juan! – zawołał reportera. – Chodź no tutaj.

Dziennikarz podszedł z miną, jakby miał zaraz zemdleć, blady jak ściana, choć lubił mówić o sobie Juan Nieustraszony. Przez piętnaście lat napisał setki artykułów atakujących Margarita, w coraz mniej liczących się periodykach, w których konsekwentnie chłostał działania komisarza. Ostatnio nie tyle skupiał się na dojściu opozycji do władzy w mieście, ile wynosił pod niebiosa zmianę na stanowisku komendanta. Przez całą swoją karierę był najsurowszym krytykiem Margarita, więc oczywiście nie mógł przegapić przyjazdu następcy. Margarito wymamrotał:

– Śmieszne żarciki serwujesz w swoich tekstach.

Przez ostatnie dni Juan Nieustraszony, pełniący funkcję jednego z nieformalnych doradców nowego burmistrza, sugerował mu, że kiedy dojdzie do zmiany w komendzie, nie od rzeczy byłoby sprawdzić, czy obecny komisarz ma jakieś kontakty z grupami siejącymi terror w okolicy. Świadom tego, reporter zrobił minę, jakby miał się rozplakać. Cholerny Margarito, wszędzie się wkręci, pomyślał, naprawdę ma diabła po swojej stronie. Komendant jednak poklepał go po ramieniu, mówiąc:

– Zrobisz mi zdjęcie z tym nowym? Ale takie dobre, żeby nadawało się do gazety.

I pchnął go w stronę tłumu.

– Ale proszę pana... – Dziewczyna nie odpuszczała.

Wtedy zobaczył, że pierwsi pasażerowie z samolotu poszli po swój bagaż, obrócił się na pięcie, rzucił: „Potem pogadamy”, i zostawił ją samą pośrodku tłumu.

– Panie komendancie – usłyszał za plecami.

Odwrócił się i ujrzał olbrzymiego grubasa w szortach i tak wielkim T-shircie, że mógłby posłużyć za namiot. Miał czarną czapkę z daszkiem, z logo firmy ochroniarskiej, i wydawało się, że uśmiecha się szczerze. Komendant go jednak nie rozpoznał i dlatego tamten musiał dodać:

– To ja, González... Panda...

Oczy, rysy twarzy i włosy rzeczywiście miał takie same, ale fałdy tłuszczu, prawdziwa opona, otaczały jego twarz i to, co kiedyś było jego ciałem. Margarito musiał się bardzo wysilić, żeby nie okazać zdumienia.

Jego ochroniarze zdążyli się już wyluzować i grubas mógł podejść do komendanta oraz objąć go, na ile tusza mu pozwalała. Widać było z daleka, że darzył szefa prawdziwym szacunkiem.

– Zobaczyłem pana, chciałem podejść i pana pozdrowić. Słyszałem, że przechodzi pan na emeryturę.

Musiał poruszać ten temat...

– Zwalniają mnie – sprostował komendant. – I odbierają mi prawo do emerytury.

Panda przełknął ślinę.

– Strasznie mi przykro.

– Nie przejmuj się. – Margarito wzruszył ramionami.

– No nic, tak tylko chciałem się przywitać.

Dziesięć lat temu Panda należał do grona jego zaufanych współpracowników. Był jednym z ulubieńców, gotów w ogień skoczyć,

nikt z nim nie zadzierał. Choć był najniższy wśród agentów, ten metr sześćdziesiąt wystarczał mu aż nadto, żeby zapracować sobie na szacunek innych. Paczka składająca się z Pandy Gonzáleza, Dorada i Tuńczyka tworzyła jego najbliższą gwardię, ale Panda nie wytrzymał presji. Zrezygnował kilka tygodni po tym, jak musiał oddać serię strzałów podczas napadu na bank i zabił przypadkowo jakąś kobietę oraz jej męża. Prasa opublikowała relację z historii tej pary w kilku odcinkach. Wzorcowe małżeństwo, prowadzili stowarzyszenie charytatywne, oddawali sporą część swojego majątku na potrzeby szpitala. Trafili w niewłaściwe miejsce w najmniej odpowiedniej chwili. Reszty dokonała niefrasobliwość i niekompetencja miejskiej policji. To był w porządku gość, myślał Margarito, bardzo dziarski i poczciwy chłop. Dlatego odszedł.

– I gdzie teraz pracujesz, Panda?

Dawny współpracownik podał mu wizytówkę.

FIRMA USŁUGOWA BŁYSK
OCHRONA MIENIA I LUDZI * KAMERY * ALARMY
24 H NA DOBĘ

I dodany był adres na podmiejskim osiedlu.

– Pracujesz dla firmy pana Chuya?

– Dokładnie, właśnie u niego. Zawsze do usług.

– I jak ci się powodzi?

Panda odchrząknął przed odpowiedzią.

– Mam bardzo spokojną robotę, zajmuję się ochroną domów. Zna pan wjazd na osiedle Garza Blanca przy szosie? No to ja tam siedzę.

Komendant wiedział, gdzie to. Pomniejszy punkt kontrolny przy wjeździe na zamknięte osiedle bogaczy. Szyba, przez którą ogląda się przyjezdnych. Okazanie dokumentu. Szlaban, który trzeba podnieść ponad sto razy dziennie przed każdym autem, które wjeżdża, i każdym, które wyjeżdża. Wyobraził sobie ciasną i śmierdzącą łazienkę, nędzną budkę, noce przedrzemane z przerwami na jakimś materacu, ciągłą czujność, czy nie pojawią się jakieś szczyły albo ich rodzice, strach, że jakiś złodziej wykorzysta chwilę jego drzemki, senność uniemożliwiająca klarowne myślenie, która będzie kradła twoje dni aż do końca życia.

Malutki telewizorek działający dzień i noc, aż kiedyś odmówi posłuszeństwa.

W normalnych okolicznościach powiedziałby mu: „Wpadnij kiedyś do mnie do biura, na pewno coś dla ciebie znajdziemy”. Ale to był jego ostatni dzień w pracy i wiedział, że niebawem nie będzie w stanie pomóc nikomu, nawet samemu sobie.

– Jakoś niedługo się zobaczymy. Odezwę się.

– To będzie przyjemność, panie komendancie. Już nie zajmuję panu czasu, bo ludzie się schodzą.

I rzeczywiście: pierwsi podróżni wyszli przez przeszkłone drzwi. Notariusz Carrizo i jego ochrona. Młoda dziewczyna w bluzie dresowej z nazwą prestiżowej zagranicznej uczelni, wtulająca się w rodziców i siostry. Spieszący się ranczer, który wybiegł jak byk na rodeo, zauważył policjantów i wypadł jak burza na ulicę. Kobieta pod czterdziestkę, o perłowej skórze, ustach czerwonych jak krew i kruczoczarnych włosach, elegancka i szczupła, w ciemnej garsonce, po którą nikt nie wyszedł. Dwóch ogolonych na łyso biznesmenów, pachnących płynem po goleniu, i młoda żona jednego z nich, która jednego przywitała szybkim buziakiem, a drugiego porządnym pocałunkiem, a za nimi widać było tłum tłoczący się przy taśmach z bagażem.

Poznał go od razu, choć zobaczył jego plecy. Pewnych więzów nienawiści i krwi nie da się zerwać. Mówią, że ci, którzy siedzą w tej branży, potrafią wyczuć najgorszego wroga, kiedy podejdzie zbyt blisko. Jakby podświadomie wyczuwając bliskość Margarita, przyjezdny podniósł wzrok i przyjrzał się grupie cywili. Wie, że będzie potrzebował całego możliwego wsparcia, pomyślał komendant, zważywszy na to, w jakim stanie jest miasto. Wtedy mężczyzna go zobaczył i pokręcił głową w geście dezaprobaty. Nie będzie łatwo skłonić go, żeby mnie wysłuchał, stwierdził Margarito, ale spróbować trzeba.

Przyjezdny wziął swoją średniej wielkości walizkę i skierował się do wyjścia. Wyróżniał się nie tylko potężnym wzrostem, ale także ewidentną, beczelną wręcz kondycją fizyczną.

– No, teraz – odezwał się Chudy i gestem przywołał dziennikarza. – Juan, dajesz.

Tuńczyk, Chudy i Dorado rozdzielili przybyłych i cywili, wyłączając dziennikarza. Szefowa PR-u burmistrza i reporterzy uwijali się jak w ukropie, żeby znaleźć się jak najbliżej, ale któż byłby w stanie

przemknąć przed nosem Chudego, Tuńczyka i Dorada? Pojedynczego dziennikarza, który próbował się przebić, Tuńczyk usadził jednym trzepnięciem ręki.

Zaskoczony tym, że nikt z władz miasta nie zjawił się, żeby go przywitać, ale nade wszystko widokiem Margarita w pierwszym rzędzie, młody mężczyzna, którego miano powołać tego ranka na stanowisko komendanta policji, zatrzymał się i pozdrowił dotychczasowego szefa mundurowych.

– Cześć, tato.

Kilka kroków za nimi dziennikarz Juan de Dios Gómez, szerzej znany jako Juan Nieustraszony, pomyślał sobie: coś takiego możliwe jest tylko w tym zawodzie.

I jakby świadom, że los wszystko powikła, zrobił im obu ostatnie wspólne zdjęcie.

Rozmowa w ciemności

Wiedziałaś, co się święci?

– Chodzi ci o tę zmianę na stanowisku?

– Tak. O tego, co zjawia się dziś. Margarito wreszcie idzie na emeryturę.

– Najwyższy czas. Zaczynał stawać się nieśmiertelny na tym stanowisku. A ostatnio do niczego się nie nadaje. Jest różnica między dziś a dwadzieścia lat temu, kiedy był twardy, ale rozsądny, jeden z lepiej przygotowanych speców od przemocy.

– Podobno szykują się duże zmiany.

– Na przykład?

– Ten nowy ma ponoć dostać wszystko: broń, samochody, doradców do spraw wywiadu, najlepiej wyszkolonych ludzi. Podobno burmistrz poprosił amerykańskich kongresmenów o pieniądze i popłynię do nas rzeka forsy. Obiecał, że skończy ze strzelaninami na ulicy.

– Głowę daję, że tych zmian w ogóle nie odczujemy, zawsze jest tak samo. Obiecować ławo.

– Kto to może wiedzieć, przez ten rok trochę jednak niespodzianek mieliśmy.

– No ale co ten gość może zdziałać? Zacznie patrolować ulice? Jego radiowozy to stare rzęchy, nie mają nawet amunicji do broni, mogą nią tylko straszyć. Byle dziecko wygra z nimi w pościgu, a niektóre proce są skuteczniejsze niż ich broń palna.

– No zobaczymy.

– Nie jestem tego taki pewien. Jeśli naprawdę chciałby tu coś zmienić, myślisz, że daliby mu to stanowisko?

– Czasami ludzie dostają stanowisko, ale i tak nic nie mogą. Przypomnij sobie, co się działo w La Nopalerze. Ile czasu utrzymał się nowy komendant?

– Godzinę i kwadrans.

– Godzinę i kwadrans, i dwa kilo ołowiu. Zobaczymy.

– Ano zobaczymy. Można robić zakłady.

III

Witaj, Ricardo. – Komendant Margarito zrobił krok w przód i poklepał po ramieniu młodego człowieka, który miał go zastąpić. Nie codziennie syn obejmuje tak wysokie stanowisko, nawet jeśli zajmowane było wcześniej przez ojca. – Odwiozę cię na spotkanie.

Syn przytaknął, ale słowem się nie odezwał ani nawet nie maskował niechęci. Fizycznie, na swoje szczęście, znacznie bardziej przypominał matkę niż komendanta. Więcej nawet, można by powiedzieć, że po matce odziedziczył rysy twarzy, kolor oczu, brwi, atletyczną sylwetkę i postawę, chęć do nauki i ambicję, podczas gdy po ojcu miał tylko chromosom Y. Niektórzy szeptali po kątach, że to wcale nie jego syn. Bo jak to możliwe, żeby ktoś, kto tylko zabijał i torturował, być może najpodlejszy gliniarz znad zatoki, miał tak porządnego i sympatycznego syna? Chyba że działa tu prawo, w myśl którego syn stara się być przeciwieństwem ojca, bo też Ricardo zawsze próbował zadowolić swoją matkę. Dobre zachowanie, dobre oceny, opanował angielski i włoski, studia skończył z wyróżnieniem, uczciwie pracował za granicą. A jako że wiadomo było, że pozostaje w ciągłym konflikcie z Margaritem, że się go wstydzi, że chciałby zerwać z nim wszelkie więzy, wybrano go na to stanowisko, bo stanowiło to najwyższą zniewagę dla starego komendanta. Tyle że Margarito wcale nie czuł się znieważony, a wręcz uznał to za idealne rozwiązanie. Zamiast wsadzić na ten stołek typa w rodzaju tego gnoja Bracamontego, wolał widzieć tam syna. Jemu przynajmniej zadrży ręka, zanim go skaże i wyśle do więzienia.

Od kiedy złożył mu wizytę osobisty asystent burmistrza, każdy jego krok był obserwowany. Miesiąc przed objęciem stanowiska, krótko po wyborach, wezwał go przyszedł sekretarz rządu stanowego.

– Chcemy łagodnego przejścia, bez żadnych hec. Jak się możemy dogadać, panie komendancie? Co mam zrobić, żeby otrzymać pańską rezygnację?

Ale się nie dogadali. Chcieli, żeby odszedł, nie oferując niczego w zamian. No a coś takiego nie wchodzi w grę, nikt nie pójdzie na taki układ. Przez cztery tygodnie negocjowali warunki jego odejścia, ale

Margarito upierał się, że nie zrobi afery tylko wtedy, jeśli powołają na stanowisko jego syna.

Teraz ten syn patrzył na niego, sondując jego wnętrze, jakby chcąc sprawdzić, czy pasuje do krążącej po kraju czarnej legendy, czy jednak tli się w nim coś dobrego. Margarito z kolei zastanawiał się, co się stało z tym szczerym i ciepłym chłopakiem, kiedyś tak uśmiechniętym i otwartym. Wyglądało to tak, jakby gniew odmienił jego osobowość. Miał go zapytać, czy dalej ćwiczy karate w tej Kanadzie, ale w tej chwili doktor Antonelli przedarła się przez policyjny szpaler.

– Ricardo!

Młody mężczyzna objął matkę, jakby niedawno się z nią widział albo kontaktował się z nią regularnie i dał się jej obcałowywać. Komendant z kolei czuł się bardzo niezręcznie, bo z żoną nie widział się od ponad roku, a ostatni raz niespecjalnie dobrze się skończył. Obejmowała mocno syna, a komendant zauważył, w jak dobrej jest formie, ręce i nogi wyćwiczone i umięśnione. Znał ją i mógł sobie wyobrazić setki wieczorów z nędzną sałatą na kolację, ścisła dieta i wściekłe ćwiczenia, dobrze wykalkulowana udreka, której celem jest utrzymanie się w dobrym zdrowiu. On natomiast powiększał się o kolejne rozmiary. Jeśli trafi kiedyś na stół operacyjny, lekarz odkryje, że jego dusza otoczona jest koncentrycznymi fałdami tłuszczu. Na jego widok była żona powiedziała tylko:

– Cześć, Margaro.

Komendant nie czuł się zbyt komfortowo. Jeśli jego była im przeszkodzi, straci szansę na rozmowę z synem na osobności. Mimo wszystko zaproponował:

– Zabieram go na spotkanie. Może pojedziesz z nami?

A że jednocześnie wyciągnął rękę w jej stronę, jego była żona niemal odskoczyła.

– W żadnym razie... – I dodała: – Macie na pewno pilne sprawy do omówienia. Lepiej spotkajmy się w ratuszu, a potem czekam na ciebie z kolacją, tak jak się umawialiśmy. Na razie, Ricardo.

Ta względna uprzejmość byłej żony kompletnie zbiła z tropu Margarita. Od kiedy rozwiedli się niemal dwadzieścia lat temu tudzież, mówiąc precyzyjniej, od kiedy ona poprosiła, żeby się wyniósł z ich domu, jego dawna małżonka żywiła do niego już tylko najczystsza nienawiść. Nie odbierała od niego telefonów, odmawiała z nim spotkań. Za każdym

razem kiedy chciał porozmawiać, nasyłała na niego bardzo ostrego adwokata, który w końcu odebrał mu wciąż jeszcze spłacany dom... Na początku bombardowała go telefonami, które przeciągały się do godziny i stanowiły ciąg wyzwisk pod jego adresem, co służyło, jak to określała, uzewnętrznieniu jej uczuć, i odmawiała spotkań twarzą w twarz. On z kolei odmówił podpisania papierów rozwodowych, aż minęło osiem lat i przestało być to formalną koniecznością. Kiedy zaproponował ich synowi pracę w policji, ona o mało go nie zabiła i nie odzywała się do niego, dopóki Ricardo nie zrezygnował. Dlatego tak go zaskoczyła ta jej uprzejmość. Buddystką została czy co?

Komendant patrzył, jak obejmuje syna i całuje go w policzek.

– Jestem z ciebie naprawdę dumna... I proszę cię, uważaj na siebie. – Znów go ucałowała.

Potem obróciła się na pięcie i odeszła bez pożegnania z Margaritem.

– Ten Ricardo... – Chudy pierwszy odważył się podejść i powitać przybyłego uściskiem dłoni, co rozładowało nieco napięcie.

Chłopak lekko się uśmiechnął na widok kolegów ojca. Wyjąwszy Dorada, który od dziecka wydawał mu się straszny, przez potężny wzrost i wąsiska, ze wszystkimi utrzymywał serdeczne stosunki, a już najbardziej z Chudym Ibarrą.

– Kurde, Chudy, nie poznałem cię!

– Jak się masz, Richie?

Nie odpowiedział. Za jego plecami Tuńczyk i Dorado szczyrzyli zęby w uśmiechu, nie wypuszczając z rąk broni. Od kiedy sięgali pamięcią, widywali go jako szczyła, jak bawi się na komendzie. To dziwne wrażenie, że to on będzie tu teraz wydawał rozkazy. Margarito postanowił przerwać tę sentymentalną chwilę. Cholerne mięczaki, jakbyśmy mieli czas na takie ceregiele. Podszedł do syna i wskazał mu wyjście:

– Musimy pogadać.

Na co syn odpowiedział, nie ścisząc głosu ani nie przejmując się tym, że usłyszą go reporterzy:

– My nie mamy nic do obgadywania. – Twarz Margarita pociemniała. – Z miejsca muszę poinformować ojca, że nie wiem, czy będę mógł coś dla niego zrobić. Burmistrz zlecił mi zaprowadzenie porządku w mieście i zachęcił mnie, bym nie wahał się wystąpić przeciw własnej rodzinie, jeśli będzie to konieczne.

Zgodnie ze swoim planem komendant starał się zabrzmieć rozsądnie.

– Słuchaj, Ricardo, nawet w najprostszym fachu, kiedy dochodzi do wymiany na stanowisku, nowy szef musi posłuchać tego, co stary ma mu do powiedzenia, choćby z czystej ciekawości, żeby oszczędzić sobie niemiłych niespodzianek. Daj mi parę minut, to bardzo delikatne kwestie. Potem zrobisz, co będziesz chciał.

– Mieli tu na mnie czekać ludzie z ratusza. Mieli przysłać swoich ludzi i samochód.

– Nikogo nie przysłali. Jesteś nowym komendantem policji, nie możesz poruszać się bez eskorty.

Syn zawahał się przez moment, westchnął i przytaknął. Chudy szybko złapał jego walizkę. Przeszli przez halę lotniska, Tuńczyk i Dorado na przedzie, i wyszli na upał poranka, zupełnie jakby wkroczyli do rozpalonego pieca. Wsiadli do suburba, który miał już najlepsze czasy za sobą, ale nadal się sprawdzał i chronił. Na przednich siedzeniach Tuńczyk i Dorado, w następnym rzędzie szef i jego syn. Komendant wyjrzał przez okno i zobaczył, że jeden z pikapów wyprzedza ich, żeby pilotować, a Chudy wsiada do swojego gruchota.

Ostatni raz telefonicznie rozmawiali pół roku temu, bo od kiedy syn przeprowadził się do Kanady, ojciec dzwonił do niego zwykle raz na miesiąc, ku niezadowoleniu chłopaka i jego żony, która nigdy nie mogła znieść swojego teścia. Żeby zdobyć jego numer, Margarito dokonał wręcz niemożliwości, co oznaczało między innymi kilka czynów karalnych. Z początku mocno tym zirytowany, Ricardo ostatecznie wybrał milczenie i słuchał tylko tego, co mówi jego ojciec: „Słuchaj, synu, tutaj pełno jest okazji do porządnego zarobku. W stolicy, tak mi mówił gubernator. Może jednak wrócisz?”, albo: „Podobno tam u ciebie zimno jak cholera. To prawda, że macie trzydzieści cztery poniżej zera? Nie odmroziś tam sobie tego i owego?”. Zazwyczaj dzwonił w tygodniu, z komendy, albo wieczorami i w takich wypadkach zdarzało się, że komendant musiał się rozłączyć, bo orientował się, że wypił jednak więcej, niż mu się wydawało, że jego żarciki chybiają celu, a alkohol nadaje jego głosowi koszmarnie brzmiące. Byli na bieżąco, co tam u drugiego słyhać, więc nie było co tracić czasu na błaahostki. Chłopak zapytał:

– O czym mamy rozmawiać?

Jego syn od lat nie zwracał się do niego per ty, więc od razu przeszedł do rzeczy. Od ośmiu dni zastanawiał się, jak podejść do tej rozmowy.

– Chciałbym, żebyś umiał być ponad to, co może nas dzielić. Sprawa nie jest taka prosta. Są ludzie, których musisz poznać, kontakty, które muszą ci przedstawić. Potrzebuję co najmniej tygodnia, żebyś się zorientował, kto jest kim.

– Wolę zacząć od zera. I powiedzmy sobie jedno na początek: jeśli wyjdą jakieś dowody, związki z nieczystymi sprawami, od razu mówię, że zrobię to, co każe prawo.

– A ja powiem ci tak: prawo to pretekst pozwalający pakować ludzi do pierdła, przede wszystkim w naszym kraju.

– Nie zgadzam się z tym.

– Zawsze tak było, choćbyśmy nawet nie wiem jak bardzo chcieli inaczej. – Świadom, że znów zaczyna tracić cierpliwość, starał się hamować. – Słuchaj, walka z tutejszymi nie była łatwa. Że zadawałem się z kryminalistami... No pewnie, na tym polega moja praca. Niektórych tolerujesz, z innymi się spotykasz, inaczej w tym mieście nie zapewnisz spokoju. I jeśli pojawiają się na zdjęciach z szemranymi typami, to dlatego, że wykonywałem swoją pracę. Mogłem nawet sam kazać je pstryknąć. Wcale mnie nie dziwi, że ci nowi, z opozycji, chcą mi nimi zaszkodzić... – Nawiązywał do zdjęcia opublikowanego przez Juana Nieustraszonego w jednym z dzienników z Monterrey, na którym stał obok swojego kumpla Obregóna, w trakcie jednego z tych ich cotygodniowych bankietów. – Słuchaj, nie gadaliśmy w cztery oczy, od kiedy wyjechałeś do Kanady, ale pamiętaj o jednym: ktoś musiał to robić. Nikt nie dawał rady. Dlatego zlecili to mnie. Tyle że teraz pełno jest różnych mądrali, którzy próbują mi dokopać.

– Jak na przykład kto?

– Twój szef, dla przykładu. Rozgłasza, że sfinansuje programy rehabilitacyjne dla narkomanów, ale na jego imprezach koka sypie się kilogramami. Gada o prawach kobiet, a na balangi ściąga dziewczyny z Europy, sprowadzone do Meksyku podstępem albo siłą. Co można powiedzieć o takim pajacu, który mieni się wielkim ekologiem, ale publicznie domaga się kary śmierci? I więcej nawet... – Zrobił pauzę. – Niektórzy twierdzą, że już po nim, że dostał tę posadę, żeby go góra miała na oku, bo mógłby już być deputowanym albo kimś na stanowisku o randze ogólnokrajowej. Że podpadł, komu nie należy, i jedyne, co zyskał, to powrót do miejsca, w którym zaczął swoją karierę.

Syn nie odpowiadał, tylko gapił się w okno. Pędzili szosą w stronę miasta, mijając wszelkiej maści sklepy i zakłady, którym chłopak przyglądał się z ciekawością. Bar z tacos El Tiburón, apteka Bahía, dyskoteka Las Brisas, motel Siete Mares, restauracja i bar La Ballena Blanca, warsztat Pulpito, automyjnia Aquamán i kościół Refugio de los Pescadores oraz zakon karmelitanek.

Milczeli, kiedy konwój wjeżdżał do miasta. Kiedy się już przekonali, że przy skrzyżowaniu i za drzewami nie ma żadnych podejrzanych samochodów, pierwszy samochód dał sygnał klaksonem i skręcił w główną aleję. Nagle syn odwrócił się w stronę komendanta.

– Coś jeszcze ma mi ojciec do powiedzenia?

– Że sprawy są delikatniejsze niż kiedykolwiek. Pojawili się nowi i dobierają się bez ceregieli do starych.

Tak jak w większości stanów przygranicznych, już od paru lat zabójstwa nie są sprawą osobistą, stały się kwestią biznesową, a to oznacza dziesiątki ofiar przy każdym uderzeniu. Co trzydzieści dni, czasem co dwa tygodnie szefowie dwóch zwalczających się grup podliczali swoje zyski i stwierdzali: nie, tak być nie może, dochodząc do wniosku, że aby zwiększyć przychody, trzeba wyeliminować tych, których postrzegali jako konkurencję. Zabijali przeciwników po dziesięciu albo dwudziestu, tyle że tamci nie potrzebowali nawet tygodnia, żeby odbudować sobie kadrę. Strategia poprzedniego burmistrza przez ostatni rok jego rządów polegała na udawaniu Greka. Zostało mu dwanaście miesięcy służby, a on już siedział z założonymi rękami i nie zamierzał niczego robić. Wcześniej, dużo wcześniej niż ta cała przemoc się zaczęła, razem z Margaritem potrafili ją przeczuć, ale nigdy nie spodziewaliby się, że konflikt przybierze takie rozmiary. Biedniejsze dzielnice pustoszały i znów zapełniały się ludźmi, diabli wiedzą skąd pochodzącymi, ale i tak nie dane im było się długo utrzymać.

– Wiedzą, że La Eternidad będzie rosło, stanie się tak ważnym miastem jak Acapulco czy Puerto Vallarta, więc chcą mieć już wszystko przygotowane i zabezpieczyć swoje interesy.

Kiedy doszło do pierwszej masakry, piętnaście trupów na obrzeżach La Eternidad, burmistrz pojechał do Ciudad de México, żeby opowiedzieć o sytuacji i domagać się wsparcia. Zabrał ze sobą grubą teczkę dokumentów przygotowanych przez Margarita. Wrócił tego samego dnia

wieczorem. Margarito wyjechał po niego i od razu zauważył, że jest bardziej ponury niż zwykle.

– Nawet nas nie wysłuchali – powiedział mu burmistrz. – Twoje papiery wywalili do kosza. Jedyna porada, jakiej nam udzielili, jest taka: mamy domagać się, żeby wszystkie masakry były badane przez policję federalną, nie lokalną, jako że tego typu przestępstwa podlegają jurysdykcji federalnej. Tłumacząc na nasze: jeśli nie znajdziesz przy ciałach narkotyków, wiesz, co masz robić. Podrzucasz trochę i umywasz ręce, niech problemem zajmie się prokuratura generalna, bo taka sprawa podlega im.

I tak przed ponad dwanaście miesięcy grupy przestępcze walczyły ze sobą, przebijając się w okrucieństwie i bestialstwie. Nikomu nie udało się zmusić rywala do odwrotu i tylko nakręcili spiralę zemsty i gniewu. I napływ broni, ileż to broni dotarło do miasta! Dziesięć lat temu trzeba było prosić w stolicy stanu o amunicję do regulaminowej broni używanej przez policję. Teraz można ją było kupić nawet w supermarkecie. Choć tylko zupełni straceńcy robili tam takie zakupy, przepłacając dziesięć razy. Broń i amunicję najbardziej opłacało się kupować na granicy, po jankeskiej stronie.

– Wiem o tym – odpowiedział Ricardo. – Dostałem raport, w którym twoje nazwisko pojawia się w co drugim akapicie – rzucił. – Gdyby ojciec wiedział, o ile rzeczy się go oskarża... Są tam też zeznania twoich zauszników. Na miejscu ojca już bym sobie szukał adwokata.

Słyszając to, komendant poczuł irytację. Ma jakiegoś zdrajcę wśród swoich? Lata zajęło mu znalezienie ludzi, którzy są nie tylko skuteczni, ale też lojalni, których nie będzie się dało podkupić. Mógł być dumny z Macarii, prawnika koordynującego wszystkie sprawy formalne komendy, z Herminia, z Tuńczyka, z Dorada i oczywiście, acz w mniejszej skali, zaufał też Chudemu Ibarze. No i jest jeszcze przecież Roberta Pedraza, alias Grubaska, świeżo upieczona adeptka akademii policyjnej, z którą od razu złapał dobry kontakt, bo podobała mu się gotowość, jaką wykazywała się od paru miesięcy. Tak więc pochylił się i powiedział:

– Jak na razie istnieją dwa dokumenty, w których pada moje nazwisko: *Raport o działalności przestępczej w regionie Zatoki Meksykańskiej*, przygotowany przez konsulát amerykański w naszym mieście, oraz drugi raport napisany przez tego obiboka od praw człowieka. Ten drugi nie

obchodzi nikogo i do nikogo nie dotrze, czyli musi chodzić o ten pierwszy. Może się myłę?

I widząc, że jego syn jest tym nieco zaskoczony, komendant zaraz dorzucił:

– Konsul nie ma pojęcia, jak to wszystko wygląda. Dyplomatyczne bicie piany i zawracanie głowy, ale kiedy tylko coś mu nie wychodzi, musimy lecieć mu z pomocą. Przedwczoraj dał ciała tak dokumentnie, że poproszono go o złożenie rezygnacji.

– No ale część poświęcona ojcu jest bardzo obszerna – odparował Ricardo. – Powołują się tam nawet na agentów DEA.

To jest raport Dona Williamsa, pomyślał policjant, znowu ten cały konsul pcha nos w nie swoje sprawy. Syn spojrzał mu prosto w oczy.

– Proszę sobie znaleźć dobrego adwokata. To jedyna rada, jaką mogę dać.

Margarito pokręcił się na fotelu.

– Słuchaj, Ricardo, ja chcę tylko, żebyś się zastanowił, czy ktoś nie próbuje użyć cię przeciwko własnemu ojcu, żeby potem pozbyć się również ciebie. I jedno ci powiem: możliwe, że za parę latek, nawet jak będziesz się bardzo przykładał do pracy, znajdziesz się w tej samej sytuacji, co ja. To jest część naszej roboty.

– Nie wydaje mi się, bo różnią nas przynajmniej dwie rzeczy. Tortury i kolesie. – Miał na myśli związki komendanta ze światkiem przestępczym. – Tego usprawiedliwić nie można.

Dorado, który prowadził auto, zerknął dyskretnie w lusterko wsteczne, ciekaw reakcji szefa, a komendant tylko pokręcił głową.

– Trzy lata temu, kiedy ty siedziałeś sobie w Kanadzie, złapaliśmy gościa, który kroił kobiety piłą. Do pokoju przesłuchań wkroczył z uśmiechem od ucha do ucha, bardzo dumny ze swoich wyczynów. To był rozpuszczony synalek z jednej z najlepiej sytuowanych rodzin, który zabił te wszystkie dziewczyny w domku na plaży należącym do jego rodziców. Mieliśmy informację o jeszcze dwóch zaginionych kobietach i on sam przyznał, że się wykrwawiają w pewnym sekretnym miejscu, ale nie powie nam gdzie. Sprawdzaliśmy całe miasto i okolice, i nic. Wiesz, jaki był jedyny sposób, żeby puścić parę z gęby? Zamknąłem się z nim na całą noc. I uratowaliśmy te dziewczyny, choć jednej musieli amputować nogę, bo zjawiliśmy się za późno i już się wdała gangrena.

– Istnieją inne techniki przesłuchań.

– No pewnie, powiedz to tym dziewczynom. A to, co mówię o tym typie, dotyczy wszystkich innych. Co do tej drugiej sprawy, tych moich rzekomych konszachtów z przestępcami, to idiota, który powtarza te brednie, nie rozumie, na czym polega nasza praca.

Jego syn wyjrzał przez okno, a potem odpowiedział:

– Tłumaczy się ojciec, korzystając z tego argumentu o celu i środkach, i o dobru, o jakie toczy się walka, ale przypadek zabójcy z piłą to jednak wyjątek. Bo z drugiej strony mamy codzienne praktyki, łapówki i ciągłe znęcanie się nad zatrzymanymi. Jak ojciec sądzi, skąd się wzięła ta ogólnokrajowa sława? Jestem na bieżąco, dostałem stosowne wycinki z prasy.

Już widzę, kto cię nastawił przeciwko mnie. Komendant pomyślał o swojej żonie, pieczołowicie przechowującej takie wycinki, i zbluzgał ją solidnie w myślach. Od kiedy Ricardo skończył piętnaście lat, jego rodzice wdali się w prawdziwą walkę o wpływ na swojego jedynaka. Z jednej strony matka, znana pani doktor Antonelli, Włoszka, która postanowiła przeprowadzić się do Meksyku, pierwsza kobieta ze studiami wyższymi w mieście, dziekan rodzącego się uniwersytetu. Kupowała synowi książki, płyty, pokazywała mu zagraniczne filmy artystyczne, zachęcała go do nauki włoskiego i innych języków, zabierała do stolicy kraju, wysłała do Stanów pod koniec szkoły średniej, żeby nauczył się angielskiego. Ciągle dbała o to, by miał szersze horyzonty niż jego ojciec. Po drugiej stronie stał właśnie on, komendant. Mężczyzna, który zorganizował mu i sfinansował pierwszą popijawę, pierwszą imprezę z mariachi, a nawet chciał fundnąć mu pierwszą noc z prostytutkami, gdyby tylko Ricardo się zgodził. Zabierał na niekończące się bankiety w modnych restauracjach, zapraszając go wraz z kolegami. Komendant liczył na to, że wyjazd syna za granicę pomoże mu się do niego zbliżyć, bo matka będzie daleko. Ale tak się nie stało. Ten czas, kiedy mieszkali razem w dzieciństwie Ricarda, zostawił w nim rany zbyt głębokie, by miały się tak łatwo zagoić.

Chociaż komendant starał się pokazać od jak najlepszej strony, kiedy razem pracowali, i zlecał Ricardowi ciekawe zadania, jego syn nie był ślepy i szybko zauważył, jak przerażeni są ludzie przychodzący na spotkania z jego ojcem. Że komendant spotyka się zawsze o dziwnych porach i w takich miejscach, jak choćby ten nowy gigantyczny hotel, porzucony w połowie prac budowlanych, ranczo za miastem albo jacht

zakotwiczony przez parę godzin w miejscowej marinie, a potem odpływający ile tylko pary w silnikach w siną dal. Nie zajęło mu też długo odkrycie, że jego rodzic miał przy szosie prowadzącej do stolicy dobrze strzeżoną metę, do której zabierał najtrudniejszych więźniów, takich, których trzeba przesłuchiwać na osobności. Aż pewnego dnia, zaskoczony tym, że od dwóch dni nie widzieli się w biurze, musiał jechać po niego do jakiejś kantyny, gdzie zastał go z zabandażowanymi dłońmi i we wściekłym humorze, pijącego białą tequilę w towarzystwie Chudego i Dorada. W tych dniach Komisja Praw Człowieka wystosowała oskarżenie pod adresem komendanta, ponieważ trwale uszkodził fizycznie jednego z przesłuchiwanym. Kiedy syn zapytał, czy ma zwyczaj bić swoich aresztantów, Margarito wyjaśnił:

– Widzisz, czasami jest tak, że łapiemy takich typów, co to nie chcą gadać. Dzięki dojściom gdzieś wysoko albo dzięki swojej kasie czują się tak pewnie, że zakładają, że zanim zdążymy się nimi zająć, będziemy musieli ich puścić wolno i przeprosić. Kiedy są to prawdziwe bydlaki, jakich nie powinno się wypuszczać, trzeba jakoś przełamać ich opór. A jedynym sposobem na złamanie naprawdę wielkich drani jest dobieranie się do nich krok po kroczku, jak do skorupki jajka, żeby pękła, a wewnątrz się nie wylało. Trzeba mieć cierpliwość i pokazać im, że przynajmniej na razie nikt nie wie, gdzie są. I że nikt im nie przyjdzie z pomocą, dopóki nie opowiedzą wszystkiego o swoich wyczynach i nie podpiszą zeznań. Tak pracuje policja w całym kraju i zawsze tak było. Są nawet kursy na temat tego, jak zbić skorupkę, nie rozlewając jajka.

Jego syn poczerwieniał i wyszedł wtedy z knajpy. Nie zjawił się już na komendzie, nawet żeby złożyć wymówienie.

Teoria jajka nie była jedyną rzeczą, która oddaliła Ricarda od ojca. Do tego trzeba było dołożyć świeże pogłoski, w myśl których komendant chronił Nowych. Jego ciągle sekretne spotkania i fakt, że ewidentnie żył na wyższej stopie, niż pozwalałaby mu na to jego pensja: dom w mieście i drugi przy plaży, wyjazdy za granicę, co roku nowe auto, młodsza kochanka, biżuteria i zegarki. Od kiedy sięgał pamięcią, a przede wszystkim w czasach jego gimnazjum i szkoły średniej, Ricardo albo obrywał od swoich kolegów, albo był przez nich odtrącany, dopóki matka nie zdobyła mu stypendium w Montrealu. Od tego czasu rzadko rozmawiał z Margaritem. Kiedy wrócił, nie widzieli się niemal dwa lata.

– Wszystkiemu przyjrzymy się po kolei. Ale musisz mnie wysłuchać. Musisz też poznać tych gości, z którymi teraz trzeba walczyć. To nie byle kto.

– Konkurencja dla kumpli? Mam informacje także na ich temat. To renegaci z meksykańskiej armii.

Margarito przytaknął.

– Pochodzą z armii, ale nie tylko meksykańskiej, także z gwatemalskiej, miewamy tu nawet tamtejszych najemników. No i jest jeszcze ta grupa, co wróciła ze Stanów. Nazywają ich tu Czterdziestką. Pilnowanie, żeby się ciągle nie ostrzeliwali i nie zabijali ludzi, to niełatwa robota.

– No i wcale pan jej dobrze nie wykonywał, komendancie.

I rozłożył miejscową gazetę spoczywającą dotąd obok Tuńczyka. Nagłówek na pierwszej stronie głosił: „Masakra dwudziestu osób”. Na zdjęciu widać było stos ludzkich ciał na jakimś podmiejskim pustkowiu. Zwłoki podpalono i porzucono na widoku, z jasnym przekazem, że nikt nie zamierza ich grzebać w ziemi. Choć obecności ciał domyślono się po wyjątkowej liczbie sępów krążących po niebie, wieśniacy z okolicy znaleźli je dopiero po dwóch dniach albo dopiero wtedy zebrali w sobie tyle odwagi, by donieść o znalezisku. I tak to wyglądało: dwadzieścia zamordowanych osób, żadnych świadków ani śladów, egzekucja na środku pustego pola. „Wszyscy dobili jedną kulą”, jak wyjaśniał artykuł. Robota zawodowców, co Margarito znał doskonale. Wystarczy oddział trzech, najwyżej czterech dobrze wyszkolonych ludzi, żeby zatrzymać taką liczbę bezbronných cywili, zaprowadzić ich na pustkowie i tam powystrzelać. Komendant znużony już był powtarzaniem zabójcom: „Rabujcie, przeganiajcie, ale nie zabijajcie, to nikomu na dobre nie wychodzi”. Ale od jakiegoś czasu nikt nie zwracał na niego uwagi. Od kiedy wybuchła wojna między dwiema grupami, regularnie zdarzało się, że raz na dwa tygodnie przepadało po dziesięć albo i więcej osób. Tyle czasu potrzebowała dana grupa, żeby porwać dystrybutorów pracujących dla konkurencji i sprzedawców rozprowadzających towar na ulicy. Z początku ludzie ci po prostu na zawsze znikali, zakopani na jakimś ranczu, ale od jakichś dwóch miesięcy znajdowano części ich ciał albo całe zwłoki w ważnych punktach miasta. Tym razem znaleziono całą dwudziestkę, co stanowiło rekord. Zgodnie z umową z obiema grupami komendant ograniczał się do komunikowania na konferencjach prasowych, że śledztwo jest w toku.

– Bardzo łatwo umywać ręce i powtarzać, że takie przestępstwa to kompetencje policji federalnej...

– Nie mogę ci tego wyjaśnić ot tak, z biegu, ale to jest sytuacja przejściowa. To się szybko skończy.

– Kiedy jedna banda wybije do nogi drugą?

– Kiedy się dogadają. Słyszałeś o tym, co się stało w La Nopalerze? Wiesz, jak długo nowy komendant utrzymał się na stanowisku? Godzinę piętnaście. Godzinę piętnaście – powtórzył.

Rozmowa urwała się, akurat kiedy stanęli na pierwszych czerwonych światłach.

– Co zamierzasz powiedzieć na konferencji prasowej? – komendant zapytał syna. – Dobrze to przemyśl, bo będą tam reporterzy z „Proceso” i „La Jornady” i zadadzą ci skomplikowane pytania.

– Na przykład jakie?

– Na przykład, co zamierzasz zrobić z masowymi egzekucjami, które wydarzyły się w tym roku. – Komendant wskazał na leżącą między nimi gazetę. – I co im powiesz?

– Że wyjaśnienie tych spraw to mój priorytet. Nawet jeśli miały miejsce na rogatkach. Zamierzam do tego wrócić.

– Odbiło ci? Chłopie, to są sprawy, które do niczego nie są ci potrzebne! Niech te gnoje pozabijają się między sobą! – huknął Margarito, a jego syn spojrzał na niego jakby z litością. – Nie pakuj się w to, nic dobrego ci z tego nie przyjdzie. Pamiętaj o La Nopalerze. Godzina piętnaście.

Czekali na zmianę światła na zielone i Ricardo powiedział:

– Słyszałem, że porwano córkę pana de Leóna – rzucił. – Podobno ojciec maczał w tym palce.

Margarito wzruszył ramionami.

– Przedwczoraj zatrzymałem podejrzanego pochodzącego z Veracruz. Mam go w areszcie, szykujemy jego zeznania i możliwe, że lada moment pęknie.

Syn przyglądał mu się przez chwilę. Zastanawiał się, czy jego ojciec, doskonały kłamca, mówi teraz prawdę, czy nie. I dodał:

– Podobno żąda ojciec trzech milionów dolarów.

Margarito uśmiechnął się do syna.

– Jakbym dostał taką kasę, tobym się nie obraził, zwłaszcza teraz, kiedy wysyłają mnie na głodową emeryturę.

– A co mi ojciec powie o Trzech Szaleńcach?

W ciągu ostatnich miesięcy trio gliniarzy zabiło w różnych strzelaninach kilku przestępców, przede wszystkim członków gangów.

– Tych to mi burmistrz wcisnął... i muszę ich tolerować.

Ricardo posłał mu niechętnie spojrzenie.

– Jak może się ojciec godzić na takich psychopatów w swojej ekipie?

Często można było natknąć się na ich nazwiska w dzienniku „El Imparcial de la Sierra”, bo zatrzymani przez nich ludzie nierzadko nie wychodzili już nigdy żywi z celi. Pisał o nich też Juan Nieustraszony w „Proceso”.

Znaleźli się na wysokości centrum handlowego. Nad asfaltem unosiła się mgła, światło odmalowywało na niej niezwykle kształty, ale policjant zdawał się niczego nie dostrzegać.

– Podoba ci się? – Komendant skinął w stronę centrum, salonów samochodowych i restauracji, na które jego syn tak bardzo zwracał uwagę. – Będziesz zaskoczony, jak wiele firm, także prowadzonych przez twoich znajomych, w ten czy inny sposób jest powiązanych z ludźmi „od interesów”. Na to nie ma rady.

Syn milczał i dopiero po chwili zapytał:

– A o Treviño nie ma żadnych wieści?

Margarito wzruszył ramionami i wyjrzał przez okno.

– Ani śladu.

Co w ścisłym tego słowa znaczeniu było prawdą. Acz niedługo miało się to zmienić.

Potem zamilkł. Jeśli komendant był czegokolwiek pewien, to tego, że jego syn będzie chciał przekonać Treviña do powrotu do służby. Nie przypadkiem świetnie się dogadywali, gdy pracowali razem. Komendant jednak nie znosił Treviña.

Margarito spojrzał znów na syna i dostrzegł w jego oczach wyraz wielkiej nienawiści. Przez jakiś czas milczał, aż w końcu dodał cicho:

– Chcę cię prosić o przysługę. Zatrzymaj Chudego, Dorada i Tuńczyka. Znają cię od zawsze. Jeśli ktoś umie o ciebie zadbać, to oni. Moje chłopaki.

– Mój przełożony życzy sobie, żebym zaciągnął chłopaków świeżo po akademii. Takich, którzy jeszcze nie są zepsuci.

– To przyznaj im chociaż wcześniejszą emeryturę. Nie zostawiaj ich na lodzie.

– Sprawdzę, co się da zrobić.

Ricardo patrzył przez okno na brudne dzieci myjące samochody parę kroków dalej. Rzeczywiście w niczym nie przypominał syna, którego wychowywał komendant. Tego współczującego i szczodrego człowieka, który nawet nie umiał odpowiedzieć oschłym tonem. Gdyby wiedział, pomyślał komendant, jakie tony gówna na niego czekają. Zobaczymy, czy za dwa, trzy lata też będzie tak chojraczył...

– O, tam – odezwał się Ricardo i ojciec podążył za jego spojrzeniem.

Choć nie było jeszcze nawet dziesiątej rano, na nadmorskim deptaku kręcili się muzycy, wróżbiarki, masażyści, trenerzy tai-chi, reklamujący swoje usługi na szyldach przytroczonych do pleców, rastafariańscy fryzjerzy oraz cały legion turystów, żebraków i wędrownych handlarzy, oferujących różańce i święte obrazki, dywany, kilimy, hamaki, rękodzieło, stroje kąpielowe, sandały, chusty, kapelusze, krewetki na patyku i srebrną biżuterię.

Margarito z kolei zainteresował się dwoma facetami idącymi pieszo, ubranymi jak robotnicy i tak nędznie, że od razu zbudził się w nim policyjny instynkt. Wyczuł coś mrocznego i głęboko skrywanego, jakiś przestępczy powiew.

– Podaj mi radio – rzucił do Tuńczyka. Z nadajnikiem w ręku odezwał się do Chudego:

– Przyjrzyj się tym dwóm na mojej dziewiątej i sprawdź, czego szukają.

– Tak jest, szefie.

– Ale nie ty sam, poślij tam patrol.

– Wysadźcie mnie tutaj – odezwał się Ricardo.

Zajechali na parking pod ratuszem. Margarito miał świadomość, że nie powiedział czegoś ważnego, ale suburban zahamował już przed ogrodzeniem. Zanim ludzie z ochrony zdążyli wysiąść, świeżo mianowany szef miejskiej policji spojrział na niego raz jeszcze i rzucił:

– Na razie, tato. Nastały ciężkie czasy.

Ricardo wysiadł, wziął walizkę i ruszył w stronę schodów. Margarito burknął coś pod nosem, a potem przez krótkofalówkę wydał polecenie swoim ludziom, żeby pilnowali nowego komendanta.

– Chudy, idź za nim. Masz go nie zostawiać ani na sekundę.

– Pan też idzie, szefie?

– Dołączę do was za kwadrans.

Następnie zwrócił się do Tuńczyka i Dorada:

– Wy też idźcie i miejcie na niego oko. I zostawcie mi kluczyki.

Kierowcy wysiedli i Margarito przesiadł się za kierownicę, a potem przejechał wszystkie czerwone światła aż znalazł się przed kościołem Santo Refugio de los Pescadores.

Od jakiegoś czasu nic nie uspokajało go tak, jak wizyta w tym kościele i przylegającym do niego żeńskim klasztorze. Zaparkował suburbana tuż pod potężnym starym drzewem puchowca, a potem bardzo szybkim krokiem wszedł do środka. Nowicjuszeki właśnie skończyły poranne porządki i szykowały śniadanie dla starszych osób, którymi się tam opiekowano, przywitały go, ledwie wszedł.

– Zostanie pan na śniadanie, komendancie? Możemy panu zrobić pyszne taco.

– Nie, wielkie dzięki, siostrzyczki. Mam masę roboty. Muszę tylko coś sprawdzić.

Przeszedł przez główne patio, na którym trzy zakonnice rozsadzały na ogrodowych krzesłach pół setki staruszków.

– Tak wcześnie zamawia pan paciorek, panie komendancie?

– Ha, gdyby siostra wiedziała, o której dziś wstałem – Margarito rzucił odpowiedź, nawet się nie zatrzymując. – Mam ostatnio masę roboty.

– Chwała Panu! Idzie pan do kapliczki?

– Obiecałem mamie.

– Niech Bóg panu wynagrodzi.

Zakonnice uśmiechnęły się i odprowadziły komendanta wzrokiem aż do kaplicy. Komendant wszedł do środka. Był tam tylko jeden paralytyk na wózku. Margarito wyszedł tylnymi drzwiami. Dotarł pod półtorametrowy mur otaczający parcelę, rozejrzał się, czy nikt nie patrzy, i przeskoczył go, lądując na niezagospodarowanym terenie.

Od chyba dwudziestu lat do tego ogrodu, tak samo jak do jego duszy, nikt nie wchodził i nie wyrywał chwastów. Choć chaszczki sięgały mu do kolan, ruszył pewnie ścieżką, którą sam wydeptał przez te wszystkie dni. Dotarł pod prowizoryczny domek, trochę pustaków i cegieł bez tynku, druty zbrojenia wciąż wycelowane w niebo. Zastukał trzy razy w metalowe drzwi w umówiony sposób. Czterdziestoletnia kobieta uchyliła je i przekonawszy się, że to on, wsunęła broń za pasek. Umieblowanie ograniczało się do pryczy, koca w kwadraty i małego

telewizorka stojącego na krześle. Były jeszcze dwie pary drzwi w głębi pomieszczenia.

– Jak się dziś mamy?

Niema, która nie poradziła sobie jeszcze z szokiem po śmierci Busa, przytaknęła szybko na znak, że dziewczyna dobrze spała i wszystko jest pod kontrolą. Panuje spokój. Musiał przyznać, że Niema się sprawdza. Trwała wiernie na stanowisku, choć przecież zabito jej faceta.

– Zasnęła? – zapytał zaskoczony policjant.

Kobieta dała mu znak, żeby poczekał, i pokazała mu buteleczkę z mocnym środkiem nasennym. Gestami wyjaśniła, że podała dziewczynie jedną dawkę, ta wypła i śpi jak suseł.

– Żebyś nie przeholowała – ostrzegł ją komendant, a kobieta pokręciła głową, jakby chciała rzec: „No nie, proszę tak nie mówić, nie zrobiłabym czegoś takiego”.

Margarito uchylił zasłonkę od judasza w jednych drzwiach i przyjrzał się blond ślicznotce liczącej raptem siedemnaście lat, leżącej na brzuchu, półnago, na materacu rzuconym na podłogę. Jego wisienka na torcie. Gdyby nie kazał Tuńczykowi założyć podsłuchu na telefonie pana de Leóna, Treviño już by mu ją sprzątnął i zegnaj planie emerytalny. Dzięki forsie, którą za nią dostanie, rzeczywiście będzie mógł zrobić sobie wolne.

No ale trzeba ją było widzieć. Rzeczywiście słusznie ludzie gadali, że to najśliczniejsza dziewczyna urodzona w La Eternidad, a przecież miasto znane jest z urody długonogich, wąskich w talii kobiet o subtelnych rysach i jasnych oczach. Żeby nie próbowała uciekać, zostawili jej tylko białe majtki, które kupili, i różową koszulkę. Komendant przy każdej wizycie podziwiał jej długą blond czuprynę, rozsypaną jak wesoła kaskada na materacu. Wtedy mocno zapukał do drzwi. Pukał tak długo, aż dziewczyna zaczęła się przeciągać. Przekonał się, że żyje, i zasłonił wizjer.

Niema uniosła ręce w pytaniu, co zamierza i ile to wszystko jeszcze potrwa.

– Już zbliżamy się do końca, nie martw się. Dziś w nocy będzie po sprawie... Tak, dzisiaj. Daj mi momencik.

I ruszył zwawo pod drugie drzwi, na końcu korytarza. Zajrzał przez judasza i przekonał się, że Treviño wisi tam za ręce, przyczepiony łańcuchem do sufitu. Margarito pomyślał, że nic się nie stanie, jeśli spóźni

się nieco na ceremonię, i wszedł do środka. Podszedł do związanego i zafundował mu serię kopniaków pod zębra. Ten zwijał się z bólu.

– Wiem, że boli, ale nie ma pośpiechu, nieprędko wykitujesz. Na pewno nie w ciągu najbliższych dwóch tygodni. Od dawna zaglądałem dosłownie pod każdy kamień, żeby cię znaleźć, więc teraz chciałbym się nacieszyć tym spotkaniem. Czasu dla ciebie będę miał aż nadto, bo zaraz idę na emeryturę.

Komendant zdjął koszulę, powiesił ją na gwoździu i podszedł, żeby znów sprzedać więźniowi parę kopniaków. Przerwał tylko na chwilę, żeby zetrzeć pot z czoła.

– To za Busa, jednego z moich ulubionych współpracowników. Gdybyś wiedział, ile czasu zajęło nam przygotowanie tego porwania... Busowi ufałem ślepo i sporo musiałem się natrudzić, żeby wprowadzić go w szeregi ludzi tego milionera. Jak mi go sprzątnąłeś, sprawy mocno się skomplikowały. Nie mogłem odebrać swojej kasy. Ale teraz wszystko znów się układa. Jako że tak długo nie było od ciebie wieści, pan de León uznał cię za martwego i zgodził się na wypłatę nie trzech, ale czterech milionów dolarów temu, kto mu odda córkę. Niezła kasa, co? Uznam to za darowiznę na moje konto oszczędnościowe. Nawet jak mi się skończą środki, wcale się nie zmartwię. Mój syn, Ricardo, właśnie obejmuje stanowisko komendanta policji. Widzisz, wszystko zostaje w rodzinie.

U stóp więźnia zaczęła się tworzyć kałuża krwi.

– Pięć lat temu zirytowało mnie, że mój zaufany człowiek wystawia mnie do wiatru, kiedy właśnie zaczynamy robić sensowne interesy z ludźmi z branży, no ale taka była twoja decyzja. Nie mogę jednak pozwolić, żebyś mi się tu pałętał, zwłaszcza że obaj wiemy doskonale, że masz na mój temat niezłe informacje.

Komendant Margarito wstał i załomotał pięścią w metalowe drzwi. Po minucie zajrzała tam Niema i odezwał się do niej:

– Przynieś mi kawałek szlauchu.

Niema zapytała gestami, czy chce wody.

– Wody nie, tylko kawałek węza ogrodowego dla tego pana. – I machnął ręką, jakby trzymał w niej bicz.

Niema przytaknęła i zamknęła drzwi. Komendant podszedł do wiszącego ciała, obrócił tak, by twarz więźnia znalazła się przed jego twarzą, i powiedział:

– Obiecałem, że połamię ci każdą najmniejszą nawet kosteczkę, i teraz się tym zajmę, oj zajmę. Ja lubię dotrzymywać słowa.

Uchyliły się drzwi i Niema wręczyła mu żądany przedmiot. Pokazała też na zegarek. Zbliżała się dziewiąta.

Margarito przymknął oczy.

– Masz fuksa. Ale jeszcze do ciebie wrócę, nie myśl sobie, że skończyłem. Nie zrezygnuję z ćwiczeń, to dobre dla zdrowia.

Pomyślał, że za parę godzin stanie się naprawdę zamożnym człowiekiem, a Treviño wyląduje za kratkami albo w grobie, oskarżony o porwanie dziewczyny. Zajmowanie się wymiarem sprawiedliwości w La Eternidad zawsze było lukratywnym zajęciem, ale przy okazji sporo trzeba było zainwestować... Zwłaszcza jak się miało być żoną i syna na studiach w Kanadzie oraz bandę takich bydlaków jak ci Nowi, którzy zajmują się inkasowaniem haraczy. Pan de León będzie jednak hojny, w przeciwnym razie nie zobaczy już swojej córeczki.

Nie znosił faceta, wyrównywanie rachunków dopiero się zaczęło. A zawsze można było jeszcze przetestować, jaka jest ta dziewczyna. Na razie jedynym, który się nią zajmował, był Tuńczyk. W życiu nie zostawiłby tej małej w rękach któregośkolwiek ze swoich agentów, który nie byłby zdeklarowanym gejem. Żeby tatuś zapłacił jak trzeba, musiała przetrwać cała i zdrowa. Choć określenie „zdrowa” to rzecz względna...

Musiał się spieszyć. Wytarł pot z czoła i z powrotem założył koszulę.

– Ciesz się swoimi ostatnimi chwilami. Mam nadzieję, że lubisz smród szczyń.

Niema otworzyła i zamknęła za nim drzwi, a komendant wrócił pośpiesznie do większego pokoju i tak samo jak ona założył sobie na głowę kominiarkę, leżącą dotąd na telewizorze. Wtedy kobieta wyszła i wróciła z dziewczyną, trzymając ją za włosy.

– Nie, nie, proszę, nie.

– Nie szarp się, bo brzydko wyjdiesz – odezwał się policjant. – Pomachamy tatusiowi.

Niema przytknęła dziewczynie lufę do tułowia, co zniechęciło porwaną do gwałtowniejszych ruchów. Nogi jednak uginały się pod nią. Nie miała sił na ucieczkę.

Komendant wziął telefon, który podała mu kobieta, i wykręcił jedyny zapisany w nim numer, przytykając do gardła urządzenie do zniekształcania głosu. Po drugim sygnale odezwał się mężczyzna:

– Halo?

– Jak się pan dziś miewa?

– Chcę z nią porozmawiać! Daj mi ją!

– Chwileczkę, już wszystko dogrywamy. Przygotowałeś to, o co prosiłem?

– Mam to od dwóch dni. Jak się czuje moja córka? Domagam się rozmowy z nią!

– Ty się niczego domagać nie możesz, kolego, więc sobie daruj. Zamknij się i słuchaj.

Podgłośnił telefon i przytknął dziewczynie do twarzy.

– Mów.

Dziewczyna się rozplakała.

– Tato... to ja... ja nie chcę, ja nie... zabierz mnie stąd... proszę...

– Córeczko!

– Córka twoja mać – wtrącił się komendant. – Nie chce nic jeść ani pić, żeby nie sikać, więc lepiej się pospiesz, bo marnie wygląda.

– Córeczko! Jak się nazywał twój pierwszy pluszak?

– No daj spokój... – parsknął policjant.

– Królik Bugs.

– A gdzie myślałaś, że mieszka Święty Mikołaj?

Znów dostała spazmów, zanim wydusiła odpowiedź:

– W domu babci...

Policjant odsunął gwałtownie telefon i powiedział:

– Dziś w południe dostaniesz instrukcje. Nie zastosujesz się, wszystko szlag trafi.

I rozłączył się. Kobieta zawlokła dziewczynę do pokoju bez okien. Zamknęła ją i wróciła do komendanta. Wtedy zdjęli kaptury.

– Wszystko w porządku, nie?

Niema przytaknęła bez specjalnego zapału. Podobne rozmowy telefoniczne już słyszała, i to lepsze, z większym natchnieniem, ale nie wyszło najgorzej.

– Musisz cały czas uważać i nie otwierać nikomu prócz Tuńczyka.

Niema przytaknęła: „Nie musisz tak się wydzierać, wszystko wiem”.

Policjant zamknął za sobą ostrożnie, żeby nie trzasnąć drzwiami, i wrócił tą samą drogą, którą przyszedł. Przekonał się, że żadni ciekawscy nie kręcą się koło murka, przeskoczył na teren klasztoru i wrócił do kaplicy. Minął paralytyka i wyszedł równie żwawo, jak wszedł.

Kiedy znalazł się przy bramie głównej, czekała już na niego matka przełożona.

– Niech Bóg pana prowadzi, komendancie.

– I matkę też.

Suburban ruszał powoli, a przełożona spojrzała na towarzyszącą jej uśmiechniętą zakonnice o jasnych oczach.

– Oby było więcej takich jak on.

IV

Wszedł do reprezentacyjnej sali ratusza, kiedy ceremonia właśnie się zaczynała. Nowy burmistrz i jego ludzie odnotowali wejście Margarita bocznymi drzwiami, lecz całkowicie zlekceważyli jego obecność. Nie przypadkiem cała uroczystość została tak zaplanowana, by nikt nie musiał zbliżyć się do niego na mniej niż trzy metry, a przede wszystkim, żeby nowy burmistrz nie musiał uścisnąć mu dłoni.

Choć nie miał jeszcze czterdziestu lat, nowy zarządca miasta zyskał sławę w całym kraju. Nawet sam komendant przyczynił się do tej sytuacji, choć nie tak, jak by sobie tego życzył burmistrz: przez historię z cudzoziemką, która wypadła z dziesiątego piętra. Jednak w ciągu ostatnich miesięcy, od kiedy ogłosił, że będzie się ubiegać o fotel burmistrza, objechał wszystkie portowe miasta turystyczne w kraju: Isla Mujeres, Cancún, Vallarta, Huatulco, Ixtapa, Los Cabos. Potem wybrał się do Miami, Cartageny, Rio de Janeiro. Dotarł nawet do Mar del Plata. Wszystko to miejsca, którymi, jak mówił, chce się zainspirować, żeby zmienić La Eternidad w kurort z prawdziwego zdarzenia, na najwyższym poziomie. Tak w każdym razie obiecywał w trakcie kampanii.

Facet wydał mu się młodszy, niż kiedy widzieli się ostatnim razem, jakby poznikały mu zmarszczki. Zwrócił też uwagę na jego jasne, jedwabiste włosy, bardziej pasujące do kobiety. Spektakularnie bujna czupryna, jeszcze bujniejsza niż jego reputacja. Do tego miał opuchnięte usta, jakby coś przy nich majstrował chirurg plastyczny. Na widok Margarita zagryzł te wargi. Kosmyki jego włosów zafalowały, a komendant nie odezwał się ani słowem. Jakoś nie przekonywali go faceci noszący peruki.

Chwilę przez rozpoczęciem ceremonii zauważył, że Chudy daje mu znaki w stronę korytarza.

– Co się dzieje?

– Mamy ich, szefie. Twierdzą, że są z Chiapas, ale mają środkowoamerykański akcent. – Komendant prawie zapomniał o tych trzech podejrzanych wyglądających typach, którzy kręcili się przy ratuszu. Chudy naprawdę się wykazał. – Na rękach mają pełno tatuaży, może

szukają w Tampico przedstawiciele innych gangów. Wysłałem ich na komendę na przesłuchanie.

– Czyści byli?

– Nie mieli broni ani dragów. I jeszcze jedno...

Chudy czubkiem brody wskazał w stronę parkingu.

– Eskorta pańskiego syna domaga się przekazania im radiowozów. Odpowiedzieliśmy, że to dopiero na komendzie, jak podpiszą co trzeba. Niech sobie na razie idą spacerkiem, prawda, szefie?

Komendant rzucił okiem na syna i wydał polecenie Chudemu:

– Niech Dorado weźmie mojego syna suburbanem i odda im radiowóz. W drugim pojedziemy ja, ty i jeszcze Tuńczyk. A reszta ma jechać do biura, jak tylko skończy się ta impreza.

– Tak jest – pożegnał się Chudy.

Wtedy zadzwoniła komórka i wiedział, że musi odebrać. To był agent federalny, który badał sprawę pogroźek. Poprzedniego wieczora, świadom, ile ryzykuje, postanowił zwrócić się o pomoc do Adriána Melgozy, jednego ze swoich znajomych, młodego technika, którego on sam wyciągnął z Los Coquitos i wspierał podczas studiów na akademii wojskowej. Teraz chłopak pracował dla federalnych. Jeden z jego lepszych kontaktów w tej instytucji, w wydziale wywiadu. Telefoniczne wymuszenia i groźby porwania stały się w ciągu ostatnich lat tak powszechne, że rząd uznał za konieczne wyszkolenie nowych kadr w zakresie komputerów i informatyki, procedur śledczych i namierzania ze stolicy kraju podejrzanych rozmów. Komendant zadzwonił do Adriána z prośbą o sprawdzenie, skąd do niego dzwoniło. Ale z pominięciem informowania o tym przełożonych. Chłopak obiecał, że sprawdzi to nazajutrz, kiedy tylko będzie w pracy. Dlatego komendantowi tak zależało na odebraniu telefonu. Wyszedł na taras, żeby porozmawiać na osobności.

Niewielkie patio z widokiem na morze to najprzyjemniejsze miejsce w budynku ratusza. Żałował, że tak rzadko tam bywał. Nie przyszedł jednak po to, żeby podziwiać widoki.

– Bardzo mi przykro – w słuchawce odezwał się głos agenta. – Robiłem, co mogłem, ale zderzyłem się ze ścianą.

Wyraźnie zmartwiony agent poinformował go, że do tej rozmowy zastosowano specjalne urządzenie do zakłócania sygnału, tak że nie da się w żaden sposób namierzyć aparatu, z którego dzwoniło. Starał się

wprawdzie złożyć jakoś ten zniekształcony sygnał i określić miejsce jego wyjścia, ale jedyne, co zdołał ustalić, to to, że dzwoniło gdzieś z okolic La Eternidad.

– Jedno pytanie, przyjacielu: czy to możliwe, że dzwoniło z więzienia federalnego?

Komendant wiedział, że w więzieniu w La Eternidad całkiem sporo osadzonych, mimo wyroku, zajmuje się wymuszaniem haraczy przez telefon i że mają tam urządzenia do zakłócania sygnałów, tak żeby nie dało się ustalić numeru dzwoniącego. Bo... sam na to zezwolił. Dzwonili późno w nocy na przypadkowy albo na wskazany przez jakiegoś zewnętrznego współpracownika numer, podawali informację, jakoby uprowadzili kogoś bliskiego, i jeśli sztuczka im się udawała, zmuszali taką osobę, by poszła do bankomatu, wyciągnęła żadaną sumę i zostawiła ją we wskazanym miejscu na uboczu. To była jedna z popularniejszych wersji ekspresowego porwania: fałszywe uprowadzenie. Komendant znał tych, co się zajmowali takim procederem, bo sam ich tego nauczył i pobierał prowizję od interesu. Więźniowie jakoś przecież musieli dla niego dorobić, kiedy stracił wpływy ze sprzedaży używanych aut. Jednak specjalista zaprzeczył takiej możliwości.

– To dużo dalej... Nie, taka lokalizacja nie wchodzi w grę. – A ponieważ Margarito milczał, chłopak dorzucił: – Chce pan, żebyśmy założyli panu podsłuch, komendancie? To by nam pozwoliło namierzyć aparat, z którego dzwoni, jeśli jeszcze się odezwie...

Nie miał zamiaru się zastanawiać. Nie będzie przecież ryzykował, że nagrają też te inne rozmowy, jakie często prowadzi z tajnego numeru. A przez najbliższych parę godzin trochę tego będzie.

– Wolałbym nie. Dzięki za wsparcie.

Wyciągał właśnie papierosa, kiedy zauważył, że ktoś wychodzi na taras.

Lekko łysawy jankes podszedł i podał mu ogień.

Dopiero po chwili go rozpoznał. Był to konsul Don Williams, jeden z najbardziej upierdliwych ludzi, jakich w życiu poznał. Gość sprawiał wrażenie przybitego.

– A, pan konsul, jak się pan miewa?

– Dzień dobry – odpowiedział. – Już myślałem, że pan mnie nie pamięta. Machałem od dłuższej chwili.

Pomyślał, że musi sobie sprawić porządne okulary, w ogóle nie zauważył człowieka.

– A czego pan konsul sobie ode mnie życzy?

– Chciałbym tylko wiedzieć, czy są jakieś nowe ustalenia w sprawie porwania Cristiny de León.

Tuż nad nimi przeleciała mewa.

– Oj, panie konsulu, o takich sprawach mogę informować tylko rodziców porwanej. A jeśli dobrze rozumiem, pan już im nie doradza...

Konsul posłał mu wściekłe spojrzenie.

– To bardzo dziwne, że pańskie radiowozy zablokowały wszystkie wyjazdy z osiedla, na którym mieszka pan de León. Straciliśmy sporo cennego czasu.

– Tłumaczyłem już, że szukaliśmy zbiega. To dla dobra całej społeczności.

– Może pan mówić, co się panu podoba, ale kiedy zjawiliśmy się na miejscu wskazanym w rozmowie telefonicznej, zastaliśmy tam tylko jednego z ochroniarzy pana Rafaela de Leóna, martwego, w opuszczonym mieszkaniu. A prowadzący sprawę detektyw przepadł. Jakby sprawca starał się zamaskować tropy...

– Proszę nie popadać w paranoję, panie konsulu. Znam niejednego, który marnie skończył przez grzebanie w takich sprawach. Niech pan o tym więcej nie myśli, tylko cieszy się życiem, skoro przechodzi pan na emeryturę.

Amerikanin nie wytrzymał.

– Niedługo się przekonasz, jak to jest, kiedy tracisz władzę i wszyscy chcą wyrównać z tobą rachunki. Uciekaj, póki możesz, Margarito.

Policjant uśmiechnął się szeroko.

– Dzięki za radę. A pamięta pan tę paczkę, którą skonfiskowaliśmy, porzuconą w amerykańskiej awionetce? Mówią, że za taką paczkę można sobie kupić domek na plaży. Na plaży w Kalifornii na przykład...

Rozległ się odgłos owacji i komendant zobaczył, że burmistrz zaczyna bez niego. Cholerny Pan Tupecik, prawdziwy z niego dupek.

– Za pozwoleniem, muszę tam wracać. Do widzenia, panie Kaczor.

Tuż przed otwarciem drzwi obrócił się i dodał:

– Malibu. Tak się chyba nazywała ta plaża, Malibu.

W ciągu ostatnich lat tak często się ścierali, że nie wzbudzało to już nawet zbyt wielkich emocji. Potem konsul zniknął na jakiś czas, a teraz

znów wrócił. Niektórzy Amerykanie są w stanie przywiązać się nawet do najcięższych kazamatów, w których pracowali.

Margarito usiadł na widowni na pierwszym wolnym miejscu. Przyjrzał się przybyłym i ku swemu zaskoczeniu w pierwszym rzędzie dojrzał swoją ekszonę w towarzystwie tego bęcwała, który wszędzie z nią łąził, najwyraźniej jej nowego faceta. Niejaki Pino Panetta, jeszcze jeden Włoch, który postanowił zapuścić korzenie w tym mieście. Był właścicielem restauracji La Buona Notte. Szczupły blondyn, cieszący się sławą wielkiego podrywacza pod koniec lat dziewięćdziesiątych, właśnie kiedy komendant rozstawał się z żoną. Ale fircyk, nie pogadasz, powtarzał policjant, który nie był w stanie znieść samego widoku rywala. Zawsze zachęcał swoich ludzi, żeby parkowali jeepa w taki sposób, by blokował wejście do restauracji. Żonie posłał szeroki uśmiech, ale ona odwróciła wzrok. A komendant zmełł w ustach przekleństwo, bo na pozdrowienie odpowiedział mu właśnie towarzysz żony.

Tuż za nimi siedzieli przedstawiciele nowych sił politycznych w mieście. Nowi deputowani, cała ekipa odpowiedzialna za kampanię wyborczą i miejscowi bogacze, wszyscy wypachnieni kosztownymi perfumami i w towarzystwie pięknych żon. Na jego widok wielu z nich odwracało głowy. Banda niewdzięczników, pomyślał komendant. Prawda, że w ciągu minionych lat niektórych z nich szantażował, ale z drugiej strony w pewnym stopniu pilnował porządku w mieście, tak żeby nie mógł się do nich dobierać byle bandzior, a taka pogarda nie wydawała mu się stosowna u dżentelmenów, jak by to ujął jego stary przyjaciel, detektyw Elías. Ech, Elías, stary draniu, ale mi ciebie brak. Szkoda, że cię tu nie ma i nie powiesz, co o tym myślisz.

– Stary bydlak, jak on śmie tu przychodzić...

Komentarz dobiegł go spomiędzy rzędów zajętych przez nowe elity. Od razu rozpoznał tych, którzy w ciągu ostatnich lat najbardziej dali mu się we znaki. obrońcy praw człowieka, przyjmujący teraz rządowe stanowiska, oraz parę ważnych figur miejscowej opozycji: kobieta, której męża zabito na wojskowym punkcie kontrolnym, studenci postrzeleni, kiedy szli na zajęcia, liderka grupy kobiet, których mężowie albo inni krewni zaginęli, pracownik przytułku dla sierot, które straciły rodziców przez rozlewającą się falę przemocy. Jego natomiast wspierali tylko osobiści ochroniarze i zaufani ludzie: sekretarka Robusta, Gruba, Chińczyk, Sony i Tuńczyk. Nieco dalej, otoczony wianuszkiem

mundurowych, machnięciem ręki pozdrowił go generał Roviroso. Jest przynajmniej jakiś kolega z branży. Dalej siedziało Trzech Szaleńców, bliżej ludzi nowego burmistrza niż swoich dawnych kolegów. Jeśli nawet go zobaczyli, to nie chcieli tego pokazać. Jeszcze dalej stało siedem osób z komendy, w tym Cástulo, zwany Carcasem, stary strażnik, oraz Caterpillar, która zjawiała się tu od czasu do czasu. Tylko oni okazali entuzjazm na jego widok, a Caterpillar jako jedyna zaczęła klaskać.

– Proszę państwa. – Burmistrz uraczył dziennikarzy papierowym uśmiechem. – Prowadzony przeze mnie urząd zyska dziś na sile dzięki obecności jednego z najbardziej szanowanych funkcjonariuszy, jacy pracowali w naszej miejskiej policji. Cechuje się nieposzlakowaną opinią i wzorową dyscypliną w wypełnianiu zadań. Jesteśmy przekonani, że dzięki jego pomocy zdołamy zostawić za nami czasy niepewności, które tak zaważyły na wizerunku naszego miasta.

Stwierdził, że co jakiś czas nowe pokolenie przejmuje pałeczkę po starym. Że tak dzieje się we wszystkich ludzkich grupach, a dziś wybiła godzina jego generacji. I że miasto stanie się jednym z najpopularniejszych kierunków turystycznych w kraju.

– Wzdłuż tej ulicy będzie się ciągnął szpaler palm, przy molu zacumują jachty, otworzymy nowe restauracje i hotele. Wybrukujemy drogi, pojawią się ławki dla starszych, wyasfaltujemy szosę prowadzącą na lotnisko. Tak jak wszyscy państwo, chcę zmienić La Eternidad w lepsze miejsce do życia...

Na tym etapie Margarito przestał już słuchać.

– ...i wierzymy, że nowy komendant policji będzie wspierał nasze starania w tej ostatecznej walce, którą tocymy z przestępczością.

„Ostateczna?”, zdziwił się Margarito. Chyba że „ostateczna przegrana”, bo przecież nie mamy nowej broni, mundurów, samochodów.

Ewidentnie nie mając najmniejszego zamiaru, by wypowiedzieć choć słowo uznania za trzydzieści lat służby dotychczasowego komendanta, burmistrz skupił się na snuciu wizji nowych czasów, na opowieściach o partii, która doszła do władzy dzięki zesłotygodniowym wyborom, po ponad osiemdziesięciu latach korupcji w mieście. Być może Margarito reagował paranoicznie, ale miał wrażenie, że słyszy liczne obraźliwe aluzje. Burmistrz krytykował błędy starego systemu, jak zatrudnianie osób bez przygotowania, przesądnych, mających ewidentne powiązania ze światem przestępczym, przynależących do „kultury pasożytnictwa”:

obiboków i oportunistów, którzy całe życie spędzali na plaży i właściwie nie pracowali. Błądził spojrzeniem po zebranych i zatrzymał się na dwudziestu kadetach, świeżo przybyłych z akademii, mężczyznach i kobietach, wszyscy mieli na sobie szorty i białe uniformy, bardzo zadbani i na baczność, stali w szeregu za burmistrzem i nowym szefem policji. Komendant uważał, że wyglądają, jakby mieli przystąpić do pierwszej komunii.

– Mam do ciebie tylko jedno pytanie, Ricardo. Jak daleko masz zamiar się posunąć?

– Tak daleko, jak to będzie potrzebne.

– Możesz liczyć na moje całkowite wsparcie.

Jakby to było wcześniej wyćwiczone, sala wybuchła wielką owacją. Burmistrz się uśmiechnął, niebieskie oczy i kręcone blond włosy podkreślały jego szeroki, serdeczny uśmiech, a następnie uściśnął dłoń Ricarda i rozbłysły flesze. Jakiś mężczyzna po prawej stronie komendanta skomentował do siedzącej obok żony:

– Zobaczysz, że burmistrz będzie następnym gubernatorem stanu.

Kiedy aplauz i flesze nieco się uspokoiły, dziewczyna zajmująca się w ratuszu PR-em wręczyła byłemu już komendantowi dużą kopertę.

– Pan burmistrz prosił, żeby przekazać panu tekst wymówienia. I prosi o podpis.

Margarito wziął kopertę, złożył ją na pół i schował do jednej z tylnych kieszeni spodni.

– Proszę mu powiedzieć, że to odeślę.

Dziewczyna z obawą patrzyła na znikającą z widoku kopertę i oddaliła się bez słowa.

Ludzie od promocji odwalili kawał dobrej roboty, bo większość pytań, które padły z sali, brzmiała jak wcześniej umówione. Ricarda pytano, czy będzie stosował różną politykę wobec poszczególnych grup przestępczych, na co odparł, że w żadnym razie, bo będzie dążył do rozprawienia się z nimi z całą stanowczością, na jaką pozwala prawo w walce z zakłócaniem porządku publicznego. Pytano go, czy będzie korzystał z wiedzy uzyskanej podczas zagranicznych studiów, na co odpowiedział, że po to tu właśnie wrócił. Chciano się wreszcie dowiedzieć, czy planuje szkolenie i zatrudnienie większej liczby funkcjonariuszy. Przed udzieleniem odpowiedzi na to pytanie spojrzał dyskretnie na burmistrza, który wciąż utrzymywał na twarzy ten swój

uśmiech. Czując się wywołanym do odpowiedzi, burmistrz natychmiast odparł:

– Ależ oczywiście, pan komendant otrzyma dodatkowe środki. Inaczej nie oferowałbym mu tego stanowiska. No cóż – zakończył – na tym się dziś zatrzymamy, bo pan komendant ma pilną misję do wykonania.

Burmistrz zaczynał już wstawać, kiedy zauważył, że Juan de Dios, który dotarł nieco spóźniony, podnosi rękę.

– Jestem Juan de Dios Cuevas z „El Independiente”. Chciałbym zapytać, panie komendancie, czy pan też zamierza lekceważyć pewne zdarzenia, jakie miały tu miejsce w ciągu ostatnich miesięcy, czy jednak będzie pan solidnie wypełniał swoje obowiązki. Od niemal dwóch lat dochodzi u nas regularnie do bardzo gwałtownych zjść, które nigdy nie zostały wyjaśnione, a poprzednia ekipa nawet nie chciała wszczynać śledztwa. Jakie są pańskie plany w tym względzie?

– Odpowiem – wtrącił się Ricardo.

Reflektory ekipy telewizyjnej znów się zapaliły, reporterzy ponownie włączyli dyktafony i skierowali je w stronę najbliższego głośnika.

– Jeśli ma pan na myśli masowe zabójstwa na obrzeżach miasta, to zapewniam, że prawo będzie stosowane bezwzględnie. Każde przestępstwo będzie wyjaśniane. To jeden z moich celów.

– Nawet śmierć dwudziestu osób zamordowanych wczoraj przy szosie 180?

– Ta sprawa interesuje mnie szczególnie i zamierzam poprowadzić ją osobiście.

Rozległy się bardzo entuzjastyczne oklaski. Reporter jednak nie odłożył mikrofonu i zwrócił się do burmistrza:

– A pan, panie burmistrzu, co pan sądzi o plotkach wiążących przemysł hotelowy z...

Burmistrz wydał swoje wydatne wargi.

– Proszę pana, nie zamierzam odnosić się do pogłosek, których jedynym celem jest szkodenie wizerunkowi mojej ekipy. Zostałem wybrany przez mieszkańców tego miasta i tylko przed nimi zamierzam odpowiadać, kiedy sobie tego zażyczą, a nie przed jakimiś złośliwymi oszczercami.

Ku zaskoczeniu Margarita w rzędach zajętych przez pracowników ratusza wybuchły oklaski i rozległy się gwizdy aprobaty. Tupecik ma ich

wszystkich w kieszeni. Margarito machnął na Dorada i Tuńczyka, by podeszli do Ricarda.

– Odwieziemy cię, kiedy tylko zechcesz.

– Nie ma takiej potrzeby, są tu już moi ludzie. Czekam na ojca w biurze, mamy do podpisania ostatnie papiery.

Komendant pokręcił głową, a jego syn zaczął wydawać swojemu nowemu osobistemu sekretarzowi instrukcje dotyczące przygotowania konwoju.

– Ci ludzie wyraźnie nie mają doświadczenia. Lepiej, żebym to ja cię odwiózł.

Ricardo spojrział mu prosto w oczy i powtórzył, że nie.

– Czekam w gabinecie. Niech ojciec przyjdzie z adwokatem.

Komendant Margarito dał znak Chudemu i Tuńczykowi, którzy zaraz do niego podeszli i ruszyli korytarzem, przepychając się łokciami przez nową eskortę składającą się z facetów wyraźnie węższej postury. Przypadkiem, wcale nie celowo, pchnęli też aktywistę praw człowieka.

Wyszli na zewnątrz, gdzie światło słoneczne podkreślało obrysy nieodległych ogrodów. Wyglądały jak zielone płomienie, palmowe liście błyszcząły na żółto. Komendant pomyślał, że niedługo będzie mieć sporo czasu na podziwianie krajobrazu, o ile nie wsadzą go do pudła, więc na razie zszedł na parking, gdzie jego syn i jego sekretarz wsiedli już do suburbana i zatrzasnęli drzwi, dając do zrozumienia, że nie życzą sobie jego towarzystwa. Odwrócił się, wypatrzył Chudego i ruszył szybko do najbliższego pikapa, tego z podwójną kabiną, którego prowadził z lotniska Tuńczyk. Czekał już z otwartymi drzwiami.

Zauważył, że jeden z jego samochodów, w którym jechało dwóch nowych rekrutów, wyprzedza suburbana i wyjeżdża z parkingu. Ewidentnie nie znali dobrze miasta, bo dojechawszy do bramy, zawahali się i ostatecznie skręcili w prawo. Zaraz po tym prowadzony przez Dorada suburban, wiozący Ricarda i jego sekretarza, wyjechał na szosę.

Tylko w jednej chwili spojrzenie komendanta spotkało się ze spojrzeniem jego syna. W ostatnim momencie Ricardo uniósł rękę i z uśmiechem pomachał ojcu. Komendant, mocno przybity, uśmiechnął się, na ile potrafił, i odmachnął.

Wlazał na tylne siedzenie pikapa, w którym czekali Chudy i Tuńczyk. Usiadł na skórzanym fotelu, gorącym jak podłóże piekła, pożałował, że

nie ma tu klimatyzacji, tylko raptem nędzny wentylator, którego powiewy nawet nie dolatywały na tylne siedzenie. Musiał sobie otworzyć okno.

– Jedziemy, Tuńczyk – rzucił kierowcy. – Żeby nas za bardzo nie zostawili w tyle.

– Zaraz ich dogonimy, szefie.

Tyle że teraz nie miało już żadnego znaczenia, czy dojadą na czas, czy nie.

Ku zaskoczeniu komendanta zamiast skręcić w nadbrzeżną aleję, decyzja najbardziej na tej trasie naturalna, pierwszy samochód konwoju zdecydował się jechać równoległą ulicą, brukowaną i znacznie węższą, gdzie ruch się blokował i po prawej stał cały rząd samochodów. „Widać, że to nieopierzeni kadeci, cholera”. Ale żadnych rozkazów wydawać już nie mógł. Stał pot z czoła, który kapał mu wielkimi kroplami; czuł, że nie jest w stanie oddychać. Coś uciskało go w piersi, toteż odpiął górny guzik koszuli. Siedzący z przodu Chudy puścił nawiew na maksa.

Jak zawsze w tych godzinach na głównych ulicach kręciło się mnóstwo ludzi: kobiety z dziećmi, pracownicy biurowi pędzący do pracy, uliczni sprzedawcy jedzenia, kobiety zmierzające na targ na zakupy, Amerykanie i inni turyści szukający przyjemnej knajpy na śniadanie.

Komendant zastanawiał się nad swoją najbliższą przyszłością. Rezygnację napisał ponad tydzień temu, ale nie podpisał jej w nadziei, że jakiś zaprzyjaźniony deputowany zaoferuje mu inną robotę, dzięki czemu zdoła zachować choć część przywilejów urzędnika państwowego. No ale nastał w końcu ten moment, kiedy trzeba się zbierać, i teraz nikt nie będzie odbierał jego telefonów, a oddanie władzy nastąpi za kilka minut. Popatrzył na Chudego i Tuńczyka. Był pewien, że większość jego lojalnych współpracowników wyląduje tak jak on: na ulicy.

Kiedy patrol jadący na czele konwoju docierał do rogu Matamoros i Allende, zobaczył, że jakaś ciężarówka z gazem jedzie na wstecznym i blokuje wyjazd. Pomyślał jak na niego dość łagodnie: co za pajac z tego kierowcy. Konwój zatrzymał się, a ciężarówka manewrowała, żeby zaparkować na poboczu. Dostrzegł jedną z tych wszędobylskich trójek dzieci ulicy, biegnących w stronę samochodów z zamiarem umycia przednich szyb w zamian za parę monet. Przyleciały roześmiane i ze zwinnością piranii. To z ludźmi robi rozpacz. A może powinien przestać się wygłupiać i poprosić o pracę swojego chrześniaka? Starczy tej roboty po stronie prawa.

– Jasna cholera!

Tuńczyk gwałtownie zahamował. Margarito już miał go zbesztać za takie hamowanie, ale nagle zobaczył, że ten łapie za rewolwer.

Wtedy zrozumiał.

Ujrzał wyraz twarzy chłopców, którzy wcale nie byli dziećmi, tylko bardzo szczupłymi i niskimi młokosami, a ich uśmiechy skrywały zupełnie inne emocje. Jednym z najbardziej znieawidzonych przez niego zjawisk byli bandyci uśmiechający się przed atakiem.

Wyglądało to tak, jakby tłum zaczął obrzucać pikapa kamieniami, i nagle dookoła niego rozległ się świst przecinanego powietrza, grad pocisków spadł na lewy bok samochodu. Tuńczyk i Chudy zaczęli podskakiwać, jakby im ktoś wrzucił skorpiony za koszule. Przednia szyba pokryła się pajęczyną pęknięć, przez które nic już nie było widać. Komendant poczuł szarpnięcie na lewym ramieniu i zobaczył, że ma tam rozdartą koszulę. Tuńczyk nagle rzucił się do przodu, ale nie zdołał dopasować się do rytmu bombardującego ich gradu. Pieczenie w ramieniu zyskiwało na sile. Zanim zdążył zrozumieć, co się dzieje, zobaczył, jak Chudy pochyła się i pada boki na kolana Tuńczyka. Samochód potoczył się metr do przodu i w coś uderzył. Mimo to kolejna seria ciosów w lewy bok auta rozbrzmiała z gwałtownym hukiem, jakby jakaś grupa rozgniewanych manifestantów zaczęła uderzać w metalowe bariery. Przednia szyba rozpadła się na kawałeczki i wtedy zrozumiał.

Młody chłopak ubrany w zielony dres dobijał właśnie Tuńczyka. Wyglądało to tak, jakby polewał go krwią. Kiedy upewnił się, że kule trafiły w cel, przesunął lufę w stronę komendanta. Widziana z takiej perspektywy broń wyglądała jak zabawka.

Chłopak w dresie wspiał się na ławkę, żeby zyskać lepszy kąt. Margarito stracił kilka cennych chwil, zanim udało mu się otworzyć drzwi po prawej. Nie tyle skoczył, ile rzucił się na ziemię, i całym ciężarem runął na lewe ramię. Smagnięcie bólu poderwało go na nogi. W samą porę, bo na miejsce, w którym przed chwilą leżał, posypały się kule.

Doczołgał się z powrotem do samochodu i oparł się plecami o tylne koło. Wiedział, że musi wydobyć broń, ale ból w ramieniu nie pozwalał mu normalnie reagować. Z lewej usłyszał jakiś hałas i dostrzegł, że bardziej z przodu, w suburbanie, Dorado mocnym pchnięciem otwiera drzwi od strony pasażera i próbuje wysiąść. Choć nie do końca mu się to udało, wyjął broń i wycelował w mierzącego do niego faceta stojącego

przy ciężarówce z gazem. Skurwysyny, pomyślał Margarito, rozwalą nas. Dorado oddał mnóstwo strzałów w stronę tamtego typu, aż ten padł na plecy. Jednego gnoja mniej.

Widząc to, inny mężczyzna, ubrany na czarno, na oko jakieś czterdzieści lat, stojący parę metrów dalej, przestał ostrzeliwać furgonetkę na czole konwoju i ze zręcznością zawodowca podszedł do suburbana. Wystarczyły mu trzy susy. Podążał za nim młody chłopak z długą hiszpańską bródką, w sportowych spodniach. Mężczyzna na czarno spokojnie wymierzył w Dorada i sekundę później: bum! Spotkało go to samo, co Tuńczyka.

Facet w czarnym uniósł broń z taką pasją, jakby to było polowanie na jelenie, i wycelował do środka suburbana. Komendant dopiero po chwili zrozumiał, że tamten bierze na cel jego syna.

– Skurwysynu!

Margarito wstał i zaczął do niego strzelać. Zarówno gość w czarnym, jak i młodzian z bródką skierowali się w stronę Margarita i wycelowali w niego. Margarito schował się za otwartymi drzwiami i zaczęła się wymiana ognia, aż w końcu facet w czarnym ugiął nogę, został trafiony, wycofał się za brodacza i zniknął, kuśtykając za dwoma zaparkowanymi autami.

Margarito celował właśnie w głowę chłopaka z bródką, kiedy nagle zielony dres znów wynurzył się z za auta. Komendant ledwie zdołał uchylić się przed strzałem.

Przypadł do tylnej części najbliższego samochodu i skulił się, opierając się plecami o zderzak. Na ile mógł się zorientować, ostrzeliwano go z dwóch stron: zielony dres i bródka zdołali wziąć go w dwa ognie. Jeśli obaj ruszą w tym samym tempie po obu stronach auta, w dwie sekundy będą go mieli jak na tacy. A uciekać nie było dokąd.

Podwójna seria strzałów trafiła stojący przed nim samochód, robiąc piekielny hałas. Próbował wypatrzeć, po której stronie miał bliższego napastnika, ale dostrzegł jedynie turystów pędzących szukać schronienia za rogami. Wszyscy uciekli, prócz jednego dziecka, wpatrującego się w niego z wnętrza zakładu optycznego.

Na chwilę zapadła straszna cisza.

Komendant przyjrzał się dziecku, które gapiło się przerażone w jego lewą stronę, i zrozumiał, że ktoś tam się skrada i zamierza wziąć go z zaskoczenia. Policjant wyciągnął rękę w tamtą stronę i opróżnił

magazynek. Facet z bródką oddał swoją ostatnią serię w witrynę sklepu i padł na brzuch.

Zanim Margarito zdążył zareagować, zielony dres wyskoczył po jego prawej z bronią w ręku. Nagle zaczął pluć krwią i sięgnął za plecy, w poszukiwaniu wymaginanego sztyletu, a potem runął obok komendanta.

Margarito z olbrzymim wysiłkiem przytrzymał broń między kolanami, wyjął z przepastnej kieszeni magazynynek i załadował.

Przez kilka sekund dało się słyszeć tylko pierwsze krople ulewy spadające na ulicę.

Wtedy usłyszał chrzęst kroków na potłuczonym szkłe, kolejne wystrzały i głos kobiety wołającej:

– Komendancie! Tu jesteśmy!

Nie odpowiedział, choć poznał głos Grubej. W powietrzu unosił się swąd prochu, a niebo roniło kolejne krople, ostre jak noże. Na końcu ulicy zobaczył biegnących chłopaków i ludzi chowających się we wnętrzu sklepu papierniczego. Na ziemi leżała kobieta. Mężczyzna w białej koszuli zasłaniał blondynkę za filarem. Usłyszał ryk syreny zbliżającej się karetki.

Wstał i zdał sobie sprawę, że dziecko u okulisty to tylko część plakatu reklamowego. Ulicą zbliżali się do niego Gruba i inni koledzy z biura. Zamachał do nich rozpaczliwie.

– Tam poleciecieli, gońcie ich.

Podbiegł do suburba, zatrzymał się, przez chwilę patrzył do środka, a potem wrócił. Następnie ruszył za róg, za ciężarówką z gazem. Stracił trochę bezcennego czasu na poszukiwanie faceta w czarnym. W tej części ulicy nie było żadnych aut, a chwilę później deszcz przybrał na sile i lunęło jak z cebra. Po chwili widoczność spadła do paru metrów.

Doliczył się trzech ciał i jednego typa czołgającego się resztką sił, któremu jednak nie zostało wiele życia. Komendant Margarito, wszechwładny szef policji przez lat trzydzieści, bicz na obywateli i kumpel bandytów, wrócił tą samą drogą, którą się oddalił, kroczył w strugach deszczu w stronę tej wielkiej trumny, w którą zmienił się suburban, i spojrział na zegarek. Od początku ceremonii do tego ataku minęły dwie godziny i dwadzieścia minut.

Dwie dwadzieścia, pomyślał, przynajmniej pod tym względem nie wyprzedziłeś tych z La Nopalera. I wrócił do suburba.

V

Dziewięć milimetrów – stwierdził generał i rzucił mu cylindryczny, podłużny przedmiot, nieco grubszy od termometru. Jak często dzieje się z przyrządami służącymi do zadawania śmierci, projektanci dołożyli starań, żeby pomalować go na ładny kolor, w tym przypadku złoty.

Koguty na dachach radiowozów zabarwiły jego twarz na czerwono, potem niebiesko, a potem znów czerwono, zanim komendant obejrzał dowód rzeczowy, więc wojskowy dorzucił:

– To kule Luger 9×19 mm. – Nie musiał dodawać, że nazywano je „antypolicyjnymi”, ponieważ przebijały się przez kamizelki kuloodporne.

Generał Roviroza też tego nie komentował, ale w bokach samochodów ziały dziury zdumiewających rozmiarów. W pikapie z podwójną kabiną, którym jechał komendant, Tuńczyka rozpoznać można było tylko po masie jego ciała wiszącego z jednego z przednich okien. Jakby próbował otworzyć drzwi zewnętrzną klamką, dziwnie się wyginając.

Ze złościwością, nabytą przez całe życie obcowania z bronią, wojskowy zastanawiał się, jakim cudem Margarito przeżył. Wystarczyło przyjrzeć się konstelacji dziur po kulach. Czyżby był w zмовie z napastnikami? Jak uczyło go doświadczenie, po obecnym tu policjancie można się było spodziewać wszystkiego, prócz stosowania się do przepisów prawa. Spojrzał na komendanta, który jakby nie usłyszał jego słów, skulony i cierpliwie poddający się zabiegom pielęgniarza opatrującego mu ramię, więc poszedł na miejsce zbrodni, podpierając się swoim nieśmiertelnym drewnianym kijem i w eskorcie dwóch żołnierzy, stanowiących jego osobistą gwardię.

Wiadomość zupełnie go zaskoczyła, kiedy przebywał wciąż w ratuszu, co zdradzał jego galowy strój: marynarka z czterema rzędami guzików obsypana odznaczeniami za służbę ojczyźnie. Za sprawą swojego kepi z trzema gwiazdkami, jasnej cery i kija wyraźnie różnił się od dwóch żołnierzy z zakazanymi gębami, kroczących za nim krok w krok.

Pierwsze, co sprawdził, to ciała napastników leżące na bruku. Jedno na plecach na masce auta, drugie na ziemi niemal na wysokości karetki. To był ten z bródką. Sądząc po dziurze wylotowej, strzał został oddany z broni Margarita: widywał już wcześniej innych osobników

potraktowanych tą bronią, kaliber 38. Skierował się do najbliższego eksperta, mężczyzny o skośnych oczach, którego imienia nigdy nie mógł zapamiętać.

– Tylko trzech trafiono?

– Po tamtej stronie jest jeszcze dwóch.

Generał przytaknął i wszedł na chodnik. Znalazł tam tego w zielonym dresie i drugiego chłopaka, który nie mógł mierzyć więcej niż metr pięćdziesiąt.

W samochodzie zaparkowanym przy ciężarówce z gazem nie ocalała ani jedna szyba. Wyglądało to, jakby przednia rozpuściła się w deszczu, bo nie widać było nigdzie nawet odłamka. Tam, gdzie siedzieli kadeci, znajdowała się teraz krwawa masa, a siedzenia i tapicerka poszły w strzępy. Jakby rzuciło się na nie stado wściekłych psów. Generał prawie się poślizgnął na porozrzucanych łuskach.

A pośrodku, przy tym, co zostało z suburba, na chodniku, na wysokości siedzenia pasażera, leżał Dorado: nie będzie można urządzić czuwania przy otwartej trumnie, bo takich szczątków nie da się doprowadzić do porządku. Na tylnym siedzeniu leżały dwa białe ręczniki, zabrane z pobliskiego sklepu. Jeden zakrywał młodego agenta, a drugi, cholera, tego, który za życia był synem komendanta Margarita. W tym mieście przez najbliższe godziny zrobi się bardzo nieciekawie. Generał wzniosł oczy do nieba i zaraz wrócił do komendanta.

Pierwszym, co zobaczył, były utyłane błotem mokasyny, które miał na sobie komendant, jego zranione ramię było poddawane zabiegom. Bandaże założone przez sanitariusza musiały mocno uciskać, sądząc po jego minie oraz tym, jak mocno pochylał się w lewo. Na widok wracającego oficera warknął:

– Jakie wnioski?

Na czarnym kawałku płótna, rozłożonym na masce samochodu z wybitymi szybami, zebrano broń znalezioną przy czterech zabitych. Wyglądały jak zabawki z błyszczącego metalu.

– Karabiny maszynowe uzi – stwierdził generał. – Pierwszy raz je tu widzę.

Przez ostatnie lata policjanci i wojskowi przyzwyczaili się do dwóch rodzajów broni używanej przez grupy przestępcze: supernowoczesnej i nowej, wyprodukowanej w Stanach, oraz wydajnej, acz archaicznej, pochodzącej z dawnego Związku Radzieckiego. Tę pierwszą można było

dostać w pierwszym lepszym sklepie z bronią w Kalifornii, Arizonie, Nowym Meksyku czy Teksasie i przewieźć bez żadnych trudności do Meksyku. Tę drugą dostarczali partyzanci i gangi z Ameryki Środkowej i Południowej. Tyle że uzi raczej się tam nie zdarzały.

Margarito przyjrzał się tym lekkim i małym automatom. Idealne, żeby schować pod ubraniem, zaprojektowane dla agentów tajnych służb albo ochroniarzy ministrów, ale równie chętnie stosowane przez bandytów z całego świata napadających na banki. To idealna broń do zamachu. Nie zwraca na siebie uwagi, nie waży zbyt wiele, w odróżnieniu od innych modeli, które mają działać odstraszająco.

Generał skinął na najbliższego żołnierza. Ten schylił się, podniósł jeden z automatów i podał oficerowi. Szybkim ruchem, zwieńczonym suchym trzaskiem, generał wyjął magazynek i uniósł go na wysokość oczu. Potem wyjął i założył na krótką chwilę okulary o grubych soczewkach, przyjrzał się materiałowi i zaraz schował okulary w górnej kieszeni munduru. Nie lubił, kiedy widziano go z tym na nosie.

– Cholera jasna...

– Co jest?

– Magazynki mają po pięćdziesiąt naboii... Znaleźliście tylko po jednym magazynku na łebka?

– Tak.

Generał zamrugał oczami.

– Bardzo dziwna decyzja – stwierdził. – Kto posyła ludzi na akcję z jednym tylko magazynkiem?

Margarito po raz pierwszy podniósł wzrok i przytaknął.

– Ten, który wyglądał na dowódcę, miał też trzydziestkęósemkę.

– O tym mówię – powtórzył wojskowy. – Nie wysyłasz ludzi na wojnę bez amunicji.

Margarito sprawiał wrażenie zirytowanego. Generał za dużo spekuluje. W takim tempie zaraz dojdzie do wniosku, że to był międzynarodowy spisek.

Komendant skrzywił się z bólu, ale nawet nie tykał temblaka. W świetle przebijającym przez burzowe chmury jego skóra wydawała się blada i zielonkawa.

– Dlaczego nie pojedzie pan do szpitala, żeby tam pana opatrzyli? – zapytał generał. – My się tu wszystkim zajmiemy.

– Mowy nie ma.

Przestało padać, ale mgła się utrzymywała; potoki deszczówki płynące ulicami z wyższych partii miasta niszczyły ślady na miejscu zbrodni.

Margarito spojrział w górę, a jego wzrok natknął się na eskortę generała. Nie podobało mu się towarzystwo tych dwóch żołnierzyków, ale nie miał tu nic do gadania. Wojskowe samochody blokowały ulicę z obu stron, a reszta oddziałów ruszyła patrolować miasto. Wypatrzył nawet wojskowego snajpera na dachu pobliskiego budynku. Trzeba jednak czegoś więcej niż tłumy żołnierzy i jakiegoś proekologicznego polityka, żeby tego dnia odebrać mu władzę.

Technik Pangtay szedł w ich stronę. Przynajmniej publicznie Margarito zawsze zachowywał dystans wobec swojego współpracownika o skośnych oczach. Choć sam go zatrudnił i facet należał do grona jego zaufanych podwładnych, zawsze był przekonany, że pewnego dnia będzie musiał go aresztować za interesy, jakie prowadził ze złodziejami samochodów. Lecz pora jego emerytury zbliżała się i żaden skandal nadal nie wybuchął.

– Za pozwoleniem, szefie. – Podał mu wycinek z gazety, zabezpieczony w plastikowej koszulce. – Miał to ten w zielonym dresie.

Komendant wziął koszulkę do ręki i przyjrzał się dwóm zdjęciom opublikowanym w gazecie dwie doby temu, w dniu, w którym obwieszczono, kto go zastąpi. Po prawej stronie widniał portret jego syna, zrobiony jeszcze wtedy, kiedy ten pracował na komendzie. Po lewej zaś znajdowała się podobizna jego, Margarita, zrobiona przy jakiejś okazji, kiedy chodził rozczochrany, brudny i w bardzo poplamionej koszuli. Komendant zmarszczył brwi i Chińczyk zrozumiał, że lepiej się wycofać.

Margarito podał wycinek generałowi, który od razu uważnie mu się przyjrzał. Okulary na nos, okulary do kieszeni, a potem oddał materiał policjantowi, który odezwał się cicho:

– Celem byłem ja – stwierdził Margarito. – W każdym razie głównym.

I przypomniała mu się pogróżka, którą usłyszał poprzedniej nocy: „Kule mają wypisane twoje nazwisko. I już do ciebie lecą”.

– Uderzenie może pochodzić z każdej strony, także od kontaktów, które obaj znamy. Nie miał pan z nimi ostatnio zatargów?

Margarito pokręcił głową.

– No to posłuchaj, przyjacielu. W czasie kiedy będziesz pan sprawdzał, kto to i prowadził śledztwo, lepiej zmienić miejsce zamieszkania na parę dni. Proszę zmodyfikować swoje zwyczaje, bo jeśli dziś pana nie dopadli, to będą szukać nowej okazji. Pewnie nie w ciągu najbliższych godzin, ale

za kilka dni zastanie ich pan przed domem albo na codziennej drodze do pracy. Jeśli pan był celem i spartaczyli, to będą mieć poważne kłopoty, jeśli się w końcu nie wywiążą z zadania. Ale to wszystko już pan wie, więc niech pan robi, co uzna za stosowne, w końcu to pańskie życie. Chciałby pan, żebyśmy pojechali do szpitala wojskowego?

Generał Roviroza miał dług u komendanta policji i był to dobry moment na rewanż. Margarito pokręcił jednak głową.

– Wolałbym, żeby zapewnił pan ochronę mojej żonie i zadbał o bezpieczeństwo na pogrzebie, bo co, jeśli zjawi się ktoś niepożądany.

– Co pan zamierza?

Od lat tak Margarito, jak i generał współpracowali i przekazywali informacje miejscowym grupom. Musiałby być niespełna rozumu, żeby powiedzieć coś wojskowemu, toteż tylko parsknął z irytacją.

– Proszę. – Roviroza wziął broń od jednego ze swoich przybocznych i podał komendantowi. – Niech pan to weźmie. Za tamten raz, kiedy pan mi pomógł.

– Nie pamięta pan? Już jedną mam – odpowiedział komendant i wrócił na miejsce zajścia.

Generał zamarł. Już w zeszłym roku nabrał podejrzeń, że komendant jest odpowiedzialny za kradzież broni jednemu z jego podwładnych, przez co ich przyjaźń nieco się rozluźniła. Czy Margarito ma jakiś związek z tą bronią niedawno sprowadzoną ze Stanów i wykradzioną z bagażu kapitana Lópeza? Po nim wszystkiego można się było spodziewać.

Gruba podeszła i zapytała:

– Czegoś panu potrzeba, szefie?

– Daj mi minutkę. – Komendant skrzywił się nieco. Czuł, że lewe ramię zaraz mu wybuchnie.

– Jak pan sobie nie da założyć porządnego opatrunku, to jeszcze nam tu zemdleje. – Gruba sprawiała wrażenie naprawdę zmartwionej.

Od kiedy pielęgniarze przykryli ciało jego syna, nie przestawał się kręcić. Przyglądał się czemuś na miejscu zbrodni, rozmawiał z jakimś technikiem, beształ go, acz bez specjalnego przekonania. Szedł oglądać ciała, beształ następnego technika i ciągle łaził tu i tam.

Ona jednak także nie zwalniała ani na chwilę. Pierwsza się zjawiała, choć przedzierała się tu z ratusza, i musiała dosłownie siłą przyciągnąć tu Chińczyka Pangtaya oraz resztę ludzi, żeby dotarli jak najszybciej. Gdyby nie ona, komendant nie wyszedłby z tego obronną ręką, bo dopiero na

widok strzelających ostrzegawczo posiłków facet w czarnym i reszta bandytów zdecydowali się na ucieczkę. Kiedy już zdała sobie sprawę z tego, jaki rozegrał się tu horror, Gruba zebrała i przesłuchała świadków, wciąż chowających się po sklepach, choć nikt nie dodał niczego istotnego. Wszyscy widzieli, jak rozpełtała się strzelanina, ale myśleli, że policjanci to bandyci, więc popędzili schować się za pierwszy lepszy róg.

Generał nie przeoczył faktu, że ani komendant, ani obecny na miejscu Bracamontes nie odezwali się do siebie nawet słowem, acz jednocześnie uważnie się obserwowali, jak dwa wściekłe psy. Komendant na miejscu zbrodni, Bracamontes, z opatrunkiem na twarzy, siedział na masywnym zderzaku karetki pogotowia zaparkowanej na rogu.

Jeśli komuś w tym mieście należała się nagroda, to ludziom z Czerwonego Krzyża. Pierwszy ambulans przyjechał wcześniej niż większość policjantów, a sanitariusze okazali się jedynymi w promieniu kilometrów ludźmi gotowymi do pomocy. Na widok karetki Margarito przywołał ich gestem, krzycząc:

– Tutaj!

Dwaj sanitariusze i lekarz popędzili w jego kierunku. Zbliżając się z coraz bardziej przerażonymi minami, zdawali sobie sprawę, w jakim stanie są leżące na ziemi ciała. Ale nie zatrzymywali się nawet na chwilę, choć było jasne, że takich ran nikt nie przeżyje.

– Wciąż oddycha – powiedział Margarito.

Doktor Rodríguez pochylił się nad człowiekiem, którego komendant trzymał na rękach, i rzucił szybkie spojrzenie na jego tułów.

Lekarz przyłożył stetoskop i przez wydającą się trwać wieczność chwilę słuchał bicia jego serca, mierząc mu jednocześnie puls w nadgarstku. Z niektórych dachów jeszcze padało.

– Jak dawno to się stało?

– Dwadzieścia, trzydzieści minut – odpowiedziała Gruba.

Lekarz skinął głową i dotknął drugiej ręki, przesunął słuchawkę stetoskopu i wreszcie stwierdził:

– Nie, proszę pana, nie ma już oznak życia. Jeśli czuje pan bicie serca, to musi ono być pańskie. Ten człowiek nie żyje.

Komendant otworzył szeroko oczy, jakby w jego kierunku nadlatywało coś gigantycznego. Nadchodził przekłęty smutek, kilkumetrowy olbrzym.

Gruba wytarła łzy, raz, dwa, wiele razy, a potem niemal co sekundę, szybko, dyskretnie, aż uznała, że jednak musi się odwrócić i oddalić na

kilka kroków.

Komendant odszedł od karetki, żeby nie przeszkadzać sanitariuszom. Chwilę potem przyjechała druga. Niepotrzebnie. U zbiegu ulic zjawiali się wciąż nowi ludzie i pytali, co się stało. Sony i Peralta udzielali informacji, najlepiej jak umieli, i nie pozwalali podchodzić bliżej.

Upewniwszy się, że w suburbanie nikt nie przeżył, lekarz wytłumaczył się przed policjantem:

– Przykro mi. Nie wiedziałem, że to pański syn. Za pozwoleniem, musimy dalej wypełniać nasze obowiązki.

Doktor Rodríguez podszedł do samochodu na czele konwoju, żeby sprawdzić, czy tam ktoś nie przeżył.

– Dwa razy nie. – Obaj pasażerowie nie żyli.

– Co za koszmar! – Byli w takim stanie, że nie było nawet sensu sprawdzać oznak życia.

– Tu mamy jednego żywego! – zawołał pielęgniarz. Lekarz podbiegł do pikapa z podwójną kabiną. Ku zaskoczeniu komendanta Chudy wciąż oddychał.

– Kula wlotowa i wylotowa w prawym ramieniu, liczne rany na lewej ręce. Do karetki go, trzeba szybko operować.

Chudy żył.

Margarito patrzył, jak pakują go na noszach do karetki.

Bracamontes i Block zjawili się trzydzieści minut później, a trzydzieści minut w tak małym mieście trudno wytłumaczyć, zwłaszcza jeśli jedzie się radiowozem i nie musisz stawać na żadnych światłach, a tym bardziej jeśli został zaatakowany twój przełożony. Zaanonsowali swój przyjazd kilka przecznic wcześniej, włączając manifestacyjnie syreny, zahamowali z piskiem opon i wypadli, żeby rozejrzeć się na miejscu zdarzenia z takim zapałem, że nawet nie zauważyli, że Margarito przeżył i przygląda im się wsparty o Pangtaya i Grubą.

Ani Bracamontes, ani Block nie patrzyli pod nogi, tylko deptali bez ceregieli po łuskach leżących wszędzie na asfalcie. Można by odnieść wrażenie, że czegoś szukają. Albo kogoś, pomyślał komendant.

– Ten żyje! – warknął Block.

Komendant spojrział w tamtą stronę i zobaczył, że facet z kozią bródką jeszcze dycha. Leżał rozłożony między zderzakami dwóch aut.

Sanitariusze popędzili w jego kierunku.

– Cholera! – ryknął Bracamontes, starając się utrzymać równowagę. I zatrzymał pielęgniarzy ruchem ręki.

– Zaraz, zaraz, poczekajcie.

Obrócił leżącego butem na plecy i wycelował mu w głowę.

– Kto cię wynajął? Gadaj, kto cię wynajął?

Na kilometr było widać, że gość praktycznie jest już trupem i nie może odpowiedzieć. Był blady jak prześcieradło, a oczy uciekały mu pod górne powieki.

– Panowie – wtrącił się doktor Rodríguez – ten człowiek jest w szoku. Proszę się odsunąć...

Bracamontes ani drgnął.

– Nie chcesz gadać, gnoju? Nie chcesz?

Uniósł broń i przytknął tamtemu do policzka. Facet z bródką osunął się na ulicę.

– Co za bydlak! – krzyknął doktor Rodríguez. – Zostaw go, człowieku!

Komendant Margarito wyrwał się z objęć swoich pomocników, wyjął broń i podszedł do Bracamontesa. Block ostrzegł kumpla ruchem głowy.

Bracamontes zatrzymał się na sekundę, ale zaraz się opanował i rzucił w stronę szefa:

– Ale o co chodzi, stary? Nie będzie mi się tu śmiać w twarz.

Komendant jednak wyciągnął zdrową rękę, w której trzymał broń, i wystrzelił w ziemię. Wszyscy zebrani schylili się odruchowo, łącznie z Bracamontesem, a Margarito wycelował mu prosto w twarz. Bracamontes wrzasnął:

– Ej, stary! – Ale komendant nie odpowiedział, toteż Bracamontes złapał swoją broń w dwa palce i trzymał ją jak najdalej od siebie, jakby chcąc upewnić komendanta, że niczego nie będzie próbował i jest zupełnie bezbronny.

– Stary, wyluzuj, wyluzuj, jesteś w szoku – mówiąc to, dał jednak znak Blockowi, który sięgnął ręką za plecy, powolutku, ale komendant dostrzegł ten ruch kątem oka i znów strzelił w ziemię, ale blisko, bardzo blisko stóp Blocka.

– Kurwa mać! – wrzasnął Bracamontes i rzucił się na ulicę. Jeśli myślał, że tak się schowa, niezbyt mu to wyszło, ponieważ komendant znów do niego wymierzył. Bracamontes pobladł. – Przecież nie mam broni, nie mam broni, kurwa!

Wtedy zjawiała się druga karetka, jadąca nadbrzeżną aleją, i zaparkowała za radiowozem Bracamontesa. Kierowca wyjrzał przez okno i zamierzał o coś zapytać, ale zamilkł raptownie, widząc komendanta mierzącego do dwóch funkcjonariuszy, którzy trzymali ręce w górze.

– Chwila, chwila – odezwał się lekarz do kierowcy karetki. – Za bardzo się pospieszyliśmy. – Od kiedy w mieście rozpanoszyła się przemoc, należało stawiać się na miejscu możliwie późno, żeby nie pakować się w jakieś kłopoty.

Bracamontes próbował tłumaczyć coś Margaritowi i powtarzał w kółko:

– Ale serio, stary, serio. – Tyle że komendant nie wierzył.

Musiała zainterweniować Gruba, która złapała go za zdrową rękę i zmusiła do opuszczenia broni.

– Szefie, spokojnie, niech pan nie robi rzeczy, których będzie pan potem żałował.

Komendant dał się zaprowadzić agentce do karetki, ale nie puścił broni i nie przestał mierzyć w podwładnego, aż ten w końcu wstał i się oddalił.

– Zmiataj stąd i nie waż się tu kręcić.

– Stary psychol – burknął Bracamontes.

Komendant odwrócił się, zrobił dwa kroki z powrotem i strzelił go na odlew. Tamten padł na kolana. Widząc, że Block znów sięga za plecy, komendant wycelował tym razem w niego.

Block jednak zmarł w bezruchu. Tylko Bracamontes zwijał się z bólu jak robak, obiema dłońmi zasłaniając twarz.

Gruba objęła szefa, żeby nie dopuścić do dalszej eskalacji. Powiedziała tylko: „Sanitariusze!”, i ci podeszli pomóc Bracamontesowi.

Na szczęście, o ile można użyć takiego określenia w kontekście strzelaniny, zjawiał się konwój wojskowy. Żołnierze rozbiegli się w szyku i obstawili obie strony ulicy. Przez chwilę policjantom przeszło przez myśl, że wrócili ich podobijać. Ale to nie to: spomiędzy mundurowych wyłonił się generał Roviroso w eskorcie sześciu żołnierzy i podszedł prosto do komendanta.

– Przyjechaliśmy zabezpieczyć miejsce zbrodni. Jaka jest sytuacja?

Komendant jednak nie był w stanie wdawać się w wyjaśnienia. Nie spuszczał wzroku z Bracamontesa, który wciąż przyciskał sobie opatrunek do prawego policzka i przeklinał albo pluł na ziemię, stojąc za swoim radiowozem, nie spuszczać wzroku z Margarita. Potem złapał za telefon

i przyłożył go sobie do ucha. W końcu lekarze przekonali komendanta, żeby jednak dał się zbadać. Wsiadł do drugiej karetki. Tam oczyścili mu i zdezynfekowali ranę na ramieniu.

– Ma pan szczęście, komendancie, to tylko draśnięcie.

– Nie mogę ruszyć ręką – odpowiedział – zupełnie nie reaguje.

Słyszając to, doktor Rodríguez zostawił Chudego pod opieką swoich kolegów i wrócił do komendanta.

Wystarczyło, że uniósł jego ramię, a Margarito aż podskoczył z bólu.

– Ech, cholera – mruknął doktor Rodríguez.

Coraz bardziej obolały komendant dostrzegł, że jeden z pielęgniarzy nie spuszcza z niego wzroku.

– O co chodzi?

Ten zareagował:

– Pan wybaczy – powiedział przeproszającym tonem. – Przez te wszystkie lata nigdy nie widziałem, żeby ktoś się wywinął z takiej strzelaniny... Szczęście to rzadka rzecz w tym fachu.

Doktor Rodríguez znów uniósł jego ramię. Komendant ponownie skrzywił się z bólu.

Młody lekarz José Luis Rodríguez pomógł mu wsiąść do karetki i polecił położyć się na leżance. Widząc jego minę w trakcie tego manewru, doktor zrozumiał, jak musi go boleć, i powiedział:

– Dam panu coś na ból i za minutkę pojedziemy do szpitala. Rozetnę koszulę, żeby móc obejrzeć rękę.

Zanim dokończył to zdanie, rękaw już był rozcięty wraz ze sporą częścią materiału na piersi.

– Tylko draśnięcie.

– Tak, to się nazywa szczęście.

– Podajemy przeciwzapalne? – zapytał sanitariusz.

– Nie, to nic nie da. Zobacz.

– No tak – zgodził się tamten.

– Tu potrzeba opiatów, inaczej nie da rady.

– Ketamina?

– Możliwe, ale najpierw diagnoza. Proszę notować – polecił praktykantowi. – Uszkodzenie boczne i frontalne. Miał pan szczęście, komendancie, i to spore. Powierzchowne uszkodzenia na łokciach i przedramionach, draśnięcie na ramieniu, ale nic więcej. Proszę tu oczyścić, o właśnie.

Margarito stęknął, czując dotyk lekarza. Doktor Rodríguez znów ruszył jego ramieniem i komendant podskoczył z bólu.

– Aj, co tam jest?

– Wybite. Pan pozwoli. Tak, wiem, że to przeszkadza, ale zaraz się tym zajmiemy.

Nie dając mu czasu na sprzeciw, doktor Rodríguez położył komendanta i nastawił mu ramię.

– Aj...! – jęknął Margarito.

– Ramię ma pan już nastawione, ale opuchlizna jest spora. Jeśli się utrzyma, powinien pan z tym iść do szpitala, żeby nie ryzykować zdrowia.

– A czemu miałbym ryzykować?

– Jeśli opuchlizna nie zejdzie, może wdać się martwica. Żeby tego uniknąć, trzeba będzie zrobić nacięcia i w ten sposób zmniejszyć ciśnienie w ranie.

– To konieczne?

– Trzeba to mieć pod kontrolą.

– Nie mam czasu na szpital. Proszę mi dać więcej czegoś przeciwbólowego. Nie mogę zostawić tego śledztwa.

Lekarze wymienili się spojrzeniami.

– Nie wolno nam. To by było nielegalne.

– Jestem komendantem policji.

– Odbiorą nam uprawnienia, panie komendancie. I nalegam: musi pan mieć to ramię pod obserwacją.

– Jeśli niczego mi nie dacie – policjant nie odpuszczał – sprawcy nam uciekną. Nie mogę iść do szpitala, póki ich nie dorwę.

Lekarze znów spojrzeli po sobie i doktor Rodríguez stwierdził:

– Pan wybaczy, ale ja nie zrobię niczego niezgodnego z prawem. Zostawiam panu ten środek przeciwbólowy i znieczulający. Jeśli nie chce pan jechać do szpitala, proszę bardzo. Tylko tyle mogę dla pana zrobić.

I wysiadł z karetki. Kiedy doktor Rodríguez nieco się oddalił, do policjanta podszedł pielęgniarz.

– Mam jednego kumpla, no, znajomego, który może będzie mógł coś dla pana skołować, jeśli nie może pan iść do szpitala. Uczy się na anestezjologa, takie przysługi robi w wyjątkowych sytuacjach. To znaczy chodzi mi o to, że mógłby to wyjątkowo zrobić tym razem, żeby jakoś

panu pomóc, ale nie byłoby źle, gdyby jakąś gratyfikację pan mu odpałił. Niech pan prosi o buprenorfinę, tego pan potrzebuje.

– Bu-pre...? – powtórzył komendant. – Zadzwoń do niego i powiedz, żeby przyjechał.

– Chwilkę. – Chłopak oddalił się za róg z telefonem przy uchu. Wrócił po minucie. – Zadzwoń i już to załatwia. Gdzie pan się z nim spotka?

– Powiedz mu, żeby czekał w parku przy rafinerii. W amfiteatrze. Zadzwoń, jak tam będę. Daj mi jego numer.

– Jak pan sobie życzy, komendancie – przytaknął sanitariusz. Zapisał numer na pomiętym kawałku papieru i podał policjantowi.

Tymczasem generał rozglądał się po miejscu napadu i dostrzegł, że w jednej z karetek w kałuży krwi leży nie kto inny, jak Chudy Ibarra. Wskoczył do środka jednym susem i podszedł mu się przyjrzeć.

Niejeden raz spotykał się z Chudym, który przez lata pracował jako sekretarz, asystent, wspólnik i partner Margarita. Kiedy ludzie robiący w branży chcieli okazać wdzięczność, a zdarzyło się to nie raz, z komendy policji do koszar wojskowych, a czasami w przeciwnym kierunku wędrowała walizeczka wypełniona banknotami, a kurierem zawsze był właśnie Chudy Ibarra. Człowiek lojalny, dyskretny i skuteczny. Szkoda, że nigdy nie wstąpił do armii.

– Jak z nim? – zapytał lekarza, widząc, jak oczy Chudego zamykają się pod wpływem leków, a może wita się z nim śmierć.

– Liczne rany postrzałowe, nie wszystkie kule wyszły. Staramy się powstrzymać krwawienie, ale trzeba jechać do szpitala – odpowiedział doktor Rodríguez. Mimo codziennych gróźb, mimo odmów wjazdu do niektórych dzielnic, mimo tych wszystkich stresów i strachów doktor Rodríguez w trzy lata stał się największym specjalistą od opatrywania ran postrzałowych. Razem ze Speedym Gonzálem, niziutkim szoferem, tak samo jak on zdecydowanym, obsługiwali jedną z nielicznych karetek, które jeszcze przyjeżdżały na czas. Dlatego spojrzał na wojskowego i powiedział:

– Komendant powinien jechać z nami. Jeśli nie opatrzą mu ramienia, mogą być tego kiepskie konsekwencje.

Widząc, że generał też nie zamierza zrobić nic, by wpłynąć na policjanta, doktor Rodríguez nie wytrzymał.

– W takim razie proszę nie przeszkadzać, ten człowiek potrzebuje natychmiastowej pomocy.

Generał miał już wysiadać z karetki, kiedy Chudy złapał go za rękę. W jego oczach widać było strach. Niejeden raz się zdarzało, że po takiej strzelaninie agresorzy wybierali się do szpitala, żeby dobić ocalałych z rzezi.

– Nie martw się. – Generał rozumiał jego obawę, rana od kuli zawsze zostawia ślady, przede wszystkim w umyśle. – Przydzielę ci eskortę. Ty! – Wskazał jednego ze swoich przybocznych. – Masz się nie oddalać od tego człowieka, nawet jeśli go będą operować. A ty – wskazał drugiego – pojedziesz z sierżantem Domínguezem i każ mu ustawić straż przed wejściem do szpitala. Masz eskortować karetkę.

Ku zaskoczeniu pielęgniarza pierwszy z żołnierzy wszedł do karetki i ustawił się w kącie. Generał widział, że Chudy i tak nie bardzo rozumie, co się dzieje, toteż pożegnał się z nim skinieniem głowy. Doktor Rodríguez poklepał bok ambulansu, dając znak szoferowi, by ruszał, i zamknął tylne drzwi od środka.

Przekonawszy się, że karetka jest eskortowana przez wojskowego jeepa, generał Roviroso wrócił do komendanta stojącego przy suburbanie. Podchodząc, zauważył, że telefon policjanta wciąż dzwoni, ale ten nie zamierza go odbierać. I odezwał się cicho:

– Tamten gość – wskazał jednego z żołnierzy, który uważnie ich obserwował – ma przy sobie paczuszkę z tym, co zwykle. – Chodziło mu o kokainę. – Jeśli wyrazi pan zgodę, podrzucimy to zastrzelonym, niech się tym zajmie prokuratura federalna.

Słowem, wyćwiczona od dawna metoda umywania rąk. Stosowali ją od dwóch lat. Policjant jednak pokręcił głową.

– Mowy nie ma.

– Na pewno?

Komendant przytaknął.

W uszach wciąż mu szumiało, a ból w ramieniu narastał.

Wtedy zadzwonił telefon generała. Roviroso odebrał, potwierdził coś dwa czy trzy razy i obrócił się na pięcie.

– Dzwoni burmistrz.

Margarito, zanim zdążył zareagować, już miał przy uchu aparat.

– Komendancie, w jakim jest pan stanie?

– Żyję – odpowiedział z irytacją, czując napływ bólu w ramieniu.

– Strasznie mi przykro z powodu tego, co się stało. To prawdziwe nieszczęście. Podobno jest pan ciężko ranny. Może pan liczyć na wszelką

pomoc ratusza. Jeśli potrzebuje pan jechać do prywatnej kliniki, bierzemy na siebie koszty. Kazałem Bracamontesowi zająć się osobiście pańskim bezpieczeństwem. Proszę odpocząć.

Komendant czuł, jak do ust napływa mu gorycz, i odpowiedział ponuro:

– Wydałem Bracamontesowi inne polecenie. Ale dzięki za troskę. Jak długo nie podejmie pan innej decyzji, pozostaję szefem policji.

– Co? Nie, nie, w żadnym razie, proszę jechać do szpitala, niech pana zbadają, wyznaczymy pańskiego zastępcę.

– Nie, panie burmistrzu – odparł. – Tą sprawą zajmę się sam.

Burmistrz zamilkł na chwilę. Musiał przemyśleć polityczny aspekt sprawy, zdecydować, co bardziej sprzyja jego wizerunkowi: czy zyska poparcie społeczności, jeśli teraz odsunie Margarita?

– Niech mi pan da chwilę do namysłu. Zadzwonię za pięć minut. – I rozłączył się.

Wtedy ręka naprawdę go rozboleła. Zawołał Grubą, która знаła jego rodzinę, i podał jej własny telefon.

– Zadzwoń do doktor Antonelii i powiedz jej, co się stało. Powiedz, że postaramy się jak najszybciej go stąd zabrać. Potem powiedz Cástulowi, żeby poprosił Robustę o pieniądze z małego sejfu i żeby przygotował wszystko do pogrzebu.

I podszedł popędzić technika, który nie skończył jeszcze ze zdjęciami zabitych.

– Ile jeszcze, co?

– Już prawie kończę.

Generał podszedł do nich.

– Jak sądzisz, ilu ich było? Ilu uciekło?

Przypomniał mu się gość ubrany na czarno i kroki, które usłyszał po lewej, od strony sklepów.

– Co najmniej trzech, nie licząc zabitych. Może czterech.

Rovirosa podliczył.

– Czyli było dziewięciu albo dziesięciu napastników. Was było ośmiu. Dziesięciu na ośmiu? W tym nie ma żadnej strategii. O ile nie jesteś w sytuacji bez wyjścia, nie robisz zasadzki z tak marną przewagą liczebną. Choćbyś miał przewagę broni i w grę wchodził element zaskoczenia, potrzeba więcej ludzi, żeby zachować klasyczny układ po trzech z każdej strony.

W umyśle policjanta coś się rozjaśniło.

– Najpierw ostrzelali samochody jadące z przodu, a potem przeszli do naszego, zamykającego konwój. Dopiero wtedy poszli na suburba.

Generał wytarł pot z czoła i powiedział:

– Nie spodziewali się ciebie. Gdyby ciebie nie było, mieliby dziesięciu na pięciu, dwóch strzelców na każdy cel. To by była klasyczna zasadzka.

Komendant spojrział na koniec ulicy, gdzie wciąż unosiła się mgła, ale nie odpowiedział.

– Skoro tak, to pewne wnioski możemy już wyciągnąć – stwierdził generał. – Choć ten oddział był improwizowany, bo żadna armia nie przyjmie takich kurdupli, ten, kto planował ten atak, miał przygotowanie wojskowe.

Komendant pomyślał, że to by wyjaśniało zręczność, z jaką zastawiono zasadzkę, a przede wszystkim ruchy człowieka w czerni, kiedy do niego podchodził. Znów zobaczył go przed sobą, jakby atak właśnie się powtarzał: robił dwa kroki przed siebie, przystawał, strzelał, znów dwa kroki, jednocześnie przygotowując broń, celował i znów strzelał do suburba.

– No nic. – Generał pokiwał głową. – Co pan planuje?

– Rezygnacji nie złożyłem. Nadal jestem komendantem policji.

– Czyli co?

– Będziemy bronić prawa.

Generał pomyślał, że rozmawia z trupem, ale ostatecznie przytaknął, zamyślony, i wreszcie dodał:

– W takim razie pozostajemy w kontakcie. Zostawiam tu oddział, żeby pilnował miejsca zdarzenia. – Generał zasalutował i odmaszerował.

Margarito rozejrzał się i pomyślał: to wszystko jakaś farsa.

Kiedy wojskowy się oddalił, komendant rozprostował palce i zdał sobie sprawę, że przez cały ten czas trzymał w dłoni łuskę dziewięć milimetrów.

Rozmowa w ciemności

Słyszales?

- Tak, słyszałem. Dlatego tu jestem. Ale nie mam z tym nic wspólnego.
- W mieście nigdy wcześniej nie wydarzyło się coś podobnego.
- Wierzyć się nie chce: chybił z tak bliska.
- Źle to zaplanował. Albo mu ręka zadrżała.
- Zablokował się albo się starzeje.
- Słono za to zapłaci. Wyobraź sobie: być tak blisko i spieprzyć. On to weźmie bardzo osobiście.
- Podobno oferują nagrodę temu, kto dokończy robotę.
- Podobno, ale pewien to nie jestem. Mówiło się, że wysyłają Margarita na emeryturę, i sam widzisz, dalej jest na stanowisku.
- Problem w tym przypadku jest z pomocnikami. Po co wzięli ludzi z zewnątrz? Powinni zatrudnić tutejszych. Tym spoza miasta nie można ufać. Z miejscowymi wiadomo, gdzie mieszkają ich rodziny, kim są rodzice, do której szkoły chodzą dzieci. A za tych z zewnątrz nikt nie ręczy.
- To już tak nie wygląda. Trzeba na gwałt zatrudniać ludzi z innych stanów, a nawet krajów, żeby szkolili naszych. To przez konkurencję. Dlatego najął obcych, ale i tak wszyscy gryzą piach.
- Jeden zwał. I się tu kręci.
- Długo się nie pokręci. W piekle już mu palą pod kotłem.
- Zobaczymy.
- Ja tak sądzę. Ale fakt, zobaczymy. Pewne jest, że ktoś za jego grzechy zapłaci.

VI

Kiedy ładowano ciało jego, rozdzwonił się jeden z telefonów komendanta: ten dla wybranych. Odszedł nieco na bok i odebrał. Nie mógł zlekceważyć tej rozmowy. Ten sam, zawsze ochryply głos zapytał go bez wstępów:

– Żyjesz, Margarito?

– Ano jakimś cudem.

– Syna ci zabili.

– Na to wygląda. Dzwoni pan w jakiejś sprawie?

Po drugiej stronie cisza.

– Musimy pogadać.

– Kiedy pan sobie życzy.

– Dziś o dwudziestej, tam gdzie zwykle. Sam, bez żadnych ogonów.

– Będę.

Rozłączył się. W tej chwili zdał sobie sprawę, że boli go kark i szyja. To jeszcze nic, pomyślał. Prawdziwe napięcie dopiero się zacznie.

Widząc, że na ulicy i w oknach budynków zaczynają roić się gapie, Gruba zarządziła odwrót.

– Daj mi minutkę.

Komendant usiadł na masce radiowozu i przyjrzał się stadku pelikanów lecących w stronę molo. Wreszcie rzucił:

– Ściągnij techników i Cástula.

Gruba przytaknęła i zauważyła, że jej telefon wibruje. Oddzwaniał burmistrz, więc przekazała słuchawkę szefowi.

– Zważywszy na to, co się stało, daję panu czterdzieści osiem godzin na wyjaśnienie sprawy. Ale proszę mnie uważnie posłuchać: ma pan natychmiast wracać na komendę. Zaczynają krążyć plotki, mówi się o braku zarządzania, więc zwykli ludzie i dziennikarze mają pana widzieć w pracy. Mój rząd nie będzie się chował.

Komendant odpowiedział, że rozumie, i się rozłączył. Tylko idiota wybierałby się teraz na komendę. Zadzwonił po kolei do Roberty, Cástula, Villalobosa i Chińczyka. Większości z nich wisił pieniądze, bo nie rozdzielił jeszcze dodatkowych premii z tego miesiąca, tak że wszystkim zależało na tym, by zastać go żywego. A niektórzy z nich, jak

Chińczyk czy Cástulo, mieli u niego długi. Dosłownie. Kiedy zebrali się już wszyscy, poprosił o uwagę.

– Burmistrz zażądał ode mnie rezygnacji, ale jej nie złożyłem. Mówi, że pozwoli mi zachować stanowisko jeszcze przez dwa dni, ale podejrzewam, że skończy się na dwunastu godzinach, zanim mianuje na moje miejsce jakiegoś sukinsyna. Założę się, że to będzie Bracamontes. Ale tą sprawą zajmuję się ja i meldujecie o wszystkim mnie. Jeśli komuś się to nie podoba, jego prawo, ale ma mi zmiatać sprzed oczu.

Przyjrzał się każdemu po kolei. Nikt nawet nie drgnął. Wtedy powiedział, że będą zasuwać, dopóki nie dopadną tych sukinsynów, i że nie ma ani sekundy do stracenia. Poleciał Villalobosowi, żeby sprawdził broń.

– Sprawdź, czy zatarli numery seryjne i skąd ją wzięli. Wszystko, co tylko można ustalić.

Grubą Robertę poprosił, żeby poszukała więcej świadków.

– Takich, co naprawdę mają znaczenie, co widzieli tych gości podczas ucieczki. Dowiedz się, jakim pojechali autem, kto na nich czekał. Pełno tu było turystów, idź popytać po hotelach i motelach, może nocował u nich ktoś podejrzany. Nie pytaj o strzelaninę, ustal, co mogli widzieć przed i po w tej okolicy. Musimy mieć więcej danych.

Chińczyka Pangtaya wysłał, żeby zarekwirował nagrania z kamer w pobliskich sklepach i pogadał z firmami ochroniarskimi.

– Sprawdź, jak wyglądał ruch na tej ulicy od wczoraj, bo te gnoje musiały tu zajrzeć wcześniej na rekonesans, takiej zasadzki raczej się nie improwizuje. I jeszcze jedno... Chudy mówił, że widział kilku podejrzanych typków, którzy kręcili się dziś rano przy lotnisku. Sprawdźcie kamery w tamtym rejonie, łącznie ze stacją benzynową i bankomatami. Jeśli ktoś odmówi udostępnienia nagrań, poproś sędziego Trujillo, żeby wydał ci nakaz.

Do Cástula powiedział:

– Powiedz lekarzowi sądowemu, żeby zostawił wszystkie inne rzeczy i skupił się na tych facetach, których ustrzeliliśmy. Wszystko może okazać się ważne. Kiedy będzie się tym zajmował, pomóż Robuście szukać odcisków i melduj o wszystkim Grubej.

Przemknął wzrokiem po zebranych.

– Za każdym razem kiedy coś będziecie mieli, meldujcie to Robercie. Nie ma czasu na opieszałość. Biedny będzie ten, kto puści parę

Bracamontesowi albo jego ludziom. Trzymajcie się od nich z daleka. Dopadniemy tych sukinsynów.

Wyczuł, że jego ludzie są w szczególnym nastroju. Było to coś w rodzaju współczucia. Wiedzieli, że małe są szanse, by jeszcze mieli go oglądać żywego. Pangtay odezwał się pierwszy:

– Panie komendancie, chciałbym podziękować za możliwość pracy pod pana rozkazami.

Wiedział, że jeśli padnie jakiś komplement, to z ust tego lizusa. Chińczyk miał na utrzymaniu siedmioosobową rodzinę, a nie pobierał stałej pensji, tylko żył ze zleceń komendanta. Dlatego ten nie wziął komplementu zbyt serio, jedynie przytaknął dyskretnie.

– Jeszcze mnie nie zabili. Do roboty, bo czas nam ucieka. Chińczyk, poczekaj tu.

Kiedy pożegnał się z ludźmi, odezwał się do niego półgłosem:

– Idź do tego garażu, który jest za rogiem, na skrzyżowaniu Allende i Matamoros, i zbajeruj stróża. Wybierz jakieś nierzucające się w oczy auto z przyciemnionymi szybami i zatankowanym bakiem, zamknij bramę wjazdową i czekaj tam na mnie. Zapukam jak zawsze, wiesz, trzy mocne, dwa słabe, i wpuścisz mnie do środka.

Chińczyk przytaknął i popędził w tamtą stronę. Miał doświadczenie w kradzieży samochodów, zajmował się tym, zanim na zaproszenie Margarita wstąpił do policji. Dzięki komendantowi od dwudziestu lat mógł się tym parać legalnie i w sposób zorganizowany, a Margarito inkasował część zysków. Od kiedy zaczął pracować dla szefa policji, wystarczało mu jedno luksusowe auto na kwartał i był w stanie utrzymać rodzinę, mniej ryzykował i więcej zarabiał, wszystko dzięki kontaktom swojego przełożonego. Prawda, że dwa lata temu musiał porzucić ten interes, bo teraz kontrolowali go Nowi, ale tym razem sprawa była wyjątkowa: komendant nie może teraz poruszać się wozem patrolowym, musi mieć dyskretny transport.

– Cástulo, Roberta – rzucił szef – pozwólcie tu. Musicie mnie zawieźć.

– Jak pan sobie życzy, szefie. – Udali się do żółtego kombi.

Wtedy ponownie zadzwonił prywatny telefon Margarita. Młody, ale nawykły do wydawania rozkazów głos huknął:

– Margarito, ojciec chrestny, jak się miewasz?

Komendant nie odpowiedział.

– Gdzie jesteś? Dalej na miejscu zamachu?

– Mhm.

– Już tam jadę.

– Nie ma sensu. Już po wszystkim i pełno tu wojskowych.

Usłyszał dzwonięcie kostek lodu w szklance. Zrozumiał, że jego rozmówca pociąga bardzo długi łyk.

– To prawda, że Ricardo nie żyje?

– Tak. Dotarło do ciebie coś wcześniej?

– Dopiero teraz. Mam ci podesłać moich ludzi?

– Nie ma potrzeby. Lepiej wycofaj swoich z ulicy, bo będzie dużo patroli, a ja już tam jadę. Widzimy się za chwilę. Jaki samochód mi polecasz? – Co jakiś czas zmieniali hasło pozwalające wjechać na teren jego chrześniaka. Ten odpowiedział:

– Ferrari. Co teraz zamierzasz?

– Zamierzam zająć się ściganiem przestępców.

– Wyłączam się, bez odbioru.

Margarito ostatni raz spojrział na miejsce, w którym polegli jego ludzie, teraz otoczone przez żołnierzy. Wsiadł do kombi i ruszyli.

Pangtay czekał już w garażu w nowym minivanie. W każdym mieście o niskiej zabudowie i na płaskim terenie taki samochód do razu rzucałby się w oczy, ale przy tych wszystkich brukowanych i stromych ulicach w La Eternidad takie auta były akurat bardzo popularne.

– Roberta – zwrócił się do Grubej – ty prowadzisz. Pojedziesz za Cástulem i za mną, w odległości dwóch, trzech samochodów. Chińczyk, możesz wracać do roboty.

– Tak jest, szefie. – Podał mu rękę. Koniecznie chciał się pożegnać, jakby się już mieli za życia nie zobaczyć.

Chińczyk uchylił bramę, przekonał się, że ruch jest mały, i wypuścił samochody. Kilka przecznic dalej musieli stanąć na czerwonym świetle i zatrzymało się za nimi kilka aut, w tym Roberty.

Margarito rzucił okiem na swojego kierowcę. Stary był chudszy niż spaghetti i bardziej pocięty niż paragraf. Oddychał tak głęboko, że prawie się zapowietrzył, napięty jak sprężyna, świadom, że wioząc szefa, wystawia się na ryzyko śmierci, prowadząc ni mniej, ni więcej, tylko najbardziej rzucające się w oczy auto, jakim dysponowali na komendzie, a Margarito pomyślał, że to byłoby okropne, gdyby staruszkowi coś się

z jego winy stało, toteż odczekał do zmiany światła na zielone, żeby wyskoczyć z auta, zamknąć za sobą drzwi i krzyknąć:

– Trzymaj się, stary, zawsze byłeś lojalny! Jedź prosto na aleję Águila, a potem wracaj do biura! Dzięki za wszystko!

– Ale szefie... – zdołał tylko wydukać tamten.

Zanim stary zdążył zareagować, komendant ruszył pod prąd przy chóralnym akompaniamencie klaksonów w stronę samochodu prowadzonego przez dziewczynę, otworzył drzwi pasażera i usadowił się obok niej.

– Zawróć tu.

Dziewczyna, zaskoczona, usłuchała. Margarito poczuł w kabinie nieprzyjemny odorek strachu.

– Dokąd teraz, szefie?

Zbliżała się czwarta.

– Jedziemy do rafinerii. Omiń aleję Pancho Villa, bo tam na pewno są punkty kontrolne.

Gruba zawahała się przez chwilę, ale zaraz docisnęła pedał gazu i ruszyła aleją Lomas de Rosales, łączącą dwie dzielnice i biegnącą dawnym dnem pustego jaru. Szybko dojechali do Poza Rica i minęli Potrero del Llano, Cerro Azul, Faja de Oro, aż dojechali do parku przy rafinerii.

Kazał jej objechać teren, żeby się przekonać, czy nie ma tam nic podejrzanego, a potem zaparkować przy małym odkrytym amfiteatrze, popadającym w coraz większą ruinę. Roberta znalazła miejsce między dwoma innymi autami i wysiedli.

Jak zawsze amfiteatr świecił pustkami, bo deszcz zrobił swoje. Na betonowych stopniach pełno było kałuż. Widząc, że idą centralnym przejściem, wyszedł im naprzeciw jakiś osobnik. Czekał na nich za walącą się ścianą, robiącą za tył sceny. Na jego widok wystraszyli się, bo wyglądał jak jeden z zabitych najemników. Gdyby komendant zobaczył go na ulicy innego dnia, na pewno kazałby go zatrzymać. Miał na sobie zimową kamizelkę i sportowe ubranie, a do tego wyglądał na ćpuna: strasznie chudy, wory pod oczami, zabiedzony; czupryna i broda równie zapuszczone jak paznokcie.

– Pan komendant González – wydukał facet.

Roberta i Margarito przystanęli czujnie.

– Ja pana znam. Pan aresztował mojego kuzyna.

– A czym się zajmował ten kuzyn?

– Studiował medycynę. Tak jak ja. Pan go zatrzymał za jakieś sprawy z nielegalnymi substancjami. Za to właśnie, co teraz robimy, wsadził go pan do pudła, federalnego. Kto by pomyślał...

Choć wyteżał pamięć, nie był w stanie skojarzyć gościa.

– To na pewno byłem ja?

– Nazywa się pan Margarito?

Komendant huknął:

– Przejdźmy może do rzeczy. – I podał mu parę banknotów.

– Żeby było jasne, ja tego nie sprzedaję. Proszę tylko o wsparcie.

– Dawaj, stary, bo ramię daje mi popalić.

– Muszę pana ostrzec przed paroma rzeczami. Przede wszystkim ani kropli alkoholu. Ten lek połączony z alkoholem to pewna śmierć. Przestałby pan oddychać. Czy to jasne?

Komendant przytaknął i złapał się za ramię.

– Jedno pytanie – dodał dostarczyciel leku. – Miewa pan kłopoty z oddawaniem stolca?

Roberta musiała powstrzymać szefa, żeby nie rąbnał swojego rozmówcy w nos. Kiedy już się opanował, chłopak wyjaśnił:

– Nie mówię tego, żeby pana wkurzać, tylko dlatego że to może wywołać ostre zatwardzenie, więc daję też panu środek na przeczyszczenie, na wszelki wypadek. – I przekonawszy się, że napięcie spadło, dodał już na luzie: – Pan to ma temperament...

Pokazał mu pigułki, ale zamiast je podać, podniósł je na wysokość twarzy i oświadczył z namaszczeniem:

– Jedna co dwanaście godzin. Nie więcej. Proszę ich nie kruszyć i nie rozpuszczać, tylko połknąć naraz. To zostało pomyślane tak, żeby działało stopniowo. Jeśli się pan pomyli albo przedawkuje, może dojść do zatrzymania oddechu, a nawet zgonu. Proszę się nie denerwować, jeśli pojawią się nudności, wymioty, suchość w ustach, senność, jeśli będzie pan miał kłopoty z koncentracją albo nadmierną potliwość. Ale należy zachować ostrożność, jeśli pojawią się zawroty głowy, twardnienie brzucha, jeśli będą trudności z oddychaniem albo zobaczy pan... duchy.

Komendant i policjantka spojrzeli na niego nieufnie. Chłopak poczuł się w obowiązku wyjaśnić:

– Nie twierdzę, że zobaczy pan Kacperka, przyjaznego duszka, ale mogą pojawić się halucynacje wzrokowe i słuchowe. Będzie pan widział

i słyszał rzeczy, których nikt inny nie usłyszy i nie zobaczy.

Roberta z obawą zerknęła na szefa.

– I jeszcze jedna rzecz. Jeśli będzie pan to długo brał, można się uzależnić na dobre. Zapamięta pan?

Komendant wyrwał mu pigułki i schował je do kieszeni.

– Środka na przeczyszczenie pan nie bierze?

Roberta spojrzała na chłopaka, który wyraźnie nie rozumiał, jak wiele ryzykuje.

– No dobra, pańska sprawa. Cała przyjemność po mojej stronie, komendancie. Pewnie się jeszcze zobaczymy.

I oddalił się, nucąc pod nosem kawałek z refrenem: „Życie pełne jest niespodzianek, mój Boże...”.

Kiedy student zniknął, komendant odezwał się do Grubej:

– Zabierz mnie do mieszkania. Muszę się przebrać.

Objężdżali właśnie park, kiedy zadzwonił Chińczyk.

– Roberta, unikajcie centrum miasta, powtarzam, unikajcie centrum. Mamy doniesienie o podejrzanym ludziach przed domem komendanta. Nie jedźcie tam.

– Cholera, co to za ludzie? – poderwał się komendant.

– Mamy zgłoszenie o trzech białych pikapach, szefie.

– Mają z boku trzy litery?

Komendant miał na myśli skrót CDP, czyli Cartel del Puerto, Kartel Portowy, jak nazywali się Starzy. Na terenie miasta grupa jego chrześniaka malowała sobie ten skrót na samochodach, kiedy wyjeżdżali grupowo na starcie z przeciwnikami albo na egzekucję. Z początkiem zeszłego roku przez La Eternidad przejechała karawana trzydziestu samochodów kierujących się na północ, gdzie miało dojść do bezpardonowego starcia na terenach podmiejskich. Margarito, który został uprzedzony o sprawie, po prostu polecił swoim ludziom, żeby ich przepuścili. Nigdy nie zapomni miny Chudego, który je liczył i liczył, potężne pikapy z przyciemnianymi szybami, wszystkie tego samego koloru, i oglądał się na komendanta, nie śmiąc o nic zapytać. Bo też co mógłby odpowiedzieć Margarito? Teraz prawo stanowiły te dzikusy i nikt, w każdym razie w tym rejonie, nie miał tyle władzy i siły, żeby im się przeciwstawić.

– Nie, szefie, żadnych napisów nie widać.

– Zrozumiałem. – Natychmiast się rozłączył. Nie zamierzał ryzykować.

– Na komendę?

– Nie. Zawieź mnie do mieszkania na plaży.

Gruba rzuciła okiem na pigułki od studenta.

– Szefie, może lepiej niech pan nie ryzykuje...

Margarito popatrzył jej w oczy i schował leki. W sumie racja. Istnieją lepsze sposoby, by znaleźć się w piekle.

Kiedy dojechali do skrzyżowania, zauważyli dwie białe furgonetki blokujące przejazd.

– Tędy nie przejedziemy – stwierdził Margarito. – Skręcaj tutaj.

Pojechali ulicą prowadzącą od uniwersytetu do browaru. Tam skręcili, nie zatrzymując się na czerwonym, i zapuścili się w boczne uliczki, każda z nich nazwana została na cześć dobrze prosperującego miasta związanego z przemysłem naftowym. Kilka minut później przejechali przez tory, wyznaczające granicę między miastem a wybrzeżem. Potem mijali budki z jedzeniem, monopole z automatami do sprzedaży lodu, stacje benzynowe, apteki, sklepiki ze strobami kąpielowymi, bary, w których dobija się najróżniejszych targów, motele, w których co tydzień dochodzi do jakiejś zbrodni, burdele różnego rodzaju, magazyny, w których przechowuje się albo amerykański towar z przemytu, albo broń czy nawet niewielkie ładunki narkotyków, albo całe grupy ludzi czekających na przerzut za granicę.

Na początku swojej kariery komendant był w stanie określić, gdzie mieszka niemal każda rodzina, bo bywał tu prawie codziennie. W niektórych śródmiejskich dzielnicach, a także uboższych osiedlach podmiejskich byłby w stanie wejść na dowolną ulicę i głośno wyliczać, kto mieszka w którym budynku. To było jednak w czasach, kiedy La Eternidad liczyło sto tysięcy mieszkańców, jeszcze zanim stało się dużym miastem, przed turystycznym boomem i gorączką budowlaną, której beneficjentami mieli okazać się cudzoziemcy i milionerzy, bo od jakiegoś czasu miasto rozrosło się w sposób niemożliwy do opanowania. Poprosił Robertę, żeby zatrzymała się pod sklepem samoobsługowym i kupiła mu colę.

– Nie wziąć jeszcze czegoś do jedzenia?

Obojgu przeszło przez myśl to samo. Nikt nie ma pewnej przyszłości, a zwłaszcza policjant i szczególnie w La Eternidad. Roberta zawahała się przez chwilę, czy zostawić go samego, ale ostatecznie popędziła do sklepu, jakby ktoś ją gonił, a Margarito odbezpieczył broń i nawet na

sekundę nie spuszczał oka ze wstecznych lusterek. Roberta zaraz, w takim samym pośpiechu, wróciła do samochodu i wsiadając, podała komendantowi plastikową torbę, w której dostrzegł bochenek chleba, szynkę, ser i wielką butlę coli. To jeszcze jeden miejscowy zwyczaj: łatwiej i taniej kupić butlę słodkiego napoju niż wody.

Minęli wysypisko, slumsy z kartonowymi domkami zamieszkanymi przed biedotę: tych, co się urodzą, pożyją parę lat i umrą, nigdy nie opuszczając tego osiedla. Kilometry ruder skleconych z kartonów i odpadków.

Na murze ktoś namalował potężne, skomplikowane graffiti wyobrażające Santa Muerte, lokalną świętą: Śmierć.

Jeszcze zanim wjechali na aleję prowadzącą na plażę, zatrzymali się, żeby się rozejrzeć po okolicy. Zaskoczyła ich tak powszechna obecność wojska: dwa konwoje z żołnierzami siedzącymi na pace strzegły wjazdu do rafinerii. Może gdyby ustawiono je tu siedem lat temu, Nowi nie mogliby kraść ropy prosto z rur.

– Co robimy? – zapytała wystraszona Roberta.

Margarito pokazał palcem na bitą drogę gruntową prowadzącą między wydiami, z boku szosy. Wjechali w nią, była w fatalnym stanie i pełna dziur, Roberta chyba nigdy czegoś takiego nie widziała. Co dwa metry samochód przechylał się i wpadał w tak głęboką koleinę, że aż rzucało pasażerami.

Nie mogli ryzykować przejazdu przez punkt kontrolny. To by było równoznaczne z powiadomieniem napastników, gdzie są. Dlatego przepychali się bocznymi ulicami, na których od czasu do czasu mijali doszczętnie zniszczony samochód. Tak się kręcili, że Robercie zajęłoby kilka godzin, gdyby miała odtworzyć ich trasę. Minęli wysoki biały mur, długi na niemal kilometr, za którym widać było potężną willę, pomalowaną na biało, własność jednego z przywódców związkowych w mieście. Potem zobaczyli pagórek, na którym związek pracowników naftowych postawił dla swoich ludzi ośrodek rekreacyjny. Wreszcie dotarli do tej części plaży, przy której budowano nowe rezydencje dla milionerów.

– Jedź tam – rzucił.

Po chwili mijali kolejną niedokończoną inwestycję związku nafciarzy: gigantyczny szpital medycyny naturalnej, jeden z wielkich projektów rozpoczętych przez przywódcę związkowego, zanim został aresztowany

przez swoich przeciwników politycznych. Budynek liczył ponad dziesięć pięter, miał sto sal, ale nigdy nie został ukończony. W swoim czasie projekt ten stanowił publiczną tajemnicę, a potem stopniowo popadał w zapomnienie. Kiedy zniknęli strażnicy, ludzie natychmiast rozkradli te nieliczne fanty nadające się do rozkradzenia, powybijali szyby, pokryli ściany graffiti. Teraz wyglądał jak potężny przerdzewiały wrak. Jechali dalej, a kiedy znaleźli się na zakręcie, komendant kazał się jej zatrzymać.

Słyszeli morze, łoskot fal. Droga niknęła między chaszczami, a szereg sosen zasłaniał widok na osiedle Garza Blanca.

– Tu się zatrzymaj. Idź do budki strażnika i zapytaj o Pandę. Powiedz mu, że ktoś z Los Coquitos musi z nim pogadać. Ja tu zaczekam.

Wyciszył oba telefony, zostawiając tylko wibracje, wsunął broń za pasek i czekał. Po jakichś dwóch minutach Roberta wróciła, ale czuć od niej było jeszcze większy strach. Biedaczka. Dwa kroki za nią, zgodnie z zasadami bezpieczeństwa, podążył Panda González, czujny jak lis, z dłonią na kolbie rewolweru, gotów wydobyć go w każdej chwili. Rozpoznawszy jego sylwetkę, szybko pochylił się nad samochodem.

– Tak się domyślałem, że to pan. W czym mogę pomóc, szefie?

– Musimy pogadać na osobności.

Panda pobladł, ale odpowiedział:

– Niech pan wejdzie. Proszę, żeby nie rzucał się pan w oczy.

Komendant poczuł silny ból w brzuchu i zaklął.

– Jesteś sam?

Panda przytaknął.

– Do jutra, do trzeciej po południu, wtedy jest zmiana.

Margarito wysiadł z samochodu i podszedł do Grubej.

– Słuchaj, ja tu zostaję. Wracaj do roboty i bądź ostrożna – zaznaczył. – Jak zadzwonię, przyjedź po mnie.

Potwierdziła i zanim odeszła, zdążyła jeszcze zapytać:

– Szefie?

– No?

– Weźmiesz je?

– He?

– Te pigułki... Ja bym się dobrze zastanowiła... A jeśli chcą pana otruć? Ten typek nie wydawał mi się godny zaufania. Więcej nawet: jestem prawie pewna, że widziałam go z Trzema Szaleńcami...

– Nie przejmuj się.

– Nie chce pan, żebym została? Mogę popilnować...

Komendant westchnął z wdzięcznością i odpowiedział:

– Nie, tam bardziej się przydasz. Wracaj do roboty, będę do ciebie dzwonić. Wiem, że po tobie można się spodziewać wielkich rzeczy. Pomóż mi rozwiązać tę sprawę.

Wziął ciężką torbę z zakupami i ruszył w stronę wydmy. Doszedł na szczyt wzniesienia, odwrócił się i pomachał Robercie. Wydawało mu się, że dziewczyna płacze.

– Proszę, proszę.

Panda zaprowadził go do stróżówki, która okazała się znacznie większa, niż można się było spodziewać. Prostokątne pomieszczenie o długości jakichś ośmiu metrów i szerokości dwóch. Na wpół magazyn, na wpół pomieszczenie dla strażników.

– Słyszałem o wszystkim w radiu. Wyrazy współczucia, szefie.

Margarito spojrział mu w twarz i pomyślał: wreszcie ktoś, kto mówi, co naprawdę myśli, i robi to szczerze.

– Jak mogę panu pomóc?

– Muszę się gdzieś schować, a tutaj domów masz pełno.

Facet zacisnął szczęki. Spełnienie tej prośby oznaczałoby złamanie zasad jego skromnej posady, ale mimo to zgodził się.

– Niech no pomyśle... Tak, to się da zrobić.

Panda otworzył skrzynkę i wyjął z niej kluczyk z numerem trzydzieści trzy.

– Większość jest zajęta, bo mamy sezon, ale zostało jedno miejsce. Właściciele teoretycznie mają się pokazać za tydzień, więc jest okej. – Sprawdził na monitorze, czy nikt nie zjawił się na ulicy i dodał: – Proszę za mną.

Zaprowadził go do małego vana z logo osiedla i kazał mu się położyć z tyłu. Panda podjechał na potężne rondo, pośrodku którego stała fontanna i posąg wieloryba, a potem skręcił w najszerszą ulicę. Dalej jechał prosto uliczką wspinającą się po wydmach.

– Niech się pan lepiej nie kręci po centrum osiedla, żeby ktoś z tutejszych pana nie zobaczył albo żeby nie zapukali i nie sprawdzali kto to.

Na uboczu, na szczycie wydmy, stały trzy, może cztery domy. Panda podjechał pod ostatni, tuż przy ogrodzeniu otaczającym teren. Otworzył garaż pilotem, zaparkował w środku i zamknął bramę.

Było to idealne miejsce na kryjówkę. Dotrzeć do tego domu dało się tylko jedną uliczką, którą z góry widać doskonale, więc zagrożenie można było dostrzec odpowiednio wcześniej. Ewentualni napastnicy mogliby jeszcze przeskoczyć przez ogrodzenie, ale najpierw musieliby się przedrzeć przez labirynt sosen i z pewnością zdradziłyby ich hałas samochodów jadących szosą. Ale nawet jeśli zdąży ich w porę usłyszeć, przeszło mu gwałtownie przez myśl, potrzebowałbym helikoptera, żeby się stąd wydostać. Nie miał przecież czasu, żeby przejechać przez komendę i uzupełnić zapasy, miał więc tylko jeden magazynek. Panda wybił go z zadumy.

– Tu ma pan klucz, który otwiera wszystkie pokoje. Czy mam panu przynieść coś do picia i jedzenia, komendancie?

– Dzięki, mam wszystko. – Pokazał mu torbę.

– Jeśliby mnie pan potrzebował, proszę użyć wewnętrznej linii. – Wskazał na aparat telefoniczny. – Lepiej niech pan nie włącza świateł.

Komendant wiedział, że nie powinien zostawiać śladów swojej bytności, bo Panda będzie miał kłopoty.

– Dzięki, Panda. Ratusz mi życie. Gdybyś widział jakiś podejrzany ruch, daj od razu znać.

Strażnik wyszedł, policjant wziął swoje rzeczy i poszedł się rozejrzeć po domu.

VII

Zgodnie z zapowiedzią Pandy klucz gładko wchodził we wszystkie zamki, acz drewniane drzwi trzeba było mocno pchać, bo napęczniały przez bliskość morza. Podłoga zasłana była cienką warstwą piasku.

Znajdowała się tam przestronna jadalnia, połączona z kuchnią oraz pokoikiem do prasowania. Meble wykonano z pomalowanego na biało drewna, uzupełnionego elementami z łatwego do suszenia płótna, rzecz naturalna na plażach La Eternidad. Położyłby się od razu tam na miejscu, ale salon miał za dużo okien i drzwi, i to z obu stron. Jedne prowadziły do garażu, drugie na ulicę. Wyraźnie widział samochód podjeżdżający i parkujący przed domem z naprzeciwka. Domyślając się, że w takim razie jego także można zobaczyć, wszedł na piętro.

Kiedy wspinał się po schodach, czuł, że ciało mu ciąży, jakby było z betonu. Chwilę mu zajęło, zanim dotarł na górę, lecz w końcu znalazł się na długim korytarzu i doliczył się czworga drzwi. Wybrał te najdalsze i trafił do czegoś, co musiało być sypialnią gospodarzy.

Kimkolwiek był właściciel, w kwestii dekoracji miał niezły gust. Znajdowało się tam łóżko w największym rozmiarze, z bawełnianą narzutą i sześcioma poduszkami, wszystko to pod moskitierą, do tego dwa nocne stoliki wypełnione książkami, na nich lampki do czytania, fotel i małe biurko, a na nim z kolei adapter i kilka płyt. Drewniany wentylator pod sufitem, a do tego oczywiście urządzenie do klimatyzacji w wyjątkowo dużym rozmiarze, byłoby w stanie zamrozić na śmierć cały regiment – tak prezentowało się wyposażenie tego pokoju z oknem wychodzącym na morze.

Dzięki temu, że sypialnia znajdowała się na pierwszym piętrze, miało się widok ponad murem otaczającym posesję, za którym w kierunku wschodnim rozciągały się wydmy i morze, a w północnym szosa, którą przyjechał i na której jedyną oazę życia stanowił pełen klientów sklepik spożywczy. Grupka dzieci bawiła się z wielkim psem, parę osób, być może rodzina albo rybacy, tłoczyło się przed malutkim telewizorkiem pokazującym nie bez zakłóceń jakiś mecz. Po chwili wypatrzył też metalowy stolik z logo piwa Corona, a na nim pełno pustych butelek stojących przed trzema spokojnie siedzącymi mężczyznami. Dwie minuty

później dwóch młodych chłopaków wyszło pograć w kosza przed sąsiednim domem.

Dam radę, pomyślał. Nie mógł zapalić światła, od razu by go zobaczyli.

Ciekawe, jak sobie z tym wszystkim radzi Niema, zastanawiał się. Jest bardzo nerwowa, od kiedy załatwili Busa. Mam nadzieję, że nie zrobi jakiegoś głupstwa. Musiał szybko posłuchać wiadomości.

Pootwierał wszystkie drzwi na korytarzu w poszukiwaniu telewizora. Cholera jasna, gość nie ma telewizji czy co?, aż wreszcie znalazł. Zasunął zasłony i włączył aparat, ścisząc go, najbardziej jak się dało. Na dole ekranu wyświetlała się godzina, była piąta pięćdziesiąt po południu i właśnie miały zacząć się wiadomości, w których będzie mowa o najnowszych zajściach. Wszedł do łazienki i puścił wodę, aż zaczęła lać się letnia. Zauważył, że całą koszulę ma we krwi.

Obmył twarz, wrócił do sypialni, wziął siatkę i wygrzebał z niej leki. Przyjrzał się półprzejrystej buteleczce w bursztynowym kolorze, którą dostał od studenta. Zawierała sześć białych tabletek, które miały okazać się zbawieniem albo trucizną. A jeśli przestanie oddychać? Tak czy inaczej, nie mógł już wytrzymać z tą ręką, więc otworzył butelkę i zażył tabletkę.

Przez parę następnych minut nie poczuł wcale ulgi. Ciekawe, ile minie czasu, zanim ręka wróci do normy, zastanawiał się. Jak, cholera, ma się bronić? Przypomniawszy sobie tego typu, który strzelał do niego z uzi, powolutku podchodząc w jego stronę. Przywołał ten widok i zaskoczyła go ta zimna determinacja wypisana na jego twarzy. Chciał mnie ubić jak psa. Przypomniawszy sobie jego zdziwienie, kiedy dostał kulkę w nogę, i ten gest irytacji, kiedy musiał rzucić broń i uciekać. Przypomniało mu się ciało jego syna i znów ten przekłety smutek schwytał go w swoje kleszcze.

Kurwa, pomyślał, zabili mi syna, a to ja miałem tam zginąć.

Nowe szarpnięcie w ramieniu zmusiło go, by usiadł w fotelu.

Przez tę chwilę, którą zajęło mu opanowanie bólu, stwierdził, że ten cały student nie umie liczyć, więc wziął jeszcze jedną tabletkę. A potem od razu kolejną.

Odczekał niemożliwą do zmierzenia chwilę i zgasił telewizor, bo wydało mu się, że słyszy nadjeżdżający samochód. Na zewnątrz nie było jednak nikogo i zaczynało zmierzchać.

Nagły przypływ jasności umysłu kazał mu zastanowić się nad kilkoma ostatnimi latami swojego życia. Rozmyślał, która z tych dwóch grup walczących o władzę nad miastem mogłaby zyskać więcej na jego śmierci. Choć teraz trudno było mu zebrać myśli, stwierdził, że w tym kryje się klucz do jego sytuacji, tyle że sen sprawiał, że robiło mu się mgliście przed oczami. Wydawało mu się, że na niebo znów wzeszedł krwisty księżyc, a potem usłyszał bardzo blisko rozmowę dwóch osób, więc wyjrzał przez okno.

Zobaczył rybaka cumującego łódkę do boi. Przez chwilę, podczas gdy lek zaczynał krążyć we krwi policjanta, łódka unosiła się i opadała, sama pośrodku zatoki, a komendant pomyślał, że i on znajduje się w takim stanie. Pływa w niebycie.

Zauważył dwóch ludzi idących plażą. Świadom, że mogą go zobaczyć, schował się za zasłoną, i śledził ich uważnie, z bronią w dłoni. Kiedy znaleźli się na wysokości jego kryjówki, obaj mężczyźni rozejrzeli się wokoło i zdawali się o czymś żywo dyskutować, spoglądając na osiedle, jakby to była jakaś wielka piramida i dziwiło ich, że ktoś ją tu zbudował. A może po prostu gapili się na niego i przygotowywali do wkroczenia na teren? Było już tak ciemno, że nie był w stanie dostrzec, czy mają broń. Przyszło mu do głowy, że to może być tylko próba odciągnięcia jego uwagi i znacznie większa grupa szykuje się do wkroczenia przez główne drzwi. Z wielkim trudem odbezpieczył broń; lekarstwa albo zmęczenie po całym dniu sprawiały, że palce nie były mu posłuszne.

Widząc, że jeden z mężczyzn wyciąga z kieszeni coś jakby mikrofon, całuje go i podsuwa drugiemu na wysokość nosa, zamierzał zacząć do nich strzelać, przekonany, że z kimś się porozumiewają. Wtedy jednak dostrzegł, że na tle ich twarzy rozpalają się dwa czerwone punkciki, i zrozumiał, że palą.

Kilka minut później wyrzucili niedopałki z wyraźnym niezadowoleniem, jakby było to równoznaczne z porzuceniem prywatnego raję, zdjęli buty i ruszyli w stronę wody, w której trzeci mężczyzna zaczynał już wyciągać niedużą sieć. Byli to trzej rybacy.

Odwrócił się w drugą stronę zatoki i wydało mu się, że jedna z czarnych skał zaczyna się poruszać. Olbrzymi żółw wychodził na piasek. Trzej mężczyźni rzucili się w jego kierunku. Domyślił się, że zamierzają go upolować.

Chciał krzyknąć z przerażenia, ale nie zdążył, bo na korytarzu z trzaskiem otworzyły się drzwi. Dziecko albo coś, co przybrało postać dziecka, weszło do pokoju. Na widok policjanta uśmiechnęło się i wybiegło.

Margarito z trudem zamknął usta, potem wstał, z szeroko otwartymi ze zdumienia oczami, i powoli wyszedł na korytarz.

W miarę jak szedł, narastało w nim przekonanie, że to nie mogło być dziecko, tylko coś innego, coś, od czego jeżyły mu się włosy na karku.

Z zaskoczeniem odkrył, że na końcu korytarza są jeszcze jedne, teraz otwarte, drzwi, których wcześniej nie zauważył. Przez szczeliny padało światło, wyglądało to tak, jakby drzwi płonęły. Zebrał się na odwagę i wszedł.

Wyglądało to na piwnicę albo studio, pomieszczenie, w którym właściciel domu oddawał się jakimś dziwacznym rozrywkom. Prócz kilku regałów, równie wysokich jak on sam, wypełnionych książkami i jakimiś gratami, które wydawały mu się skądś znajome, stał jeszcze tylko duży drewniany stół, a na nim szklane akwarium, w którym znajdował się model statku. Ładne, pomyślał, przypomina mi Bella Italia. To był jego pierwszy jacht, z czasów prosperity. Zaczął się przyglądać.

To, co zobaczył, sprawiło, że o mały włos nie runął na plecy.

W środku tego akwarium rzeczywiście znajdowała się doskonała reprodukcja, kropka w kropkę, jachtu Bella Italia, jedyne, do którego naprawdę był przywiązany, bo w sumie miał dwa: jeden zatonął podczas huraganu, a drugi zabrali mu Nowi. Bella Italia miała sześciometrowy kadłub. Kupił ją na początku małżeństwa za nie do końca czysto zarobione pieniądze. Łódka była biała, dokładnie jak ta tutaj, miała małą kabinę i niewielki pokój, w którym żona i syn mogli się położyć, kiedy przypiekało słońce. Przez niemal pół roku w każdy weekend wypływali na parę godzin łowić ryby, a potem wracali i jedli to, co udało się złapać. Tamte dni, jeszcze zanim jego związek zaczął się sypać, były najszcześniejsze w całym jego życiu. To jego żona wymalowała nazwę jachtu na jednym z boków, zgodnie z jego sugestią. I ta nazwa widoczna była także na tym modelu. A pod łódką znajdowało się sztuczne morze, namalowane na desce, oraz jeszcze dwie rzeczy: trzy kawałki materiału – żółty w białe pasy, jak te stare kąpielówki, które dostał od żony, ale ich nie używał, bo czuł się w nich śmiesznie, oraz dwa kostiumy bikini

w jaskrawożółtym kolorze, noszone przez jego żonę. Właśnie, pomyślał, to tutaj moje życie zaczęło się chrzanić.

I zrozumiał, że dzieje się coś straszego. Pomachał sobie parę razy dłonią przed oczami, ale to, co widział, było prawdziwe, i miał to przed sobą: model rzeczywistości w skali, wykonany z niepokojącą precyzją. Cholera, pomyślał, dlaczego ten Panda mnie tu wpuścił? Kto jest właścicielem tego domu? Kto tu mieszka?

Jakiś błysk odciągnął jego uwagę od wnętrza akwarium. Dwadzieścia centymetrów od jachtu stała zabawkowa figurka wielkości ołowianego żołnierzyka, która trzymała w ręku błyszczący pistolet. Zabawka przedstawiała siwego mężczyznę z bardzo czarnymi brwiami, w białej koszuli i szarych spodniach oraz butach, w rozkroku i z rękami złożonymi w pozycji walki. Wiedział, że to Elías, człowiek, który wciągnął go do policji. Poczuł, że po plecach przebiega mu dreszcz, kiedy zdał sobie sprawę, że jeśli się dobrze przyjrzeć, figurka ma kilka pionowych cięć na górnej części koszuli, na wysokości piersi, jakby ją ktoś posiekał nożem, a w zębach trzyma monetę, jakby twórca tej zabawki chciał odtworzyć straszną śmierć, jaka spotkała pierwowzór. To niemożliwe, niemożliwe, stwierdził przerażony, bardzo niewiele osób wiedziało akurat o tym.

Po prawej stała jeszcze jedna figurka, tym razem postać kobieca. Dłuższą chwilę zastanawiał się, kto to, aż pojął, że przedstawia ona jego matkę: wróżkę nazywaną Świętą. Lalka o ciemnej karnacji, przypominająca trochę Barbie, z długimi, bardzo długimi włosami, takimiz nogami i ognistym spojrzeniem, odziana w zwiewną sukienkę z białego materiału, unoszącą się jak kielich kwiatu. A w rękach krzyż i pęk ziół. Święta, pomyślał, dawnośmy się nie widzieli. Siedziała na krześle, takim samym, jakiego używała za życia, żeby przyjmować klientów i czytać im przyszłość z dłoni. Ten, kto wykonał ten model, zadał sobie nawet trud, by u jej stóp umieścić malutką butelkę tequili, identyczną jak te wypijane niemal co dzień przez jego matkę. Obok na ziemi leżała walizka, a dalej stał policyjny jeep, od którego zaczął karierę. A w samochodzie, na siedzeniu obok kierowcy, znów czarna walizka. Szybko sobie przypomniał, gdzie taką znalazł i co z nią zrobił. Poczuł gwałtowne mdłości.

Były tam też trzy młode jaguary bawiące się jakby szmata, ale jeśli się dobrze przyjrzeć, to szmata okazywała się kawałkiem ludzkiego tułowia, było widać nawet zebra, należącym do jakiegoś wąsatego grubasa. Jego

ciało leżało na ziemi u stóp dwóch dorosłych jaguarów, wyraźnie raczących się jego mięsem.

Zaczęło mu dzwonić w uszach, co wybiło go ze stanu skupienia. Ostatnim przedmiotem znajdującym się w akwariu była ciężarówka z gazem, taka jak ta, która zablokowała przejazd jego synowi. I wtedy nie miał już wątpliwości, że jakaś złowroga istota przygląda się i ocenia jego życie.

Chciał się bronić, lecz brakło mu argumentów. Żeby jakieś mieć, musiałby wieść inne życie.

Mocne światło odbijające się w szkle akwariu zmusiło go do odwrócenia wzroku. Musiał mocno mrugać oczami, żeby przewyciężyć oślepienie i po omacku ruszyć w stronę wyjścia.

Szedł korytarzem i nie oglądał się wstecz. Nie chciał wiedzieć, kto mieszka w tym domu. Położył się w sypialni, zamknął oczy i zaczął miarowo oddychać, żeby się uspokoić.

Kiedy się zbudził, przez chwilę nie wiedział, gdzie jest. Zobaczył kręte i błyszczące odblaski światła na ścianie i pomyślał, że ktoś chyba wrzucił go do basenu. Poczuł, że coś wibruje mu w spodniach. Nie bez trudu zrozumiał, że to telefon. Ktoś dobijał się uporczywie.

Był ociążały, jakby ktoś poprzywiązywał mu do ciała cegły. Bolała go szyja, jakby go potracił jeep, lewa ręka nie chciała reagować, jakby ją ktoś odłączył. Najwyraźniej ten koktajl z pigułek, który sobie zafundował, przynosił bardzo różne cielesne efekty. Wydawało mu się, że jest ołowianą rękawicą rzuconą przez kogoś w kąt pokoju, gotującym się płynem, w skład którego wchodzi po równo gniew i smutek, oraz dziką bestią, która czuje wielką potrzebę, ale nie wiadomo jaką.

Wciąż próbował się zorientować w swoim położeniu, kiedy coś twardego i kłującego przelazło mu przez palce prawej ręki, spoczywającej na podłodze. Podniósł ją momentalnie, przekonany, że to skorpion, ale okazało się, że to tylko różowy krab, który uciekł tyłem, z uniesionymi szczypcami. Margarito patrzył, jak chowa się w łazience, by ratować swoje małe życie, i wślizguje się do kratki ściekowej.

Przez chwilę długą jak basen olimpijski Margarito był ciałem bez umysłu, spoczywającym na dnie morza. Przypominając sobie, kim jest i jak się tu znalazł, poczuł nagle bardzo wyraźnie, że sen opuszcza jego ciało, jakby siadając na łóżku, bezpowrotnie wylał z siebie magiczny napój. Nagle przeklęty smutek znów się do niego przysiadł. Poruszył

swoim wielkim ciemnym cielskiem i zacisnął paszczę wokół głowy komendanta, aż ten poczuł nienawiść do całego świata. A że nie było innego wyjścia, znów stał się sobą.

Rozbrojony, pomyślał. Jestem kompletnie rozbrojony, jak samochód, któremu rozkradziono części.

Napęczniałe drewno w drzwiach, rdza na meblach i oknach, ale przede wszystkim warstwa piasku pokrywająca podłogę zdawały się sugerować, że świat skończył się wczoraj wieczorem, tyle że nikt się nie pofatygował, żeby go o tym poinformować.

Z wielkim trudem uniósł lewe ramię, żeby sprawdzić godzinę, i przekonał się, że szkiełko jego zegarka jest kompletnie popękane. Wskazówki zatrzymały się na jedenastej dwadzieścia siedem, bez wątpienia podczas strzelaniny. Nie sposób określić, jak długo spał, jedynie na podstawie światła sączącego się przez szczeliny w żaluzjach mógł wywnioskować, że wciąż był wieczór. Nabrał głęboko powietrza i uznał, że musi chwilę odpocząć, zanim odezwie się do Grubej i generała. Pieprzony zegarek. Próbował go nakręcić i stukał, ale na nic. Czas upłynął, ale on żył dalej.

Popatrzył na komórkę. Zostało mu dziesięć procent baterii, miał czternaście SMS-ów i trzydzieści nieodebranych połączeń, w tym cztery z budki, z której w nagłych przypadkach dzwoniła Niema.

Cholera, dziewczyna! Złapał się za głowę. Przygotował wszystko tak, żeby wypuścić ją jeszcze tego wieczora, kiedy już złoży swoją rezygnację, a dzień zmierzał ku końcowi. Szlag by to, ojciec dziewczyny pewnie był już kompletnie załamany, czekał tylko na instrukcje, jak ma przekazać pieniądze. O tej porze powinno już było dojść do wymiany, ale przecież nie mógł przewidzieć, że Tuńczyk, jego prawa ręka w tej akcji, zostanie zabity w strzelaninie.

Miał przekichane. Nie mógł przecież zadzwonić do Niemej ze swojego prywatnego telefonu, zostawiając dowód współnictwa, a tym bardziej z domu, w którym się teraz ukrywał, bo to by równało się przyznaniu do winy. Musiał stąd wyjść i znaleźć jakiś automat telefoniczny.

Wsunął pistolet za pasek, wstał i rozchylił żaluzje. To burza rzucała to dziwne światło, raz rozbłyskało, raz ciemniało. Nie była to zwyczajna burza: błyski widoczne były w dużej odległości, w chmurach tłoczących się nad centrum miasta, a parę sekund później po drugiej stronie zatoki odpowiadał inny błysk, dokładnie nad osiedlem, w którym teraz

przebywał. Czasami w jednym miejscu pojawiały się dwie czy trzy błyskawice jednocześnie, o różnej mocy, a potem po przeciwnej stronie rozbłyskała tylko jedna, jakby każdemu piorunowi odpowiadała gorączkowa kaligrafia elektrycznych wyładowań na tle nieba nad pełnym morzem. Wyglądało to jak nieustający dialog albo zapis niezwykle pilnej wiadomości. Jakby jakieś gigantyczne istoty rozgrywały niezrozumiałą dla zwykłego człowieka partyjkę tenisa.

Margarito nie wierzył w nadludzkie moce. Tylko raz w życiu był przekonany, że spotkał diabła we własnej osobie.

Margarito nie miał wątpliwości, że nigdy nie zapomni, jak podczas jednego z najtrudniejszych okresów biedy, przez jaki przechodził w młodości, kiedy to od wielu tygodni wydawało się, że sprawy nie mogą iść gorzej, ale jednak jakoś im się udawało, postanowił pójść na komendę policji. Zapytał o porucznika Elíasa Cohena, o którym matka wspominała mu jako o przyjacielu ojca, kiedy jeszcze żył. Powiedziano mu, że Cohen jest zajęty, i wyrzucono na ulicę, ale potem wracał tam jeszcze co drugi dzień przez tydzień, aż w końcu go to znużyło i odpuścił. Kiedy stracił już nadzieję, że dojdzie do spotkania, w poniedziałek, koło północy, do drzwi nędznej chałupy, w której wtedy mieszkał z matką, zapukał mężczyzna w szarym ubraniu i z bródką.

Pierwszą jego reakcją było zmieszanie. Ta hiszpańska bródka i lekko skośne jak u kojota oczy przywodziły na myśl diabła, zgodnie z tym, jak się go maluje w tradycji katolickiej. Tyle że diabły nie bywają zwykle aż tak żwawe, a ten to nawet sekundy spokojnie nie mógł ustać i kręcił się ciągle jak bąk.

Gość przyglądał mu się przez chwilę i zapytał bez wstępów, czy jest synem Świętej i po co go szukał. Margarito odpowiedział, że jest i że faktycznie pytał o niego, żeby poprosić o jakąś pracę, a kiedy tamten zapytał o matkę, chłopak wyjaśnił, że od jakichś dziesięciu dni jest na spotkaniu z wiernymi i nie ma pojęcia, kiedy wróci. Mężczyzna spytał wtedy, czy mogą chwilę porozmawiać na ulicy, jakby jakieś dziwne prawo zabraniało mu wejść do środka bez zaproszenia. Margarito tchórzliwy nie był i od razu wyszedł na zewnątrz. Tam, na chodniku, nie podając mu nawet ręki, gość od razu przeszedł do rzeczy.

– Jestem porucznik Elías Cohen. Pracowaliśmy razem z twoim ojcem lata temu w dokach. To był porządny gość, choć często dawał się

oszukiwać innym, i widzę, że chociaż sporo potem zarobił, kiepski był z niego administrator. Przykro widzieć, że jego syn żyje w nędzy. Chcesz dla mnie pracować?

Margaritowi nie podobał się ten dziwny typ, który lekceważył formuły grzecznościowe i miał czelność krytykować jego ojca oraz mówić wprost o trudnych warunkach, w jakich żyją. Ale wtedy zauważył słynnego policyjnego willysa zaparkowanego na rogu. Już miał rzucić się do ucieczki, bo tego dnia ukradł telewizor i obawiał się, że przyjechali go aresztować.

Ci, którzy pracowali na komendzie w La Eternidad w trudnej dekadzie lat osiemdziesiątych, wciąż pamiętają porucznika Elíasa Cohena. To były nielekkie czasy, ale na komendzie pracował naprawdę niezły zespół. Kierował nim komendant Albino, umiał dogadywać się z burmistrzem, deputowanymi i politykami wszelkiej maści, oraz porucznik Cohen, zajmujący się wyjaśnianiem spraw kryminalnych w La Eternidad. Cohen był najstarszym synem i czarną owcą dobrze sytuowanej rodziny handlowców. Cechował się legendarną inteligencją i jeszcze większą niecierpliwością. Jeśli mieszkańcy miasta znani byli ze swojej bezpośredniości, u Cohena ta cecha była posunięta do granic niemożliwości. Wychował się w żydowskiej rodzinie, gdzie nikt nie liczył się ze słowami i wszystko mówiło się wprost. Większość miejscowych starała się zawsze otaczać swoje wypowiedzi mgiełką kurtuazji, za to Elías Cohen zawsze tę mgiełkę bezceremonialnie rozpraszał. Lubił rozmawiać z najróżniejszymi osobami, jakie tylko można sobie wyobrazić, i zastanawiać się, jaki jest ich czuły punkt, na czym im w życiu zależy, jak próbują to osiągnąć, co sprawia im przyjemność i jak zwykle działają.

Te lata, kiedy musiał podejmować się każdej roboty, byle tylko przeżyć, pozwoliły mu poznać bardzo różne ludzkie charaktery, a także wpołyły brak złudzeń co do świata i ironię, objawiającą się często w najmniej stosownych momentach. Jak można się spodziewać, nigdy nie miał za wielu przyjaciół.

– Wiem, że byłeś już karany, że kradniesz, żeby mieć na jedzenie. Czy prócz tego powinienem jeszcze o czymś wiedzieć?

– Nie, proszę pana – skłamał Margarito.

– Wiem też, że jesteś facet z jajami i umiesz się bić. Podczas karnawału stałem niedaleko, kiedy powaliłeś tych ranczerów. Już miałem

interweniować, ale zdałem sobie sprawę, że nie potrzebujesz żadnego wsparcia, sam dałeś radę trzem. Jeden z tych, których pokonałeś, jest bokserem. Kto cię uczył walki?

– Sam się nauczyłem, na ulicy.

Elías uśmiechnął się gorzko.

– Byłem taki jak ty. Cwaniak bez żadnych nauczycieli. Pewnie się starzeję, w każdym razie jestem już zmęczony i potrzebuję pomocnika, który będzie umiał docisnąć, kiedy trzeba działać ostrzej. Jeśli uważasz, że się nadajesz, dziś jest twój dzień.

Do tego czasu życie Margarita układało się wprost koszmarnie. Od kiedy był dzieckiem, jego relacja z matką zawsze wyglądała tak samo: rozrabiał jak mógł, żeby zwrócić na siebie jej uwagę, tak jak wtedy, kiedy ukradł jej wszystkie oszczędności. Ona go wyzywała i próbowała bić, a on zwiewał na ulicę. Im mocniejsze były te wyzwiska i większa chęć spuszczenia mu lania, tym dalej i na dłużej oddalał się od domu w dzielnicy Los Coquitos. Nikomu się nie życzy, żeby nienawidziła go własna matka. Dla Margarita to właśnie było najgorsze, gorsze nawet niż świadomość, że nie ma ojca. I wcale nie pomagało, kiedy mu mówiono: przecież prawie nie znałeś swojego ojca, no to co to za różnica?

Przez jakiś czas mył szyby samochodów przy szosie prowadzącej na lotnisko, a potem właściciel jednego sklepu pozwolił mu myć auta swoich klientów. Częściej niżby sobie tego życzył, musiał wiać przed policją. W tamtych czasach trudno byłoby powiedzieć, kto się z nim przyjaźnił, bo zazwyczaj bił dzieci, które znajdowały się w jego pobliżu. Jedynym, który wszędzie za nim łąził, był Chudy Ibarra, wówczas wręcz otyły i zawsze uśmiechnięty chłopak. Margarito ciągle go popychał, ale Chudy nie przestawał się uśmiechać. Dopiero kiedy urzędnik kuratorium zagroził jej postępowaniem karnym i nie wystraszył się jej czarów, jego matka, Święta, posłała go do szkoły podstawowej.

– Na wiele mu się ona nie przyda. Patrzcie, jak skończyli jego bracia: jeden nie żyje, drugi nosi damskie fatałaszki. Nie wiem, jak skończy ten, ale żaden z niego aniołek. Nie udały mi się dzieci.

Pierwsze dni w szkole to był prawdziwy koszmar. Starsze dzieci wyśmiewały się z jego imienia: „Margerytka, Margerytka, to nie facet, a kobitka”. Nabijały się z jego ubrań, wszystkie miał łątane, wołano na niego „obdartus” albo „szmaciarz”. Śmiano się z jego matki, którą nazywano wiedźmą, więc Margarito popychał inne dzieci, drapał je,

gryzł, podbijał im oczy, a czasami walczył rękami i nogami, kiedy cała grupa przewracała go na ziemię.

Dyrektorka szkoły nie była zdziwiona gniewem, który buzował w małym Margaricie, ani łatwością, z jaką przechodził do rękoczynów. Codziennie kogoś bił, można by powiedzieć, że był to jego sposób na budowanie relacji z rówieśnikami, jakby bicie stanowiło jego wizytówkę. W ciągu pierwszego miesiąca sprzął chyba każdego ucznia, nawet tych starszych, i zaczynał także dręczyć dziewczynki, które z niego szydziły. Szarpał je za sukienki, rzucał wyzwiskami, popychał. Co wyrośnie z tego chłopaka, martwiła się dyrektorka, bycie dzieckiem Świętej to nie może być łatwa sprawa.

Zdarzyło się raz, że w jego życiu coś mogło się zmienić. Kiedy poznał panią Lupitę, nauczycielkę. Uprowadzona przez dyrektorkę, że ma do czynienia z problematycznym dzieckiem, zamiast ukarać go za zabieranie innym uczniom śniadań, pani Lupita przez cały pierwszy dzień uważnie go obserwowała i prawie nie ingerowała w jego starcia z innymi. Następnego dnia poprosiła, żeby został w klasie po dzwonku na przerwę.

– Margarito, chciałabym z tobą porozmawiać. Zjedźmy razem śniadanie.

Po raz pierwszy ktoś mówił do niego i traktował jak dorosłego. Margarita tak to zaskoczyło, że nawet zareagował jak dorosły. I na pytania nauczycielki odpowiadał z klarownością, której sam u siebie nie podejrzewał.

Pani Lupita była bardzo ładną dziewczyną z czarnymi lokami, świeżo upieczoną absolwentką kolegium nauczycielskiego. Kiedy chłopiec opowiedział jej już o swoich braciach i o tym, jak traktuje go matka, nauczycielka bardzo posmutniała.

– Prawdziwy z ciebie *angry young man*. – Elías wbił w niego spojrzenie tak niebieskie, że Margarito zaczynał czuć się niezręcznie. – W twoim wieku byłem dokładnie taki sam. Aż pewnego dnia znalazł mnie komendant Albino i dał mi pracę na komendzie. Jeśli chcesz zrobić karierę, pewnych rzeczy musisz nauczyć się jak najszybciej. Każdy może się uczyć na błędach, ale ja ci pomogę i pokażę drogę na skróty. Proszę tylko o jedno: nigdy nie ulegaj pokusie zdrady. Nie bądź jak byle zbiry, a zarobisz znacznie więcej niż oni i przede wszystkim dużo dłużej pożyjesz.

Często chodzili razem do ich ulubionego baru pod palmowym zadaszeniem na nadbrzeżnym deptaku. Tłoczyli się tam klienci zamawiający ryby, owoce morza, empanady i zupy. To było jedno z nielicznych miejsc, w których Margarito czuł się jak w domu.

Trzy miesiące po przyjęciu Margarita Elías zlecał mu już bardziej skomplikowane zadania i wszyscy powtarzali, że chłopak dojdzie kiedyś do funkcji komendanta. Po tym, jak przez pół życia uciekał przed policjantami, teraz miał się stać najlepszym z nich.

Elías był bardzo wymagającym i znakomitym nauczycielem życia, lecz to, co u niego zarabiał Margarito, ledwie pozwalało się utrzymać. Jego sytuacja finansowa poprawiła się jednak raptownie w wyniku pewnej akcji.

Tego dnia działał w parze z Doradem. Ktoś zabił przemytnika zwanego Kotem na progu jego własnego mieszkania. Dokonywali oględzin miejsca zbrodni, kiedy nagle Dorado pokazał mu walizkę leżącą w krzakach przed domem.

– Patrz, co znalazłem! Tylko zobacz!

Agent specjalny Margarito położył ją sobie na kolanach i otworzył walizkę. W środku znajdowała się wypchana beżowa koperta, a w niej coś, czego jeszcze nie widział.

– Jasna cholera!

To były banknoty studolarowe, prosto z banku, w plikach przepasanych banderolami.

– Tu musi być... nie wiem... przynajmniej sto tysięcy...

– Stary cwaniak, nie bez powodu uciekał.

Margarito nigdy w życiu nie widział tylu pieniędzy.

Z koperty wytrzepali jeszcze kilka dokumentów i wizytówkę z zapisaną na niej wiadomością. Na widok logo zrozumiał, że nie mogą zostawić sobie tej forsy.

– Zwariowałeś? – zdziwił się Dorado.

– Może i zwariowałem, ale nie do końca. Znam właściciela. Nie za dobrze, ale wiem, kto to.

Kiedy zjawił się osobiście w domu właściciela walizki, żeby mu ją oddać, pilnujący go strażnicy obrzucili pogardliwym spojrzeniem jego wytarte spodnie i trzy razy reperowane buty. Dobrze czterdzieści minut zajęło mu wytłumaczenie im, że przesyłkę musi dostarczyć osobiście,

a potem jeszcze pół godziny, żeby deputowany Camacho, doradca i osobisty sekretarz związkowego przywódcy, zechciał się do niego pofatygować. Dopiero przy nim Margarito, szczerze znudzony ciągłym przeliczaniem tych dziewięciu palm widocznych w ogrodzie, otworzył walizkę. Deputowany zdjął okulary słoneczne na widok pieniędzy.

– Przysłała cię Elías Cohen?

– Nie, proszę pana. – Margarito przełknął ślinę świadom ryzyka. – Nikogo nie informowałem.

Deputowany wciąż był nieufny.

– Mówisz, że jesteś stąd, z miasta. Nie jesteś spokrewniony z tymi Gonzálezami, co mają biuro notarialne na ulicy Morelos?

– Nie znam ich, proszę pana. Pochodzimy spoza miasta, ale przeprowadziliśmy się tu, do Los Coquitos.

– Poczekaj.

Przeszedł do przylegającego pomieszczenia. Słyszał, że rozmawia z kimś głośno przez telefon, a potem śmieje się, najpierw życzliwie, potem o wiele mniej. Kwadrans później znów się zjawił, znacznie bardziej wyluzowany.

– A więc jesteś synem naszej Świętej? Mogłeś powiedzieć od razu.

Deputowany skojarzył już fakty i nie mógł uwierzyć w to, co się dzieje. Szeroki uśmiech wykwitł mu pod wąsami.

– To, że Kot nie żyje, niespecjalnie nas interesuje. Związek nie ma nic wspólnego z przemytem ani przestępczością. Czy to jasne? Nasi liderzy są absolutnie czysti.

Po woni przetrawionego alkoholu Margarito poznał, że deputowany od wczorajszego wieczoru nie przestawał pić. Odpowiedział mu więc z największą ostrożnością i tak dyplomatycznie, jak tylko potrafił. Jakby pod jego słowami nic się nie kryło.

– Dlatego to panu przyniosłem. Uznałem, że to ważne, by te dokumenty nie pojawiły się na miejscu zbrodni. Trzeba chronić wizerunek związków zawodowych. – I podał mu dokumenty oraz wizytówkę znalezione w kopercie.

Deputowany zgubił gdzieś uśmiech, obejrzał papiery, potem dość długo przyglądał się samemu Margaritowi, a następnie wstał.

– Proszę jeszcze poczekać.

Margarito z pewnym niepokojem dostrzegł, że dwaj ochroniarze zjawiają się w pomieszczeniu. Obszukali go i poprosili o broń, a on nie

protestował. Nie ma szans, żeby kazał mnie zabić u siebie w domu, moralnie czysty lider raczej nie zakopuje zwłok w ogródku, musiałby być niespełna rozumu. Pięć minut później zaprowadzono go do gabinetu lidera związkowego.

Camacho siedział obok swojego szefa z drinkiem w ręku. Walizka spoczywała na stole przy biurku. Widząc go, Valentín Fernández Vallarta, przywódca związków zawodowych, wstał i podał mu rękę.

– Proszę, pan wejdzie, młody człowieku, proszę.

Dotąd widział go tylko na zdjęciach, na których zawsze pojawiał się w tych swoich ciemnych okularach. Jak zwykle miał cienki wąsik tuż nad górną wargą, podkreślający wielkość ust, co nadawało mu nieco małpi wygląd. Tym jednak, co zwracało największą uwagę, była jego masywna sylwetka i potężne dłonie. Nietrudno sobie wyobrazić, że zaczynał karierę jako tragarz, potem załadunkowy, a później zajął się działalnością i dyrektorowaniem w związku zawodowym nacierzy, ostro ścierając się z każdym, kto stawał mu na drodze.

Margarito wiedział, że ma przed sobą jednego z najpotężniejszych ludzi w kraju. Wystarczyło, że wezwie swoich związkowców do strajku, a cena ropy na całym świecie pójdzie w górę. Nigdy jednak nie interesował się zagranicą. Jego horyzonty nie sięgały dalej niż posesje kupione w Las Vegas, na Padre Island czy w Houston, bez wątpienia jego ulubionych miastach, do których jeździł wypocząć. Podróżował dużo, dokądkolwiek mu się zachciało, pod byle pretekstem. Ciągłe się słyszało, że właśnie wraca z Paryża, Rzymu, Hiszpanii czy Nowego Jorku, gdzie oficjalnie zajmował się sprawami związku, zawsze w towarzystwie aktualnej kochanki i kolegów.

Wiedział, bo wyczytał to w którymś numerze „Proceso”, że lider związkowców stworzył tę organizację dzięki wsparciu jednego z prezydentów w latach czterdziestych, że musiał toczyć regularne walki ze strzelaninami przeciwko komunistom opłacanym przez zagraniczne mocarstwa i że meksykański rząd umiał się odwdzięczyć, dzięki czemu związki rozrosły się tak, że każdy musiał się z nimi liczyć.

Zlecając dyskretną likwidację swoich wrogów, lider większość czasu poświęcał na publiczną aktywność, przyjmował gości i snuł gęstą sieć wzajemnych powiązań i przysług, oczekując od innych lojalności i całkowitego posłuszeństwa. W tym celu każdego miesiąca spotykał się z gronem zaufanych współpracowników i zapraszał ich na wystawny

obiad. Umawiał się z inżynierami projektującymi urządzenia w rafineriach, z architektami budującymi domy dla pracowników, z senatorami i deputowanymi z całego kraju. Wszystkich pytał, czego im trzeba. Zamiast zabiegać o wsparcie dla swoich projektów, większość prosiła go o pieniądze dla siebie: żeby zapłacić za bankiet z okazji piętnastych urodzin córki, na nowy samochód dla żony, o pożyczkę na zakup domu. Nieczęsto zdarzał się ktoś, kto prosił o sprzęt, specjalistów czy miejsca pracy w najbiedniejszych regionach kraju. Zapraszanie takich ludzi na zagraniczne wyjazdy, obdarowywanie całych rodzin wakacjami czy rozdawanie samochodów, a nawet domów nie stanowiło dla niego żadnego problemu, bo każdego dnia przez jego ręce przechodziły miliony dolarów. Obsadzenie każdego stanowiska w związku wymagało jego zgody. Nawet bardzo dobrze przygotowana i pełna zapału osoba, gotowa pracować na rzecz kraju, musiała najpierw przekonać do siebie któregoś z bliskich kumpli lidera, żeby mieć jakiegokolwiek szanse na wymarzone stanowisko czy funkcję.

Przywódca był pod dużym wrażeniem etycznej postawy policjanta, co bardzo wyraźnie zaznaczył.

– Mówią mi, że jesteś synem Świętej. Matka wciąż żyje?

Dobre pytanie.

– Ostatni raz, kiedy się widzieliśmy, mieszkała tam, gdzie zawsze.

– No tak. Twój brat był członkiem spółdzielni El Caracol?

– Tak jest. – Margarito oniemiał: skąd oni wiedzą takie rzeczy? – To był mój brat Antonio, ale on już nie żyje.

– A jeden z twoich braci jest dzieckiem protestanckiego pastora?

Margarito musiał przełknąć swój wstyd, żeby na to odpowiedzieć:

– To mój drugi brat, Enrique.

– Tak, wiem, że nazywają go Raquel i że pracuje jako tancerka gdzieś w Veracruz... Kto był twoim ojcem?

Margarito wzruszył ramionami. Deputowany i przywódca związkowy dziwnie łypnęli na niego okiem. To było krótkie spojrzenie, ale Margarito je wyłapał. Wtedy lider odwrócił się i poszedł za biurko. Stamtąd powiedział:

– Dobrze, przyjacielu, nasz związek jest wdzięczny za twoją pomoc. To coś w rękach jakiegoś wroga mogłoby nam zaszkodzić na lata, zresztą co tam na lata, na całe życie! Życie związku. Będę o tym pamiętał i umiał się odwdzięczyć. Proszę.

Lider wręczył mu połowę dolarów przemytnika i choć z początku Margarito nie chciał ich przyjąć, tamten nalegał. Potem deputowany zaprosił go do wyjścia i delikatnie zamknął za nim drzwi.

Ku jego zaskoczeniu w ciągu następnych tygodni zadzwonili do niego trzy razy, zawsze odzywał się w słuchawce jeden z ochroniarzy deputowanego. Margarito, jest taka jedna tancerka, na którą mówią Rosjanka, znajdź ją i przywieź do domu na plaży. Margarito, przyjechali koledzy ze stolicy i potrzebują paru wesołych, ale godnych zaufania chłopaczków i coś do nosa, załatw tak ze trzy gramy. I oczywiście najważniejsze ze wszystkich poleceń: Margarito, w archiwach komendanta jest taka jedna teczka, dotyczy sprawy tych trupów przy moście Las Peras. Lepiej, żeby się znalazła tutaj, nie u was, przywieź nam wszystko, co twój szef tam trzyma. I oczywiście robił, co mu kazali. Kiedy wypełnił to trzecie polecenie, z zaskoczeniem odebrał telefon od samego lidera, i to o siódmej rano w niedzielę. Tego dnia wykąpał się, nie bacząc na lodowatą wodę, ogolił się, wyprasował swoją najlepszą koszulę i wylał na siebie wszystko, co zostało we flakoniku Old Spice. Szedł na spotkanie z przeznaczeniem.

Jak zawsze kiedy tylko pan Valentín Fernández Vallarta pojawiał się w biurach związkowych, już kilka przecznic wcześniej widać było zaparkowane samochody, przy czym wcale nie należały one do ochroniarzy. Przywódca bowiem nie miał ani nie zatrudniał ani jednego, broń Boże. Należały do bliskich znajomych, przyjaciół wręcz, czy też innych osób troszczących się o zdrowie i życie lidera, a niektórzy z nich pracowali w policji federalnej albo rekrutowali się z różnych stanowych więzień i wszystkim bardzo uważnie się przyglądali, schowani za ciemnymi okularami, prezent od przywódcy, trzymając na widoku swoje karabiny czy strzelby, nabyte przez nich do osobistego użytku, lider bowiem nie kupił nigdy choćby jednej sztuki broni, nie dałoby się go połączyć nawet z jedną petardą, a jego ochotniczy ochroniarze siedzieli tam, porozstawiani na rogach, obserwując każdego, kto wchodził czy wychodził z dzielnicy. I tak codziennie, od kiedy pan Valentín Fernández Vallarta uznał, że w sumie nie ma potrzeby, by chodzić do pracy do biur związku, skoro może robić wszystko z domu, i z przywódcy praktycznego stał się raczej „liderem moralnym”, zawsze gotów do udzielenia porady i wyciągnięcia ręki. Codziennie w ciepłych promieniach słońca przed jego domem ustawiała się długa kolejka interesantów zabiegających

o audiencję, żeby poprosić o jakąś przysługę albo za nią podziękować. Ten typ jest większym cudotwórcą niż Święty Marcin de Porrès, pomyślał policjant i rzeczywiście doszło do cudu. Nie kazali mu czekać. Na jego widok lider powiedział:

– Zapytał mnie ostatnio burmistrz, czego mi trzeba, żebym znów był zadowolony. A ja mu na to: ty stary, cwany szczurze, widać, że mówisz to ze złych pobudek, nie myśl sobie, że mnie kupisz, nie wyobrażaj sobie, że zbałamucisz mnie tymi swoimi przysługami, ja cię mogę usunąć ze stanowiska jednym telefonem, nie kupisz mnie, ale wezmę twoje słowa za dobrą monetę, szczurze jeden, bo jestem od ciebie mądrzejszy i mam większe doświadczenie, więc posłuchaj: w tym mieście potrzebny jest nam nowy szef policji... I normalnie krew uciekła mu z twarzy, bo to naprawdę jest nikt, jest nikim, od kiedy go znam: pastował ludziom buty przed moim biurem, nigdy nie zasługiwał na nic lepszego, a ponieważ wie, że niedługo będzie po nim, wie, że już depczą mu po piętach, powiedziałem mu: nowym komendantem ma być Margarito González, Ale go zatkało, bałwan jeden. Chyba nie masz z nim na pieńku, co? Nawet zacząłem się wahać i wydałeś mi się podejrzany, bo naprawdę był mocno zszokowany. Powtórzyłem twoje nazwisko i wtedy jakoś zaczął wracać do siebie, nie może być na ciebie specjalnie cięty, bo się uśmiechnął i powiedział: tak jest, proszę pana, załatwimy to z miejsca. Więc po sprawie. Wczoraj o drugiej nad ranem zwolnili Albina, w tym momencie pewnie wynosi swoje rzeczy z gabinetu.

Margarito zareagował dopiero po chwili. Stary przyglądał mu się niecierpliwie.

– Zaniemówiłeś, kolego?

Margarito pochylił się i wyciągnął rękę.

– Nie zawiodę pana.

– Już się czuję zawiedziony. Zobacz tylko, co ty masz na sobie. Nie możesz tak iść do roboty... Zanim stąd wyjdiesz, idź do Camacho i powiedz mu, żeby ci załatwił, co potrzebujesz, niech ci da kasę na pierwsze wydatki, jakieś diety czy coś. Z którego roku jest twój rewolwer? Bo to jakiś stary gruchot...

– To smith & wesson...

– Wygląda jak z dziewiętnastego wieku. Kup sobie coś nowego. Albo nie... poczekaj chwilę. Chłopaki!

Trzej ochroniarze momentalnie pojawili się w drzwiach. Lider podszedł do jednego z nich i powiedział mu coś szeptem. Facet wyszedł i popędził korytarzem, po czym wrócił z drewnianą skrzynką i wręczył ją panu Valentínowi. Ten nawet nie zajrzał do środka, tylko od razu podszedł do Margarita i mu ją podał. W środku znajdował się automatyczny colt 38. Margarito wiedział, że coś takiego istnieje, można nawet powiedzieć, że wyobrażał to sobie i marzył o takiej broni, ale nigdy wcześniej na własne oczy jej nie widział. Solidny kawał metalu, prawdziwa armata w miniaturze. Kolbę wykonano z jakiegoś przyjemnego w dotyku materiału o lekko chropowatej powierzchni, tworzącej gęstą kratkę, rzecz bardzo ceniona przez znawców. Jak już się to wzięło do ręki, nie miało się ochoty wypuszczać. Obok nazwy marki widać było kilka ciemnosrebrnych guzików, co nadawało całości swoście wężową elegancję. Resztę zrobiono z metalu czarniejszego niż noc. Nowy komendant wziął broń do ręki i wydała mu się ciężka jak te stare żelazka, te długie żelazne bloki, jakich jeszcze używała jego matka, i widząc, jak wygodny jest uchwyt i jak dobrze palce zamykają się wokół rękojeści, pomyślał sobie: diabli wiedzą, jaki to metal, ale nieźle się tym musi zadawać ciosy. Zaopatrzony był w magazynek na dziewięć kul i bardzo lekki język spustowy. Kiedy już się go odbezpieczy, wystarczy kichnąć, a wystrzeli. Po drugiej stronie biurka przywódca związkowy sprawiał wrażenie zadowolonego z wrażenia, jakie wywarł tą bronią.

– Takich samych używa policja w Stanach. Tam to jest oficjalna broń.

– Don Valentín... – Margarito prawie uklęknął. – Jestem do pańskich usług.

– Na to liczę, chłopcze. Jeśli ktoś mi się sprzeciwi, to ma pecha. I nigdy nie zapomnij, kto jest twoim moralnym przywódcą.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobił, był powrót do dzielnicy Los Coquitos. Ubrany był jeszcze po cywilnemu, ale wziął willysa. W kieszeni koszuli miał kopertę z tysiącem pesos w drobnych banknotach, a w prawej sporą butelkę tequili Centinela. Zaparkował jeepa przed lokalem Narodowej Loterii i zamiast zmierzać prosto do celu, przejechał bocznymi ulicami, żeby się nie rzucać w oczy. Dotarł pod drewniany dom z blaszanym dachem, gdzie staruszka rozmawiała na tarasie z sąsiadką, a między nimi kręcił się czarny kot. Na jego widok sąsiadka i kot czmychnęli, ale staruszka, masywna kobieta ubrana na biało, nie ruszyła się ze swojego

fotela. Ograniczyła się do zmarszczenia brwi. Im bliżej był Margarito, tym bardziej je marszczyła.

– Myślałam, że już nie mam dzieci. Nie przekazywali ci, że dzwoniłam?

– Matko. – Komendant przełknął ślinę. – Przyjechałem z tobą porozmawiać.

– Nie bardzo wiem, o czym, masz przecież swój dach nad głową. Wiem, że mieszkasz z jakąś złą kobietą nad barem don Cristóbal, że nie ma dnia, byś nie pił, i jeszcze się szprycujesz koką.

– Matko – odpowiedział – zostałem nowym komendantem policji w mieście.

Wiedźma, którą nazywano Świętą, spojrzała na niego oczami szerokimi jak spodki, zlustrowała uważnie jego jeepa zaparkowanego przed loterią i zrozumiała, że jej syn nie zmyśla, w każdym razie nie tym razem. Pierwszy raz, od kiedy pamiętał, Margarito ujrzał uśmiech na pojaśnionej nagle twarzy matki, nawet jeśli był to tylko uśmiech przelotny. Święta zaraz przybrała z powrotem niezadowoloną minę i zabrała się ponownie do przerwanego jego przybyciem szycia. Po chwili jednak znów złagodniała i spojrzała Margaritowi prosto w oczy.

– Wciąż jest nagroda za Tilapię?

Nowy szef policji w La Eternidad przytaknął zaskoczony.

Tak odbudował swoją relację z matką i wtedy zaczęła się tworzyć wokół niej złowroga legenda.

Służbową relację z matką utrzymywał niemal do samej jej śmierci. Po trwającym wiele miesięcy zerwaniu, w rezultacie rzuconych nieopatrzenie przykrych słów podczas wspólnej popijawy, matka przez pośredników poprosiła syna, żeby ją odwiedził, bo progu jej domu nie zamierzał przekroczyć, w każdym razie nie z własnej woli. A Margarito przypomniał sobie, że jego matka rzeczywiście poruszała się przez ostatnie miesiące z pewnym trudem.

– Łażę jak papużka na drążku – powtarzała. Z dnia na dzień dopadły ją wszystkie dolegliwości właściwe dla starczego wieku.

W dniu, w którym przyszedł ją odwiedzić, Święta leżała już na łożu śmierci i na jego widok rozkazała:

– Siadaj i słuchaj.

Przekonany, że matka zacznie go wyzywać i przeklinać, jedną nogą będąc już na tamtym świecie, Margarito dał się kompletnie zaskoczyć słowom, które usłyszał.

– Będziesz musiał przejść przez trzy próby, wszystkie straszne, zanim dożyjesz swoich dni. I będziesz musiał się zastanowić nad tym, co wcześniej nawarzyłeś. Nad tym, po co przyszedliśmy na ten świat.

Margarito rozejrzył się po dotrzymujących jego matce towarzystwa sąsiadkach, a te pokręciły głowami.

– Majaczy.

– Nie majaczą. I jest jeszcze coś.

Położyła się znów na plecach i złapała syna za rękę.

– Masz tu dziecko, które mieszka w okolicy. Musisz je uznać. – I nagle dodała: – Ale to dziwne, czuję, jakby mnie odciągała fala. Porywa mnie jakaś fala? – Jej dom stał z piętnaście kilometrów od brzegu, ale nikt nie kwapił się, by rozwiać jej wątpliwości.

Kiedy wszystko się skończyło, Ubalda, wierna sąsiadka, oraz z dziesiątka dziewczynek od dwunastu do piętnastu lat, którymi zajmowała się przez ostatnie lata, opłakiwały zmarłą nad łóżem śmierci. W pewnej chwili Ubalda wstała, a Margarito podał jej kopertę.

– Weź, przygotuj wszystko tak, jak ona by chciała.

Podczas gdy staruszka i jej pomocnice uwijały się po domu, on siedział jak zombi. Już miał wstać, gdy nagle dostrzegł coś czerwonego między palcami nieboszczki. Dopiero po chwili podszedł i rozprostował jej dłoń. Pewnie, chciałby, żeby dłoń nagle odżyła i żeby się okazało, że to jakaś pomyłka z tą śmiercią. Każdy w jego sytuacji myśli o czymś takim. Święta jednak zakończyła, i to na dobre, swój dziwny przemarsz przez życie. Dlatego Margarito rozprostował i obrócił jej dłoń. Pomyślał: ale to dziwne, matko, teraz to ja będę czytał ci z ręki, jednak jego matka miała dla niego niespodziankę. Trzymała obrazek, jeden z tych, których druk zleciła za młodu, kiedy ludzie wierzyli jeszcze w jej prorocze moce. A do tego nakreślony drżącą ręką koślawy napis: „Dla Margarita”. Tego się nie spodziewał. Po raz ostatni spojrzął na Świętą, schował obrazek i szybko wyszedł na zewnątrz.

Najpierw szefem policji mianowano szefa prokuratury z Nuevo León. To się nikomu nie spodobało i pewnej nocy zabili go przed domem. Następnie wybrano Aragóna, generała z San Luis, który szykował się na emeryturę. Ponieważ facet symulował zaangażowanie, co polegało na tym, że łapał wyłącznie ludzi pracujących dla pana Obregóna, natomiast Nowych nie bił nawet kwiatkiem, ludzie Obregóna postanowili wyrównać

z nim rachunki na plaży. Potem przyszła kolej na komendanta Albina i porucznika Elíasa, obaj marnie skończyli, pierwszy zmuszony do emerytury, drugi zamordowany we własnym domu. I teraz przyszedł czas na Margarita.

Zabójstwo Elíasa Cohena naznaczyło życie Margarita jak mało co. Nieczęsto się zdarza, że trzeba dokonać identyfikacji ciała swojego mistrza, zamordowanego w spektakularnie brutalny sposób. Zbrodnia ta, nigdy niewyjaśniona, jeszcze jeden powód do wstydu dla komendy, cechowała się niezwykle brutalnością i stała się ważnym punktem odniesienia dla późniejszych tego rodzaju przypadków. Za każdym razem kiedy jakiś agent zamierzał podpaść najstarszej z grup przestępczych działających w mieście, tej, która dekadami umiała trzymać się w cieniu i z dala od wiedzy opinii publicznej, do tego stopnia, że nie miała nawet nazwy, za każdym razem kiedy ktoś zamierzał wystąpić przeciw interesom tej organizacji, zawsze zjawiał się jakiś solidarny kolega, który rzucił:

– Pamiętasz, co zrobili z Elíasem?

W roku 1981, nigdy tego nie zapomni, Margarito zrobił sobie długi weekend i od piątku do niedzieli był na popijawie, a kiedy wrócił do biura, zastał wszystkich w stanie podenerwowania, nikt z nikim nie gadał i wszyscy obrzucali go podejrzliwymi spojrzeniami. Bo policjanci wiedzą, kiedy któryś z nich kręci się w szemranych rejonach. Nie potrzebują na to dowodów, intuicja w zupełności wystarczy.

– Co się stało? – zapytał jedną z sekretarek.

– Niech komendant panu powie – odpowiedziała. – Chce z panem porozmawiać.

I dziewczyna oddaliła się na drugi koniec biura, żeby zająć się rzekomo pilnymi sprawami, nie spuszczając go jednak z oka.

– Co robiłeś w weekend? – zapytał go komendant Albino. Towarzyszyli mu tym razem dwaj zaufani ochroniarze. Usiedli po bokach Margarita.

– Pojechałem do kurortu z jedną panią.

– A ta panią ma jakiś telefon i imię? Możesz to udowodnić?

Margarito zmarszczył brwi zdziwiony.

– Mam nawet faktury, jeśli chce pan zobaczyć.

– Pokaż. – Szef wyciągnął rękę. – A póki sprawa jest niejasna, oddaj mi swoją broń.

Margarito usłuchał obu poleceń. Był świadom, że wmieszanie w to swojej partnerki, przepięknej Włoszki, mogłoby mieć katastrofalne skutki dla ich związku, ale tak czy inaczej czuł się w obowiązku podać numer telefonu i adres.

– Przebywa u mnie w domu.

Komendant wysłał kogoś z radiowozem, żeby sprawdzić alibi Margarita. Przysunął do siebie jego pistolet i podjął:

– Nie wiesz, co zrobili z Elíasem?

– Co z nim?

Powiedział mu, że jego ciało porzucono przy wjeździe do miasta. Wypatrzył je kierowca autobusu i zgłosił znalezisko, kiedy tylko dojechał na dworzec. Bosy, nagi od pasa w dół, koszula zalana krwią, palce i ręce połamane, tors poszatkowany nożem, potworny grymas bólu na twarzy. Ręce wyciągnięte do przodu, w ustach szmaciany knebel, tłumiący krzyki. Miało się wrażenie, że trup wciąż stara się bronić przed tym, co nieuchronne. Nie odcięto mu języka ani penisa, jak to się robi z kapusiami czy gwałcicielami, ale owszem, wykłuto oczy.

Margarito nigdy nie zapomniał widoku ciała swojego nauczyciela. Musiał zobaczyć coś, czego nie powinien był widzieć, albo odmówił z kimś współpracy. I tak zakończył życie najlepszy detektyw z żydowskiej rodziny, jakiego nosiła ta planeta. Prawdę mówiąc, Margarito od jakiegoś czasu przeczuwał, że to się tak skończy.

Szcześliwa gwiazda zaczęła blednąć, od kiedy Elias oddalił się od swoich znajomych w półświatku. A ponieważ przestał wierzyć Margaritowi, zaczął mu zlecać zadania będące stratą czasu, w rodzaju pilnowania terenów, gdzie nie działo się kompletnie nic, ganiań z wiadomościami albo bycia za kierowcę dla jakiegoś deputowanego. Prowadził też sprawy z udziałem robiących głupie kawały dzieci albo nudnych staruszek.

Wiedział, że coś się musi wydarzyć, bo informatorzy Elíasa – zazwyczaj byli to ludzie płochliwi i nieufni, umawiał się z nimi w portowych barach – nagle zniknęli z miasta. Wszyscy nawiali. Pewnego razu Margarito wszedł do baru w luksusowym hotelu z wiadomością dla jednego polityka i nagle zdał sobie sprawę, że nie powinien był tu trafić: zobaczył bowiem Elíasa siedzącego przy stoliku w głębi sali i gadającego spokojnie, acz bez uśmiechu na twarzy, z jednym z najbardziej poszukiwanych ludzi w mieście: Antoniem Grayem, handlującym trawką na deptaku przy

plaży. To był on, bez dwóch zdań: ta sama gęsta bródka, nieskazitelna koszula w kratę, jakby właśnie kupiona w sklepie, modne spodnie i luksusowe buty. Młody od razu zorientował się, że jego przełożony i opiekun jest umoczony w jakieś mroczne sprawy, zdradzała to mina jego rozmówcy. Elías udawał wtedy, że go nie zauważa. Niedługo później znaleziono jego zwłoki.

Margarito wiedział, że nikt nie odważy się grzebać w sprawie śmierci Elíasa. Morderstwo porucznika okazało się tak wielkim szokiem, że nawet gazety odniosły się do niego z wielką dyskrecją. Opublikowano klepsydrę oraz opłacone przez rodzinę ogłoszenie z informacją, gdzie odbędzie się czuwanie przy zwłokach. To wszystko. Tego rodzaju informacje były cenzurowane przez władze.

Przez następne tygodnie Margarito dokonywał rachunku sumienia i zastanawiał się, która ze spraw prowadzonych przez Elíasa przed samą śmiercią mogła doprowadzić go do takiego stanu podenerwowania i irytacji, w jakich widziano go w ostatnich dniach. Bo trzeba to powiedzieć wprost: był nie do zniesienia. Wypytyjąc później kolegów towarzyszących Elíasowi, Margarito przekonał się, że żaden nie ma sensownych podejrzeń. Rozmawiał na przykład z Tygrysem Obregómem, wtedy jeszcze pozostającym przy życiu, a ten trzykrotnie przysięgał, że nie ma ze sprawą nic wspólnego.

– Ten, kto to zrobił, to jakiś potwór.

Stał się podejrzliwy, przez wiele tygodni nie spuszczał oka ze swoich kolegów. I ciągle żałował, że jego dawnego mistrza już nie ma.

Wyteżał pamięć i co rusz stwierdzał, że przez te dziesięć lat tylko raz doszło do sporu między nim a Elíasem, choć była to kłótnia o sprawy fundamentalne.

Elías opowiedział mu o tym, jak grupa przestępcza pochodząca z innej części kraju z nieznaną dotąd brutalnością zamordowała na terenie nieopodal plaży dwóch znanych handlowców, a potem skomentował, że to nie do pomyślenia i wcześniej takie rzeczy się nie zdarzały. Następnie uśmiechnął się gorzko i powiedział:

– A ty myślisz, że przez te wszystkie lata twój przyjaciel Tigre Obregón był aniołkiem? On też likwidował wrogów i zdrajców, tylko jeszcze nie wiemy, gdzie ich zakopał. Nie ma pewności, ale nie zdziwiłoby mnie ani trochę, gdyby pewnego pięknego dnia trafiło do nas zgłoszenie, dzięki któremu odkrywamy na jednym z rancz daleko w górach cały cmentarz, ze

wszystkimi tymi ludźmi, co to gdzieś wyparowali w ostatnich latach. Jedyna różnica między tymi, co już tu działają, a tymi, co dopiero zaczynają, jest taka, że ci pierwsi wolą załatwiać swoje sprawy dyskretnie i nie drażnić lokalnej społeczności, a tym drugim się spieszy i chcą się pokazać, przejąć terytorium. Chcą rządzić strachem. Jakbyśmy się wczoraj urodzili.

Przypomnij sobie ranczo pana Baldomero, czy raczej tego, którego nazywano panem Baldomerem. Jakies dziesięć lat temu dostaliśmy cynk, że ktoś dokonuje tam pochówków, więc pojechaliśmy to zbadać. Znaleźliśmy dwanaście ciał, wszystkie z kulką w karku. Ustaliłem, że nie byli to ludzie z miasta, że to jacyś zaginioni, a potem przyszedł rozkaz z góry: „Nie grzebać w tym”, więc odpuściliśmy temat.

Elías pochylił się w jego stronę.

– Twój chrześniak nie utrzyma się długo na stanowisku, nie ma potencjału, żeby zarządzać biznesem po ojcu. Widziałeś tych żołnierzy, których najął sobie jako ochronę? To najdurniejsza rzecz, jaką mógł zrobić. Ci goście po prostu szacują wartość interesów, szybko mu je sprzątają sprzed nosa. Więc się nie zdziw, jak znajdziesz jego zwłoki, nawet u niego domu.

– Co pan proponuje?

– Starczy już tolerowania tych gnojników. Trzeba z tym skończyć.

– Brednie, Elías.

– Zawsze zajmowaliśmy się tym na pół gwizdka. Teraz zrobimy to jak trzeba. We wtorek przylatuje tu awionetka z Boliwii. Zaczaimy się na pilota, zarekwirujemy proszek, a za to, co zdobędziemy, kupimy broń i przepędzimy sukinsynów.

– Nie wchodzę w to.

– A to dopiero będzie początek. Musimy uzbroić grupę zaufanych ludzi i pójść po Nowych, a potem po ludzi twojego chrześniaka. Inaczej Nowi nabiorą takiego rozpędu, że za cholere ich nie zatrzymamy. Trzeba działać. Już.

Margarito rozmyślał nad tym przez chwilę, nie wypuszczając piwa z ręki. Myślał tak i myślał, aż w końcu Elías się odezwał:

– To jak będzie? Wchodzisz w to?

Margarito odstawił butelkę na stół.

– Pan nie słucha rad, więc nie ma sensu, żebym je dawał.

– Liczę na twoje milczenie albo będzie po tobie.

- Proszę mi nie grozić.
- To nie groźba. To fakt.

Margarito wstał i odszedł bez słowa. Tak skończyła się ich przyjaźń.

W najgłębszej części duszy Margarita znajduje się małe miejsce, zamknięte na podwójny zamek, w którym kryje się cały żal o to, jak zakończyła się jego przyjaźń ze starym nauczycielem. Tamtej nocy poszedł go odwiedzić, wypijawszy kilka kolejek tequili w towarzystwie Tuńczyka. Na jego widok stary powiedział:

- Czyli przysłali ciebie.

I wszystko poszło tak źle, bo Elías próbował się bronić. Parę razy o mało nie uciekł, na przykład kiedy dopadł do okna w kuchni, i gdyby Tuńczyk nie złapał go za nogi i nie sięgnął po te noże, nie powstrzymaliby go. Prawda: jego zwłoki wyglądały po tym fatalnie, ale w ramach uprzejmości wobec najbliższych Margarito postanowił je ukryć i porzucić na pustkowiu. Jedynym błędem było powierzenie tego zadania Tuńczykowi. Ciało znaleziono już po półgodzinie, przy wjeździe do miasta.

Tak że kiedy ktoś go pyta, czy pamięta, co się stało z Elíasem, musi udawać i zamiast tego, co chciałby naprawdę odpowiedzieć, mówi:

- Nie pamiętam za dobrze. Tej nocy byłem kompletnie pijany.

VIII

O siódmej dziesiątą wziął telefon i wbrew wszelkim zasadom bezpieczeństwa zadzwonił do biura. Wiedział, że organizatorzy zamachu mogą go namierzyć przez sygnał telefoniczny, jeśli na komendzie założony jest podsłuch, ale nawet najsprawniejszy technik potrzebuje przynajmniej minutowej rozmowy, żeby zlokalizować rozmówcę. Ostrożności nigdy za wiele.

Gruba odebrała od razu:

– Szefie? Jak się pan ma?

– Nie zdradzaj, z kim rozmawiasz, odpowiadaj dyskretnie: jak sprawy?

– Dlaczego pan nie odbierał? Martwiliśmy się.

– Nie chrzań, przecież nie minęło nawet półtorej godziny, od kiedy się widzieliśmy.

– Aleś skąd, szefie: nie mieliśmy żadnych wieści od dwudziestu czterech godzin.

– Co?

Gruba odpowiedziała dopiero po chwili:

– Wziął pan te pastylki, prawda?

– O czym ty mówisz?

– Wczoraj był dwudziesty czwarty, a dziś jest dwudziesty piąty. Zostawiłam pana wczoraj o wpół do szóstej, a teraz jest po siódmej, ale dzień później.

Komendant nie mógł uwierzyć w to, co słyszy. Musiał popatrzeć na ekran telefonu, żeby się przekonać, że w rogu rzeczywiście wyświetla się data dwudziesty piąty, a nie dwudziesty czwarty sierpnia.

– Ponieważ pan nie odbierał, rozmawiałam z tymi sanitariuszami, a oni stwierdzili, że jeśli pan przedawkował, to możliwe, że prześpi pan cały dzień. I tak musiało być. Już miałam tam jechać, martwiłam się.

Kurwa, pomyślał, teraz to rzeczywiście dałam ciała. Dziewczyna, okup... Niema musi tam odchodzić od zmysłów. Poza tym na pewno zabrakło jej już zapasów jedzenia i środków nasennych. Kurwa mać, muszę się stąd ruszyć, i to już.

– Te leki rzeczywiście mnie powaliły – wyjaśnił. – Nie przewidziałem tego.

– Szefie – przerwała mu dziewczyna – to nie jest bezpieczny pomysł, żeby pan tu dzwonił. Oddzwonię za dwie minutki. – I wyjaśniła, że udało jej się skołować nowy telefon, tylko do rozmów z nim, więc nie ma ryzyka, żeby już jej założyli podsłuch. Kilka minut później Roberta zadzwoniła z nowego numeru.

– I co nowego?

– Najpilniejsze jest to, żeby pogadał pan z burmistrzem. Trzy razy dzwonił, pytając o pana. Tłumaczyłam mu już, że u pana wszystko w porządku i że wraca pan do siebie, ale on odpowiedział, że jeśli pan się nie odezwie dziś wieczorem, zwolni pana.

Komendant zastanowił się, jakie to dla niego ryzyko.

– Połącz mnie z nim, ale najpierw powiedz szybko, co się działo przez ten czas.

– Może podjadę po pana? Bo działo się sporo.

– Nie, mów teraz szybko. Zanim przyjadę na komendę, muszę jeszcze coś załatwić.

– Dobrze, szefie. Oglądał pan wiadomości? W mieście się kotłuje. Gangi palą samochody przy wjeździe do dzielnic Los Coquitos i Sierra.

To go nie zdziwiło. Tam mieszkali i stamtąd wydawali dyspozycje szefowie skłóconych grup. Jego chrześniak i Nowi. Jak zwykle wysłali kogoś, żeby podpalił samochody, co miało podziałać jako ostrzeżenie i oznaczenie terenu.

– Wojsko wciąż kontroluje ruch, ale były także doniesienia o uzbrojonych ludziach wdzierających się do szpitali. Szukają pana.

– A Chudy jak się ma?

– Dobrze. Armia go pilnuje. Postawili nawet opancerzonego jeepa przed jego szpitalem.

– A udało się już zidentyfikować zabitych? Miejscowi?

– Wie pan, gdzie ich znalazłam? W teczkach przysłanych przez Interpol. Gwatemalczyki. Przekroczyli granicę w Chiapas osiem dni temu.

– Rozumiem. Za chwilę oddzwonię.

Rozłączył się.

Podszedł do okna. Morze w oddali sprawiało wrażenie łagodnego, ale bliżej plaży po obu stronach zatoki tworzyły się potężne fale i z hukiem rozbijały się o brzeg. Zupełnie jakby jakieś olbrzymie dziecko przykucnęło i zabawiało się wzburzaniem wody rękami. Czy mu się zdaje, czy przy plaży stoi jakiś czarny pikap?

Rzucił okiem na swój strój i zrozumiał, że musi się przebrać. Koszula i górna część spodni były utyłane krwią. W czymś takim nie mogę wyjść nawet przed dom, od razu zwróciłbym na siebie uwagę. Poszedł w stronę garderoby i na szczęście drzwi ustąpiły bez żadnego problemu. Cholera, mam fuksa. Jakieś trzydzieści eleganckich koszul wisiało w środku, wszystkie starannie wyprasowane. Głębiej dziewięć szuflad zawierało niemal wszystko, czego można by sobie życzyć: spodnie, piżamy, krawaty, bokserki, koszulki, swetry... Wyciągnął ostatnią, największą z szuflad i zagwizdał z podziwu. Prawdziwa kolekcja tenisówek, mokasynów i półbutów w każdym możliwym kolorze, także białym. Wybrał parę, która wydała mu się najefektowniejsza (buty z krokodylej skóry ze złotą sprzączką), i z zadowoleniem przekonał się, że właściciel tego domu musi być podobnej postury. Obaj nosili odzież XL i buty numer dziewięć. Ciekawe, czy facet ma też wysokie buty? Otworzył jedną z dolnych szuflad i znalazł tam sześć par najróżniejszego obuwia: eleganckie, ale bez przesadnej ostentacji. Niezła garderoba, jakbym znalazł lampę Aladyna. Cóż, pomyślał, ten problem mam z głowy.

Wyjrzał przez okno. Znów ci sami chłopcy wyszli pograć w kosza. Już miał wychodzić, ale chwycił jeszcze jedną koszulę, na oko bardziej zużytą niż reszta ubrań. Chwilę mu zajęło znalezienie znoszonych spodni. Kurde, zastanawiał się, czy ten facet nie ma normalnych rzeczy? Wreszcie znalazł lekko znoszone spodnie z białej bawełny, których gospodarz raczej nie powinien żałować. Wtedy zadzwoniła Roberta.

– Co tam?

– Jeszcze jedna ważna rzecz, szefie. Kierowca ciężarówki z gazem został zastrzelony z bliska przez napastników.

– Czyli jego kumpli?

– Ten, co był na czarno, jechał na siedzeniu obok kierowcy, ale zanim wysiadł na miejscu zasadzki, strzelił mu prosto w skroń.

Komendantowi przypomniał się ten facet w czerni, solidnie uzbrojony, który podchodził do niego z niewzruszoną pewnością, jak prawdziwy zawodowiec.

– Domyślałam się, że kierowca nie miał broni?

Roberta potwierdziła:

– Niczego nie znaleźliśmy.

Ustalenia jego podwładnych potwierdzały to, o czym pomyślał na samym początku. Najęto do tej roboty ludzi z zewnątrz i spisano ich na

straty. Towarzyszył im nadzorca, gotowy zatrzeć ślady, gdyby coś poszło nie tak.

– Wyglądało to tak. Ukradli ciężarówkę z gazem z zakładu, tego samego dnia rano. Musieli wiedzieć, że o tej porze prawie nie ma tam ludzi. Wkroczyli do środka zaraz po otwarciu, skopali kierowcę i zabrali auto. Zablokowali ulicę tuż przed waszym przejazdem i wtedy uderzył oddział. A, jeszcze jedno: pojemnik na gaz był pusty. Zaraz się kończy minuta, rozłączam się.

Wspomnienie tamtej pełnej napięcia chwili sprawiło, że rozboleła go głowa. Musiał przyznać, że ten, kto zaplanował akcję, jest świetnym strategiem. Przynajmniej raz podczas strzelaniny zawahał się na sekundę przed strzałem w kierunku ciężarówki, żeby nie doprowadzić do eksplozji gazu.

Zbłąkana pszczoła przywróciła go do rzeczywistości. Dopiero wtedy zorientował się, że ciągle siedzi na podłodze.

Rozmasowywał sobie kark. Bolał go, jakby ktoś próbował mu go wcześniej wyrwać. Nagle jego uwagę zwrócił jakiś przenikliwy dźwięk. Podszedł do telewizora, żeby się upewnić, czy jest wyłączony, ale nie doszedł do aparatu, bo odkrył, że hałas dobiega z najbliższego okna. Rój pszczół, pewnie afrykańskich, budował tu sobie gniazdo. Wtedy przypomniał mu się inny możliwy trop w śledztwie i tym razem to on zadzwonił do Roberty.

– Jestem, szefie.

– Byliście już w zakładzie gazowym? Macie portrety pamięciowe?

– Sprawdzaliśmy to, ale goście mieli kominiarki. Wpadli tam w dniu zasadzki, wzięli na cel pracowników, którzy dopiero się zbierali, i wybrali sobie dwie ciężarówki. Widać, że przestudiowali rytm pracy zakładu.

Musiało im to zająć ponad tydzień. Na pewno mieli jakieś wtyki w mieście, stwierdził.

– Sprawdź, do kogo należy to przedsiębiorstwo gazowe.

– Tak jest.

– Jak się ma Chudy?

– Ciągle na intensywnej terapii. Zawsze kiedy dzwoniemy, mówią nam to samo...

Roberta przełknęła ślinę i dodała:

– Że jest w stanie ciężkim, ale stabilnym.

– A ten gnój, którego trafiłem w nogę?

Chodziło mu o faceta w czerni.

– Chińczyk namierzył jego samochód. Facet porzucił go na wzgórzu La Estrella. Ale zanim wysiadł, zastrzelił kierowcę, przez co straciliśmy trop. Sprawdzamy wszystkie kliniki i oba szpitale, nawet weterynarzy, ale wczoraj nie zgłosił się nikt z raną postrzałową ani nie zniknęły stosowne antybiotyki i środki znieczulające. Jeśli pominiemy tego gościa z karetki...

Cholera, sapnął komendant, ten czarny naprawdę nie chciał zostawić śladów.

– Ciągłe szukamy napastników, nie mamy żadnych reakcji na listy gończe. Nie ma nawet śladu po tym czarnym pikapie, a tych, co uciekli, chyba pochłonęła ziemia. Nikt nie ma pojęcia, gdzie mogą być. Dzwoniła też parę razy pańska żona. Chce z panem porozmawiać, ale mówi, że dzwoni i dzwoni i ciągle nic.

– Powiedz jej, że się do niej odezwę, niech do mnie nie wydzwaniania. Przekazałaś jej informację?

– Tak, szefie. Już od wczoraj leży w zakładzie pogrzebowym. Mamy tam dwa wojskowe jeepy.

– Rozłączam się, bez odbioru.

Komendant w milczeniu patrzył na kolejne rozbijające się fale. Znow ten przekłety smutek. Zaskoczył go kolejny telefon od Grubej:

– Komendancie, lepiej się pan miewa?

– Mam mdłości i w ogóle podle się czuję. Te tabletki dały mi popalić.

– A jak ręka?

– Dobrze, dobrze, jakoś daję radę.

– I tyle?

– No na razie tyle. A o której... Pani doktor powiedziała, o której...?

– Tak, szefie. Pogrzeb odbędzie się dziś o trzeciej po południu, na Cmentarzu Hiszpańskim. Pańska żona była w fatalnym stanie, chciała to przyspieszyć.

Margarito westchnął ciężko i Przekłety Smutek znow się do niego przysiadł. Nawet nie będzie miał możliwości, by pożegnać się z synem.

– A ciała Tuńczyka i Dorada wydaliście?

– Tak, szefie. Zadzwoniłam do wdów, no, do wdowy po Tuńczyku, bo Dorado mieszkał sam. Smutne to było. Żona Tuńczyka przyjechała z synem po ciało. Nie przestawała płakać. Całą noc spędziła na

komendzie, czekając, aż skończą z sekcją, potem wreszcie wydali jej ciało. Cástulo zawiózł ją do domu, gdzie miało być czuwanie.

Biedny Tuńczyk, pomyślał komendant, nie zdążyłeś zainkasować tych dolarów, które przypadłyby ci z porwania. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, będzie trzeba odpalić wdowie jakąś kasę. Na koniec rzucił jeszcze:

– A jak nasza ekipa? – Choć raczej powinien powiedzieć: to, co z niej zostało.

Roberta westchnęła.

– Niespokojni, szefie. Nie rozumiem, co się właściwie stało. Co będzie dalej. Boją się. I jedna ważna rzecz, szefie. – Roberta odchrząknęła. – Nie chcę powtarzać plotek, ale są tacy, co twierdzą, że pan to wszystko ustawił. Że dał pan suburbana Ricardowi, wiedząc, że nie jest opancerzony.

– Skurwysyny. Kto tak mówi?

– Bracamontes.

– Jedynym opancerzonym samochodem, z tego co wiem, jeździ on, kiedy robi za posłańca dla burmistrza.

– A co mam powiedzieć generałowi Rovirosie? Dzwoni co dwadzieścia minut...

Uznał, że telefon z własnego aparatu to za duże ryzyko, więc polecił jej:

– Namierz go i potem nas połącz. Zadzwoń do ciebie za chwilę.

Za duże ryzyko dzwonić do niego stąd, pomyślał. Mogliby mnie łatwo namierzyć i w każdej chwili dopaść.

Rozłączył się i rzucił telefonem.

Zastanawiał się nad oskarżeniami Bracamontesa. Co ten typ kombinuje? Kiedy go tylko spotka, zmusi do odszczekania tych słów.

Przypomniała mu się dziewczyna i obleciał go nagły strach. Musi zadzwonić do Niemiej. Ojciec też się na pewno martwi, ale nawet jeśli zna jego numer na pamięć, nie może przecież dzwonić z własnej komórki: to byłoby równoznaczne z przyznaniem się do winy, ani z telefonu stacjonarnego z domu, w którym się teraz ukrywał, bo konsul od razu namierzy jego lokalizację dzięki tym swoim zabaweczkom. Musi natychmiast stąd wyjść i jechać do niej, inaczej Niema wykorkuje tam z nerwów. Jedynym jej mankamentem jako pomocnicy było to, że fatalnie znosi samotność, wszystkim się przejmuje i nie jest w stanie

znieść presji. Wcześniej jednak chciał przemyśleć ten zamach, wrócić do pogroźek... Tyle że wciąż czuł zawroty głowy, lekarstwa robiły swoje.

Miał jakąś wysypkę na czole. Drapał się mimowolnie przez całą noc. Ze wszystkich obolałych miejsc, a bolało go całe ciało, najgorsze były te kłucia w lewym ramieniu. Na szczęście nie opuchło tak strasznie, jak sugerował sanitariusz. Wprawdzie mięśnie działały coraz leniwiej i z większym oporem, im bliżej barku, tym czuł to mocniej, ale mógł zginać rękę w łokciu i ruszać nadgarstkiem oraz dłonią. Nie byłby w stanie reagować z taką jak kiedyś zręcznością, kiedy podpowie mu to instynkt, lecz przynajmniej może strzelać i prowadzić auto, jeśli będzie taka potrzeba. Obawiał się tylko, że zaraz, kiedy przestaną działać leki, wróci ten nieznośny ból. I oczywiście ten przekłety smutek.

Wewnętrzny, acz dość przytłumiony głos ostrzegł go, że zanim znów zadzwoni do Roberty, powinien coś zjeść, zwłaszcza jeśli zamierza brać kolejne leki, więc sięgnął po plastikową torebkę z zakupami.

Musi zebrać zaufanych ludzi. Potrzebuje opancerzonego auta i uzbrojonej ekipy. Trzeba poprosić generała o wsparcie. Zmusić go, żeby się włączył, cwaniak jeden.

Wiedział, że za każdym razem kiedy odbiera telefon, zwiększa szanse na namierzenie swojej lokalizacji. Postanowił więc nie odbierać, chyba że zadzwoni Roberta. A nawet wtedy będzie się musiał dobrze zastanowić.

Nie mógł już znieść tego pieczenia na czole, poszedł więc przejrzeć się w lustrze w łazience. We włosach i na twarzy wciąż miał małe odłamki szkła. Poprawił włosy i deszcz kryształków posypał się do umywalki.

Podszedł do garderoby w głównej sypialni i przekonał się, że jest tam wszystko, czego może potrzebować elegancki mężczyzna, jeśli ma ochotę na prysznic. Szampony i mydła, ale także aromatyczne olejki i inne podobne płyny do kąpieli, na takie luksusy on nigdy sobie nie pozwalał. W jednej szufladzie znalazł kremy do golenia, płyny, maszynki i perfumy. Położył broń obok umywalki, odkręcił kurki i prysznic; choć woda powoli robiła się ciepła, od razu zaczął się golić.

Łazienkę wypełniły kłęby pary, a on włączył telewizor w przyległym pokoju i nastawił go na tyle głośno, żeby słyszeć swój ulubiony program informacyjny. Niestety trafił akurat na pasmo kulturalne. Do następnych wiadomości zostało jeszcze dziesięć minut, tak że musiał odczekać do końca nadawanej właśnie debaty. Grupa miejscowych pisarzy

dyskutowała, jakie są najważniejsze słowa używane w La Eternidad. Uznali, że jest to fraza: „Cholera mnie bierze”.

Jeden z rozmówców stwierdził:

– Proponowałbym, żebyśmy nieco zmodyfikowali charakter tego programu. A może porozmawiamy o słowach najrzadziej używanych w tym mieście? Takich jak „moralność” czy „sprawiedliwość”. Mam wrażenie, że zupełnie straciliśmy je z oczu, jak łódki, które ktoś odcumował, więc popłynęły hen w morze.

Za bardzo wsłuchał się w tę rozmowę i przez to zgolił sobie kawałek wąsa. Jeśli teraz wyrówna z drugiej strony, będzie wyglądał jak żul z lat siedemdziesiątych. Wtedy przyszło mu do głowy, że zmiana wyglądu to nie taki głupi pomysł, więc zgolił zarówno wąsy, jak i baczki.

W jednym facet z telewizji miał rację. Kiedy Margarito był jeszcze dzieckiem, wystarczyło, że policjant, nawet zupełnie obszarpany, wkroczył do dzielnicy i już wszyscy zaczęli zachowywać się bardzo ostrożnie, jak zwierzęta, gdy widzą lwa. Słyszało się, jak rodzice mówią: „Patrz, synu, to kapitan Elías, z policji, ze swoimi kolegami. Lepiej zejść im z drogi”. Ludzie wyczuwali tę specyficzną aurę, powagę, tajemnicę i niebezpieczeństwo, jakie niosło ze sobą chodzenie w mundurze. Po tylu latach służby Margarito doszedł do wniosku, że kiedy pracują albo kiedy wracają z pracy, jego koledzy nie przemieszczają się jak zwykli ludzie. Cechował ich sposób patrzenia i chodzenia niespotykany u innych. W tych krótkich chwilach emanowali powagą i mocą władzy, aby ludzie rozumieli, co to oznacza, kiedy ubrany na niebiesko mężczyzna idzie z ciężkim pistoletem za paskiem. Wystarczyło, że któryś z nich zapukał do losowo wybranego domu i o kogoś zapytał, a już mieszkańcy wiedzieli, że zaraz stanie się coś niesłychanie doniosłego. Kiedyś możliwe było, że jeden, tylko jeden policjant szedł aresztować podejrzanego i ten już wiedział, że jest po wszystkim i że musi się poddać potężniejszej sile. Pewnie, w miarę jak dorastałeś i słuchałeś coraz dokładniejszych historii o rzeczywistych motywach stojących za wizytami składanymi przez tych policjantów, zaczynałeś się orientować, że policja i sprawiedliwość w tym kraju nie zawsze idą w parze. W idealnym świecie zawsze trzymałyby się razem, ale w tym kraju, i w wielu innych, sprawiedliwość i policja ocierają się o siebie lub tylko widują z oddali, ale każda żyje sobie na własny rachunek.

– No cóż, szkoda, że musimy kończyć w tym miejscu, ale nasz program, sponsorowany przez rząd stanowy, dobiega kresu. A teraz transmisja z baletu folklorystycznego Agapita Fernándeza, który dziś ma dla nas wyjątkowy spektakl.

Trójka pajaców, burknął Margarito i wyłączył telewizor. Uznał, że nasłuchał się już wystarczająco dużo bredni, i wszedł pod prysznic.

Kiedy skończył się wycierać, popsikał się lekko dezodorantem i oblał jednym z płynów po goleniu gospodarza. Pomyślał, że musi zapytać Pandę, czyj jest ten dom. Przed wyjściem z łazienki pochylił się nad lustrem. Ogolony, z krótkimi włosami, w białej koszuli i bawełnianych spodniach, komendant ledwie się rozpoznał. „Kurde, chyba od dwudziestu lat nie goliłem wąsa”. Wcisnął pistolet za spodnie pod brzuchem i zszedł schodami w dół.

Rozmowa w ciemności

Słyszales?

– Co? Znaleźli go?

– Nie, jeszcze nie. Ale to kwestia czasu. W końcu to miasto nie jest takie duże. Niemożliwe, żeby się wydostał przez punkty kontrolne. Wystarczy poczekać. A wtedy to niech cię ręka boska broni, zapłaci za wszystko.

– Mówią, że chroni go sam diabeł, dlatego kule się go nie imają. Widziałeś to nagranie?

– Kto nie widział, puszczają to w telewizji na okrągło. No prawda, fuksem się wywinął. Miał bydlak szczęście.

– Trzeba gościowi przyznać, że zimnej krwi mu nie brak. Robią z niego bohatera. Tego, co przeżył.

– Jasne, wstał i bum, bum, rozwalił tego frajera, potem bum, drugiego, jednym strzałem, i jeszcze trafił w nogę trzeciego, tego, co miał automat. Potem sprzątnął tego, co zachodził go z boku. Wszystko tak szybko jak ja o tym teraz mówię. Nieźle jak na gościa w takim wieku. Ale szczęście kiedyś się kończy.

– Żadne tam szczęście. Ci goście byli naćpani w trzy dupy. Takich to każdy ustrzeli.

– Rząd daje sto tysięcy pesos za cynk, jak ich namierzyć.

– Sto tysięcy? Śmieszni goście. Widać, że wcale nie chcą ich znaleźć. Kto ich wyda za takie grosze?

– Za to w mieście oferują pięćdziesiąt tysięcy dolarów za niego.

– Za Margarita?

– No. Najpierw dawali dwadzieścia, teraz poszło w górę.

– Bez jaj, to jest wyrok śmierci. Długo facet nie pociągnie... Nie chciałbym być na jego miejscu.

– A kto by chciał, stary, kto by chciał?

– Znaleźć go przede wszystkim, o, to by mi odpowiadało. Nikt nie pogardzi pięćdziesięcioma tysiącami baksów.

IX

Kilka minut później zadzwonił jego telefon. Margarito sądził, że to Roberta połączy go z generałem. Podniósł rękę z zegarkiem, żeby się pilnować i nie przekroczyć minuty rozmowy. Okazało się jednak, że to sam burmistrz:

– Panie komendancie, myślałem już, że pan nie żyje.

– Padłem po lekach, ale już jadę.

– Widzi pan... Zastanawiałem się nad tym i uważam jednak, że od tej chwili dowodzenie powinien przejąć ktoś inny.

Margarito nie był zaskoczony.

– Koordynuję pracę zespołu, mamy konkretne postępy w sprawie. Jeśli teraz odejdę, to wszystko szlag trafi.

– Wolałbym...

– Niech mi pan da czas do jutra rana, a wręczę panu moje wymówienie, i to podpisane.

W aparacie dał się słyszeć trzask.

– Tak pewnie się pan czuje? Dobrze... Jeśli tak, to ma pan czas do jutra rana. O dziewiątej piętnaście czekam na pańską rezygnację.

– Sam ją panu dostarczę, razem ze sprawcami. – I rozłączył się.

Usłyszał oddech Roberty i stwierdził:

– Słyszałaś: musimy się streszczać. Zadzwoni zaraz znowu, bo mija mi minuta.

Po kilku sekundach zadzwoniła i od razu przeszła do rzeczy:

– Szefie, są złe wieści. Znalazł się jeden ze zbiegów.

– Ten na czarno?

– Nie, ten drugi. Zrzucili go z przepaści do jaru.

– Szlag... Sprawdźcie bardzo uważnie każdy milimetr.

– Tak, szefie. Ale jest jeszcze coś gorszego.

– Dawaj.

– Jest nagroda za pańską głowę, pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

– Co?

– Kilku różnych agentów o tym słyszało, przy okazji zbierania zeznań.

– Kto tyle daje?

– Nikt tego nie wie, ale teraz wszyscy o tym mówią. Nie wiemy, czy to ludzie z branży, czy po prostu Nowi. Pewne jest natomiast to, że o tej nagrodzie dużo się mówi.

Jasna cholera, pomyślał komendant, muszę uważać.

– I jest jeszcze coś. Jedno z nagrań z ataku, to z wnętrza zakładu jubilerskiego, wyciekło do mediów, pokazują to w całym kraju. Tam widać, jak pan kładzie tych gości...

Poczuł przemożny ból głowy. To wystarczy, żeby burmistrz wpakował go do pudła. Musiał się rozłączyć.

– Uważaj na siebie. Nie narażaj się za bardzo.

– Spokojnie, szefie.

Pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Jakby dawali tyle za któregoś z jego ludzi, sam by z rozkoszą im go wydał.

Miał wrażenie, że zaraz zwymiotuje. Pomyślał, że powinien się czegoś napić, i wszedł do kuchni.

Pomieszczenie wprowadziłoby jego byłą w zachwyt. Za drewnianymi drzwiczkami kryły się półki wypełnione patelniami, blenderami i innymi sprzętami ze stali nierdzewnej, których nie potrafił zidentyfikować. Gospodarz musi lubić gotowanie. Jak podejrzewał, lodówka była pusta i czuć z niej było wilgocia. Wyłączono ją z prądu tygodnie temu. Podszedł do otwartego kredensu, ale znalazł w nim tylko przeterminowane produkty. Wyrzucał sobie, że nie wykazał się przytomnością umysłu i nie kazał Robercie kupić więcej coli. Cholera, pomyślał, świat nie będzie taki sam przez najbliższe godziny.

Jako że nie mógł sobie zafundować swojego śniadanka, dopadł go ból głowy, pewnie raczej syndrom abstynencji. Szkoda, ten dom wydawał się idealny. Nie miał siły dłużej szukać, więc poszedł do salonu się położyć.

Ni to we śnie, ni to na jawie, wciąż z bólem głowy, dłuższą chwilę spoczywał na jednym z wygodnych foteli plażowych, patrząc na światło wpadające przez szklane drzwi. Na zewnątrz słońce przydawało piaskowi złotawej barwy, skłaniającej do wyciszenia. Zdarzają się jednak ludzie, którzy nie są w stanie się odprężyć bez filiżanki kawy i szklanki coli. Choć wiedział, że nie może tu siedzieć zbyt długo, palmy prezentowały się tak pięknie, że wszystkie jego problemy wydawały się tak odległe... Gdyby nie ten ból ramienia, mógłby właściwie uznać, że to wszystko spotkało kogoś innego. Przez chwilę, być może pod wpływem tabletek,

miał wrażenie, że jest tylko gościem w swoim ciele, a jego jedynym towarzyszem może okazać się ten przeklęty smutek.

Po pięciu minutach wstał. Muszę uważać, żeby mnie nie dopadli, jak naszego moralnego przywódcy.

Zanim zawładnęła nim przemoc, La Eternidad było najlepszym miastem pod słońcem. Nie zaliczało się do bardzo znanych nadmorskich ośrodków, panował w nim jednak niesamowity wręcz spokój.

Kierowcy przepuszczali pieszych, ale to dawniej. Dziewczyny spoglądały i odzywały się do przyjezdnych ze słodyczą. Ich oczy obiecywały całe morze miłości temu, kto dotarł aż do tego odległego portu, ale to dawniej. Od osoby zagadniętej na ulicy mogłeś łatwo usłyszeć uprzejmą i pozbawioną drugiego dna odpowiedź. Mogłeś zostawić otwarty dom i wyjechać w podróż, otwarty samochód, otwarta dusza, wziąć dziewczynę na spacer przy blasku księżyca, pozwolić dzieciom ganiać za piłką na ulicy. Teraz jednak żadna z tych rzeczy nie wchodzi w grę. Każdy robi, co mu się podoba, a prawo przetrwania w tej dżungli nakazuje: „Milcz, zamykaj oczy i ratuj się, kto może. Niech każdy troszczy się o siebie”.

Sprawców tej przemocy, gości, którzy walczyli o władzę nad miastem, Margarito znał bardzo dobrze. Ba, kiedyś byli nawet współnikami. Żeby daleko nie szukać, przywódcę kartelu portowego z La Eternidad Margarito znał, jeszcze zanim ten wszedł do branży.

Pewnego ranka, dawno temu, kiedy wraz z Tuńczykiem patrolowali ulice starym willysem, zauważyli podejrzany ruch w jednym z prywatnych domów. Jakiś facet wynosił paczki z wnętrza i ładował je na ciężarówkę. Pomyśleli, że to może być złodziej grasujący na terenach przy rafinerii, za którego schwytanie wyznaczono nawet nagrodę, ale kiedy wzięli go na spytki, facet wyjaśnił, że nie kradnie, bo to jego dom, pokazał im klucze i zapewnił, że samochód też jest jego. Było w tym jednak coś dziwnego. Ciężarówka była wyładowana paczkami najróżniejszych rozmiarów, więc zaczęli naciskać.

– I co tam trzymasz, cwaniaczku, co? – Choć paczki były różnej wielkości i wagi, opakowano je w ten sam papier. Margarito rozdarł jedną z większych. Był to amerykański telewizor, supernowoczesny, z pilotem i antenką.

– No to masz przegwizdane, stary. Załóż mu kajdanki – Margarito polecił Tuńczykowi.

– Ej no, panowie – facet zarechotał – to jakieś nieporozumienie.

Policjanci, znużeni, wymienili się spojrzeniami. W końcu byli po czterdziestośmiogodzinnym dyżurze. Ale kiedy Margarito złapał pałkę i podszedł do gościa, ten przyznał, że to z przemytu.

– Dobra, dobra. – Nie tyle prosił, ile śmiał się z tej sytuacji. – Tylko proszę mnie nie bić, nie ma takiej potrzeby. Wywinąłem się amerykańskiemu celnikom, meksykańskiemu celnikom, policji federalnej, która ma teraz te swoje kontrole dosłownie wszędzie, a na końcu zatrzymują mnie dwaj policjanci pod moim własnym domem, kiedy wreszcie miałem sobie walnąć kawkę. Dopiero przyjechałem z granicy i proszę, takie coś też sobie przywozłem.

Margarito zdarł opakowanie z niewielkiej paczki, którą wskazał podejrzanym, i zobaczył w środku nieduży elektryczny ekspres do kawy.

– To ostatni krzyk mody. Nie wyobrażacie sobie, panowie, jakie to wyczynia cuda. To prawie robot. Ja sobie chciałem po prostu zrobić kawę, przecież jest zimno. I tyle.

– Czyli szmugielek.

– Ale jaki szmugielek, panowie, bez jaj. Ja tylko obracam materiałami przemysłowymi i sprzętem elektrycznym. Sporadycznie jakaś whisky czy coś takiego.

Wpakowali go w kajdankach do radiowozu i ustalili między sobą:

– Ty go zawieziesz na komendę i zamkniesz w celi. Strażnikowi powiedz, że został przyłapany na kradzieży. Ja skołuję samochód, zabiorę ten towar i zostawię go u ciebie.

Margarito, który już od wczesnej młodości cechował się praktycznym zmysłem, pokręcił głową.

– Po co szukać auta, chłopie, skoro tutaj już mamy. Je też zarekwirujemy. No bo dlaczego nie?

– A ten typek nie doniesie na nas?

Margarito sapnął:

– No dobra, w takim razie jedziemy razem na komendę, spuścimy mu wpierdol i wracamy po towar. Weź ten telewizor i ekspres do kawy jako dowody.

– Może sam ekspres – zaproponował jego partner. – Telewizor bym sobie zatrzymał.

– Popełniacie błąd, panowie – wtrącił się aresztant, nie gubiąc uśmiechu. – Naprawdę, co z was za ludzie. Nie umiecie rozpoznać przyjaciół!

– Cicho, baranie. Na komendzie sprawdzimy, czy byłeś już notowany, zobaczymy, czy wciąż ci będzie do śmiechu.

Wtedy facet zamilkł.

– Czyli co, masz coś na sumieniu? Widzisz, jak wleciesz za sobą ogon, to ci go w końcu ktoś przydepcie.

– Ale bez ogona to żaden tygrys.

– Ty, stary, a my za tego gościa dostaniemy jakąś nagrodę? – zapytał Tuńczyk. – Bo jak nie, to po co ta fatyga?

– Panowie policjanci – aresztowany znów wysunął się zza siedzenia – ile wam dadzą za to, że mnie przyprowadzicie? Tysiąc, tysiąc pięćset pesos?

Nie mylił się. Rzeczywiście płacono mało. Dlatego musieli utrzymywać dobre tempo aresztowań, nieważne, czy byli to prawdziwi przestępcy, czy figuranci. Tuńczyk spojrział na faceta we wstecznym lusterku:

– Powiedzmy, że to będą dwa tysiące – ciągnął przemytnik. – Ja mógłbym panom lepiej zapłacić, jeśli odstawicie mnie do mojego biura. Mam tam sejf.

Policjanci szybko wymienili się spojrzeniami. Tuńczyk odpowiedział:

– O jakich sumach mówimy?

Szmugler przyjrzał im się i obliczył w pamięci.

– Dwa tysiące dolarów. Na łebka, gotówką.

Wtedy zrozumieli, że facet, którego zatrzymali, nie jest zwykłym złodziejaszkiem. Było wcześniej, może trzecia, wpół do czwartej nad ranem. Nikt nie zauważył braku radiowozu o takiej godzinie.

Ku zaskoczeniu policjantów podał im adres w centrum miasta. Akurat naprzeciwko Banco de México i jedną przecznicę od komendy. Otworzył im stróż i weszli na trzecie piętro.

– Gratuluję, panowie – mówił podczas wspinaczki po schodach. – Dokonaliście słusznego wyboru. Ja jestem spokojny człowiek, kłopotów nie lubię. Gdzie się nie ruszę, zaraz mam nowych przyjaciół.

– Nie przeholuj, Roberto Carlos. – Tuńczyk dostał zadyszki. – I nie próbuj kombinować, bo będzie po tobie.

Dwa tysiące dolarów to kwota, jaką policjant zarabiał przez rok, o ile dostawał jakieś dodatkowe gratyfikacje. Teraz jednak powodowała nimi

bardziej ciekawość i myśleli sobie: jeśli ten typek oferuje dwa tysiące dolarów, to znaczy, że ma dużo więcej.

– Tylko bez numerów. – Ledwie weszli do biura, osadził ich w miejscu czyjś głos. Margarito zobaczył wyraz zaskoczenia na twarzy Tuńczyka, który obracał się do tyłu, i zrozumiał, że mają poważne kłopoty. Już miał się odwrócić, ale poczuł, że w kręgosłup wbija mu się ciężki kawałek żelaza, więc rozsądnie podniósł ręce. Ktoś za jego plecami odsunął lufę i rozkazał:

– Obaj na kolana.

– Spokojnie, to moi przyjaciele – odezwał się przemytnik. – Ale rzeczywiście nie spuszczaaj z nich oka, niech sobie usiądą w fotelach i pokażą dokumenty.

Stojący dotąd za ich plecami mężczyzna błyskawicznie odebrał im portfele i rzucił je na biurko. Funkcjonariusze usiedli, wciąż z rękami w górze, a tymczasem facet, którego niedawno aresztowali, podszedł do sejfu, wciąż pogwizdując coś pod nosem. Margarito zobaczył kątem oka, że sejf pełen jest plików banknotów, na których leży nóż z ząbkowanym ostrzem, z rączką z jeleniego rogu, gruby jak rożen do pieczenia mięsa. A do tego, ku swojemu przerażeniu, dostrzegł, że obok leży coś, co wyglądało na mięso, możliwe, że ludzkie.

– Ledwie mnie tam zostawiłeś, a ci dwaj już mnie dopadli – przemytnik zwrócił się do faceta za ich plecami. – Dobrze, że kazałem ci tu przyjechać. – I huknął na jednego z policjantów: – Ej, nawet nie próbuj.

Tuńczyk, który przesunął prawą rękę w stronę ciężkiego przycisku do papieru, znów podniósł ręce. Przemytnik wyłapał spojrzenie Margarita zaniepokojonego zawartością sejfu. Teraz już wiedział, że ma do czynienia z nie byle kim. Był to mężczyzna na oko czterdziestoletni, przy kości, mierzył jakiś metr sześćdziesiąt, miał jasną cerę i włosy. Na pierwszy rzut oka mógłby uchodzić za jednego z Hiszpanów, którzy się urządzili w La Eternidad, ale wystarczyło, żeby się poruszył czy otworzył usta, a jego brak wykształcenia i ogłady od razu zdradzały, że wychował się gdzieś w górach. I wtedy Margarito zrozumiał, kim on jest.

Przez lata jego zdjęcie, acz znacznie młodszego, z nieco większą ilością włosów na głowie i znacznie mniejszą liczbą kilogramów, wisiało na jednej ze ścian na komendzie. Poszukiwano go w związku z zabójstwem celnika, lecz przypisywano mu znacznie więcej przestępstw. O ile Margarito dobrze pamiętał, Elías był o krok od pojmania go przynajmniej

kilka razy, bowiem zastawiał na niego specjalne zasadzki. Jednak przy każdej z tych okazji facet potrafił się wymknąć w ostatniej chwili, kiedy wydawało się, że wpadnie w ręce policji.

– To najsprytniejszy sukinsyn na świecie – mawiał Elías. – Trudny zawodnik, ciężko go podejść.

Dał się poznać jako wyjątkowo zręczny przemytnik alkoholu i sprzętu elektrycznego, który potrafi siedmiogodzinną trasę pokonać w pięć godzin, prowadząc non stop do granicy i z powrotem. Stał się poważną figurą w całym stanie w handlu kokainą i marihuaną. Nazywano go Tygrys Obregón. Być może był to najbardziej poszukiwany przez DEA i FBI człowiek w regionie. I mający zwyczaj masakrowania tych, którzy próbowali go zdradzić. A teraz siedział tu przed Margaritem i szukał czegoś w sejfie.

Przemytnik przyjrzał się obu policjantom, jakby chciał z twarzy wyczytać ich cenę. Wówczas wyjął dwa pliki banknotów i położył na stole.

– Dwa i dwa daje cztery.

Policjanci zamrugali oczami.

– Tak się umawialiśmy, nie? Pozwól, Candelario, przedstawiam ci dwóch nowych przyjaciół. – Margarito kątem oka dostrzegł faceta mniej więcej jego wzrostu i równie szerokiego w barach. Wąsów nie nosił, ale za to miał bujniejszą czuprynę.

– Tylko ja tak mam czy rzeczywiście, cholera, się ochłodziło?

Przemytnik otworzył małą szafkę i wyjął z niej kurtkę obszytą, wydawało się, autentycznym futrem lamparta. Potem wrócił do sejfu, wyjął nóż oraz to, co ku wielkiej uldze Margarita i Tuńczyka okazało się wielką szynką parmeńską, cały udziec. Usiadł za biurkiem, założył okulary na nos i zaczął przeglądać ich dokumenty.

– Ten tutaj, z którym wszyscy trzymają sztamę, nazywa się Epigmenio Torres Merino. A temu drugiemu dali... o cholera, naprawdę nazywasz się Margarito?

Facet znów się roześmiał.

– Margarito González... Trochę za duży jesteś na takie imię.

Tuńczyk odchrząknął.

– No i miałem się napić kawy, ale że zabrali mi panowie ekspres, wróćę do starego nałogu. Whisky czy tequila? Nic nie mówicie? Dobra, to idziemy w tequilę.

Obrócił się i wyjął z sejfu trzy kieliszki i butelkę. Napełnił wszystkie, nie przejmując się tym, że sporo rozlewa, i przesunął dwa w stronę policjantów. Jak już złapali oddech, bo alkohol dawał popalić, gospodarz podjął wątek:

– Jestem przedsiębiorcą, człowiekiem interesu, nie szukam problemów. Współpracuję z całą policją federalną, stąd po Matamoros. Dyrektor agencji celnej jest mi jak brat, a te gnojki, co siedzą w punktach kontrolnych, mogłyby być moimi dziećmi. Nigdy nie miałem żadnych kłopotów. Teraz wyjaśnijcie mi, co z was za policjanci i dlaczego kręcicie mi się koło domu. Może szyneczki, panowie?

Skończyli gadać o szóstej nad ranem i wyszli razem, wszyscy czterej. Skończyli flaszkę, choć nikt tego jakoś nie czuł. Pożegnali się serdecznie:

– No to się widzimy.

Kiedy wreszcie wrócili do radiowozu, a gospodarz przekonał ich, żeby zatrzymali ekspres i telewizor, Margarito westchnął i odezwał się do Tuńczyka:

– Mieliśmy gościa obrobić, a skończyło się na tym, że nas przesłuchał.

Kiedy następnym razem przejeżdżał koło domu Tygrysa, zobaczył, że jest do wynajęcia, a potem jego legenda pęczniała od kolejnych plotek. Że przeprowadził się w bezpieczniejsze miejsce, do bogatszej dzielnicy. Że kupił taki czy inny magazyn. Że jego interes ciągle się rozwija. Że skumał się z innymi młodymi szmuglerami i kilkoma kobietami, które rozprawdzały mu towar. Że już nawet nie musi przekraczać granicy, bo ma całą sieć ludzi, którzy podróżują za niego.

Dowiedział się, bo Candelario opowiedział o tym Tuńczykowi, że wielki kryzys z 1982 roku okazał się dla Tygrysa prawdziwą próbą: klasa średnia, kupująca amerykańskie lekarstwa i inne produkty, nagle przestała to robić, bo nie miała za co. Mając ponad pięćdziesięciu policjantów na stanie, Tygrys musiał zdywersyfikować działalność. Kiedyś Tuńczyk opowiadał, jak popijali w jednej z restauracji przy szosie do Teksasu, należącej do Tygrysa. On akurat wpadł w potężne długi, aż tu nagle zjawia się jakiś Kolumbijczyk i proponuje, żeby zajęli się rozprawdaniem białego proszku, to było jak objawienie. Znali przecież drogi i trasy, wypracował sieć przyjaźni i wzajemnych zależności z każdym z szefów lokalnych agencji celnych. Przez lata zmienił ich w psy gończe, zawsze gotowe do napaści i rabunku na podróżnych, w wiernych wspólników, domowe kundły, nawykłe do pobierania

pro wizji od każdego wypełnionego kontrabandą samochodu przekraczającego granicę. Zna każdy zakątek stanu, każdą stację benzynową, każdy motel, każdy magazyn. Mapa od La Eternidad w górę nie miała przed nimi żadnych tajemnic, klucz do sukcesu tkwił w doborze aktualnie chodliwych produktów. Tak stał się zamożnym człowiekiem: przestał przerzucać alkohol i sprzęt (tequila dla Teksasńczyków, telewizory dla Meksykanów) i zajął się eksportem białego proszku i pewnego zioła. Wymienił swoją flotę na vany, ciężarówki i tiry. Pootwierał fikcyjne firmy, udawał, że zajmuje się rolnictwem, hodowlą bydła i rybołówstwem. Tak dobrze mu szło, że przestał pracować dla Kolumbijczyków i doprowadził do tego, że to oni zaczęli pracować dla niego. W tamtych czasach, w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, najlepszym środkiem, by kontrolować innych, był wypchany portfel.

Kiedy Margarito poszedł w górę, przyjaźń z Tygrysem stała się jeszcze mocniejsza. Mając wsparcie nowego komendanta policji w La Eternidad, Tygrys mógł kupować domy, hotele, biura podróży, galerie sztuki, kina, centra handlowe i nikt tego nie zauważał, a interesy uwiarygodniały jego zarobki. Dokładnie tak, jak dzieje się to obecnie w każdym miejscu w cywilizowanym świecie. Tygrys miał tak rozbudowaną sieć kontaktów, że narkotyki i forsa przepływały z upraw marihuany w stanach Oaxaca i Guerrero albo z laboratoriów w kolumbijskim Cali aż do granicy z Teksasem i nikt po drodze nie śmiał mu przeszkodzić. Bo kto będzie zadzierał z policją stanową? Nawet Margarito wybierał się od czasu do czasu za granicę jako eskorta ciężarówek Tygrysa, żeby się gdzieś ruszyć i zarobić coś ekstra. Przez pięć lat tylko raz zostali zatrzymani przez meksykańskiego celnika, który był mocno zaskoczony tym widokiem.

– Co radiowóz z La Eternidad robi w Matamoros? Jesteś o siedem godzin jazdy od swojego terenu, chłopie. Po co ci te skrzynki z pomidorami?

Margarito nie dał się jednak zbić z tropu.

– Możesz pan sprawdzić, jakie są pyszne...

Celnik spojrzał na niego dość nieprzyjaźnie. Zanim sprawy zdążyły się skomplikować, Margarito dodał:

– Znasz Pepina Callesa, szefa stanowej agencji celnej?

– No pewnie.

– Zadzwoń do niego i powiedz mu, że jest tu Margarito. Ja poczekam.

Funkcjonariusz wrócił po pięciu minutach.

– Rozumiem już, co tu robisz, taka zwykła przejazdka. Jakąś gratyfikację dostanę?

Komendant wręczył mu dwieście dolarów i pożegnali się uściskiem dłoni.

Pod koniec lat osiemdziesiątych grupa Tygrysa do tego stopnia panowała nad systemem dróg w stanie Tamaulipas, że nawet wynajmowała je innym. Wiedząc, jak bezpieczne jest przewożenie tamtędy towaru i że nigdy nie ma się problemów z policją, o ile tylko za transportem stoi Tygrys Obregón, dystrybutorzy z różnych stron kraju przyjeżdżali do La Eternidad, żeby negocjować z panem Obregónem. Płacili umówioną sumę i sprawa załatwiona.

Można więc stwierdzić, że Margarito znał ich od początku. Albo, jak sam mawiał, jeszcze z czasów, zanim został chrzestnym syna Tygrysa.

Często spotykali się i razem imprezowali. Komendant zjawiał się w którejś z restauracji Tygrysa z kilkoma kobietami i od razu zaczynała się zabawa. Jak już sobie popili, przerzucali się ciężkimi żarcikami.

– Tygrys, ty pójdziesz siedzieć.

– Taa? A za co?

– Nielegalne posiadanie broni z wyposażenia wojskowego, pranie pieniędzy i handel narkotykami.

– E tam, powiedz mi coś, czego nie wiem.

A jeśli cokolwiek szło nie tak, Tygrys zawsze powtarzał:

– O nie, nie, nie. Porozmawiajmy jak mężczyźni i wyjaśnijmy to. Czego chcesz? Przyjaciela czy wroga?

Kiedy urodził się Joel, jedynak Tygrysa, Margarito zgodził się trzymać go do chrztu.

Przez lata sądził, że oba obszary wpływów, pana Valentína i Tygrysa, nie zachodzą na siebie. Jak doskonale zdawał sobie sprawę, Valentín uważał Tygrysa za pomniejszego zawodnika i sądził, że długo nie utrzyma się na ulicy, aczkolwiek prawda była taka, że to Tygrys dłużej pozostał w grze. Margarito nigdy nie zapomni tego popołudnia, to była końcówka lat dziewięćdziesiątych, kiedy wczesnym rankiem zadzwonił do niego Obregón.

– Przyjacielu, musimy pogadać, ale już. Zostaw, cokolwiek robisz, i przyjedź, proszę.

Margarito, który zajmował się właśnie sprawami biurowymi, natychmiast stawił się w restauracji Los Olivos, ulubionym miejscu spotkań Tygrysa. To była najbardziej luksusowa ze wszystkich jego restauracji, a także najprzyjemniej urządzona. W środku trwała impreza, taka z przytupem, z muzykami mariachi i dziewczynami w miniówkach. Dziwne, pomyślał Margarito, przecież do urodzin Tygrysa jeszcze kupa czasu. Kiedy ten go zobaczył, machnął na znak, żeby siadał za stołem, i odprawił wszystkich z wyjątkiem szefa ochrony. Tygrys miał łzy w oczach, ale wciąż się uśmiechał. Nalegał, żeby Margarito napił się tequili, i dopiero potem przemówił.

– Trzymasz moją stronę, stary? Blisko ciebie jest ktoś, komu zaraz przestanie grać muzyka. Jeśli chcesz stanąć po mojej stronie, nalegam, żebyś towarzyszył mi dziś wieczorem, i zobaczymy, czy jutro o tej porze będziemy nadal żywi. Czekają nas wielkie rzeczy...

– O czym ty mówisz? – zapytał Margarito. – Mam posłać po moich ludzi?

– Nie, nie, nie w tym rzecz. Ty po prostu rób to, co ja. To, co nadciąga, to na tyle gruba sprawa, że nie ma ucieczki.

A potem już tylko co pięć minut dolewał mu tequili. Ledwie Margarito opróżniał kieliszek, a nie guzdrał się z tym w żadnym razie, Tygrys już napełniał następny i mówił:

– I jeszcze jeden. Dajesz, stary.

Jeśli Margarito zwlekał, Tygrys powtarzał cicho:

– My tu nie pijemy, ja ci ratuję życie. Kiedyś mi podziękujesz. Ja umiem się odwdzięczyć.

– Ale o co chodzi, bracie?

– Poczekaj, stary. Jesteśmy przyjaciółmi czy nie?

Co godzinę, co dwie Tygrys podnosił wzrok i pytał dowódcę ochrony:

– Już?

– Jeszcze nie, szefie.

I dwie godziny później:

– Już?

– Nie, szefie.

Aż równo o siódmej rano, kiedy już nawet mariachi padali ze zmęczenia, ochroniarz podszedł i oświadczył:

– Szefie, to już.

– Tak szybko? – Obregón aż podskoczył.

Podali mu telefon, żeby odebrał. Tygrys poprosił muzyków i dziewczyny o ciszę, wysłuchał tego, co ktoś mówił w słuchawce, pożegnał się i rozłączył. Wtedy wezwał mariachich:

– Zagrajcie mi *Jaskółki*. Naszego przywódcy już nie ma.

Potem spojrzął na Margarita.

– Twojego kumpla właśnie zwinęli do koszar żołnierze.

Komendantowi momentalnie przeszło zamroczenie alkoholem.

– Jacy żołnierze, bracie?

– No żołnierze, tacy goście na zielono, czasami wkurzeni i gotowi do rozróby. Nie za wielu, z pięćdziesięciu.

I tak dowiedział się, co zaszło tej nocy w mieście. Wojskowy oddział zjawił się samolotem. Wylądowali na terenie jednostki i po niespełna dwudziestu minutach drzwi do domu pana Valentína leżały wyważone. Kara za zdradę wobec nowego prezydenta i przejście na stronę opozycji. Aresztowali go i tym samym samolotem zabrali do wyjątkowo ciężkiego więzienia na obrzeżach stolicy. Tak aresztowano lidera naftowych związków zawodowych, od pięćdziesięciu lat na szczycie władzy. Kilku najbliższych współpracowników pana Valentína podążyło do więzienia w ślad za nim, a ci, co się wywinęli, w ciągu paru dni zrzucili sporo kilogramów, jak choćby deputowany Camacho. Nie było takiej siły, która by ich obroniła. Wydawało się natomiast, że to Tygrys ma teraz specjalną ochronę.

Innymi, tymi bardziej brutalnymi, komendant tak naprawdę nigdy się nie przejmował. Nie zjawili się nagle. Byli to wojskowi, którzy rzucili armię, kiedy Tygrys zlecił im pilnowanie trudnych tras albo kiedy przyjmował ważny transport i trzeba było wyeliminować wszelkie potencjalne komplikacje. W kilku przypadkach Tygrys dzwonił w środku nocy albo o świcie także do Margarita i pytał, czy może mu przechować jakiś towar albo odeskortować grupę przyjaciół do mostu Negro, do granicy ze Stanami. Przy takiej okazji natknął się na nich po raz pierwszy i zobaczył ich bez wojskowych mundurów. Dlatego musiał towarzyszyć i doglądać bezpieczeństwa konwoju pikapów z podwójną kabiną i ciężarówek rzekomo wyladowanych warzywami, jajkami, mięsem, odzieżą albo eleganckimi butami. Widząc ich, celnicy od razu kierowali cały transport na specjalny pas i przepuszczali, nie domagając się żadnych dokumentów.

Trwało to tak, dopóki dotychczasowi ochroniarze nie uznali, że teraz mogą się tym zająć sami, bez pomocy Tygrysa. Założyli własną organizację i zrobiło się naprawdę niewesoło. Jak ja mogłem tego w porę nie zauważyć, narzekał często Obregón. Elías miał świętą rację.

Dziś mieszkańcy La Eternidad zamykają domy o zmierzchu, żeby nie spotkało ich nic złego. Nikt już nie ufa sąsiadom, krewnym, nauczycielom, a nawet zakonnicom z kościoła Sagrado Refugio de los Pescadores.

X

Ponownie obudziło go buczenie telefonu. Szlag by to, cholerne tabletki. Miał trzy wiadomości od Niemej. Margarito odczytał je po kolei, modląc się, żeby bateria nie padła. SMS-y brzmiały:

DZIEWCZYNA NIECHCE PIĆ JAK PODADŹ JEJ LEKI?

Następny:

ZBUDZIŁA SIE. TAMTEN ZNUW PROBOWAL WIAĆ. OKTÓREJ PAN WRACA? POCZEBUJE WSPARCIA.

Na resztkach baterii odpisał jej:

NASTRASZ DZIEWCZYNE, A TAMTEMU JAK BĘDZIE TRZEBA KULKA W ŁEB.

Odpisała od razu. Pewnie nie wypuszcza aparatu z ręki, pomyślał. Niema nalegała:

NIECHPAN SIĘ SPIESZY. TEN GNUJ ZDJOŁ SOBIE KAJDANKI.

Na co on odpisał:

JUŻ JADĘ.

Nie, myślał sobie komendant, ta forsa nie może mi się wymknąć z rąk. To moje zabezpieczenie emerytalne. Nawet jeśli trzeba będzie szybciej wysłać Treviña na tamten świat.

Wyjrzał przez okno i zobaczył, że jego sąsiedzi dalej grają w kosza. W tej sytuacji nie miał jak wyjść z domu. Znowu zamyślił się nad

zamachem. Co ja zrobiłem jakiemuś pieprzonemu Gwatemalczykowi, że szykował na mnie zasadzkę? Bez wątpienia ktoś ich najął do tej roboty i pomógł im w sprawach organizacyjnych, ale to nie mogła być Czterdziestka, bo nic by na tym nie zyskali, natomiast owszem, narażałoby to ich byt.

Pomyślał o Nowych, pomyślał o swoim chrześniaku i zastanowił się, czy może on ma do niego jakieś pretensje. Bo po nim wszystkiego można się spodziewać. Od kiedy sam zaczął wciągać swój towar, mamy przejebane.

No i była jeszcze sprawa tych pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Margarito dobrze wiedział, czym to może się skończyć. Od kiedy tylko podjął pracę na komendzie, miał okazję oglądać, co się dzieje, kiedy za czyjąś głowę zostaje wyznaczona taka nagroda. To tylko kwestia czasu, zanim nawet zaufani ludzie zaczynają kombinować, jak by zainkasować taką forszę. Ba, sam przecież kiedyś zrobił coś takiego. Przecież dostał ekstrapieniądze za Elíasa.

W oddali rybacy na łódce dokarmiali pelikany resztkami ryb. Fale rozbijały się o skały. Cholera, mruknął pod nosem. Choć ciśnienie mu skakało, musiał wyteńczyć pamięć. Trzeba przeanalizować tamtą rozmowę telefoniczną, od tego wszystko się zaczęło.

Musi przypomnieć ją sobie słowo po słowie, dokładne jej brzmienie. Jakby to była piosenka. Nie miał żadnych tropów ani zaufanych ludzi, zabili mu syna i dwóch z trzech najwierniejszych sojuszników. Tuńczyk i Dorado gryźli już piach i tak samo skończyliby on z Chudym, gdyby nie zjawiała się tam Roberta.

Przez ostatnie godziny sądził, że jego kontakt w policji federalnej zdoła ustalić, skąd przyszła ta rozmowa. Teraz jednak wiedział, że to niemożliwe. Skoro niedostatki nowoczesnych technologii pozbawiły go szans na rozwikłanie tajemnicy, będzie musiał oprzeć się na swojej intuicji. Tak jak to czynił od ponad trzydziestu lat, przed erą internetu i komórek.

Zastanówmy się, myślał, z jakiego typu przeciwnikiem mam do czynienia?

Inaczej mówiąc: kim był ten bydlak, który do mnie zadzwonił?

To było o dziesiątej wieczorem.

Zaraz, zaraz...

Mechanizm jego intuicji zaczął odpalać.

To był męski głos, myślał, nie żaden dzieciak, ale też i nie przesadnie starszy facet. Nie był to też jakiś podrostek. To musi być bardzo potężny, pewny siebie gość, przekonany, że cały świat ma naraz. To na pewno. Ale jest w tym coś jeszcze: ten ktoś wypowiadał każde słowo w bardzo szczególny sposób, starannie je ważąc. Jakby chciał nie tyle przekazać wiadomość, co rzucić urok. Właśnie tak, on chciał mnie nastraszyć i dobrze to zaplanował.

Słońce odbijało się w oknach domu obok i musiał się pochylić, bo raziło go w oczy. Czyli tak. Ten typ wypowiedział trzy zdania: „Zginiesz. Kule mają wypisane twoje nazwisko. Już lecą do ciebie”. Choć z początku wziął to za jakieś wygłupy, teraz już wiedział, że w tym tkwi klucz do zagadki.

W ciągu tych pierwszych chwil przytomności umysłu Margarito zastanawiał się, co tak naprawdę razi go w tym zdaniu. Mocował się z nim jak w zapasach, aż doszedł w końcu do pewnego wniosku. Ten typ wypowiedział to takim tonem, jakby to była modlitwa, zaklęcie, hasło. W tym rzecz.

Sukinsynu jeden, tędy się do ciebie dobiore.

Od tej chwili sprawy zaczęły toczyć się naprawdę szybko.

Zegar w jego telefonie pokazywał wpół do ósmej. Jeśli się pospieszy, zdąży jeszcze złapać sprawcę i zainkasować szmal za dziewczynę.

Już miał wychodzić, kiedy usłyszał, że ktoś podchodzi do drzwi. Na widok Pandy odetchnął.

– Obudził się pan już? Poszedłem do domu, potem wróciłem, a pan dalej leżał jak trup. Zaglądałem tu, a pan nic.

Teraz, kiedy o tym wspomniał, komendantowi przypomniało się, że rzeczywiście miał jakieś przebłyski z jego udziałem. Pieprzone leki, trochę przegiąłem.

– Niech pan się nie spieszy. Przyniosłem to.

Panda podał mu mały metalowy termos.

– Proszę wypić do dna.

– Co to?

– Rumianek. Świeżo nazbierany przez moją żonę.

Komendant upił łyk i stwierdził, że dawno nie pił czegoś tak dobrego.

– Przepyszne. W życiu nie piłem czegoś równie smacznego.

– Bo to świeżo narwany, dlatego tak smakuje.

Upił raptem dwa łyki, a czuł się, jakby wywar wypełniał go płynnym spokojem. Doskonałe.

– Muszę się stąd szybko wydostać, Panda. Pożycz mi samochód.

Strażnik sprawiał wrażenie zafrasowanego.

– Nie będzie pan robił niczego nielegalnego?

– No a jak ci się wydaje? Przecież jestem przedstawicielem wymiaru sprawiedliwości.

Panda podał mu klucze do samochodu.

– Powodzenia.

Margarito wpakował się do małego czarnego samochodu, w którym czuć było zapach papryki i cebuli. Stał zaparkowany na zewnątrz. Odpalił silnik. Widząc, że ma ręczną skrzynię biegów, zaklął pod nosem. Będzie musiał jakoś sobie poradzić z tą nie do końca sprawną ręką.

Niema nie potrzebowała słów, żeby go zwyzywać. Była tak obrażona, że przez dobre trzy minuty nie przestawała wymachiwać rękami w oszalamiającym tempie i robić srogich min. Niezależnie od interpretacji, jej zachowanie miało być ostrą reprimendą dla komendanta: „Co się z tobą działo, do cholery! Nie widzisz, która jest godzina? Od dwóch dni tu czekam!”. Wyjaśniła, że nie ma już kropli wody, że z toalet śmierdzi (tu otworzyła drzwi do ubikacji kopniakiem), że w lodówce pustki, że nie ma czego pić ani jeść, że skończyły się środki, które podawali dziewczynie, i że ta od czasu do czasu woła o pomoc, a tamten drugi próbuje się wyrwać. Że ona, Niema, nie śpi od dwóch nocy, a komendant to gruby-bydlak-sukinsyn-kurwa-jego-mać i jak on może ją tak zostawiać.

– No już, już, Niema. Cholera, nie oglądasz wiadomości?

W odpowiedzi kobieta wskazała na telewizor z rozbitym ekranem i kopnęła w ścianę. Trzeba przyznać, że była dość ekspresyjna.

– Jutro wcześniej rano zajrzę do ciebie, rozumiesz? Jutro przyjadę po dziewczynę. Masz, ulży ci. – Podał jej torbę z zakupami i woreczek z koką, który zawsze nosił w portfelu. – Tu mamy leki dla naszej małej, zaraz jej podamy. Teraz już nie przeszkadzaj i daj mi pracować.

Założyli kominiarki i weszli w role porywaczy. Margarito wziął sprzęt do zniekształcania głosu, ciesząc się, że wciąż działa, i wykręcił numer ojca dziewczyny. Odebrano po trzech sygnałach.

– Przygotuj kasę i włóż ją do worków na śmieci. Zadzwoń dzisiaj wieczorem i przekaż instrukcję, gdzie i jak masz zostawić pieniądze. Jeśli będzie brakowało choćby jednego, nie zobaczysz córki.

– Ej! Chwila! Udowodnij, że jeszcze żyje!

Margarito kopnął w metalowe drzwi i zajrzał przez wizjer:

– Te, pozdrów swojego tatusia.

– Tato! Tato! – zajęczała dziewczyna.

– Chwila – odezwał się biznesmen. – Jaki kształt ma znamię mojej córki?

– Trójkąt z trzema przedłużonymi rogami. I nie bądź taki nieufny, bo pożałujesz.

Zamknął znów wizjer i wrócił do jadalni.

Rozłączył się, zdjął kominiarkę i zawołał Niemą:

– Chodź, pomożesz mi!

Podeszli do stojącej w głębi pomieszczenia szafy, zamkniętej na trzy zamki, w której Margarito trzymał swój osobisty arsenał. Komendant odsunął na bok strzelbę, która odstraszała samym wyglądem, karabin Remingtona, dwa karabiny automatyczne i schylił się po bardzo grube liny i magazynki do swojego pistoletu. Wtedy uśmiechnął się ze spokojem. Już miał zamykać, ale obrócił się i wziął płócienną torbę z napisem: „Do wyłącznego użytku Armii Stanów Zjednoczonych Meksyku”, na oko dość ciężką. Zamknął szafę na klucz i podał jedną linę Niemej.

– Chodź ze mną.

Otworzyli drzwi od pokoju, w którym trzymali Treviña, i Margarito ostentacyjnie odbezpieczył broń.

– Wyłaż albo usmażę cię żywcem.

Treviño wyłonił się z za drzwi z podniesionymi rękami.

– Zwiąż go jeszcze raz – komendant wydał polecenie Niemej.

Kiedy wyszli na ulicę, odezwał się do swojej pomocnicy:

– O szóstej, rozumiesz? Widzimy się tutaj o szóstej rano, ale najpierw muszę załatwić parę spraw.

Choć szukało go pół miasta, pozwolił sobie na luksus wizyty na cmentarzu. Jak zwykle był tam tylko jeden strażnik, który parę razy na noc robił obchód z latarką. Był to bardzo porządny człowiek i od razu zaprowadził Margarita w miejsce, w którym pochowano jego syna. Potem poświecił na grób.

– Daj mi chwilę – poprosił komendant.

Margarito zauważył, że ktoś, zapewne jego żona, położył na grobie starego pluszowego żółwia. Komendant był załamany. Tylko przez chwilę. Strażnik wypowiedział słowa, które miał przygotowane na takie okazje:

– Odwagi, odwagi. Kiedyś do nich dołączymy.

– No tak. Ale nie tak od razu – stwierdził Margarito.

Po tej chwili słabości komendant pochylił się, wziął żółwia i ułożył go na środku nagrobka. Strażnik milczał przez chwilę, a policjant wstał i powiedział głośno:

– Trzymaj się, Ricardo. – I zwrócił się do strażnika: – Gdzie tu jest wyjście?

XI

Nowi

Piętnaście minut przed ósmą dwie czarne furgonetki zaparkowały przy katedrze w La Eternidad. Na ich widok cały sznurek opatulonych w chusty i kurtki staruszek, które właśnie wyszły z domu i zmierzały na ostatnią mszę, przyspieszył, na ile było to możliwe. Pięciu uzbrojonych typów upewniło się, że w okolicy nie dzieje się nic podejrzanego, i dopiero wtedy z drugiego samochodu wysiadł mężczyzna w czarnym kapeluszu i udał się do katedry eskortowany przez trzech ochroniarzy. Właściwie jakby przyjechał sam, stwierdził starszy pan karmiący gołębie na ławce. Następnie wysypał resztę ziaren kukurydzy dla ptaków, podniósł worek ze śmieciami leżący u jego stóp i skierował się w stronę katedry.

Dwaj faceci stojący w wejściu kontrolowali każdego, kto przechodził ulicą. Wydawało im się, że dobrze wykonują swoją pracę jako wybrani z całego miasta spece, działali jednak bez polotu, zbyt wolno i nie miał to być najlepszy dzień w ich karierze.

Zwrócili na niego uwagę, kiedy było już za późno. Stary odłożył torbę na ziemię, uniósł obie ręce i goście, zaskoczeni, zareagowali z opóźnieniem.

– No co jest, nie spać tu. Jestem umówiony z szefem. Za paskiem mam gnata.

Ten z większym wężem, uśmiechając się jadowniczo, podniósł połę jego kraciastej koszuli i wyjął pistolet. Potem obmacał lufą wnętrze worka i zrobił przejście.

– Ja tego popilnuję. Dalej.

Kiedy już miał wchodzić do kościoła, komendant poczuł cios kolbą w plecy, zadany przez wężacza. Margarito upadł na kolana i zanim zdążył się osłonić, ten sam facet kopnął go w brzuch. Kilka sekund później, kiedy komendant z trudem łapał oddech, obaj strażnicy podnieśli go za ręce. Napastnik rzucił:

– To żeby przegonić głupie myśli.

Margarito podniósł worek śmieci i z trudem ruszył przed siebie. Ten z jadowitym uśmiechem podążył za nim do wnętrza kościoła i upewnił się, że policjant grzecznie kuśtyka w stronę jednego z rzędów w środku nawy, gdzie typ w czarnym kapeluszu rozmawiał ze swoją eskortą. Najwyższego z ochroniarzy, faceta z kalafiorowym zamiast ucha, komendant już znał. Pułkownik Śmierć uniósł górną wargę, odsłaniając kły, i rzucił swoim najemnikom:

– Zobaczcie no tego śmiecia.

Tamci trzej wstali i kiedy komendant siadał obok ich szefa, nawet na sekundę nie spuścili z niego oka. Margarito rozejrzał się po wnętrzu katedry i przekonał się, że w środku przebywa w sumie jakieś dwadzieścia osób, porzrzucanych wzdłuż i wszerz świątyni. Kilku młodych mężczyzn z żonami, ale przede wszystkim staruszki i kobiety cierpiące zapewne na jakąś chorobę. Widząc podchodzącego komendanta, trzy najbliższe siedzące kobiety, kilka rzędów dalej, wstały i ruszyły w stronę wyjścia. Komendant wiedział, że kiedy podejda do mężczyzn pilnujących drzwi, ci każą im wrócić na miejsce: „Kościół jest zamknięty, nikt nie wchodzi i nikt nie wychodzi”. Ksiądz, akurat zwrócony do wiernych plecami, skupiony na odprawianiu mszy, nie zorientował się nawet, co się dzieje. Pułkownik Śmierć przyjrzał się komendantowi uważnie, jakby chciał go prześwietlić oczami.

– Kazałeś mi czekać cały dzień – rzucił z pretensją słyszalną w jego chropawym głosie. – Umówiliśmy się na wczoraj.

Komendant widział, że ochroniarz z uchem jak kalafior nie spuszcza z niego oka. Siedział przed nimi twarzą i tułowiem zwrócony w ich stronę. Po lewej siedział jeszcze ktoś inny, do tego jeszcze dwóch stało, obaj plecami do Margarita. Pułkownik ciągnął dalej:

– Twój syn pchał się tam, gdzie nie powinien. – Powiedziawszy to, czekał na reakcję Margarita. – To nie byliśmy my. I masz jaja, żeby przychodzić i pytać mnie o to...

Policjant spojrzał na niego, jakby to, co mówi i robi, kompletnie go nie obchodziło.

– Nie przyszedłem zadawać pytań. To zresztą i tak wiedziałem.

Po raz pierwszy od bardzo dawna Pułkownik poczuł, że ktoś kwestionuje jego władzę. Jego najemnicy też to wyczuli, a grubas z kalafiorowym uchem, siedzący przed Margaritem, wyprostował się w ławce. Pułkownik przysunął swoją twarz do twarzy policjanta

i powiedział, nie przejmując się tym, że pobożne kobiety w pobliskich ławkach mogą to usłyszeć:

– Ja umiem przywoływać zmarłych z powrotem. To ja wybieram. Wystarczy, żebym kiwnął palcem, a skończysz gorzej niż twój kumpel Elías. Gdybym sobie tego zażyczył, już by cię posiekali maczetami. Nie ma sensu, żebym tracił czas nad kogoś, na kim wisi wyrok.

– Ja nie przyszedłem tu tracić czasu.

Ksiądz, który coś tam z tej rozmowy usłyszał, przełknął ślinę. Kobiety modliły się z wielką gorliwością.

– Wiesz już, jaka jest specjalność naszego Gwatemala. – Chodziło mu o grubasa z uchem jak kalafior, który walczył jako najemnik i szkolił Nowych w zakresie siania terroru. Teraz patrzył na Margarita, jakby zastanawiał się, którą część ciała rozgnieść mu najpierw.

Komendant oparł jedną rękę na klęczniku.

– Przychodzę zaproponować ci interes.

Otworzył worek i spomiędzy śmieci wyjął dwadzieścia pięć tysięcy dolarów.

Pułkownik patrzył na to bez szczególnego zainteresowania.

– Mogę zaoferować drugie tyle. – Margarito bardzo ostrożnie położył worek na kawałku podłogi między nimi. – Oferuję za mnie pięćdziesiąt. Ja ci je podaruję, jeśli dacie mi spokój i czas na złapanie jednego gościa.

Pułkownik bardzo długo mu się przyglądał. Potem powiedział:

– Twojego syna zabili ludzie, którzy nie pracują dla nas. O jego losie zdecydowano daleko od naszej organizacji, ale gdyby zaszła taka potrzeba, też byśmy to zrobili. Tyle mam ci do powiedzenia.

– Dziękuję za szczerość. – Margarito rzucił mu worek. – Tyle że to już wiedziałem. Jeśli chce pan drugą połowę, proszę przekazać swoim ludziom, żeby nie śledzili mnie ani mi nie przeszkadzali, dopóki pracuję nad tą sprawą.

– Nie mogę bez końca ich powstrzymywać.

– Potrzebuję czasu, żeby odbyć jeszcze dwa spotkania. Powiedzmy, że takie wsparcie jest mi potrzebne do świtu.

Pułkownik spojrział na niego spode łba.

– Teraz ty mi odpowiedz. Wiesz, jak mogę znaleźć niejakiego Carlosa Treviño? Byłego policjanta.

– Sam chciałbym wiedzieć. Słowo daję. – Margarito położył rękę na sercu.

– Potrzebny mi jest żywy. Ten gość wszedł na teren, na który nie powinien był wejść, i zdobył poufne informacje, a podejrzewam, że pracuje dla DEA albo marynarki wojennej. Chcemy go żywego i przytomnego. Nikomu wcześniej nie udało się tam wejść i ujść z życiem.

– Zgoda.

– Ostatnia rzecz: jeśli ktoś go ukrywa, osobiście tego kogoś ukatrupię.

Margarito uśmiechnął się szeroko.

– A nie nasłali go ci z Trzech Liter?

– A dlaczego? Co słyszałeś?

– Mnie się zdaje, ale to tylko moja opinia, że wysłali go goście z kartelu portowego. Diabli wiedzą, co oni tam kombinują.

– W tym tygodniu ubiliśmy im dwudziestu ludzi, więc mogą sobie kombinować. No a ty co zamierzasz?

Nie spuszczać oczu z ołtarza, za którym ksiądz unosił wysoko hostię, Margarito odpowiedział:

– Będę wymierzał sprawiedliwość. Nawet jeśli będzie ona ślepa.

Pułkownik nie skomentował tych słów, nie drgnął mu nawet jeden mięsień. Potem zapytał:

– Skąd wiedziałeś, że to nie ja wydałem rozkaz?

– Bo zabiłby pan kurę znoszącą złote jaja, jedną z wielu. Kiedy się zjawiliście, miałem takie oszczędności, że mogłem nie martwić się o starość. Teraz nie mam już nic. Najpierw poprosiliście, żebym zrezygnował z tego interesu z kradzionymi samochodami. Ustąpiłem w geście dobrej woli. Potem zażądaliście mojej doli z barów. Potem domagaliście się opłat gotówkowych, coraz większych, aż moje konta zostały puste. Nie skarżyłem się, grzecznie płaciłem co trzeba. Pan wie, że pieniądze nadal spływają do mnie od przyjaciół z kartelu, z innych moich biznesów, i to was interesuje. Potrzebujecie kasy, żeby finansować tę swoją wojenkę.

Facet w czarnym kapeluszu popatrzył na Margarita z taką mocą, że mógłby samym tym spojrzeniem zgasić najbliższą świeczkę, i powiedział:

– Jak zamierzasz ich dopaść, skoro ledwo trzymasz się na nogach? Z tego co wiem, zaufanych ludzi już nie masz.

– Nie jestem sparaliżowany. Muszę mieć spokój do dziewiątej rano i za to daję drugie tyle. To dwadzieścia pięć tysięcy dolarów.

Łysy ochroniarz pogładził wąsy.

– Ostatnim razem, kiedy cię sprawdzałem, konta miałeś wyczyszczone, co znaczy, że albo dobrze to ukryłeś, albo masz środki za granicą. Jeśli to gdzieś daleko, nie jestem zainteresowany.

– To nie jest daleko i przekażę forszę gotówką.

– Dobra, ale prosto na moje ręce i rzecz zostaje między nami. Jutro o dziewiątej. Gdzie się widzimy?

– W tym barze, co ostatnio.

– Posłuchaj mnie uważnie. Żeby ci do głowy nie strzeliło wystawić mnie do wiatru. Palcem nie ruszę w twojej obronie. Po dziewiątej uważaj na siebie, bo znów będziesz wart pięćdziesiąt tysięcy dolców.

– Znikam już. Pozdrowienia od mojego chrześniaka.

Pułkownik rzucił mu takie spojrzenie, że mogło mieć siłę huraganu.

– Facet jeszcze żyje, bo mu na to pozwalamy.

Margarito uśmiechnął się.

– A on wszędzie rozpowiada, że nie jesteście w stanie wkroczyć do jego dzielnicy, i mam wrażenie, że trochę zyskał na sile. Nie widział pan tych afiszy z zaproszeniami na przejażdżkę po ich terenie? Są całkiem zabawne.

– Jedyne, co im się udało, to ustrzelić paru naiwnych cieniasów. To nie byli moi ludzie.

– Wczoraj tamtędy przejeżdżałem i prawdę mówiąc, niezłą mają tam armię. Nikt im nie podskoczy.

Łysy wycelował mu palcem w twarz.

– W tym kraju jest tylko jedna armia. I składa się z prawdziwych facetów.

– Cóż, pan wie lepiej. – Zerknął na zegarek. – Zbieram się. Mój czas dobiega końca.

I wstał. Musiało mu się jednak zakręcić w głowie, bo zataczał się to w jedną, to w drugą stronę, aż do miejsca, gdzie stali ochroniarze. Wąsacz uśmiechnął się krzywo, widząc komendanta w tak słabej formie, i prawie nie drgnął, kiedy Margarito się potknął i próbował się o niego oprzeć. To był błąd. Zanim zdążył się zorientować, komendant trzymał go zdrową ręką za szyję, wyprostował się i sprzedał mu zdradzieckiego kopa. Wąsacz osunął się na kolana. Widząc, że drugi ochroniarz sięga w stronę kabury, pułkownik huknął:

– Baczość!

Wąsacz z trudem próbował się podnieść. Najpierw jedno kolano, potem drugie, ciężko sapał i stanął na baczność, czerwony, prawie fioletowy z wysiłku. „Baczność mówię!”.

– Nie kuś losu, Margarito, nie kuś losu.

– Za tę kasę mam prawo sobie ulżyć – odpowiedział komendant. Potem podniósł ręce i wygładził koszulę: – Broń poproszę.

Wąsacz sięgnął za pasek i podał mu trzydziestkęósemkę. Ksiądz krzyknął zza ołtarza:

– Proszę o spokój! To kościół, a nie ring boksinerski!

Margarito pomachał na pożegnanie zdrową ręką.

Wychodząc z kościoła, spojrział w niebo. Chmury się rozpierzchny i okrążyły czerwony księżyc czuwający nad La Eternidad.

Najniebezpieczniejsza

Wyczerpana, ubrana w czerń od stóp do głów, pani doktor przekreśliła klucz w zamku drzwi do mieszkania. Potem zamknęła je i zapaliła światła w salonie i jadalni, tak że każdy jej krok mógł być widoczny z zewnątrz, a następnie udała się do kuchni, żeby zaparzyć sobie herbatę. Włączyła kuchenkę i nastawiła wodę. Wróciła do salonu, pogasiła światła i zostawiła uchylone drzwi na ulicę. Margarito, spowity mrokiem, zareagował dopiero po chwili.

Siedział tam od dłuższego czasu, wszędzie węsząc zagrożenie, ale tylko figowiec poruszał się podejrzenie, toteż zebrał się, wyszedł z kryjówki i wkroczył do domu, stawiając długie kroki. Ona nawet się nie odwróciła.

– Czego chcesz?

Pierwszy raz, kiedy ją zobaczył, poczuł tę tajemniczą radość, jaką czuje się na widok nowej rozkwitającej miłości. Kiedy człowiek pojmuje, że wszystko jest dobrze i że między tobą a tą drugą osobą coś się zaczyna.

Nosiła kolorowe spódnice z rozcięciem do połowy uda. Pomyślał, że musi być cudzoziemką, bo wtedy w mieście nikt takich nie nosił. I dlatego, że jej krągłe, atletyczne uda emanowały rumianą poświatą, mogącą wzbudzić zazdrość u brzoskwini. Nie mógł oderwać od nich wzroku. Patrzył, jak wchodzi po schodach, włosy miała związane w koński ogon, który rozsypywał się i zasłaniał całe plecy, jakby wkraczała na scenę. Nigdy nie była w stanie zapanować nad swoimi włosami, zawsze tak obfitymi i gęstymi. Patrzył na jej ciało: ramiona stworzone, by je masować, długa szyja, jak u łabędzia, która od razu wzbudziła w nim pożądanie. Jej plecy w kształcie odwróconego trójkąta, spore, unoszące się wdzięcznie pośladki i długie, bardzo długie nogi. A przede wszystkim trzy rzeczy. Kobięce ręce, nigdy niemogące zaznać spokoju – to był cały spektakl, ten ich ciągły ruch, reagowały na każdy krok, każdy komentarz, jakby stanowiły jądro jej myśli. Okrągłe piersi mieszczące się w jego dłoniach. I nietypowa twarz: trójkątny podbródek, wysokie policzki, gładkie czoło, lekko skośne oczy. Za pierwszym razem kiedy ją zobaczył, stwierdził, że aby dobrze narysować jej usta, potrzebni są dwaj rysownicy; trzech rzeźbiarzy, by oddać kształt jej twarzy; cała

ekipa malarzy, by odtworzyć kolor jej skóry i blask bijący z każdego jej włosa.

Ponieważ Margarito nie bardzo wiedział, jak zachowywać się przy porządnych kobietach, poczuł, jak od kolan do gardła podlatują mu motylki. Ona wtedy przystanęła, wyprostowała się, jakby przeszedł ją elektryczny impuls od pięt po kark, i odwróciła się, żeby zobaczyć, kto się tak w nią wpatruje. Margarito przełknął ślinę i otworzył usta. Ona uśmiechnęła się i poszła swoją drogą, być może nieco wolniej niż przed chwilą. Tym razem jednak nie mógł za nią pójść, miał obowiązki. Wieczorem wyszedł z roboty wcześniej niż zwykle, maszerował w stronę nadbrzeżnej alei, wzdłuż plaży, zaglądał nawet do najdroższych restauracji, do miejsc dla turystów, byle tylko znów ją spotkać, ale nie udało mu się. Znienawidził sztucznie wesołych imprezowiczów, śmiechy znajomych i obecność innych kobiet na ulicy. Tego wieczoru poszedł spać w podłym nastroju.

Myślał o niej codziennie przez osiem dni. Porównywał ją z aktorkami z telewizji albo kina i dochodził do wniosku: ta kobieta ma je naraz. Po ubraniach, kolorze włosów i odcieniu skóry domyślił się, że musi być cudzoziemką. Może tego dnia, kiedy ją zobaczył, wyjechała z miasta, może już wróciła do swojego kraju... Zaczął pojawiać się w nowych miejscach, zmienił godziny, w których wychodził na miasto coś zjeść, napić się piwa czy potańczyć. Po dwóch tygodniach stracił nadzieję, że ją spotka, i z żalu postanowił się upić. Żeby choć lekko zatrzeć wrażenie wywarne przez tę tajemniczą kobietę, konieczne były dwie butelki tequili obalone na spółkę z Tygrysem oraz kilka mocno umalowanych dziewczyn. I kiedy następnego dnia wyszedł poszukać czegoś na kaca, natknął się na nią na targu przy stoisku z owocami morza. Ona otoczona grupką znajomych, on sam i w kiepskiej formie, rozczochrany i najwyżej w połowie swoich władz umysłowych. Jednak na jej widok poczuł, że wszystko staje się jasne. Uśmiechnął się i podszedł się przywitać, jakby byli znajomymi.

– Proszę pani – prawie nigdy nie używał takiej formy grzecznościowej – czy mogę się do pani przysiąść?

Ona zarumieniła się i wbrew jego przewidywaniom przytaknęła.

– Jestem Włoszką – wyjaśniła – przyjechałam pozwiedzać.

Margarito był policjantem i pracował dla najbardziej podejrzanych typów w mieście, był skończonym zbir, ale kiedy usiadł obok niej,

poczuł, że wszystko było już przesądzone. Wszystko jest dobrze, jego pytania i słowa sprawiły dziewczynie przyjemność, ona ciągle się uśmiechała i patrzyła na niego zza okularów. Skąd się wzięła ta kobieta, zastanawiał się. Dlaczego dopiero teraz zjawia się w moim życiu? Między nami zajdzie coś ważnego.

– Czym się pan zajmuje? – zapytała.

– Jestem policjantem – przyznał Margarito.

Wypuściła w niebo długi słup dymu z papierosa, równie smukły jak ona sama, i wykrzyknęła:

– A ja pana miałam za przestępcę!

Wzruszył ramionami.

– Bywa. Często nas mylą.

Pożegnała się ze swoimi towarzyszami i poszli się przejść wzdłuż nadbrzeża. Morze wnosiło się i opadało jak pierś nad pospiesznie bijącym sercem.

Ona uśmiechnęła się szeroko, kiedy złapał ją za rękę i odcisnął na niej pierwszy pocałunek. Potem przyciągnęła go do siebie, żeby odpowiedzieć tym samym. Oparli się o palmę i zanim Margarito zdążył o coś zapytać, wyjaśniła:

– Skończyłam studia i chciałabym zamieszkać w Meksyku. Zastanawiam się, w którym mieście.

Margarito miał wrażenie, że pierś pęknie mu z radości, aż nagle ona dodała:

– Co myślisz o Monterrey?

Zmełł w ustach przekleństwo pod adresem stolicy stanu Nuevo León, która miesza mu w planach, ale zdołał się powstrzymać.

– Mówią, że tam mieszkają najsympatyczniejsi ludzie w Meksyku i że w ogóle dobrze się tam żyje. Że jest tam dużo uniwersytetów i mnóstwo możliwości pracy dla cudzoziemców takich jak ja.

– Tak mówią. – Margarito kopnął puszkę.

– A jak to jest mieszkać nad morzem? – Kobieta rozłożyła ręce, jakby chciała objąć powietrze.

– Wytłumaczyć ci?

– Bardzo proszę.

Margarito delikatnie dotknął jej ciepłego karku, ścierając małe kropelki potu pod linią jej jasnych włosów, a ona uśmiechnęła się i nie odsunęła się wcale. Margarito pomyślał, że potrzebuje takiej właśnie kobiety.

Wtedy ona wyznała niespodziewanie:

– Uwielbiam się kochać.

W ciągu następnych sześciu miesięcy przekonała go, żeby podszedł do matury, a świadectwo maturalne Margarito kupił ostatecznie u jednego nauczyciela. Pewnego dnia zauważył, że jest jakaś ponura, może to było zaraz po jakiejś sprzeczce. Dobłą chwilę siedziała zamknięta w łazience i wychodząc, oświadczyła:

– Jestem w ciąży.

Ci, co wiedzą, twierdzą, że ponoć Margarito nigdy nie miał tak głupiej miny, jak tego dnia. Niestety, dość szybko ich rozmowy przeszły od „kocham cię” do „gdybyś był uczciwy, nie pracowałbyś w policji”. W piątym roku byli jeszcze razem ze względu na dziecko, ale nawet dziecko nie wystarcza, kiedy związek już dawno dobiegł końca. Z początku gigantyczne różnice między nimi nie wydawały się ważne, bo miłość wszystko przewyciężała. Ona pasjami czytała, on chciał tylko gapić się w telewizję. Ona planowała doktorat, on nie umiał się poprawnie wysławiać. Ona piła od czasu do czasu kieliszek czerwonego wina, on wlewał w siebie piwo jak wodę i w razie potrzeby potrafił osuszyć całą butelkę tequili. Ona raczej nie znosiła dymu, Margarito nie mógł żyć bez swoich skręcanych papierosów. Ona dbała o dietę i codziennie uprawiała sport, a on zarzekał się, że ma podpisany pakt z cholesterolem. Ona nie potrafiłaby tknąć cudzej własności, a Margarito... cóż, wiadomo. I z tego brały się kłótnie: „Bydlak, bandyta, złodziej, brutal” i jej ulubione wyrażenie: *Stronzo*. Jego samochód stał się *stronzo*-mobilem. Ludzie mówili: „O, idzie żona komendanta. Tylko naiwna i prostoduszna cudzoziemka mogłaby się zakochać i wyjść za faceta pokroju Margarita. Ale jakakolwiek naiwna by była, pewnego dnia zrozumie swój błąd i wtedy *ciao*, Margarito, znikaj z mego życia”. I rzeczywiście, pewnego dnia, kiedy komendant wrócił do domu, czekała na niego z papierami rozwodowymi w ręku.

– Czego chcesz? – powtórzyła teraz jego była żona. – Czego tu szukasz i po co tu przyszedłeś? Serca nie masz?

Komentarz pani doktor był niesprawiedliwy. Przecież śmierć Ricarda była dla niego bolesna. Nie pamiętała już, kto go uczył chodzić, prowadzić auto, ładować i czyścić broń? Niech nie zawraca dupy. Rzecz w tym, że to jest bardzo szczególna praca, kiedy dostajesz blachy, wkraczasz na grząski grunt i musisz po nim stąpać, dopóki sam nie

kopniesz w kalendarz albo cię nie ustrzelą, bo policjantem stajesz się na zawsze. Tak pomyślał, ale nie powiedział tego na głos. Bo on cierpiała.

– Zamknij, proszę, drzwi. Przeciąg jest.

Komendant zamknął ostrożnie i usiadł w półmroku obok lodówki. Pierwsze, co poczuł, to rozkoszny zapach empanady z platanami, który przywołał mnóstwo wspomnień.

– Przyszedłem ci powiedzieć, że to nie ja. I że dorwę sprawcę.

– Idiota.

– Musiałem ci to powiedzieć.

– Kto to zrobił?

A ponieważ Margarito nie odpowiadała, ona oderwała dłonie od twarzy i krzyknęła z rozpaczą i złością:

– Kto to zrobił?!

Komendant westchnął ciężko.

– Przysięgam ci na naszego syna, że dopadnę zabójcę.

– Ricardo nie żyje. I ciebie też zabiją.

Czajnik na kuchence zaczął piszczeć, ale nie przeszkadzało jej to.

– Biedaku, jaki los jest zły! Nie byłeś na pogrzebie, nie pożegnałeś się z synem, wszystko przez pracę.

– Nie mogłem przyjść – wyjaśnił – posłałem tam żołnierzy. Gdybym się zjawił, zastrzeliliby mnie. Nawet nie wiesz, ilu ludzi na mnie poluje. Oferują za mnie pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Podniosła na niego wzrok.

– Muszę wiedzieć, o czym rozmawialiście przed jego śmiercią. Teraz wszystko ma znaczenie. Od dwudziestu lat o nic cię nie prosiłem, teraz błagam, żebyś wyteżyła pamięć.

Kobieta zdjęła czajnik z palnika i nalała sobie wody do solidnej filizanki. Wrzuciła dwie torebki naparu z kwiatu lipy, opadła na fotel w salonie i zsunęła buty. Pociągnęła kilka małych łyków i wbiła spojrzenie w sufit.

– Jeszcze jakieś dwa miesiące temu opowiadał mi, jak tam leci, a potem zwykle pytał o ciebie. Zawsze tak samo. Potem przez jakiś czas nie byliśmy w kontakcie. Jak się domyślasz, zaskoczyło mnie, że przyjął tę ofertę... Trudno mi się było pogodzić z tym, że osiągnie taki poziom i poświęci to wszystko dla innych. Podczas ostatniej rozmowy zapytałam, czy ma ochotę na coś specjalnego do jedzenia, kiedy przyleci, a on mnie poprosił o empanady z platanami i mięsem, miał wpaść na kolację...

Pytałam, czy wrócił do żony. Wiedziałeś, że nie mieszkali już z Laurą? Rozstali się, kiedy przyjął tę pracę. Ona nie chciała wracać, nie zgadzała się na takie ryzyko. Biedna Laura. Nie miała wycucia, jeśli chodzi o Ricarda, ale w tej sprawie akurat miała rację. Przyleci tu jutro, żeby się z nim pożegnać. Nie wiem, co jej powiem...

Jego żona przetarła oczy. Najwyraźniej napar z lipy zaczynał działać. Margarito zamrugał oczami i dopytał:

– Coś jeszcze mówić?

Ona jednak nie reagowała.

– Diana?

– Poczekaj, próbuję sobie przypomnieć. – Pani doktor zamknęła oczy i oparła głowę o zagłówek fotela.

Kiedy komendant sądził, że zasnęła, i zamierzał się zbierać, jego żona odezwała się nagle:

– Powiedział mi, że zamierza się urządzić w jednym z tych trzech luksusowych budynków przy plaży, tych z rzeźbą flaminga. Ktoś zaoferował mu ten lokal po okazyjnej cenie i zamierzał go kupić zaraz po przeprowadzce do La Eternidad.

Komendant otworzył szeroko oczy, spowity narastającą ciemnością. Po chwili stwierdził, że czas się zbierać, bo znów miał wrażenie, że ona śpi. Ledwie się ruszył, dodała:

– Wychodząc, zamknij drzwi. – Nie spojrzała nawet w jego stronę.

Powiedziała to ze spokojem. Nie słyszał tego tonu w jej głosie od ponad dwudziestu lat. Od kiedy się pobrali i zamieszkali razem. Od czasów, w których jeszcze wierzyła, że jej mąż jest porządnym człowiekiem.

Być może gdzieś w jej snach było miejsce, w którym wciąż mieszkali razem, ona, on i Ricardo, zdrowy i szczęśliwy. Miejsce, o którym właśnie teraz śni, więc nie należy jej przerywać. Dlatego wyszedł na palcach.

Trzy litery

Zaparkował samochód Pandy kilka metrów od biura chrześniaka, w słabo oświetlonym rogu dzielnicy czerwonych latarni, daleko od wścibskich spojrzeń. Prócz trzech niewielkich spelunek, przeznaczonych dla chcących się zabawić uboższych klientów, o nazwach La Lucha, Don Tubo i Morel el Garabato, znajdował się tam tylko jeden sklep spożywczy, otwarty dwadzieścia cztery godziny na dobę. W dobrych czasach działało tam z dziesięć lokali, które nie nadążały ze sprzedażą prezerwatyw i alkoholu klientom z okolicznych barów, ale sądząc po jedynych widocznych na zewnątrz bywalcach, obecnie interes ograniczał się do sprzedaży odgrzewanych na miejscu zupek z torebek dla grupki prostytutek, żebraków i meneli. Okolica najwyraźniej żywi się sama sobą. Na oko widać, że te typki, kręcące się po lokalach i pałętające po ulicach, to synowie miejscowych prostytutek.

Dziesięć lat temu wzgórze rozciągające się nad nadbrzeżną aleją kipiało życiem. Teraz natomiast mógłby na palcach jednej ręki zliczyć przechodzących tamtędy ludzi. Od kiedy uzbrojone komanda zaczęły do siebie strzelać, walcząc o ten teren, zapuszcza się tu niewiele osób: przede wszystkim samotni i zagubieni turyści, którzy zaraz stracą portfel i dokumenty. Skreślił za róg, gdzie natknął się na podstarzałą prostytutkę, flirtującą z pijanymi żołnierzami, z których jeden dzierżył wielką butelkę rumu Bacardi. To go przygnębiło: ta to ma życie. Po czym zaraz sam sobie odpowiedział. Nie ma też co się użalać, kolego, sam wiele lepiej nie masz.

Bar zmieniał nazwę i wystrój co trzy, cztery lata; nazywał się już Cielito Lindo, Arriba Juárez, Rosa Salvaje, El Capitán, a ostatnio El Mystic, El Magic, El Ramsés, Ambrosía i El Manhattan. Wersja aktualna, nadająca ton ostentacyjnej i zarazem nieudanej dekoracji fasady.

Zupełnie co innego niż jego ojciec, on nigdy nie lubił zwracać na siebie uwagi. Słynny Tygrys Obregón nie miał nic wspólnego z wizerunkiem psychopatycznego potwora, jaki wykreowała prasa. Wręcz przeciwnie. Wśród najbliższych kumpli miał prokuratora, trzech federalnych deputowanych z partii rządzącej, senatora, krajowego przywódcę związku zawodowego elektryków, sekretarza do spraw gospodarczych i dwóch

gubernatorów. I oczywiście szanował szlachetne instytucje rodziny i małżeństwa, jako że był ojcem dziewięciorga dzieci z pięciu matek. Na początku wieku dostał wylewu i przekazał stery interesów swojemu, jak sam mawiał, najkompetentniejszemu synowi, buntowniczemu Joelowi Obregónowi, czyli chrześniakowi komendanta. Tyle że między synem a ojcem rozciągała się prawdziwa przepaść.

W odróżnieniu od swojego rodzica syn od małego konsumował towar rozprowadzany przez jego organizację. Margarito nie pojmował, jakim cudem jest w stanie spać i zachowywać czujność konieczną do utrzymania się na tronie. Zanim stał się częstym gościem ośrodków odwykowych dla milionerów (potem zresztą założył sobie własny, żeby pobyty upływały w przyjemniejszych warunkach), od dwunastego do dwudziestego roku życia interesowały go głównie samochody Ferrari. Kiedy skończył dwadzieścia lat, jego zainteresowania uległy zróżnicowaniu: spodobały mu się też lamborghini. Potem porsche, a obecnie wszystko wskazywało na to, że na topie są jaguary. Kiedy wreszcie zainteresował się imprezami i dziewczynami, jego ojciec i komendant odetchnęli z ulgą. Ostatnio zajmował się prowadzeniem dyskotek, które w całym kraju wyróżniały się dość egzotycznym wystrojem.

W drzwiach do Manhattanu, pod Statuą Wolności z neonówek, podeszło do niego trzech typów, którzy ewidentnie byli pod wpływem głównej atrakcji oferowanej w lokalu. Nie byli zbyt wysocy ani krzepcy, ale tylko oni w tym przygnębiającym miejscu mieli uśmiechy na twarzy. Broń trzymali niestarannie schowaną pod koszulami. Margarito podszedł do bramkarza i pokazał mu policyjną blachę.

– Mam spotkanie z tym od ferrari. – I sam sobie podniósł łańcuch zagrządzający wejście.

– Ej! Chwila!

Margarito odwrócił się, a bramkarz posłał mu szeroki, bardzo szeroki uśmiech.

– Czy pan komendant Margarito?

Nie zatrzymał się, żeby odpowiedzieć. Już wchodził do środka, kiedy usłyszał:

– Ciekawe, kiedy znowu będzie jakaś strzelanina.

Musiał pohamować chęć, by zawrócić i walnąć gościa, ale nie miał na to czasu. Biorąc pod uwagę, ile zapłacił Pułkownikowi Śmierć, każda

godzina jego życia kosztowała teraz dwa tysiące dolarów. Dlatego zignorował ten komentarz i wszedł do dyskoteki, nie oglądając się za siebie.

Na parkiecie kręciło się niespełna dwadzieścia dziewczyn, wszystkie w euforii. Jak zawsze główny stolik ustawiony był w sąsiedztwie DJ-a i siedział za nim ten obibok, jego chrześniak, otoczony ślicznymi nastolatkami, swoimi doradcami i aktualnymi lizusami, każdy w słomkowym kapelusiku. Chrześniak dał znak ochroniarzowi, żeby przepuścili Margarita. Komendant podszedł i usiadł na miejscu, które zrobili mu stołownicy.

– Ojczy, tak bardzo mi przykro. – Chłopak poklepał go mocno po plecach.

Komendant skinął głową i przyjrzał się twarzy młodego. Ten wytarł sobie nos.

– Może coś do picia? – Zanim uzyskał odpowiedź, już wezwał kelnera. – Podaj no tequilę. Z tych moich.

Potem spojrział na swojego chrzestnego. Na jego poszarzałą twarz. Obandażowane ramię. I znów poklepał go po plecach.

– Widzę, że się chrzestny ogolił. Nieźle. Jak w ogóle leci?

– Ano jakoś. Co poradzić.

Obok młodego Obregóna siedziały cztery dziewczyny w miniówkach, wydekoltowane, buty na obcasie i długie nogi. Z zabiegów na paznokciach tej czwórki mógłby się utrzymać cały zakład kosmetyczny. Widząc, że komendant nie będzie gadał przy dziewczynach, chrześniak powiedział do nich:

– Może pójdziecie potańczyć?

Najwyższa z nich, dziewczyna niezwyklej urody, o melancholijnych niebieskich oczach o nieco psim wyrazie, wstała z miejsca, pozostałe poszły w jej ślady. Chrześniak dał znak DJ-owi i z głośników popłynęła muzyka elektroniczna, a dziewczynom wychodzącym na parkiet towarzyszyły nowe kłęby sztucznego dymu. Po lewej stronie chłopaka zostało teraz tylko dwóch młodych typków z minami wygłodniałych szakali. Widać było, że tylko czekają na okazję, by uderzyć. Jeden z nich będzie tu nowym szefem, spekulował Margarito.

Chrześniak znów poklepał go po plecach.

– Niech się chrzestny przysunie, bo tak nic nie słyhać. – I zaraz rzucił w stronę pierwszego z szakali: – Palillo! Dajże tu coś dla mojego

krewniaka, żeby mu się lżej zrobiło.

Podwładny otworzył walizkę, wyjął paczkę z kokainą i położył ją na stoliku, ale komendant odmówił. Młody znów mu się przyjrzał.

– Buty ma chrzestny strasznie znoszone. Kompletnie rozdeptane. Piechotą chrzestny chodzi czy co?

– Chwilowo jeżdżę pożyczonym samochodem.

– Widziałem w telewizji, jak załatwili tego suburba, prezent od mojego ojca. Cholerne gnojki! Ale bez obaw. Odpłacimy im za to.

I zawołał do drugiego z szakali:

– Pepe, oddaj swój wóz mojemu chrzestnemu!

Przyboczny wyjął z kieszeni breloczek z logo Forda i wręczył kluczyki komendantowi. Margarito znów odmówił ruchem głowy. Chrześniak zaczynał się robić niespokojny. Bardziej żeby wysondować policjanta, niż z rzeczywistej chęci poznania odpowiedzi, zapytał:

– Co się stało z tym ramieniem? A to na twarzy?

– Ramię sobie uszkodziłem podczas ataku. A to – dotknął swego policzka – zrobili mi Nowi.

– Chrzestny się z nimi widział? – Chłopak momentalnie wytrzeźwiał. Wreszcie na jego twarzy pojawił się przytomny wyraz.

Margarito przytaknął.

– Powiedzmy, że mnie wezwali i nie miałem wyboru.

– Co za sukinsyny, tchórze. – Aż podskoczył na siedzeniu. – I co to za brak zaufania z twojej strony, chrzestny! Po co było jechać na spotkanie z tymi bydlakami? Trzeba było przyjechać do mnie, wszystkim się zajmujemy.

I dodał półgłosem:

– Następnym razem jak się odezwą, niech mnie chrzestny uprzedzi, gdzie i o której ma dojść do spotkania. To dla mnie, wiadomo, cenna informacja.

Komendant przyglądał się swojemu chrześniakowi z coraz mniejszą cierpliwością i teraz to on położył mu rękę na ramieniu.

– Chrześniaku, masz pod sobą tylu ludzi i stałeś się naprawdę potężny. Co słyszałeś o tym napadzie?

Młody sprawiał wrażenie niezadowolonego i próbował dyskretnie wydostać się spod spoczywającej na nim ręki.

– To jakieś przesłuchanie?

Blizszy z szakali przysiadł na krawędzi siedzenia. Margarito widział, jak kładą ręce na swoich pistoletach z rękojeściami z macicy perłowej, które trzymali z tyłu, za paskami spodni.

– Za kogo ty mnie bierzesz, synu?

– Bo wydaje mi się, że chrestny jest coś bardzo nerwowy, no, proszę sobie chlapnąć tequilę – zachęcał młody, lekko odsuwając się od swojego rozmówcy. Ale ponieważ Margarito nie ruszał się z miejsca i nie spuszczał z niego oczu, chłopak upił spory łyk ze swojej szklanki.

– Nie widywałem chrestnego tu ostatnio. Mam nadzieję, że to nie oznacza jakiegoś zbliżenia z Nowymi?

Margarito pokręcił głową.

– Ryzykowałem życie, żeby ratować twojego ojca, wyjąłem go z pudła. Tylko ja zostałem postrzelony, kiedy Nowi wystąpili przeciwko niemu, zacząłem mieć fatalną sławę. Teraz zabili mi syna, wszystko dlatego, że bronię waszych interesów. A ty nie możesz nawet odpowiedzieć na moje proste pytanie.

– Jasna cholera. – Dziedzic portowego kartelu pokręcił głową, jakby ci, którzy zaplanowali napad na Ricarda, stanowili ucieleśnienie zła. – Kto, kurde, by podejrzewał, że w tym mieście zrobi się tak ciężko?

– Ty też nie jesteś bez winy.

– Nowi chcą nas wykończyć i musimy się bronić. Cholerne bydlaki. Zaczęli u nas, lizali buty mojemu ojcu, a teraz chcą się uniezależnić. Wiesz, że przez lata hasłem mojego ojca było, żeby pozostać niewidzialnym, działać jak sowa, kryć się w mroku i poruszać się tylko po ciemku. Ale to już niemożliwe. Za dużo jest ludzi z innych organizacji i coraz bardziej się panoszą; za dnia zastraszają twoich handlarzy, niszczą twoje punkty sprzedaży, rozprzestrzeniają się i robią wszystko, żeby zapuścić tu korzenie. Jeśli przejmą od nas miasto, będą kontrolować transport na północ, a północ to granica. Dlatego musimy się bronić.

Komendant rzucił mu niecierpliwe spojrzenie.

– Synu, nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

– Zaraz odpowiem, ale najpierw poproszę o pistolet... Niech chrestny da mi swoją broń.

Zauważył, że ten młodszy przysuwa się do niego i kładzie rękę na broni, toteż złapał swoją palcami i położył na stole.

– No, dzięki, Palillo. To tylko ze względów bezpieczeństwa. Widzi chrestny, dwa dni temu ubrany na czarno gość z obfitym wąsem spotkał

się z naszym szefem ochrony i poprosił, żeby ten polecił mu paru ludzi do jednej roboty. Mieli to być Gwatemalczyki z gangów. Spokojnie, spokojnie... Nie powiedział przecież, że to chodzi o chrzestnego. Twierdził, że o jakiegoś wspólnika, który nie chce słuchać rozsądnych argumentów. No tak mówił. Mój szef ochrony, zaufany człowiek, skonsultował się ze mną i polecił mu kilku gości z gangu, z którymi już pracował, ale naprawdę nie wiedział, kto ma być ich celem. Przywieźliśmy ich tu, przedstawiliśmy sobie, zainkasowaliśmy należność i tyle ich widzieliśmy. Nie mam więcej do powiedzenia. Dla nas to był zwyczajny interes.

Komendant musiał się hamować, żeby mu nie przyłożyć.

– Kim był ten zleceniodawca?

Młody zlustrował go bezczelnie.

– Ale słowo, że się chrzestny nie gniewa?

– Nie gniewam się. Skąd niby miałeś wiedzieć?

– Dzięki. Wiedziałem, że się zrozumiemy jak mężczyźni.

Dał znak kelnerowi, a ten nalał mu następną tequilę.

– Gość jest przy kasie. Myśleliśmy, że rozlicza się z jakimś wspólnikiem, już kiedyś robił takie rzeczy. Wiadomo, jak to jest w prywatnym biznesie. Mój tata mawiał, że w tym tkwi przyczyna wszystkich naszych problemów. Gdyby ci, co rządzą krajem, nie interesowali się tylko swoim zyskiem, inaczej by to wszystko wyglądało. Dlatego skończyły się czasy, kiedy biznesmeni byli człowiekowi tylko wilkiem, teraz są szakalem. Tak dziś wygląda biznes. Na zdrowie!

Młody wychylił szklaneczkę, spojrzął na rozmówcę przez jej denko i zdał sobie sprawę, że na toast odpowiedzieli wszyscy, prócz tego starucha, który wciąż się w niego wpatruje. Ponieważ Margarito uporczywie milczał, Obregón dodał:

– Kurde, ojcie chrzestny, naprawdę podziwiam takie opanowanie. Może czas zostawić to pieprzenie się z prawem, widać przecież, na co to się przydaje, i przyłączyć się do nas, co? A o naszych potrafimy zadbać. Chrzestny wie, że to biznes i każdy okazuje się prędzej czy później potrzebny.

Margarito pokręcił głową.

– Nie, dzięki.

– No to niech mi chrzestny wytłumaczy dlaczego?

Margarito przyjrzał mu się ponownie.

– Co by pomyślała matka mojego syna? Że przyjąłem robotę u tych, co wynajęli zabójców Ricarda?

Młody zbaraniał.

– W takim razie co teraz?

– Będę twardą ręką wymierzał sprawiedliwość.

Chrześniak patrzył na niego coraz większymi oczami.

– Ricardo nie żyje... Przecież chrestny to wie, prawda, ja naprawdę tego żałuję, nie chciałem tego... I jeszcze jedno: martwię się o chrestnego. Słyszał ojciec, że oferują pięćdziesiąt tysięcy? I co teraz?

Margarito zapalił wreszcie papierosa, zaciągnął się, jakby chciał ugasić trawiący go w środku pożar samym powietrzem, a potem wypuścił wielki kłęb dymu.

– Mówiłem już, będę wymierzał sprawiedliwość.

Jego rozmówca pobladł, a potem zalał go strach.

– W każdym razie poza tym miejscem nie możemy zapewnić chrestnemu bezpieczeństwa. To chyba jasne?

– Daliśmy się już ponieść fali, chrześniaku, i nikt nie wie, dokąd nas ona zanieśie.

Zauważył, że piosenka się kończy i dziewczyny wracają do stolika. Na ich widok komendant zaczął naciskać.

– Kto to był?

– Tego powiedzieć nie mogę. Też mam swoje zasady i muszę szanować kontrahentów. Broń oddadzą chrestnemu przy wyjściu i więcej tu już nie wpuszczą.

Młody popatrzył na Margarita, jakby miał przed sobą samobójcę, który zamierza rzucić się do morza.

– Niech ojciec chrestny na siebie uważa. Już raz się wywinął. Żeby następnym im się nie udało.

– Ty na siebie uważaj. – Komendant poklepał chrześniaka po plecach. – Chwilę temu widziałem się z Pułkownikiem i popełnił pewną nieostrożność. Nie powinienem ci tego mówić, bo wcale mi nie pomagasz, ale szykuje się na ciebie, i to na dobre. Powiedział, że niebawem się tu zjawi.

– Naprawdę?

Młody i jego przybocznicy nachylili się.

– Zamierza zacząć od dzielnicy Morales, rzuci wszystkie swoje siły na tych z Czterdziestki, a potem przyjdzie po ciebie.

– Sukinsyn. – Chłopak zerwał się na nogi i zaczął przechadzać się tam i z powrotem. – Dlaczego nie mówił ojciec od razu?

– Czy to pewne? – zapytał ten na oko bystrzejszy z towarzyszy bossa.

– Tak mówił. Wspomniał coś o „ostatecznej ofensywie”.

– A nie mówiłem?!

– Gnojek jeden, teraz dostanie za swoje!

– Jedziemy do bunkra!

A Margarito wycofał się, korzystając z tego, że rozbrzmiała nowa piosenka i znów rozpylono dym na parkiecie.

Wychodząc, dostrzegł, że z boku podchodzą do niego bramkarze z jakimiś rurkami w rękach. Obrócił się i strzelił w brzuch najbliższemu, a drugiemu wymierzył cios w głowę. Ten puścił żelazo. Na twarzy wymalował mu się głupi uśmiech.

– Pan wybaczy. – Padł na kolana. – Pan wybaczy.

Margarito uniósł gotową do strzału broń.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Nie, proszę.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– On mnie namówił. – Wskazał na kolegę. – Ze względu na nagrodę.

Margarito wbił mu końcówkę lufy w czoło.

– Kto oferuje te pieniądze?

– Nie wiem, on wiedział!

Tyle że ten, co dostał w brzuch, już nie oddychał. Margarito skinął głową, zamachnął się pistoletem i huknął kolbą w czoło bramkarza. Ten padł na ziemię.

– Co tu się dzieje? – Chrześniak wyjrzał na zewnątrz eskortowany przez trzech typów.

Margarito schował broń i popatrzył na postrzelonego ochroniarza.

– Prywatny biznes.

Komendant rozejrzał się na boki, przekonał się, że na ulicy nie dzieje się nic podejrzanego, i wsiadł do samochodu Pandy.

Panie generale? Może pan rozmawiać? – powiedział młody Obregón.

– Pewnie, don Joel. Zawsze na pańskie rozkazy. W czym mogę pomóc?

– Jak tam się ma rodzina?

– Moja? Znakomicie.

– A pańskie córki, generale?

– Macorina wciąż w Berlinie, studiuje, wie pan, jaka to dziewczyna. A Aureliana na Harvardzie zbiera świetne oceny.

– Znakomicie, panie generale, szczerze gratuluje takich sukcesów!

– W czym mogę być pomocny?

– Jak pan widzi sytuację mojego chrzestnego?

– No fatalna sprawa, cóż mogę powiedzieć. Straszny cios. Taki młody i zamordowany ledwie tylko objął pierwsze ważne stanowisko.

– Nie, generale, mnie chodzi o samego komendanta. Gadałem z nim i mam wrażenie, że go ponosi. Pewne rzeczy w jego zachowaniu budzą niepokój. Co pan myśli?

Generał odpowiedział dopiero po chwili wypełnionej poświstywaniami wiatru.

– Sam nie wiem... Przechodzi ciężki okres.

– Właśnie, przechodzi ciężki okres i działa mi na nerwy. Nie myśli pan, że ktoś taki, doprowadzony do skrajności, zmęczony, niepanujący nad sobą, jak to jest w wypadku mojego chrzestnego, może zaszkodzić mojej organizacji?

Generał przełknął ślinę i odpowiedział:

– Sądzę, że to możliwe.

– W takim razie musimy działać. Nie może być tak, że przez jakąś głupią gafę będziemy musieli ściągać nasze dzieci z powrotem do kraju. Jak pan myśli?

– Rozumiem, don Joel. Zastosuję odpowiednie środki.

– No to jest żargon wojskowych, co? Bez żadnego owijania w bawełnę? Proszę dać znać, jak będzie po wszystkim.

– Tak jest.

– To chciałem usłyszeć. Dobranoc.

Ledwie się rozłączył, znów zadzwonił telefon.

– Co jest, stary, dlaczego nie odbierasz? – Był to głos Pułkownika Śmierć. – Gdzie jest Margarito?

– Nie mam pojęcia.

– Nie kłam mi, bo się do ciebie wybiorę i urwę ci jaja. Co o nim wiesz?

– Nie widziałem go od wczoraj.

– Trochę ci to wolno idzie, miałeś go załatwić. Nie strugaj wariata, co? – I rozłączył się.

Generał zaklął pod nosem i walnął pięścią w drzwiczki schowka w aucie. Telefon znów zadzwonił i choć nie zamierzał już odbierać nawet

jednej rozmowy, rozpoznał numer i musiał odebrać.

– Jak tam, córeczko, co u ciebie słychać? – Zerknął na zegarek. – Nie jest za późno, nie powinnaś już spać? A, rozumiem...

A po chwili dodał:

– A nie spędzasz już dostatecznie dużo czasu z tą twoją koleżanką? Może byś zamiast tego przyleciała do swojej matki i do mnie, sama...? No dobra, dobra, nic nie mówię, zaraz ci prześlę bilety. Widzimy się w święta, na razie.

Generał schował komórkę do kieszeni spodni i spojrzął na kierowcę.

– Na co się gapisz?

– Na nic, panie generale.

– I dobrze.

Samochód Pandy, wciąż woniejący papryką i cebulą, przemykał jedną z bocznych ulic centrum miasta. O tej porze widać już było ogień w różnych częściach portu. Czterdziestka, Starzy i Nowi znów palili samochody. Ktoś namieszał i ich na siebie napuścił. Teraz to się naprawdę zacznie. Ciekawe, czy to sprawi, że porządni ludzie będą mogli chodzić po tym mieście bez problemu.

XII

Oświetlony mocnymi latarniami nowoczesny dwudziestopiętrowy budynek z marmurową fasadą błyszczał jak diament na jubilerskiej witrynie. Podobno była to budowla ekologiczna, zaprojektowana tak, by nie truć środowiska naturalnego, i maksymalnie wykorzystująca energię słoneczną. Jednak każdy mieszkaniec miasta wiedział, że postawiono ją na parcelach, z których przepędzono legalnych właścicieli, że środki finansowe spłynęły niemal całkowicie z kont rządowych, zawsze w pokrętny i nietypowy sposób, i że mieszkania sprzedawano po parę milionów dolarów, z czego niemal wszystko trafiło do kieszeni inwestorów, a nic albo prawie nic nie zostało zainwestowane lokalnie, żeby stworzyć nowe miejsca pracy, wbrew wcześniej składanym obietnicom. Jeśli dodamy do tego, że wycinka rosnących tu wcześniej mangrowych zarośli uderzyła w gatunki zwierząt zagrożone wymarciem, jak na przykład żółte jaszczurki o szerokich łapach, wyjce o bujnej grzywie, które mają zwyczaj bombardowania intruzów owocami awokado, majestatyczne flamingi z białymi ogonami, które raz do roku wykonują na paluszkach taniec godowy, pająki zdolne podskoczyć na półtora metra podczas ataku – wszystko to jeszcze potęgowało skandal, bowiem główny inwestor wywodził się z jednej z rodzin bardzo znanych w mieście ze swojego umiłowania do przyrody i życia na łonie natury. No tak, pomyślał sobie Margarito, i kto by uwierzył. Obecnie, po postawieniu tych budynków, jedyne białoogoniaste flamingi, jakie można oglądać w mieście, to dwie metalowe rzeźby stojące przed głównym wejściem.

Margarito zaparkował ostrożnie, szukając najciemniejszego miejsca, pod konarami potężnego orzecha. Tuż przed opuszczeniem samochodu zrobił porządną wddech. Najważniejsze to dopaść faceta i bezlitośnie wymierzyć sprawiedliwość. Potem zajmie się dziewczyną. Ciężko było prowadzić obie te sprawy. Na szczęście miał jeszcze czas. Była dopiero trzecia nad ranem i Pułkownik Śmierć nie będzie go szukał aż do dziewiątej. Był pewien, że jeśli zdąży odebrać okup do ósmej, będzie mógł negocjować i ocalić głowę. To jednak była sprawa drugorzędna. Pierwsza jest taka, myślał, żeby dopaść tego gnoja.

Broń miał przygotowaną, a za paskiem trzymał kajdanki oraz drugi magazynek, do tego dwa granaty szturmowe w spodniach. Nabrał znów powietrza i powiedział sobie: dziś w nocy sprawiedliwości stanie się zadość.

Otworzył i zamknął drzwi najciszej, jak umiał. Zrobił pierwszy krok w stronę budynku, kiedy usłyszał charakterystyczny trzask krótkofalówki kilka metrów od siebie. Przywarł do muru pobliskiego domu i rozejrzał się w ciemności. Zanim zdążył namierzyć źródło tych trzasków, z nicości wyłonił się facet w mundurze strażnika. Ponieważ sięgnął po broń, Margarito zareagował jak trzeba i wystrzelił pierwszy. Władował w niego prawie cały magazynek. Problem w tym, że zaraz pojawiło się dwóch następnych. Margarito okopał się za flamingami i zaczął się zastanawiać, jak wyekspediować w zaświaty tę parkę, kiedy nagle coś go huknęło w kark. Zanim jego mózg się wyłączył, przebiegła przezeń myśl, że ktoś tu chyba zwykł grać w baseball. Wydawało mu się, że ziemia wyslizguje mu się spod stóp, a zaraz później, że świat staje na głowie.

Zaciągnęli go do jakiegoś pomieszczenia, ciemnego i małego zupełnie jak trumna. Dałby głowę, że to dwa prądy wyrywają sobie jego ciało i ściągają coraz niżej. Chrzanić to, pomyślał, nie pozwolę, żeby mnie tak wlekli. Zaczął wściekle wierzgać nogami, a kiedy dotknął palcami ziemi, poczuł niewysłowioną ulgę. Uderzenia fal o brzeg były jedynym bodźcem, jaki odbierał. Wystarczyło tylko, że otworzył oczy, i już zrozumiał, co jest grane.

To nie morze waliło o brzeg, tylko dwaj ochroniarze wyżywali się na jego żebrach, choć przecież leżał półprzytomny na podłodze. Próbował wstać i się zasłonić, ale napastnicy byli szybsi i kopali go po nogach albo deptali po dłoniach, zanim zdołał się podnieść.

Pomyślał, że jeśli zdoła rzucić się na nogi jednego z przeciwników, zanim ten znów go kopnie, może uda się go przewrócić. Muszę zrobić obrót. Tyle że kiedy pojawiła się taka okazja, zrozumiał, że jego ciało nie działa jak kiedyś, względnie reaguje, ale zupełnie inaczej, i przewraca się, kiedy próbuje wstać albo się zręcznie przesunąć. Postanowił więc skupić się raczej na skuleniu i ochronie przed kopniakami.

Wreszcie dostrzegł, że jeden z napastników oddala się na kilka kroków, bierze rozpęd i kopie go w skroń. Zrobiło mu się całkiem przyjemnie w tej głębi, ale nagle lodowata ciecz, chyba woda, poląła mu się na kark i twarz i stała się światłość.

Znajdował się w salonie luksusowego mieszkania. Skądś je znał. Najpierw rozpoznał grubego w skórzanej kurtce. Bracamontes, jego prawa ręka, stał przy barze ze skrzyżowanymi ramionami. A obok, rozwalony na fotelu z czarnej skóry, stopniowo wyłonił się z nieostrej plamy deputowany, senator i założyciel partii Zielonych, a obecnie burmistrz miasta, pan Tomás Cárdenas Vidaurri. Ten od tupecika i opuchniętych warg. Polityk przyglądał mu się, nie wstając z fotela.

– Budzi się.

– Nie mówiłem, żeby go zabijać.

– To jeszcze trochę zajmie – zapewnił Block, stojący plecami do Margarita. – Starego psa ciężko ubić.

– Czołem, panie burmistrzu – odezwał się Margarito. – Wiedziałem, że mnie pan nie zawiedzie.

Za urzędnikiem pojawił się ubrany na czarno mężczyzna. Utykał. Wprawdzie nie miał już przy sobie uzi ani nie ostrzeliwał żadnego samochodu, jednak Margarito od razu go rozpoznał i powiedział:

– Podoba mi się ten krok.

Facet w czerni złapał za kij i rąbnął nim komendanta w uszkodzone ramię. Margarito skulił się z bólu.

– Starczy, starczy. – Burmistrz założył nogę na nogę. – I co? Co się dzieje, panie komendancie? Dlaczego próbował się pan wedrzeć do mojego domu?

Margarito spojrział mu prosto w oczy i odparł:

– Nie pamiętasz już? Wczoraj wyraźnie dałeś mi do zrozumienia: „Kule mają wypisane twoje nazwisko. Już lecą do ciebie”.

Burmistrz zmarszczył brwi i wstał. Podeszedł do barku, skąd zabrał sporą butelkę miodowej barwy.

– Poznałem twojego syna na początku mojej kampanii. Zaprosiłem go na kolację razem z moimi doradcami i obiecał zaprowadzić tu porządek. Naprawdę wierzyłem, że mu się uda. Powiedziałem, że zrobię wszystko, żeby mu pomóc, kiedy wróci do miasta, bo wiedziałem, że w tej Kanadzie nie układa mu się najlepiej. Wiesz, co mi odpowiedział? Żebym pomógł tobie. Wiedział, że kasać cię Nowi, a od Starych się oddalasz, zaś ci z Czterdziestki mają do ciebie pretensje. Dopiero po dłuższej rozmowie w końcu obiecał, że zostaniesz skazany, w przekonaniu, że tak ocali ci skórę, bo wielu ludzi miałoby ochotę się z tobą rozprawić. Był przekonany, że to najlepsze, co może dla ciebie zrobić: zgodnie z prawem

posłać cię do więzienia, do zakładu o podwyższonym poziomie bezpieczeństwa. Przy okazji poprosił także o zgodę na zatrudnienie twoich kierowców, żeby ich tak bezlitośnie nie wywalać na bruk. Oczywiście się na to zgodziłem, w końcu mieli tam służyć raptem przez parę minut.

Margarito podniósł się nieco. Rozejrzył się za czymś do obrony, ale nie znalazł niczego w pobliżu.

– W mieście jeszcze nigdy nie było tak źle. Ale to przejściowe. Czekaliśmy tylko na odpowiedni moment. Potrzebny nam był męczennik, ktoś gotów oddać swoje życie za spokój w mieście, ktoś, kto dzięki swojej naiwności pomoże nam przejąć kontrolę nad rejonem. Wybrałem na twojego następcę Bracamontesa, a twojego syna na męczennika. Zawsze uważałem, że odnowa musi być dogłębna albo wcale nie jest odnową. Twój syn już nie żyje, ale ponieważ ty przeżyłeś, potrzebujemy jeszcze jednej ofiary. Ktoś musi zapłacić za tę zbrodnię i najlepiej, żebyś to był ty. Radzę być posłusznym wobec Bracamontesa i twoich kolegów, nie ma co stawiać oporu.

Burmistrz spojrzął pod światło na butelkę i otworzył ją.

– Trzy lata temu miałem szansę na prezydenturę kraju. Ludzie postrzegali mnie jako zaangażowanego, światłego i mówiącego dobrą angielszczyzną. Dinozaurom pokazałem, że umiem słuchać poleceń i pompować ich konta. Kiedy tu przyjechałem i zorganizowałem tę sławną imprezę, moje nazwisko powtarzano jako jedno z bardziej prawdopodobnych w kontekście kandydowania na najwyższy urząd w kraju. I to nie własna partia miała mnie wystawiać, tylko partia rządząca. Wyobraź to sobie, miałem być pierwszym prezydentem z tej części kraju. Ale ty wszystko zniszczyłeś przez to śledztwo w sprawie dziewczyny, która wypadła z balkonu podczas imprezy urządzonej przez moich przyjaciół. Nie zawahałeś się i zadzwoniłeś do mediów, nagłośniłeś sprawę i pokazałeś mnie jako protektora lokalnych bandziorów, sprowadzających prostytutki z Europy. Szlag by trafił tę chwilę, w której cię wezwałem. A mówiłem ci: „Pomóż mi, Margarito, a będę umiał się odwdzięczyć”. Mówiłem: „Schowaj ją, zakop, wyślij z powrotem do jej kraju albo spław w zatoce, rzuć ją krokodylom w lagunie”, ale nie chciałeś słuchać. Oferowałem ci kasę, stanowiska, sam wiesz... Będę mówił o szczęściu, jeśli uda mi się zostać na drugą kadencję w tym mieście, bo kandydowania na wysokie stanowisko już nigdy się nie

doczekam. Przyjąłem urząd burmistrza jako nagrodę pocieszenia, zamierzałem zająć się interesami i postanowiłem, że jeśli ja mam się pograżyć, to ty pójdziesz na dno przede mną. To z wczoraj to była zaliczka. Dziś dopilnuję, żebyś umarł tak, jak żyłeś, i żeby zapamiętano cię jako zbira, który zabił własnego syna... Bracamontes, zabierz go stąd. Wykończ go na wzgórzach. I żeby mi tu posprzątali, patrz, jak naświnił.

Jakby Margarita już tam nie było, burmistrz zajął się otwieraniem butelki.

– Ta whisky ma trzydzieści lat. – Nalał sobie hojnie. – Tyle samo miał twój syn, co? Zobaczmy, jaki ma smak.

Margarito patrzył, jak wciąga zapach.

– Zabierzcie go.

Wtedy Bracamontes i Block podnieśli go brutalnie, a Braca szepnął mu do ucha:

– Poczekaj tylko, aż znajdziemy się na wzgórzach.

Wyciągali go z budynku, kiedy usłyszał krzyk: „Rzucić broń!”. Bracamontes i Block puścili więźnia i próbowali dobyć broni. Margarito padł na ziemię i zobaczył, jak podskakują w powietrzu. Wciąż zasłaniał sobie uszy, kiedy ktoś się nad nim pochylił.

– Kurde, Margarito, ile ja mam przez ciebie roboty, stary.

Był to generał Roviroa.

– Wszystko mam nagrane. Od miesięcy mamy na niego oko. Pewne bardzo wpływowe osoby chcą z nim skończyć raz na zawsze. Miałeś szczęście, że moi ludzie cię zobaczyli, ale trochę się pospieszyłeś. Chcesz przy tym być? Muszę z nim teraz kulturalnie porozmawiać, bo ma skromny wybór: albo pójdzie grzecznie do pudła, albo on też skacze z balkonu. Idziesz?

Margarito pokręcił głową.

– Która jest?

– Wpół do siódmej.

Jego okres ochronny dobiegał końca.

– Pomóż mi podejść do auta.

– Tego wraka? Na pewno? Wydaje mi się, że teraz naprawdę potrzebujesz lekarza. W mieście panuje chaos, we wszystkich dzielnicach płoną samochody. Ledwie nadążamy, żeby jakoś to uspokajać. Nie za mądrze byłoby teraz się kręcić...

– Mam ważne spotkanie. Sprawdź no, czy któryś z tych bydlaków nie ma moich komórek i kluczyków...

– Może lepiej cię podwieziemy? Poczekaj chwilę, sam z tobą pojedę.

– Nie. Robi się późno, muszę jechać sam.

– Ej, wy tam, dajcie no mu jakąś kurtkę. Patrz, tu masz klucze, trochę poplamione. A dokąd ty, cholera, chcesz jechać? Pamiętaj, że po całym mieście biegają goście z bronią, którzy chcą cię dopaść.

– Tu się zegnamy, generale. Proszę za mną nie jechać.

– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz. Spłaciłem moje długi wobec ciebie. Jasne? Dobrze by było, jakbyś zniknął z miasta.

– Wcześniej muszę załatwić pewne sprawy. – Prawie nie mógł już mówić.

Margarito wsiadał już do samochodu, kiedy generał dodał:

– Może dostanę jakąś działkę, jak sądzisz?

Policjant odwrócił się i zobaczył, że Rovirosa zakłada okulary, patrzy na niego i zaraz znów je zdejmuje.

– No ruszaj, bo robi się późno.

Wsiadł, jak mógł, do auta Pandy i wykręcił numer do Roberty na ciągnącej na resztkach baterii komórce.

– Dzwonię tylko, żeby ci za wszystko podziękować. Sprawy tak się mają, że nie sądzę, żebyśmy się jeszcze zobaczyli. Dzięki.

Roberta wykazała się przytomnością umysłu i zachlipała:

– Gdzie pan jest, komendancie? Od kilku godzin do pana wydzwaniamy. Niech pan się gdzieś schowa i zaraz przyjedziemy!

– Nie ma takiej potrzeby, ale dzięki za wszystko. Jesteś lepszą policjantką niż ja.

– Szefie, muszę panu o jednym powiedzieć...

Ale wtedy skończyła się bateria.

W końcu zajechał pod bar El Tiburón, ten z potężną strzechą, jego ulubiony lokal w mieście. Od miesiący tam nie zaglądał. Kiedy tylko wysiadł z samochodu, zauważył, że nieliczni ludzie, którzy kręcili się jeszcze po ulicach, narkotykowi dilerzy i ciekawscy turyści, odsuwali się na boki, widząc, jak z trudem się przemieszcza, cały uwalany krwią. Ucieszył się, że bar, jak zwykle, jest otwarty. Pchnął drewniane drzwi i wszedł do środka.

Zajęte były tylko dwa stoliki. Przy pierwszym grupka turystów opróżniła trzy flaszki wódki. Przy drugim stoliku siedział Juan Nieustraszony, chętnie krytykujący go reporter, w towarzystwie innych dziennikarzy. Kiedy komendant wszedł, wszyscy odwrócili się w jego stronę.

– Dobry wieczór, szefie. – Właściciel lokalu, don Omar, wyszedł z baru go powitać. Nie spieszył go widok opuchniętej twarzy, nie pierwszy raz Margarito zjawiał się w barze poważnie ranny.

– Szefie... Strasznie mi przykro z powodu syna. Może kieliszeczek czegoś mocniejszego? Czym możemy służyć?

Margarito niemal się uśmiechnął na widok ściany pokrytej kafelkami i wielkiego wypchanego rekina, któremu bar zawdzięczał swoją nazwę, wiszącego u powały od trzydziestu lat.

– Jak się pan ma, don Omar?

– Dobrze, dziękuję. Zawsze do usług. Niech pan spocznie. Dobrze się pan czuje?

Margarito zamierzał coś odpowiedzieć, ale w tej chwili od stolika wstał Juan Nieustraszony i zataczając się, podszedł do policjanta. Jego słowa ledwie można było zrozumieć.

– Panie komendancie... Pan pozwoli pytanie... – Reporter ledwo trzymał się na nogach.

– Proszę.

Dziennikarz coś wymamrotał. W barze zapadła całkowita cisza. Przy stoliku dziennikarzy nikt nawet nie mrugnął. Margarito, bynajmniej nie urażony, popatrzył na niego ze znużeniem.

– Cholera, Juanito, o tym nie ma już co gadać. Wkrótce wszystko będzie jasne. Będzie konferencja prasowa.

Komendant usiadł za stolikiem obok. Dziennikarz zachwiał się, jakby miał upaść, i oparł się o blat.

– Jeśli pan pozwoli, chciałbym coś powiedzieć.

– Juanito, nie zwracaj głowy panu komendantowi. Upiłeś się – pohukiwali na niego koledzy.

– Mów śmiało.

– Poznałem jedną z pańskich byłych dziewczyn. Pannę Azucenę.

Margarito zmarszczył brwi, ale pozwolił mu mówić dalej:

– Wyszła za jednego dżentelmena i przyjęła jego nazwisko. Jeśli będzie jej pan szukał pod dawnym nazwiskiem, nigdy jej nie znajdzie. I jest coś, o czym pan nie wie.

– Do rzeczy proszę... – Margarito robił się nerwowy. Nowi mogli zjawić się w każdej chwili.

– Panna Azucena urodziła pańskie dziecko, ale nigdy o tym panu nie powiedziała. Nie wiem, jak ten pański syn się nazywa, ale wiem, że chciał pracować z panem, żeby pana poznać, tylko że pan nie chciał. Tak mi mówiła panna Azucena. Że to jakiś bardzo błyskotliwy chłopak. Ale nie mógł się z panem dogadać i sobie poszedł. Zrezygnował.

Dziennikarz zamilkł i przetarł oczy. Jego koledzy wykorzystali tę przerwę, żeby wstać i złapać go pod pachy.

– Chodźmy stąd, Juan.

Reporter jednak dorzucił:

– Do zobaczenia, komendancie Margarito. – I wyszedł z baru.

Komendant zastanawiał się, jacy to policjanci zrezygnowali z pracy podczas jego rządów, kiedy przerwał mu właściciel:

– Co podać, szefie?

Zerknął na zegarek: wpół do dziewiątej.

– Niech mi pan powie jedną rzecz, don Omar. Czy byłem przez te lata dobrym klientem?

– Panie komendancie! Co to za pytanie?!

– Wynajmie mi pan bar na prywatne przyjęcie?

– Oczywiście. Kiedy?

– Teraz zaraz.

– Oż, do diabła. Zaskoczył mnie pan... Czego panu potrzeba? Jedzenie, zakąski, kelnerzy? Nie wiem, czy wszystko załatwię...

– Potrzebuję tylko, żeby pan odprawił gości i zostawił bar otwarty. Niech cała obsługa idzie odpocząć. Od razu.

Właściciel z niepokojem zlustrował zakrwawione ubranie komendanta.

– Ilu pan oczekuje gości?

– Niewielu, ale mogą być głośni. Chcę z góry zapłacić za wszelkie możliwe utrudnienia.

Wręczył mu mały zwitek dolarów, który wcześniej trzymał w schowku auta, na co właściciel odparł:

– To za dużo. Jaka to ma być impreza?

– Zwyczajna, prosta.

Staruszek dostrzegł, że policjant kładzie broń na barze, i pobrał.

– Klient nasz pan. O której mam wrócić?

– Za godzinę. A zanim pan wyjdzie, mógłby mi pan zrobić drinka La Conga? Pierwszy raz, jak tu byłem, podawał pan świetne La Congi.

– Z największą przyjemnością, szefie.

– Ma pan pięć minut.

Trzy i pół minuty później don Omar wręczył mu coś, co wyglądało jak szklany balon, w którym widać było różnokolorowe warstwy.

– Tak to wyglądało?

– Tak jest.

Właściciel ruszył w stronę drzwi. Przed samym wyjściem zabrał ze sobą zdjęcie wiszące dotąd na ścianie. Pozował na nim ze znaną aktorką, która kiedyś odwiedziła jego bar.

– Na razie, panie komendancie.

– Na razie, kapitanie.

Kelnerzy i turyści karnie wyszli za właścicielem.

Został sam, światło wpadało od strony plaży i przenikając przez szkło kieliszka, rozszczepiało się, tworząc małą tęczę o intensywnych kolorach, widoczną na jego białej koszuli. Ale cuda. Przez chwilę wydawało się, że wszystkie tajemnice i cały sens świata mieszczą się właśnie w tym punkcie.

Pięć przed dziewiątą o mało nie wystrzelił. Przez główne wejście wkroczyli do środka dwaj dość rzutcy goście, którzy zlustrowali wnętrze czujnym wzrokiem. Widząc broń w dłoni Margarita, stanęli jak wryci.

– Otwarte?

– Wypierdalać stąd, obydwaj, ale już.

Wycofali się od razu, nie spuszczając z niego oczu.

Myślał o tym, jak zmieniła się ta plaża. Piętnaście lat temu przychodziły tu całe rodziny.

Przypomniało mu się, jak chadzał tu z synem, dużo wcześniej, zanim pobudowano na tej części wybrzeża wieżowce i restauracje. Kiedy ten bar ze strzechą i pobliska plaża były ulubionym celem wycieczek tubylców. To było w innym życiu, pomyślał, w innym wcieleniu. Jeszcze zanim dorobił się swojej czarnej legendy.

To jakoś wtedy pewnego wieczora zobaczyli mężczyznę z zapalem fotografującego coś, co widział na plaży. Cały tłum Amerykanów kłębił

się przy tym fotografii i pokrzykiwał z zachwytem, toteż Margarito i jego pięcioletni syn, bawiący się dotąd na piasku, podeszli bliżej.

U stóp fotografa widniała dziura w piasku, obok leżało czerwone wiaderko z odrobiną wody w środku. Amerykanie pochyłali się i uśmiechali zafascynowani. Jego żona podbiegła i zajrzała do wiaderka.

Widać tam było czarną plamę kotłujących się obiektów. Margarito pomyślał, że to kraby.

– Żółwie – stwierdziła jego żona.

Najpierw sądził, że fotograf zamierza je ukraść, dlatego nieco go zaskoczyło, kiedy facet przedstawił się jako biolog morski z Uniwersytetu Kalifornijskiego. No proszę, pomyślał, to jeden z tych szurniętych jankesów, którzy biwakują na końcu plaży i ponoć mają tu w czymś pomagać. Siedzieli tam od tygodnia.

– Wyległy się dziś rano – biolog wyjaśniał zebranym. – Teraz trzeba im pomóc dotrzeć do morza.

Pokazał na dół w piasku.

– Osiemdziesiąt padło. Nie dały rady się wykopać. Zostały tylko te maluchy.

Mały Ricardo pochylił się nad buzującym życiem czerwonym wiaderkiem.

Jankes, wysoki i szczupły blondyn, z wydatnym nosem i długimi, prostymi włosami, wycelował palcem w niebo.

– Za dużo tu ptaków. Trzeba poczekać, aż się ściemni. Wtedy ich szanse na przetrwanie się zwiększą. To już niedługo, słońce zaczyna zachodzić.

I rzeczywiście. Zza wzgórz otaczających miasto wylewał się już mrok.

Widząc, z jaką fascynacją syn Margarita pochyła się nad wiaderkiem, mężczyzna podszedł do niego i zapytał:

– Pomożesz mi z jednym żółwikiem?

Ricardo, wtedy bardzo nieśmiały, przytaknął ostrożnie.

Jankes przyklęknął przed wiaderkiem, wziął żółwia w dwa palce i podał chłopcu.

– Chwyć go tak, za brzuch, palcami.

Chłopiec z zauroczeniem wpatrywał się w zwierzątko machające czterema obsydianowymi kończynami.

– Nie bój się, nie ugryzie ani nie podrapie.

Ricardo podniósł wzrok na Amerykanina, a potem spojrzął na matkę, jej strój kąpielowy fosforyzująco zielonej barwy, oświetlany

popołudniowym światłem, jej cynamonową skórę cieszącą oczy. Ależ Margarito był wtedy szczęśliwy.

– No śmiało. – Uśmiechnęła się do syna.

Ricardo wziął żółwia w dwie dłonie. Amerykanin pokazał na spienione morze.

– Puść go do wody, żeby mógł wrócić do domu.

Ricardo był poruszony. Podniósł głowę i spojrzął na horyzont, na ciemność ogarniającą zatokę.

– A co z jego mamą?

– Jest bardzo daleko stąd. On musi popłynąć i jej poszukać.

Chłopiec wpatrywał się w fale rozbijające się o nieodległe skały.

– Puść żółwia – nalegał Amerykanin.

Ricardo jednak nie usłuchał.

– Puść go – powtórzył.

Ricardo pokręcił głową.

– Wypuść go, kochanie – wtrąciła się jego matka. – Pozwól mu popłynąć.

Chłopiec jednak nadal odmawiał i przytulił żółwia, toteż kobieta pochyliła się nad nim i szepnęła:

– Dlaczego nie chcesz go puścić? Boisz się, że coś mu się stanie?

Ricardo zaczął chlipać, skinął głową, a potem rozplakał się na dobre.

– No bo on będzie tam sam... i może umrzeć.

I choć matka próbowała go uspokoić, Ricardo rozszlochał się, jakby to jego mieli zostawić tam, samego na plaży. Jasna cholera, pomyślał Margarito. Mężczyzna, który na prawie trzydzieści lat miał zostać komendantem miejscowej policji, poczuł, że musi pokazać, kto tu rządzi, toteż pochylił się nad chłopcem i złapał go za rękę.

– Zrób, co pan mówi, bo dostaniesz.

– Nie.

I Ricardo odszedł kilka kroków dalej w nadziei, że to kosmiczne sprzysiężenie rodziców, Amerykanina i samego wszechświata przeciw jemu i jego żółwikowi jakimś cudem się rozpadnie. Że ktoś albo coś przybędzie im z pomocą.

– Nie strasz go. – Diana, jego żona, złapała go za ramię i zmusiła, by puścił chłopca.

– *Oh my God* – westchnął jankes, starając się zapanować nad łzami. – Tak jest za każdym razem... Państwo pozwolą?

Mężczyzna podszedł spokojnie do dziecka, pochylił się i powiedział mu coś, czego nie dosłyszeli. Najpierw chłopiec kilkakrotnie pokręcił głową. Potem jednak spoważniał i podniósł wzrok na dorosłego. Spojrzał na Amerykanina i na morze rozciągające się za nim. Następnie podszedł w stronę wody i ostrożnie położył żółwia na piasku. Ten zaczął się czołgać ze wzmożoną energią, jakby go ktoś wypuścił z więzienia. Chłopiec patrzył, jak mała czarna plamka przemierza kilka centymetrów, daje się porwać niewielkiej fali i wślizguje się na niej do wody. Plamka zaczęła płynąć, nierówno, to w lewo, to w prawo. Wreszcie dotarła na głęboką wodę, która była tam ciemna, i stracili ją z oczu. Chłopiec stał i patrzył, a Amerykanin wrócił z wiaderkiem.

– Co pan powiedział małemu? – zapytała kobieta. – Jak go pan przekonał?

– A... Takich rzeczy człowiek uczy się z czasem. Powiedziałem mu, że jeśli puści tego żółwika, ten wróci, żeby mu podziękować i na zawsze będą przyjaciółmi. I to prawda, wie pani, że one zawsze wracają na tę plażę, na której przyszły na świat? Robią rundkę po świecie i wracają. O ile przeżyją, rzecz jasna. Tylko jeden na sto zdoła stąd wypłynąć i wrócić.

Margarito długą chwilę przyglądał się synowi. Nie wiedział, jak rozmawiać z żoną. Gdyby ona wiedziała, co on musiał przeżyć w dzieciństwie. Żył w świecie, w którym nie było czasu na pierdoły i jakieś ratowanie żółwi. Nie, przeciwnie, musiał być szybszy niż zając.

O dziewiątej pięć słońce zaczęło mocniej przygrzewać, bar wypełnił się blaskiem i niezwykłymi barwami. Kto by pomyślał, przyszło mu do głowy, przez tyle lat zaglądałem do tej knajpy i dopiero teraz odkrywam, że rano jest tu jeszcze sympatyczniej.

Wtedy zwrócił uwagę na panującą ciszę.

Nie była naturalna. Już tam są, stwierdził, czekają na zewnątrz.

Zastanawiał się, czy przyjąć ich, stojąc, czy siedząc. Postanowił siedzieć, opierając plecy o betonową ścianę. Nie żeby go chroniła, ale to był jego stolik i tu miał ochotę na nich czekać.

Wciąż trzymał broń i mierzył w drzwi. Ramię zaczynało mu ciążyć.

Usłyszał, że ktoś puka do drzwi. Nastawił uszu i upewnił się, że to nie jego wyobraźnia. Ktoś się dobija. Stary, tandetny trik, pomyślał, jeśli chcą zwrócić na siebie moją uwagę, niech wchodzą, tu na nich czekam.

Kilka minut później dalej ktoś pukał w drzwi. Poirytowany Margarito wstał.

Była za dwadzieścia dziesiąta.

Z bronią w ręku podszedł na paluszkach do drzwi. To, co zobaczył, zaskoczyło go. Młoda kobieta przebierała synka w strój żółwia. Kawałek dalej maszerował cały pochód dzieci poprzebieranych za różne zwierzęta. Ale stojący przed barem chłopiec ze szkolnym plecakiem na ramieniu, w przebraniu żółwia i stukający z nudów w drzwi, otworzył szeroko oczy na widok groźnej postaci komendanta Margarita ukazującej się w drzwiach i zaraz przestał stukać. Matka, stojąca plecami do policjanta, w ogóle go nie zauważyła. Skupiała się na poprawianiu stroju dziecka, nie przestając go karcić:

– Pospiesz się, bo się spóźnisz.

Kobieta ruszyła, ciągnąc chłopca za rękę. Komendant Margarito zamknął drzwi baru, usiadł za swoim ulubionym stolikiem i oparł się o blat.

Broń zrobiła się tak ciężka, że odłożył ją na moment na metalowy stolik. Cholera, już nie daję rady. Wtedy drzwi otworzyły się z trzaskiem i ktoś ruszył w jego stronę.

Pomyślał: jestem komendant Margarito i zaraz mnie zabiją. Żółwie już wychodzą.

Ostatnia rozmowa w ciemności

Wie pan, co się stało?

– Nawet boję się pytać. Co znowu?

– A nic: dziewczyna wróciła do rodziców. Proszę zgadnąć, kto zainkasował nagrodę.

– Wolę nie wiedzieć. Margarito?

– I tak, i nie.

– Tylko bez wygłupów. Dostał tę kasę czy nie?

– No dostać kasy to nie dostał. Było tak. Zrobiła się dziesiąta trzydzieści i nikt po komendanta nie przyszedł. Jedyńm, który tam zajrzał, okazał się don Omar, właściciel, chciał sprawdzić, czy impreza już się skończyła. Zobaczył, że Margarito śpi i ma potężnego gnata u boku, więc nim potrząsnął i zapytał, czy nie zamówić mu taksówki, bo komendant musi odpocząć. Margarito obudził się półprzytomny, spojrział na zegarek i zrozumiał, że Pułkownik Śmierć, który decydował, kogo sprzątnie, a komu wybaczy, jednak po niego nie idzie. Że zasnął i śni.

– Pułkownik nigdy się nie spóźnia.

– Otóż to. Margarito o tym wiedział, sprawdził godzinę i szybko pojechał do swojej kryjówki za kościołem Santo Refugio de los Pescadores, pamięta pan? Pędził, jakby go sam diabeł gonił, mijając resztki zwęglonych samochodów, ślady starć między grupami z zeszłej nocy. Ledwie tam dotarł, mniszki na jego widok w krzyk, całe przerażone, i mówiły mu: „Jakieś strzały było słychać, panie komendancie, strzały!”, i pokazywały za kaplicę. To wzbudziło w nim złe przecucia, więc popędził tam co tchu, do tego opuszczonego domku, kuśtykając po tym laniu. Nie przeskoczył przez ogrodzenie, żeby nie budzić podejrzeń, tylko dotarł do głównych drzwi i jego obawy szybko się potwierdziły. Drzwi były otwarte, a dom pusty, nie było tam ani Treviña, ani dziewczyny, natomiast w pomieszczeniach czuć było proch. No i znalazł związaną Niemą.

– Ta Niema to ma chyba jakieś szczególne powołanie do roli ofiary. Wszyscy ją wiążą i dręczą.

– Margarito rozwiązał ją i rozejrzał się po wnętrzu, zauważył, że Treviño zabrał jego karabin.

– I co dalej?

– Margarito sprawdził pomieszczenia, ciągle z trzydziestkąósemką w ręku, i doszedł do wniosku, że Treviño wzniecił pozorowany pożar. Diabli wiedzą jak, ale wykorzystując te nieliczne rzeczy, jakie znalazł w pokoju, udało mu się jakoś podpalić materac. Widząc dym, Niema musiała otworzyć i sprawdzić, co się dzieje, i chociaż amatorką nie jest i na pewno zadbała o środki bezpieczeństwa, Treviño walnął ją drzwiami i zdołał obezwładnić, choć nie bez trudności, bo Niema wystrzeliła i oboje polecili na podłogę. Jako że miała zakrwawione dłonie, Margarito doszedł do wniosku, że detektyw wyłamał jej palce, żeby wydobyć z nich broń, potem związał ją łańcuchem i poszedł uwolnić Cristinę. Jasna cholera, myślał sobie komendant, tyle zachodu i wszystko na nic. Ponieważ materac wciąż się tlił, uznał, że detektyw nie może być daleko, więc rozwiązał Niemę i poleciał do telefonu, zamierzając zadzwonić do Grubej po pomoc. Margarito szedł właśnie ulicą pod klasztorem, wściekły jak nigdy, kiedy zobaczył, że otwiera się boczna brama garażu, w którym zakonnice trzymają starego volkswagena, a drzwi pcha Treviño we własnej osobie. Dziewczynę, ubraną w mnisi habit, posadził na miejscu pasażera i właśnie zamierzał odjeżdżać. Margarito chciał do niego strzelać, ale Treviño pierwszy wycelował z karabinu i zawołał: „Nie ruszaj się!”. I uśmiechnął się krzywo: „Dawaj trzydziestkąósemkę”. Margarito był tak wściekły, myślał, że padnie tam trupem, ale oddał broń. Detektyw uśmiechnął się szerzej i nie spuszczając komendanta z oka, wsiadł do samochodu i zatrzasnął drzwi. Widząc, jak kasa ucieka mu sprzed nosa, Margarito zawołał: „Nie przejedziesz przez miasto sam, Treviño, potrzebujesz mojej pomocy!”. Detektyw jednak pokręcił głową i zapalił silnik. Przestał mierzyć z broni dopiero, kiedy ruszył, wołając: „Mam nadzieję, że się już nie zobaczymy, komendancie!”, i odjechał z dziewczyną. Treviño był w dość marnym stanie. Pobity, skopany i torturowany, ale jakoś przebił się przez miasto. Podobno mu zapłacili. Biznesmen wyłożył tyle, ile było umówione, a Treviño rzucił tylko okiem na tę forszę, jakby już go nie obchodziła. Ostatecznie wziął nagrodę, wsiadł do samochodu zakonnicy i nikt go więcej nie widział.

– Co za farciarz.

– A gdzie tam. Nie słyszałeś, że tego samego dnia spalili mu ten jego hotel na plaży? Ten, co go prowadził razem z żoną ... A co z nią, to nie wiadomo.

– Ech, ten Treviño. Prawda, przyjazd tu był pechowym pomysłem. Nie powinien był wracać.

– A to nie koniec.

– No wiem, Gruba awansowała. Pierwsza kobieta komendant w kraju. Trzeba mieć jaja, żeby przyjąć to stanowisko przy tym, co się wyprawia w tym mieście, nie?

– Gruba da radę. Ale jeszcze jedno: Niema dostanie odznaczenie za swoje zasługi jako agentka specjalna. Bez jej udziału nigdy by nie wyjaśniono sprawy porwania.

– To ona była na służbie?

– Była zrekrutowana, od dziesięciu lat płacili jej jako agentce specjalnej. Margarito tłumaczył, że od czasu do czasu pomaga mu w operacjach specjalnych. Jak sądzisz, kto znalazł dom, w którym przetrzymywano dziewczynę?

– Ale nie podobała mi się ta historia z Pułkownikiem.

– No to był szok. Kto by pomyślał, że zginie podczas zwykłej wymiany ognia między swoimi i rywalami.

– Właśnie, przecież jego też się kule nie miały. Dlatego nie stawił się na to spotkanie. Szczęście go opuściło. Na własne oczy widziałem jego ciało.

– A co z chrześniakiem komendanta?

– Miał facet raz w życiu fuksa, choć wydawało się, że jest na wylocie. Poleciał do stolicy swoim prywatnym samolotem i miał tam spotkanie na wysokim szczeblu z jakimś typem i jego ludźmi. Wygląda na to, że zgadał się z kimś bardzo wpływowym i przy kasie, w zamian za opłacenie kampanii prezydenckiej. Więc ta wojna w La Eternidad między Starymi i Nowymi jeszcze swoje potrwa...

– Jak dobrze, że mamy w kraju sprawiedliwość.

– A z Margarita robią bohatera narodowego. Film, na którym broni swojego syna, widziało siedem milionów osób, zrobiła się z niego wielka figura. Naprawdę go mają za herosa. Gdyby znali jego przeszłość...

– No. Problem tego kraju polega na tym, że ma krótką pamięć.

– Ale jest coś jeszcze lepszego. Wygląda na to, że zostanie dyrektorem Regionalnego Instytutu do Walki z Porwaniami.

– No nie, to już przesada. W tym mieście nie będzie się dało żyć, ja stąd wyjeżdżam. Do zobaczenia gdzie indziej.

– Nie ma co jechać. Będzie dobrze. Poza tym trzeba iść do Margarita z wizytą gratulacyjną, wszyscy idą. Dziś jest msza w intencji jego syna, bo

na pogrzebie komendant nie mógł przecież być. Odprawiają ją w kościele Sagrado Refugio de los Pescadores. Może być tak, że niedługo nas zatrudni, bo został teraz bez żadnych twardych ludzi pod ręką. Nigdy nie wiadomo. Może nadeszła chwila, by wyjść z ciemności. To co, wysyłamy wieniec czy bukiet kwiatów?

Epilog

Chociaż Panda chętnie by z nim pogadał, Margarito był zajęty rozmową z nową komendantką policji w La Eternidad, swoją była asystentką Robertą, i tylko co parę metrów udzielał Pandzie wskazówek, któredy ma jechać. Kiedy zjechali z czarnego mostu, Pandę zaskoczył, jak zawsze, widok głównej alei miasta o poranku, wzdłuż której rósł szpaler palm, ogromnych i długowiecznych, o nieco kanciastych pniach, posadzonych dużo wcześniej niż zbudowano tę ulicę. Minęli nowy szpital rejonowy i jechali dalej. Kiedy za oknem zmieniła się roślinność i wjechali w sosnowy lasek rosnący przy dzielnicy willowej, były komendant wskazał:

– Jedź tędy.

Skręcili w niewyasyfutowaną drogę, samochód podskakiwał na wybojach. Na szczycie podjazdu dwóch chłopców poprosiło o wsparcie finansowe, „Na dalsze prace remontowe drogi” i wspięli się im na błotniki. Margarito nie przeoczył faktu, że starszy ma za paskiem komórkę i że bezczelnie przygląda się zarówno jemu, jak i jego nowemu kierowcy, wsadzając głowę przez okno. Przelicza, ilu nas jest i czy mamy broń, ten gnojek wcale się tu nie pcha po forszę, to czujki kogoś, kto ma tu jakieś interesy. Tak jak podejrzewał, kiedy chłopcy oddali się na dwa metry, zaczęli się sprzeczać nie o pieniądze, tylko o to, kto zadzwoni. Kogo będziecie uprzedzać, chłopcy, zastanawiał się Panda. Ile wam za to płacą?

– Od tej chwili – polecił Margarito – masz się nie zatrzymywać, Panda, a jeśli jakieś samochody albo ludzie będą podążali w naszą stronę, włącz dwa razy długie i dopiero potem jedź dalej.

Jechali drogą, wciąż w sosnowym lesie, aż nagle ta rozszerzyła się, wpadając na spore wiejskie boisko, zupełnie puste. I tu się kończyła.

Panda nie miał pojęcia, że takie miejsca można znaleźć pod samym miastem, niemal w obrębie dzielnicy willowej, i uznał, że chyba pomylił trasę. Zamierzał już zawrócić, kiedy Margarito kazał mu podjechać pod bramkę.

– Proszę?

– No wjedź na boisko, podjedź pod tamtą bramkę. – I choć rozkaz wydawał się bez sensu, kierowca wykonał polecenie.

Po co komu boisko na takim pustkowiu, zastanawiał się Panda.

Oddalając się od ścieżki i mijając ostatnie rzędy sosen, zdał sobie sprawę, że boisko jest znacznie dłuższe niż zwykle, ale za to węższe. Nie miało trybun ani siedzeń dla widzów, ani w ogóle żadnej takiej przestrzeni, ale linie zostały starannie zaznaczone wapnem i z każdej strony stała pełnowymiarowa bramka.

Wyjechali za linię drzew i nagle rozległ się głośny gwizd, na który odwrócili się w lewo.

– Ej, wy tam!

Przynajmniej dwunastu ludzi, stojących przed trzema pikapami i jedną ciężarówką z otwartą naczepą, machało do nich energicznie z dalszej bramki. Widząc, że Panda sięga po broń, Margarito go uspokoił.

– Lepiej to schowaj, Panda.

Szybko zaparkowali obok tamtych. Komendant zauważył, że raptem trzech czy czterech z zebranych tam mężczyzn miało u pasa kabury z bronią. Reszta odziana była w proste robocze stroje: wysokie buty, dżinsowe spodnie, grube pasy, niektóre elegancko zdobione; mocne koszule w kratę i kurtki ze skóry albo z materiałów syntetycznych. Widząc, że żaden nie wygląda raczej na najemnika, prędzej sprawiali wrażenie tragarzy, Panda odetchnął z ulgą. Choć rzecz jasna, lepiej by się poczuł, gdyby mu wyjaśniono, co się tu właściwie dzieje.

Margarito kazał mu wyłączyć silnik.

– Poczekaj tu na mnie.

– Wolałbym wysiąść z panem.

– Dobra. Ale za nic w świecie nie wyciągaj broni ani blachy.

– No bez jaj, panowie! – krzyknął jeden z uzbrojonych, patrząc na nich z wyrzutem. W oddali było słychać bzyczenie, jakby ktoś ścinał drzewa piłą elektryczną. – Mogliście doprowadzić do wypadku.

– Przepraszamy, mój szofer nigdy tu nie był – odpowiedział Margarito.

– Kto dowodzi?

Facet krzyknął w stronę swoich towarzyszy:

– Eleazar, to do ciebie!

Z jednego z pikapów wysiadł wąsacz w kowbojskim kapeluszu i podszedł do nich. Za paskiem trzymał potężny pistolet.

– W czym mogę pomóc? – zapytał.

– Jestem Margarito González. Znajomy Kolumbijki.

Margarito wyciągnął rękę w jego stronę, ale ranczer nie zareagował. Widząc, że nie ma co liczyć na powitanie, Margarito dodał:

– Jakiś już czas temu byliśmy razem na grillu urządzanym przez Kolumbijkę. Pamięta pan? Serwowała wtedy tę ich specjalność, bandeja paisa.

– A, racja, racja. Czego pan chce?

– Szukam jednej znajomej. I gościa nazwiskiem Carlos Treviño.

Ranczer przez chwilę przyglądał się ekskomendantowi, a potem Pandzie i stwierdził, że jego zdaniem Carlosa Treviña nie zobaczą tu jeszcze przez dłuższy czas.

– Zwinęli go. – Splunął ze złością.

Margarito zapytał, co dokładnie ma na myśli, a Eleazar wyjaśnił:

– No zjawił się oddział i go capnęli.

– Wojsko? – zapytał Margarito. To go dziwiło, bo przecież w takim wypadku ta informacja jakoś musiałaby do niego dotrzeć.

– Nie – odpowiedział Eleazar. – To nie byli lądowi, marynarka też nie, podobno to Nowi, mówią, że wpadł na ich ludzi tego dnia, kiedy palili te wszystkie samochody, i zaczęła się pyskówka. Wygląda na to, że był tam jeden, który za nim wyjątkowo nie przepadał, jakiś pułkownik. I podobno doszło do strzelaniny, cholera wie, co się z nim stało.

– Uwaga! – zawołał ktoś.

Nagle to odległe bzyczenie zmieniło się w głośny huk. Nad skrajem sosnowego lasu ukazała się wcale nie taka mała awionetka. Wyglądało, jakby ocierała się o korony drzew, obniżyła lot i wreszcie po licznych manewrach, o mały włos nie rozbijając się o drugą bramkę, stanęła na ziemi. Samolot elegancko zawrócił i stanął w takiej pozycji, jakby miał wykonywać rzut karny. Na kadłubie ktoś wymalował bardzo wyrafinowaną kaligrafią napis „El Mexicano”. Wszyscy zebrani, nie licząc Elezara i dwóch przyjezdnych, podbiegli do awionetki.

– Nie powinno was tu być – stwierdził Eleazar i odbezpieczył swoją broń.

Kurwa, pomyślał Panda. I zdał sobie sprawę, że przez cały ten czas nie spuszczał z nich wzroku uzbrojony facet, stojący za plecami Eleazara.

Drzwiczki samolotu otworzyły się i pojawiła się w nich młoda kobieta z szerokim uśmiechem, ubrana jak piloci na filmach przygodowych.

Wielkie okulary, długi biały szalik, czapka pilotka i skórzana kurtka; przebiegła po zebranych wzrokiem, a na widok Margarita pomachała mu.

– Kto by pomyślał? Poczekaj tam, Margarito.

– Wszystko w porządku, Parce? – zapytał Eleazar.

– Jak najbardziej – odpowiedziała pilotka. – Ten facet to przyjaciel.

– Miałem ich właśnie przegonić, bo mi się tu przyplątali.

Kiedy pilotka zeszła po drabince, sześciu mężczyzn bardzo szybko wdrapało się do środka samolotu. Zaraz znów się wyłonili, taszcząc paczki różnych rozmiarów, wszystkie owinięte w papier pakowy, i podawali je ostrożnie kompanom stojącym przy samochodach. Powtarzali tę czynność cztery czy pięć razy: ledwie jedni wyciągali ciężkie paki, drudzy układali je w pikapach.

– Blu-rayów mi nie ruszajcie – zastrzegła kobieta. – To do mojej prywatnej kolekcji.

Potem podeszła do Margarita

– Czołem. – Powitała go uściskiem i obrzuciła spojrzeniem Pandę, ale nie pozdrowiła go. – Cóż cię do nas sprowadza?

Margarito odchrząknął, Eleazar nie uronił ani słowa z ich rozmowy.

– Szukam naszego wspólnego znajomego, Carlosa Treviña.

– Treviña? – zdziwiła się kobieta.

– Niektórzy twierdzą, że go zabili w zeszłym tygodniu, ale inni są zdania, że nawiał do Stanów. Podobno przedarł się jakąś sekretną drogą. Ponoć nieźle zapłacił i ktoś mu pomógł zniknąć. I widziano go, jak wsiadał do takiej awionetki jak ta.

Kobieta westchnęła ciężko.

– Dlaczego nie? W tym zakątku świata sporo jest różnych dróg. A Treviño umie się poruszać po okolicy.

W oczach pilotki rozbłysła wymowna iskierka.

– A dlaczegoż pana tak interesuje Treviño, jeśli można wiedzieć?

– Mamy pewne osobiste zaszłości...

– No dobra! – zawołał Eleazar. – Koniec tych pierdół, zbieramy się.

Przeszło obok nich trzech typów, nieśli coś, co wyglądało na lodówkę, i wsadzili ją do jednego z samochodów.

– Dość późno się zrobiło. – Eleazar zerknął na zegarek i stanął między kobietą a przyjezdnymi. – Ty też nie powinnaś tracić czasu. Trzeba się trzymać rozkładu.

– Ej, kolego – Margarito próbował się wtrącić.

Ale ranczer okazał się nieugięty.

– Panowie już się zbierają.

– Tak, Eleazar, już mieli iść – włączyła się kobieta. – To na razie. Lepiej, żebyście tu nie wracali.

Margarito westchnął i powiedział:

– Na razie. Ale jakbyś go spotkała, daj znać.

Pilotka uśmiechnęła się szelmowsko.

– Ostatnio wiozłam tylko jedną pasażerkę, która miała się spotkać ze swoim facetem na granicy.

Kobieta obróciła się i ruszyła w stronę samolotu. Chwilę przed wejściem przyjrzała się podwoziowi samolotu i odezwała się do ranczerów:

– Mam wrażenie, że przytarłam o jedno z tych drzew. Ale nie, nic się nie stało. Nie za łatwo się lata na takiej wysokości.

Margarito González, były komendant policji w La Eternidad, a obecnie dyrektor Instytutu do Walki z Porwaniami w stanie Tamaulipas, mocno sfrustrowany przyglądał się zatraskującym się drzwiom „El Mexicana”. Kiedy wsiadł do samochodu, tamci też już grzali silniki.

– Kim są ci goście? – zapytał jego kierowca.

– Lepiej, żebyś nie wiedział. Powiem ci jedno: w tej pieprzonej awionetce kryje się klucz do jedynej zagadki, która naprawdę mnie obchodzi.

– Wracamy do La Eternidad? – Panda minął chłopców stojących na czatach.

– Zawieź mnie do domu na plaży. Należy mi się odpoczynek.

Kiedy wjechali z powrotem na szosę, znad sosen wyłoniła się awionetka. Panda widział we wstecznym lusterku, jak „El Mexicano” unosi się w niebo. Ostatni raz rzucił okiem na jego dwa silniki. Jego dziwny kształt. Pomyślał, że więcej już tego samolotu nie zobaczy, i patrzył, jak znika w oddali.

Ostatnie słowo

Jeśli chodzi o rzeczywistość: ta książka jest dla tych, którzy opowiedzieli mi historie, jakie mnie zainspirowały, oraz tych, którzy nie chcieli opowiadać, oferując mi za to bardzo wymowne milczenie.

Jeśli chodzi o literaturę: niech podziękowania przyjmą Danilo Moreno, Francisco Goldman, Mario Muñoz, Christilla Vasserot, Luis Carlos Fuentes, Fernanda Melchor, Jorge Harmodio, Augusto Cruz, Antonio Ortuño, Claudio López Lamadrid, Andrés Ramírez i Fernanda Álvarez – za precyzyjne uwagi dotyczące pierwszej wersji tej powieści. César Aira, Bernardo Atxaga, Almudena Grandes y Héctor Abad Faciolince – za uprzejmość dla pewnego mieszkańca Tampico. Dominique Bourgois, Amy Hundley, Tomasz Pindel i Morgan Entrekin – za wsparcie i wierność moim powieściom.

Jeśli chodzi o pamięć: ta książka jest dla mojego ojca, Martína Solaresa Télleza, dla Daniela Sady oraz Federica Campbella. Dziękuję za zabawę, książki, słowa, haiku i cappuccino. Nie w tej kolejności.

Jeśli chodzi o życie: niech przyjmą ją Florence Olivier, José Manuel Prieto, Quino i Alicia, Pietro i Maddalena Torrigiani. Moi przyjaciele z La Paz: Paloma, Edmundo, Jorge, Mariana i Sandino. Alejandro Espinoza, Cristina Fuentes, Izara García i Cecilia Medina Basave. Diana Carolina Rey i Guido Tamayo, Diana Agamez, Mar Meléndez i Emiro Santos; Alina Interián, Forrest Gander, Rubén Gallo, Magali Velasco i César Silva, Gabriela León, Ricardo Yáñez, Guita Schyfter i Hugo Hiriart. Luis Albores, Gerardo Lammers, Patricia Pérez, Ulises Corona, Rogelio Flores Manríquez, Gabriel Orozco, María Álvarez i Jaime Ashida, Lorenza Barragán i Jaime Martínez, Trino Camacho, Yael Weiss, Marcelo Uribe. Oraz rodziny Herrería i Cueva z ulic Veracruz, Camino al Desierto de los Leones i Sagitario. Rodzina Barragán Heredia na całym świecie. Taty i Armando, Gely i Luis oraz Rosario w Monterrey.

Dla Vesty, Mateo, Mariany i Joaquína. Z całą miłością.

Przekład: Tomasz Pindel

Redaktor serii: Filip Modrzejewski

Redakcja: Ewa Nosarzewska

Korekta: Justyna Pogorzelska, Małgorzata Denys

Adiustacja: Elżbieta Majewska

Projekt okładki: Izabella Marcinowska

Fotografia na okładce: © Richard Nixon / Arcangel Images

Logo serii: Marek Goebel

Skład i łamanie: Typo – Marek Ugorowski

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12

tel. 22 828 98 08, 22 894 60 54

biuro@gwfoksal.pl

www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-3326-9

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)

i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

virtualo